



PIERRE CHODERLOS DE LACLOS

**Niebezpieczne
związki**



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

PIERRE CHODERLOS DE LACLOS

Niebezpieczne związki

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Niebezpieczne związki

TOM PIERWSZY

OD TŁUMACZA

Piotr Ambroży Franciszek Choderlos de Laclos urodził się w Amiens, w roku 1741, z rodziny mieszczańskiej. Jako młody chłopiec okazywał zamiłowania literackie, dziedziczne zresztą w tym domu. Jednakże, w XVIII w. literatura nie stanowiła jeszcze zawodu; zatem młody Laclos, po odbyciu studiów, zostaje, w 20 roku życia, oficerem artylerii. Łatwość pióra i zręczność w składaniu madrygałów uczyniły go pożądanym gościem paryskich salonów: w nich też zapewne gromadził zawczasu materiały do przyszłego arcydzieła. W r. 1774 zwraca na siebie uwagę zgrabną sztuczką pt.: *List do Małgosi*; w 3 lata później pisze operę komiczną, jednak bez szczególnego powodzenia. W r. 1778, wysłany na prowincję jako oficer inżynierii, buduje fort na wyspie Aix; tam też, może aby rozproszyć nudę zapadłego kąta i orzeźwić myśl wspomnieniem błyszczącego paryskiego świata, pisze *Niebezpieczne związki*.

Dzieło ukazało się w 1782 i zyskało niebywale powodzenie. Była to jedyna książka, jaką Laclos napisał. Później, jeśli używa pióra, to jedynie na broszury, artykuły polityczne, etc. Ferment nadciągającej rewolucji nie sprzyja snadź¹ plodom czystego arcyzmu. Może zraziła Laclosa i pieczołowitość policji, która umieściła jego książkę na indeksie i skazała ją na zniszczenie, jako „rozwiązłą i nieobyczajną”.

W r. 1789 Laclos, na polecenie pani de Genlis, otrzymuje miejsce sekretarza księcia Orleanu. Niebawem staje się prawą ręką i duszą polityki księcia; fama, nie zawsze zresztą sprawdzona, przypisuje autorowi *Niebezpiecznych związków* autorstwo wielu intryg przeciw prawej dynastii, jakie knuł kokietujący z ludem, ambitny Filip *Egalité*. Równocześnie ze swoim panem Laclos wstępuje do klubu jakobinów. Przewodniczy klubowi w dniu uchwalenia detronizacji Ludwika XVI. W r. 1791 redaguje „Journal des amis de la constitution”. Po ogłoszeniu republiki wraca do armii jako generał brygady; w r. 1793 dostaje się w Paryżu do więzienia; ratuje go protekcja Robespierre'a, któremu podobno Laclos układał jego mowy. Niebawem znajduje się po raz wtóry w więzieniu, z którego dopiero 9 Thermidor wyzwala go ostatecznie. Przydzielony do korpusu generała Moreau, udaje się do Włoch, gdzie umiera w Tarencie w r. 1803 na stanowisku generalnego inspektora artylerii.

Jedyna książka, jaką Laclos zostawił, zapisana jest w rzędzie trwałych bogactw literatury francuskiej. Jest ona podwójnie ciekawa; raz jako nieporównany wyraz doby, w której powstała i którą maluje, po wtóre jako arcydzieło psychologii, mało równych sobie mające. Całą książkę wypełniają jedynie sprawy miłości, tak jak wypełniały one życie „towarzystwa” tej epoki, której „kto nie znał, ten nie wie, co to słodycz życia”, jak wzdycha później jeden z jej niedobitków. Najrasowsza szlachta francuska, zamknięta, od czasów Ludwika XIV, w złotej klatce dworu i skazana na przymusową bezczynność, odsunięta stopniowo od polityki, od administracji, nie znajduje naturalnych upustów dla swoich sił życiowych. Bujna młodzież, niezbyt garnąca się do służby wojskowej, wymagającej, w nowożytnym swym przeobrażeniu, za wiele karności, dającej zbyt wiele utrudzeń, a za mało zaszczytów, zużywa temperamenty w łowach, i w tych innych łowach, w których rolę osaczanej zwierzyny gra kobieta. Przygody miłosne, oto szranki godne rozwinięcia najszlachetniejszych przymiotów, oto pole popisu dla odwagi, zręczności, żądzy sławy. „Iluż wielkich dyplomatów, iluż wielkich polityków bezimiennych, zręczniejszych niż Dubois, przenikliwszych niż Bernis, wśród tej małej gromadki ludzi, którzy uwiedzenie kobiety czynią jedynym celem swoich myśli, wielką sprawą życia, jego przewodnią ideą i zawodem! Ile studiów, wytrwałości, umiejętności, namysłu! Ile kombinacji romansopisarza i strategika²!...”. Podczas gdy część tej Francji XVIII w. filozofuje, zajmuje się problemami ekonomii, polityki, nauki, dla drugiej części miłość staje się treścią życia, rozmów, literatury, ulubioną zabawą towarzyską, przedmiotem ambicji, wszystkim.

Oczywiście, bóstwo to, obłaskawione w ten sposób i sprowadzone ze świątyni do buduaru, samo też nie mogło się uchronić od pewnych przeobrażeń. Cechą miłości w XVIII w. (zanim przenikną wpływy Russa) jest odarcie jej ze wszystkich zasłon. Ani śladu tu

¹snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

²Iluż wielkich dyplomatów (...) — E. i J. de Goncourt, *La Femme au XVIII siècle*.

z owego ubóstwienia, jakim była otoczona w wieku Ludwika XIV; ani śladu z owego języka pełnego czci i kultu dla kobiety, osłaniającego swymi religijnymi niemal formułkami całą materialną stronę miłości. To wszystko odpada; *miłość* staje się synonimem pożądania, przelotnej skłonności, „wymianą dwóch kaprysów i zetknięciem dwóch naskórków”, wedle dosadnego określenia Chamforta. Zmienia się zwłaszcza *styl* miłości. W wieku XVII najbardziej płocha Celimena czuje się w obowiązku pokrywać przelotne fantazje swej nienasyconej zalotności frazeologią wielkich uczuć; w XVIII, przeciwnie, nawet prawdziwe uczucie ukrywa się wstydliwie pod maską obojętności i cynizmu. Jeżeli przywdziewa jeszcze niekiedy szaty trubadura, czyni to jedynie chyba przez rozpustę umysłową, aby, jak Valmont w stosunku do pani de Tourvel, szukać w tej zabawie świeżych podnieć dla wyschłego serca. Syntezą epoki staje się głośnie zdanie Buffona: „Jedyną rzeczą coś wartą w miłości jest jej strona fizyczna”; cały balast uczuciowy odpada, zażdość nawet wychodzi z mody, osądzona jako śmieszny i niecywilizowany przeżytek. Kobieta, rada nie rada, dostraja się do nowego stylu. Dawna bogini, która, jak słynna Julia d'Angennes, królowa *pałacu Rambouillet*, czternaście lat kazała wzdychać do siebie, nim uwieńczyła wytrwałe służby, dziś godzi się na znaczne skrócenie czasu obowiązujących zalotów. Wedle powszechnie głoszonego mniemania, „wystarczy kobiecie trzy razy powiedzieć, że jest ładna, aby za pierwszym razem podziękowała, uwierzyła za drugim, a wynagrodziła za trzecim”. Przypuściwszy nawet, że kobieta — szczególnie trudna lub początkująca jeszcze w turniejach miłosnych — opiera się dłużej niż jest w zwyczaju, wówczas zaloty trwają dwa tygodnie, miesiąc wreszcie: aż nadchodzi chwila, w której dama ukazuje się ze swym wielbicielem w łożu Opery, i w ten sposób — wedle zwyczaju, ceremonii prawie, uświęconej przez światowe panie XVIII w. — przedstawia niejako oficjalnie towarzystwu uwieńczonego kochanka.

W turniejach tych kobieta przechodzi nieraz i do czynnej roli. W pustkę uczuciowego życia wciska się przede wszystkim próżność. Pozycja towarzyska kobiety zależy niemal od tego, aby przykuć do siebie, bodaj przelotnie, mężczyznę, będącego w danej chwili na świeczniku. Mężczyzna „w modzie”, oto magiczne słowo, bardziej zwycięskie niż młodość, niż uroda. Taki mężczyzna może po kobietach deptać, pomiatać nimi, urok jego będzie się wzmacniał jedynie. Co rano, budząc się, zastanie przy łóżku pakiet listów miłosnych, które — jak książę Richelieu — rzuci niedbale do skrzynki z napisem: „listy, których nie miałem czasu przeczytać”. Po śmierci tego nestora złotej młodzieży znaleziono pięć nierozpieczętowanych listów, błagających, w imieniu pięciu wielkich dam, o jedną godzinę jego nocy.

O względach dla kobiet nie ma w tym wieku „galanterii” mowy, jak również nie ma mowy o dyskrekcji. Życiem swoim, każdym jego dniem, tworzyć anegdotę, która mogłaby się stać uciechą i zabawą salonów, oto marzenie wszystkich tych *petit-maitre'ów*; oto, czym mierzy się ich wartość i uznanie w świecie, oto szczyble, po których wstępuje się na tron mężczyzny „w modzie”, bohatera dnia. Przygoda Prévana i jego trzech „nierozłącznych” (List LXXIX) — tak typowa dla XVIII w. przez swą czystość linii i symetrię — to jeden z wzorów tego, jakbyśmy dziś powiedzieli, *sportu*. Miejsce sentymentalnej gwary zajmuje u mężczyzn zuchwalstwo, impertynencja, smaganie szyderstwem najtkliwszych potrzeb serca. Posiąść kobietę, ani jednym czulszym słowem nie budując pomostu do usprawiedliwienia jej słabości: więcej nawet, stawiając jej przed oczy wspomnienie człowieka, którego kocha i zdradza, oto znamienity rys intelektualnej rozpusty wyziębłych don Juanów³. Do wysokości dogmatu podniesiona jest zasada, aby nie zrywać z kobietą, póki się nie posiada w ręku środków zgubienia jej.

Nie wszystkim z owych salonowych zdobywców danym był w snuciu przygód dar twórczej oryginalności. I moda miała tu swoje słowo. A słowo to brzmiało czasem paradoksem wcale interesującym: przykładem teoria — stworzona, na poparcie praktyki, przez współczesnego salonowego filozofa — iż najwyższy dowód względów i delikatności, odnośnie do kobiety, okazuje ten, kto ją bierze gwałtem; w przeciwieństwie bowiem do nieśmiałego i wyczekującego kochanka „szanuje jej wstydlivość i skrupuły, i, biorąc

³Posiąść kobietę (...) wyziębłych don Juanów — Crébillon syn, *Igraszki kącika przy kominku; Noc i chwila*.

całą winę na siebie, oszczędza jej długiej męczarni stopniowych ustępstw oraz bolesnego poczucia, iż uchybia samej sobie⁴.

Kobiety, o ile czują się na siłach, nie zostają w tyle za mężczyznami. Słabsze stają się ich łupem, silniejsze zawczasu uczą się rozpoznawać „w dzisiejszym kochanku jutrzejszego wroga” i wypracowują całą sztukę, jak z pierwszego wyssać wszystkie słodycze, nie wydając się drugiemu w ręce. Znamienne pod tym względem jest przygoda pani de Merteuil z Prévaniem (List LXXXV) i jej autobiografia (List LXXXI), do której, wedle zdania współczesnych, autor aż nazbyt wiele miał dokoła siebie wzorów. W rozpuszcie umysłowej, w bezwzględny złośliwym okrucieństwie, kobieta, w pewnym swoim typie, przechodzi niemal mężczyznę. Przejmuje od niego udogodnienia życiowe: „Dla hodowania swoich przyjemności starają się mieć ustronne domki, zupełnie na wzór sekretnych domków ówczesnych modnisiów. Gniazdko takie kobieta sama tajemnie nabywa i urządza; odzwiercy jest z jej ramienia i wyboru, aby wszystko było na jej usługi i nic nie krępowało jej swobody, gdy zechce oszukać bodaj swego kochanka⁵”.

Oczywiście, przy tej łatwości obcowania płci, przy tym nadużyciu miłosnych wrażeń i upojen, tępieją zmysły, chłodnie wyobrażnia. Stąd don Juan XVIII w. musi szukać coraz ostrzejszej zaprawy dla zużytego podniebienia: „W stosunek mężczyzny do kobiety wślizguje się jakby jakaś bezlitosna polityka, jakby ujęty w reguły system gubienia. Zepsucie staje się sztuką, w której skład po równi wchodzi okrucieństwo, wiarołomstwo, zdrada, kunszt tyranii. Machiawelizm wciska się w miłostki, staje się ich dominującą nutą. Jest to chwila, w której Laclos kreśli z natury swoje *Niebezpieczne związki*, ową książkę przedziwną i okropną zarazem, która jest tym dla moralności miłosnej we Francji XVIII w., czym traktat o *Księciu* dla moralności politycznej Włoch w wieku XVI⁶. Ten rys okrucieństwa w miłości znamienym jest dla epoki: przesunąwszy się z dziedziny moralnej w fizyczną, dojdzie w markizie de Sade do najpełniejszego wyrazu.

Oto tło, na którym rozgrywa się historia *Niebezpiecznych związków*. Uderzająco silną i zwartą jest budowa tej książki. Pisana w listach z zachowaniem całej wytwornej sztuki epistolarnej, tak wysoko stojącej współcześnie, mimo to nie zawiera, można powiedzieć, ani jednego zbytecznego zdania: każde ma swoją wagę, każde jest subtelny dotknięciem pędzla, wzbogacającym całość obrazu o jakiś nowy i ciekawy szczegół. Na formie listów nie cierpi również w niczym akcja powieści: bieg jej, na wskroś dramatyczny, nawiązuje się mocno i jasno na pierwszych już kartach, płynie w skrętach i powikłaniach, aby ku końcowi pomknąć wartkim pędem ku katastrofie. Aktorów na scenie zaledwie kilkoro; jednakże węzły pomiędzy nimi pozadzierzgane tak misternie i różnorodnie, iż wyczerpują niemal całą psychologię miłości we wszystkich jej rodzajach, objawach i odcieniach.

Nad akcją dominuje postać margrabiny de Merteuil, w której rączce zbiegają się wszystkie nici intrygi. Jest to niewątpliwie jeden z najsilniej narysowanych typów kobiecych żyjących w literaturze: istota o równie gorących zmysłach jak oschłym sercu, mądra i przenikliwa tak, iż Valmont, razem z całą swoją eksperymentalną psychologią, jest przy niej i w jej rękach istnym dzieckiem, owa „urocza markiza” robi chwilami wrażenie aż wprost niepokojące. Pani de Merteuil, to mimo młodego wieku weteran zahartowany jak stał w owej nieustannej wojnie miłosnej, jaką było życie „towarzystwa” XVIII w., a w której dla pełnego sukcesu nie wystarczyło rycerzowi posiąść kobietę, lecz trzeba było — mówiąc ówczesnym językiem — ją „zgubić”. Epoka, w której społecznie kobieta była pozbawiona wszelkich praw, faktycznie zaś, w panującej klasie, stała niemal ponad prawem, musiała wydawać takie typy.

Partnerem pani de Merteuil jest wicehrabia de Valmont, ciekawy zwłaszcza przez domieszkę intelektualnego dyktantyzmu: zapowiedź typu, który tyle miejsca miał zająć w późniejszej literaturze. Genealogię jego można by wywieść poniekąd od don Juana Moliery, od którego wszelako Valmont jest bardziej wąty, a przynajmniej wydaje się takim przy silniejszej o wiele indywidualności pani de Merteuil. Korespondencja tych dwojga wypełnia główną część książki. W niej, zagrzewając się nawzajem w przewrotności i zepsuciu, snują wspólnie swoje plany; w niej czerpią oboje podniecie i zadowolenie miłości

⁴najwyższy dowód względów i delikatności (...) — Crébillon syn, *Igraszki kącika przy kominku; Noc i chwila*.

⁵Dla hodowania swoich przyjemności (...) — E. i J. de Goncourt, *La Femme au XVIII siècle*.

⁶W stosunek mężczyzny do kobiety wślizguje się jakby jakaś bezlitosna polityka (...) — E. i J. de Goncourt, *La Femme au XVIII siècle*.

własnej z czynów skazanych z natury swojej na mrok tajemnicy: jedno stanowi dla drugiego publiczność. Różnica w tym, że pani de Merteuil, oddając się przyjemności tych przyjacielskich zwierzeń, nie przestaje ani na chwilę być panią swoich myśli i uczynków, nie przestaje być sobą, podczas gdy Valmont, można by powiedzieć, cały czas „zgrywa się” dla swej partnerki i, na przemian głaskany pochlebstwem i smagany drwiną, daje się prowadzić jak dziecko na pasku, nie tracąc ani na chwilę przekonania o swej rzekomej sile. Pochłonięty, o wiele więcej niż sam mniema, urokiem pani de Tourvel, Valmont wielokrotnie w zwierzeniach swoich zadrasnął panią de Merteuil w sposób, którego mu nigdy nie przebaczy. Odtąd, póty na nim wygrywa, póty go drażni i kusi, aż jej poświęci kochaną kobietę, by w zamian — rzecz najstraszliwsza dla bohatera pokroju Valmonta — zostać wystrychniętym na dudka. Wówczas, na chwilę, niby dwa wspaniałe drapieżne zwierzęta, stają naprzeciw sobie do walki: walki, w której Valmont pada, zanim zdołał się opatrzyć, jak dalece był jeno igraszką w rękę tej strasznej kobiety.

Nie mniej mistrzowsko i pewnie nakreślone są inne postacie dramatu. Danceny, to sama młodość, razem z jej niewinnością i brakiem charakteru, z całą grandilowencją i emfazą w miłości, która w próbie życiowej okazuje się nie tyle miłością danej kobiety, ile potrzebą miłości samej. Autor idzie za nim krok w krok w śliskim labiryncie tej młodszej psychologii; nie oszczędza biednemu kawalerowi ani jednego kłamstwa, aby wreszcie, ustami Valmonta, wydać wyrok, który brzmi tym okrutniej, że istotnie Danceny jest szlachetnym i sympatycznym chłopcem: „Oto ludzie! wszyscy jednak zbrodniczy w swoich zamysłach, niedołęstwo, jakie wkładają w ich przeprowadzenie, nadają miano uczciwości!”. Dominującym rysem bogdanki Danceniego, Cesi, jest na wskroś kobieca podatność, skazująca ją na to, iż zawsze będzie tym, czym zrobią ją silniejsze dłonie. W swoich prawdziwych „dziejach grzechu”, od pensjonarki świeżo wypuszczonej z klasztoru, aż na powrót do furty klasztornej, przebywa ten kawałek życia jako ledwie że świadoma i ledwie że winna igraszka w zbrodniczych rękach. Jej matka, pani de Volanges, to wyborny typ osoby troszczącej się o cały świat i jego naprawę, a ślepiej na to, co się dzieje w jej własnym domu. Cechą jej, jak wielu osób specjalizujących się w cnotcie, jest pewna próżność, którą pani de Merteuil wyzyskuje po mistrzowsku. Pani de Tourvel, w pierwszej połowie książki niecierpliwą nieco swą zabójczo rezonującą doskonałością, w drugiej, kiedy przechodzi całe piekło mąk i upokorzeń, wzruszająca jest siłą uczucia i bezwzględnością oddania. Wreszcie, stara pani de Rosemonde, uroczą tym wdziękiem, który owej epoki był najprzedziwniejszym kwiatem i nad którym, zda się, ani wiek, ani choroba nie miały władzy.

Pomiędzy tymi to osobami rozgrywa się akcja powieści. Intryga jej streszczona nie dałaby w żadnej mierze obrazu dzieła. Tajemnica arcyzmu mieści się tutaj nie w wielkich liniach, ale w szczegółach, w przeprowadzeniu. Valmont kocha panią de Tourvel, która go ubóstwia, Danceny kocha Cecylię de Volanges i posiada wzajem jej serce: zdawałoby się, że z tej podwójnej sielanki nie sposób wykrzesać nic zajmującego! W jaki sposób Valmont depcze serce swej ukochanej, tak, iż staje się przyczyną jej śmierci; dlaczego po drodze łamie życie małej Cesi i sam ginie z ręki Danceniego, to tajemnica margrabiny de Merteuil i głębokiej polityki jej kobiecego machiawelizmu. Pani de Tourvel ośmieliła się tchnąć w Valmonta uczucie o tkliwszym i szlachetniejszym wyrazie, niż je żywił kiedyś dla pani de Merteuil — więc zginie. Nie ma dla niej ratunku ani przebaczenia. Valmont drasnął niezręcznie panią de Merteuil wynurzeniami swej miłości dla innej i odważył się pokrzyżować kaprys jej dla Danceniego — więc zginie. Cesia jest narzeczoną człowieka, który niegdyś ośmielił się pierwszy porzucić panią de Merteuil, zatem hańba jej jest postanowiona, iżby, wnosząc ją w dom przyszłego męża, pomściła tę zniewagę. Oto kobieta-demon, salonowy wprawdzie, ale jeden z najbardziej rasowych, jakie wydała literatura. A jaka miła, jaka mądra! Dostać się w jej ręce nie radzę, ale porozmawiać z nią życzę każdemu.

Ciekawe były koleje tej książki. Wkrótce po ukazaniu się entuzjastycznie powitana przez jeden z bystrzejszych umysłów krytycznych tej epoki, Grimma, zyskuje olbrzymią poczytność i rozgłos, niewolny jednak od przymieszki skandalu⁷. Skazane na zniszcze-

⁷rozgłos niewolny jednak od przymieszki skandalu — „(...) Nie ma w istocie książki, nie wyłączając Crébillona i jego naśladowców, w której skażenie zasad i obyczajów tego, co nazywa się *dobrym towarzyszem*, byłyby

nie przez policję, zapomniane później wśród wulkanicznych wstrząśnień tworzącego się nowego społeczeństwa, dzieło to znika z horyzontu na lat niemal sto. Sainte-Beuve zaledwie o nim wspomina, romantycy obrzucają je wzgardą. Ku końcowi XIX wieku, w epoce rozkwitu psychologicznego romansu, imię autora *Niebezpiecznych związków* nabiera nowego blasku. Autor *Kwiatów grzechu*, Baudelaire, który nie mógł pozostać nieczułym na niezdrowy urok wydzielający się z kart tej powieści, opatrzył ją następującym nadpisem: „Ta książka, jeżeli parzy, parzyć może jedynie na kształt lodu”. Dziś powieść ta stałaby niechybnie „z buzią w ciup” na półkach między klasykami, gdyby nie to, że historycy literatury wciąż pobożnie się odzégnują na jej wspomnienie. Przebywa zatem dotąd w regionach „literatury gorszącej”, zalotnie a niepokojąco z dala strzygąc okiem w stronę Pascala i Bossueta. Spotkają się kiedyś...

Boy

Kraków, 1912

PRZEDMOWA NAKŁADCY⁸

Poczujemy się do obowiązku uprzedzenia czytelników, że mimo tytułu dzieła nie ręczymy za autentyczność tego zbioru, a nawet mamy poważne przyczyny mniemać, iż jest jedynie prostym powieściowym zmyśleniem.

Co więcej, zdaje się nam, że autor, mimo iż wyraźnie zabiega o prawdopodobieństwo, zniweczył je sam, i to bardzo niechętnie, przez wybór epoki, w której umieścił opisywane wypadki. W istocie, większość osób, które wprowadza, tak mocno szwankuje na punkcie obyczajów, iż niepodobna przypuszczać, aby żyły w naszym stuleciu: w stuleciu filozofii, w którym rozlewająca się na wszystkie strony oświata, uczyniła, jak każdemu wiadomo, mężczyzn tak pełnymi zacności, a kobiety skromności i cnoty.

Sądźmy zatem, iż jeżeli wypadki opisane w tym dziele mają jakiś podkład prawdy, mogły się one zdarzyć jedynie albo w innym miejscu, albo w innym czasie. Mamy wielce za złe autorowi, że uwiedziony wyraźnie nadzieją wzbudzenia żywszego interesu⁹ czytelnika przez większe zbliżenie się do swego kraju i epoki ośmielił się, we współczesnych kostiumach i w świetle naszych stosunków, odmalować obyczaje tak bardzo nam obce.

Aby, o ile w naszej mocy, uchronić zbyt dobrodusznego czytelnika od pułapki, którą zastawiono jego łatwowierności, poprzemy nasze mniemanie pewnym rozumowaniem. Przedkładamy mu je z całą ufnością, ponieważ wydaje się nam przekonywującym i nieodpartym; a mianowicie: te same przyczyny musiałyby przecież sprowadzać te same skutki, a przecież nie widzimy dzisiaj, aby panna mająca sześćdziesiąt tysięcy funtów rocznej renty wstępowała do klasztoru, ani też, aby jaka prezydentowa, do tego młoda i ładna, umierała ze zgryzot sumienia.

J. J. Rousseau, Przedmowa do Nowej Heloizy

odmalowane z większą naturalnością, śmiałością i dowcipem: nie można się tedy dziwić, iż mało którą nowość przyjęto z takim zapalem; jeszcze mniej należy się dziwić temu, iż kobiety czują się obowiązane oburzać na tę książkę. Mimo całej przyjemności, jaką mogła im sprawić jej lektura, nie była ona wolna od żądła: w jaki sposób człowiek, który tak dobrze je zna, a tak źle dochowuje ich tajemnicy, nie miałby uchodzić za potwora?” („Correspondance littéraire”, kwiecień 1782).

⁸Przedmowa — Przedmowa nakładcy jest również pióra Laclosa i stanowi jedynie ironiczną mistyfikację czytelnika.

⁹interes — tu: zainteresowanie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

LIST I

Cecylia Volanges do Zofii Carnay w klasztorze urszulanek w ***

Widzisz, droga przyjaciółko, że dotrzymuję danego słowa i że czepeczki i stroiki nie pochłonęły tak dalece całego mego czasu, aby mi go nie zostało zawsze dla ciebie pod dostatkiem. A przecież w tym jednym dniu napatrzyłam się więcej strojów niż w ciągu czterech lat, które spędziłyśmy razem w klasztorze. Mama zasięga we wszystkim mego zdania; czuję, że jestem w jej oczach daleko mniej pensjonarką niż poprzednio. Mam własną pannę służącą, pokój i salonik wyłącznie dla siebie; piszę do ciebie na prześlicznym biurczku, do którego dostałam klucz i gdzie mogę chować i zamykać, co mi się podoba. Mama oznajmiła, że będę ją widywała codziennie przy wstawaniu; wystarczy, jeżeli będę uczesana do obiadu, i wówczas uwiadomi¹⁰ mnie co dzień, gdzie mam się z nią spotkać popołudniu. Resztą czasu mogę rozrządzać zupełnie do woli; mam swoją harfę, rysunki i książki, jak w klasztorze; z tą różnicą, że nie ma matki Annuncjaty, która by mi sypała buri¹¹, i że, gdybym chciała, mogłabym nic nie robić od rana do wieczora; że jednak nie mam przy sobie mojej Zosi, z którą bym mogła śmiać się i gawędzić, wolę przeto skracać czas jakimś zatrudnieniem.

Jest zaledwie piąta; z mamą mam się spotkać dopiero o siódmej; czasu więc byłoby aż nadto, gdybym tylko miała coś do zwierzenia! Ale jeszcze nic a nic nie wiem; gdyby nie przygotowania, na jakie patrzę codziennie, i nie mnóstwo robotnic, które kręcą się tu wyłącznie tylko dla mnie, mogłabym myśleć, że nikomu się nie śni wydawać mnie za męża i że to była zwykła gadanina pocziwiej Józefy. Jednakże matka powtarzała mi tak często, że panienka powinna zostawać w klasztorze aż do chwili zamążpójścia, że skoro mnie odebrano, Józefa musi chyba mieć słusność.

Jakiś pojazd zatrzymał się przed bramą i mama kazała mnie zawołać natychmiast do siebie. Czyżby to miał być... Jestem nieubrana, ręce mi drżą i serce tłucze się we mnie. Pytam pannę służącą, czy nie wie, kto jest u matki. „Owszem — odparła — pan C***”. To mówiąc, zaczęła się śmiać. Och, mam jakieś przeczucie, że to on. Wrócę zaraz, aby ci opowiedzieć, jak się wszystko odbyło. Wiem przynajmniej już, jak się nazywa. Spieszę, aby nie dać na siebie czekać zbyt długo. Do widzenia, za małą chwileczkę.

Toż będziesz sobie żartować z głupiutkiej Cesi! Och, jakże się zawstydyłam! Ale i ty byłabyś się złapała tak samo. Wszedłszy, ujrzałam czarno ubranego pana, który stał koło mamy. Ukłoniłam się najwdzięczniej, jak mogłam i zatrzymałam się w miejscu, niby wrośnięta w posadzkę. Możesz sobie wyobrazić, jak mu się przyglądałam! „Pani — rzekł do matki, oddając mi ukłon — córeczka jest zachwycająca i tym żywiej przychodzi mi odczuwać łaskę, jaką mnie pani darzy”. Na to tak wyraźne oświadczenie poczęłam drżeć na całym ciele, nie mogłam utrzymać się na nogach; na szczęście, spostrzegłam w pobliżu fotel: usiadłam, cała czerwona i pomieszana. Ledwie zdążyła to uczynić, już człowiek ten znalazł się u moich kolan. Wówczas twoja biedna Cesia straciła do reszty głowę; byłam, jak mówi mama, zupełnie nieprzytomna. Zerwałam się, wydając przeraźliwy krzyk... Ot, jak wtedy, podczas burzy, pamiętasz? Na to mama parsknęła śmiechem, mówiąc: „Co tobie, dziecko? Usiądźże i podaj panu nogę”. Moja złota, pokazało się, że ten pan, to po prostu szewc. Nie umiem ci opisać, jak bardzo się zawstydyłam: na szczęście nikogo nie było prócz mamy. Sądzę, iż skoro wyjdę za męża, nigdy nie wezwę już tego szewca.

Przyznaj, że my, doprawdy, dużo wiemy o świecie! Do widzenia. Już blisko szósta; panna służąca mówi, że czas się ubierać. Do widzenia, Zosiu droga; kocham cię tak, jak gdybym jeszcze była w klasztorze.

PS Nie wiem, przez kogo posłać list: zaczekam, aż przyjdzie Józefa.

Paryż, 3 sierpnia 17**

LIST II

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont w zamku ***

¹⁰uwiadomić — zawiadomić, powiadomić.

¹¹sypać buri — ostro upominać.

Wracaj, drogi wicehrabio¹², wracaj; cóż ty tam robisz, co możesz robić u starej ciotki, która cały majątek zapisała już na twoje imię? Ruszaj natychmiast w drogę: potrzebny jesteś. Przyszła mi do głowy wspaniała myśl i tobie pragnę powierzyć wykonanie. Te kilka słów powinny by wystarczyć: aż nazbyt zaszczycony wyborem powinien byś stawić się z całym pośpiechem, aby na kolanach odebrać me rozkazy. Ale ty nadużywasz mej dobroci, nawet wówczas, kiedy przestałeś z niej korzystać, i w wyborze, jaki mam przed sobą, albo wieczystej nienawiści, albo bezgranicznego pobbłazania dla ciebie, jedynie szczęściu swemu zawdzięczasz, iż dobroć moja bierze górę. Zatem spieszę wtajemniczyć cię w swoje zamysły: lecz przysiąż¹³, że, jako wierny rycerz, nie pogonisz za żadną inną przygodą, póki tej nie doprowadzisz szczęśliwie do końca. Jest ona zaprawdę godną bohatera: masz służyć razem miłości i zemście; słowem, będzie to jedno dzieło więcej do umieszczenia w twoich pamiętnikach: tak, w twoich pamiętnikach, gdyż chcę koniecznie, aby kiedyś ukazały się w druku i sama podejmuję się je spisywać. Ale zostawmy je na razie, a wróćmy do tego, co mnie w tej chwili zaprzęta.

Pani de Volanges wydaje za mąż córkę: to jeszcze tajemnica: ale zwierzyła mi ją od wczoraj. I kogo, myślisz, wyszukała za zięcia? Hrabiego de Gercourt. Któż by powiedział, że ja mam zostać kuzynką Gercourta? Po prostu nie posiadam się z wściekłości... Jak to! Nie domyślasz się jeszcze? O głowo niepojętna! Czyżbyś mu już przebaczył przygodę z intendentową¹⁴? A ja, czyż nie więcej jeszcze mam przyczyn użalać się na niego, ty potworze¹⁵? Ale panuję nad gniewem i nadzieja zemsty rozpogadza mą duszę.

Sto razy musiała ci się dać we znaki, tak samo jak i mnie, owa nadęta uroczystość, z jaką Gercourt rozprawia o tym, co za wszelakie przymioty musi posiadać jego przyszła żona, oraz głupia zrozumiałość, która każe mu mniemać, iż on właśnie zdoła uniknąć nieuniknionego losu. Znasz jego śmieszne urojenia na punkcie klasztornego wychowania i jeszcze o wiele śmieszniejszy przesąd co do chłodnego temperamentu blondynek. W istocie, mogłabym się założyć, że, mimo sześćdziesięciu tysięcy renty małej Volanges, nigdy nie przyszłoby mu na myśl małżeństwo, gdyby panna była brunetką lub gdyby nie chowała się w klasztorze. Przekonajmy go zatem, że jest tylko głupcem i... czymś więcej: zostałby nim z pewnością prędzej czy później; nie o to się też kłopotę; lecz byłoby zabawne, gdyby już od tego rozpoczął. Jakżebyśmy się przednio¹⁶ bawili nazajutrz, słysząc, jak się chepli! Bo będzie się cheplił z pewnością; a przy tym, skoro już raz ty się zajmiesz postanowieniem pierwszych kroków tej dziewczyny, trzeba by dziwnego nieszczęścia, aby Gercourt nie stał się z czasem, jak tylu innych, przedmiotem zabawy¹⁷ całego Paryża.

Zresztą bohaterka tego nowego romansu zasługuje w zupełności na twoje starania: jest naprawdę ładna; ot, dzieciak piętnastoletni, istny pączek róży; nieprawdopodobnie naiwna i bez najmniejszej sztuki: ale was mężczyzn taka rzecz nie odstrasza: ma przy tym w spojrzeniu jakąś tkliwą omdłałość, doprawdy bardzo obiecującą. Dodaj do tego, że ja ją polecam; nie pozostaje ci nic, jak tylko podziękować i posłuchać.

List ten dostanie się do twoich rąk jutro rano. Rozkazuję, abyś jutro, o siódmej wieczór, zjawił się u mnie. Nie przyjmę nikogo przed ósmą, nawet mego *panującego* kawalera: on nie ma dosyć głowy na tak ważne przedsięwzięcie. Widzisz, że miłość mnie nie zaślepia. O ósmej zwrócę ci swobodę, o dziesiątej zaś wrócisz, aby wieczerać wraz z pięknym przedmiotem twoich zabiegów: matka i córka będą jutro u mnie. Do widzenia; minęło już południe. Niebawem przestanę się tobą zajmować.

Paryż, 4 sierpnia 17**

¹²wicehrabia — tytuł odnoszący się do rodziny hrabiowskiej, gdzie tytuł hrabiego przypadł najstarszemu członkowi rodu, zaś tytuł wicehrabiego jego synowi; funkcjonował także we Francji jako samodzielny tytuł arystokratyczny, nadawany rodzinom bez tytułu hrabiowskiego.

¹³przysiąż — dziś popr.: przysięgnij.

¹⁴intendentowa — żona intendenta; *intendant*: urząd administracyjny w prowincjach francuskich przed rewolucją.

¹⁵mam zostać kuzynką Gercourta? (...) — aby zrozumieć ten ustęp, trzeba wiedzieć, że hrabia de Gercourt opuścił markizę de Merteuil dla intendentowej ***, która poświęciła dla niego wicehrabiego de Valmont i że wówczas markiza i wicehrabia zbliżyli się do siebie. Ponieważ zdarzenie to sięga znacznie wcześniej niż wypadki, o których mowa w niniejszych listach, przeto autor uważał za stosowne pominąć całą odnośną korespondencję.

¹⁶przednio (daw.) — znakomicie.

¹⁷zabawa — tu: rozrywka, uciecha, żarty.

LIST III

Cecylia Volanges do Zofii Carnay

Niczego jeszcze się nie dowiedziałem, droga. Wczoraj było u mamy dużo gości. Mimo ciekawości, z jaką przypatrywałam się całemu towarzystwu, zwłaszcza panom, wynudziłam się straszliwie. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, przyglądali mi się wytrwale, a potem szeptali sobie do ucha; wiedziałam doskonale, że rozmawiają o mnie: czułam, że się czerwienię, a nie mogłam się powstrzymać. Bardzo zła byłam na siebie, zauważyłam bowiem, że gdy się przyglądano innym kobietom, one się nie czerwieniły. A może to tylko dlatego, że się różują¹⁸, nie widać po nich, gdy są zakłopotane, bo trudno chyba nie zaczerwienić się, kiedy mężczyzna wpatruje się tak natarczywie.

Najwięcej niepokoiło mnie to, że nic nie wiem, co oni sobie wszyscy o mnie myślą. Zdawało mi się jednak, że dosłyszałam parę razy słowo *ładna*, ale na pewno usłyszałam również *niezręczna*; i to z pewnością musi być prawda, gdyż pani, która to mówiła, jest krewną i przyjaciółką matki; zdaje się, że i dla mnie nabrała od razu dużo sympatii. To jedyna osoba, która trochę rozmawiała ze mną w ciągu wieczoru. Jutro mamy być u niej na kolacji.

Słyszałam jeszcze później, jak jakiś pan (jestem pewna, że mówił o mnie), odezwał się do drugiego: „Niechże to jeszcze dojrzej, zobaczymy tej zimy”. Może to on właśnie ma się ze mną żenić, ale to by znaczyło, że dopiero za cztery miesiące! Chciałabym bardzo wiedzieć, jak jest w istocie.

Przyszła właśnie Józefa, aby zabrać list, mówi, że jej pilno. Ale muszę ci opowiedzieć jeden jeszcze przykład mojej niezręczności. Och! Zdaje mi się, że ta pani ma słuszość!

Po kolacji wszyscy zasiedli do gry. Usadawiłam się tuż koło mamy; nie wiem, jak się stało, ale zasnęłam prawie natychmiast. Obudził mnie głośny wybuch śmiechu. Nie wiem, czy ze mnie się śmiano, ale przypuszczam. Mama pozwoliła mi iść do siebie, czym mi zrobiła wielką przyjemność. Wyobraź sobie, było już po jedenastej! Do widzenia, Zosiu droga, kochaj zawsze mocno swoją Ceškę. Zaręczam ci, że *świat* nie jest tak zabawny, jak nam się wydawał w marzeniach.

Paryż, 4 sierpnia 17**

LIST IV

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil w Paryżu

Rozkazy twoje, markizo¹⁹, są czarujące; sposób, w jaki je wydajesz, jeszcze bardziej uroczy: przy tobie, pani, byłbym zdolny pokochać despotyzm. Nie pierwszy to raz, jak ci wiadomo, ubolewam, iż nie jestem już twoim niewolnikiem; mimo nazwy *potwora*, jaką mnie obdarzasz, najmilej zawsze wspominam czasy, kiedy zaszczycłaś mnie bardziej słodkimi imionami²⁰. Często nawet marzę o tym, aby zasłużyć je na nowo i aby już do końca dni wytrwać u twoich stóp, pani, dając całemu światu przykład budującej stałości. Ale ważniejsze przeznaczenia wołają nas w tym życiu; losem naszym jest zdobywać; trzeba iść tedy²¹ drogą, jaką nam pisano. Może kiedyś, na schyłku naszego zawodu, spotkamy się jeszcze; niech mi bowiem wolno będzie powiedzieć bez urazy, pani, śliczna markizo, postępujesz co najmniej równym krokiem ze mną, i od czasu jak, rozłączywszy się ku pożytkowi świata, niesiemy naszą ewangelię²² każde na swoją rękę, zdaje mi się, że w tym posłannictwie miłości, ty więcej ode mnie zdobyłaś już wyznawców. Znam twoje poświęcenie, twą płomienną żarliwość; zaprawdę, gdyby to bóstwo miało nas sądzić po dziełach, ty byłabyś kiedyś patronką dużego miasta, podczas gdy twój przyjaciel i sługa zostałby ledwie pokątnym świętym jakiej mizernej wioseczki. Ten budujący styl musi cię nieco dziwić, markizo, nieprawdaż? Ale od całego tygodnia nie słyszę innego, nie mówię innym; co więcej, aby się w nim doskonalić, zmuszony jestem być ci, pani, nieposłusznym.

¹⁸*różować się* — barwić sobie różem policzki.

¹⁹*markiza* — żona markiza; *markiz*: tytuł arystokratyczny sytuujący w hierarchii społecznej między hrabią a księciem.

²⁰*imiony* — dziś N.lm: imionami.

²¹*tedy* (daw.) — więc.

²²*ewangelia* — dosł. dobra nowina; tu: zestaw zasad a. nauka moralna.

Nie gniewaj się, markizo, i wysłuchaj. Tobie, skarbnicze wszystkich tajemnic mego serca, powierzę największy zamiar, jaki kiedykolwiek urodził się w mej głowie. Do czegoż ty mnie, markizo, chcesz użyć? Bym uwiódł młodą dziewczynę, która nic nie widziała, o niczym nie ma pojęcia; która byłaby mi niejako wydana na łup bez żadnej obrony; którą wprawiliby w upojenie pierwszy hołd spotkany w życiu, a ciekawość poprowadziłaby szybciej jeszcze niż miłość. Dwudziestu mogłoby tutaj dojść do celu nie gorzej ode mnie. Zupełnie inaczej mają się rzeczy w przedsięwzięciu, które mnie zaprzęta: tutaj powodzenie zapewnia mi tyleż chwały, co rozkoszy! Miłość, która gotuje się²³ wieńcem przystroić mą głowę, waha się sama pomiędzy mirtem²⁴ a laurem²⁵ lub raczej połączy oba, aby godnie uczcić zwycięstwo. Ty sama, piękna przyjaciółko, staniesz przejęta świętym podziwem i z zapalem wykrzykniesz: „Oto, zaprawdę, mąż wedle serca mego”²⁶.

Znasz, markizo, prezydentową de Tourvel, jej pobożność, jej miłość małżeńską, surowe zasady. Oto forteca, do której szturm przypuszczam: oto godny mnie nieprzyjaciel, oto cel, który pragnę osiągnąć.

A jeśli chlubnej ceny nie sięgnę zwycięstwa,
Zdobędę bodaj zaszczyt daremnego męstwa.

Można cytować liche wiersze, gdy pochodzą spod pióra wielkiego poety²⁷

Dowiedz się zatem, że prezydent bawi w Burgundii²⁸, dokąd udał się dla ważnego procesu (mam nadzieję, że przyprowadzę go o przegranie jeszcze ważniejszego). Niepocieszona połowica ma zostać tutaj przez cały czas żalosnego wdowieństwa. Codzienna msza, odwiedziny biednych w okolicy, poranna i wieczorna modlitwa, samotne przechadzki, nabożne rozmowy z moją starą ciotką i od czasu do czasu nudna partia wiska²⁹, miały stanowić jedynie jej rozrywki. Tuszę³⁰ sobie, że uda mi się zgotować jej inne, nieco bardziej ożywione. Dobry anioł przywiódł mnie tutaj dla jej i mego szczęścia. Szalony! Żałowałem dwudziestu czterech godzin, które musiałem poświęcić względem rodzinnej powinności. Jakżeż czułbym się ukarany, gdyby mnie kto dziś zmusił do powrotu do Paryża! Na szczęście, potrzeba czterech osób, aby móc grać w wiska; że zaś tu znajduje się pod ręką jedynie miejscowy proboszcz, moja nieśmiertelna ciotka nalegała bardzo, abym jej choć kilka dni poświęcił. Zgadujesz, markizo, że nie dałem się prosić. Nie wyobrażasz sobie, jak pocziwina rozplywa się nade mną od tego czasu, a zwłaszcza, jak jest zbudowana tym, iż regularnie zjawiam się na codziennych modłach i na mszy. Ani podejrzewa, jakiemu bóstwu niosę hołdy.

Oto więc od czterech dni pochłania mnie silna namiętność. Znasz mnie; wiesz zatem, czy umiem żywo pragnąć, czy umiem dawać sobie rady z przeszkodami: ale nie wiesz, jak bardzo osamotnienie wzmacnia gorączkę pragnienia. Żyję wyłącznie tym jednym: myślę o niej we dnie, śnię w nocy. Muszę mieć tę kobietę, aby się ocalić od śmieszności zakochania: dokąd bowiem nie zdoła zaprowadzić niezaspokojone pragnienie? O słodka sytości! Przyzywam cię dla mego szczęścia, a zwłaszcza spokoju. Jakież to szczęście dla nas, że kobiety tak słabo się bronią! Inaczej byłibyśmy wobec nich stadem kornych³¹ niewolników. W tej chwili ogarnęło mnie uczucie głębokiej wdzięczności dla kobiet łatwych, które to uczucie, najprostszą drogą, zawiodło mnie do twoich stóp, markizo. Pochyliam się do nich, aby uzyskać przebaczenie i kończę zbyt długi list: do widzenia, uroczą przyjaciółko, i bez urazy.

Z zamku ***, 5 sierpnia 17**

²³gotować się — tu: przygotowywać się.

²⁴mirt — krzew o wonnych liściach, w judaizmie wykorzystywany jako element świątecznego bukietu.

²⁵laur — wieniec z liści wawrzynu w starożytnej Grecji i Rzymie służący do dekoracji zwycięzców.

²⁶Oto, zaprawdę, mąż wedle serca mego — nawiązane do *Dziejów apostołskich* (Dz 13,22): „Znalazłem Dawida, syna Jessego, męża wedle serca mego, który czynić będzie każdą wolę moją” (przekład Jakuba Wujka).

²⁷A jeśli chlubnej (...) spod pióra wielkiego poety — La Fontaine’a.

²⁸Burgundia — kraina historyczna w środkowej Francji.

²⁹wisk — wist, gra karciana, poprzedniczka brydża.

³⁰tuszyć (daw.) — spodziewać się czegoś, mieć nadzieję; por. *otucha*.

³¹korny — pokorny.

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Czy wiesz, wicehrabio, że twój list silnie przekracza dozwolone granice zuchwalstwa i że miałabym wszelkie prawo obrazić się? Dowiódł mi jednak zarazem, iż straciłeś zupełnie głowę, i to jedno ocaliło cię od mego oburzenia. Jako wspaniałomyślna i tkliwa przyjaciółka, zapominam o mojej zniewadze, aby jedynie myśleć o twoim niebezpieczeństwie; i jakkolwiek nudną jest rzeczą przemawianie do rozsądku, i na to się odważę przez wzgląd, iż snadź³² bardzo tego potrzebujesz.

Ty, zdobywający prezydentową Tourvel! Cóż za kaprys pocieszny! Poznaję twoją wariacką głowę, która umie pragnąć tylko tego, czego uzyskanie zdaje się niepodobieństwem. I co ty widzisz w tej kobiecie? Rysy regularne, jeżeli chcesz, przyznaję, ale bez cienia wyrazu: nieźle zbudowana, ale bez wdzięku, ubrana zawsze wprost śmieszne! Te chusteczki, które opatulają jej piersi, ten biust sięgający aż gdzieś pod brodę! Powiadam ci jako przyjaciółka, wystarczyłoby ci mieć już nie dwie, ale jedną kobietę tego pokroju, by stracić całą reputację. Przypomnij sobie tylko dzień, w którym ona kwestowała w kościele św. Rocha, kiedy tak dziękowałeś mi, że ci dostarczyłam tego widowiska. Zdaje mi się, że ją widzę jeszcze, jak się prowadzi pod rękę z tą swoją długowłosą tyczką, gotowa przewrócić się przy każdym kroku, jak wiecznie zawadza o czyjąś głowę swoim łokciowym robro³³, rumieni się przy każdym ukłonie! Któż by wówczas powiedział, że tobie się zachce kiedyś tej kobiety? Ech, wicehrabio, ty sam zarumień się ze wstydu i opamiętaj zawczasu. Przysięgam ci solenną tajemnicę.

A zresztą, zastanów się nad zawodami, jakie cię czekają! Jakiegoż to rywala wypadnie ci zwalczać? Męża! Czy nie upokarza cię już samo zestawienie? Cóż za hańba, jeżeli poniesiesz klęskę! A na odwrót, w razie zwycięstwa, jakże mało zaszczytu! Więcej powiem: nie spodziewaj się żadnej przyjemności. Czyż można zaznać jej ze skromniami? Mówię oczywiście o szczerych: wstrzemięźliwe nawet w samej godzinie upojenia, zawsze dadzą ci jedynie jakieś pół rozkoszy. To zupełne oddanie całej siebie, ten szal zmysłów, w którym rozkosz oczyszcza się własnym bezmiarem, ta najwyższa łaska miłości, to wszystko jest im zupełnie nieznane. Przepowiadam ci; w przypuszczeniu najszcześniejszej możliwości, twoja prezydentowa będzie mniemała, iż wszystko uczyniła dla ciebie, racząc cię tak, jak raczy swego małżonka: w sam na sam zaś małżeńskim, chociażby najczulszym, zostaje zawsze dwoje, a nie *jedno*. Tutaj rzecz ma się jeszcze o wiele gorzej: twoja skromnisa jest nabożna i to tą nabożnością kumoszek³⁴, która skazuje kobietę na wieczyste dzieciństwo. Może uda ci się nagiąć tę zaporę, lecz nie pochlebiaj sobie, byś zdołał ją zniweczyć: zwyciężysz może miłość Boga, lecz nie obawę przed diabłem; i skoro, trzymając kochankę w ramionach, uczujesz, iż serce jej bije, będzie ono biło ze strachu, a nie z miłości. Może gdybyś poznał tę kobietę wcześniej, byłbyś może coś z niej zrobił; ale dziś ta lala ma dwadzieścia dwa lata, a już blisko dwa lata, jak wyszła za mąż. Wierź mi, wicehrabio, gdy kobieta *zapuści* się do tego stopnia, trzeba ją zdać już losowi; na zawsze zostanie tylko kwoczką.

I dla tego to uroczego przedmiotu odmawiasz mi posłuszeństwa, zakopujesz się żywcem w grobowcu swej ciotki i wyrzekasz się przygody najrozkoszniejszej w świecie i najbardziej stworzonej, aby przysporzyć ci chwały? Cóż za fatalność chce, aby ten Gerco-urt zawsze miał jakieś pierwszeństwo przed tobą? Słuchaj, mówię bez gniewu: ale w tej chwili skłonna byłabym doprawdy uwierzyć, że nie wart jesteś swojej reputacji, przede wszystkim zaś jestem skłonna odebrać ci moje zaufanie. Nie umiałabym zwierzać swoich tajemnic kochankowi pani de Tourvel.

Dowiedz się zresztą, że mała Volanges zdążyła już zawrócić komuś głowę. Młody Danceny szaleje za nią. Śpiewali kiedyś razem: w istocie ta gąska śpiewa o wiele lepiej, niżby przystało wychowanicy klasztoru. Mają przechodzić z sobą różne duety i sądzę, że, co do niej, chętnie byłaby gotowa dostroić się do unisona³⁵: ale ten Danceny to dzieciak, który straci cały drogi czas na gruchaniu i do niczego nie dojdzie. Osóbka jest, ze swej strony,

³²snadź (daw.) — zapewne, prawdopodobnie, widocznie.

³³robion — suknia o sztywnej spódnicy, z przodu spłaszczonej, z tyłu wydłużonej.

³⁴kumoszka — wścibska, gadatliwa kobieta.

³⁵unisono — wykonywanie melodii przez różne głosy lub instrumenty w dźwiękach identycznej wysokości.

dosyć dzika i gdyby nawet coś się stało, będzie to z pewnością o wiele mniej zabawne, niż gdybyś ty się chciał tym zająć: toteż wściekła jestem i z pewnością zrobię scenę kawalerowi, skoro się tu pojawi. Radzę mu, aby był potulny; w tej chwili bowiem nic by mnie nie kosztowało zerwać z nim na dobre. Jestem pewna, że gdyby mi przyszło do głowy teraz go porzucić, byłby w prawdziwej desperacji; a nic mnie tak nie bawi, jak te miłosne rozpaczki; z pewnością nazwałby mnie „przewrotną”. To słowo „przewrotna” zawsze robiło mi przyjemność; jest to po słowie „okrutna” najsłodsza nazwa dla ucha kobiety, a mniej ciężko przychodzi na nią zapracować. Doprawdy, muszę zastanowić się poważnie nad tym zerwaniem. No i sam widzisz, czego stałeś się przyczyną! Niechaj to spadnie na twoje sumienie. Do widzenia. Chciej mnie polecić modłom prezydentowej.

Paryż, 7 sierpnia 17**

LIST VI

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Czyż więc nie ma na świecie kobiety, która by nie nadużywała władzy, jaką zdobędzie? Więc i ty, ty, którą nazywałem tak często najpobłażliwszą przyjaciółką, i ty zrzucasz się z roli i nie wzdrgasz się ranić mnie tak dotkliwie w przedmiocie mych uczuć! Jakimiż to rysami ośmielasz się malować panią de Tourvel!... Któryż mężczyzna życiem by nie przypłacił tego bezprzykładnego zuchwalstwa? Na którą inną kobietę nie ściągnęłoby to przynajmniej bolesnego odwetu? Przez litość, nie wystawiaj mnie na tak ciężkie próby; nie rękę, czy zdołałbym je przetrzymać. W imię przyjaźni, zaczekaj, aż będę miał tę kobietę, jeżeli chcesz ją zohydzać. Czyż nie wiesz, że jedynie rozkosz ma prawo zdejmować z oczu przepaskę miłości?

Ale co ja mówię? Czyż pani de Tourvel potrzebuje uciekać się do pomocy złudzeń? Nie: aby być godną uwielbienia, wystarczy jej być sobą. Zarzucasz jej, że się źle ubiera; chętnie wierzę: wszelkie ubranie jej szkodzi, wszystko, co ją zakrywa, ujmuje jej wdzięku. Dopiero w swobodnej prostocie domowego stroju staje się naprawdę czarująca. Dzięki straszliwym upałom, jakie nam tutaj dokuczają, prosty szlafroczek ze zwykłego płótna pozwala mi podziwiać jej krągłą i gibką kibić³⁶. Cieniutki muślin³⁷ zaledwie przysłania piersi: spojrzenia moje, przelotne, lecz bystre, zdołały już ogarnąć ich niezrównane kształty. Twarz, powiadasz, nie ma wyrazu. I cóż miałyby wyrażać w chwili, gdy nic nie przemawia do jej serca? Nie, to pewna, nie spotkasz u niej, jak u naszych zalotniś, owego kłamliwego spojrzenia, które czaruje nas niekiedy, a zwodzi zawsze. Ona nie umie podrywać pustki zdawkowych wyrazów za pomocą wyuczonego uśmiechu: jakkolwiek posiada ząbki najładniejsze w świecie, śmieje się tylko z tego, co ją bawi. Ale trzeba też widzieć w czasie najniewinniejszej igraszki, ile w jej twarzy odbija się naiwnej i szczerzej wesołości! Jak, wobec nieszczęśliwego, któremu śpieszy skwapliwie z pomocą, spojrzenie jej zwiastuje czystą radość i dobroć tak pełną współczucia! Trzeba widzieć przede wszystkim, jak przy najmniejszym słowie pochwały lub przymilenia maluje się na jej niebiańskiej twarzy cudowne zakłopotanie bynajmniej niepodrabianej skromności!... Jest skromna i nabożna, stąd wnosisz, iż musi być zimną i bezduszną? Ja myślę zupełnie inaczej. Jakież zdumiewające dary tkliwości trzeba posiadać, aby je przelewać aż na własnego męża i kochać stale przedmiot stale nieobecny? Jakiegoż silniejszego dowodu mogłabyś jeszcze pragnąć? A jednak umiałem postarać się o jeszcze inny.

Pokierowałem wspólną przechadzką w ten sposób, że trzeba nam było wszystkim przebyć dość głęboki rów; pani zaś de Tourvel, jakkolwiek bardzo zręczna, jest jeszcze bardziej bojaźliwa: pojmujesz, że jako skromnisia lęka się każdego fałszywego kroku! Trzeba się było zatem powierzyć mej pomocy, i oto wcielenie skromności znalazło się w mych objęciach. Nasze przygotowania i przeprawa starej ciotki pobudziły do głośnego śmiechu rozbawioną prezydentową; skoro zaś ją z kolei uniosłem w górę, ramiona nasze, dzięki mej zręcznej niezaradności, oplótły się wzajem. Przycisnąłem ją do piersi i w ciągu tej króciutkiej chwili uczulem, że jej serce bije żywszym tętnem. Powabny rumieniec okraślił twarzyczkę; pełne skromności zakłopotanie przekonało mnie dostatecznie, że *serce jej zabiło z miłości, a nie ze strachu*. Ciotka popełniła tę samą omyłkę co i ty, markizo,

Miłość, Rozkosz, Przyjaźń,
Rozczarowanie

³⁶kibić — część tułowia od ramion do bioder; talia.

³⁷muślin — przezroczysta, cienka tkanina.

i rzekła: „Przestraszyła się dziecina”; lecz cudowna prostota *dzieciny* nie pozwoliła jej na kłamstwo, toteż odparła naiwnie: „Och, nie, tylko...”. To jedno słowo oświeciło mnie. Od tej chwili słodka nadzieja zajęła miejsce okrutnego niepokoju. Będę miał tę kobietę: odbiorę ją mężowi, który nie jest jej godzien, ośmielę się ją wydrzeć nawet Bogu, którego uwielbia. Cóż za rozkosz być koleino powodem i zwycięzcą jej wyrzutów! Daleki jestem od myśli niszczenia przesądów, które ją pętają! One to właśnie przysporzą mi szczęścia i chwały zarazem. Niech wierzy w cnotę, lecz niech ją dla mnie poświęci; niech z przerażeniem patrzy na własny upadek, niezdolna zatrzymać się w drodze, i niechaj miotana nieustannymi wyrzutami nie umie zapomnieć o nich, ani ukryć się przed nimi inaczej niż w moich ramionach. Wówczas niechaj mi powie: „Ubóstwiam cię”; zgoda na to; ona jedna ze wszystkich kobiet będzie godna wymówić to słowo. Będę w istocie Bogiem, którego uwielbiła ponad wszystko.

Bądźmy szczerzy; w stosunkach naszego świata, zarówno chłodnych, jak łatwych, to, co nazywamy szczęściem, wszak jest zaledwie przyjemnością. Mam ci się przyznać, markizo? Byłem pewny, iż serce moje zwiedło już zupełnie; nie znajdując w sobie nic jak tylko zmysły, ubolewałem nad swą przedwczesną zgrzybiałością. Pani de Tourvel wróciła mi czarowne złudzenia młodości. Przy niej nie trzeba mi nawet posiadania, abym się czuł szczęśliwy. Jedyna rzecz, która mnie przeraża, to czas, jaki zajmie cała ta przygoda; nie ważyłbym się bowiem nic zdawać na los przypadku. Na próżno przywodzę sobie na pamięć moje tryumfalne zuchwalstwa; nie mogę się zdecydować na tę drogę. Abym się czuł zupełnie szczęśliwy, ona musi mi się *oddać*; a to nie jest lada jaka sprawa.

Pewien jestem, markizo, że podziwiałabyś moją ostrożność. Nie wymówiłem jeszcze słowa *miłość*; ale już zdołaliśmy dotrzeć do *zaufania i sympatii*. Aby ją okłamywać najmniej, jak można, a zwłaszcza, aby uprzedzić plotki, które mogłyby dojść do jej uszów, sam, niby to obwiniając się, opowiedziałem parę swoich najbardziej głośnych figielków. Uśmiełabyś się, słysząc, z jaką prostodusznością ona prawi mi kazania. Pragnie, powiada, nawrócić mnie. Ani jej w głowie świta, ile ją będzie kosztowała ta próba. Daleką jest od przypuszczenia, że *przemawiając* (to jej styl) *imieniem nieszczęśnych, które ja zgubiłem*, ujmuje się z góry za własną sprawą. Ta myśl nasunęła mi się wczoraj w ciągu jej kazania: nie mogłem odmówić sobie przyjemności przerwania jej zapewnieniem, iż mówi jak prorok. Do widzenia, uroczą przyjaciółko. Widzisz więc, że nie jestem jeszcze zgubiony bez ratunku.

PS Ale, ale, czy biedny kawaler nie odebrał sobie życia z rozpaczy? Doprawdy, markizo, ty masz w sobie sto razy więcej szelmstwa ode mnie i gdybym posiadał nieco miłości własnej, czułbym się głęboko upokorzony.

Zamek ***, 9 sierpnia 17**

LIST VII

Cecylia Volanges do Zofii Carnay³⁸

Jeżeli dotąd nie pisałam nic o moim małżeństwie, to dlatego, że ani na jotę³⁹ więcej nie wiem niżli pierwszego dnia. Przyzwyczajam się nie myśleć o tym i czuję się wcale dobrze. Pracuję dużo nad śpiewem i harfą; mam uczucie, że bardziej je polubiłam od czasu, jak nie mam już nauczyciela, lub raczej odkąd dostałam o wiele lepszego i miłszego. Kawaler Danceny, ten pan, o którym ci mówiłam, że śpiewałam z nim u pani de Merteuil, jest tak uprzejmy, że przychodzi do nas codziennie i śpiewa ze mną całymi godzinami. Bardzo jest miły. Śpiewa jak anioł i układa prześliczne melodie, do których sam pisze słowa. Wielka szkoda, że on jest kawalerem maltańskim⁴⁰! Myślę, że gdyby się ożenił, żona jego byłaby bardzo szczęśliwa... Ma w sobie jakąś czarującą słodycz. Nigdy nie ma się wrażenia, aby prawil komplementy, a mimo to wszystko, co mówi, gładzi po sercu tak mile. Ciągłe

³⁸Cecylia Volanges do Zofii Carnay — aby nie nadużywać cierpliwości czytelnika, autor pomija wiele listów w tej codziennej korespondencji; podaje jedynie te, które wydały mu się potrzebne do zrozumienia biegu wypadków. Z tego samego powodu pomija również wszystkie listy Zofii Carnay i wiele listów innych osób biorących udział w tych wydarzeniach.

³⁹ani na jotę — wcale, ani trochę.

⁴⁰kawaler maltański — członek Suwerennego Rycerskiego Zakonu Szpitalników Św. Jana, z Jerozolimy, z Rodos i z Malty, zwanego potocznie kawalerami maltańskimi lub joannitami.

mnie za coś łaje, za muzykę, jak i za inne rzeczy: ale umie włożyć w każdą naganę tyle przymilenia i humoru, że niepodobna go nie polubić. Wystarczy, żeby na ciebie popatrzył, a już masz wrażenie, że chce ci powiedzieć coś bardzo przyjemnego. A przy tym jest ogromnie grzeczny. Na przykład wczoraj: był proszony na jakiś wielki koncert, a przecież wolał zostać cały wieczór u mamy. Bardzo się ucieszyłam, bo kiedy jego nie ma, nikt się do mnie nie odzywa i nudzę się: kiedy on jest, cały czas śpiewamy i rozmawiamy z sobą. Zawsze ma mi coś do powiedzenia. On i pani de Merteuil to jedyne dwie sympatyczne osoby. Ale teraz, bądź zdrowa, droga; przyrzekłam, że wyuczę się na dziś aryjki z bardzo trudnym akompaniamentem, a nie chciałam nie dotrzymać. Posiedzę nad tym, dopóki on nie przyjdzie.

7 sierpnia 17**

LIST VIII

Prezydentowa de Tourvel do pani de Volanges

Trudno mi wyrazić pani, jak bardzo jestem wdzięczna za dowód ufności, którym mnie zaszczytasz, i jak żywo mnie obchodzi zamęcie⁴¹ panny de Volanges. Z całej duszy, z całego serca życzę jej szczęścia, którego jest godna. Nie znam hrabiego de Gercourt; ale, skoro na niego padł tak zaszczytny wybór, mogę mieć o nim jedynie najlepsze wyobrażenie. Poprzestaję, pani, na życzeniu, aby to małżeństwo uwieńczone było równie pomyślnym skutkiem jak moje, które również jest twoim dziełem i za które każdy dzień pomnaża mą wdzięczność. Oby szczęście twej córki, pani, stało się nagrodą za to, które ja otrzymałam z twej ręki; oby najlepsza z przyjaciółek mogła być i najszczęśliwszą z matek!

Szczerze żartowiona jestem, że nie mogę osobiście złożyć ci, pani, tych życzeń, a zarazem, czego bym bardzo pragnęła, zapoznać się z panną de Volanges. Doznawszy od ciebie tyle prawdziwie macierzyńskiej dobroci, mam prawo spodziewać się, że znajdę u niej tkliwą przyjaźń siostry, na którą będę się starała zasłużyć.

Przypuszczam, iż zostanę na wsi przez cały czas nieobecności pana de Tourvel. Skorzystałam z tego czasu, aby się nacieszyć towarzystwem czcigodnej pani de Rosemonde. Czarująca to zawsze osoba: sędziwy wiek nie odebrał jej nic z dawnego uroku: zachowała całą wesołość i żywotę umysłu. Ciało jej jedynie liczy osiemdziesiąt cztery lata; duch nie więcej niż dwadzieścia.

Samotność naszą ożywiło nieco przybycie siostrzeńca pani de Rosemonde, wicehrabiego de Valmont, który ma zamiar pozostać tu kilka dni. Znałam go jedynie z rozgłosu, który niezbyt zachęcał do bliższego poznania; zdaje mi się jednak, że pan de Valmont więcej jest wart od swej reputacji. Tutaj, gdzie wir światowych uciech nie wie dzie go na pokuszenie, bardzo trzeźwo patrzy na siebie i z rzadką prostotą przyznaje się do błędów. Rozmawia ze mną nieraz nader rozsądnie, a ja roztrząsam mu sumienie i to bardzo surowo. Pani, która go znasz, przyznasz łatwo, iż nawrócenie takiego człowieka byłoby pięknym dziełem: nie wątpię jednak, że mimo wszystkich obietnic poprawy tydzień pobytu w Paryżu wystarczy, aby zapomniał o moich kazaniach. Przynajmniej ten czas, który tu spędzi, będzie stanowił przerwę w jego zwykłym trybie życia, co wyjdzie tylko na korzyść, jeżeli nie jemu, to innym. Pan de Valmont wie, że piszę w tej chwili do pani, i prosi, abym jej przedłożyła wyrazy najgłębszego szacunku. Chciej przyjąć również i moje, z ową dobrocią, która ci jest właściwa, i racz nie wątpić nigdy o najszczerzych uczuciach, z jakimi mam zaszczyt etc.⁴²

Z zamku ***, 9 sierpnia 17**

LIST IX

Pani de Volanges do prezydentowej de Tourvel

Nie wątpiłam nigdy, młoda i piękna przyjaciółko, ani o twej przyjaźni, ani o szczerym udziale we wszystkim, co mnie dotyczy. Nie po to też, aby poruszać tę materię, która, sądzę, na zawsze jest ustalona, odpowiadam jeszcze na twą *Odpowiedź*; ale nie mogę pominąć sposobności pomówienia z tobą kilku słów odnośnie wicehrabiego de Valmont.

⁴¹zamęcie — dziś popr.: zamąpójście

⁴²etc. — skrót od *et caetera* (łac.): dosł. i inne; i tak dalej.

Wyznaję, iż nie przypuszczałam, abym się miała spotkać kiedykolwiek z tym imieniem w twoich listach. Zaprawdę, cóż może istnieć wspólnego pomiędzy nim a tobą? Nie znasz tego człowieka; i skąd mogłabyś mieć pojęcie o wizerunku duszy rozpustnika? Mówisz mi o jego *rzadkiej prostocie*: och! tak; prostota pana de Valmont musi być w istocie dość rzadka. W jeszcze wyższym stopniu fałszywy i niebezpieczny niżeli gładki i pełen powabu, nigdy, od najwcześniejszej młodości, nie uczynił jednego kroku, nie powiedział jednego słowa bez jakiegoś zamiaru, nigdy zaś nie powziął zamiaru, który by nie był nieuczciwym lub zbrodniczym. Znasz mnie, droga przyjaciółko; wiesz, że ze wszystkich cnót, jakie staram się sobie przyswoić, najwyżej cenię pobłażliwość. Toteż, gdyby Valmont działał uniesiony porywem namiętności, gdyby, jak tylu innych, dał się pociągnąć błędom swego wieku, wówczas potępiając uczynki, zachowałabym współczucie dla jego osoby i czekałabym w milczeniu, czy nie przyjdzie czas, w którym szczęśliwe opamiętanie wróci mu szacunek uczciwych ludzi. Ale w Valmoncie nie ma tego wszystkiego: postępowanie jego jest wynikiem zasad. Umie on doskonale obliczyć, na ile bezceństwa może pozwolić sobie mężczyzna, nie gubiąc się w oczach świata; toteż aby bezkarnie dać folgę swej złości i okrucieństwu, obrał sobie kobiety na ofiary. Nie próbuję nawet policzyć tych, które uwiódł: ale ile zgubił po prostu?

Przy cichym i bogobojnym życiu, jakie prowadzisz, nie docierają do ciebie wieści o owych gorszących przygodach. Mogłabym opowiedzieć niejedną, która by ci zadrzeć kazała ze zgrozy; ale spojrzenia twoje, czyste jak twoja dusza, zbrukałyby się od takich obrazów; spokojna, że Valmont nigdy nie będzie niebezpiecznym dla ciebie, nie potrzebujesz takiego pancerza, aby się obronić. To jeszcze mogę ci powiedzieć, że ze wszystkich kobiet, które miały nieszczęście stać się celem jego zabiegów, uwieńczonych powodzeniem czy nie, każdej przyszło gorzko opłakiwać tę niebezpieczną znajomość. Jedyna markiza de Merteuil stanowi wyjątek w ogólnym prawidle: ona jedna umiała mu się oprzeć, a zarazem nałożyć hamulec jego niegodziwości. Wyznaję, że ten rys życia najwięcej jej przynosi zaszczytu w mych oczach; to jedno wystarczyłoby już, aby w oczach świata w całej pełni okupić parę lekkomyślności, jakie miano jej do zarzucenia w początkach wdowieństwa⁴³.

Jak bądź się rzeczy mają, moja uroczą przyjaciółko, z prawa wieku, doświadczenia, a przede wszystkim przyjaźni, na jedno muszę ci zwrócić uwagę; mianowicie, że w Paryżu zdołano już zauważyć nieobecność Valmonta. Jeżeli się rozgłosi, iż spędził czas w wyłącznym towarzystwie ciotki i twoim, twoja dobra sława znajdzie się w jego rękach: największe nieszczęście, jakie może się zdarzyć kobiecie. Radzę ci więc, uproś ciotkę, aby nie zatrzymywała go dłużej: gdyby się opierał, sądzę, iż powinnaś bez wahania ustąpić mu miejsca. Ale czemuż miałby tam siedzieć? Po co mu się zakopywać na wsi? Gdybyś kazała śledzić jego kroki, odkryłabyś z pewnością, że dom ciotki obrał jedynie jako wygodne schronienie dla jakiejś miłości w okolicy. Ale gdy nie w naszej mocy zapobiec złemu, poprzestańmy na tym, aby ubezpieczyć bodaj samych siebie.

Do widzenia, droga przyjaciółko; małżeństwo córki opóźnia się nieco. Hrabia de Gercourt, którego oczekiwaliśmy z dnia na dzień, donosi, że pułk jego wysłano na Korsykę⁴⁴; że zaś trwają tam jeszcze rozruchy wojenne, niepodobieństwem mu będzie uwolnić się przed zimą. Bardzo mi to nie w smak; ale w zamian pocieszam się nadzieją, że będziemy miały przyjemność ujżenia cię na uroczystościach weselnych; przykro mi było, iż miały się odbyć bez ciebie. Do widzenia; masz we mnie, bez czczych zapewnień, zawsze oddaną przyjaciółkę.

PS Chciej mnie przypomnieć pamięci pani de Rosemonde, którą kocham tak, jak na to zasługuje.

Paryż, 11 sierpnia 17**

LIST X

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Czy dąsaszy się na mnie wicehrabio? Czy może zmarłeś? Albo też, co niemal na jedno wychodzi, żyjesz jedynie dla swej prezydentowej? Ta kobieta, która ci wróciła *złudzenia*

⁴³Jedyna markiza de Merteuil stanowi wyjątek (...) — błąd, w jakim pozostaje pani de Volanges, świadczy nam, że podobnie jak inni zbrodniarze Valmont umiał nie wydawać swoich współników.

⁴⁴Korsyka — wyspa na Morzu Śródziemnym, od 1768 w granicach Francji.

młodości, wróci ci wkrótce również i śmieszne jej uprzedzenia. Oto już czujesz się nieśmiałym niewolnikiem; lepiej przyznaj od razu, iż jesteś po prostu zakochany. Wahasz się uciec do *szczęśliwego zuchwalstwa*. W ten sposób właśnie postępujesz sobie zupełnie bez zasad, zdając wszystko na los przypadku, a raczej kaprysu. Czyżbyś już nie pamiętał, że miłość jest jak medycyna *jedynie sztuką pomagania przyrodzie*? Widzisz, że cię pobijam własną bronią; nie wzrastam zbyt w pychę z tej przyczyny, boć to najłatwiejszy sposób pobicia mężczyzny na głowę. *Musi ci się oddać*, powiadasz: no, dobrze, musi, to pewna, toteż odda się jak inne, z tą różnicą, że zrobi to niezgrabnie i bez wdzięku. Ale, żeby skończyła na *oddaniu*, najlepszy sposób jest zacząć od *wzięcia*. Jakimż prawdziwym dzieciństwem miłości jest to śmieszne odróżnienie! Mówię *miłości*, bo ty jesteś zakochany, wicehrabio. Mówić inaczej, znaczyłoby oszukiwać cię, znaczyłoby ukrywać przed tobą twą chorobę. Powiedz mi więc, omdlewający kochanku: te kobiety, które w życiu miałeś, czy ty myślisz w istocie, że je zgwałciłeś? Ależ choćby która z nas i największą miała ochotę oddać się komu, choćby nam nawet nie wiem jak było do tego pilno, i tak przecież trzeba jakiegoś pozorów; a czyż może istnieć wygodniejszy niż ten, który pozwala odgrywać rolę słabej istoty ulegającej sile? Co do mnie, przyznam się, iż w kampanii miłosnej najwyższą cenę żywy i dobrze przeprowadzony atak, w którym wszystko postępuje po sobie w porządku, jakkolwiek z szybkością; który nie zostawia nas nigdy w tym kłopotliwym położeniu, abyśmy same musiały naprawiać niezręczność nieprzyjaciela; atak, który pozwala zachować pozory poddania się przemocy w tym nawet, na co same się godzimy, i z ręcznie głaska dwie nasze uprzywilejowane słabości: chwałę obrony i przyjemność porażki. Wyznaję, ten talent, rzadszy o wiele, niżby można mniemać, zawsze zyskiwał moje uznanie i nieraz zdarzyło mi się ulec, jedynie aby uwiecznić męstwo zasłużoną nagrodą.

Ale ty, ty, który nie jesteś już sobą, ty postępujesz już tak, jakbyś obawiał się zwycięstwa. Ech! Odkądże ty podróżujesz w ten sposób, popasając co chwilę, bocznymi drózkami? Mój przyjacielu, gdy chcesz dojechać do kresu, bierz konie pocztowe i jazda! Gościńcem! Ale zostawmy ten przedmiot, który drażni mnie tym więcej, że pozbawia mnie przyjemności ujrzenia cię rychło. Przynajmniej pisuj częściej i donoś o wszystkim w miarę postępów. Czy wiesz, że już przeszło dwa tygodnie pochłania cię ta śmieszna miłośćka i że zdołałeś przez ten czas zaniedbać wszystkie inne obowiązki?

Ale, ale, gdy mowa o zaniedbaniu: przypominasz mi, wicehrabio, ludzi, którzy zasięgają regularnie wiadomości o chorych przyjaciółach, lecz nigdy nie są ciekawi odpowiedzi. Kończysz ostatni list zapytaniem, czy kawaler nie rozstał się ze światem. Ja nie odpowiadam, a ty przestajesz się o to troszczyć. Czyż zapomniałeś, że mój kochanek jest, już z urzędu, twoim najserdeczniejszym przyjacielem? Ale uspokój się: nie umarł; lub gdyby mu się to miało przytrafić, to chyba z nadmiaru szczęścia. Biedaczek mój, jakież on tkliwy! Cóż to za urodzony kochanek! Jak on umie żywo czuć i wyrażać uczucia! W głowie mi się kręci na samo wspomnienie. Doprawdy, nieopisane szczęście, jakie on znajduje w przekonaniu o mej miłości, gotowe mnie jeszcze do niego przywiązać.

Tego samego dnia, w którym, jak ci pisałam, obudziła się we mnie chętka zerwania z kawalerem, ileż szczęścia czekało go jeszcze! A przecież w chwili, gdy mi go oznajmiono, rozmyślałam zupełnie poważnie nad środkami doprowadzenia go do rozpacz. Nie wiem, kaprys czy inna przyczyna, ale nigdy nie wydał mi się tak pełnym powabu. Mimo to, przyjęłam go kwaśno. Liczył, że spędzi ze mną jakie dwie godziny, zanim drzwi otworzą się dla wszystkich. Powiedziałam, że wychodzę; zapytał dokąd: odmówiłam odpowiedzi. Zaczął nalegać; *tam, gdzie pana nie będzie*, odparłam opryskliwie. Szczęściem dla siebie, stanął jak skamieniały po tej replice; to pewna, gdyby był wyrzekł jedno słowo, wybuchłaby niechybnie scena i skończyłoby się zerwaniem. Zdziwiona tym milczeniem, zwróciłam na niego oczy bez innego zamiaru, przysięgam, wicehrabio, jak tylko, aby zobaczyć jego minę. Spostrzegłam na tej prześlicznej twarzy ten smutek zarazem głęboki a tkliwy, któremu, sam przyznałeś, trudno w istocie się oprzeć. Ta sama przyczyna wywołała ten sam skutek: uczułam się zwyciężoną po raz drugi. Od tej chwili poczęłam jedynie myśleć nad sposobem oczyszczenia się w jego oczach z wszelkiej winy. „Wychodzę w pewnej sprawie — rzekłam nieco łagodniej — w sprawie dotyczącej nawet i pana; ale nie pytaj o nic. Będę wieszczę w domu, przyjdź, a dowiesz się wszystkiego”. Wtedy

dopiero odzyskał mowę, ale nie pozwoliłam mu mówić. „Śpieszę się bardzo — rzekłam. — Zostaw mnie; do zobaczenia”. Pocałował mnie w rękę i wyszedł.

Aby mu powetować to rozstanie, może aby powetować je samej sobie, wpadam na myśl zapoznania go z moim domkiem, o którego istnieniu nie miał pojęcia. Dzwonię na wierną Wiktorię. Dostaję migreny⁴⁵, każę oznajmić wszystkim, że kładę się do łóżka; zostawszy wreszcie sama z moją powiernicą⁴⁶, stroję się za pannę służącą, podczas gdy ona przebiera się za lokaja. Następnie Wiktoria sprowadza dorożkę do bramy ogrodowej i pomykamy w drogę. Przybywszy do świątyni miłości, wyszukuję negliżyk najpowabniejszy, jaki posiadam, po prostu rozkoszny: najzupełniej własnego pomysłu: nie pozwala nic oglądać, a wszystkiego każe się domyślać. Przyrzekam ci przesłać wzór dla prezydentowej, skoro ją już uczynisz godną takiego ryszunka.

Po tych przygotowaniach, podczas gdy Wiktoria zajmuje się resztą, odczytuję jeden rozdział *Sofy*⁴⁷, jeden list Heloizy⁴⁸ i dwie powiastki La Fontaine'a⁴⁹, aby dostroić rozmaite struny, jakie zamierzam potrącić. Tymczasem kawaler zjawia się u mnie, jak zawsze niecierpliwy. Szwajcar⁵⁰ odprawia go, oznajmiając, iż jestem niezdrowa: pierwsza niespodzianka. Równocześnie oddaje bilecik ode mnie, ale nie przeze mnie pisany, zgodnie z mą roztropną zasadą. Kawaler otwiera i widzi, ręką Wiktorii: „Punkt o dziewiątej, na bulwarze, naprzeciw kawiarni”. Udaje się na wskazane miejsce; tam lokajczyk, którego rolę odgrywa wciąż ta sama Wiktoria, każe mu odprawić powóz i podążyć za sobą. Cały ów romantyczny aparat miał ten skutek, iż rozpałił głowę mego kawalera, rozpalona zaś głowa ma zawsze swoje zalety. Przybywa wreszcie oszołomiony zdumieniem i miłością. Aby mu pozwolić przyjść nieco do siebie, przeprowadzam go przez chwilę po ogrodzie, następnie zaś kieruję ku domowi. Widzi stolik i dwa nakrycia; następnie posłane łóżko. Przechodzimy do przystrojonego odświętnie buduaru⁵¹. Tam, na wpół z rozmysłu, na wpół ze szczerzego serca, otoczyłam go ramionami i osunęłam mu się do kolan. „O mój najdroższy — rzekłam — aby ci zgotować niespodziankę tej chwili, popełniłam tę zbrodnię, iż udanym gniewem przyprowadziłam cię o zmartwienie i na chwilę pozbawiłam twe źrenice widoku ukochanej. Przebac mi winy, a okupię je potęgą miłości”. Możesz sobie wyobrazić skutek tej sentymentalnej przemowy. Kawaler, uszczęśliwiony, podniósł mnie co żywo i rozgrzeszenie moje zostało przypieczątowane na tej samej otomance⁵², na której ty i ja pieczętowaliśmy tak wesoło i w ten sam sposób wieczyste zerwanie.

Ponieważ mieliśmy przed sobą całe sześć godzin, a postanowiłam sobie, iż czas ten upłynie mu w sposób niezmaczenie rozkoszny, powściągnęłam tedy jego uniesienia. Powabna zalotność zajęła miejsce gorętszej czułości. Nigdy jeszcze nie dołożyłam tylu starań, aby się komuś podobać, nigdy też nie byłam równie zadowolona z siebie. Po kolacji, na przemian dziecinna i pełna rozsądku, swawolna i tkliwa, niekiedy nawet nieco wyuzdana, starałam się obchodzić z lubym niby z sułtanem zasiadającym pośród swego seraju⁵³, w którym ja grałam kolejno rolę rozmaitych faworytek⁵⁴. W istocie jego wielokrotne hołdy, jakkolwiek wciąż przyjmowała je ta sama kobieta, skłaniały się do stóp coraz to nowej kochanki.

Wreszcie o brzasku trzeba się było rozłączyć; co bądź kawaler powiadał, czynił nawet, aby temu przeczyć, rozstanie to było dlań równie potrzebne jak bolesne. Gdy nadeszła chwila ostatniego pożegnania, wzięłam klucz błogosławionego ustronia⁵⁵ i wręczając mu go, rzekłam: „Zgotowałam je tylko dla ciebie, słusznym jest, abyś był jego panem: rzecz Ofiarnika⁵⁶ jest rozporządzać Świątynią”. W ten sposób zręcznie uprzedziłam podejrzenia,

⁴⁵*migrena* — powtarzający się, najczęściej jednostronny, pulsujący, silny ból głowy.

⁴⁶*powiernica* — osoba obdarzana zaufaniem, której powierza się tajemnice.

⁴⁷*Sofa* — romans Crébillona syna, treści niezmiernie swobodnej.

⁴⁸*Nowa Heloiza* — powieść w listach z 1761, autorstwa Jeana Jacques'a Rousseau, opisująca nieszczęśliwą miłość skromnego nauczyciela i jego arystokratycznej uczennicy, zaliczana do nurtu sentymentalizmu.

⁴⁹*Jean de La Fontaine* (1621-1695) — jeden z czołowych pisarzy klasycyzmu francuskiego, autor około 250 bajek.

⁵⁰*szwajcar* — portier; odźwierny.

⁵¹*buduar* — pokój pani domu przeznaczony do odpoczynku.

⁵²*otomana* — rodzaj niskiej kanapy z wałkami po bokach zamiast poręczy i miękkim oparciem.

⁵³*seraj* — pałac władcy w krajach muzułmańskich; seraj w Istambule był siedzibą sułtanów tureckich.

⁵⁴*faworyta* — kochanka osoby wysoko postawionej.

⁵⁵*ustronie* — miejsce położone na uboczu, z dala od ludzkich siedzib.

⁵⁶*ofiarnik* — daw. kapłan składający ofiarę.

jakie mogłoby mu nasunąć to zagadkowe nieco posiadanie ustronnego domku. Znam kawalera i nie lękam się, by mi do sanktuarium wprowadził inną kobietę; gdyby mnie zaś przyszła fantazja zagościć tam bez niego, zostaje mi zawsze drugi klucz w odwodzie. Chciał za wszelką cenę umówić dzień następnej schadzki; ale za wiele mi wart jeszcze mój kawaler, abym go chciała zużywać tak szybko. Można sobie pozwolić na takie wybryki jedynie z kimś, kogo się ma zamiar niebawem porzucić. On tego nie wie, biedaczek, na szczęście ja wiem za nas oboje.

Widzę, że już trzecia rano i że napisałam cały tom, usiadłszy z zamiarem skreślenia paru słówek. Oto co może czar przyjacielskiej ufności: ona też sprawia, że ty mi jesteś zawsze najdroższym ze wszystkich; ale jeśli mam wyznać prawdę, milszym jest mi dzisiaj mój kawaler.

12 sierpnia 17**

LIST XI

Prezydentowa de Tourvel do pani de Volanges

Surowy twój list, szanowna przyjaciółko, przeraziłby mnie z pewnością, gdybym, na szczęście, nie znajdowała tutaj więcej rękojmi⁵⁷ bezpieczeństwa, niż ty mi kreślisz, pani, przyczyn do obawy. Ów groźny pan de Valmont, który ma być postrachem kobiet, odłożył, zdaje się, swe mordercze bronie, zanim przestąpił mury tego zamku. Daleki od snucia jakich bądź zamysłów, wyzbył się niemal wszelkiej kokieterii⁵⁸; talenty uroczego światowca⁵⁹, które przynajmniej mu nawet nieprzyjaciele, znikły prawie w zupełności, aby zostawić jedynie przymioty dobrego i sympatycznego chłopca. Widocznie wiejskie powietrze jest przyczyną tego cudu. O jednym mogę panią upewnić, mianowicie iż mimo że pan de Valmont przebywa bezustannie w moim towarzystwie i nawet zdaje się w nim podobać, nie wymknęło mu się dotąd ani jedno słowo, które by bodaj trochę trąciło oświadczeniami, ani jedna z owych aluzji, na jakie pozwalają sobie wszyscy mężczyźni, nie mając nawet jak on warunków na ich usprawiedliwienie. Nigdy nie zmusza mnie do tej baczności, jaką musi dzisiaj rozwijać każda szanująca się kobieta, aby powstrzymać zapędy otaczających mężczyzn. Umie nie nadużywać wesołości, którą promieniuje dokoła. Lubi może trochę nadto chwalić, ale czyni to w sposób tak delikatny, że zdołałby Skromność samą oswoić z pochlebstwem. Słowem, gdybym miała brata, pragnęłabym, aby był taki, jakim pan de Valmont się tutaj przedstawia. Może wiele kobiet życzyłoby sobie wyrażniejszego nadskakiwania z jego strony; co do mnie, wyznaję, wdzięczna mu jestem, iż umiał ocenić mnie dość dobrze na to, by mnie nie stawiać w ich liczbie.

Ten obraz pana de Valmont różni się bez wątpienia bardzo od wizerunku, który ty mi, pani, nakreśliłaś; mimo to oba mogą być wierne, zależnie od czasu. On sam przyznaje, iż popełnił wiele błędów; może i świat dorzucił niejedno na jego rachunek. Ale niewielu mężczyzn zdarzyło mi się spotkać, którzy by mówili o uczciwych kobietach z większym szacunkiem, powiedziałabym, prawie uwielbieniem. Z listu pani wnoszę, że przynajmniej ta jego cnota nie jest obłudą. Sposób, w jaki odnosi się do pani de Merteuil, jest tego dowodem. Często mówi o niej; a zawsze z takimi pochwałami i z akcentem tak szczerego przywiązania, iż mniemałam, aż do otrzymania pani listu, że to, co on nazywa przyjaźnią między nimi, jest, w gruncie, miłością. Wyrzucam sobie obecnie sąd tak niebaczny, w którym ponoszę tym większą winę, ile że pan de Valmont sam niejednokrotnie dokładał starań, aby uchronić tę złą osobę od takich podejrzeń. Wyznaję, iż uważałam jedynie za dyskrecję to, co było z jego strony uczciwą szczerością. Nie wiem, ale wydaje mi się, że ktoś, kto jest zdolny do równie stałej przyjaźni dla kobiety tak godnej szacunku, nie może być beznadziejnym lekkomyślnikiem⁶⁰. Poza tym nie wiem, czy owo stateczne prowadzenie się, jakiego tu daje dowody, zawdzięczamy jakiejś miłostce w okolicy, jak pani przypuszcza. Jest wprawdzie parę powabnych kobiet w sąsiedztwie; ale pan de Valmont wychodzi z domu w ogóle mało, wyjąwszy rano: mówi, że idzie polować. To prawda, rzadko z sobą przynosi zwierzyńcę; ale zapewnia, iż bardzo zeń niezręczny my-

⁵⁷*rękojmia* — poręczenie, zagwarantowanie czegoś, zapewnienie o czymś.

⁵⁸*kokieteria* — zachowanie osoby starającej się wzbudzić zainteresowanie, zjednać sobie kogoś.

⁵⁹*światowiec* — człowiek obyty, potrafiący zachować w każdej sytuacji, obracający się w wyższych kręgach.

⁶⁰*lekkomyślnik* (neol.) — lekkoduch; osoba lekkomyślna.

śliwy. Zresztą, niezbyt się troszczę, co on może robić poza domem; jeżeli pragnęłabym wiedzieć, to jedynie, aby mieć jedną przyczynę więcej przychylenia się do zdania pani lub też przekonania cię o słuszności mego.

Co się tyczy rady twojej, droga przyjaciółko, abym postarała się o skrócenie pobytu pana de Valmont, wyznaję, że nie wiem, czy ośmieliłabym się prosić jego ciotkę, aby odmówiła gościny siostrzeńcowi, zwłaszcza że jest do niego bardzo przywiązana. Przyrzekam jednak — jedynie, by iść za twą radą, a nie z istotnej potrzeby — że chwycę się jakiejś sposobności i spróbuję przedłożyć tę prośbę albo jej, albo wprost jemu. Co się mnie tyczy, pan de Tourvel wie, iż miałam zamiar zostać tutaj aż do jego powrotu, i zdziwiłby się, nie bez słuszności, gdybym tak lekko odmieniła postanowienie.

Rozpisałam się może zbyt długo, ale zdawało mi się, że winna jestem prawdzie owo pochlebne świadectwo dla pana de Valmont, świadectwo, którego w twoich oczach, pani, zdawał się bardzo potrzebować. Niemniej szczerze wdzięczną jestem za przyjaźń, która poddyktowała ci twoje przestrogi. Jej również zawdzięczam wszystkie miłe słowa, jakimi mnie obdarzasz z okazji opóźnienia małżeństwa córki. Dziękuję serdecznie za zaproszenie; ale mimo całej przyjemności, jaką sobie obiecuję po chwilach spędzonych w pani towarzystwie, poświęciłabym je chętnie, gdyby przez to panna de Volanges prędzej mogła stać się szczęśliwą, o ile w ogóle kiedy może być nią bardziej niż teraz, przy boku matki, tak godnej całej jej czułości i szacunku. Podzielałam z nią oba te uczucia i proszę, abyś raczyła to zapewnienie przyjąć ze zwykłą dobrocią.

Mam zaszczyt etc.

13 sierpnia 17**

LIST XII

Cecylia Volanges do markizy de Merteuil

Donoszę pani, że mama jest cierpiąca; nie wychodzi dzisiaj i muszę dotrzymywać jej towarzystwa: nie będę miała zatem zaszczytu towarzyszyć pani do Opery. Zapewniam panią, o wiele bardziej żałuję, że nie będę razem z panią, niż całego widowiska. Mam nadzieję, że pani nie wątpi o tym; bardzo o to proszę. Ja panią tak kocham! Czy będzie pani tak dobra powiedzieć panu kawalerowi Danceny, że nie mam zbioru, o którym mówił, i że jeżeli może go przynieść jutro, sprawi mi wielką przyjemność? Gdyby przyszedł dziś, powiedziano by mu, że nas nie ma w domu: mama nie chce nikogo dziś przyjmować. Mam nadzieję, że jutro będzie jej już lepiej.

Mam zaszczyt, etc.

13 sierpnia 17**

LIST XIII

Markiza de Merteuil do Cecylii Volanges

Bardzo jestem zmartwiona, ślicznotko, że nam się tak nie składa, ale mam nadzieję, że stracona sposobność jeszcze się powtórzy. Wywiążę się z twego zlecenia wobec kawalera Danceny, który z pewnością bardzo się trapi wiadomością, że mama chora. Jeżeli pani de Volanges zechce mnie przyjąć jutro, przyjdę dotrzymywać jej towarzystwa. Wyzwiemy we dwie kawalera de Belleruche⁶¹ do walki w pikietę⁶², a ogrywając go, będziemy miały dla dopełnienia przyjemności satysfakcję przysłuchiwania się, jak śpiewasz ze swym miłym nauczycielem. Jeżeli to dogadza matce i tobie, ręczę za siebie i za moich kawalerów. Do widzenia, moja śliczna; pozdrowienia drogiej pani de Volanges. Ściskam was z całego serca.

13 sierpnia 17**

LIST XIV

Cecylia Volanges do Zofii Carnay

⁶¹kawaler de Belleruche — ten sam [kawaler], o którym mowa w listach pani de Merteuil.

⁶²pikieta — gra karciana, pochodząca z Francji, znana od XIV w.

Nie pisałam wczoraj, droga Zosiu, ale nie nadmiar przyjemności jest tego przyczyną, możesz mi wierzyć. Mama była chora, nie opuściłam jej cały dzień ani na chwilę. Wieczorem, kiedy znalazłam się w swoim pokoju, nie miałam głowy do niczego; czym prędzej położyłam się do łóżka, aby się upewnić, że dzień się już skończył: jeszcze mi się nigdy nie wydał równie długi. To nie znaczy, abym nie kochała mamy, ale nie wiem, co to takiego. Miałam iść do Opery z panią de Merteuil; kawaler Danceny z nami. Wiesz dobrze, że to są dwie osoby, które lubię najwięcej w świecie. Skoro nadeszła godzina, o której się zaczyna przedstawienie, serce mi się ścisnęło mimo woli. Wszystko mi zbrzydło nagle; płakałam, płakałam tak, że nie mogłam się powstrzymać. Na szczęście, mama leżała w łóżku i nie mogła widzieć. Jestem pewna, że kawaler Danceny był także bardzo zmartwiony; ale on miał przynajmniej na pociechę widowisko i ludzi: to całkiem co innego.

Na szczęście mama dziś ma się lepiej i pani de Merteuil przyjdzie z kawalerem Danceny i innym jakimś panem; ale pani de Merteuil przychodzi zawsze bardzo późno, a jak się jest tak długo samej, to strasznie nudno. Dopiero jedenasta. Prawda, że muszę pograć trochę na harfie; przy tym toaleta także zajmie nieco czasu, bo chciałabym być dzisiaj dobrze uczesana. Zdaje się, matka Annuncjata miała słuszość: kiedy człowiek zaczyna żyć w świecie, robi się zalotny. Od kilku dni strasznie chciałabym ładnie wyglądać, a ze smutkiem widzę, że nie jestem tak ładna, jak mi się dawniej wydawało; przy tym przy kobietach, które się różują, straszliwie się traci. Na przykład pani de Merteuil, widzę dobrze, że wszyscy mężczyźni uważają ją za ładniejszą ode mnie: to mnie niezbyt martwi, bo ona mnie bardzo lubi; a przy tym zapewnia mnie, że kawalerowi Danceny ja się więcej podobam. Bardzo szlachetnie z jej strony, że mi to powiedziała! Zdawało mi się nawet, że jest z tego rada. Tego to już nie rozumiem. Jak ona mnie lubi! A on!... Och! tym to strasznie się cieszę! Toteż zdaje mi się, że wystarczy na niego popatrzeć, aby już stać się ładniejszą. Patrzałabym też ciągle, gdybym się nie lękała spotkać jego oczu; za każdym razem, kiedy mi się to przytrafi, mieszam się zaraz i jakoś mi się robi przykro; ale to nic.

Do widzenia, jedyna: zabieram się do toalety. Kocham cię zawsze jak dawniej.

Paryż, 14 sierpnia 17**

LIST XV

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Bardzo to ładnie z twojej strony, markizo, że nie zupełnie zapominasz o mnie w moich smutnych losach. Życie, jakie tu wiodę, jest w istocie nużące przez nadmierny spokój i bezbarwną jednostajność. Odczytując twój list i szczegóły owego rozkosznego dnia, doznawałem po dwadzieścia razy pokusy, aby zmyślić jakąś pilną sprawę, polecieć do twoich stóp i wyblagać, abys bodaj na chwilę sprzeniewierzyła się kawalerowi, który, bądź co bądź, nie zasługuje na swoje szczęście. Czy wiesz, markizo, sprawiłaś, iż uczulem się zazdrosny? Cóż ty mi mówisz o wieczystym zerwaniu? Odwołuję te śluby, wyrzeczone w jakimś obłędzie; nie bylibyśmy godni ich uczynić, gdybyśmy istotnie mieli ich dotrzymać. Ach, gdybym mógł kiedyś pomścić w twych ramionach mimowolną przykrość, jakiej przyczyną stało się szczęście kawalera! Jestem oburzony, wyznaję, gdy pomyślę, że ten człowiek, bez żadnego planu, nie zadając sobie najmniejszego trudu, ot, idąc po prostu za instynktem własnego serca, znajduje szczęście, którego ja nie mogę osiągnąć. Och, ja mu je zamączę... Przysięż mi, że je zamączę. Ty sama, czyż nie czujesz się upokorzona? Ty sobie zadajesz tyle trudu, aby go oszukiwać, a on się czuje szczęśliwszym od ciebie! Tobie się zdaje, że go trzymasz w niewoli, a to ty raczej dźwigasz jego kajdany. On śpi spokojnie, podczas gdy ty czuwasz, łamiąc sobie głowę nad jego przyjemnościami. I cóż innego czyniłaby jego niewolnica?

Tak, piękna przyjaciółko, dopóki dzielisz się między kilku, nie doznaję uczucia najmniejszej zazdrości: widzę wówczas w twoich kochankach jedynie następców Aleksandra, niezdolnych do zdzierżenia społem królestwa⁶³, którym ja władałem sam jeden. Ale abyś się miała oddać wyłącznie jednemu! Aby inny mężczyzna miał osiąść szczęście, które

⁶³następców Aleksandra, niezdolnych do zdzierżenia społem królestwa — po śmierci Aleksandra Wielkiego w 323 r. p.n.e. najwyżsi dowódcy jego armii rozpoczęli tzw. wojny diadochów, które doprowadziły do podziału macedońskiego imperium między dowódców.

było moim udziałem! Tego nie ścierpię: nie myśl, bym zdołał to przenieść⁶⁴. Albo weź mnie z powrotem, albo przynajmniej weź jeszcze kogoś: nie zdradzaj, przez wyłączność swego kaprysu, owej niezniszczalnej przyjaźni, którąśmy sobie poprzysięgli.

Dosyć już chyba złego, jeśli miłość jest mi nielaskawa. Widzisz, markizo, że skłaniam się do twoich poglądów i przyznaję do własnych słabości. W istocie, jeżeli być zakochanym, znaczy nie móc żyć bez posiadania tego, czego się pragnie, poświęcać temu swój czas, przyjemności, życie, to naprawdę jestem zakochany. W niczym to zresztą nie polepsza sprawy. Nie miałbym ci nawet nic do doniesienia w tym przedmiocie, gdyby nie pewien wypadek, który mi daje dużo do myślenia i który nie wiem jeszcze, czy mnie winien przejąć obawą czy nadzieją.

Znasz mego strzelca; wiesz, co to za skarbnica przebiegłości, prawdziwy sługus z komedii: zgadujesz łatwo, że z urzędu swego miał poleczone robić słodkie oczy do panny służącej i rozpajać ludzi. Szelma, ma więcej szczęścia ode mnie: już zdołał coś uzyskać. Odkrył mianowicie, że pani de Tourvel poleciła któremuś z ludzi, aby zasięgnął wiadomości co do mego prowadzenia, a nawet aby mi towarzyszył z daleka w rannych wycieczkach, o ile mu się to uda bez zwrócenia uwagi. Cóż ona sobie myśli? Ona, ta skromnisia, ośmiela się brać na sposoby, na które zaledwie my byśmy się odważyli! Klnę się, że... Ale nim zacznę myśleć nad zemstą za tę kobietą sztukę, zajmijmy się sposobami obrócenia jej na swoją korzyść. Aż dotąd te podejrzone wycieczki nie miały żadnego celu; trzeba im wynaleźć jakiś. Zadanie to wymaga całego skupienia umysłu, opuszczam cię więc, markizo, aby się nad tym zastanowić. Do widzenia, piękna przyjaciółko.

Zawsze z zamku ***, 15 sierpnia 17**

LIST XVI

Cecylia Volanges do Zofii Carnay

Ach, moja Zosiu, ileż nowin! Nie powinnam ci może mówić: ale muszę przecież zwierzyć się przed kimś; nie umiałabym się powstrzymać. Kawaler Danceny... Jestem tak wzruszona, że nie mogę wprost pisać: nie wiem, od czego zacząć. Od czasu, jak ci opowiadałam o przemyłym wieczorze⁶⁵, który spędziłam u mamy z nim i z panią de Merteuil, nie mówiłam ci o nim więcej: nie chciałam już mówić; ale mimo to myślałam o nim ciągle. Od tego czasu, on się zrobił smutny, ale taki smutny, że mi aż przykro było; kiedy pytałam, dlaczego, mówił, że nie: ale ja widziałam dobrze! Wreszcie, wczoraj był jeszcze smutniejszy niż zazwyczaj. Mimo to był na tyle uprzejmy, że śpiewał ze mną jak zawsze, ale, za każdym razem, kiedy na mnie popatrzył, serce się we mnie ścisnęło. Skoro skończyliśmy śpiewać, poszedł schować harfę, następnie zaś, oddając klucz od puzdra⁶⁶, prosił, abym przegrała jeszcze wieczorem, skoro tylko znajdę się sama. Nie podejrzewałam nic a nic; wymawiałam się nawet: ale on tak prosił, aż powiedziałam, że dobrze. Wiedział czemu! Zatem, skoro wróciłam do siebie i kiedy panna służąca sobie poszła, wyjęłam harfę, i, wystaw sobie⁶⁷, znalazłam pomiędzy strunami list od niego, złożony tylko i niezapечатowany! Ach, gdybyś ty wiedziała, co on mi tam pisze! Od czasu, jak przeczytałam ten list, taka jestem szczęśliwa, że nie mogę myśleć o niczym innym. Odczytałam go cztery razy z rzędu, a potem zamknęłam w sekretarzyku⁶⁸. Umiałam całutki na pamięć: kiedy już leżałam w łóżku, powtarzałam sobie tyle razy, że do spania zupełnie odeszła mi ochota. Jak tylko zamknęłam oczy, widziałam go tuż przed sobą, jak mi powtarza sam to wszystko, com wyczytała przed chwilą. Usnęłam bardzo późno; ledwie się obudziłam (było jeszcze bardzo wcześnie), poszłam wydobyć list, aby znowu odczytywać do syta. Zabrałam go z sobą do łóżka, a potem całowałam tak, jak gdyby... To może niedobrze całować list w taki sposób, ale nie mogłam się wstrzymać.

⁶⁴przenieść (daw.) — znieść, ścierpieć, przeboleć.

⁶⁵(...) jak ci opowiadałam o przemyłym wieczorze (...) — list, w którym mowa jest o tym wieczorze, nie odnalazł się. Można przypuszczać, że to ów wieczór, projektowany w bilecie pani de Merteuil, o którym jest również mowa w poprzedzającym liście panny de Volanges.

⁶⁶puzdro — skrzynka lub pudełko z przegródkami, używane dawniej do przechowywania przedmiotów, zwłaszcza podczas podróży.

⁶⁷wystawić sobie (daw.) — wyobrazić sobie.

⁶⁸sekretarzyk — biurko z nadbudówką zawierającą szufladki.

Z tym wszystkim, droga Zosieńko, chociaż jestem bardzo rada, mam i wielki kłopot; bo to pewna, że nie powinnam odpowiadać na taki list. Wiem dobrze, że nie trzeba, ale cóż, kiedy on prosi; jeżeli nie odpowiem, znowu będzie taki smutny. To naprawdę strasznie niedobrze! Cóż ty mi radzisz? Ale ty tak samo nic nie wiesz jak ja. Mam wielką ochotę zwierzyć się pani de Merteuil, która mnie bardzo kocha. Chciałabym strasznie go pocieszyć; ale nie chciałabym zrobić nic, co by było nie tak, jak trzeba. Tyle nam mówią, że powinno się mieć dobre serce! A potem, jak tylko chodzi o mężczyznę, zabraniają iść za tym, co ono powiada! Co za niesprawiedliwość! Czy mężczyzna nie jest naszym bliźnim tak samo jak kobieta, i bardziej jeszcze? Bo przecież ma się tak samo ojca jak matkę, tak samo brata jak siostrę! Pozostaje zatem jeszcze mąż jako nadwyżka. Jednak gdybym miała zrobić coś, co nie trzeba, może i sam pan Danceny nie miałby o mnie dobrego wyobrażenia! Och, gdyby tak, to już wolę, żeby był smutny, a zresztą zawsze mam czas to naprawić. Że on napisał do mnie wczoraj, to jeszcze ja nie jestem obowiązana pisać zaraz dzisiaj; dziś wieczór zobaczę panią de Merteuil i jeżeli się zdobęde, opowiem jej wszystko. Zrobię po prostu to, co ona powie, nie będę miała sobie nic do wyrzucenia. A może ona powie, że mogę odpowiedzieć troszeczkę, żeby nie był taki smutny! Och, straszniem zmartwiona. Do widzenia, moja złota. Powiedz mi, w każdym razie, co myślisz.

19 sierpnia 17**

LIST XVII

Kawaler Danceny do Cecylii Volanges

Pani! Zanim się oddam — nie wiem, jak to nazwać — szczęściu, czy też potrzebie pisania do pani, błagam, abyś raczyła mnie wysłuchać. Rozumiem, iż odważając się na zwierzenie mych uczuć, potrzebuję całej twojej pobłażliwości: byłaby ona zbyt dużą, gdyby chodziło jedynie o usprawiedliwienie tego, co czuję. Czymże jest bowiem to wyznanie, jeżeli nie stawieniem ci przed oczy twego własnego dzieła? I co mogę ci powiedzieć, pani, czego by moje spojrzenia, moje wzruszenie, zachowanie się, milczenie nawet nie zdradziło ci wcześniej, nim ja się ośmieliłem to uczynić? I czemuż byś się miała gniewać o uczucie, które sama zbudziłaś? Natchnione przez ciebie, nie może być ciebie niegodnym: jeśli jest płomienne jak moja dusza, czyste jest jak twoja. Czyż miałyby być zbrodnią, iż umiałem ocenić uroczą twarzyczkę, czarujące talenty, wdzięk nieodparty i wzruszającą niewinność, która dodaje nieporównanej ceny tym tak już cennym przymiotom? Nie, z pewnością nie: ale, nie będąc winnym, można być nieszczęśliwym; oto los, który mnie czeka, jeśli ty, pani, odrzucisz hołd mego uwielbienia. Jest to pierwszy, jaki serce moje złożyło komukolwiek. Bez ciebie byłbym dotąd, nie powiem: szczęśliwy, ale spokojny. Ujrzałem ciebie: spokój odleciał daleko, a szczęście tak niepewne! Mimo to dziwisz się memu smutkowi; pytasz o przyczynę; czasem nawet zdawało mi się, że on i ciebie dotyka. Ach, powiedz słowo, a szczęście moje stanie się twym dziełem! Ale zanim je wypowiesz, pomyśl, że jedno słowo może również dopełnić miary nieszczęścia. Bądź zatem władczynią mego losu. Przez ciebie mogę być na wieki zbawiony lub przeklęty. W jakież droższe ręce mógłbym złożyć sprawę większej dla mnie wagi?

Kończę jak zacząłem: odwołaniem się do twojej pobłażliwości. Prosiłem, abyś mnie wysłuchała; odważę się na więcej: błagam, byś raczyła odpowiedzieć. Odmówić, znaczyłoby pozwalać mi przypuszczać, że czujesz się obrażoną, serce zaś moje jest rękojmnią, że mój szacunek dorównywa miłości.

PS Gdybyś raczyła mi, pani, odpowiedzieć, możesz się posłużyć sposobem, którego ja użyłem; zdaje mi się zarówno pewny, jak dogodny.

18 sierpnia 17**

LIST XVIII

Cecylia Volanges do Zofii Carnay

Jak to, Zosiu, z góry już potępiasz to, co chcę uczynić! Dosyć miałam niepokojów, a ty je jeszcze pomnażasz. To jasne, powiadasz, że nie powinnam odpowiadać. Łatwo tobie mówić; zresztą, ty nie wiesz naprawdę, jak jest: nie widzisz na własne oczy. Jestem pewna, że gdybyś była na moim miejscu, zrobiłabyś jak ja. Z pewnością, że w zasadzie nie

należy odpowiadać; widziałaś po moim wczorajszym liście, że i ja nie chciałam: ale bo też nie przypuszczam, aby ktoś kiedykolwiek znajdował się w podobnym położeniu!

Do tego musiałam rozstrzygać zupełnie sama! Pani de Merteuil, którą spodziewałam się zobaczyć wczoraj, nie przyszła. Wszystko obraca się przeciw mnie: przecież to ona jest przyczyną, że jego poznałam. Prawie zawsze przy niej widywałam go, rozmawiałam z nim. To nie znaczy, abym miała żal do niej, ale zostawia mnie tak samą w chwili największego kłopotu. Biedna ja, doprawdy!

Wyobraź sobie, on wczoraj przyszedł jak zwyczajnie. Byłam tak zmieszana, że nie śmiałam nań popatrzeć. Nie mógł mówić ze mną, mama była w pokoju. Domyślałam się, że będzie zmartwiony, skoro zobaczy, że nie ma listu. Nie wiedziałam, jak się zachować. W chwilę potem zapytał, czy chcę, aby przynieść harfę. Serce mi biło tak mocno, że nic nie byłam w stanie odpowiedzieć, tylko *tak*. Kiedy wrócił, było jeszcze gorzej. Popatrzyłam nań tylko króciutką chwilę. On nie patrzył na mnie: ale wyglądał tak, że można by pomyśleć, że jest chory. Strasznie mi było ciężko. Zaczął stroić harfę, potem zaś, podając, rzekł: „Ach! pani!...”. Powiedział tylko tyle: ale takim tonem, że się wszystko we mnie zatrzęsło. Wzięłam parę akordów, nie wiedząc zupełnie, co czynię. Mama zapytała, czy nie będziemy śpiewać. On wymówił się, podając, że jest nieco cierpiący, ale ja nie miałam wymówki. Byłabym wolała nigdy nie mieć głosu. Wybrałam umyślnie jakąś arię, której nie przerabiałam: byłam bowiem pewna, że nie umiałabym śpiewać i że musiano by się czegoś domyślić. Na szczęście, zjawił się ktoś; skoro tylko usłyszałam turkot karety, przerwałam i poprosiłam go, aby odniósł harfę. Bałam się strasznie, że już całkiem sobie pójdzie, ale nie: wrócił.

Podczas gdy mama i ta pani, która przyjechała, rozmawiały z sobą, chciałam nań popatrzeć jeszcze chwileczkę. Spotkałam się z jego oczami i niepodobna mi się było już oderwać. W chwilę później spostrzegłam, jak mu łzy płyną po twarzy; zmuszony był odwrócić się, aby kto nie zauważył. Wówczas nie mogłam już się opanować; czułam, że sama się rozplaczę. Wyszłam z pokoju i napędce napisałam ołówkiem na skrawku papieru: „Niech pan nie będzie taki smutny, proszę bardzo; przyrzekam, że panu odpowiem”. Nie możesz chyba powiedzieć, żeby w tym było co złego; zresztą, to było już nad moje siły. Założyłam za struny, tak jak on tamten list, i wróciłam do salonu. Czułam się znacznie spokojniejsza. Pilno mi było, żeby ta pani już się podziela. Na szczęście, śpieszyła się gdzieś i poszła niedługo. Zaledwie się zabrała, powiedziałam, że mam ochotę jeszcze pograć trochę i prosiłam go, aby przyniósł harfę. Widziałam z twarzy, że niczego się nie domyśla. Ale za powrotem, och! jakież był szczęśliwy! Ustawiając harfę, umieścił się w ten sposób, że mama nie mogła widzieć i wziął mnie za rękę, przy tym uściśnął... ale jak!... Trwało to tylko jedną chwilę; ale nie umiem ci powiedzieć, jakie było przyjemne. Mimo to cofnęłam rękę, nie mam więc sobie nic do wyrzucenia.

Teraz, moja jedyna, widzisz, że nie mogę już nie napisać, skoro przyrzekłam; a przy tym nie umiałabym mu zrobić takiej przykrości, bo ja przez to cierpię bardziej jeszcze od niego. Gdyby chodziło o coś złego, z pewnością bym tego nie uczyniła. Ale cóż może być złego w napisaniu listu, zwłaszcza jeżeli chodzi o to, aby ktoś nie był nieszczęśliwy? Boję się tylko, że nie będę umiała dobrze napisać; ale on przecież zrozumie, że to nie moja wina; zresztą, jestem pewna, że już przez to samo, że ode mnie, list robi mu przyjemność.

Do widzenia, Zosieńko najdroższa. Jeżeli myślisz, że źle uczyniłam, powiedz szczerze; ale nie zdaje mi się. W miarę jak zbliża się chwila pisania, serce mi tak bije, że nie możesz sobie wprost wyobrazić. Ale cóż, trzeba, skoro przyrzekłam.

21 sierpnia 17**

LIST XIX

Cecylia Volanges do kawalera Danceny

Był pan wczoraj tak smutny i robiło mi to taką przykrość, że to skłoniło mnie do przyrzeczenia, iż odpowiem panu na list. Zdaję sobie dobrze sprawę, że nie powinnam; ponieważ jednak przyrzekłam, nie chcę uchylać się od danego słowa: to powinno być wyraźnym dowodem przyjaźni, jaką mam dla pana. Teraz, kiedy pan już wie, spodziewam się, że już pan nie będzie żądał, abym więcej pisała. Spodziewam się również, że pan nikomu nie powie, żem do pana pisała, z pewnością bowiem wzięto by mi to za złe

i miałabym w domu wiele przykrości. Spodziewam się przede wszystkim, że pan sam nie będzie miał o mnie z tego powodu złego wyobrażenia; to by mnie zmartwiło daleko więcej jeszcze niż wszystko. Mogę upewnić, że nie zgodziłabym się na to dla nikogo prócz pana. Chciałabym bardzo, aby pan w zamian nigdy nie był już taki smutny jak wtedy; to mi odbiera całą przyjemność widzenia pana. Widzi pan, mówię do pana bardzo szczerze. Z całego serca bym chciała, aby nasza przyjaźń trwała wiecznie, ale proszę bardzo, niech pan już nie pisze.

Mam zaszczyt pozostać...

Cecylia Volanges

21 sierpnia 17**

LIST XX

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Ej, wicehrabio, nic dobrego z ciebie, przymilasz mi się z obawy, abym sobie nie drwiła! Ale nie lękaj się, przebaczam ci: piszesz mi w swoim liście tyle szaleństw, że muszę ci wybaczyć statek⁶⁹, jaki narzuca ci prezydentowa. Nie zdaje mi się, aby mój kawaler umiał się zdobyć na równą pobłażliwość; sądzę przeciwnie, że takie odnowienie kontraktu między nami nie bardzo by mu się podobało i że twój szalony pomysł wcale by mu się nie wydał zabawny. Co do mnie, uśmiełam się z całego serca i doprawdy żałowałam, że musiałam śmiać się sama jedna. Gdybyś w tej chwili znalazł się gdzieś pod ręką, nie wiem, dokąd by mnie zaprowadziło rozbawienie; ale miałam czas opamiętać się i uzbroić w pancerz surowości. Nie znaczy to, abym odmawiała na zawsze; ale odraczam; mam powody. Gotowa by się jeszcze we mnie obudzić miłość własna, a skoro raz już ona wejdzie w grę, nigdy nie wiadomo, dokąd może zaprowadzić. Byłabym zdolna na nowo jeszcze chcieć zakuć cię w kajdany i przyprawić o zapomnienie twojej prezydentowej; a gdybym ja, niegodna, miała obrzydzić ci powab cnoty, pomysł, co za zgorszenie! By uniknąć tego niebezpieczeństwa, oto moje warunki:

Skoro tylko zdobędziesz piękną nabożnisię i będziesz mi mógł dostarczyć dowodów w tej mierze, przybywaj, a jestem twoja. Ale nie potrzebuję ci mówić, że w sprawach tej wagi dowody muszą być na piśmie. Przez taki układ, z jednej strony, ja stanę się nagrodą zamiast być pocieszeniem, i ta myśl bardziej mi się uśmiecha; z drugiej, zwycięstwo twoje nad tą cnotką nabierze jeszcze ostrzejszego smaku, stając się tym samym drogą do tym rychlejszej niewierności. Przybywaj więc, przybywaj, jak najspieszniej przynieść mi zakład swego tryumfu: podobny do dawnych chrobrych⁷⁰ rycerzy, którzy u stóp swoich dam składali świetne trofea zwycięstwa. Doprawdy, szczerze ciekawa jestem, co może pisać skromnisia po takim momencie i w jakie zasłony stroi jeszcze swoje gawędy wówczas, gdy osobę pozwoliła już rozebrać ze wszystkich. Twoją rzeczą rozważyć, czy stawiam za siebie cenę zbyt wysoką; ale uprzedzam, że nic z niej nie opuszczę. Aż do tego czasu, drogi wicehrabio, pozwolisz, że zostanę wierną kawalerowi i nadal będę się zabawiała uszczęśliwianiem go, mimo drobnej przykrości, o jaką cię to przyprawia.

Jednakże, gdybym mniej miała zasad moralnych, obawiam się, iż miałby on w tej chwili niebezpiecznego rywala: a to w osobie małej Volanges. Szaleję wprost za tym dzieckiem: to istna namiętność. Albo się bardzo myślę, albo też będzie ona kiedyś jedną z naszych najbardziej rozrywanych piękności. Patrząc, jak stopniowo rozwija się to małe serduszek: obrazek wprost zachwycający. Kocha się już w Dancenym z całą zapamiętałością, ale jeszcze nic o tym nie wie. On, zakochany po uszy, ale niezdarny jak młokos, nie śmie jej nadto okazywać swych zapalów. Oboje ubóstwiają mnie po prostu. Mała zwłaszcza ma straszliwą ochotę zwierzyć mi się ze swą tajemnicą; od kilku dni widzę, że wprost rady sobie dać nie może. Wyświadczyłabym jej wielką przysługę, gdybym jej trochę dopomogła: ale nie zapominam o tym, że to zupełnie dziecko i nie chcę się narażać. Dancenym wynurzał się przede mną nieco wyraźniej; co do niego, droga moja jest zupełnie jasna: nie chcę słyszeć o niczym. Co się tyczy małej, nieraz bierze mnie pokusa, aby z niej zrobić swoją uczennicę; miałabym wielką ochotę oddać tę przysługę Gercourtowi. Czasu zostawia mi aż nadto, skoro aż do października uwięziony jest na Korsyce. Bardzo mi się

⁶⁹statek (daw.) — stateczność.

⁷⁰chrobry (daw.) — odważny.

coś zdaje, że skorzystam z odwłoki⁷¹ i że w miejsce niewinnej pensjonarki damy mu za żonę zupełnie już gotową kobietkę. Cóż to w istocie za zuchwała pewność siebie u tego człowieka, który ośmiela się zasypiać spokojnie, podczas gdy obrażona przezeń kobieta nie zemściła się jeszcze? Ot, gdybym miała w tej chwili pod ręką tę małą, nie wiem sama, czego bym jej nie naplotła.

Bywaj mi zdrów, wicehrabio; życzę ci dobrej nocy i powodzenia w zamysłach: ale, na miłość Boga, postępujże trochę. Pomyśl, że jeżeli ty nie będziesz miał tej kobiety, wszystkie inne będą musiały się rumienić, iż miały ciebie.

19 sierpnia 17**

LIST XXI

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Nareszcie, piękna przyjaciółko, zrobiłem krok naprzód, ale krok nie lada; jeżeli nie doprowadził mnie do celu, to pouczył przynajmniej, że znajduję się na dobrej drodze, i rozprószył obawy, żali⁷² przypadkiem nie zbłądziłem na manowce. Nareszcie wyznałem miłość i jakkolwiek zachowano w tej mierze najupartsze⁷³ milczenie, zdobyłem mimo to odpowiedź równie pochlebną, jak niezostawiającą wątpliwości. Ale nie uprzedzajmy wypadków i sięgnijmy do początków.

Przypominasz sobie może, iż pani moja kazała śledzić me kroki. Zapragnąłem tedy, aby to gorszące przedsięwzięcie obróciło się ku powszechnemu zbudowaniu, i oto co uczyniłem. Polecilem memu *factotum*⁷⁴, aby mi znalazł w okolicy jakiegoś potrzebującego pomocy biedaka. Zlecenie nietrudne do wykonania. Wczoraj po południu przyszedł mi oznajmić, że dziś rano komornik ma zająć cały dobytek ubogiej rodziny niemającej z czego opłacić podatku. Upewniłem się, że nie ma w tym domu żadnej dziewczyny ani kobiety, której wiek i uroda mogłyby uczynić postępki mój podejrzanym; i gdy już o wszystkim dokładnie zasięgnąłem języka, objawiłem przy wieczerzy zamiar udania się na polowanie nazajutrz wczesnym rankiem.

Tu muszę oddać sprawiedliwość prezydentowej: z pewnością musiały ją nieco dręczyć wyrzuty sumienia, iż puściła się na śliską drogę śledzenia cudzych postępków, nie mając zaś siły do zwalczania ciekawości, zdobyła się na odwagę zwalczania mego zamiaru. „Zapowiada się na jutro straszne gorąco; mogę się nabawić choroby; nic nie zabiję i tylko zmęcę się na próżno”, etc. etc. W ciągu tych perswazji, spojrzenia jej, wymowniejsze może, niżby sama pragnęła, dostatecznie jawiły, jak gorąco sobie życzy, abym te liche racje przyjął za dobrą monetę. Ani mi w głowie było się poddawać, jak łatwo możesz się domyślić, markizo; oparłem się nawet małej diatrybie⁷⁵ przeciw polowaniu i myśliwym, jak również lekkiej chmurce niezadowolenia, która przesłoniła na resztę wieczoru niebiańskie oblicze. Obawiałem się przez chwilę, aby nie odwołała poleceń i aby ten spóźniony skrupuł nie pokrzyżował mych planów. Nie brałem w rachubę kobiecej ciekawości; toteż omyliłem się. Strzelec mój rozproszył obawy jeszcze tego samego wieczoru, zaczę⁷⁶, pełen zadowolenia, udałem się na spoczynek.

Z pierwszym brzaskiem zrywam się i wychodzę. Ledwie o pięćdziesiąt kroków od zamku spostrzegam szpiega, który postępuje trop w trop za mną. Wchodzę na teren polowania i posuwam się przez pola ku wiosce, będącej celem mej wyprawy, nie mając w ciągu drogi innej rozrywki, jak tylko porządne przepędzenie gamonia, który bojąc się zejść z gościńca, musiał przebiegać przy każdym zwrocie potrójną drogę. Jednakże pędząc go w ten sposób i sam zgrzałem się porządnie; aby więc odpocząć chwilę, usiadłem pod drzewem. Patrzę spod oka, a ten hultaj posuwa beczelność tak daleko, że skrada się wzdłuż krzaków odległych nie więcej niż o dwadzieścia kroków i również się rozsiada! Przez chwilę korciło mnie, aby mu posłać z jeden nabój, który, choć z drobnego śrutu, pouczyłby go dostatecznie o niebezpieczeństwach ciekawości: szczęściem dla niego, przy-

⁷¹odwłoka (daw.) — zwłoka, odłożenie sprawy.

⁷²żali (daw.) — czy.

⁷³najupartszy — dziś tylko: najbardziej uparty.

⁷⁴factotum (łac.) — służący lub inna osoba wykonująca wiele różnych czynności.

⁷⁵diatryba — wypowiedź wyrażająca protest lub krytykę.

⁷⁶zaczem (daw.) — po czym, następnie.

ponmiałem sobie, że ten szpieg jest użyteczny, a nawet potrzebny dla moich zamysłów; ta refleksja ocaliła go.

Niebawem, znalazłem się we wsi; widzę zbiegowisko; zbliżam się, wypytuję; opowiadają mi wydarzenie. Każe wołać komornika i idąc za popędem szlachetnego współczucia, płacę wspaniałomyślnie pięćdziesiąt sześć funtów, za cenę których pięć osób miało postradać dach nad głową i możliwość pracy. Po tym uczynku tak prostym, nie wyobrażasz sobie, markizo, jakie błogosławieństwa posypały się na mą głowę. Jakie łzy wdzięczności płynęły z oczu starca, głowy rodziny, i jaką piękną uszlachetniły to oblicze patriarchy, które chwilę przedtem było niemal wstrętne z malującym się piętnem najstraszliwszej rozpacz! Przyglądałem się temu widowisku, gdy nagle inny wieśniak, młodszy, prowadząc za rękę żonę i dwoje dzieci i zbliżając się pośpiesznym krokiem, rzekł: „Padnijmy wszyscy do nóg tego pana, dobrego jak sam Bóg”. W tej samej chwili ujrzałem całą rodzinę klęczącą u mych kolan. Przyznaję się do chwili słabości: oczy zwilżyły mi się łzami; uczułem jakieś wzruszenie niezależne od woli, ale pełne rozkoszy. Zdumiony byłem odkryciem, jak wiele przyjemności znajduje się, czyniąc dobrze; skłonny jestem do przypuszczenia, że ci, których zwykliśmy nazywać cnotliwymi ludźmi, nie mają może tak wielkiej zasługi, jak by się zdawało na pozór. Tak czy owak, uważałem za słusne zapłacić biednym ludziom przyjemność, jaką mi sprawili. Wziąłem z sobą dziesięć luidorów⁷⁷; rozdałem je.

Tak tedy pośród rozlewnych błogosławieństw całej rodziny, wyglądałem sobie na jakiegoś bohatera dramatu w chwili szczęśliwego rozwiązania. Pojmujesz, że w tym tłumie główną osobą był dla mnie gorliwy szpieg. Cel był osiągnięty; uwolniłem się od gromady i wróciłem do zamku. Razem wzięwszy, mogę sobie powinszować pomysłu. Ta kobieta warta jest niewątpliwie, aby sobie zadać dla niej tyle trudów; kiedyś staną się one dla mnie brzęczącą walutą; w ten sposób, zapłaciwszy niejako z góry, będę mógł rozrządzać jej osobą wedle zachcenia, bez najmniejszych wyrzutów.

Zapomniałem dodać, że chcąc już wszystko wyzyskać, prosiłem pocziwych ludzi, aby się modlili do Boga za spełnienie mych zamiarów. Zaraz przekonasz się, czy ich prośby nie zostały już w części wysłuchane... Ale oto oznajmiamy mi, że wieczerza na stole; byłoby już za późno na wysłanie listu, gdybym go miał kończyć, dopiero udając się na spoczynek. Zostawiam więc resztę do następnej przesyłki. Żałuję bardzo, bo reszta jest najciekawsza. Do widzenia, miła przyjaciółko. Okradasz mnie o jedną chwilę przyjemności oglądania mego bóstwa.

18 sierpnia 17**

LIST XXII

Prezydentowa de Tourvel do pani de Volanges

Sądzę, iż rada pani będzie zapoznać się z pewnym rysem charakteru pana de Valmont; rysem, który, o ile mi się zdaje, odbiega ogromnie od tych, jakimi go pani odmalowała. Tak przykro jest myśleć niekorzystnie o kimkolwiek, tak boleśnie znajdować jedynie błędy w tych, którzy by mieli wszelkie potrzebne warunki, aby przedstawiać cnotę we wszystkich jej powabach! Wreszcie, pani tak ceni pobłażliwość, że jedynie można cię ucieszyć, dostarczając motywów odstąpienia od nazbyt może surowego sądu. Zdaje mi się, że pan de Valmont miałby prawo do tej łaski, powiedziałabym niemal do tej sprawiedliwości; i oto na czym buduję swój sąd.

Dziś rano wybrał się na jedną z owych przechadzek, które mogły pani nasunąć przypuszczenie, iż pan de Valmont nawiązuje już jakąś miłośćkę w okolicy, przypuszczenie, którego — przyznaję się do winy — chwyciłam się może z nazbyt wielką żywością. Szczęściem dla niego, a zwłaszcza szczęściem dla nas (ponieważ ocala nas to od niesprawiedliwości), któryś z moich ludzi szedł właśnie w tę samą stronę⁷⁸; dzięki temu ciekawość moja, karygodna, ale w tym wypadku zbawienna, została zaspokojona. Człowiek ów przyniósł wiadomość, że pan de Valmont, znalazłszy we wsi *** nieszczęśliwą rodzinę, której dobytek właśnie miano zająć, ponieważ nie miała z czego opłacić podatków, nie

⁷⁷luidor — złota moneta francuska, bita od 1640 do 1791 r.

⁷⁸szczęściem (...), któryś z moich ludzi szedł właśnie w tę samą stronę — Czyżby pani de Tourvel nie śmiała wyznać, iż było to z jej rozkazu? [przypis autorski]

tylko pośpieszył z wyrównaniem długu biednych ludzi, ale nawet wręczył im dość znaczną kwotę. Biedacy wspominali również o jakimś służącym, który wedle opisu wygląda na służącego pana de Valmont, a który poprzedniego dnia zasięgał wiadomości o mieszkańcach wsi najbardziej potrzebujących pomocy. Jeżeli tak było w istocie, nie jest to nawet przelotne współczucie wypływające z przypadku; to już określony zamiar czynienia dobrze; dobroczynność uprawiana ze zrozumieniem; najwznioślejsza cnota najpiękniejszych dusz na ziemi. Zresztą, z rozmysłu czy z przypadku, jest to w każdym razie czyn znaczny i chwalebny; samo opowiadanie o nim do łez mnie poruszyło. Dodam więcej, również dla sprawiedliwości, że kiedy wspomniałam panu de Valmont o zdarzeniu, o którym sam nie rzekł ani słowa, zrazu się zapierał, a skoro wreszcie się przyznał, uczynił to ze skromnością zwiększającą jeszcze zasługę.

A teraz, powiedz mi, czcigodna przyjaciółko: jeżeli pan de Valmont jest w istocie zakamieniałym niegodziwcem, a postępuje w ten sposób, cóż zaprawdę wypadnie czynić ludziom pocziwim? Jak to! Żli mieliby dzielić z dobrymi święte rozkosze zacnego uczynku? Bóg miałby pozwolić, aby cnotliwa rodzina otrzymywała z ręki nędznika ratunek i składała zań dzięki Jego boskiej Opatrzności? Mógłby sobie podobać w tym, aby słyszeć, jak czyste usta zlewają błogosławieństwa na jakiegoś wyrodka? Nie. Wolę raczej przypuścić, że błędy jego, choć zastarzałe, nie płyną z jego natury; nie mogę myśleć, aby ten, który czyni dobrze, miał być wrogiem cnoty. Pan de Valmont jest może tylko jednym przykładem więcej niebezpieczeństwa złych wpływów. Chwytam się tego przypuszczenia, w które rada bym uwierzyć.

Mam zaszczyt być, etc.

PS Pani de Rosemonde i ja wybieramy się w tej chwili, aby poznać tę zacną a nieszczęśliwą rodzinę i dołączyć naszą spóźnioną pomoc do ofiary pana de Valmont. Weźmiemy go z sobą. W ten sposób damy przynajmniej tym dobrym ludziom przyjemność oglądania swego dobroczyńcy; to, zdaje się, wszystko, co nam pozostawił.

Z zamku ***, 18 sierpnia 17**

LIST XXIII

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Przerwaliśmy tedy korespondencję w chwili mego powrotu do zamku; idźmy dalej. Otóż przebrałem się spiesźnie i udałem do salonu, gdzie moja pani pracowała nad haftem, podczas gdy proboszcz czytał ciotce gazetę. Zbliżyłem się i usiadłem przy krosnach. Parę spojrzeń, słodszych jeszcze niż zazwyczaj, niemal pieszczotliwych, pozwoliło mi domyślić się, że służący musiał już zdać sprawę z poselstwa. Jakoż ciekawa istotka nie umiała długo utrzymać tak chytrze zdobytej tajemnicy i nie wahając się przerwać czcigodnemu pastarzowi, którego czytanie mocno przypominało kazanie niedzielne, rzekła: „I ja mam także coś do opowiedzenia”; po czym z miejsca wyrecytowała całą mą przygodę z dokładnością zaszczytnie świadczącą o jej talencie dziejopisa. Wyobrażasz sobie, jak skwapliwie rozwinąłem skarby skromności: ale któż byłby zdolny powstrzymać kobietę śpiewającą bezwiednie pochwały tego, którego kocha? Ostatecznie, trzeba jej było zostawić wolne pole. Podczas tego panegiryku⁷⁹ ja, śledząc ją spod oka, czerpałem najrozkoszniejsze nadzieje w tklwym spojrzeniu, ruchach bardziej ożywionych niż zazwyczaj, a przede wszystkim w głosie, który już samym zmienionym brzmieniem zdradzał stan jej duszy. Zaledwie skończyła mówić, ozwała się pani de Rosemonde: „Pójdź, chłopcze, niech cię ucałuję”. Połapałem się natychmiast, że piękna kaznodziejka również nie będzie mogła się obronić przed moim uściskiem. Mimo to chciała uciekać, ale w tejże chwili znalazła się w moich ramionach: nie tylko że nie miała mocy się opierać, ale zaledwie zdołała utrzymać się na nogach. Im dłużej patrzę na tę kobietę, tym bardziej staje mi się pożądaną. Z pośpiechem wróciła do krosien i na pozór zabrała się do haftu; ale widziałem dobrze, że drżenie rąk nie pozwala jej rozpocząć.

Po obiedzie panie zapragnęły ujrzeć ową tak wspaniałomyślnie ocaloną rodzinę; musiałem im towarzyszyć. Oszczędzę ci, markizo, nudy wysłuchania drugiej serii pochwał i wdzięczności. W ciągu drogi piękna prezydentowa, pogrążona w zadumie, nie rzekła ani

⁷⁹panegiryk — utwór wysławiający osobę, czyn lub wydarzenie.

słowa. Ja również milczałem, myśląc nad sposobami rychłego wykorzystania dzisiejszych wypadków. Jedynie pani de Rosemonde usiłowała gawędzić, odbierając zaledwie skąpe i krótkie odpowiedzi. Musieliśmy ją znudzić; leżało to w moich planach i powiodło się w zupełności. Toteż wysiadłszy z powozu, udała się do swoich pokoi, zostawiając nas sam na sam w słabo oświetlonym salonie: łagodny półmrok, dodający odwagi trwożliwej miłości.

Bez trudu udało mi się skierować rozmowę na zamierzone tory. Zapał uroczej kaznodziejski przyszedł mi z pomocą. „Skoro się jest tak powołanym do tego, aby czynić dobrze — rzekła, kładąc na mnie lube spojrzenie — jak można trawić życie na złym?” — „Nie zasługuję — odparłem — ani na tyle pochwał, ani na tyle potępienia; nie pojmuję, w jaki sposób przy swoim rozumie i bystrości nie przeniknęła jeszcze pani mojej tajemnicy. Chociażby szczerość miała mi zaszkodzić w pani oczach, zbyt godną jej jesteś, bym mógł przed tobą coś ukrywać. Klucz do mego dotychczasowego życia znajdziesz w charakterze, niestety nazbyt słabym. Otoczony towarzystwem ludzi bez zasad, naśladowałem ich błędy: być może nawet sililem się przewyższyć ich jeszcze. Tak samo teraz, pociągnięty przykładem cnoty, choć bez nadziei dorównania ci, pani, chciałem próbować bodaj zbliżyć się do ciebie. Kto wie? Czyn, za który chwalisz mnie dzisiaj, straciłby może całą wartość w twych oczach, gdybyś знаła jego prawdziwe pobudki! (Widzisz markizo, jak bliskim tutaj byłem najistotniejszej prawdy.) Wcale nie mnie — ciągnąłem — ci biedacy zawdzięczają ratunek. Tam, gdzie pani widzisz chwalebny postęp, ja szukałem jedynie sposobu podniesienia się w twych oczach. Byłem, skoro mam wyznać całą prawdę, jedynie słabym narzędziem Bóstwa, które uwielbiam. (Tu chciała przerwać, lecz nie pozwoliłem.) I dziś — dodałem — jedynie słabość charakteru zdradziła ci mą tajemnicę. Przysięgam ci, że zamilczę ją przed panią; szczęściem mi było nieść twoim cnotom, jak i twoim wdzięk, czysty hołd, o którym nigdy nie miałaś się dowiedzieć. Nie zdołałem wytrwać, ale w ten sposób nie będę sobie przynajmniej wyrzucał wobec ciebie niegodnej obłudy. Nie sądzę, pani, iż śmiem ci obrażać zuchwałą nadzieją. Będę nieszczęśliwym, wiem o tym: ale cierpienia moje pozostaną mi zawsze drogą: będą świadectwem bezmiaru mej miłości; u twoich stóp, na twym łonie pragnę złożyć swoje udręczenia. Tam będę czerpał siły do nowych cierpień; tam znajdę pełną współczucia dobroć i ulgę w niedoli, skoro ty, pani, użalisz się nade mną. O ty, którą ubóstwiam, wysłuchaj mnie, ulituj się nade mną, wesprzyj mnie”. W ciągu tej przemowy znalazłem się u jej kolan i tuliłem jej ręce; ale ona, uwalniając je nagle z mego uścisku i przyciskając do oczu z wyrazem rozpacz, wykrzyknęła: „Ach, ja nieszczęśliwa!”. Po czym zalała się łzami. Na szczęście, ja przejąłem się do tego stopnia rolą, że płakałem również; ujmując na nowo jej ręce, oblałem je obficie łzami, było to prawie że konieczne, gdyż pochłonięta własną boleścią nie byłaby zauważyła mego wzruszenia. Dzięki temu mogłem do syta napatrzeć się tej czarującej twarzy, którą przemożny powab łez czynił jeszcze piękniejszą. Głowę miałem całą w ogniu i tak dalece nie byłem panem siebie, że już chciałem się pokusić o wykorzystanie sytuacji.

Ach, jakież słaby jest człowiek! Jakąż władzę mają nad nami okoliczności, skoro ja sam, zapominając o mych zamiarach, gotów już byłem przez takie przedwczesne zwycięstwo poświęcić urok długich walk i słodczy powolnego upadku; skoro, uniesiony pragnieniem istotnie godnym młokosa, miałem już narazić zwycięzcę pani de Tourvel na to, aby otrzymał jako owoc mozołów jedynie mdłą przyjemność posiadania jednej kobiety więcej! Och, nie! Niechaj się podda, ale niech walczy; niechaj, nie mając dość siły, aby zwyciężyć, ma jej na tyle, aby się opierać; niech karmi się do syta poczuciem własnej słabości i niech będzie zmuszona sama uznać swą porażkę. Zostawmy raubszycom⁸⁰ zabijanie jelenia z zasadzki: prawdziwy myśliwiec⁸¹ musi go ująć w regularnym pościgu. Jest coś szczytnego w tym zamiarze, nieprawdaż, ale kto wie, czy zdołałbym w nim wytrwać, gdyby przypadek nie był przyszedł na pomoc roztropności.

Usłyszeliśmy szelest. Ktoś wszedł, pani de Tourvel, przestraszona, wstała śpiesznie, pochwyliła świecznik i wyszła. Nie mogłem jej zatrzymać. Okazało się, że to tylko służący. Skoro tylko upewniłem się o tym, podążyłem za nią. Zaledwie uczyniłem kilka

⁸⁰raubszy (daw.) — kłusownik.

⁸¹myśliwiec — dziś popr.: myśliwy.

kroków, ona, zdjeta uczuciem nieokreślonego lęku, przyspieszyła kroku i wpadła raczej niż weszła do swego pokoju, zamykając gwałtownie drzwi. Chciałem wśliznąć się za nią, ale zamknęła się na klucz. Nie zapukałem oczywiście; byłbym jej dał sposobność do nazbyt łatwego oporu. Wpadłem na szczęśliwą a prostą myśl, aby zajrzeć przez dziurkę od klucza: ujrzałem tę anielską kobietę na kolanach, zalaną łzami i pogrążoną w gorącej modlitwie. Jakiegoż Boga ważyła się przyzywać? Czyż istnieje potężniejszy niżeli Miłość? Na próżno próbuje się uciekać do obcej pomocy; w moim już ręku spoczywają jej losy.

W przekonaniu, iż dosyć zdziałalem jak na jeden dzień, udałem się również do siebie i zabrałem się do tego listu. Myślałem, że ujrzę panią de Tourvel przy wieczerzy; kazała oznajmić, że jest cierpiąca i położyła się. Pani de Rosemonde chciała ją odwiedzić; wy-mówiła się strasliwym bólem głowy. Pojmujesz, że po wieczerzy niedługo trwała zabawa w salonie i że ja również dostałem migreny. Wróciwszy do siebie, napisałem długi list z wyrzutami za takie postępowanie i położyłem się z zamiarem oddania go nazajutrz rano. Nie mogąc usnąć, wstałem, aby jeszcze odczytać swoje bazgroty, i stwierdziłem, że nie dosyć czuwałem nad sobą; więcej w nich przebija pożądania niż miłości i więcej złego humoru niż smutku. Będę musiał przerobić; ale na to trzeba by mieć spokojniejszą głowę.

Już pierwszy brzask na niebie; może on mi sen przyniesie. Wracam do łóżka; mimo całej władzy, jaką ma nade mną ta kobieta, przysięgam ci, markizo, iż nazbyt często nawiedza mnie w snach twoja urocza postać. Do widzenia, piękna przyjaciółko.

19 sierpnia 17^{**}, o godzinie 4 rano

LIST XXIV

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel

Ach, przez litość, pani, chciej ukoić niepokój mej duszy; chciej objawić mi, czego mam się spodziewać lub lękać. Zawieszonemu między bezmiarem szczęścia lub niedoli, niepewność nazbyt okrutnym jest cierpieniem. Po cóż uczyniłem to wyznanie? Czemuż nie umiałem się oprzeć przemożnemu czarowi, który zdradził przed tobą, pani, tajniki mych myśli? Szczęśliwy, iż mogłem uwielbiać cię w milczeniu, upajałem się własną miłością; uczucie, którego nie mącił wówczas obraz twego cierpienia, zaspakajało pragnienia mego serca: ale to źródło szczęścia stało się źródłem rozpaczki od chwili, gdy ujrzałem łzy płynące z twych oczu, od czasu, gdy usłyszałem owo okrutne: „*Ach, ja nieszczęśliwa!*”. Pani, te dwa słowa dźwięczeć mi długo będą w sercu. Przez jakąż fatalność to najśłodsze z uczuć mogło obudzić w tobie jedynie zgrozę? Jakiż widzisz powód do obawy? Ach, nie ten chyba, byś miała kiedy podzielić to uczucie: ty, pani, mimo iż łudziłem się dotąd w tej mierze, nie jesteś stworzona dla miłości; moje jedynie serce, które ty spotwarzasz bezustannie, zdolne jest do uczucia, twoje nawet litować się nie umie. Inaczej nie byłabyś odmówiła słowa pociechy nieszczęśliwemu, który zwierzył ci swe cierpienia; nie byłabyś odarła jego spojrzeń ze swego widoku, gdy on nie posiada innej rozkoszy niż słodycz twego obrazu; nie byłabyś sobie uczyniła okrutnej igraszki z jego niepokojem, byłabyś odczuła, że ta noc — dla ciebie jedynie dwanaście godzin spoczynku — miała być dla niego wiekiem cierpienia.

I czym, powiedz, zasłużyłem na tę bezlitosną surowość? Nie lękam się ciebie samej wziąć za sędziego: cóż więc uczyniłem? Prócz tego, iż niezależnie od mej woli uległem uczuciu natchnionemu przez twą piękność i cnotę; uczuciu, które nigdy nie przekroczyło granic szacunku, a którego niewinne wyznanie było następstwem zaufania, nie zaś nadziei. Czyż chciałabyś, pani, zdradzić ufność, którą sama zdawałaś się upoważniać i której ja się oddałem bez zastrzeżeń? Nie, nie mogę uwierzyć; to znaczyłoby doszukiwać się w tobie błędu, a serce moje buntuje się na myśl znalezienia go w tobie: cofam wszystkie wyrzuty; mogłem to napisać, ale nie mogłem pomyśleć. Ach! Pozwól mi pani wierzyć, iż jesteś doskonałą! Oto jedyne szczęście, jakie mi pozostało. Czyż zdarzyło ci się kiedy użyć pomocy nieszczęśliwemu, który by jej bardziej potrzebował? Nie opuszczaj mnie w obłędzie, w jakim mnie pogrążyłaś: użycz mi swego rozumu, skoro wydarłaś mi własny; nawróciwszy mnie, oświeć jeszcze, aby dokończyć swego dzieła.

Nie chcę cię oszukiwać, pani: nie zdołasz dokonać tego, byś miała zwyciężyć mą miłość; ale nauczysz mnie panować nad nią: kierując moimi postępami, dyktując słowa, ocalisz mnie przynajmniej od strasliwego nieszczęścia obrażania ciebie. Racz przede

wszystkim rozprościć tę rozpacz pełną obawę; powiedz, że mi przebaczasz, że się litujesz; upewnij mnie o swym pobłażaniu. Nie będziesz go miała z pewnością nigdy tak wiele, ile ja bym pragnął; ale błagam o tyle bodaj, ile mi jest niezbędne do życia: czy i tego odmówisz?

Bądź zdrowa, pani; racz przyjąć z dobrocią ten hold mych uczuć dla ciebie; nie jest zdolny w niczym osłabić mego bezgranicznego szacunku.

19 sierpnia 17**

LIST XXV

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Oto przebieg wczorajszego dnia: o jedenastej udałem się do pani de Rosemonde i pod jej ochroną dostałem się do niby-chorej, która jeszcze spoczywała w łóżku. Oczywiście miała bardzo zmęczone; przypuszczam, że i ona źle spała tej nocy. Skorzystałem z tego, że pani de Rosemonde oddaliła się na chwilę, i podałem list; zrazu nie chciała przyjąć; ale położyłem na łóżku i poszedłem najniewinniej przysunąć fotel staruszki, która chciała umieścić się tuż koło *swej pieśczołki*; trzeba więc było ukryć list, aby uniknąć skandalu. Chora, bardzo nieostrożnie, napomknęła coś o gorączce. Pani de Rosemonde poleciła mi ująć ją za puls⁸², wysławiając wielce moje doświadczenie lekarskie. Panią de Tourvel spotkała więc podwójna przykrość: jedna, iż musiała powierzyć mi rękę, druga, iż drobne kłamstewko wyszło natychmiast na jaw. Ująłem dłoń, ściskając ją czule; równocześnie zaś, drugą ręką, ślizgałem się po świeżym i pulchnym ramieniu. Przebiegła osóbką nie odpowiedziała na to wszystko najmniejszym znakiem życia, rzekłem więc, puszczając rękę: „Nie ma najłżejszego przyspieszenia”. Czułem, iż minkę musi mieć bardzo surową, toteż za karę nie szukałem jej spojrzeń. W chwilę potem rzekła, iż pragnie wstać, zostawiliśmy więc ją samą. Obiad upłynął dość niewesoło, po czym pani de Tourvel oświadczyła, iż nie pójdzie na przechadzkę, dając mi tym samym do zrozumienia, że nie będę miał sposobności z nią mówić. Uczułem, iż tu jest właściwy moment na westchnienie i wzrok przepełniony boleścią; widocznie spodziewała się tego, gdyż spojrzała na mnie; była to jedyna chwila w całym dniu, w której udało mi się spotkać jej oczy. Mimo całej cnoty i ona ma swoje sztuczki, jak każda. Znalazłem okazję, aby zapytać, czy *była na tyle łaskawą, by uwiadomić mnie o moim losie*; zdziwiłem się nieco, usłyszawszy: *Owszem, odpisałam panu*. Pilno mi było dobrać się do tej epistoły⁸³; ale czy to przez chytrość, czy przez niezręczność lub bojaźliwość, oddała mi ją dopiero wieczorem, w chwili rozstania. Posyłam ci, markizo, ten list, również jak brulion⁸⁴ mego; czytaj i sądz; widzisz, z jaką skończoną obłudą ta dama twierdzi, że mnie nie kocha, gdy z pewnością rzecz się ma wręcz przeciwnie; i jeszcze gotowa się żalić, jeśli ja ją będę oszukiwał *potem*, gdy ona nie waha się oszukiwać mnie już *przedtem*! Tak, piękna przyjaciółko, najprzebieglejszy mężczyzna jeszcze nie dorówna w fałszu najbardziej szczerzej kobiecie. Mimo to trzeba będzie udawać, iż wierzę tej całej gadaninie i odgrywać sceny rozpacz, bo pani przyszła chętka bawić się w niezłomną cnotę! I jak tu się nie mścić za takie szelmostwa!... No! cierpliwości!... Ale do widzenia. Mam jeszcze dużo do pisania.

Ale, ale, nie zapomnij odesłać mi listu mojej tyranki; kto wie? mogłaby w przyszłości przywiązywać wagę do takich głupstewek; chcę być, na wszelki wypadek, w porządku.

Nie piszę nic w kwestii małej Volanges; pomówimy przy najbliższej sposobności.

Zamek ***, 20 sierpnia 17**

LIST XXVI

Prezydentowa de Tourvel do wicehrabiego de Valmont

Może pan być pewny, iż nie otrzymałby pan żadnej odpowiedzi, gdyby moje niemądre zachowanie wczoraj wieczorem nie zmuszało mnie do paru wyjaśnień. Tak jest, płakałam, przyznając: może również i te dwa słowa, które pan przytaczasz z taką skwapliwością,

⁸²*puls* — tu: miejsce na ciele (najczęściej na przegubie dłoni), w którym wyczuwane są drgania wywołane krążeniem krwi.

⁸³*epistola* — daw. list, przen. długi, nudny list.

⁸⁴*brulion* — tekst napisany na brudno.

wymknęły mi się z ust; widzę, że nic nie uszło pańskiej baczności; trzeba więc wszystko wytłumaczyć.

Ponieważ przywykłam wzbudzać tylko znaczne i godziwe uczucia, brać udział jedynie w rozmowach, których mogę słuchać bez rumieńca, słowem, cieszyć się bezpieczeństwem, na które zasługuję, nie umiem ani udawać, ani też ukrywać wrażeń. Zdumienie i pomieszenie wywołane pańskim zachowaniem, jakiś niezrozumiały lęk spowodowany sytuacją, w jakiej nie powinnam się być nigdy znaleźć, być może wzburzenie, iż widzę się zrównaną z owymi kobietami, którymi pan pogardzasz i traktowaną przezeń w równie lekki sposób — oto, co było powodem łez i wydarło mi z ust słowa skargi. Wyrażenie, które wydało się panu tak silnym, byłoby z pewnością o wiele jeszcze za słabe, gdyby mój płacz i wykrzyknik miały jeszcze inną pobudkę; gdybym zamiast potępiać pańskie obrażające uczucia, mogła się lękać, iż kiedykolwiek będę zdolna je podzielić.

Nie, panie, nie mam tej obawy; gdybym ją miała, uciekłabym o sto mil; udałabym się na pustynię, aby tam płakać nad nieszczęściem, iż spotkałam pana na mej drodze. Może nawet, mimo całej pewności, że pana nie kocham, że go nigdy nie pokocham, może byłabym lepiej uczyniła, idąc za radą przyjaciół i nie pozwalając nawet przybliżyć się do siebie.

Uwierzyłam, to moja jedyna wina, uwierzyłam, że pan potrafi uszanować uczciwą kobietę, która najszybciej pragnęła i pana również uważać za uczciwego człowieka; która stawiała nawet w pańskiej obronie, podczas gdy pan znieważałeś ją przez swe zbrodnicze zamiary. Pan mnie nie zna; nie, panie, pan mnie nie zna. Inaczej nie przyszedłoby panu na myśl brnąć z jednego zuchwałstwa w drugie. Stąd, iż ośmieliłeś się mówić rzeczy, których nie powinnam słuchać, uczułeś się w prawie napisania listu, którego nie powinna bym czytać: i po tym wszystkim prosisz, abym *kierowała twymi postępkami, dyktowała słowa!* Dobrze więc, stanie się, jak pan żąda; milczenie i niepamięć, oto rady, jakich mnie przystoi udzielić, panu usłuchać; wówczas będziesz miał w istocie prawa do mojego pobłażania: od pana zależałoby jedynie zdobyć sobie prawa do mej wdzięczności... Ale nie, nie zwrócę się z prośbą do tego, który mnie nie uszanował: nie dam dowodu ufności człowiekowi, który nadużył mego bezpieczeństwa. Zniewalas mnie pan, bym się go musiała obawiać, może nawet nienawidzić: nie chciałam tego; pragnęłam widzieć w panu jedynie siostrzeńca mej najczcigodniejszej przyjaciółki; przeciwstawiałam głos przyjaźni głosowi ogółu, który pana oskarżał. Zniszczyłeś wszystko; i — przewiduję to — nie będziesz chciał niczego naprawić.

Poprzestaję na tym, aby oznajmić panu, że jego uczucia obrażają mnie, że ich wyznanie jest dla mnie zniewagą. Nie tylko nie zdobędziesz wzajemności, ale jeśli sobie nie nakazesz milczenia, którego, sądzę, mam prawo oczekiwać, a nawet wymagać od pana, zmusisz mnie, abym pana nigdy nie oglądała na oczy. Dołączam do tego pisma pański list w nadziei, że i pan również zechcesz mi zwrócić mój własny; byłoby dla mnie wielką przykrością, gdyby pozostał jakikolwiek ślad wydarzenia, które nigdy nie powinno było mieć miejsca.

19 sierpnia 17**

LIST XXVIII

Cecylia Volanges do markizy de Merteuil

Mój Boże, jaka pani dobra! Jak pani dobrze odczuła, że łatwiej mi będzie pisać niż mówić! Bo też to, co mam pani powiedzieć, bardzo ciężko wyznać: ale przecież pani jest moją przyjaciółką, prawda? Och, tak, ukochaną przyjaciółką! Będę się starała nie bać; mnie tak trudno dać sobie rady bez pani, bez pani wskazówek! Bardzo mi ciężko, zdaje mi się, że każdy od razu pozna po mnie, co myślę: zwłaszcza kiedy on jest, czerwienię się zaraz, jak tylko kto spojrzy na mnie. Wczoraj, kiedy pani widziała, że płakałam, to z tego, że chciałam coś pani powiedzieć, a potem nie mogłam wydobyć słowa, i kiedy pani spytała, co mi jest, łzy mi same jakoś napłynęły do oczu. Nie umiałam po prostu zapanować nad sobą. Żeby nie pani, mama byłaby wszystko spostrzegła i co by się wówczas stało ze mną? Oto jakie jest teraz moje życie, zwłaszcza od czterech dni!

Całe cztery dni upłynęło już, tak, wszystko muszę pani powiedzieć, od czasu jak pan kawaler do mnie napisał. Och, zaręczam pani, że kiedy znalazłam jego list, zupełnie nie

wiedziała, co to takiego! Ale żeby już nic nie skłamać, nie mogę się zaprzeczyć, że strasznie mi się przyjemnie zrobiło, kiedy czytała; widzi pani, wolałabym już mieć zmartwienie przez całe życie, niż żeby on nie był do mnie napisał. Wiedziała dobrze, że nie powinnam mu tego powiedzieć, mogę pani zaręczyć nawet, powiedziałam, że jestem bardzo rozgniewana; ale on mówi, że to było ponad jego siły i ja to bardzo rozumiem; bo i ja postanowiłam sobie, że mu nie odpowiem, a i tak nie mogłam się powstrzymać i odpowiedziałam. Och, tylko raz napisałam do niego i to nawet głównie po to, żeby mu powiedzieć, żeby już nie pisał: ale mimo to on ciągle pisuje; a że ja mu nie odpowiadam, widzę, że jest taki smutny, a mnie to martwi jeszcze bardziej: tak że nie wiem już, co robić, ani jak postępować, i doprawdy jestem bardzo biedna.

Niech mi pani powie, proszę pani, czy to bardzo byłoby źle, żeby mu odpisać od czasu do czasu? Tylko dopóty, aż on potrafi przemóc na sobie, żeby nie pisać więcej i zostać tak, jak byliśmy przedtem: bo, co do mnie, jak tak dalej będzie, to nie wiem, co się ze mną stanie. O, kiedy czytała ostatni list, tom płakała, płakała tak, żem się nie mogła uspokoić; jestem pewniutka, że jeżeli mu jeszcze teraz nie odpowiem, znowu będziemy mieli masę zmartwienia.

Posłę pani jego list albo odpis i niech pani osądzi: zobaczy pani, że to naprawdę nic złego, o co on prosi. Jednakże jeżeli pani się będzie wydawać, że nie trzeba, to przyrzekam pani, że się powstrzymam; ale pewna jestem, że pani będzie myślała tak jak ja, że w tym nie ma nic złego.

Kiedy już o tym mówimy, niech mi pani pozwoli zadać jeszcze jedno pytanie: mówiono mi, że to źle, żeby kogoś kochać; ale dlaczego? Dlatego się pani pytam, bo kawaler Danceny utrzymuje, że w tym wcale nie ma nic złego i że prawie wszyscy kogoś kochają; gdyby tak było w istocie, nie wiem, czemu ja jedna miałabym sobie zabraniać: lub też, może to jest co złego tylko u panien? Bo przecież słyszałam, jak mama sama mówiła, że pani de D... kocha pana M... i nie mówiła o tym jak o czymś bardzo niedobrym; a przecież pewna jestem, że pogńiewałaby się na mnie, gdyby choć trochę domyślała się mojej przyjaźni dla pana Danceny. Mama uważa mnie zawsze za dziecko i o niczym ze mną nie mówi. Myślałam, kiedy mnie odbierała z klasztoru, że to po to, aby mnie wydać za męża; ale teraz wydaje mi się, że nie: nie żeby mi chodziło o to, zaręczam pani; ale pani, która jest z nią w takiej przyjaźni, może pani wie, jak jest naprawdę; jeżeli pani wie, mam nadzieję, że mi pani powie.

To dopiero długi list mi się napisał: ale skoro pani pozwala pisać do siebie, skorzystam z tego, aby powiedzieć wszystko, i liczę na pani przyjaźń.

Mam zaszczyt pozostać, etc.

Paryż, 23 sierpnia 17**

LIST XXVIII

Kawaler Danceny do Cecylii Volanges

Jak to, panno Cecyljo, czyż zawsze wzdraga się pani odpowiedzieć! Nic więc nie zdoła pani ugiąć? Każdy dzień unosi z sobą nadzieję, jaka mi zaświtała z jego brzaskiem? Cóż więc warta nasza przyjaźń, której nie zaprzesz się chyba, jeżeli nie posiada dość siły, by cię uczynić tkliwą na moją niedolę; jeżeli ci pozwala zostać spokojną i chłodną, podczas gdy ja cierpię wszystkie męczarnie nieugaszonych płomieni; jeżeli nie tylko nie zdoła obudzić w tobie zaufania, lecz nie wystarcza nawet, aby cię natchnąć odrobiną litości? Jak to, przyjaciel cierpi i ty nie czynisz nic, aby mu dopomóc! Błaga o jedno słowo tylko i ty mu go odmawiasz! Chcesz, aby zadowolili się uczuciem tak wątłym, o którym obawiasz się nawet upewnić go powtórnie!

Nie chciałabyś być niewdzięczną, mówiłaś pani wczoraj. Ach, wierzaj mi, pani, chcieć płacić miłość przyjaźnią, to nie znaczy obawiać się niewdzięczności, to znaczy jedynie obawiać się jej pozorów. Mimo to, nie śmiem dłużej mówić o uczuciu, które, skoro pani go nie dzieli, może być dla niej jedynie ciężarem; trzeba mi je za jaką bądź cenę zamknąć w samym sobie, czekając, aż je pokonam. Czuję, jak bardzo praca ta będzie uciążliwą; nie taję⁸⁵, że będę potrzebował wszystkich sił moich w tym celu; ucieknę się do wszelkich

⁸⁵ *taire* — ukrywać, zatajać.

środków: jest między nimi jeden, który najcięższym będzie dla mego serca, mianowicie przypominać sobie często, że twoje jest dla mnie z głazu. Spróbuję nawet rzadziej panią widywać; już myślę nad tym, aby znaleźć jakąś stosowną wymówkę.

Jak to! Miałbym wyrzec się słodkiego nałogu codziennego widywania pani! Ach, jedno jest pewne, że nigdy nie przestanę boleć nad tą stratą. Wieczysta niedola będzie nagrodą najtkliwszej w świecie miłości; tyś sama tak chciała, to twoje dzieło! Nigdy, czuję to, nie odnajdę szczęścia, które dzisiaj tracę; ty jedna byłaś stworzona dla mego serca; z jakąż rozkoszą uczyniłbym ślub, że będę żył jedynie dla ciebie! Ale ty nie chcesz przyjąć tego ślubu; milczenie twoje przekonuje mnie dostatecznie, że serce twoje nic za mną nie przemawia; milczenie to jest zarazem i najpewniejszym dowodem obojętności, i najokrutniejszym sposobem jej okazania. Żegnam więc panią.

Nie śmiem już ludzić się nadzieją odpowiedzi; miłość byłaby ją skreśliła z zapalem, przyjaźń z życzliwością, litość nawet z wyrozumieniem: ale litość, przyjaźń i miłość zároveň są obce twojemu, pani, sercu.

Paryż, 23 sierpnia 17**

LIST XXIX

Cecylia Volanges do Zofii Carnay

Dobrze mówiłam, Zosiu, są wypadki, w których można pisywać; i bardzo sobie dziś wyrzucam, że poszła za twoją radą, która sprawiła nam tyle zgryzoty. Musiałam chyba mieć słuszość, kiedy pani de Merteuil, osoba, która z pewnością wie dobrze, co trzeba, a co nie, sama wreszcie doszła do tego samego przekonania. Ze wszystkim się jej zwierzyłam. Z początku powiedziała to, co i ty: ale kiedy wszystko dobrze wytłumaczyłam, przyznała, że to zupełnie co innego; żąda tylko, abym jej pokazywała wszystkie nasze listy, aby być pewną, że nie napiszę nic, czego nie trzeba; toteż jestem już całkiem spokojna. Mój Boże, jak ja kocham panią de Merteuil! Jaka ona dobra! A to jest kobieta ze wszech miar szanowna. Teraz więc wszystko jest bez zarzutu.

Dopieroż teraz będę pisała do pana Danceny, a on jaki będzie szczęśliwy! Jeszcze więcej niż sam przypuszcza: bo dotąd mówiłam mu tylko o przyjaźni, a on zawsze chciał o miłości. Myślałam, że to jedno i to samo: ale jakoś nie śmiałam i jemu było przykro. Powiedziałam to pani de Merteuil; rzekła, że miałam słuszość i że nie trzeba przyznawać, że się kocha kogoś, dopiero wtedy, jak już się nie można wstrzymać; otóż ja pewna jestem, że już nie będę się mogła wstrzymać; ostatecznie, to jedno i to samo, a jemu będzie przyjemniej.

Pani de Merteuil powiedziała także, że mi pożyczy książek, w których mowa jest o tym wszystkim i z których nauczę się, jak postępować i także nauczę się pisać lepiej niż teraz. Widzisz, ona mi wytyka wszystkie braki; to najlepszy dowód, że mnie bardzo kocha. Zaleciła tylko, żeby nic mamie nie mówić o tych książkach, bo by to wyglądało jakby na wymówkę, że mama zaniedbała moje wykształcenie i to by mogło ją zmartwić. Och, ani słóweczka nie pisnę!

To jednak szczególne, żeby osoba, która ledwo że jest moją krewną, więcej troszczyła się o mnie niż rodzona matka! Co za szczęście dla mnie, że ją spotkałam!

Poprosiła także mamę, żeby pozwoliła wziąć mnie pojutrze do Opery, do jej łoży; powiedziała mi, że będziemy zupełnie same i będziemy sobie rozmawiały cały czas, bez obawy, żeby kto usłyszał: wolę to jeszcze o wiele niż Operę. Pomówimy także o moim małżeństwie: bo powiedziała, że to prawda, że mam iść za męża; ale nie mogłyśmy o tym dłużej porozmawiać. Doprawdy, czy to nie dziwne, że mama nie mówi ze mną o tym ani słowa?

Do widzenia, Zosięńko, muszę pisać do kawalera Danceny! Ach, jakam ja teraz szczęśliwa!

24 sierpnia 17**

LIST XXX

Cecylia Volanges do kawalera Danceny

Zatem, panie kawalerze, godzę się napisać do pana, upewnić go o mej przyjaźni, o *miłości*, skoro inaczej miałby pan być nieszczęśliwy. Mówi pan, że ja nie mam dobrego serca: zaręczam z pewnością, że pan się myli i spodziewam się, że teraz już pan nie wątpi. Jeżeli pan się martwił, że ja nie pisałam do pana, czy myśli pan, że i mnie nie było z tym ciężko? Ale bo też za żadne skarby świata nie chciałabym zrobić coś, co nie trzeba: z pewnością nawet nie byłabym się przyznała do mej miłości, gdybym się mogła powstrzymać; ale zaledwie mi przykro patrzeć, jak pan jest smutny. Mam nadzieję, że teraz już pan nigdy nie będzie taki i że będziemy bardzo szczęśliwi.

Spodziewam się, że pana ujrzę dziś wieczorem i że pan przyjdzie wcześniej: nigdy tak wcześniej, jak ja bym pragnęła. Mama spędza wieczór w domu i pewno pana będzie chciała zatrzymać; mam nadzieję, że pan nie będzie zaproszony gdzie indziej, tak jak przedwczoraj. Musiała być bardzo przyjemna ta kolacja, na którą pan poszedł? Jakoś strasznie się panu śpieszyło? Ale nie mówmy już o tym: teraz, kiedy pan wie, że go kocham, mam nadzieję, że będzie się pan starał być ze mną tyle, ile tylko się da; co do mnie, jest mi dobrze tylko wtedy, kiedy jestem z panem i chciałabym bardzo, aby i panu było tak samo.

Bardzo zmartwiona jestem, że pan jest jeszcze smutny w tej chwili, ale to nie z mojej winy. Poproszę pana o harfę zaraz, jak tylko pan przyjdzie, żeby pan dostał mój list jak najprędzej. Więcej już nie mogę zrobić.

Do widzenia panu. Kocham pana bardzo, z całego serca: im częściej to powtarzam, tym więcej rada jestem; mam nadzieję, że i pan także.

24 sierpnia 17**

LIST XXXI

Kawaler Danceny do Cecylii Volanges

O tak, z pewnością, pani, będziemy szczęśliwi. Moje szczęście jest pewne, skoro posiadam twe serce; twoje nie skończy się nigdy, jeżeli ma trwać tak długo jak miłość, którą mnie natchnęłaś! Jak to! Kochasz mnie, nie wzdurasz się już upewnić mnie o *swej miłości*! *Im częściej mi to powtarzasz, tym więcej rada jesteś!* Gdy przeczytałem to czarujące: *kocham pana*, napisane twoją ręką, zdawało mi się, że słyszę twoje cudne usta, jak powtarzają mi to wyznanie. Ujrzałem zwrócone ku mnie te niebiańskie oczy, upiękzone jeszcze wyrazem czułości. Usłyszałem zakłęcie, iż żyć pragniesz jedynie dla mnie. Och, przyjm i moje śluby, iż życie całe poświęcę twemu szczęściu; przyjm je i bądź pewna, że nie sprzeniewierzę się im nigdy!

Jakież szczęśliwy dzień spędziliśmy wczoraj! Ach! Czemuż pani de Merteuil nie co dzień ma jakieś tajemnice z twoją matką? Czemuż trzeba, aby myśl o tym skrępowaniu, jakie nas czeka, musiała się mieszać do czarujących wspomnień, przepełniających mą duszę? Czemuż nie mogę bez przerwy pieścić drobnej rączki, która mi napisała: „*kocham pana!*”, okrywać jej pocałunkami i mścić się w ten sposób za odmowę, jakiej doznałem, gdyś sięgnął po większą jeszcze łaskę!

Powiedz, Ciesiu ubóstwiana, skoro mama wróciła do pokoju, kiedy byliśmy zmuszeni, wskutek jej obecności, zwracać na siebie jedynie obojętne spojrzenia, kiedy nie mogłaś mnie już pocieszać zapewnieniami miłości po odmowie, jakiej doznałem, gdy zapragnąłem od ciebie żywszego uczuć dowodu, czy nie uczułaś w sercu żalu? Czy nie powiedziałaś sobie: ten pocałunek uczyniłby go jeszcze szczęśliwszym, i to ja pozbawiłam go tego szczęścia! Przyrzeknij, ubóstwiana, że przy najbliższym widzeniu nie będziesz już taka surowa. Dzięki tej obietnicy znajdę odwagę znoszenia przeciwności, jakie gotują nam losy; chwile okrutnej rozłąki mniej będą mi bolesne, jeśli będę miał pewność, że i ty dzielisz me żale.

Do widzenia, Ciesiu uroczą; nadchodzi pora, w której mam udać się do waszego domu. Niepodobnieństwem byłoby mi rozstać się z tobą, gdyby to nie było po to, aby oglądać ciebie samą. Do widzenia, ukochana, teraz, zawsze i na wieki.

25 sierpnia 17**

LIST XXXII

Pani de Volanges do prezydentowej de Tourvel

Żądasz zatem, dobra przyjaciółko, abym uwierzyła w cnotę pana de Valmont? Wyznaję, nie mogę się na to odważyć, i równie trudno by mi było uznać go pocziwym na podstawie jednego faktu, jak dla jednego błędu potępić jako zbrodniarza człowieka znanego z zacności. Ludzkość nie jest doskonała w żadnym kierunku, ani w złym, ani w dobrym. Zbrodniarz ma swoje cnoty, uczciwy człowiek swoje słabości. Prawda ta wy daje mi się tym godniejszą pamięci, ile że z niej właśnie płynie potrzeba wyrozumienia tak dla złych, jak też i dla dobrych; ona to winna chronić jednych od pychy, drugich od zrozpaczenia o sobie. Pomyślisz zapewne, że ja w tej chwili bardzo niedoskonale stosuję tę pobłażliwość, której zasady wyznaję; ale bo też cnota ta staje się w mych oczach jedynie niebezpieczną słabością, kiedy prowadzi nas do tego, aby jednaką miarą mierzyć niegodziwca i pocziwego człowieka.

Nie pozwolę sobie z pewnością na dociekanie pobudek postępków pana de Valmont; chcę wierzyć, iż są nie mniej chwalebne od samego uczynku: ale czyż to zmienia fakt, iż strawił życie na tym, aby szerzyć wśród rodzin niepokój, hańbę i zgorszenie? Słuchaj, jeżeli chcesz, głosu nieszczęśliwego, którego on wspomógł; ale niech ci ten głos nie przeszkadza słyszeć jęków stu ofiar, które pogłębił. Choćby pan de Valmont był, jak powiadasz, jedynie przykładem niebezpieczeństwa złych wpływów, to czyż, na odwrót, jego wpływ nie jest co najmniej równie niebezpieczny? Przypuszczasz, droga, że on może być zdolnym do szczęśliwego nawrócenia? Idźmy jeszcze dalej; przypuśćmy nawet, że ten cud nastąpił. Czy nie zostaje jeszcze zawsze przeciw niemu wyrok opinii publicznej i czy sam wyrok ów nie wystarcza, aby wytyczyć twoje postępowanie? Bóg jeden może odpuścić winy za chwilę skruchy; on czyta w sercach; ale ludzie mogą sądzić myśli jedynie na podstawie uczynków; i nikt, postradawszy szacunek drugich, nie ma prawa skarżyć się na nieufność, jaka go spotyka. Pomyśl zwłaszcza, moja młoda przyjaciółko, że nieraz do utraty tego szacunku wystarcza, że ktoś nie dość ceny⁸⁶ zdaje się doń⁸⁷ przywiązywać. Nie nazywaj tego surowego prawidła niesprawiedliwością; prócz tego bowiem, że ludzie mają powód mniemać, iż nie wyrzeka się tego cennego dobra ktoś, kto ma do niego pełne prawo, niewątpliwym jest, że z większą łatwością może ulec złemu ten, komu nie stanie za zaporę ów potężny hamulec. W takim zaś świetle postawiłoby cię zbliżenie z panem de Valmont, chociażby samo przez się najniewinniejsze.

Przestraszona zapalem, z jakim występujesz w jego obronie, spieszę uprzedzić możliwe zarzuty. Przytaczasz panią de Merteuil, której świat zdołał wybaczyć tę przyjaźń; zapytasz, czemu go przyjmuję w swym domu; powiesz, iż pana de Valmont nie tylko nie wykluczono z grona uczciwych ludzi, ale przeciwnie, jest mile widziany, poszukiwany nawet w całym tak zwanym dobrym towarzystwie. Sądzę, że mogę odpowiedzieć na wszystko.

Przed wszystkim pani de Merteuil, w istocie osoba ze wszech miar godna szacunku, posiada może jedną jedyną wadę, mianowicie zbyt ufną w swoje siły; jest to zręczny sternik, któremu sprawia przyjemność prowadzić łódź pośród skał i wirów. Dobry wynik starczy za usprawiedliwienie tej śmiałości: ale o ile słusznie można ją podziwiać, o tyle byłoby nieroztropnie wstępować w jej ślady; ona sama to przyznaje i wini się o tę słabość. Im dłużej obraca się w świecie i patrzy nań, tym zasady jej stają się surowsze: i nie waham się zaręczyć, że przychyliłaby się do mego poglądu.

Co się mnie tyczy, nie będę się uniewinniała. Istotnie, przyjmuję pana de Valmont jak wszyscy: jedna niekonsekwencja więcej pośród tysiąca innych. Wiesz dobrze, jak i ja, że życie spływa na tym, aby je widzieć, narzekać na nie i poddawać się! Pan de Valmont, przy pięknym nazwisku, dużym majątku i wielu ujmujących zaletach, zrozumiał bardzo rychło, że aby stać się panem otoczenia, wystarczy posługiwać się zręcznie pochlebstwem i szyderstwem. Nikt nie posiada w tym co on stopniu tego podwójnego talentu: jednym zdobywa sobie ludzi, dzięki drugiemu umie wzbudzać postrach. Nikt go nie szanuje, ale wszyscy się z nim liczą. Oto jego rola wśród świata, który, z większą ostrożnością niż odwagą, woli oszczędzać go niż otwarcie stanąć przeciw niemu.

Ale to pewna, że ani sama pani de Merteuil, ani żadna inna nie odważyłaby się zakopać gdzieś na wsi, prawie sam na sam z człowiekiem tego pokroju. I oto właśnie najcnotliw-

⁸⁶cena — tu: waga, znaczenie, szacunek.

⁸⁷doń — skrócone: do niego.

sza, najskromniejsza ze wszystkich daje przykład tej niewłaściwości; wybacz, proszę, to słowo, ale wydarło się ono z ust przyjaźni. Wierżaj, droga przyjaciółko, właśnie twoja nieskazitelność zwraca się przeciw tobie, wpajając ci uczucie zwodnego bezpieczeństwa. Pomyśl więc, że będziesz miała za sędziów z jednej strony ludzi lekkich, i ci nie będą zdolni uwierzyć w cnotę, której przykładów nie widzą koło siebie; z drugiej złych, którzy będą udawać, iż nie wierzą. Pomyśl, że czynisz w tej chwili coś, na co nie każdy mężczyzna by się ważył. To pewna, że spośród młodych ludzi, między którymi pan de Valmont aż nadto umiał się stać wyrocznią, każdy stateczniejszy strzegłby się pozorów zbyt ścisłej z nim zażyłości; a ty nie obawiasz się tego! Ach! cofnij się, cofnij, zaklinam... Jeśli moje wywody nie wystarczyły, aby cię przekonać, ustąp mojej przyjaźni; ona to każe mi ponawiać przestrogi, ona niechaj starczy za usprawiedliwienie. Znajdujesz mnie zbyt surową; chciałabym, aby surowość ta była zbytęcną; ale wolę, byś się miała użalać na mą zbytnią gorliwość niżli na opieszałość.

24 sierpnia 17**

LIST XXXIII

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Z chwilą kiedy obawiasz się dojść do celu, drogi wicehrabio, z chwilą gdy twoim zamiarem jest dostarczyć broni przeciw sobie i nie tyle pragniesz zwyciężyć, ile walczyć, nie mam już nic do powiedzenia. Postępowanie twoje jest arcydziełem roztropności. Byłoby arcydziełem głupstwa w razie odwrotnego przypuszczenia; i jeżeli mam być szczerą, obawiam się, że ulegasz złudzeniom w tej mierze.

Nie to ci wyrzucam, że nie skorzystałeś z chwili. Z jednej strony, nie jest mi wcale jasnym, czy ta chwila nadeszła: z drugiej, wiem dobrze, że — wbrew przysłowiu — utraconą sposobność zawsze się da odzyskać, podczas gdy wszystko można zepsuć przedwczesnym pośpiechem.

Ale czynem istotnie godnym uczniaka jest to, iż puściłeś się na pisanie. Zechciej się tylko zastanowić, dokąd to zaprowadzi? Masz może nadzieję przekonać na drodze argumentacji tę kobietę, iż powinna się oddać? Zdaje mi się, że taką prawdę można jedynie odczuć, nie dowieść jej, i że aby ją kobiecie narzucić, jedyną drogą jest wrzucić ją, nie zaś rezonować⁸⁸: lecz i na cóż by się zdało, gdybyś ją i wzruszył swymi epistolami, skoro nie będzie cię w tej chwili na miejscu, aby z tego skorzystać? Choćby nawet twoje piękne frazesy zdołały nadprzyrodzoną mocą wprawić ją w miłosne upojenie, czy pochlebiasz sobie, iż starczy tej mocy na to, aby jeszcze przed wyznaniem nie przyszła chwila opamiętania? Pomyśl, ile czasu potrzeba na napisanie listu; ile go upływa, zanim dostanie się do rąk odbiorcy; i zastanów się, czy zwłaszcza kobieta z zasadami może hodować przez tak długi czas pokusę, którą stara się wszelkimi siłami zwalczać?

Ten sposób może być skutecznym u dzieci, które kiedy piszą: *kocham*, nie wiedzą, że tym samym mówią: *jestem twoja*. Ale rezonująca cnota pani de Tourvel zdaje się znać bardzo dobrze wartość i znaczenie wyrazów. Toteż mimo przewagi, jaką uzyskałeś nad nią w rozmowie, ona cię bije na głowę w swym liście. A potem, czy wiesz, co się dzieje? Przez to samo, że ktoś się spiera, nie chce ze swego ustąpić. Siłąć się na wyszukanie argumentów, znajduje je wreszcie, wygłasza i później już upiera się przy nich, nie tyle dlatego, że są coś warte, ile aby nie przeczyć samemu sobie.

Wreszcie jedna jeszcze uwaga, której dziwię się, iż sam sobie nie uczyniłeś. Nie ma nic równie trudnego w miłości, jak pisać w sposób dający złudzenie prawdopodobieństwa: czyniąc to na chłodno, używasz niby tych samych wyrażen: ale nie układasz ich jakoś tak samo, a raczej układasz je i to już wystarczy. Odczytaj swój list: jest w nim jakiś porządek, jakiś ład, który zdradza cię w każdym zdaniu. Chcę przypuszczać, że prezydentowa zbyt mało jest wyrobiona, aby się na tym poznać: ale cóż stąd? Wrażenie niemniej chybiłone. To wada wszystkich romansów: autor dobywa ostatniego tchu, aby się rozpałić, a czytelnik pozostaje zimny. Jedna *Heloiza* może stanowi wyjątek; toteż, mimo całego talentu autora, nigdy nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że tło tego romansu musi być prawdziwe. Całkiem co innego w rozmowie. Przyzwyczajenie modulowania głosu może

⁸⁸rezonować — rozprawiać, przekonywać.

dać jego brzmieniu akcenty uczucia: łatwość wylewania łez pomnaża jeszcze to wrażenie: wyraz pożądania miesza się w oczach z wyrazem tliwości; mniejsza wreszcie ciągłość ustnej rozmowy łatwiej pozwala przybrać ów ton pomieszania i nieładu, które są prawdziwą wymową miłości: przede wszystkim zaś obecność kochanej osoby poraża zdolność zastanowienia i budzi w nas bezwiedną chęć uznania swej porażki.

Wierząc mi, wicehrabio: żądam, abyś nie pisał więcej, skorzystaj z tego, aby naprawić błąd, i czekaj na sposobność rozmowy. Czy wiesz, że ta kobieta silniejsza jest niż przypuszczałam? Obrona wcale tęga: gdyby nie rozmiary listu i nie furtka, jaką zostawia, byś mógł powrócić do przedmiotu na temat niedokończonego zdania o *wdzięczności*, nie byłaby się zdradziła ani na chwilę.

Moim zdaniem, wiary w zwycięstwo powinno ci dodać to, że ona zużywa za wiele sił naraz: przewiduję, że wyczerpie je na walkę o *słowa* i że ich zbraknie na obronę *rzeczy*.

Odsyłam ci oba listy; jeżeli masz nieco zastanowienia, będą to ostatnie aż do szczęśliwego *nazajutrz*. Gdyby nie było tak późno, pomówiłabym z tobą o małej Volanges, która czyni dość szybkie postępy: jestem z niej bardzo rada. Spodziewam się skończyć z nią jeszcze przed tobą, ku tym większemu twemu zawstydzeniu. Do widzenia na dzisiaj.

22 sierpnia 17*

LIST XXXIV

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Mówisz wspaniale, piękna przyjaciółko: ale po co zadawać sobie tyle trudu, aby udowodnić coś, o czym nikt nie wątpi. Aby szybko iść naprzód, lepiej mówić niż pisać; to, jak sądzę, sens moralny całego twego listu. Ależ to są najelementarniejsze zasady sztuki uwodzenia! Pozwolę sobie tylko zauważyć, że ty dopuszczasz jeden tylko wyjątek od tej zasady, gdy tymczasem istnieją dwa. Do dzieci, które wstępują na tę drogę przez nieśmiałość, a wydają się na łup przez niewiedzę, trzeba dołączyć jeszcze kobiety-pięknoduszki, które dają się wciągnąć przez miłość własną i które próżność zapędza do pułapki. Tak na przykład jestem pewny, że gdy hrabina de B... odpowiedziała bez trudności na mój pierwszy list, nie kochała się wówczas we mnie ani trochę więcej niż ja w niej i chwyciła się jedynie sposobności porozprawiania na temat, w którym da się powiedzieć wiele ładnych rzeczy.

Jak bądź się rzeczy mają, mówiąc po adwokacku, kwestia zasad jest w tym przypadku zgola bezprzedmiotowa. Jak widzę, przypuszczasz, że ja mam wolny wybór między pisanem a rozmową: tak nie jest. Od czasu wypadku z dnia 19. okrutna piękność, obwarowana jak forteca, unika wszelkiej możliwości spotkania, i to ze złością, wobec której moja staje się bezradną; do tego stopnia, że jeżeli to ma potrwać dłużej, będę zmuszony poważnie zastanowić się nad sposobami odzyskania straconej przewagi. Listy moje nawet stały się przedmiotem cichej wojny podjazdowej; nie dość, że nie odpowiada, ale wprost nie chce przyjmować. Za każdym razem trzeba uciekać się do nowego podstępu, a i to nie zawsze się udaje.

Przypominasz sobie, jak prostego sposobu użyłem przy pierwszym liście; z drugim również poszło gładko. Prosiła, bym zwrócił jej własny list: wręczyłem mój w jego miejsce, bez najmniejszego podejrzenia z jej strony. Ale czy to ze złości, że dała się oszukać, czy przez kaprys, czy też z pobudek cnoty (bo wreszcie zmusi mnie, abym uwierzył w cnotę!), stanowczo broniła się przed przyjęciem trzeciego. Mam nadzieję jednak, że przykre położenie, w jakim omal się nie znalazła w następstwie tej odmowy, poprawi ją na przyszłość.

Nie bardzo mnie dziwiło, że nie chce przyjąć tego listu, który próbowałem jej wręczyć całkiem po prostu; byłoby to już pewnym ustępstwem z jej strony; ja zaś byłem przygotowany na długą walkę. Po tym usiłowaniu, które zresztą było jedynie mimochodem uczynioną próbą, włożyłem list w kopertę i wybrawszy chwilę, kiedy pani de Rosemonde i panna służąca znajdowały się w jej pokoju, posłałem go przez strzelca, każąc oznajmić, że są to papiery, o które mnie prosiła. Zgadłem dobrze, że w obawie przykrych wyjaśnień nie zdobędzie się, aby wprost odrzucić zuchwałą przesyłkę; w istocie, wzięła list, a wysłannik mój, który miał rozkaz śledzić wyraz jej twarzy (umie zaś spostrzegać wcale bystro), zauważył jedynie lekki rumieniec i więcej zakłopotania niż gniewu.

Tryumfowałem zatem, pewny, że albo zachowa list, albo też, jeżeli zechce go zwrócić, będzie musiała znaleźć się ze mną sam na sam. Jakoż w niespełną godzinę służący wchodzi do mego pokoju i oddaje zwitek, na którego kopercie poznaję upragnione pismo. Otwieram z pośpiechem... Mój własny list, nieotwarty i złożony we dwoje!

Znasz mnie, markizo; nie potrzebuję ci zatem malować mej wściekłości. Trzeba jednak było przywołać na pomoc całą zimną krew i szukać nowych sposobów. Oto jedyny, jaki znalazłem.

Codziennie rano posyła się stąd po listy na pocztę odległą o trzy ćwierci mili. Do tego celu służy zamknięta puszka, od której poczmistrz ma jeden klucz, pani zaś de Rosemonde drugi. Każdy wrzuca do niej listy, kiedy mu się podoba; ktoś ze służby niesie je na pocztę, rano zaś odbiera te, które przybyły. Cała służba, tutejsza czy obca, wypełnia ten obowiązek kolejno. Nie była to wprawdzie kolej mego służącego; mimo to podjął się iść pod pozorem, że ma coś do załatwienia w tej stronie.

Zabrałem się tedy do mej epistoły. Zmieniłem charakter pisma na adresie i podrobiłem wcale nieźle na kopercie pieczętkę z Dijon⁸⁹. Obrałem to miasto, ponieważ bawiło mnie, skoro ubiegam się o te same prawa co mąż, pisać z tego samego miejsca, a także ponieważ dama kładła nam przez cały tydzień w uszy, iż pragnęłaby bardzo mieć wiadomości z Dijon. Uważałem za rzecz sprawiedliwą dostarczyć jej tej przyjemności.

Uporawszy się z wszystkimi ostrożnościami, bez trudności zdołałem wmieszać list pomiędzy inne. Zyskiwałem na tym sposobie i to, że mogłem być świadkiem doręczenia: obyczaj bowiem tutejszy każe zbierać się na śniadanie i następnie oczekiwać wspólnie poczty. Wreszcie nadeszła. Pani de Rosemonde otworzyła skrzynkę. „Z Dijon”, rzekła, oddając list pani de Tourvel. — „To nie pismo męża” odparła głosem pełnym niepokoju, żywo rozrywając pieczętkę. Pierwszy rzut oka objaśnił wszystko; wyraz takiego pomieszczenia odmalował się na jej twarzy, że pani de Rosemonde spostrzegła to i rzekła: „Co tobie, dziecko?”. Zbliżyłem się również, mówiąc: „Musi być chyba coś bardzo strasznego w tym liście?”. Skromnisia nie śmiała oczu podnieść, nie wyrzekła słowa, i aby pokryć zakłopotanie, udawała, że przebiega oczami list, którego czytać nie była zdolną. Cieszyłem się jej pomieszczeniem i dość zadowolony, iż mogę się z nią podrażnić, dodałem: „Uspokoiła się pani trochę: wolno przypuszczać, iż list ten sprawił więcej zdziwienia niż przykrości”. Wówczas gniew natchnął ją lepiej, niżby to mogła uczynić rozważa. „List ten — rzekła — zawiera rzeczy, które są dla mnie obrazą, i dziwię się, że ktoś ośmielił się go do mnie napisać”. — „Któż taki?” — przerwała pani de Rosemonde. — „Nie jest podpisany — odparła — ale i list, i autor budzą we mnie jednakową wzdrgę i bardzo bym pragnęła nie słyszeć o nich więcej”. Mówiąc te słowa, przedarta zuchwałe pismo, schowała kawałki do kieszeni, wstała i wyszła.

Mimo tego gniewu, bądź co bądź, odebrała list, a polegam już na jej ciekawości, że go sumiennie przeczyta od deski do deski.

Dalsze szczegóły dnia zaprowadziłyby mnie zbyt daleko. Łączę do tego opisu brulion listów; w ten sposób będziesz mogła zdać sobie sprawę ze wszystkiego. Jeżeli pragniesz, markizo, śledzić przebieg korespondencji, musisz się przyzwyczaić odcyfrowywać moje gryzmoły: za żadne skarby świata nie zdobyłbym się na nudę przepisywania. Do widzenia, piękna przyjaciółko.

25 sierpnia 17**

LIST XXXV

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel

Trzeba ci być posłusznym, pani; trzeba dowieść, że pośród tylu błędów, których podobna ci się we mnie doszukiwać, zostało mi przynajmniej dość delikatności, bym sobie nie pozwolił na żadne wyrzuty i dość siły woli, bym umiał sobie nałożyć najcięższe ofiary. Zalecasz milczenie i niepamięć! Dobrze więc! Nakazę mej miłości, ażeby zamilkła; zapomnę, jeśli możebna, okrutny sposób, w jaki przyjęłaś jej wyznanie. Podobna ci się, pani, patrzeć na mą miłość jak na zniewagę; zapominasz, że gdyby mogła być winą, ty byłabyś zarazem tej winy przyczyną i usprawiedliwieniem. Zapominasz również, iż mnie, przyzwyczajonemu otwierać ci mą duszę nawet wówczas, kiedy ta ufność mogła mi zaszkodzić w twych

⁸⁹ *Dijon* — miasto we Francji w rejonie Burgundii.

oczach, niepodobieństwem było ukryć przed tobą uczucia przepełniające me serce. Na to, co było dziełem dobrej wiary, ty, pani, patrzysz jako na owoc zuchwalstwa. W nagrodę najczulszej, najbardziej pełnej szacunku, najszczerzej miłości, odrzucasz mnie daleko od siebie. Mówisz w końcu o swej nienawiści... Któż inny nie skarżyłby się na moim miejscu, gdyby się z nim obchodzono w ten sposób? Ja jeden poddaję się; cierpię wszystko i nie szemram; ty wymierzasz cios, ja ubóstwiam rękę, która go zadała. Niepojęta władza, jaką posiadasz nade mną, czyni cię wszechmocną panią mych uczuć; jeśli miłość moja ci się opiera, jeśli nie zdołasz jej zniweczyć, to dlatego, że twoim jest dziełem, nie moim.

Nie żądam bynajmniej wzajemności, którą się nigdy nie ludziłem. Nie oczekuję nawet tej litości, której nadzieję mogłaby we mnie obudzić okazywana mi niekiedy sympatia. Ale mniemam, przyznaję, że mam prawo odwołać się do twej sprawiedliwości.

Mówi pani, że próbowano mi szkodzić w twej opinii. Gdybyś słuchała rady przyjaciół, nie byłabyś mi pozwoliła nawet zbliżyć się do siebie: oto twoje słowa. I któż są owi tak gorliwi przyjaciele? Ludzie pojęć tak surowych, cnoty tak nieskazitelnej, zgodzą się z pewnością, aby ich wymienić; nie pragną chyba okrywać się tajemnicą, która by ich stawiała w rzędzie nikczemnych potwarców; toteż mniemam, będzie mi wolno dowiedzieć się, kto oni są i co mi zarzucają. Zrozum pani, mam prawo do tego, skoro na tej podstawie opiera się twój wyrok. Nie skazuje się winnego, nie wymieniając mu jego występku, ani też imion oskarżycieli. Nie żądam innej łaski i z góry zobowiązuję się usprawiedliwić, zmusić ich, by odwołali zarzuty.

Jeśli zanadto może gardziłem w życiu czczymi⁹⁰ sądami gawiedzi, inaczej mają się rzeczy, gdy idzie o twój, pani, szacunek. Skoro życie poświęcić chcę na to, aby nań zasłużyć, nie pozwolę go sobie wydrzeć tak bezkarnie. Jest mi tym bardziej cenny, iż jemu z pewnością mógłbym zawdzięczać ową prośbę, przed którą się tak wzdragasz, a która dałaby mi, jak mówisz, *prawa do twej wdzięczności*. Ach, nie żądam jej od ciebie! Ja to będę czuł raczej wdzięczność niewygasłą, jeżeli dasz mi sposobność, bym się w czymkolwiek tobie stać mógł miłym. Zaczynaj więc postępować nieco sprawiedliwiej: nie ukrywaj dłużej, czego ode mnie pragniesz. Gdybym mógł odgadnąć, oszczędziłbym ci trudu mówienia o tym. Do rozkoszy oglądania ciebie, dorzucę szczęście służenia ci, pani, a będę wielbił twą łaskawość. Cóż może cię wstrzymywać? Chyba nie obawa odmowy? Tego, czuję, nie mógłbym ci, pani, przebaczyć. Bo nie jest odmową to, iż dotychczas nie zwróciłem ci listu. Pragnąłbym bardziej od ciebie jeszcze, aby mi nie był już potrzebny: ale przyzwyczajony uwielbiać twą duszę tak pełną słodyczy, jedynie w tym liście mogę cię odnaleźć taką, jaką pragniesz się objawić. Gdy marzę o tym, aby zmiękczyć twoje serce, czytam oto, iż nimbyś się miała na to zgodzić, raczej uciekłabyś o sto mil; gdy cała twa luba istota potęguje i usprawiedliwia mą miłość, list znowu mi powtarza, że miłość moja jest dla ciebie zniewagą; skoro zaś, patrząc na cię, czuję, iż uczucie to jest dla mnie najwyższym dobrem, muszę odczytać twe słowa, by pamiętać, że jest ono mą najsroźszą niedolą. Pojmujesz teraz, pani, że mym największym szczęściem byłoby oddać ci ten list złowrogi; żądając zwrotu, uprawniałabyś mnie, bym przestał brać za prawdę to, co on zawiera: nie wątpisz chyba, jak skwapliwie pospieszyłbym usłuchać.

21 sierpnia 17**

LIST XXXVI

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel

(Znaczony z Dijon)

Surowość twoja, pani, wzmagą się z każdym dniem; zdawałoby się, doprawdy, iż w stosunku do mnie mniej lękasz się być niesprawiedliwą niż zdolną do wyrozumiałości. Wydawszy wyrok bez wysłuchania mnie, musiałas uczuć, w istocie, że łatwiej będzie nie czytać moich racji, niżeli na nie odpowiedzieć. Odmawiasz uparcie przyjęcia listów; zwracasz je ze wzgardą. Zmuszasz wreszcie, bym uciekał się do podstępu, w tej chwili właśnie, w której mym jedynym celem jest przekonać panią o mej dobrej wierze. Konieczność obrony, w jakiej mnie postawiłaś, usprawiedliwia wszakże wszystkie środki. W poczuciu szczerości mych uczuć, w przekonaniu, że wystarczy dać ci je poznać w ich prawdziwej

⁹⁰czczy — nic nieznaczący, nie mający potwierdzenia.

istocie, aby uniewinnić się w twoich oczach, odważyłem się na ten niewinny podstęp. Ośmielałem się mniemać, że mi go przebaczysz; nie powinno cię dziwić, iż miłość bardziej jest przemyślna w sposobach wynurzania uczuć niż obojętność w oddalaniu ich od siebie.

Pozwól więc, pani, aby me serce odsłoniło się przed tobą całkowicie. Masz prawo, masz obowiązek poznać je do głębi.

Przybywając do pani de Rosemonde, daleki byłem od przewidywania losu, który mnie tu oczekiwał. Nie wiedziałem, że tu przebywasz; dodam nawet, z właściwą mi szczerością, że gdybym i wiedział, nie byłoby mnie to zaniepokoiło; nie, iżbym nie oddawał twym wdziękom należnej sprawiedliwości, ale przywykły podlegać jedynie zachceniom, a poddawać się im tylko wówczas, kiedy je podsycala nadzieja powodzenia, nie znałem po prostu, co są udręczenia miłości.

Byłaś pani świadkiem, jak bardzo nalegała pani de Rosemonde, bym u niej pozostał przynajmniej czas jakiś. Spędziłem już jeden dzień w twoim towarzystwie: mimo to uległem jedynie — lub przynajmniej tak mi się zdawało — naturalnej i usprawiedliwionej przyjemności okazania względów sędziwej i czcigodnej krewnej. Rodzaj życia, jaki prowadzimy tutaj, różnił się bardzo, zaiste, od tego, do jakiego byłem przyzwyczajony; mimo to nic mnie nie kosztowało zastosować się doń! Nie starając się zgłębiać przyczyn zmiany, jaka odbywała się we mnie, przypisywałem ją jedynie łatwości mego charakteru, o której, zdaje mi się, już wspominałem kiedyś.

Na nieszczęście (i czemuż trzeba, aby to było nieszczęściem?), poznając cię, pani, lepiej, poznałem wkrótce, że twoja urocza postać, która jedynie z początku ściągnęła mą uwagę, była najmnijszą spomiędzy twych zalet; twoja niebiańska dusza wprawiła w zdumienie, porwała za sobą moją. Podziwiałem piękność, ubóstwiałem cnotę. Nie kusząc się zdobywać cię, pragnąłem stać się ciebie godnym. Odwołując się do twego pobłażania za mą przeszłość, marzyłem o twej sympatii na przyszłość. Szukałem jej w słowach, śledziłem w spojrzeniach; w spojrzeniach, z których płynęła trucizna tym niebezpieczniejsza, że sączona bez zamiaru, wchłaniania bez obawy.

I tak poznałem miłość. Ale jakże daleki byłem wówczas od rozpacz! Gotowy porzucić ją w wieczystym milczeniu, oddawałem się bez obawy, zarówno jak bez miary, rozkosznemu uczuciu. Każdy dzień pomnażał jego potęgę. Wkrótce przyjemność widywania cię stała się koniecznością. Skoro tylko oddalałaś się na chwilę, serce moje ścisnęło się z żalu; szelest, który zwiastował twój powrót, przyprowadzał je o drżenie. Istniałem już jedynie dla ciebie i przez ciebie. Mimo to ciebie samą wzywam na świadectwo: czy kiedykolwiek, bądź to wśród wesołości niewinnych igraszek, bądź wówczas, gdy nas pochłaniała poważna rozmowa, wymknęło mi się bodaj jedno słowo zdolne zdradzić tajemnicę mego serca?

Wreszcie nadszedł dzień, w którym miała się rozpocząć moja niedola: przez jakiś niepojęty fatalizm⁹¹ dobry uczynek stał się jej zwiastunem. Tak, pani, w obliczu tych nieszczęśliwych, którym użyczyłem pomocy, ty, pani, objawiając skarby tej najcenniejszej tkliwości, która upiększa piękność samą i dodaje blasku cnotcie, obłąkałaś do reszty serce, już nieprzytomne z nadmiaru miłości. Przypominasz sobie może zamyślenie, w jakim utonałem w czasie owego powrotu! Niestety! Starłem się jeszcze walczyć ze skłonnością, która, czułem to, stawała się mocniejszą ode mnie.

Wówczas to, kiedy już wyczerpałem siły w nierównej walce, przypadek, którego nie byłem mocen⁹² przewidzieć, kazał mi znaleźć się sam na sam z tobą. Tutaj uległem, wyznaję. Serce moje, nazbyt wezbrane, nie zdołało powstrzymać ani słów, ani łez, które się zeń⁹³ wydarły przemocą. Ale czyż to jest zbrodnią? A jeśli nawet, czy nie dosyć ukarany jestem przez straszliwe cierpienia, których doznaję?

Pożerany miłością bez cienia nadziei, błagam cię, pani, o litość i znajduję nienawiść; jedyne szczęście czerpiąc w twym widoku, mimo woli szukam cię oczyma i drżę przed spotkaniem twych spojrzeń. W okropnym stanie, do jakiegoś mnie doprowadziła, trawię dni na ukrywaniu mych cierpień, noce zaś na oddawaniu się im ze zdwojoną siłą; podczas gdy ty, spokojna i obojętna, jeśli znasz te męczarnie, to tylko stąd, że umiesz je

⁹¹*fatalizm* — nieunikniony los.

⁹²*nie byłem mocen* — dziś: nie byłem w mocy; nie mogłem, nie byłem w stanie.

⁹³*zeń* — skrócone: z niego.

zadawać i dumę czerpać z własnych okrucieństw. Mimo to ty, pani, się uskarżasz, a ja się usprawiedliwiam!

Oto wszystko, pani, oto wierne przedstawienie moich, jak nazywasz, błędów, które może słuszniej byłoby nazywać mym nieszczęściem. Miłość czysta i szczerza, cześć niezmacona ani na chwilę, poddanie się bez granic: oto uczucia, jakimi mnie natchnęłaś. Takiego hołdu nie obawiałbym się przedłożyć samemu Bóstwu. O ty, która jesteś jego najpiękniejszym dziełem, chciej naśladować je w dobroci i pobłażaniu! Wejrzyj na me okrutne męczarnie; pomyśl zwłaszcza, że nieszczęsnemu, postawionemu przez ciebie między najwyższą szczęśliwością a najstraszliwszą rozpaczą, pierwsze słowo, które wyrzekniesz, będzie wyrokiem wiekuistego losu.

23 sierpnia 17**

LIST XXXVII

Prezydentowa de Tourvel do pani de Volanges

Poddaję się, pani, radom, które dyktuje ci przyjaźń. Przywykła szanować we wszystkim twe zapatrywania, zawsze gotowa jestem zarazem wierzyć w ich słusność i rozum. Przyznam nawet, że pan de Valmont musi być w istocie człowiekiem bardzo niebezpiecznym, jeżeli potrafi równocześnie udawać takiego, jakim jest tutaj, a w głębi zostać tym, jakim go pani maluje. Jak bądź się rzeczy mają, skoro ty tego żądasz, oddalę go od siebie: uczynię przynajmniej po temu, co będzie w mej mocy, nieraz bowiem rzeczy w treści bardzo proste, stają się kłopotliwe przez swą formę.

Ciągle wydaje mi się niepodobieństwem prosić o to jego ciotkę: żądanie takie byłoby uchybieniem zarówno jej, jak jemu. Bardzo niechętnie również zdecydowałabym się sama wyjechać; pomijając już bowiem przyczyny, które przytoczyłam poprzednio, gdyby mój wyjazd, co być bardzo może, był nie po myśli pana de Valmont, czyż nie mógłby on z łatwością pośpieszyć za mną do Paryża? Powrót zaś ten, którego ja, przynajmniej w oczach ludzi, byłabym powodem, czyż nie bardziej jeszcze byłby rażącym niż spotkanie na wsi u osoby, o której cały świat wie, iż jest jego krewną, a moją przyjaciółką?

Pozostaje mi więc tylko skłonić jego samego, aby zechciał się usunąć. Czuję, że nie jest zbyt łatwo uczynić taką propozycję, ponieważ jednak, o ile mi się wydaje, panu de Valmont zależy na tym, aby mi dowieść, iż w istocie lepszym jest od swej reputacji, nie tracę nadziei. Rada nawet będę, że będę miała sposobność ocenić, czy prawdą jest, co on często powiada, iż nigdy uczciwa kobieta nie miała ani nie będzie miała powodu uskarżać się na jego postępowanie. Jeśli odjedzie, jak bym pragnęła, uczyni to w istocie jedynie przez wzgląd dla mnie: wiem dobrze, że miał zamiar zabawić do późnej jesieni. Jeśli odmówi i uprze się zostać, zawsze będę miała dość czasu, aby wyjechać i przyrzekam to uczynić.

Oto, jak sądzę, wszystko, czego przyjaźń twoja żądała: pospieszam skwapliwie uczynić jej zadość i dowieść, iż mimo *zapachu*, z jakim mogłam ujmować się za panem de Valmont, zawsze skłonna jestem nie tylko wysłuchać, lecz i wypełnić rady mych dobrych przyjaciół.

Mam zaszczyt etc.

24 sierpnia 17**

LIST XXXVIII

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Odebrałam przed chwilą olbrzymi pakiet, drogi wicehrabio. Jeżeli data jest ścisła, powinnam go była otrzymać o dobę wcześniej; ale to pewna, że, gdybym obróciła czas na czytanie tych foliałów⁹⁴, zbrakłoby mi go z pewnością na odpowiedź. Wolę zatem poprzestać na potwierdzeniu odbioru i na razie pomówić o czym innym. Nie sądz z tego, iż mam ci coś do opowiedzenia na własny rachunek: jesień ogalała Paryż niemal ze wszystkich mężczyzn bodaj trochę podobnych do ludzi; toteż odznaczam się od miesiąca wiernością wprost morderczą i każdy, prócz kawalera, byłby już znużony dowodami mej stałości. Pozostając tedy w przymusowym bezrobociu, próbuję się rozrywać z małą de Volanges; o niej właśnie chcę pomówić.

⁹⁴*foliał* — gruba książka dużych rozmiarów, przen.: obszerne dzieło.

Czy wiesz, że więcej, niż myślisz, straciłeś na tym, że nie chciałeś się zająć tym dzieckiem? Rozkoszna jest, doprawdy! Lube⁹⁵ stworzonko: ani charakteru, ani zasad; pomyśl, co za nieocenione zalety w pożyciu! Nie sądzę, by kiedykolwiek silną jej stroną miało być uczucie; ale wszystko zapowiada obudzenie zmysłów bardzo a bardzo obiecujące. Inteligencji tam nie ma; nawet sprytu; posiada jednak pewną naturalną, jeśli można się tak wyrazić, zdolność fałszu, która nieraz zdumiewa mnie samą i która ma tym więcej widoków powodzenia, ile że twarzyczka przedstawia sam obraz prostoty i niewinności. Z natury wielki z niej pieścizoch, z czego nieraz mam trochę rozrywki: nie uwierzyłbyś, jak ta główka umie się rozpalać; a tym zabawniejsza przez to, że nie wie nic, ale to zupełnie nic, a chciałaby wiedzieć wszystko. Paradna⁹⁶ jest czasem doprawdy: śmieje się, złości, płacze, a potem prosi, aby ją nauczyć, i to z naiwnością wprost rozczulającą. Doprawdy, prawie że jestem zazdrosna o tego, komu los przeznaczył w udziale tę przyjemność.

Nie wiem, czy ci pisałam, że od kilku dni mam zaszczyt być jej powiernicą. Domyślasz się, że zrazu⁹⁷ trzymałam się bardzo ostro: ale skoro tylko małej mogło się zdawać, że mnie przekonała swymi głupiotkami argumentami, udałam, że je biorę za dobrą monetę⁹⁸. Jest tedy najpewniejsza w świecie, że zawdzięcza ten sukces swej wymowie: uważałam za właściwe zachować tę ostrożność, aby się zanadto nie odsłaniać. Pozwoliłam jej pisać i mówić: *kocham*; tegoż samego dnia, nie wspominając ani słowa, dostarczyłam jej sposobności *sam na sam* z Dancenym. Ale, wyobraź sobie, z niego jeszcze taki głuptasek, że nie umiał uzyskać nawet pocałunku. A przecież ten chłopak pisuje bardzo ładne wiersze! Mój Boże! Jacyż ci inteligentni ludzie są głupi! Nie wiem, doprawdy, co z nim począć; jego przecież nie mogę prowadzić za rączkę!

Obecnie tedy mógłbyś mi być bardzo pomocnym. Jesteś dość blisko z Dancenym, aby wydobyć z niego jakieś zwierzenia, gdyby zaś raz wszedł na tę drogę, pojechalibyśmy gładko. Załatw się zatem co rychlej z prezydentową, bo — tak czy owak — nie chcę, aby Gercourt miał wyjść cało. Rozgadałam się już zresztą o nim z młodą osobką i odmalowałam go tak skutecznie, że gdyby była jego żoną od lat dziesięciu, nie mogłaby go lepiej nienawidzić. Mimo to nie szczędziłam kazań na punkcie małżeńskiej wierności; okazałam w tym względzie wprost budującą surowość. Przez to z jednej strony utrwałam w jej oczach moją reputację, której nadmierna pobłażliwość mogłaby zaszkodzić; z drugiej potęguję w niej tę nienawiść, z jakiej pragnę uczynić podarek ślubny mężowi. Wreszcie, utwierdzając przekonanie, że wolno jej żyć dla miłości jedynie przez ten krótki czas panieństwa, mam nadzieję, że łatwiej rozwinie się w niej chęćka, aby nic zeń nie uronić.

Do widzenia, wicehrabio; zabiorę się do toalety albo też zacznę czytać twoje foliały.

27 sierpnia 17**

LIST XXXIX

Cecylia Volanges do Zofii Carnay

Smutna jestem i niespokojna, Zosiu droga. Płakałam prawie całą noc. Wprawdzie, mimo wszystko, na razie czuję się i tak bardzo szczęśliwą, ale boję się, że to niedługo potrwa.

Byłam wczoraj w Operze z panią de Merteuil; rozmawialiśmy dużo o moim małżeństwie, ale to, co usłyszałam, wcale mnie nie pocieszyło. Mój przyszły mąż nazywa się hrabia de Gercourt, a ślub ma być już w październiku. Jest bogaty, pochodzi ze znakomitej rodziny, jest pułkownikiem w pułku **. Aż dotąd wszystko bardzo ładnie. Ale przede wszystkim jest stary: wyobraź sobie, ma co najmniej trzydzieści sześć lat! A potem pani de Merteuil mówi, że jest ponury i zgryźliwy; obawia się, że nie będę z nim szczęśliwa. Widziałam nawet po niej, że całkiem na pewno tak myśli, tylko nie chciała wyraźnie powiedzieć, żeby mnie nie martwić. Prawie cały wieczór mówiła tylko o obowiązkach żony: przyznaje, że pan de Gercourt nie jest miły ani powabny, a jednak mówi, że trzeba koniecznie go kochać. Powiedziała także, że, gdy raz wyjdę za mąż, nie wolno mi będzie kochać kawalera Danceny! Jak gdyby to było możliwe! Och! Co do tego, ręczę ci, że będę

⁹⁵luby (daw.) — miły, przyjemny, kochany.

⁹⁶paradny (daw.) — zabawny, śmieszny.

⁹⁷zrazu — początkowo.

⁹⁸brać za dobrą monetę — wierzyć w coś, uznawać za prawdę.

go kochała zawsze. To już bym wołała wcale nie iść za męża. Niech ten pan Gercourt robi sobie, co mu się podoba, ja go wcale nie prosiłam. Teraz jest na Korsyce, bardzo daleko; chciałabym, żeby tam siedział z dziesięć lat. Gdybym się nie bała, że mnie wsadzą na powrót do klasztoru, zaraz bym powiedziała mamie, że nie chcę takiego męża; ale to by było jeszcze gorzej.

Wielki mam kłopot, Zosieńko. Czuję, że nigdy jeszcze tak nie kochałam pana Danceny; i kiedy pomyślę, że już tylko miesiąc tego życia, zaraz mi łzy napływają do oczu. Jedyną pociechą jest przyjaźń pani de Merteuil; ona ma takie dobre serce! Każdym moim zmartwieniem przejmuję się na równi ze mną; przy tym taka miła, że jak jestem z nią razem, już prawie o tamtym nie myślę. Bardzo dużo korzystam w jej towarzystwie; to troszkę, co wiem, to wszystko od niej; i taka dobra, że mówię jej wszystko, co myślę, bez najmniejszego zawstydzienia. Kiedy ona uważa, że coś jest niedobrze, łaje mnie czasem, ale bardzo łagodnie; potem całuję ją i ściskam z całego serca tak długo, aż się przestanie gniewać. Przynajmniej co ją, to wolno mi kochać, ile mi się spodoba i nic w tym nie ma złego; strasznie się cieszę. Ułożyliśmy się jednak, że nie będę pokazywała przy wszystkich, że ją tak bardzo kocham, zwłaszcza przed mamą nie, żeby się nie domyśliła czego o kawalerze Danceny. Zaręczam ci, że gdybym mogła zawsze żyć tak jak teraz, byłabym bardzo szczęśliwa. Tylko ten paskudny pan de Gercourt!... Ale nie chcę już więcej o nim mówić; znowu bym się zrobiła smutna. Zamiast tego wolę napisać do kawalera Danceny; będę mówiła tylko o mojej miłości, nie o zgryzotach, bo nie chcę go zmartwić.

Do widzenia, moja złota. Widzisz więc, że niesłusznie żaliłaś się na mnie i że, mimo że jestem *zajęta*, jak mówisz, zawsze zostanie mi dość czasu, aby cię kochać i pisać do ciebie⁹⁹.

27 sierpnia 17**

LIST XL

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Nie dość już okrutnej, że nie odpowiada na listy, że odmawia ich przyjęcia; chce mnie pozbawić i swego widoku, żąda, abym się usunął. Bardziej się może zadziwisz, markizo, że ja się poddam tym surowym wyrokom. Zganisz mnie za to. A jednak, zdawało mi się, iż dobrze jest nie wypuszczać sposobności przyjęcia od niej *rozkazu*. Z jednej strony, moim zdaniem, ktoś, kto rozkazuje, tym samym zaciąga zobowiązania; z drugiej, uważam, że najtrudniejszą do uniknięcia pułapką dla kobiety jest owa złudna przewaga, jaką jej pozornie przyznajemy. A przy tym, dzięki zręczności, z jaką pani de Tourvel umiała się wystrzegać każdej chwili rozmowy, położenie zaczynało się stawać bardzo niebezpiecznym: trzeba było zeń wyjść za każdą cenę. Przebywając bezustannie w jej towarzystwie bez możliwości zaprzątania jej moją miłością, miałem wszelkie powody obawiać się, iż osoba moja przestanie wreszcie być dla niej źródłem ciągłego niepokoju: sama wiesz, jak trudno później to odzyskać.

Zgadujesz zresztą, że nie poddałem się bez jakichś warunków. Byłem nawet o tyle przezorny, że postawiłem jeden, niepodobny do przyjęcia; zarówno aby zostać zawsze panem dotrzymania słowa lub wycofania się, jak również aby dać początek dyskusji, bądź pisemnej, bądź ustnej, w chwili gdy moja pani sama najprzychylniej jest dla mnie usposobiona, a zarazem najbardziej musi mnie oszczędzać. Wreszcie musiałbym być bardzo niezręczny, gdybym nie znalazł sposobu wytargowania jakiejś kompensaty¹⁰⁰, w razie gdybym odstąpił od tej pretensji¹⁰¹ mimo całej jej niewykonalności.

Wyłożywszy tedy moje racje w tym przydługim wstępie, przystępuję do skreślenia historycznego przebiegu ostatnich dni. Jako dokument załączam list mego ideału i moją odpowiedź. Przyznasz, że co do ścisłości niewielu dziejopisów mogłoby ze mną rywalizować.

⁹⁹(...) zawsze zostanie mi dość czasu, aby (...) pisać do ciebie — pomija się w dalszym ciągu listy Cecylii Volanges i kawalera Danceny, jako mało interesujące i niezawierające żadnych godnych uwagi wydarzeń. [przypis autorski]

¹⁰⁰*kompensata* — wynagrodzenie strat lub krzywd.

¹⁰¹*pretensja* — tu: prawo, które ktoś przyznaje sobie do czegoś.

Przypominasz sobie wrażenie, jakie wywołał przedwczoraj mój list z *Dijon*: reszta dnia spłynęła równie burzliwie. Skromnisia zjawiała się dopiero do obiadu i oznajmiła, że ma silną migrenę: pozór, którym chciała pokryć widoczne i gwałtowne rozdrażnienie. Stan wewnętrzny odbił się również na twarzy; owa słodycz spojrzenia, która, jak pamiętasz, jest dla niej tak znamioną, zmieniła się w wyraz jakiegoś dąsu, co prawda zdobiącego jej piękność nowym wdziękiem. Przyrzekam sobie, iż w przyszłości będę korzystał z tego odkrycia i nie omieszkam podręczyć jej od czasu do czasu.

Poobiedzie zapowiadało się niezabawnie; toteż pragnąc go sobie oszczędzić, wymówiłem się pilnymi listami i schroniłem do siebie. Wróciłem do salonu około szóstej; pani de Rosemonde zaproponowała przejażdżkę, co zostało przychylnie przyjęte. Ale w chwili siadania do powozu pani de Tourvel, w przystępie jakiejś piekielnej złośliwości (być może, aby się zemścić za moje zniknięcie po obiedzie), wymyśliła nowy napad migreny i zostawiła mnie bez litości na pastwę przejażdżki sam na sam z ciotką. Za powrotem¹⁰² dowiedzieliśmy się, że się położyła.

Nazajutrz przy śniadaniu już nie ta sama kobieta. Wrodzona słodycz wróciła na oblicze; mogłem mniemać, że wszystko już odpuszczone. Ledwie śniadanie dobiegło do końca, luba istota podniosła się od niechcenia i skierowała w stronę parku; domyślałem się, że pospieszyłem za nią. „Co mogło obudzić tę ochotę do przechadzki?” — rzekłem, zbliżając się do niej. — „Pisałam dużo dziś rano — odparła — i głowę mam nieco zmęczoną”. — „Nie mnie zapewne przypadło szczęście — wtrąciłem — abym się stał powodem tego utrudnienia?” — „Owszem, pisałam do pana — odparła znowu — ale waham się, czy oddać list... Zawiera pewną prośbę, a zwykle postępowanie pańskie nie pozwala mi żywić zbytnej wiary w jej powodzenie”. — „Ach, przysięgam, że jeśli tylko zdołam...” — „Nic łatwiejszego pod słońcem — przerwała — jakkolwiek miałabym prawo odwołać się z tą prośbą jedynie do pańskiego sumienia, godzę się przyjąć spełnienie jej jako łaskę...” Przy tych słowach podała mi list; biorąc, ująłem zarazem i rękę. Cofnęła ją, ale bez gniewu, raczej z zakłopotaniem. „Upał większy niż myślałam — rzekła — trzeba wracać”. To mówiąc, skierowała się ku zamkowi. Czyniłem próżne wysiłki, aby ją nakłonić do dalszej przechadzki; musiałem przywołać na pomoc całą rozagę, aby się ograniczyć w perswazjach jedynie do słownej wymowy. Znalazłszy się w zamku, pani de Tourvel udała się do swych pokoi, ja również schroniłem się do siebie, aby otworzyć list, którego przeczytanie, zarówno jak moją odpowiedź, gorąco ci zalecam, zanim pójdziemy dalej.

LIST XLI

Prezydentowa de Tourvel do wicehrabiego de Valmont

Sądząc z pańskiego postępowania, zdawałoby się, że jedynie myśli pan o tym, czym by pomnożyć każdego dnia przyczyny żalu, jaki mam do niego. Wytrwałość, z jaką bezustannie mówi mi pan o uczuciu, o którym nie chcę i nie powinnam słyszeć; ustawiczne nadużywanie mej dobrej wiary albo nieśmiałości; sposób zwłaszcza, śmiem powiedzieć, mało delikatny, jakim się posłużyłeś, aby przesłać list ostatni, wszystko to powinno by ściągnąć na pana wymówki równie żywe, jak zasłużone. Mimo to, miast powracać do tych zarzutów, ograniczam się do prośby, równie prostej jak słusznej; jeżeli uzyskam jej spełnienie, godzę się puścić w niepamięć wszystkie żale.

Pragnę zatem, aby pan zechciał się oddalić; abyś opuścił zamek, w którym dłuższy pobyt pański musiałby na mnie ściągnąć potępienie świata, zawsze skłonnego do myślenia źle o drugich, świata, który przyzwyczaiłeś aż nadto, aby surowo sądził kobiety odważające się przebywać w pańskim towarzystwie.

Ostrzegana już od dawna o tym niebezpieczeństwie przez moich przyjaciół, nie zważałam na ich sądy, spierałam się nawet z nimi, dopóki pańskie zachowanie pozwalało wierzyć, iż raczysz nie stawiać mnie w równym rzędzie z tłumem kobiet skrzywdzonych i znieważonych przez pana. Dziś, kiedy traktujesz mnie na równi z nimi, kiedy nie mogę mieć pod tym względem żadnych wątpliwości, winna jestem opinii świata, przyjacielom, sobie samej, aby się uciec do tego koniecznego środka. Mogłabym dodać, iż nic nie zyskałby pan, odmawiając mej prośbie, gdyż gotowa jestem wyjechać sama, jeżeli pan

¹⁰²za powrotem (daw.) — dziś: po powrocie.

zechce pozostać: ale nie staram się zmniejszyć wdzięczności, jaką będę czuła dla pana za tę uprzejmość i nie taję, iż zmuszając mnie do wyjazdu, sprawiłby mi pan wielki kłopot. Chciej mi więc dowieść, że — jak tyle razy zapewniałeś — uczciwe kobiety nigdy nie będą miały przyczyny uskarżać się na pana; dowiedź przynajmniej, że nawet kiedy ci się zdarzy dopuścić względem nich jakiej winy, umiesz i chcesz ją naprawić.

Gdybym potrzebowała szukać usprawiedliwienia mej prośby, wystarczyłoby mi powiedzieć panu, iż życie całe strawiłeś na tym, aby uczynić ją niezbędną. Mimo to w twojej mocy było jej uniknąć. Ale nie poruszajmy wydarzeń, o których pragnę zapomnieć i które zmuszałyby mnie do surowego sądu o panu w chwili, gdy ofiaruję panu sposobność pozyskania całej mej wdzięczności. Żegnam pana; postąpienie pańskie pouczy mnie, z jakimi uczuciami mam zostać na całe życie pańską powolną¹⁰³ etc.

25 sierpnia 17**

LIST XLII

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel

Jakkolwiek, pani, twarde warunki mi nakładasz, nie uchylam się od ich spełnienia. Czuję, że niepodobieństwem byłoby dla mnie sprzeciwić się twemu życzeniu. Skoro tedy porozumieliśmy się co do tego punktu, ośmielałam się mniemać, że z kolei i pani pozwoli mi przedłożyć pewne prośby, nieskończenie skromniejsze, których ziszczenie pragnę zawdzięczać jedynie zupełnemu poddaniu się twej woli.

Pierwszą prośbą, która, mam nadzieję, znajdzie poparcie w twoim poczuciu sprawiedliwości, jest, abyś zechciała wymienić mi moich oskarżycieli; wyrządzili mi, jak sądzę, dość złego, abym miał prawo poznać ich po imieniu. Druga łaska, której oczekuję po twej wspaniałości, to abyś raczyła od czasu do czasu nie wzbraniać się przed przyjęciem najpoddającego hołdu miłości, która teraz, bardziej niż kiedykolwiek, powinna mieć prawo do twego współczucia.

Pomyśl pani, że ja skwapliwie poddaję się twym rozkazom, nawet wówczas gdy mogę to uczynić jedynie kosztem mego szczęścia i mimo przekonania, że pragniesz mego wyjazdu jedynie dlatego, aby sobie oszczędzić przykrości oglądania przedmiotu swego okrucieństwa. Oddalasz mnie od siebie, jak się odwraca wzrok od nieszczęśliwego, któremu się nie chce dopomóc.

Ale wówczas, gdy rozłączenie zdwoi moje męczarnie, komuż innemu, jak nie tobie, pani, mogę powierzyć me skargi? Od kogóż mogę oczekiwać pociechy, której tak bardzo będę potrzebował? Czyż mi jej odmówisz, ty, która jesteś jedyną sprawczynią moich udręczeń?

Nie powinno pani również dziwić, że zanim odjadę, chciałbym usprawiedliwić się przed tobą z uczuć, którymi mnie natchnęłaś; również nie zdobędę się na odwagę oddalenia się stąd, póki nie otrzymam z własnych ust twoich wyraźnego rozkazu.

Ta podwójna przyczyna każe mi prosić panią o chwilę spotkania. Na próżno usiłowalibyśmy zastąpić ją listami: pisze się tomy całe na próżno, wówczas gdy dla porozumienia wystarczyłyby kwadrans rozmowy. Czasu mamy pod dostatkiem: mimo skwapliwości, z jaką pragnąłbym pani usłuchać, trzeba mi będzie, bodaj ze względu na ciotkę, doczekać jakiegoś listu, powołującego mnie rzekomo do Paryża. Żegnam panią; nigdy jeszcze nie było mi tak ciężko wymówić to słowo jak teraz, gdy przywodzi mi ono na pamięć myśl o rozstaniu. Gdybyś mogła, pani, wyobrazić sobie, ile cierpię, miałabyś dla mnie, śmiem wierzyć, nieco uznania za me posłuszeństwo. Chciej przyjąć przynajmniej z większą niż dotąd wyrozumiałością zapewnienie i wyrazy miłości równie tkliwej, jak pełnej bezgranicznego szacunku.

25 sierpnia 17**

DALSZY CIĄG LISTU XL

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

A teraz roztrząsajmy rzecz razem, piękna przyjaciółko. Pojmujesz, jak i ja, że skrupulatna, uczciwa pani de Tourvel nie może wypełnić pierwszego żądania i zdradzić zaufania

¹⁰³powolny (daw.) — poddający się czemuś (czyjejs woli), dający sobą kierować, posłuszny, podporządkowany.

przyjaciół, wymieniając moich oskarżycieli. Zatem, przyrzekając wszystko pod tym warunkiem, nie zobowiązuję się do niczego. Ale rozumiesz także, że jej niezawodna odmowa stanie się tytułem do uzyskania dalszych punktów i że wówczas, oddalając się, zyskuję to, iż wchodzę z nią, i to za jej zgodą, w stałą korespondencję. Co się tyczy schadzki, o którą proszę, nie przywiązuję do tego większej wagi; jedynym celem moim jest oswoić ją z podobnymi żądaniami na przyszłość.

Jedno, co mi pozostało przed wyjazdem, to dowiedzieć się, kto taki pozwala sobie szkodzić mi w jej oczach. Przypuszczam, że to szanowny małżonek; chciałbym, aby tak było. Pomijając, że zakaz małżeński jest zawsze jedynie zastrzeżeniem ochoty, jestem pewny, że z chwilą gdy dama zgodzi się pisywać do mnie, mąż przestanie być niebezpieczny, skoro tym samym pani wejdzie na drogę oszukiwania go.

Natomiast jeśli to jakaś przyjaciółka otrzymuje jej zwierzenia i ludzi przeciwko mnie, pierwszym moim zadaniem będzie poróżnić je z sobą i mam nadzieję, że zdołam to osiągnąć. Przede wszystkim trzeba wy badać, jak się w istocie rzeczy mają. Myślałem, że mi się to uda wczoraj; ale ta kobieta nic tak nie robi jak inne. Byliśmy w jej pokoju w chwili, gdy oznajmiono obiad. Kończyła ledwo toaletę, śpiesząc się i tłumacząc, przy czym zauważyłem, iż zostawiła kluczyk od sekretarzyka w zamku; znam zaś jej zwyczaj, iż nigdy nie wyjmuje z drzwi klucza od pokoju. Rozmyślałem nad tym w czasie obiadu, gdy usłyszałem, że pokojówka jej schodzi na dół. Powziąłem plan w jednej chwili; udałem, że mi zaczęła iść krew z nosa i wyszedłem. Pomknąłem do sekretarzyka; wszystkie szuflady otwarte, ani kawałeczka zapisanego papieru. Gdzież ona może podziewać listy, które dostaje? A dostaje często! Nie pominąłem żadnej kryjówki; wszystko było otwarte, szukałem wszędzie: nic nie zyskałem, prócz przeświadczenia, że ten cenny skarb musi się znajdować w kieszeniach jej sukien.

Jak go wydobyć? Od wczoraj łamię sobie na próżno głowę. Żałuję, iż nie posiadam złodziejskich talentów. Doprawdy, ta sztuka powinna by wchodzić w skład wychowania człowieka przeznaczonego do podbojów miłosnych. Ale rodzice nasi nie troszczą się o nic; ja zaś na próżno bym się dziś silił to nadrobić, widzę ze smutkiem, że jestem tylko niezdara bez ratunku.

Koniec końców, musiałem wrócić do stołu, bardzo nierad z siebie. Moja Piękność ułagodziła nieco ten zły humor, okazując mi wielką troskliwość z powodu udanego zaślubnięcia; nie omieszkalem napomknąć, że od niejakiego czasu podlegam wzruszeniom, które bardzo nieszczególnie wpływają na me zdrowie. Wiedząc doskonale, że sama jest tego przyczyną, czyż nie powinna by się poczuwać do obowiązku dostarczenia najskuteczniejszego lekarstwa? Ale ona, choć taka święta, mało skłonna jest do miłosierdzia; odmawia uporczywie jałmużny miłosnej; toteż upór ten wystarcza, jak sądzę, najzupełniej do uprawnienia kradzieży. Do widzenia; gawędzę z tobą, markizo, a cały czas myślę o tych przeklętych listach.

26 sierpnia 17**

LIST XLIII

Prezydentowa de Tourvel do wicehrabiego de Valmont

I czemuż stara się pan umniejszyć mą wdzięczność? Czemu chcesz być posłusznym jedynie w połowie i czynisz przedmiotem targów swoje szlachetne postąpienie? Czyż nie wystarcza, że ja czuję całą jego wartość? Nie tylko żądasz pan wiele: żądasz wprost rzeczy niepodobnych. Jeśli w istocie przyjaciele ostrzegali mnie przed panem, uczynili to z pewnością jedynie przez troskliwość: gdyby nawet zdarzyło się im omylić, chęci były najlepsze. I pan żądasz ode mnie, abym odpłaciła ten dowód przywiązania, zdradzając ich tajemnice! Odwołuję się do pana samego, do pańskiego poczucia honoru; czy przypuszczał pan, iż będę zdolną do takiego postąpienia? Czy godziło się mnie do tego namawiać? Sądzę, że nie: jestem pewna, iż zastanowiwszy się głębiej, nie ponowi pan tego żądania.

Drugie, dotyczące pisywania do mnie, również niełatwe jest do przyjęcia: jeżeli zechcesz być sprawiedliwy, nie mnie pan będzie winił o to. Nie chcę bynajmniej pana obrazić; ale wobec reputacji, jaką posiadasz, a na jaką, wedle własnego przyznania, przynajmniej w części zasłużyłeś, któraż kobieta mogłaby się przyznać, iż pozostaje w koresponden-

cji z panem? A któraż kobieta uczciwa zgodziłaby się czynić coś, z czym by się musiała ukrywać?

Gdybym bodaj miała pewność, że listy pańskie nie dadzą mi nigdy powodu do skargi, może wówczas dla dowiedzenia, że jedynie rozważa, a nie niechęć kierują moim postępowaniem, gotowa byłabym pominąć te ważne względy i uczynić więcej, niż bym powinna, pozwalając pisać od czasu do czasu do siebie. Jeśli w istocie pragnie pan tego tak bardzo, podda się pan chętnie warunkowi; w zamian zaś, przez wdzięczność za to, co czynię dla pana, nie będiesz odwlekał wyjazdu.

Niech mi pan pozwoli uczynić uwagę, iż otrzymałeś wszak jakiś list dziś rano, a nie skorzystałeś zeń, aby oznajmić pani de Rosemonde o konieczności wyjazdu, jak mi to obiecałeś. Spodziewam się, że teraz nic panu nie zdoła przeszkodzić w dotrzymaniu słowa. Liczę zwłaszcza, że nie będzie pan czynił tego zależnym od rozmowy, której żądasz, a na którą bezwarunkowo zgodzić się nie mogę; i że w miejsce rozkazu, którego tak się domagasz, zadowolisz się gorącą prośbą. Żegnam pana.

27 sierpnia 17**

LIST XLIV

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Ciesz się wraz ze mną mą radością, uroczą przyjaciółko; jestem kochany: zwyciężyłem to harde serduszko. Próżno wzdraga się jeszcze i broni; udało mi się pochwycić jej tajemnicę. Od wczorajszej szczęśliwej nocy, czuję się znowu w swoim żywiole; odzyskałem istnienie. Odsłoniłem podwójną tajemnicę: będę się napawał miłością i zemstą; czeka mnie rozkosz po rozkoszy. Sama myśl o tym rozpala mnie tak, że wprost trudno mi jest się opamiętać; nie wiem, czy zdołam opowiedzieć wszystko po porządku. Spróbujmy.

Jeszcze wczoraj, po wysłaniu listu do ciebie, otrzymałem pismo od mego Anioła. Przesłał ci je; wyczytasz tam, iż udziela mi — najmniej niezręcznie, jak umie — pozwolenia pisywania do niej: ale nalega na przyspieszenie wyjazdu; czułem też, iż odkładając dłużej, zaszkodziłbym sprawie.

Nękanie jednakże żąda poznania autora owych zdradzieckich listów, wahałem się z ostatecznym postanowieniem. Usiłowałem przekupstwem nakłonić pokojówkę, aby mi ułatwiła dostęp do kieszeni swej pani. Ofiarowałem dziesięć ludwików za tę drobną usługę: ale trafiłem na ciemięgę, wierną czy też tchórzliwą, której ani wymowa, ani pieniądze nie mogły przekonać. Próbowałem przemawiać jej do rozumu, kiedy zadzwoniono na wieczerzę. Trzeba ją było zostawić; musiałem się zadowolić tym, iż przyrzekła mi tajemnicę, na którą, jak sobie wyobrażasz, nie mogłem liczyć zbyt wiele.

Nigdy jeszcze nie byłem tak wściekły na siebie. Czułem, że naraziłem wszystko i wyrzuciłem sobie przez cały wieczór nierozwagę.

Wróciwszy do siebie, pełen niepokoju zwierzyłem się strzelcowi, mniemając, iż ten, jako szczęśliwy kochanek, posiada jakiś wpływ na dziewczynę. Chciałem, aby w razie niemożności skłonienia jej do moich życzeń zapewnił mi bodaj jej milczenie: ale on, który zazwyczaj nie powątpiewa o niczym, tym razem wątpił w powodzenie i uczynił w tym względzie zdumiewająco głęboką uwagę.

„Wiadomo przecież panu, lepiej jeszcze niż mnie — odparł — że romansować z dziewczyną, znaczy robić wszystko, co się jej spodoba: ale żeby ona robiła to, czego ja chcę od niej, to zupełnie inna sprawa”.

Rozum tego hultaja przeraża mnie czasem¹⁰⁴

„Co się jej tyczy — dodał — tym mniej jeszcze mógłbym za nią odpowiadać, ile że mam przyczyny mniemać, że ona ma kochanka, ja zaś stanowią jedynie wypełnienie musowych wiejskich wakacji. Toteż gdyby nie moja gorliwość w służbach Jaśnie Pana, byłoby się to wzięło raz albo dwa, i koniec. (Paradny chłopak!) Co do tajemnicy — dodał — na co się przyda wymuszać jakieś przyrzeczenie, skoro i tak będzie nas mogła zdradzić bez żadnego ryzyka? Mówić jej jeszcze o tym, znaczyłoby tylko zwracać uwagę, że sekret jest ważny i tym samym obudzić większą chętkę do paplania”.

¹⁰⁴Rozum (...) czasem — Piron, *Métromanie*.

Im więcej te uwagi zawierały w sobie słuszności, tym bardziej rosło moje nieukontentowanie. Szczęściem, hultaj rozgała się na dobre, że zaś potrzebowałem jego usług, pozwoliłem mu gawędzić. Opowiadając mi tedy całą historię, wspomniał, iż pokój tej dziewczyny sąsiaduje z pokojem pani, że więc dla bezpieczeństwa schodzą się co noc nie u niej, lecz w jego izdebce. Natychmiast powziąłem plan; pouczyłem chłopca o jego roli i wykonaliśmy rzecz z pełnym powodzeniem.

Doczekałem drugiej rano; wówczas, wzięwszy światło, udałem się, jak to umówiliśmy z sobą, do jego izdebki pod pozorem, iż dzwoniłem kilkakrotnie bez skutku. Powiernik mój, w potrzebie pierwszorzędny aktor, zaimprovizował scenkę zdziwienia, rozpacz i skruchy; położyłem temu koniec, posyłając go po coś do mego pokoju. Przez ten czas uparta pokojóweczka pozostawała w sytuacji tym bardziej kłopotliwej, ile że hultaj, przesadzając swą gorliwość w wykonaniu mego planu, nakłonił ją uprzednio do przybrania stroju, na który gorąca pora roku pozwalała, lecz któremu nie mogła służyć za usprawiedliwienie.

Czując, że im bardziej upokorzę tę dziewczynę, tym łatwiej będę ją miał na usługi, nie pozwoliłem jej zmienić położenia ani kostiumu; po czym, usiadłszy na łóżku zdradzającym ślady wielkiego nieładu, rozpocząłem przemowę. Musiałem utrzymać nad nią przewagę; toteż zachowując zimną krew, która przyniosłaby zaszczyt wstrzemięźliwości Scypiona, i mimo świeżości jej wdzięków nie pozwalając sobie na najmniejszą poufałość, zacząłem mówić o interesach tak spokojnie, jak gdybym rozmawiał ze starym kauzyperdą.

Warunki moje brzmiały, że dochowam jej wiernie tajemnicy, jeżeli w zamian, na jutro, o tej samej mniej więcej godzinie, pozwoli mi splądrować kieszenie swej pani. „Zresztą — dodałem — ofiarowałem wczoraj dziesięć ludwików; też samą kwotę przyrzekam i dzisiaj. Nie chcę wyzyskiwać twego położenia”. Pojmujesz, iż zgodziła się bez oporu; oddałem się, zostawiając szczęśliwej parze sposobność odzyskania straconego czasu.

Co do mnie, udałem się na spoczynek; rankiem zaś, pragnąc zyskać pozór do zwłoki w odpowiedzi na list pani de Tourvel aż do chwili, gdy zdołam przejrzeć jej papiery, udałem się na polowanie, które zabawiło mnie niemal do wieczora.

Za powrotem przyjęto mnie dość zimno. Mam powód przypuszczać, że pewne niezadowolenie wzbudziła moja wstrzemięźliwość w korzystaniu z chwil, jakie mi pozostały; zwłaszcza wobec ostatniego listu, łagodniejszego nieco w tonie. Wnoszę to również stąd, że, gdy pani de Rosemonde uczyniła mi wymówkę z powodu długiej nieobecności, moja pani wtrąciła z odcieniem urazy: „Ach! Nie wyrzucajmy panu de Valmont, że się oddaje jedynej rozrywce, jaką tu posiada”. Zaprotestowałem przeciw niesprawiedliwości, dodając z umysłu, iż w towarzystwie pań czas upływa tak mile, że dla nich opóźniam nawet napisanie bardzo ważnego listu. Dodałem, iż spędziwszy kilka bezsennych nocy, chciałem w utrudzeniu szukać lekarstwa: spojrzenia moje wyraźnie tłumaczyły i przedmiot listu, i przyczynę bezsenności. Starłem się utrzymać przez cały wieczór w tonie melancholijnej słodyczy, zagranej wcale nieźle, pod którą ukrywałem niecierpliwość doczekania się godziny, mającej mi wydać w ręce tak uparcie bronioną tajemnicę. Wreszcie rozeszliśmy się; w jakiś czas później wierna pokojówka przyniosła mi umówioną cenę mej dyskrecji.

Raz stawszy się panem skarbu, przystąpiłem, ze znaną ci przezornością, do sporządzenia inwentarza: ważnym bowiem było, aby później wszystko przywrócić do porządku. Najpierw, dwa listy od męża: niestrawna mieszanina procesów i miłości małżeńskiej. Zdobyłem się na cierpliwość odczytania ich w całości; ani słowa odnoszącego się do mnie. Zirykowany, odłożyłem je na bok: ale wkrótce wściekłość ustąpiła łagodniejszym uczuciom, gdy znalazłem, starannie poskładane, kawałki mego pamiętnego listu z Dijon. Mimo woli przebiegłem je oczami. Osądź mą radość, gdy spostrzegłem wyraźnie ślady łez. Wyznaję, że uległem uczuciu godnemu młodzika: ucałowałem list ze wzruszeniem, o jakie nigdy nie byłbym się posądził. Ciągnąłem dalej szczęśliwe poszukiwania; znalazłem wszystkie swoje listy po porządku, ułożone datami; co mnie zaś jeszcze milej zdumiało, to iż znalazłem ów pierwszy, ten który zwróciła mi z oburzeniem, wiernie skopiowany jej ręką, zmienionym i drżącym pismem, które dowodnie świadczyło o słodkim poruszeniu serca.

Aż dotąd tonąłem w uczuciach miłości; wkrótce jednak wściekłość zajęła jej miejsce. Kto, mniemasz, pragnie mnie zgubić w oczach ubóstwianej? W jakiejż furii przypusz-

czalabyś tyle złości i jadu? Znasz ją, to twoja przyjaciółka, krewna, pani de Volanges. Nie wyobrazasz sobie, jaki stek potworności wypisała o mnie ta piekielna megiera. To ona, jedynie ona, zmąciła spokój tej anielskiej kobiety; dzięki jej radom, przestrogom, zmuszony jestem się oddalić; dla niej to uczyniono ze mnie ofiarę. Ha! Teraz zgoda, markizo: trzeba uwieść jej córkę; ale to nie dosyć; trzeba ją zgubić; skoro wiek tej przeklętej kobiety zabezpiecza ją samą od zemsty, trzeba ugodzić ją w przedmiocie jej przywiązania.

Chce zatem, abym wrócił do Paryża! Zmusza mnie! Dobrze, wrócę; ale ciężko jej przyjdzie opłacić mój powrót. Żałuję, że to Danceny jest bohaterem owej przygody; to w gruncie uczciwy chłopak, możemy z nim mieć nieco kłopotu; ale z drugiej strony, jest zakochany, a ja mam na niego dość wpływu: jakoś damy sobie radę. Wściekam się, zamiast dokończyć biuletynu dzisiejszych wydarzeń. Wróćmy do przedmiotu.

Dziś rano znów ujrzałem mą tkliwą świętoszkę. Nigdy nie wydała mi się równie piękną. To całkiem naturalne: najpiękniejsza chwila u kobiety, jedyna, w której zdolna jest wywołać to upojenie duszy, o którym mówi się zawsze, a którego doświadcza się tak rzadko, to ta, kiedy przekonani o miłości nie jesteśmy jeszcze pewni jej ustępstw; oto właśnie moje położenie. Może także myśl, że niebawem mam być pozbawiony szczęścia jej widoku, przystroiła ją w nowe powaby. Toteż kiedy z przybyciem posłańca oddano mi twój list z 27-go, czytając, nie wiedziałem jeszcze, czy dotrzymam słowa: ale spotkałem jej oczy i uczulem, że niepodobieństwem mi jest cegokolwiek odmówić.

Oznajmiłem tedy wyjazd. W chwilę później pani de Rosemonde zostawiła nas samych; nim jeszcze zdołałem się zbliżyć, ona, zrywając się z miejsca z wyrazem przerażenia, zawołała: „Zostaw mnie pan, zostaw, błagam, na miłość Boga, niech mnie pan zostawi”. Ta gorąca prośba, wyraźnie zdradzająca jej wzruszenie, mogła mnie tylko zachęcić. W jednej chwili znalazłem się przy niej; pochwyciłem ręce, które złożyła jak do modlitwy czarującym ruchem, i zacząłem wywodzić tkliwe skargi, kiedy jakiś diabeł przyniósł z powrotem panią de Rosemonde. Biedna trusia, która w istocie ma czego się obawiać, skorzystała z tego, aby się udać do siebie.

Mimo to ofiarowałem jej ramię, które przyjęła; dobrze wróżąc sobie z tej łaskawości, jaką nie obdarzyła mnie już od dawna, podjąłem na nowo kwilenia, a zarazem zacząłem po trosze przyciskać rączkę. Zrazu chciała mi ją odebrać; ale gdy ponowiłem zabiegi, poddała się dość łaskawie, jakkolwiek nie odpowiadając ani na słowa, ani na uczynki. Znalazłszy się u drzwi, chciałem ucałować jej rękę. Tutaj napotkałem na energiczny opór, ale słowa: *pomyśl pani, że odjeżdżam*, wymówione najtkliwszym głosem, uczyniły ją miękka i bezradną. Zaledwie zdołałem uzyskać ów pocałunek, ręka jej znalazła dość siły, aby się wysunąć z mojej: łube stworzenie schroniło się do swego pokoju pod opiekuńcze skrzydło panny służącej. Tu kończą się moje dzieje.

Ponieważ przypuszczam, markizo, że będziesz jutro u marszałkowej ***, gdzie z pewnością nie pójde cię szukać; ponieważ dalej mniemam, że za pierwszym widzeniem będziemy mieli niejedno do omówienia, a zwłaszcza sprawę małej Volanges, o której nie zapominam, postanowiłem tedy uprzedzić moje przybycie tym listem. Mimo jego potężnych rozmiarów, zamknę go dopiero w chwili wysłania na pocztę; w obecnej bowiem sytuacji, wszystko może zależeć od jednej sposobności. Żegnaj mi zatem, markizo, pośpieszam na czaty.

PS ósma wieczór

Nic nowego, żadnego kroku z jej strony: przeciwnie, nawet starania, aby uniknąć wszelkiego zbliżenia. Natomiast na twarzy smutek, silnie przekraczający granice konwensansu. Drugi szczegół, który może nie być obojętnym, to to, iż mam imieniem ciotki zaprosić panią de Volanges, aby zechciała jakiś czas spędzić u niej na wsi.

Do widzenia, piękna przyjaciółko; do jutra lub pojutrze najdalej.

28 sierpnia 17**

LIST XLV

Prezydentowa de Tourvel do pani de Volanges

Pan de Valmont wyjechał dziś rano; zdawała się pani tak bardzo pragnąć tego wyjazdu, iż uważam za stosowne uwiadomić ją o nim. Pani de Rosemonde dotkliwie odczuła

utratę jego towarzystwa, trzeba przyznać, w istocie pełnego uroku: całe rano rozmawiała ze mną o panu de Valmont, nie szczędząc pochwał i zachwytów. Zdawało mi się, iż nie byłoby właściwym z mej strony sprzeciwiać się, tym bardziej że trzeba jej przyznać słuszość w wielu rzeczach. Co więcej, czułam niejaki wyrzut, iż stałam się przyczyną tego rozłączenia; nie spodziewam się bowiem, bym zdołała wynagrodzić zacnej staruszce przyjemność, której ją pozbawiłam. Wiesz pani sama, iż z natury niewiele mam wesołości w charakterze, a tryb życia, jaki nas tu czeka, również nie bardzo jest sposobny, aby ją rozbudzić.

Gdyby nie to, żem stosowała się ściśle do twoich wskazówek, obawiałabym się, czym nie postąpiła nieco lekkomyślnie: istotnie, głęboko obeszło mnie zmartwienie czcigodnej przyjaciółki; wzruszyła mnie do tego stopnia, że gotowa byłam podzielić jej łzy i żal.

Żyjemy obecnie nadzieją, że pani zechcesz przyjąć zaproszenie, które pan de Valmont przedłożył jej imieniem pani de Rosemonde. Spodziewam się, iż nie wątpi pani o przyjemności, z jaką ujrzałabym ją tutaj; doprawdy, należy się nam to odszkodowanie. Będę bardzo szczęśliwa, zyskując sposobność rychlejszego poznania panny de Volanges, jak również wyrażenia pani moich najbardziej pełnych czci... etc.

29 sierpnia 17**

LIST XLVI

Kawaler Danceny do Cecylii Volanges

I cóż się stało, Cecylia moja ubóstwiana? Co mogło sprowadzić tak nagłą i okrutną zmianę? Co się stało z zakłęciami, iż nic odmienić cię nie zdoła? Wczoraj jeszcze powtarzałaś je z takim upojeniem! Któż zdołał do dziś wymazać je z twojej pamięci? Na próżno wglądałam w siebie, nie mogłam w sobie odszukać przyczyny, a strasznym jest wprost dla mnie szukać jej w tobie, pani. Ach, wiem, że nie jesteś płochą ani zdradziecką: w chwili rozpaczki nawet, dusza moja nie splamiła się obrażającym posądzeniem. Jakaż więc złowroga fatalność mogła cię odmienić? Tak, okrutna, odmieniłaś się! Tkliwa Cecylia, Cecylia, którą ubóstwiam i z której ust tyle zakłęb otrzymałam, nie byłaby się uchylila moim spojrzeniom, nie byłaby unikała mego sąsiedztwa: lub gdyby jakiś powód, którego nie mogę sobie wyobrazić, zmusił ją do tego, raczyłaby przynajmniej mnie o nim powiadomić.

Ach, bo ty nie wiesz, nigdy nie będziesz wiedziała, Cesi moją, ile przez ciebie cierpiałem, ile jeszcze cierpię w tej chwili! Czy myślisz, że byłbym zdolny żyć bez twojej miłości? Mimo to, kiedy cię prosiłem o słowo, które by mogło rozproszyć moje obawy, ty, bezlitosna, pod jakimś pozorem, uchylilaś się od odpowiedzi. Kiedy, zmuszony opuścić cię, zapytałem, o której godzinie będę mógł jutro cię oglądać, dopiero z ust pani de Volanges otrzymałem odpowiedź. Tak więc ta chwila, zawsze tak upragniona, naszego spotkania, jutro obudzi we mnie jedynie uczucie niepokoju; szczęście oglądania cię, dotąd tak drogie sercu, ustąpi miejsca obawie, iż mogę ci być natrętnym!

Już dzisiaj, czuję to, obawa ta krępuje mnie tak, iż nie śmiem ci mówić o swej miłości. To *kocham cię*, które lubiłem powtarzać tyle razy, skoro je miałem nadzieję nawzajem usłyszeć, to słowo tak lube, które wystarczało, aby mnie przepelnić słodyczą, staje się dla mnie, gdy ty się zmieniłaś, zwiastunem wiekuistej rozpaczki. Mimo to, nie mogę uwierzyć, aby ten talizman miał postradać całą potęgę: próbuję posłużyć się nim jeszcze. Tak, Cecylia, *kocham cię*. Ach, powtórz ze mną, błagam, ten wyraz mego szczęścia. Pomyśl, iż przyzwyczaiłaś mnie słyszeć go z twoich usteczek i że pozbawić mnie go teraz, znaczyłoby skazać na cierpienie, które, tak samo jak miłość moja, skończy się jedynie z życiem.

29 sierpnia 17**

LIST XLVII

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Nie będę jeszcze dzisiaj miał szczęścia cię oglądać, moja piękna przyjaciółko, a oto powody, które, proszę, racz przyjąć z całą pobłażliwością.

Zamiast wrócić wczoraj najkrótszą drogą, zatrzymałem się u hrabiny de ***, dokąd zaprosiłem się na obiad. Dotarłem do Paryża dopiero koło siódmej i natychmiast wstąpiłem do Opery, gdzie myślałem, iż cię zastanę.

Po operze zaszedłem przywitać się z przyjaciółkami zza kulis; między innymi ujrzałem mą dawną Emilię, otoczoną licznym dworem zarówno kobiet, jak mężczyzn, dla których wyprawiała tego wieczora kolację w P... Skoro tylko się zjawiłem, wszyscy poczęli nalegać, abym im dotrzymał towarzystwa. Do próśb tych przyłączyła się także jakaś krótką a gruba figurka, która wyjąkała mi swoje dobre chęci w holenderskiej francuszczyźnie; domyśliłem się, iż to był prawdziwy bohater wieczoru. Przyjąłem.

Dowiedziałem się w drodze, że pałacyk, który nas miał ugaszczać, stanowił umówioną cenę względów Emilii dla tej pociesznej figury i że kolacja była prawdziwą ucztą weselną. Człeczyna nie posiadał się z radości w oczekiwaniu bliskiego szczęścia; wydał mi się tak zadowolony, że natchnął mnie ochotą zżarcia jego uciechy; co też w istocie uczyniłem.

Nieco kłopotu miałem z tym, aby nakłonić Emilię, która wzdagała się zrazu na takie igranie z cierpliwością holenderskiego krezusa; w końcu jednak zgodziła się na mój projekt, polegający na tym, aby napęłnić winem tę beczkę od piwa i uczynić go niezdolnym do boju na przeciąg całej nocy.

Posiadając nader wysokie pojęcie o tęgości głów holenderskich, rozwinęliśmy wszystkie znane nam środki. Powiodło się tak dobrze, że przy deserze grubas ledwie już zdołał utrzymać szklanice: pocziwa Emilka i ja laliśmy w niego na wyścigi. Nareszcie zwałił się pod stół, w stanie wróżącym nieprzytomność co najmniej ośmiodniową. Postanowiliśmy go odesłać do Paryża; ponieważ jednak nie zatrzymał powozu, kazałem go wpakować w mój, sam zaś zostałem na posterunku. Przyjąłem następnie życzenia od całego towarzystwa, które opuściło niebawem mieszkanie, zostawiając mnie panem placu boju. Zabawny ten epizod, a może i moje długie odciecie od świata, przydały Emilii tyle powabu w mych oczach, że obiecałem dotrzymać jej towarzystwa aż do zmartwychwstania Holendra.

Uprzejmość ta z mej strony jest nagrodą grzeczności, którą mi wyświadczyła, ofiarując mi się jako pulpit do pisania do pięknej świętoszki. Bawiła mnie ta myśl, aby jej przesłać list, pisany w łóżku i niemal że w ramionach dziewczyny, przerwany nawet aktem zupełnej niewierności, w którym to liście najdokładniej zdaję jej sprawę z mego położenia i uczynków. Kiedy odczytałem go Emilii, tarzała się po prostu ze śmiechu; mam nadzieję że i ciebie zabawi.

Ponieważ list musi posiadać pieczętkę z Paryża, posyłam ci go, markizo; bądź tak dobra przeczytać, zapieczętować i odesłać na pocztę. Ale pamiętaj nie użyć przypadkiem swojej pieczętki, ani też jakiego emblematu miłosnego; zwykła główka wystarczy. Do widzenia.

PS Otwieram mój list; nakłoniłem Emilię, aby poszła do teatru na włoską trupę... Skorzystam z tego czasu, aby pośpieszyć do ciebie, markizo. Zjawię się najpóźniej o szóstę; jeżeli ci to dogadza, pójdziemy razem koło siódmej do pani de Volanges. Nie wypada mi opóźniać się dłużej z zaproszeniem, które mam jej zanieść imieniem pani de Rosemonde; przy sposobności, rad będę zobaczyć małą Volanges.

Do widzenia, uroczą pani. Gotuję się uściskać cię z taką przyjemnością, aby kawaler miał prawo być zazdrosny.

Z P*** 30 sierpnia 17**

LIST XLVIII

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel

(Z pieczęcią paryską)

Po nocy bezsennej i burzliwej, nocy którą przeżyłem na przemian trawiony żarem płomiennej namiętności, to znów pogrążony w zupełnym unicestwieniu wszystkich władz duszy, śpieszę, pani, przy tobie szukać spoczynku, którego potrzebuję, a którego, mimo to, nie spodziewam się zakosztować jeszcze. Istotnie, stan w jakim się znajduję w chwili, gdy kreślę te słowa, bardziej niż kiedykolwiek daje mi uczuć nieodpartą potęgę miłości; z trudnością przychodzi mi zachować tyle panowania nad sobą, aby bodaj trochę skupić myśli: czuję, że będę musiał przerwać pisanie jeszcze przed końcem listu. Ach,

czemuż nie wolno mi pieścić się nadzieją, że i ty kiedyś, pani, podzielisz wzruszenia, których doznaję w tej chwili? Gdybyś je dobrze знаła, nie wierzę byś mogła zostać na nie tak nieczułą! Wierząc mi, pani, chłodna spokojność, sen duszy, obraz śmierci, nie wiodą bynajmniej do szczęścia; żywa namiętność jedynie zdolna jest doń zaprowadzić. Mimo wszystkich udręczeń, jakie mi zadajesz, czuję się w tej chwili szczęśliwszym od ciebie. Na próżno gnębisz mnie bezlitosną surowością; nie przeszkodzi mi ona oddać się całą duszą słodyczom miłości i w upojeniach jej zapomnieć o rozpaczach, której mnie na łup wydajesz. W ten sposób pragnę się pomścić za wygnanie, na jakie mnie skazujesz. Nigdy jeszcze, pisząc do ciebie, nie doznawałem takiej rozkoszy; nigdy nie odczuwałem w ciągu tego zatrudnienia wzruszeń tak słodkich, a zarazem tak żywych. Wszystko naokół зда-je się podsycać me zapęły: powietrze, które wchłaniam w siebie, oddycha rozkoszą; stół nawet, na którym piszę do ciebie, pierwszy raz poświęcony na taki użytek, staje się dla mnie świętym ołtarzem miłości; jakież ceny i powabu nabierze w moich oczach! Na nim wszak kreślę przysięgę, iż kochać będę cię zawsze! Przebac, błagam, to rozebranie zmysłów. Nie powinien bym może tak poddawać się wzruszeniu, którego ty nie podzielasz: muszę porzucić cię na chwilę, aby uśmierzyć płomień wzmagający się coraz to bardziej i silniejszy od mej woli.

...Powracam do ciebie, pani, i chciej mi wierzyć, powracam zawsze z równą skwapliwością. Mimo to, świadomość szczęścia odleciała daleko i ustąpiła miejsca okrutnej niemocy. I po cóż mówić o moich uczuciach, skoro na próżno szukam środków przekonania cię o nich? Po tylekroć wznawianych wysiłkach, opuściła mnie i moc, i wiara w siebie. Jeśli maluję sobie jeszcze rozkosze miłości, to aby tym boleśniej odczuwać żal, że jestem z nich wyzuty. Jedyne ratunek widzę w twej pobłażliwości, ale zanadto czuję w tej chwili, jak bardzo mi jej potrzeba, abym mógł mieć nadzieję, iż ją uzyskam. To pewna, że nigdy miłość moja nie była równie pełną czci i daleką od wszelkiego zuchwalstwa; nie waham się powiedzieć, iż w tej chwili najsurowsza cnota nie miałaby się powodu jej obawiać. Nie śmiem cię dłużej, pani, zajmować mą niedolą. Ta, która doprowadziła mnie do tego bolesnego stanu, nie podziela go z pewnością, nie godzi mi się przeto dłużej nadużywać jej cierpliwości, trawiąc czas na kreśleniu ci, pani, tego rozpaczliwego obrazu. Kończę tedy, błagając jedynie, byś raczyła mi odpowiedzieć i abyś nigdy nie wątpiła o prawdziwych uczuciach.

Pisano w P***, datowano z Paryża,
30 sierpnia 17**

LIST XLIX

Cecylia Volanges do kawalera Danceny

Nie jestem ani zmienną ani zdradziecką, ale po prostu nauczyłam się patrzeć na swoje postęпки i tym samym uczułam konieczność odmiany. Przyrzekłam tę ofiarę Bogu, zanim mu zdołam również poświęcić i uczucie, które żywię dla pana, a które pański duchowny charakter czyni podwójnie występny. Wiem, że mi będzie bardzo ciężko; nie kryję, że od przedwczoraj płaczę za każdym razem, jak tylko pomyślę o panu. Ale mam nadzieję, że Bóg w swej łasce doda mi siły, bym mogła o panu zapomnieć. Błagam go o to co dzień, rano i wieczorem. Liczę na pańską przyjaźń i szlachetność, że pan nie będzie się starał zakłócić dobrego postanowienia, jakim mnie natchniono, i dopomoże mi pan, bym się w nim zdołała utrzymać. Proszę więc, by pan był tak łaskaw nie pisywać więcej; uprzedzam, że nie mogłabym odpisać i musiałabym o wszystkim powiedzieć mamie. W ten sposób już byśmy się całkiem nie mogli widywać.

Mimo wszystko, zawsze zachowam dla pana tyle przywiązania, ile można mieć dla kogoś bez popełnienia grzechu, i z całej duszy życzę panu wszelakiego szczęścia. Czuję dobrze, że pan mnie już nie będzie tak kochał... może pan pokocha niedługo inną, mocniej jeszcze niż mnie. Ale to będzie jedna pokuta więcej za błąd, jaki popełniłam, oddając panu serce, które winnam była zachować jedynie dla Boga i dla przyszłego męża. Mam nadzieję, że miłosierdzie boskie ulituje się mej słabości i żeśle mi tylko tyle zgryzoty, ile jej będę miała siłę udźwignąć.

Żegnam pana; niech mi pan wierzy, że gdyby mi było wolno kochać kogoś, kochałabym jedynie pana. Ale oto wszystko, co mogę powiedzieć: i to może więcej, niżlibym powinna.

31 sierpnia 17**

LIST L

Prezydentowa de Tourvel do wicehrabiego de Valmont

Czy tak przestrzega pan warunków, pod jakimi pozwoliłam od czasu do czasu pisywać do siebie? Wolnoż mi cierpieć te listy, gdy pan mi w nich mówi jedynie o uczuciu, któremu obawiałabym się zawierzyć nawet wówczas, gdybym mogła to uczynić, nie depcąc wszystkich obowiązków?

Doprawdy, gdybym szukała nowych pobudek dla podtrzymania tej zbawiennej obawy, jakże łatwo bym je znalazła w ostatnim liście! Zaprawdę, w tej samej chwili, w której wydaje się panu, iż śpiewasz hymn na chwałę miłości, czyliż, przeciwnie, nie ukazujesz mi tylko jej burz straszliwych? Któż mógłby pragnąć szczęścia kupionego za cenę rozsądku; szczęścia, w którym chwila znikomej rozkoszy zbyt rychło ustępuje miejsca żalowi, jeżeli nie zgryzocie?

Pan sam, choć tak oswojony z tym niebezpiecznym szaleństwem, czyliż nie przyznajesz, iż często staje się ono silniejszym od ciebie? Czyż sam nie wyrzekasz na ten stan mimowolnego obłądzenia? Jakież straszliwe spustoszenie sprawiłoby to uczucie w sercu nieodświadczonego i tkliwym!

Wierzy pan lub przynajmniej udaje pan tę wiarę, że miłość wiedzie do szczęścia; co do mnie, jestem tak bardzo pewna, iż uczyniłaby mnie nieszczęśliwą, że wolałabym nigdy nie słyszeć nawet jej imienia. Mam uczucie, że już samo mówienie o tym mąci spokojność duszy; toteż zarówno z przekonania, jak z obowiązku, proszę, byś zechciał zachować milczenie w tym przedmiocie.

Zresztą, nie będzie panu trudno wysłuchać tej prośby. Wróciwszy do Paryża, znajdzie pan dość sposobności do zapomnienia o uczuciu zrodzonym może z kaprysu i wiejskiego osamotnienia. Czyż nie znalazłeś się pan teraz w tym samym mieście, w którym patrzyłeś na mnie wzrokiem tak obojętnym? Czyż każdy krok nie nasuwa ci na oczy przykładów twej łatwości w odmienianiu uczuć? Czyż nie otacza cię rój najpowabniejszych kobiet, z których każda więcej ode mnie miałaby praw do twego uwielbienia? Obcą mi jest najzupełniej wszelka próżność, którą tyle zarzucają płci naszej; tym bardziej nie powoduję się fałszywą skromnością, będącą jedynie wyrafinowaniem pychy; toteż zupełnie szczerze mówię, że bardzo mało dostrzegam w sobie środków podobania się: a gdybym nawet posiadała ich najwięcej, i to by jeszcze nie starczyło, aby pana trwale przywiązać. Skoro pana zatem proszę, abyś się mną nadal nie zajmował, proszę jedynie o to, co by pan sam uczynił niebawem, gdybym nawet życzyła sobie inaczej.

Ta prawda, aż nazbyt dla mnie oczywista, wystarczyłaby już zupełnie, aby mnie uczynić głuchą na pańskie perswazje. Oprócz tej przyczyny, mam jeszcze wiele innych; ale nie zapuszczając się w dłuższą dyskusję, poprzestaję na ponowieniu prośby, aby mi pan nie mówił już o uczuciu, o którym nie godzi mi się słuchać, a któremu, tym więcej, nie wolno mi odpowiedzieć.

1 września 17**

CZĘŚĆ DRUGA

LIST LI

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Doprawdy, wicehrabio, nieznośny jesteś. Postępujesz ze mną tak lekko, jak gdybym była twą kochanką. Pogniewam się na ciebie; zirytowana jestem co się zowie. Jak to! Miałaś się spotkać z Dancenym dziś rano; wiesz, jak ważnym było, abym się widziała z tobą przed tą rozmową; a ty, nie troszcząc się o nic zgoła, pozwalasz czekać na siebie cały boży dzień, biegając nie wiadomo gdzie? Jesteś przyczyną, że zjawiłam się *nieprzychylnie* późno u pani de Volanges, ku wielkiemu zgorszeniu wszystkich dam w pewnym wieku. Musiałam cackać się z nimi przez cały wieczór, aby je ułagodzić, nie powinno się bowiem drażnić starszych kobiet: w ich ręku leży reputacja młodych.

Obecnie jest pierwsza po północy i zamiast się położyć, na co miałabym szaloną ochotę, muszę rozpisywać się do ciebie. Masz szczęście, doprawdy, że nie mam czasu dłużej się gniewać. Nie sądz tylko, że ci przebaczam; po prostu śpieszy mi się. Słuchaj zatem: przystępuję do rzeczy.

Przy odrobinie zręczności, powinien byś jutro doprowadzić Dancenego do zwierzeń. Obecny moment bardzo sprzyja takiemu wylaniu: jest to chwila nieszczęścia. Panienka była u spowiedzi, wypaplała wszystko jak dzieciak i odtąd tak ją dręczy obawa przed diabłem, że chce koniecznie zerwać. Zwierzyła mi się ze wszystkich skrupułów: po jej przejęciu widzę, jak jej głęboko zajęchały w główkę. Pokazała mi swój list z zerwaniem: istne kazanie wielkopostne. Plotła mi te brednie z jaką dobrą godzinę. Z tym wszystkim byłam w prawdziwym kłopotcie; pojmujesz bowiem, że nie mogłam puszczać się na otwartość z taką gąską.

Z kimś bardziej *kutym* niżeli nasz Dancenego, drobny ten wypadek przyniósłby może więcej pożytku niż szkody; ale z tego młodzieniaszka taki *Celadon*, że o ile mu nie pomożemy, zużyje tyle czasu na zwalczanie najlżejszych drobiazgów, że już go nam nie stanie dla dopełnienia naszego zamiaru.

Masz słuszość: szkoda w istocie, że to on jest bohaterem tej przygody; boleję nad tym nie mniej od ciebie: ale cóż chcesz? Stało się — i to z twojej winy. Kazałam sobie pokazać jego odpowiedź; litość bierze doprawdy!

Ostatecznie, zamiast tracić czas na perswazję, które mnie by zdradziły tylko, a jej może nie przekonały, pochwaliłam zerwanie; ale powiedziałam, że właściwiej jest w podobnym wypadku wyluszczyć powody ustnie niż pisemnie. Dodałam także, że jest w zwyczaju zwrócić sobie nawzajem listy i podarki. W ten sposób, utwierdzając na pozór postanowienia młodej osobki, skłoniłam ją do naznaczenia schadzki. Natychmiast ułożyłyśmy wszystko, przy czym ja podjęłam się wywabić z domu panią de Volanges. Owa stanowcza chwila ma przypaść jutro po południu. Dancenego wie już: ale, dla Boga, jeżeli znajdziesz sposobność, staraj się wpłynąć na pięknego pasterza, aby mniej czasu tracił na westchnienia. Poucz go, skoro już wszystko trzeba mu tłumaczyć, że najskuteczniejszym sposobem zwalczania skrupułów jest doprowadzić do tego, aby skrupulatka nic już nie miała do stracenia.

Nie chcąc, aby ta głupia historia miała się kiedy powtórzyć, postarałam się zbudzić w umyśle dziewczyny nieco wątpliwości co do dyskrecji spowiedników; mała drży teraz ze strachu, aby księżulo nie poszedł wszystkiego opowiedzieć matce.

Mam nadzieję, że gdy z nią jeszcze parę razy pomówię w tym przedmiocie, nie przyjdzie jej do głowy mieszać obce osoby do panieńskich głupstewek.

Do widzenia, wicehrabio. Weź Dancenego w ręce i pokieruj nim. Wstyd byłby dla nas, gdybyśmy nie mieli dać sobie rady z tą parą dzieciaków. Aby pobudzić naszą gorliwość, pamiętajmy wciąż, ty, że chodzi o córkę pani de Volanges, ja, że o przyszłą żonę Gercourta. Do widzenia.

2 września 17**

LIST LII

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel

Zabraniasz, pani, mówić o miłości: ale gdzie znajdę siłę do spełnienia tego wyroku? Zajęty wyłącznie uczuciem, które mogłoby być tak słodkie, a które ty czynisz tak okrutnym; usychając na wygnaniu, na jakie mnie skazałaś, żyjąc jedynie żalem i tęsknotą, wydany na łup udręczeń tym dotkliwszych, że przypominają mi bezustannie twą obojętność, trzebaż, abym utracił jeszcze jedyną pociechę, jaka mi została? Czyliż odwrócisz spojrzenia, aby nie widzieć łez, które wyciskasz? Czy odmówisz nawet przyjęcia ofiar, które sama nałożyłaś? Czy nie byłoby godniejszym ciebie, twej duszy szlachetnej i tkliwej, raczej uznać się nieszczęśliwego, który jest nim jedynie przez ciebie, niżli okrutnym i niesprawiedliwym zakazem pomnażać jego męczarnie?

Udajesz, iż lękasz się miłości, a nie chcesz widzieć, żeś ty jedynie sprawczynią nieszczęść, które jej zarzucasz. Och! Bez wątpienia, uczucie to jest męką, gdy przedmiot, który je natchnął, sam go nie podziela; ale gdzie znaleźć szczęście, jeśli wzajemna miłość dać go nie byłaby zdolną? Gdzie znaleźć tkliwą przyjaźń, zaufanie słodkie i bez granic, ulgę w niedoli, bezmiary szczęścia, nadzieje czarowne, wspomnienia pełne rozkoszy, gdzie znaleźć, mówię, to wszystko, jeżeli nie w miłości? Spotwarzasz ją ty, której ona u nóg składa wszystkie skarby, bylebyś ich raczyła nie odrzucać; ja zaś zapominam o własnych cierpieniach, aby ją bronić przed twymi oskarżeniami!

Zmuszasz mnie pani również, bym bronił sam siebie; podczas bowiem gdy ja trawię życie na ubóstwianiu cię, ty z góry już przypuszczasz, że jestem płochym i zmiennym; obracając przeciw mnie własną mą otwartość, rozmyślnie mieszasz to, czym byłem dawniej, z tym, czym jestem obecnie. Nienasycona tym, iż skazałaś mnie na mękę życia daleko od ciebie, dołączasz okrutne szyderstwo, mówiąc mi o rozkoszach świata, gdy wiesz, jak bardzo na nie stałem się nieczułym. Nie wierzysz ani obietnicom, ani przysięgom: dobrze więc! Jedno mi jeszcze zostało świadectwo, którego przynajmniej nie będziesz mogła podejrzewać: twoje własne. Proszę cię zatem, pani, byś raczyła jeno¹⁰⁵ z dobrą wiarą wejrzeć w samą siebie. Jeśli istotnie nie wierzysz w mą miłość, jeśli choć na chwilę wątpisz, iż sama jedna władasz w mej duszy, jeśli nie jesteś pewna, żeś przykuła do siebie to serce, w istocie dotąd zbyt niestałe, godzę się ponieść ciężar tej omyłki: będę cierpiał, ale nie odwołam się od wyroku. Lecz jeżeli, przeciwnie, oddając sprawiedliwość nam obojgu, będziesz zmuszona przyznać sama przed sobą, że nie miałaś, nigdy nie będziesz miała rywalki, nie każ mi, błagam, walczyć z czczą chimera i zostaw mi przynajmniej tę pociechę, bym widział, iż nie wątpisz w uczucie, które skończyć się może jedynie wraz z życiem. Ośmielam się prosić panią, byś raczyła wyraźnie odpowiedzieć na ten ustęp!

Jeśli sam gotów jestem potępić ten okres mego życia, który zdaje się tak okrutnie szkodzić mi w twoich oczach, to nie dlatego, iżby w potrzebie brakło mi argumentów dla obrony.

I cóż takiego wreszcie popełniłem prócz tego, iż nie oparłem się wirowi, który mnie porywał? Znalazłem się wśród świata młody i bez doświadczenia; podawany sobie, można powiedzieć, z rąk do rąk przez tłum kobiet równie łatwych, jak pozbawionych głębszej wartości; czyż do mnie należało dawać przykład oporu, którego nie spotykałem z ich strony? Lub czyż miałem karać się za chwilę szaleństwa stałością, której nikt nie wymagał i którą jedynie za śmieszność by mi poczytano? Jakiż inny środek, jak tylko rychłe zerwanie, może przemazać¹⁰⁶ winę poniżającego wyboru!

Ale, mogę powiedzieć, ten szal zmysłów, może nawet obłąd próżności, nie przeniknął aż do mego serca. To serce, stworzone do prawdziwego uczucia, miłości mogły oszołomić, ale nie zdołały go wypełnić. Z otaczających mnie istot, pełnych powabu, lecz niegodnych szacunku, ani jedna nie zapadła mi w duszę; dawano mi rozkosz, ja szukałem cnoty; w końcu sam uwierzyłem, iż jestem niestały, będąc jedynie wrażliwym i wymagającym.

Dopiero spotkawszy ciebie, pani, przejrzałem: poznałem rychło, że urok miłości zależy jedynie od przymiotów duszy: że one jedne zdolne są wywołać ów szal i usprawiedliwić go zarazem. Uczułem po prostu, że równym niepodobieństwem jest dla mnie i nie kochać ciebie, i kochać kogokolwiek innego jak ciebie.

¹⁰⁵jeno (daw., gw.) — tylko.

¹⁰⁶przemazać — tu: przekreślić.

Oto, pani, jakim jest serce, któremu lękasz się zawierzyć, a którego los spoczywa w twoim ręku: ale jakikolwiek wyrok mu przeznaczasz, nie zdołasz w niczym zmienić uczuć mych dla ciebie; są one niezniszczalne jak doskonałość, która je zrodziła.

3 września 17**

LIST LIII

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Widziałem Dancenego, ale ledwie udało mi się wydobyć z niego coś w rodzaju zwierzenia. Zaciął się zwłaszcza, aby nie wymienić nazwiska małej Volanges, którą mi odmalował jako osobę bardzo cnotliwą, a nawet przesadnie nabożną: poza tym opowiedział dość wiernie całą przygodę, zwłaszcza ostatnie wypadki. Podgrzewałem go, jak mogłem, i podrywałem mocno z jego wstrzemięźliwości i skrupułów: ale, zdaje się, natrafiłem na ciężki grunt i wcale za niego nie ręczę. Pojutrze będę mógł powiedzieć coś więcej. Biorę go jutro do Wersalu i będę go sondował przez drogę.

Dzisiejsza schadzka również i we mnie budzi niejaki nadzieje: nie jest niemożliwe, że wszystko odbyło się po naszej myśli. Może nie pozostaje w tej chwili nic, jak tylko uzyskać wyznanie i postarać się o dowody. To zadanie łatwiejsze będzie dla ciebie niż dla mnie: młoda osóbka bowiem skłonniejsza jest do ufności, lub, co na jedno wychodzi, do gadulstwa niż jej dyskretny kochanek. Zrobię jednakże, co będzie w mej mocy.

Do widzenia, uroczą przyjaciółko; spieszę się bardzo; nie będę mógł być u ciebie ani dziś wieczór, ani jutro. Gdybyś ze swej strony dowiedziała się czego, napisz słówko; odbiorę za powrotem. Na noc z pewnością będę już w Paryżu.

3 września 17**

LIST LIV

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Zapewne! Jest się o czym wywiadywać, skoro się ma z takim Dancenym do czynienia! Jeżeli ci co mówił, przechwalał się. Nie znam większego niezdary i coraz więcej żał mi naszych trudów dla takiego głuptasa. Czy wiesz, że jeszcze włos, a byłabym się skompromitowała przez niego? I do tego zupełnie na darmo! Ale zapłaci mi, to pewna.

Przed wszystkim, kiedy wstąpiłam wczoraj po panią de Volanges, nie chciała w ogóle ruszyć się z domu, czuła się cierpiąca; zaledwie zdołałam ją wyciągnąć. Jeszcze chwila, a Dancenego byłby się zjawił przed naszym wyjazdem, co byłoby już bardzo podejrzanym, ile że pani de Volanges oznajmiła poprzedniego dnia, że nie będzie dzisiaj w domu. Obie z małą siedziałyśmy jak na szpilkach. Nareszcie udało mi się wyruszyć z matką, córeczka zaś, żegnając się, ścisnęła mnie za rękę tak czule, iż mimo jej najświętszych postanowień zerwania, obiecywałam sobie cuda po tym wieczorze.

Nie tu jeszcze koniec utrapień. Ledwie upłynęło pół godziny, jak bawiliśmy u pani de***, kiedy pani de Volanges w istocie zasłabła; ale naprawdę, poważnie zasłabła. Oczywiście chciała wracać do domu, od czego znów ja, jak łatwo zrozumiesz, starałam się ją odwieść wszelkimi siłami. Półtorej godziny nie pozwoliłam się jej ruszyć z miejsca, udając, iż lękam się, aby kołysanie powozu nie pogorszyło jej stanu. Wróciliśmy dopiero o naznaczonej godzinie. Zauważyłam u małej minkę mocno zawstydzoną, tak iż mniemałam wreszcie, że kłopoty nie były przynajmniej daremne.

Pragnąc dowiedzieć się co rychlej o wszystkim, zostałam na wieczór u pani de Volanges, która położyła się natychmiast. Spożywszy wicherz przy jej łóżku, opuściliśmy ją bardzo wcześnie, nie chcąc jakoby zakłócać spoczynku, i przeszliśmy do pokojów córek. Okazało się, iż mała spełniła wszystko, czego się po niej spodziewałam: skrupuły w kącie, nowe przysięgi wiecznej miłości, itd. itd.; za to głuptas Dancenego nie posunął się ani na włos! Och! Z tym to można się bezpiecznie pokłócić; pojednanie nie przedstawia najmniejszego niebezpieczeństwa.

Mała twierdzi, że Dancenego chciał więcej, ale że ona umiała się bronić. Ręczę, że albo się przechwala, albo też chce go usprawiedliwić; sama nawet upewniłam się o tym niemal. Istotnie, przyszła mi chętka przekonać się dowodnie, do jakich granic sięga niezłomność jej oporu; i ja, prosta kobieta, z zabawki w zabawkę, zdołałam ją doprowadzić aż do...

Słowem, możesz mi wierzyć, nie było na świecie istotki mniej niedostępnej tej kategorii wrażeń. Naprawdę ona jest milusia, ta mała! Warta by była innego kochanka; będzie miała przynajmniej dobrą przyjaciółkę, bo zaczynam się do niej szczerze przywiązywać. Przrzekłam jej, że ją wychowam i zdaje mi się, że dotrzymam słowa. Często dawał mi się uczuć brak oddanej i zaufanej powiernicy; ta dziewczyna wybornie się do tego nadaje, ale nie może być o tym mowy, dopóki nie będzie... przygotowana; tym bardziej mam więc żal do Danceney'ego.

Do widzenia, wicehrabio; nie przychodź jutro, chyba rano. Uległam prośbom kawalera i ofiarowałam mu wieczór w moim sanktuarium.

4 września 17**

LIST LV

Cecylia Volanges do Zofii Carnay

Miałas rację, Zosieńko; w prorocत्वach więcej masz powodzenia niż w radach. Danceney, jak przepowiedziałas, mocniejszy się okazał niż spowiednik, niż ty, niż ja sama: wszystko wróciło do dawnego. Och, nie żałuję; a ty, jeśli będziesz mi czynić wymówki, to tylko dlatego, że nie wiesz, co to za szczęście kochać Danceney'ego. Bardzo ci łatwo mówić, jak trzeba postępować, kiedy nie o ciebie chodzi; ale gdybyś skosztowała, jak strasznie się odczuwa zmartwienie kogoś, kogo się kocha, ile radości sprawia jemu sprawić radość, i jak trudno powiedzieć *nie*, kiedy z całej duszy chciałoby się powiedzieć *tak*, nie dziwiłabyś się niczemu. Czy myślisz, na przykład, że ja mogę patrzeć, jak Danceney płacze, żebym sama nie płakała? Ręczę ci, że to zupełnie niemożliwe; a kiedy on jest wesoły, to i ja czuję się taka szczęśliwa!

Chciałabym ciebie widzieć na moim miejscu... Nie, to jest, nie to chciałam powiedzieć: to pewna, że mego miejsca nie ustąpiłabym nikomu; ale chciałabym, żebyś ty także kogoś kochała; i to nie tylko dlatego, żebyś mnie rozumiała lepiej i mniej mnie łajała, ale dlatego, że byłabyś o wiele szczęśliwsza, a raczej wtedy byś dopiero zaczęła być szczęśliwa.

Nasze zabawy, żarty, to wszystko, widzisz, to tylko zabawki dziecinne; kiedy przemina, nic po nich nie zostaje. Ale miłość, ach, miłość!... Jedno słowo, spojrzenie, nic tylko wiedzieć, że on jest gdzieś blisko, ach, to już całe szczęście. Kiedy widzę Danceney'ego, nie chcę już nic więcej; kiedy go nie widzę, chciałabym tylko jego. Nie wiem, jak się to dzieje: ale to tak, jak gdyby wszystko, co mi się podoba, podobne było do niego. Kiedy on nie jest ze mną, myślę o nim; kiedy mogę myśleć do syta, bez przeszkody, kiedy jestem całkiem sama na przykład, już czuję się szczęśliwa. Zamykam oczy i zaraz zdaje mi się, że go widzę; przypominam jego słowa i zdaje mi się, że je słyszę; aż muszę wzdychać; a potem tak mnie coś pali, tak mi się w sercu ściska... Nie mogę sobie miejsca znaleźć. To tak, jakby jakieś cierpienie, a to cierpienie robi nieopisaną przyjemność. Myślę nawet, że kiedy raz się pozna, co miłość, to się już rozlewa nawet i na przyjaźń. Nie mówię o przyjaźni dla ciebie; ta się nic nie zmieniła; to tak samo jak w klasztorze; ale tego, co ci mówię, doznaję z panią de Merteuil. Zdaje mi się, że raczej kocham ją tak jak Danceney'ego, niż tak jak ciebie i niekiedy chciałabym, żeby ona to był on. To może stąd, że to nie jest przyjaźń od dziecka jak nasza; albo też widuję ich tak często razem, że mi się czasem myli. To pewna, że z nimi dwojgiem czuję się bardzo, bardzo szczęśliwą; i ostatecznie nie zdaje mi się, żebym robiła coś tak bardzo złego. Toteż nie chciałabym niczego więcej, gdybym mogła zostać, jak jestem; tylko myśl o małżeństwie mnie dręczy, bo jeżeli pan de Gercourt jest taki, jak mi mówiono, a z pewnością taki jest, to nie wiem, co się ze mną stanie. Do widzenia, Zosiu moja, kocham cię zawsze z całego serca.

4 września 17**

LIST LVI

Prezydentowa de Tourvel do wicehrabiego de Valmont

I na cóż zdałaby się odpowiedź, której żadasz? Wierzyć w pańskie uczucia, czyż nie byłoby dla mnie jedną przyczyną więcej, aby się ich obawiać? Czyliż mi nie wystarcza, czyż panu samemu nie powinna wystarczyć świadomość, że nie chcę ani nie powinnam o nich wiedzieć?

Przypuśćmy, że pan kocha mnie prawdziwie (jedynie, aby nie wracać już do tego przedmiotu, godzę się na to przypuszczenie); czyż wówczas przeszkody, które nas dzielą, mniej byłyby niezwalczone? Czyż miałabym inną drogę, jak tylko pragnąć, aby pan zdołał wkrótce pokonać tę miłość? Czyż nie powinna bym pomagać do tego z całej mocy, starając się odjąć jakąkolwiek nadzieję? Sam pan przyznaje, jak *bolesnym jest to uczucie, skoro osoba, która je wzbudziła, nie podziela go*. Otóż, wie pan przecie dobrze, że niepodobieństwem jest mi go podzielać, a gdyby nawet to nieszczęście się stało, wtrąciłoby mnie ono jedynie w tym sroższą niedolę, nie przyczyniając się w niczym do pańskiego szczęścia. Mam nadzieję, iż zna mnie pan dość dobrze, aby o tym ani na chwilę nie wątpić. Przestań więc, zaklinam, przestań kusić się o zamącenie serca, któremu spokój tak bardzo potrzebny; nie zmuszaj, bym musiała żałować, że pana poznała.

Kocham i poważam męża, który nawzajem ma dla mnie szacunek i przywiązanie; uczucia moje i obowiązki skupiają się na tym samym przedmiocie. Jestem szczęśliwa, powinnam nią być. Jeśli istnieją rozkosze bardziej żywe, ja ich nie pragnę; nie chcę ich poznać. Czyż może być coś słodsze, niż być w zgodzie z własnym sercem, widzieć przed sobą pasmo dni pogodnych, usypiać bez niepokoju i budzić się bez wyrzutów? To, co pan nazywa szczęściem, to jedynie oszołomienie zmysłów, burza namiętności, na którą strach patrzeć, nawet ze spokojnego brzegu. Jak się zawierzyć takim nawałnicom? Jak puścić się na morze pokryte szczątkami tysiącznych okrętów? I z kim? Nie, panie, ja trzymam się lądu; zbyt drogie mi są więzy, które mnie z nim łączą. Gdybym mogła je zerwać, nie uczyniłabym tego; gdybym ich nie miała, pospieszyłabym je sobie nałożyć.

Po co mnie oblegać? Po co ścigać tak wytrwale? Listy pańskie, które powinny być jak najrzadsze, stają się coraz częstsze. Miał pan być rozsądny, tymczasem mówisz jedynie o swej szalonej miłości. Niepokoisz mnie swymi myślami, bardziej jeszcze niż wprzód osobą. Oddalony w jednej postaci, zjawiasz się znowu w innej. To, o czym zabraniam panu mówić, powtarzasz znowu, tylko w innych słowach. Podobasz sobie w tym, aby mnie wprowadzać w kłopot podstępными dowodzeniami, sam zaś wymykasz się moim argumentom. Nie chcę już odpowiadać, nie będę odpowiadała... Jak wy się odnosicie do kobiet, któreście uwiedli! Z jaką wzdargą mówicie o nich! Przypuszczam, iż niektóre z nich zasługują na to: ale czyż wszystkie godne są tylko pogardy? Ach, tak, niewątpliwie, skoro zdeptały obowiązki, aby się wydać na łup występnej miłości. Z tą chwilą straciły wszystko, nawet szacunek tego, dla którego wszystko poświęciły. Kara sprawiedliwa, ale sama myśl o niej przyprowadza o drżenie! Ale cóż mnie to obchodzi wreszcie? Czemu miałabym się zajmować nimi albo panem? Jakim prawem stara się pan zakłócać mój spokój? Zostaw mnie pan, nie szukaj mnie, nie pisz do mnie; proszę o to, żądam. To ostatni list, jaki pan otrzyma ode mnie.

5 września 17**

LIST LVII

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

List twój, markizo, zastałem za powrotem. Uśmiełem się do rozpuku z twego wzburzenia. Nie mogłabyś żywiej odczuć zbrodni Danceny'ego, gdyby się jej dopuścił względem ciebie samej. Przez zemstę zapewne, przyzwyczajasz jego ulubioną do małych niewierności względem swego adonisa: szelmeczka z ciebie, markizo. Daję słowo! Czarująca jesteś i nic się nie dziwię, że trudniej się oprzeć tobie niż Danceny'emu.

Nareszcie umiem go na pamięć, tego pięknego bohatera romansu, nie ma już tajemnic dla mnie. Tyle mu się nagadałem, że uczciwa miłość jest najwyższym szczęściem, iż jedno szczere uczucie więcej jest warte od dziesięciu miłostek, że sam się uczulem na tę chwilę zakochanym i pełnym nieśmiałości: słowem, zgadzaliśmy się tak dobrze we wszystkim, iż Danceny, oczarowany mą delikatnością serca, wszystko wyznał i zaprzysiągł mi przyjaźń na śmierć i życie. Mimo to jesteśmy ciągle tam, gdzieśmy byli.

Przed wszystkim on ma w głowie tego ćwieka, że z panną trzeba mieć o wiele więcej względów niż z mężatką, ponieważ ma więcej do stracenia. Uważa zwłaszcza, że mężczyzna popełnia nikczemność, jeżeli stawia pannę w konieczności wyboru między zaślubieniem go a hańbą, o ile panna jest, jak w tym wypadku, o wiele bogatszą od tego mężczyzny. Ufność matki, nieświadomość młodej dziewczyny, wszystko to onieśmiela go i wstrzymuje.

Jednak trudność nie leżałaby w pokonaniu jego rozumowań, mimo ich całej słuszności. Przy odrobinie sprytu i z pomocą jego własnej namiętności, rychło dałoby się je obalić: zwłaszcza że nieco trąć parafianstwem i że miałoby się po swojej stronie powagę utartych obyczajów. Ale największą trudność stanowi to, że on się czuje szczęśliwym tak, jak jest. Istotnie, jeżeli pierwsza miłość wydaje się na ogół uczciwszą i, jak to mówią, czystsza; jeżeli jest w każdym razie mniej pochopną do czynu, nie wynika to, jak by można myśleć, z delikatności lub obawy, ale stąd, iż serce, zdumione nieznanym uczuciem, zatrzymuje się niejako przy każdym kroku, aby nacieszyć się czarem, którego doznaje. Czar ten działa tak potężnie na serce jeszcze nieużyte, iż pochłania je całkowicie, każąc zapomnieć o innej rozkoszy. Ta prawda jest tak ogólną, iż rozpustnik, który się zakocha (o ile rozpustnik może być zakochany), od tej chwili z mniejszą niecierpliwością dąży do posiadania. Słowem, między postępowaniem Danceny'ego z małą Volanges a moim ze świętą panią de Tourvel istnieją zaledwie nieznaczne różnice.

Aby rozpałcić naszego młodzieńca, trzeba by więcej przeszkód; więcej zwłaszcza potrzeby tajemnicy, z tajemnicy bowiem rodzi się śmiałość. Kto wie, czy nie zaszkodziłaś sprawie, pomagając mu tak gorliwie. Postępowanie twoje byłoby doskonałe dla człowieka wytrawnego, wiedzionego jedynie pragnieniem: ale trzeba było przewidzieć, że dla chłopca młodego, uczciwego i zakochanego najwyższym szczęściem jest pewność wzajemności i że — co za tym idzie — im bardziej będzie jej pewny, tym mniej będzie przedsiębiorczy.

Podczas gdy ja tu rozprawiam, ty milej skracasz chwile ze swoim kawalerem. To mi nasuwa na pamięć, że przyrzekłaś zdradzić ze mną swego rycerza; przyrzeczenie na piśmie, nie myślę go się wyrzekać. Przyznaję, termin płatności jeszcze nie nadszedł: ale byłoby szlachetnie z twojej strony nie czekać go, ja zaś, z mojej, gotów bym w zamian potrącić ci procenta. I cóż ty na to, markizo? Jeszcze cię nie wzruszyła własna stałość? Czy ten kawaler ma jakieś cudowne własności? Och, pozwól mi się z nim zmierzyć: zmuszę cię do wyznania, że jeśli widziałaś w nim jakie zalety, to tylko dlatego, żeś zapomniała o moich.

Do widzenia, uroczą przyjaciółko; ściskam cię tak, jak ciebie pragnę; wyzywam wszystkie pieśczęty kawalera, żali zdolają moim dorównać w zapale.

5 września 17**

LIST LVIII

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel

I czym zdołałem zasłużyć, pani, na gniew i wymówki? Przywiązanie najżywsze, a mimo to najpełniejsze czci, poddanie najzupełniejsze najdrobniejszym życzeniom: oto w dwóch słowach dzieje i moich uczuć, i postępów. Przytłoczony niedolą bezwzajemnej miłości, nie miałem innej pociechy, jak tylko ciebie oglądać; kazałaś mi się wyrzec tej osłody: usłuchałem bez szemrania. Za cenę tego poświęcenia pozwoliłaś pisywać do siebie i dziś chcesz odjąć to jedyne szczęście. Mam je sobie dać wydrzeć, nie próbując bronić się nawet? Zaprawdę, nie! Jakżeby miało nie być drogim memu sercu? Wszak to jedyne, jakie mi pozostało, i mam je z twoich rąk, pani.

Listy moje, powiadasz, są zbyt częste! Pomyśl tedy, proszę, że przez te dziesięć dni wygnania nie spędziłem ani chwili, w której by dusza nie była zajęta tobą, a mimo to otrzymałaś ledwie dwa listy. „Mówię ci jedynie o miłości!” Ach, o czymż innym mogę mówić, jak nie o tym, o czym myślę? Wszystko, co mogłem uczynić, to jedynie osłabić wyraz uczuć; możesz mi, pani, wierzyć, odsłoniłem jedynie to, czego mi było niepodobnym utaić. Grozisz wreszcie, iż nie będziesz odpowiadać. Nie dość ci więc, iż z człowiekiem, któremu jesteś droższa nad wszystko i który cię uważa więcej jeszcze niżli kocha, obchodzisz się bez cienia litości? Pragniesz mu jeszcze okazać wzgardę! I po cóż te groźby i gniewy? Do czegoż one potrzebne, czyż nie jesteś pewna posłuszeństwa? Czy jest mi podobieństwem sprzeciwić się twemu życzeniu i czy tego nie dowiodłem? Ale czy zechcesz, pani, nadużyć władzy, jaką masz nade mną? Uczyniwszy mnie nieszczęśliwym, dopuściwszy się względem mnie niesprawiedliwości, czyż tak łatwo zdołasz się cieszyć spokojem, który, zapewniasz, tyle ci jest potrzebny? Nie powiesz sobie nigdy: oddał mi los swój w ręce, a ja wtrąciłam go w niedolę? Błagał o pomoc, a ja patrzyłam nań bez litości? Czy wiesz, dokąd mnie może zaprowadzić rozpacz? Nie!

Aby zmierzyć me cierpienia, trzeba by wiedzieć, do jakiego stopnia kocham ciebie, a ty, pani, nie znasz mego serca.

Dla czegoż ty mnie poświęcasz? Dla złudnej obawy. I kto ją w tobie budzi? Człowiek, który cię ubóstwia; człowiek, nad którym na wieki posiadasz nieograniczoną władzę. Czegoż się obawiasz, czego możesz się obawiać od uczucia, którym zawsze będzie w twej mocy kierować do woli? Ale wyobraźnia twoja stwarza potworne widma, a grozę, jaką w tobie budzą, przypisujesz miłości. Nieco ufności tylko, a widziadła pierzchną.

Mędrzec jakiś powiedział, że aby rozprościć własne obawy, wystarcza, prawie zawsze, zastanowić się nad ich przyczyną. Prawda ta stosuje się zwłaszcza do miłości. Kochaj, a zmory się rozwiją. Zamiast przerażających widziadeł, znajdziesz uczucie pełne rozkoszy, ujrzyś czulego i uległego kochanka; dni twoje, płynąc w ciągłej szczęśliwości, budzić będą w tobie jedynie żal, iż mogłaś ich tyle wprzód zmarnować w swym uporze. Ja sam, od czasu gdy uleczony z dawnych błędów istnieję jedynie dla miłości, żałuję czasu strawionego rzekomo na rozkoszy; czuję, że tylko ty jedna posiadasz moc uczynienia mnie szczęśliwym. Ale błagam cię pani, niechaj słodczy pisanie do ciebie nie zamąca nadal obawa twej niełaski. Nie chcę ci być nieposłusznym; klękam oto przed tobą, błagam o szczęście, które chcesz mi wydrzeć, jedyne, jakieś mi zostawiła, wołam do ciebie, usłysz moje prośby, spójrz na moje łzy, och, pani, czy mi odmówisz?

7 września 17**

LIST LIX

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Wy tłumacz mi, markizo, jeśli możesz, co znaczy to bajanie Danceny'ego. Cóż się stało i co on utracił? Czyżby donna pogriewała się za jego wiekuisty szacunek? Co prawda, trudno by się dziwić. Co mam mu powiedzieć dziś wieczór na schadzce, o którą prosi i o którą, od wszelkiego wypadku, przyrzekłem? To pewna, że nie będę tracił czasu na słuchanie lamentów, jeżeli ma nic nie być z tego wszystkiego. Skargi miłosne znośne są jedynie w postaci pięknych recytatywów albo potoczystych arii. Poucz mnie więc, co się stało i co robić; inaczej zmykam, aby uniknąć całego nudziarstwa. Czy mógłbym z tobą pomówić dziś rano? Jeżeli jesteś *zajęta*, napisz bodaj słówko i daj mi wskazówki.

Gdzie podziewałaś się wczoraj, markizo? Zupełnie już stałaś się niewidzialna. Warto było doprawdy trzymać mnie po to w Paryżu we wrześniu! Namysł się zatem, bo właśnie otrzymałem bardzo nagłące zaproszenie od hrabiny de B***, aby odwiedzić ją na wsi; oznajmia mi z pewnym humorem, że „jej mąż posiada wspaniałe lasy, które pielęgnuje starannie dla rozrywki przyjaciół”. Otóż jak ci wiadomo, mam pewne prawa do owych lasów i zamierzam je odwiedzić, jeśli ci nie jestem potrzebny. Do widzenia; pamiętaj, że Danceny ma być u mnie koło czwartej.

8 września 17**

LIST LX

Kawaler Danceny do wicehrabiego de Valmont

(Załączony do poprzedniego)

Ach, panie, jestem w rozpacz, wszystko stracone. Lękam się powierzyć papierowi tajemnicę mej niedoli, a czuję potrzebę wylania jej na łono szczerzej i wiernej przyjaźni. O której godzinie będę mógł pana zobaczyć i pospieszyć po radę i pociechę? Byłem tak szczęśliwy w dniu, w którym panu otworzyłem serce. A teraz, cóż za różnica! Jakże się wszystko zmieniło! To, co cierpię za siebie, to ledwie najmniejsza część; stokroć gorzej uciska mnie niepokój o osobę droższą mi nad życie. Pan jest szczęśliwszy ode mnie; pan możesz ją oglądać; toteż liczę na pańską przyjaźń; wszak nie odmówisz mi pomocy? Ale wprzód muszę się z panem widzieć i opowiedzieć wszystko. Pożalisz się nade mną, dopomożesz; w tobie cała nadzieja. Ty masz serce tklive, wiesz, co miłość, tobie jednemu mogę się zawierzyć: nie odrzucaj mojej prośby!

Do widzenia; jedyną pociechą w boleści jest myśl, iż posiadam takiego przyjaciela. Donieś, błagam, o której godzinie będę cię mógł zastać. Jeżeli rano niemożliwe, w takim razie przynajmniej wcześniej popołudniu.

8 września 17**

LIST LXI

Cecylia Volanges do Zofii Carnay

Zosiu droga, pożaluj Cesi, twojej biednej Cesi; bardzo jest nieszczęśliwa! Mama wie o wszystkim. Nie pojmuję, jak mogła się domyślić, a jednak wszystko się wydało. Wczoraj wieczór, zdawało mi się, że mama jest jakaś podrażniona; ale nie zwracałam wielkiej uwagi, i nawet czekając, aż ukończy partyjkę, rozmawiałam wesoło z panią de Merteuil, która była na kolacji. Mówiliśmy wiele o Dancenym. Nie sądzę jednak, aby ktokolwiek mógł słyszeć. Potem ona poszła, a ja udałam się do siebie.

Rozbierałam się właśnie, kiedy weszła mama. Najpierw oddaliła pannę służącą; następnie kazała mi oddać klucz od sekretarzyka. Powiedziała to takim tonem, że zaczęłam się trząść na całym ciele i ledwie mogłam się utrzymać na nogach. Próbowałam udawać, że nie mogę znaleźć klucza; wreszcie trzeba było usłuchać. Zaraz w pierwszej szufladzie wpadły jej w ręce listy kawalera. Byłam tak nieprzytomna, że kiedy zapytała, co to, nie umiałam nic odpowiedzieć; ale kiedy zobaczyłam, że mama się bierze do czytania, ledwie zdołałam dowlec się do fotela. Zrobiło mi się tak słabo, że straciłam przytomność. Skoro przyszłam do siebie, mama, która tymczasem zawołała moją pannę, oddaliła się, zalecając mi się położyć. Zabrała z sobą wszystkie listy. Drzę cała, ile razy pomyślę, że trzeba będzie pokazać się jej na oczy. Płakałam calutką noc.

Piszę o samym świtaniu, w nadziei, że przyjdzie Józefa. Jeżeli zdołam widzieć się z nią samą, poproszę, aby oddała pani de Merteuil bilecik; jeżeli nie, włożę go do twego listu i ty zechciej go posłać jak od siebie. Od niej jednej mogę się spodziewać jakiejś pociechy. Przynajmniej będę mogła powiedzieć o nim, bo nie mam nadziei zobaczyć go więcej. Bardzo jestem nieszczęśliwa! Będzie może tak dobra podjąć się przesłania listu. Nie śmiem użyć Józefy do takiej przesyłki, ani tym mniej panny służącej; kto wie, czy to nie ona właśnie powiedziała mamie!

Nie piszę dłużej, bo chcę jeszcze napisać do pani de Merteuil i do Dancenego; muszę mieć list gotowy, gdyby się chciała podjąć. Potem położę się znowu, aby być w łóżku, gdy kto wejdzie. Powiem, że jestem chora, żeby nie musieć iść do mamy. Niewiele zresztą skłamię: gorzej się mam, to pewna, niż gdybym miała gorączkę. Oczy mnie palą z ciągłego płakania; ciężkość mam taką na piersiach, że ledwie mogę oddychać. Kiedy pomyślę, że nie zobaczę już Dancenego, wołałabym nie żyć. Do widzenia, droga Zosiu, nie mogę więcej pisać; lży mnie dławią.

Nota. List Cecylii Volanges do pani de Merteuil pominięto, ponieważ zawierał te same fakty, tylko mniej szczegółowo. List do kawalera Dancenego zaginął: przyczynę tego odnajdzie czytelnik w liście LXVI, pisanym przez panią de Merteuil do wicehrabiego.

7 września 17**

LIST LXII

Pani de Volanges do kawalera Dancenego

Nadużywszy niegodnie ufności matki i niewinności dziecka, nie powinien się pan dziwić, że nie możesz być nadal przyjmowany w domu, w którym dowody najszczerzej przyjaźni odplaciłeś podeptaniem wszystkich względów. Wolę pana samego prosić, abyś nie pojawiał się u mnie, niżli wydawać odpowiednie rozkazy służbie, co byłoby dla nas wszystkich zarówno ubliżające. Mam prawo spodziewać się, że nie zmusi mnie pan do tego środka. Upprzedzam również, że jeśli uczynisz najmniejsze usiłowania, aby utrzymać córkę w oblędzie, do którego ją doprowadziłeś, kraty klasztorne usuną ją na zawsze od pańskich prześladowań. Pańską rzeczą zastanowić się, czy równie z lekkim sercem zdolny jesteś wtrącić ją w nieszczęście, jak lekko przyszło ci czyhać na jej hańbę. Co do mnie, postanowienie moje jest niezłomne; powiadomiłam o nim pannę de Volanges.

Załączam pakiet zawierający pańską korespondencję. Mam nadzieję, że zwrócisz mi pan nawzajem listy córki i dopomożesz w ten sposób do usunięcia śladów wypadku, którego nie moglibyśmy wspomnieć, ja bez oburzenia, ona bez wstydu, pan bez wyrzutów.

Mam zaszczyt pozostać itd.

LIST LXIII

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

I owszem, mogę ci wytłumaczyć, co znaczy bilet Danceny'ego. Wypadek, który go spowodował, jest moim dziełem, i jest to, śmiem mniemać, moje arcydzieło. Nie straciłam czasu od twego ostatniego listu i powiedziałam sobie jak ateński budowniczy: „Co on powiedział, ja wykonam”.

Trzeba więc przeszkód temu pięknemu bohaterowi romansów! Usypia go zbyt szczęścia! Och, niech się zda na mnie, już ja go zatrudnię; mam nadzieję, że sen jego cokolwiek się zamąci. Trzeba mu było koniecznie dać poznać wartość czasu; teraz, pochlebiam sobie, czuje nieco żalu, że go tak marnował. Trzeba, mówiłeś również, by się musiał więcej ukrywać; doskonale! Tej potrzeby odtąd mu nie zbraknie. Mam tę zaletę, że wystarczy mi tylko wytknąć błędy; nie spoczne wówczas, póki wszystkiego nie naprawię. Posłuchaj zatem, co uczyniłam.

Wróciwszy do domu przedwczoraj rano, przeczytałam twój list; wydał mi się objawieniem. Przekonana, że bardzo trafnie wskazałeś przyczynę złego, myślałam jedynie nad sposobami naprawienia go. Mimo to na razie położyłam się do łóżka, ponieważ niestrudzony kawaler nie dał mi się zdrzemnąć ani na chwilę i zdawało mi się, że jestem senna: ale nic z tego. Ciągła myśl o Dancenym, ciągłe szukanie środków wyrwania go z jego niedołęstwa lub ukarania za nie, nie dały mi zmruznąć oka; dopiero gdy dobrze obmyśliłam cały plan, zdołałam zasnąć na jakie dwie godziny.

Jeszcze tego samego wieczora udałam się do pani de Volanges i w myśl mego projektu, zwierzyłam jej, iż mam prawie pewność, że między jej córką a Dancenym istnieją mocno podejrzone konszachty. Ta kobieta, tak jasnowidząca, gdy chodziło o ciebie, tutaj okazała się w najwyższym stopniu zaślepioną. Odpowiedziała zrazu, iż z wszelką pewnością się myślę, że córka jej to dziecko itd. itd. Nie mogłam powiedzieć wszystkiego, co wiedziałam; ale przytoczyłam spojrzenia, słówka, które rzekomo zdołały zaniepokoić mą przyjaźń i cnotę. Słowem, przemawiałam wcale nie gorzej od prawdziwej świętoszki; aby zaś wymierzyć cios stanowczy, natrąciłam iż, o ile mi się zdaje, zauważyłam wymianę listów. To mi przypomina, dodałam, że kiedyś mała otwarła przy mnie szufladę, przy czym uderzyło mnie, iż chowa tam pełno papierów. „Czy wiesz o kimś, kto by do niej pisywał tak często?” Tu spostrzegłam na twarzy pani de Volanges wyraźne poruszenie; lzy zakręciły się jej w oczach. „Dziękuję ci, zacna przyjaciółko — rzekła — ściskając mi rękę; postaram się to wyjaśnić”.

Po tej rozmowie, zbyt krótkiej, by mogła wzbudzić podejrzenia, przesłam do młodej osóbk. Przed odejściem prosiłam jeszcze matkę, by nie zdradziła mnie wobec malej; zwróciłam jej uwagę, jak szczęśliwą okolicznością jest, iż to dziecko nabrało do mnie dosyć zaufania, by mi otwierać serduszek i móc tym samym korzystać z *moich roztropnych wskazówek*. Przyrzekła skwapliwie i sędzę, że dotrzyma słowa: o ile ją znam, będzie się chciała popisać przed córką własną przenikliwością. W ten sposób mogę zachować nadal przyjacielski ton z małą, nie wydając się zarazem fałszywą w oczach pani de Volanges, o co mi właśnie chodziło. Zyskałam jeszcze i to, iż na przyszłość mogę przebywać z młodą osóbką tak długo i tak poufnie, jak mi się spodoba, nie ściągając podejrzeń matki.

Skorzystałam z tego jeszcze tego samego wieczoru; po ukończeniu partii usunęłam się z małą do kącika i wyciągnęłam ją na temat Danceny'ego, zawsze niewyczerpany. Ona fantazjowała radośnie na temat jutrzejszego widzenia z lubym, ja podbijałam jej bębenka, co mnie bardzo bawiło; trzeba było słyszeć, co ten malec plótl za szaleństwa. Trzebaż jej było oddać bodaj w marzeniu to, co wydzieralam w rzeczywistości! Przy tym chodziło mi o to, aby uczynić cios tym dotkliwszym. Im bardziej się nacierpi, tym bardziej będzie chciała powetować to sobie przy pierwszej sposobności. Nieźle jest zresztą przyzwyczajać do silnych wzruszeń kogoś, kogo się przeznacza do wielkich przygód.

I czemuż by nie miała paroma łzami opłacić przyjemności posiadania swego Danceny'ego? Toż ona szaleje za nim! Otóż przyrzekam jej, będzie go miała, prędzej nawet, niż by się to stało bez tej burzy. Będzie to jakby zły sen z tym rozkoszniejszym przebu-

dzeniem; toteż wszystko razem wzięwszy, sędzę, że powinna mi być wdzięczna. Choćby w tym i była mała domieszka złośliwości z mojej strony, cóż, trzeba się bawić:

Głupcy są wszak na świecie dla naszej uciechy¹⁰⁷!

Pożegnałam się wreszcie, bardzo kontenta z siebie. Albo Danceney, mówiłam sobie, podniecony przeszkodami podwoi zapalę i wówczas będę mu pomagać z całej mocy, albo też, jeśli jest zwykłym niedołęgą, jak niekiedy skłonna jestem przypuszczać, pogrąży się w rozpacz i będzie uważał sprawę za przegraną. W takim razie zyskam przynajmniej tę pociechę, że się zemściłam na nim, ile mogłam; sama zaś jednym zachodem wzmocniłam szacunek matki, przyjaźń córki, a zaufanie obu. Co się tyczy Gercourta, głównego przedmiotu mych starań, musiałabym być niezręczna, gdybym, mając taki wpływ na jego żonę, nie znalazła tysiąca sposobów, aby go przystroić tak, jak pragnę. Położyłam się z tymi słodkimi myślami: spałam też dobrze i długo.

Obudziwszy się, zastałam dwa bileciki, jeden od matki, drugi od córki; nie mogłam się powstrzymać od śmiechu, czytając w obu dosłownie to samo zdanie: *Od ciebie jednej oczekuję jakiejś pociechy*. Czy to nie jest w istocie zabawne pocieszać tak za i przeciw i być wspólnym rzecznikiem dwóch wręcz sobie przeciwnych interesów? Oto jestem jak Bóstwo: przyjmuję sprzeczne modły ślepych śmiertelników, nic nie zmieniając w niewzruszonych wyrokach. Opuściłam mimo to tę dostojną rolę, aby się przedzierzgnąć w Anioła pocieszyciela, i pospieszyłam, wedle przykazania, nawiedzić moje przyjaciółki w strapieniach.

Zaczęłam od matki; zastałam ją pograżoną w smutku, który już cię częściowo mścił za przeciwności, których doznałeś z jej powodu. Wszystko powiodło się znakomicie: jedyną mą obawą było, aby pani de Volanges nie skorzystała z wczorajszego momentu i nie zdobyła zaufania córki. Mogła to bardzo łatwo osiągnąć, odnosząc się do niej łagodnie i przyjacielsko i przybierając roztropne wskazówki w formę tkliwej pobłażliwości. Na szczęście wzięła rzecz bardzo surowo i tak źle pokierowała sprawą, że mogłam jej tylko przyklasnąć. Z tym wszystkim o włos, że nie zniweczyła wszystkich planów, wpadła bowiem na pomysł oddania małej z powrotem do klasztoru: ale uchyliłam cios i poradziłam, aby jedynie zawiesiła nad córką tę groźbę, w razie gdyby Danceney nie poniechał zabiegów. Uczyniłam to, aby zmusić dwoje młodych do ostrożności, którą uważam za wielce zbawienną dla naszych planów.

Następnie przeszłam do córki. Nie uwierzysz, do jakiego stopnia nieszczęście jest jej do twarzy! Skoro tylko trochę wykształci się w zalotności, ręczę ci, będzie płakała często: tym razem, płakała bez żadnego wyrachowania... Uderzona tym nowym wdziękiem, którego nie znałam u niej i który bardzo rada byłam poznać, z początku zaaplikowałam jej z rozmysłu owe niezdarne pocieszenia, co to nie tyle koi, ile potęgują zmartwienie. W ten sposób doprowadziłam ją niemal do zupełnej nieprzytomności. Już nie mogła nawet płakać, przez chwilę obawiałam się konwulsji. Poradziłam, aby się położyła, na co zgodziła się bez oporu; zastąpiłam jej pannę służącą. Włosy rozsypały się jej na ramiona i na odsłonięte piersi; uściśkałam ją, pozwoliła się bez oporu utulić, a lzy na nowo obficie puściły się z oczu. Boże, jakaż była ładna! Doprawdy, jeżeli Magdalena była do niej podobna, to w roli pokutnicy musiała być stokroć niebezpieczniejsza niż wprzód jako grzesznica.

Skoro biedactwo znalazło się w łóżku, zabrałam się do pocieszania, tym razem już naprawdę. Przede wszystkim uspokoiłam ją co do obawy klasztoru. Obudziłam nadzieję widzenia się z Dancenym potajemnie. Siadając na łóżeczku małej, rzekłam: „Gdyby on tu był na moim miejscu...”, po czym, haftując na ten temat, doprowadziłam ją od słówka do słówka, od pieczyoty do pieczyoty, do tego, iż ze szczętem zapomniiała o zmartwieniu. Byłybyśmy się rozstały zupełnie zadowolone z siebie wzajem, gdyby nie to, że dziewczeczka chciała koniecznie przesłać przeze mnie list Danceney'emu, czego stanowczo odmówiłam. Oto moje powody, którym przyklasnieś zapewne:

Przed wszystkim zdradziłabym się w oczach Danceney'ego i to był powód, którym zasłoniłam się wobec małej; prócz niego było wiele innych, ważnych z naszego punktu

¹⁰⁷ *Głupcy (...) uciechy* — Gresset: *Złośliwiec*, komedia.

widzenia. Czyż mogłam unicestwić owoc moich trudów, dając dzieciakom tak rychło najlepszy sposób ukojenia zmartwień? Przy tym nie miałabym nic przeciw temu, aby musieli i służbę wmieszać w tę przygodę. Jeżeli wszystko pójdzie pomyślnie, jak mam nadzieję, trzeba, aby się to rozniosło natychmiast po zamążpójściu małej, a trudno do tego celu o pewniejszą drogę; gdyby zaś jakimś cudem służba miała nie rozgłosić, wówczas rozgłosimy sami, a łatwiej będzie złożyć niedyskrecję na rachunek ludzi.

Staraj się więc dziś poddać tę myśl Danceny'emu; że zaś nie jestem zbyt pewna pokojówki małej Volanges, której i ona sama nie bardzo ufa, poradź mu moją wierną Wiktorię. Postaram się, aby się spotkał z przychylnym przyjęciem. Najlepsze zaś jest to, że konfidencja ta będzie użyteczną jedynie dla nas, a nie dla nich: czemu, zaraz się dowiesz, bo jeszcze nie skończyłam sprawozdania.

Podczas gdy wzdragałam się przyjąć listu, przechodziłam nieustanne obawy, aby mi go nie zleciła oddać na miejską pocztę, czego nie mogłabym odmówić. Na szczęście, czy to przez pomieszanie, czy przez nieświadomość, czy też że mniej zależało jej na liście niż na odpowiedzi, której nie byłaby mogła otrzymać tą drogą, nic o tym nie wspomniała: aby jednak ubezpieczyć się na przyszłość, powzięłam natychmiast plan. Powróciłam mianowicie do matki i nakłoniłam ją, aby oddaliła córkę na czas jakiś, aby ją wywiozła na wieś... I gdzie? Czy serce nie bije ci z radości?... Do twojej ciotki, do starej Rosemonde! Ma ją uwiadomić o tym dziś jeszcze: w ten sposób, ty masz prawo wrócić do swej świętoszki, która nie będzie się już mogła bronić pozorem gorszącego *sam na sam*; pani de Volanges zatem, dzięki moim staraniom, sama naprawi krzywdę, jaką ci wyrządziła.

Ale posłuchaj mnie i nie zaprzataj się tak żywo własnymi sprawami, abyś miał spuszczać z oka nasze wspólne plany; pamiętaj, chodzi mi o to. Chcę z ciebie zrobić doradcę i pośrednika dwojga młodych. Upředź więc o tej podróży Danceny'ego i ofiaruj pomoc. Powiedz, że jedyna trudność leży w tym, jak panience doręczyć list, uwierzytelniający twoją misję; ale zarazem usuń tę przeszkodę, polecając usługi mojej panny służącej. Jestem pewna, że przyjmie twą ofiarę; ty zaś będziesz miał w nagrodę trudów zwierzenia prostego i naiwnego serca, co zawsze jest interesujące. Biedna mała! Jak ona będzie się rumienić, oddając ci pierwszy list! Doprawdy, ta rola powiernika, tak niesłusznie okrzyczana, wydaje mi się bardzo miłą rozrywką, wówczas gdy serce jest zajęte gdzie indziej; właśnie będziesz w tym położeniu.

Od ciebie zatem zależy rozwiązanie intrygi. Oceń sam chwilę, w której trzeba będzie zgromadzić aktorów. Wiś nastręcza mnóstwo po temu środków, a Danceny z pewnością będzie gotów stawić się na pierwsze wezwanie. Noc, przebranie, okno... czy ja wiem zresztą co? Ale to wiem, że jeżeli dziewczyna wróci stamtąd tak, jak pojechała, do ciebie będę miała pretensję. Jeżeli osądzisz, iż potrzebuje jakiej zachęty z mej strony, daj mi znać. Sądzę, że udzieliłam jej dość dobrej lekcji co do niebezpieczeństwa przechowywania listów, aby móc teraz pisać do niej bez obawy; zawsze zaś trwam w zamiarze zrobienia z niej mojej wychowanki.

Nie wiem, czy ci wspominałam, że podejrzenia zdrady kierowały się zrazu na pannę służącą, lecz odwróciłam je na spowiednika. To się nazywa ubić dwa ptaszki na jeden strzał.

Do widzenia, wicehrabio, rozpisałam się niemożliwie, obiad ucierpi na tym; ale miłość własna i przyjaźń dyktowały ten list, a obie, jak wiesz, są wielkie gaduły. Zresztą, dostaniesz go przed trzecią, a to wszystko, co trzeba.

Skarżę się teraz na mnie, jeżeli masz czoło; jedź odwiedzić, jeżeli cię to nęci, lasy hrabiego de B***. Powiadasz, że pielęgnuje je dla rozrywki przyjaciół? Zatem ten człowiek jest chyba przyjacielem całego świata! Ale do widzenia, głodna jestem.

9 września 17**

LIST LXIV

Kawaler Danceny do pani de Volanges

Odpis załączony do listu LXVI wicehrabiego do markizy

Nie próbuję, pani, usprawiedliwić swego postępowania ani też skarżę się na twoje; mogę jedynie ubolewać nad wydarzeniem, które przyprawia o nieszczęście troje osób

godnych szczęśliwszego losu. Bardziej jeszcze zgnębiony tym, iż stałem się tego nieszczęścia przyczyną, niż że jestem zarazem jego ofiarą, próbowałem od wczoraj kilkakrotnie odpowiedzieć na szanowny list pani, lecz zawsze zbrakło mi sił po temu. Mimo to mam pani tyle rzeczy do powiedzenia, iż będę musiał zdobyć się na ten wysiłek; jeżeli list mój będzie nieco bezładny i chaotyczny, zechce pani uwzględnić stan, w jakim się znajduję i użyzyć mi swej pobłażliwości.

Pozwól mi, pani, przede wszystkim zastrzec się przeciw pierwszemu zdaniu twego listu. Nie nadużyłem, śmiem twierdzić, ani twej, pani, ufności, ani niewinności panny de Volanges; przeciwnie, w postępkach uszanowałem i jedną, i drugą. Jedynie bowiem postęпки zależały ode mnie; jeżeli zaś czynisz mnie, pani, odpowiedzialnym za niezależne od mej woli uczucie, nie waham się dodać, iż uczucie moje dla jej szanownej córki jest tego rodzaju, iż może pani nie dogadzać, ale nie może obrażać. W przedmiocie tym, który dotyka mnie bardziej, niż umiem powiedzieć, odwołuję się do własnego sądu pani, a listy moje wzywam na świadectwo.

Zabrania mi pani pojawiać się w swoim domu. Niewątpliwie poddam się wszystkiemu, co pani raczy rozkazać: ale czy takie nagłe i zupełne zerwanie stosunków nie stanie się powodem bajek, których pani właśnie pragnęłaby uniknąć? Pozwalam sobie zwrócić szczególną uwagę na ten punkt, ile że bardziej ważnym jest dla panny de Volanges niż dla mnie. Błagam więc, by pani rozważyła dobrze wszystko i nie pozwoliła surowości wziąć górę nad względami rozważli. Przekonany, iż dobro córki kierować będzie postanowieniem pani, oczekuję posłusznie dalszych rozkazów.

W każdym razie, gdyby pani pozwoliła złożyć sobie od czasu do czasu uszanowanie, zobowiązuję się (może pani polegać na tym przyrzeczeniu), że nie wyzyskam sposobności, aby poszukiwać rozmowy z panną de Volanges lub też doręczać jej listy. Obawa przed wszystkim, co mogłoby przynieść ujmę jej dobrej sławie, skłania mnie do tego poświęcenia; szczęście zaś widzenia jej od czasu do czasu będzie mi nagrodą.

Ten punkt listu jest zarazem jedyną odpowiedzią na wszystko, co pani mówi o losie, jaki przeznaczasz pannie de Volanges i który czynisz zależnym od mego postępowania. Przyrzekać więcej znaczyłoby oszukiwać panią. Nikczemny uwodziciel umie naginać zamysły do okoliczności i liczyć się z wypadkami: ale miłość, która mnie ożywia, pozwala mi jedynie na dwa uczucia: odwagę i stałość.

Jak to! Miałbym się zgodzić na to, aby panna de Volanges o mnie zapomniała! Abym ja zapomniał o niej? Nie, nigdy! Pozostanę jej wiernym; złożyłem na to przysięgę i ponawiam ją w tej chwili. Wybacz, pani, odchodzę od przedmiotu; trzeba się opamiętać.

Pozostaje jeszcze porozumieć się co do innej kwestii, mianowicie co do listów, których zwrotu pani żąda. Przykro mi, w istocie, odmawiać pani życzeniu; ale, błagam, wysłuchaj pobudek, zanim mnie osądzisz. Racz pamiętać, że jedyną pociechą w nieszczęściu, w które mnie wtrąca utrata twej, pani, przyjaźni, jest nadzieja ocalenia twego szacunku.

Listy panny de Volanges, zawsze mi tak cenne, w tej chwili nabrały dla mnie tym większej wartości. One są jedynym dobrem, jakie mi pozostało, one jedne stawiają mi przed oczy obraz uczucia, będącego wyłączną pobudką mego życia. Mimo to może pani wierzyć, nie wahałbym się ani na chwilę uczynić to poświęcenie; żal rozłączenia się z tym skarbem ustąpiłby wobec chęci dowiedzenia pani mojej pełnej szacunku powolności; ale wstrzymują mnie względy niezmiernie ważne, których, jestem pewny, pani sama nie będzie mogła potępić.

Posiadasz pani, to prawda, tajemnicę panny de Volanges; ale pozwól mi powiedzieć, mam wszelkie prawo przypuszczać, że dostała się ona w twe ręce za sprawą przymusu, nie zaś zaufania. Nie ośmielałam się bynajmniej potępić kroku, uprawnionego może macierzyńską pieczołowitością. Szanuję pani prawa, ale nie mają one władzy zwolnienia mnie z moich obowiązków. Najświętszym zaś ze wszystkich jest ten, który nakazuje nigdy nie zawieść położonego we mnie zaufania. Uchybiłbym temu obowiązkowi, gdybym odsłonił cokolwiek oczom tajemnice serca, które życzyło zdradzić je tylko mnie samemu. Jeżeli córka pragnie podzielić się nimi z panią, niechaj mówi: jej listy są ci niepotrzebne. Jeśli, przeciwnie, pragnie zamknąć sekret w swoim sercu, nie spodziewa się pani chyba, abym ja go zdradził.

Pragnie pani pokryć to zdarzenie najgłębszą tajemnicą; możesz być o to zupełnie spokojna: we wszystkim, co dotyczy panny de Volanges, mogę walczyć o lepsze nawet

z sercem matki. Wszystko przewidziałem, aby panią uwolnić od wszelkiej obawy. Ten cenny skarb, który dotąd miał napis: *papiery do spalenia*, nosi obecnie znak: *papiery należące do pani de Volanges*.

Zmuszony byłem rozpisać się obszernie; nie dość obszernie jeszcze, jeżeli mój list mógł pozostawić najmniejszą wątpliwość co do uczciwości mych uczuć, bardzo szczerego żalu, iż ściągnąłem na siebie pani niezadowolenie, oraz głębokiego szacunku, z jakim mam zaszczyt etc.

9 września 17**

LIST LXV

Kawaler Danceny do Cecylii de Volanges

Przesłany markizie de Merteuil w liście wicehrabiego

O moja Cesi, co się z nami stanie! Jakie bóstwo nas wybawi z nieszczęść, które się sprzysięgły? Oby miłość dała nam przynajmniej odwagę zniesienia ich! Jak odmalować ci moje zdumienie, rozpacz, gdy ujrzałem przed sobą własne listy, gdy przeczytałem pismo pani de Volanges? Kto mógł zdradzić? Kogo posądzasz? Czyś popełniła jaką nieostrożność? Co robisz teraz? Co ci zagraża? Chciałbym wszystko wiedzieć, a nie wiem nic, zupełnie nic. Może i ty sama nie więcej wiesz ode mnie.

Posyłam ci bilet matki i kopię mej odpowiedzi. Mam nadzieję, że zgodzisz się ze wszystkim, co zawiera. Niezbędnym jest również, abyś dała jakiś znak zgody na wszystko, co postanowiłem od czasu tego nieszczęsnego wypadku: celem mym jedynym było zdobyć wiadomość od ciebie, dać ci znać o sobie i — kto wie? — może ujrzeć cię jeszcze, i to swobodniej niż kiedykolwiek.

Czy pojmujesz, Cesi, tę rozkosz, gdybyśmy się znowu znaleźli razem, na nowo mogli sobie zaprzysiąc wiekuiłą miłość i czytać w oczach, odczuwać w duszy, że ta przysięga nie będzie zwodnicza? Jakichże cierpień ta chwila tak słodka nie pozwoliłaby zapomnieć? Mam tedy nadzieję, że dzień ów świta dla nas, a winien ją jestem właśnie staraniom, dla których błagam cię o przyzwolenie. Co mówię? Winien ją jestem tkliwej pomocy najserdeczniejszego przyjaciela, a jedyną mą prośbą jest, byś pozwoliła, aby ten przyjaciel stał się zarazem i twoim.

Może nie powinienem był rozrządzać twoim zaufaniem bez upoważnienia; niechaj mnie usprawiedliwi rozpaczliwe położenie. Miłość wiodła moje kroki; ona to zebrze twej pobłażliwości, ona prosi, byś przebaczyła zwierzenie nieuniknione, bez którego groziłaby nam wiekuiśta rozłąka¹⁰⁸. Znasz przyjaciela, o którym mówię; jest zarazem przyjacielem osoby najbardziej ci ukochanej: to wicehrabia de Valmont.

Zrazu, kiedym się zwracał do niego, pragnąłem tą drogą uzyskać u pani de Merteuil, aby zechciała się podjąć doręczenia mego listu. Powątpiewał o powodzeniu swego pośrednictwa; ale w razie odmowy pani de Merteuil ręczy za jej pannę służącą, która ma dla niego jakieś względy. Ona zatem odda ci ten list i jej będziesz mogła powierzyć odpowiedź.

Ta pomoc na nic się nie przyda, jeżeli, jak przypuszcza pan de Valmont, bezzwłocznie masz wyjechać na wieś. Ale wówczas on sam ofiaruje swoje usługi. Osoba, do której macie jechać, jest jego krewną. Skorzysta z tego pozoru, aby się tam udać równocześnie z wami: za jego pośrednictwem będziemy mogli korespondować. Ręczy nawet, że jeżeli pozwolisz sobą kierować, dostarczy nam sposobów widywania się bez najmniejszego dla ciebie niebezpieczeństwa.

A teraz, Cesi, jeśli mnie kochasz, jeśli cierpisz nad mą niedolą, jeśli, jak mam nadzieję, podzielasz me żale, czyż odmówisz swej ufności człowiekowi, który będzie dla nas opiekuńczym aniołem? Gdyby nie on, zostałaby mi jedynie rozpacz, iż nie mogę nawet złagodzić smutków, które na ciebie sprowadziłem. Myśl o twej boleści jest dla mnie męczarnią. Oddałbym życie, aby ciebie uczynić szczęśliwą! Wiesz o tym dobrze. Oby pewność, iż jesteś ubóstwianą, mogła przynieść nieco pociechy twej duszy!

Do widzenia, Cesi, do widzenia, jedyna moja!

9 września 17**

¹⁰⁸zwierzenie nieuniknione, bez którego groziłaby nam wiekuiśta rozłąka — pan Danceny mija się z prawdą. Zwierzenie swoje uczynił panu de Valmont jeszcze przed tymi wypadkami. Zobacz list LVII.

LIST LXVI

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Zobaczysz, piękna przyjaciółko, czytając dwa załączone listy, czy dobrze wykonałem twój projekt. Choć oba noszą datę dzisiejszą, pisane są wczoraj u mnie i pod moim okiem: list do małej zupełnie po naszej myśli. Ukorzyć się trzeba przed twą przenikliwością, jeżeli mamy sądzić o niej z powodzenia. Danceny ziele cały ogniem i myślę, że za pierwszą sposobnością nie będziesz miała przyczyn się nań uskarżać. Jeżeli gaska zechce być posłuszna, uporamy się ze wszystkim wkrótce po przybyciu na wieś; mam sto sposobów pod ręką.

Jakiż on jeszcze młody ten Danceny! Czy uwierzysz, że żadną siłą nie mogłem wymóc na nim, aby przyrzekł matce poniechać swej miłości; jak gdyby to cokolwiek szkodziło przyrzekać, skoro się nie ma najmniejszego zamiaru dotrzymać! „To znaczyłoby oszukiwać” — powtarzał bez przerwy: czyż to, istotnie, nie budujący skrupuł, zwłaszcza gdy się ma zamiar uwieść córkę? Oto ludzie! Wszyscy jednako zbrodniczy w zamysłach, niedołęstwu, jakie wkładają w ich przeprowadzenie, nadają miano uczciwości.

Twoją sprawą będzie czuwać, aby pani de Volanges nie wzięła zbyt do serca wyskoków, na jakie sobie młodzian pozwala w wiekopomnym liście; ratuj nas od klasztoru; staraj się również, aby poniechała żądania zwrotu listów. Zresztą on ich nie odda; nie chce oddać, i ja go w tym utwierdzam; tutaj miłość i rozum są jednego zdania. Czytałem te listy, przebrnąłem tę otchłań nudy. Mogą być użyteczne: oto jakim sposobem.

Mimo całej ostrożności, mogłoby się zdarzyć, iż rzecz wyjdzie na jaw: to by udaremniło małżeństwo, nieprawdaz, i zniweczyło nasze zamiary co do Gercourta. Że jednak ja mam przyczyny do porachowania się z matką, zachowuję sobie w tym wypadku sposób zniesławienia córki. Przebrawszy dobrze te listy i puszczając w obieg jedynie część, można przedstawić małą Volanges jako osobę, która sama nawiązała awanturkę i wprost rzuciła się Danceny'emu w ramiona. Niektóre z listów mogłyby nawet skompromitować i matkę, a przynajmniej obarczyć zarzutem karygodnej niedbałości. Przypuszczam, że skrupulat Danceny sprzeciwiłby się zrazu; ale ponieważ byłby osobiście interesowany, sądzę, że można by sobie z nim dać rady. Sto przeciw jednemu, że to nie będzie potrzebne; ale trzeba być na wszystko gotowym.

Do widzenia, piękna przyjaciółko; byłoby bardzo uprzejmie, gdybyś zechciała przyjść jutro do marszałkowej de*** na kolację od której nie mogłem się wymówić.

Nie potrzebuję ci zalecać, markizo, abyś wobec pani de Volanges zachowała mój zamierzony przyjazd w zupełnym sekrecie; gotowa by zostać w mieście; tak zaś, skoro raz przyjedzie, nie będzie przecież mogła wyjechać nazajutrz. Byleby choć tydzień czasu, a trochę za wszystko.

9 września 17**

LIST LXVII

Prezydentowa de Tourvel do wicehrabiego de Valmont

Nie miałam już zamiaru odpowiadać, a zakłopotanie, jakiego doznaję, jest może dowodem, że istotnie nie powinnam była tego czynić. Jednak nie chcę panu zostawić sposobności do żadnego zarzutu; chcę dowieść, że uczyniłam wszystko, co było w mej mocy.

Pozwoliłam pisywać do siebie, powiada pan? Przyznaję; ale skoro mi pan przypomina owo pozwolenie, czy myśli pan, że zapomniałam pod jakimi warunkami? Gdybym ja trzymała się moich równie ściśle, jak pan niewiernie dochowywał swoich, czy byłbyś otrzymał choć jedną odpowiedź? Oto wszakże trzecia; podczas gdy pan robisz, co możesz, aby mnie zmusić do przerwania tej korespondencji, ja myślę nad sposobami utrzymania jej. Widzę jeden tylko, ale to jest jedyny; jeśli go pan odrzuci, będzie to dla mnie, mimo wszystkich zapewnień, dostatecznym dowodem, jak mało dbasz o to.

Porzuc zatem styl, którego ani chcę, ani mogę słuchać; wyrzeknij się uczucia, które mnie obraża i lękiem przejmuje. Czyż to uczucie jest jedynym, do jakiego jesteś zdolny? Ofiarując mi przyjaźń, daję wszystko, co jest moją własnością, czym mogę rozporządzać. Czegóż możesz pragnąć jeszcze? Aby się oddać uczuciu tak słodkiemu, tak stworzonemu dla mego serca, oczekuję tylko pańskiej zgody oraz słowa, jakiego wymagam, że przyjaźń

ta wystarczy dla pańskiego szczęścia. Zapomnę o wszystkim, co mi o panu mówiono; polegać będę na panu, iż postarasz się usprawiedliwić mój wybór.

Widzi pan moją szczerość, powinna być dowodem mego zaufania; od pana wyłączenie zależeć będzie powiększyć je jeszcze: ale uprzedzam, pierwsze słowo *miłości* zniweczy je na zawsze i wróci wszystkie obawy; a przede wszystkim, stanie się dla mnie hasłem wieczystego milczenia.

Jeżeli, jak sam powiadasz, *wyrzekłeś się dawnych błędów*, czyż nie będziesz wołał być przedmiotem przyjaźni kobiety uczciwej niż wyrzutów występnej?

Żegnam pana; pojmuję pan, że po tym, co powiedziałam, nie mogę dodać nic więcej, zanim otrzymam odpowiedź.

9 września 17**

LIST LXVIII

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel

Jak odpowiedzieć, pani, na list ostatni? Jak odważyć się być szczerym, skoro otwartość może mnie zgubić w twoich oczach? Ha, trudno, trzeba; zdobędę się na tę odwagę.

Jakaż szkoda, że, jak pani mówisz, *wyrzekłem się swoich błędów*! Z jakimż uniesieniem radości byłbym czytał list, na który mi dziś z drżeniem przychodzi odpowiadać! Mówisz mi o *szczerości*, okazujesz *zaufanie*, ofiarujesz wreszcie *przyjaźń*: ileż łask, pani, i jak boleśnie nie móc z nich skorzystać! Ach, czemuż nie jestem już dawnym Valmontem!

Gdybym nim był, zaiste, gdybym czuł do ciebie jedynie ten pospolity pociąg, to przełotne upodobanie, dziecię rozkoszy i zachcenia, które mimo to ludzie nazywają dziś *miłością*, czym prędzej starałbym się wyciągnąć korzyści ze wszystkiego, czym mnie obdarzasz. Nie przebierając w środkach, byleby mnie doprowadziły do celu, podsycalbym twoją szczerość, aby cię przejrzeć; starałbym się o twoje zaufanie, aby go nadużyć; przyjąłbym twą przyjaźń, w nadziei sprowadzenia jej na manowce... Co! ten obraz, pani, budzi w tobie grozę?... Otóż byłby on wiernym odbiciem mego stanu duszy, gdybym ci powiedział, że godzę się zostać jedynie przyjacielem.

Kto, ja? Ja bym się zgodził dzielić z kimś drugim uczucie płynące z twojej duszy? Jeżeli kiedykolwiek ci to powiem, nie wierz mi już nigdy. Z tą chwilą będę się starał cię oszukać; może będę cię jeszcze pragnął, ale z pewnością już cię nie będę kochał.

To nie znaczy, aby doskonała szczerość, słodkie zaufanie, tkliwa przyjaźń nie miały ceny w mych oczach... Ale *miłość*! *Miłość* prawdziwa, taka, jaką ty umiesz obudzić, jednocząca wszystkie te uczucia, jeno podniesione do najwyższej potęgi, nie umiałyby się poddać tym ograniczeniom. Nie, pani, nie będę twoim przyjacielem; będę cię kochał *miłością* najtkliwszą, najpłomienniejszą nawet, jakkolwiek najbardziej pełną szacunku. Możesz ją pognębić, ale nie zniweczyć.

Jakim prawem chcesz pani rozrządzać sercem, którego uczucia odtrącasz? Przez jakie wyrafinowane okrucieństwo żałujesz mi nawet *szczęścia* kochania ciebie? To *szczęście* należy do mnie. Nie masz do niego praw; będę go umiał bronić. Jeśli jest źródłem cierpień, jest razem ich ukojeniem.

Nie, jeszcze raz nie. Wytwarzaj w okrutnej surowości, ale pozostaw mi moją *miłość*. Podobna ci się czynić mnie nieszczęśliwym, dobrze więc, niech tak będzie; próbuj wyczerpać mą odwagę; potrafię cię zniewolić, abyś przynajmniej musiała rozstrzygnąć o mym losie; a może przyjdzie dzień, w którym mi oddasz sprawiedliwość. To nie znaczy, bym kiedykolwiek spodziewał się zmiękczyć twoje serce; ale choć nie uda mi się ciebie pozyskać, uda mi się może przekonać; powiesz sobie wówczas: „złe go osądziłam”.

Powiedzmy lepiej: sama sobie wyrządzasz niesprawiedliwość. Znać ciebie i nie kochać; kochać cię, a nie kochać wiecznie — oto dwie rzeczy w równym stopniu niemożliwe; mimo całej skromności łatwiej ci być musi uskarżać się na uczucia, jakie budzisz, niżeli im się dziwić. Co do mnie, ja, którego jedyną zasługą jest, iż umiałem cię, pani, ocenić, nie chcę tracić tej zasługi; toteż daleki od przyjęcia kuszącego daru, na nowo składam u stóp twych przysięgę, iż kochać cię będę na wieki.

10 września 17**

LIST LXIX

Cecylia Volanges do kawalera Danceny

(List skreślony ołówkiem i przepisany przez Danceny'ego)

Pyta się pan, co robię; kocham pana i płaczę. Matka przestała mówić do mnie; odebrała mi papier, pióra i atrament; wzięłam ołówek, który na szczęście mi pozostał, i piszę do pana na skrawku twego listu. Cóż mam robić? Muszę się zgodzić na wszystko, co pan postanowił; zanadto pana kocham, aby się nie chwycić każdego środka, dzięki któremu mogę wiedzieć coś o panu i dać wiadomość o sobie. Nie lubiłam pana de Valmont i nie sądziłam, aby tak bardzo był panu przyjazny; będę się starała przekonać do niego i polubić dla twojej miłości. Nie wiem dotąd, kto mógł nas zdradzić; jedynie chyba panna służąca albo spowiednik. Jestem bardzo nieszczęśliwa; jutro wyjeżdżamy na wieś, nie wiem nawet, na jak długo. Mój Boże! Nie widzieć pana więcej! Nie mam już miejsca do pisania. Do widzenia; niech się pan stara to odczytać. Te słowa kreślone ołówkiem zatrą się może, ale nigdy uczucia wyrzyte w moim sercu.

10 września 17**

LIST LXX

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Muszę ci udzielić ważnej przestrogi, droga przyjaciółko. Byłem wczoraj, jak wiesz, na kolacji u marszałkowej de B***; mówiono tam o tobie; ja również zabierałem głos, aby powiedzieć w tym przedmiocie nie wszystko dobre, które o tobie myślę, ale wszystko dobre, którego nie myślę. Całe towarzystwo zdawało się być mego zdania i rozmowa zaczynała słabnąć, jak to zwykle bywa, kiedy się oddaje bliźniemu same pochwały, gdy wtem wmieszał się ktoś z odmiennym sądem; był to Prévau.

„Niech mnie Bóg broni — rzekł, podnosząc się z krzesła — abym miał wątpić o cnotę pani de Merteuil! Ośmieliłbym się jedynie mniemać, iż zawdzięcza ją bardziej swej ruchliwości niż zasadom. Trudniej jest może nadążyć za nią niż zyskać jej względy; że zaś goniąc za kobietą, ma się zawsze widoki spotkać po drodze inne, tyleż albo i więcej warte, jednych tedy odciąga jakiś nowy kaprys, drudzy zatrzymują się w pół drogi ze zmęczenia; tak że nie ma może w Paryżu kobiety, która by równie mało miała sposobności do walki i obrony, co pani de Merteuil. Co do mnie — dodał (zachęcony uśmiechem kilku kobiet) — póty nie uwierzę w jej świętość, póki nie zamęcę trzech par koni, ubiegając się o jej łaski”.

Ten lichy żart, jak każdy trącający obmową bliźniego, zyskał powodzenie; Prévau wśród powszechnej wesołości zajął miejsce i rozmowa potoczyła się innym torem. Jednakże dwie hrabiny de B***, koło których siedział właśnie ów niewierny Tomasz, podjęły jeszcze ten przedmiot w poufnej rozmowie, a wątek jej udało mi się na szczęście pochwycić.

Stanął zakład o zdobycie twoich względów; przyrzeczono niczego nie zataić, a jeżeli które, to z pewnością to przyrzeczenie będzie święcie dotrzymane. Wiesz tedy, czego się masz obawiać.

Muszę ci jeszcze powiedzieć, że Prévau, którego nie znasz, jest człowiekiem niezmiernego uroku i jeszcze większej zręczności. Jeżeli nieraz zdarzyło ci się słyszeć, że mówiłem o nim inaczej, to jedynie dlatego, że go nie lubię. Staram się szkodzić mu, gdzie mogę, a znam wagę mego zdania wobec garstki kobiet dzierżących w ręku berło mody. W ten sposób udało mi się dość długo nie dopuścić go na tak zwaną *wielką arenę* i sprawić, iż mimo świetnych czynów pozostał prawie nieznanym. Dopiero rozgłos jego „potrójnej przygody”, zwracając nań wszystkie oczy, dał mu tę pewność siebie, której mu dotychczas brakowało i uczynił naprawdę niebezpiecznym. Słowem, jest to dziś jedyny człowiek, którego lękałbym się może spotkać na drodze; toteż niezależnie od twego porachunku oddałabyś mi prawdziwą przysługę, gdyby ci się udało przypiąć mu jakąś śmieszność. Oddaję go w dobre ręce; mam nadzieję, że za moim powrotem będzie to człowiek zarżnięty.

W zamian za to przyrzekam ci poprowadzić z całą gorliwością sprawę twojej pupilki i zająć się nią na równi z moją własną.

Trzeba ci wiedzieć, że moja pani przysłała mi właśnie projekcik kapitulacji. Cały jej list zwiastuje, jak bardzo pragnęłaby zostać oszukaną. Nie mogła w istocie ofiarować bardziej wygodnego i zużytego zarazem sposobu. Proponuje, abym był jej *przyjacielem*. Ale ja, który mam zamiłowanie do metod nowych i trudnych, ani myślę dać się jej wykręcić równie tanim kosztem. Nie na to zadałem sobie z nią tyle kłopotów, aby kończyć rzecz uwiedzeniem tak pospolitego gatunku.

Zamiarem moim, przeciwnie, jest, aby czuła dobrze znaczenie i doniosłość każdego ustępstwa. Nie chcę prowadzić jej tak szybko, aby wyrzuty sumienia nie mogły jej dopędzić; chcę, by cnota jej konała w powolnej agonii, w jej oczach i ze świadomością; nie wcześniej dopuszczę ją do szczęścia posiadania mnie w ramionach, aż ją zmuszę do tego, by nie mogła dłużej ukrywać, jak bardzo tego pragnie. Zbyt mało warta byłaby w istocie moja miłość, gdyby nie była warta, aby poproszono o nią. Czyż nie należy mi się nieco zemsty nad tą dumną kobietą, która jak gdyby się wstydziła wyznać, że mnie ubóstwia?

Odrzuciłem zatem cenną *przyjaźń* i uparłem się przy tytule kochanka. Ponieważ rozumiem dobrze, iż zdobycie tego tytułu, który zrazu wydaje się jedynie kwestią sporu o słowa, ma istotną wagę, przyłożyłem się do listu z wielką pilnością i starałem się go nacechować tym bezładem, bez którego niepodobna wywołać wrażenia szczerego uczucia. Słowem, nabredziłem ile mogłem, bez bredzenia bowiem nie ma czułości, i to jest, jak mniemam, przyczyna, dlaczego kobiety taką wyższość posiadają nad nami w listach miłosnych.

Zakończyłem wynurzenia pełnym słodczy pochlebstwem, co również jest wynikiem głębokich spostrzeżeń. Serce kobiety, skoro przez jakiś czas wystawiono je na próbę, potrzebuje wypoczynku; zauważyłem zaś, że pochlebstwo jest najmiłszą poduszczką, jaką jej można ofiarować.

Do widzenia, piękna przyjaciółko. Wyjeżdżam jutro. Gdybyś miała jakie zlecenie do hrabiny de ***, służę ci: zatrzymam się tam przynajmniej na obiad. Przykro mi, że muszę jechać, nie zobaczywszy się z tobą. Chciej mi przysłać nadal swe nieporównane wskazówki i wspieraj mnie w stanowczej chwili.

Przed wszystkim, chroń się przed Prévaniem; obym kiedyś mógł powetować ci tę ofiarę! Do widzenia.

II września 17**

LIST LXXI

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Wyobraź sobie, markizo, ciemnięga strzelec zostawił teczkę podręczną w Paryżu. Listy mego anioła i bazgroty Danceny'ego, wszystko zostało, a wszystko jest mi tu potrzebne. Pędzi w tej chwili, aby naprawić swoje gapiostwo; ja zaś, zanim nygus osiodła, opowiem ci dzieje ostatniej nocy, bynajmniej, jak się przekonasz, nie zmarnowanej.

Przygoda sama przez się niewielkiej wagi; po prostu odgrzana historia z wicehrabiną de M***. Ale zabawiła mnie przez szczegóły. Bardzo rad jestem przy tym dowiedzieć ci, markizo, że jeżeli posiadam talent gubienia kobiet, umiem je również, jeżeli mi się podoba, ocalić w danym razie. W każdej rzeczy pociąga mnie zawsze sposób rozwiązania najtrudniejszy lub najzabawniejszy i nie wyrzucam sobie dobrego uczynku, jeżeli zeń mogę wyciągnąć ćwiczenie lub rozrywkę.

Otóż zastałem tu wicehrabinę; ponieważ dołączała swoje nalegania do próśb, jakimi mnie obsypywano, aby zostać na noc w zamku, odparłem: „Dobrze więc, przystaję, ale pod warunkiem, że spędzę tę noc z panią”. — „Niepodobieństwo — odparła — Vressac jest tutaj”. Aż dotąd powiedzenie moje było jedynie prostą towarzyską grzecznością; ale słowo „niepodobieństwo” podrażniło mnie, jak zwykle. Wydała mi się zniewagą myśl, iż mam ustąpić wobec Vressaca i postanowiłem tego nie ścierpieć: zacząłem więc nalegać.

Okoliczności nie były najpomysłniejsze. Vressac był na tyle niezdarny, iż ściągnął na siebie podejrzenia męża, tak iż wicehrabina nie może go już przyjmować u siebie: ułożyli zatem wyprawę do pocziwej hrabiny, w nadziei, iż się im uda uszczknąć bodaj parę nocy. Mąż był nawet mocno niekontent, gdy zastał Vressaca; ale że myślistwo jest u niego jeszcze silniejszą namiętnością niż zazdrość, przeto został: hrabina zaś, zawsze taka sama, jak

ją znasz, ulokowawszy żonę w głównym korytarzu, umieściła męża z jednej strony, a kochanka z drugiej, aby sobie sami dawali rady. Zły los obu zrządził, iż mnie pomieszczono naprzeciw.

Owego dnia, to znaczy wczoraj, Vressac, który — jak możesz sobie wyobrazić — czuli się do wicehrabiego, wybrał się, mimo iż niewielki myśliwy, z nim razem na polowanie. Liczył zapewne na to, iż za nudy przecierpiane z mężem w dzień, będzie się mógł w nocy pocieszyć w objęciach żony. Ja, z mojej strony, osądziłem, iż potrzeba mu wypoczynku, i poczyniłem odpowiednie starania u jego pani.

Udało mi się; uzyskałem u niej, że się posprzecz z Vressakiem właśnie z przyczyny tego polowania, na które, rzecz prosta, zgodził się jedynie dla niej. Trudno o lichszy pozór; ale nie ma kobiety, która by w wyższym stopniu niż wicehrabina posiadała ten talent, wspólny im wszystkim zresztą, aby swoje kaprysy kłaść w miejsce jakiegokolwiek racji i najtrudniejszą być do prześlągnięcia wówczas, gdy nie ma zgody słuszności. Chwila zresztą była mało sposobna do wyjaśnień; ja zaś, pragnąc dla siebie tylko jednej nocy, nie miałem nic przeciw temu, aby czuła para pogodziła się nazajutrz.

Vressac tedy spotkał się za powrotem z dąsem. Zapytał o przyczynę, dąs przeszedł w sprzeczkę. Starał się usprawiedliwić: obecność męża posłużyła za pozór do przecięcia rozmowy. Wreszcie skorzystał z chwili, w której mąż opuścił pokój, aby prosić, by mu udzielono posłuchania wieczorem. Wówczas wicehrabina okazała się po prostu wzniosła. Wybuchnęła oburzeniem przeciw zuchwalstwu mężczyzn, którzy dlatego, iż doświadczyli dobroci kobiety, sądzą, iż mają prawo nadużywać jej łask wówczas jeszcze, kiedy ją obrazili. Przeszedłszy w ten sposób z ręcznie na inny temat, zaczęła kazać tak pięknie o delikatności i uczuciu, że Vressac stał niemy i zawstydzony, a ja sam byłem skłonny uwierzyć, iż ona ma słuszność: domyślasz się bowiem, markizo, iż jako przyjaciel obojga byłem dopuszczony do rozmowy jako świadek.

Słowem, oświadczyła stanowczo, że nie ma zamiaru dorzucać trudów miłości do trudów polowania i daleką jest od chęci zakłócania tak lubej rozrywki. Mąż powrócił. Zrozpaczony Vressac, w niemożności odpowiedzenia czegokolwiek, odwołał się do mnie i wytłumaczywszy mi obszernie swoje racje, które znałem równie dobrze jak i on, prosił, abym przemówił za nim, co też solennie przyrzekłem. Przemówiłem też, ale jedynie po to, aby jej podziękować i ułożyć porę schadzki, której miejscem miał być mój pokój.

Wszystko odbyło się podług umowy; około północy zjawiała się u mnie

leciuchno odziana,

Jak piękność świeżo ze snu słodkiego wyrwana¹⁰⁹.

Ponieważ nie jestem próżny, nie będę się rozwodził nad szczegółami nocy; znasz mnie, markizo, powiem więc tylko, że byłem zadowolony z siebie.

O świetle trzeba było się rozstać. Tutaj rzecz zaczyna być interesująca. Ta trzpiotka mniemała, iż zostawiła drzwi od swego pokoju otwarte, tymczasem zastaliśmy je zamknięte, klucz zaś tkwił wewnątrz. Nie masz pojęcia o jej rozpaczach; na wpół przytomna powtarzała tylko: „Jestem zgubiona”. Trzeba przyznać, iż byłoby zabawne zostawić ją w tym położeniu; ale czyż mogłem cierpieć, aby kobieta miała być zgubiona dla mnie, a nie *przez mnie* i czyż miałem, jak większość ludzkiego pospólstwa, dać nad sobą przewodzić okolicznościom? Trzeba więc było znaleźć radę. Cóż byłabyś uczyniła, piękna przyjaciółko? Oto sposób, jaki obrałem; a powiódł się w zupełności.

Zbadałem, iż drzwi, o które chodziło, dałyby się wysadzić, ale nie bez dużego hałasu. Nakłoniłem więc wicehrabinę, z trudnością zresztą, by zaczęła wydawać przeraźliwe okrzyki: *złodzieje, mordercy, na pomoc* etc.; przy czym umówiliśmy się, że za pierwszym okrzykiem, ja wysadzę drzwi, ona zaś dopadnie łóżka. Nie uwierzysz, ile czasu było trzeba, aby ją zdecydować, nawet wówczas, gdy już się zgodziła.

Wszystko udało się, jak przewidziałem. Drzwi za pierwszym uderzeniem ustąpiły. Wicehrabina popędziła prosto do łóżka, na szczęście dość szybko, ponieważ w tej samej chwili wicehrabia i Vressac znaleźli się na korytarzu, panna służąca zaś nadbiegła również...

Ja jeden miałem zimną krew; skorzystałem z tego, aby zgasić lampkę nocną, która paliła się jeszcze, i przewrócić ją na ziemię; wyobrażasz sobie bowiem, jak śmiesznym

¹⁰⁹leciuchno (...) wyrwana — Racine, *Brytanikus*.

byłoby udawać ten paniczny przestach, mając światło w pokoju. Wykrzychałem następnie męża i kochanka za ich sen iście letargiczny, wmawiając, iż krzyki, na jakie nadbiegłem i moje szamotania się z zamkniętymi drzwiami, trwały co najmniej pięć minut.

Wicehrabina, która odzyskała odwagę, znalazłszy się we własnym łóżku, wspierała mnie wcale dzielnie; zaklinając się na wielkie bogi, iż złodziej był w mieszkaniu; zaręczała, już z większą dozą szczerości, że w życiu jeszcze tak się nie bała. Szukaliśmy wszędzie; nie znaleźliśmy nikogo. Wówczas zwróciłem uwagę na przewróconą lampkę i doszedłem do wniosku, iż prawdopodobnie szczur stał się przyczyną szkody i przestachu. Zdanie moje przyjęto jednogłośnie; po paru zużytych conceptach na temat szczurów, wicehrabia wrócił do siebie, prosząc żonę, aby na przyszłość szczury zachowywały się u niej spokojniej.

Vressac, zostawszy sam z nami, podszedł do wicehrabiny, aby jej czule powiedzieć, iż była to zemsta Amora; na co odpowiedziała, spozierając ku mnie: „Musiał być zatem srodze rozgniewany, bo bardzo się mścił. Ale — dodała — upadam wprost ze zmęczenia i teraz chcę spać”.

Czułem się łaskawie usposobiony, toteż, nimeśmy się rozstali, wniosłem instancję za Vressakiem i doprowadziłem do pojednania. Para kochanków uściskała się, po czym i mnie wyściskali z kolei. Niewiele mi już chodziło o całusy wicehrabiny, ale wyznaję, że uścisk Vressaka sprawił mi przyjemność. Wyszliśmy razem i, obsypany jego podziękowaniami, wróciłem nareszcie do łóżka.

Jeżeli przygoda ta wydała ci się zabawną, nie zobowiązuję cię do tajemnicy. Teraz, kiedy ja się nią rozerwałem, słusznym jest, aby i publiczność miała swoją kolej. Na razie mówię tylko o przygodzie, niedługo może będziemy mogli powiedzieć to samo o jej bohaterce?

Do widzenia; strzelec czeka już godzinę; jeszcze serdeczny uścisk, markizo, i przypomnienie, abyś się strzegła Prévana.

Z zamku ***, 13 września 17**

LIST LXXII

Kawaler Danceny do Cecylii Volanges

(Doręczony dopiero 14.)

O moja Cesi! Jakże zazdroszczę losu Valmontowi! Jutro cię zobaczy. On odda ci ten list; ja, usychając z dala, będę włókl opłakaną egzystencję wśród żalów i udręczeń.

Jakże to straszne być przyczyną twego nieszczęścia! Beze mnie żyłabyś szczęśliwa i spokojna. Czy mi przebaczasz? Powiedz, ach, powiedz, że przebaczasz, powiedz także, że kochasz, że będziesz kochać wiecznie. Tak potrzebuję, abyś mi to powtarzała.

Ach, w owych chwilach szczęścia, co przemknęły tak szybko, jakże daleki byłem od przewidywania strasznego losu! Myślmy, Cesi moja, nad środkami ratunku. Jeżeli wierzyć memu przyjacielowi, wszystko może być ocalone, o ile tylko będziesz miała doń całą ufność, jakiej jest godzien.

Przykro mnie dotknęło, wyznaję, uprzedzenie twoje do Valmonta. Zaklinam cię, Cesi moja, staraj się patrzeć na niego przychylniejszym okiem. Pomyśl, że jest moim przyjacielem, że chce być twoim, że może przywrócić mi szczęście widywania ciebie. Jeśli te względy nie zdołają cię przekonać, nie kochasz mnie tak jak ja ciebie, nie kochasz tak, jak wprzód kochałaś. Żegnam cię, ubóstwiana, nie zapominaj, że cierpię: od ciebie jedynie zależy uczynić mnie szczęśliwym, zupełnie szczęśliwym. Wysłuchaj modłów mego serca i przyjm najtkliwsze pieszczoty miłości!

Paryż, 11 września 17**

LIST LXXIII

Wicehrabia de Valmont do Cecylii Volanges

(Dołączony do poprzedniego)

Przyjaciel, który chce pani służyć, wie, iż nie posiadasz przyborów potrzebnych do pisania i postarał się temu zaradzić. W przedpokoju twego saloniku, pod wielką szafą na lewo, znajdziesz zapas papieru, piór i atramentu; możesz je później ukryć w tym samym miejscu, jeśli nie posiadasz pewniejszego schronienia.

Ten sam przyjaciel prosi panią, abyś nie czuła się obrażoną, jeżeli nie będzie na ciebie zwracał w towarzystwie najmniejszej uwagi i będzie się odnosił jak do dziecka. Ostrożność ta wydaje mu się niezbędna, aby wzbudzić ufność, która pozwoli mu tym skuteczniej pracować dla szczęścia was obojga. Postara się o sposobność mówienia z panią, skoro będzie miał coś do doniesienia lub doręczenia; spodziewa się, że mu się to uda, jeśli zechcesz być szczerze pomocną.

Radzi ci również zwracać mu listy w miarę, jak będziesz je otrzymywała, aby się nie narażać na ich przejęcie.

Kończy zapewnieniem, iż jeżeli zechcesz obdarzyć go ufnością, dołoży wszelkich starań, aby złagodzić prześladowanie, jakiego zbyt okrutna matka dopuszcza się na dwojgu istot, z których jedna jest jego najlepszym przyjacielem, a druga wydaje mu się zasługiwać na najżywszą sympatię.

Z zamku ***, 14 września 17**

LIST LXXIV

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Ejże! I odkąd to, drogi wicehrabio, niepokoisz się tak łatwo? Byłżeby ten Prévan istotnie taki straszny? Ale widzisz, jaka ja jestem skromna i nieśmiała! Wszak ja go nieraz spotykałam, tego pysznego zwycięzcę: zaledwie że mu się przyjrzałam! Trzeba było aż twojego listu, aby ściągnąć nań mą uwagę. Naprawiłam mą niesprawiedliwość wczoraj. Był w Operze, prawie że naprzeciwko: napatrzyłam się mu do syta. To pewna, że jest przystojny, bardzo przystojny; co za szlachetne i delikatne rysy! Musi zyskiwać jeszcze z bliska. I ty mówisz, że on chce mnie mieć! Ależ uczyni mi tym zaszczyt i przyjemność. Doprawdy, mam na niego wielką ochotę; przyznam ci się, że uczyniłam nawet pierwsze kroki. Nie wiem jeszcze, czy się powiodą. Oto jak było.

Wychodziłam właśnie z Opery: Prévan stał o dwa kroki. Umyślnie bardzo głośno poczęłam się umawiać z markizą de *** na kolację w piątek u marszałkowej. Zdaje mi się, że to jedyny dom, gdzie mogłabym go spotkać. Nie wątpię, że zrozumiał... Gdyby niewdzięcznik miał nie przyjść? Powiedz, wicehrabio, szczerze, jak myślisz, czy przyjdzie? Czy wiesz, że gdyby miał nie przyjść, na cały wieczór miałabym humor zepsuty. Widzisz zatem, że nie znajdzie tak wiele trudności w *uganiani*u za mną, a co zdziwi cię jeszcze bardziej, jeszcze mniej ich napotka w *pozyskaniu moich względów*. Chce, powiedzieć, zamęczyć trzy pary koni, ubiegając się o moje łaski! Och! Ocalę życie tym biednym koniętom! Nigdy nie zdobyłabym się na cierpliwość czekania tak długo. Wiesz, że nie leży w moich zasadach nużyć partnera wzdychnieniem, skoro jestem raz zdecydowana, co do niego zaś jestem w zupełności.

No, przyznaj, że to prawdziwa przyjemność przemawiać mi do rozsądku! Czyż twoja *ważna przestroga* nie odniosła wspaniałego skutku? Ale cóż chcesz? Życie tak mi się wlokło w ostatnich czasach! Już przeszło sześć tygodni minęło, jak sobie nie pozwoliłam na najmniejszą rozrywkę. Oto się nastrocza: mogę sobie odmówić? Czy przedmiot nie wart trudu? Czy mogłabym, doprawdy, znaleźć ponętniejszy w jakimkolwiek znaczeniu tego słowa?

Ty sam zmuszony jesteś oddać mu sprawiedliwość; czynisz więcej, niż gdybyś chwalił; jesteś on zazdrosny. Dobrze więc! Ustanawiam się sędzią między wami: ale przede wszystkim trzeba przeprowadzić badanie, i to właśnie pragnę uczynić. Będę sędzią nieposzlakowanym: będziecie zważeni obaj na tej samej szali. Co do ciebie, już mam twoje akta; sprawa jest najzupełniej zgłębiona. Czyż sprawiedliwość nie wymaga, abym się zajęła teraz twoim przeciwnikiem? No, wicehrabio, uchyl bez szemrania głowę przed moim trybunałem, a na początek poucz mnie, proszę, co to jest owa „potrójna przygoda”, której on jest bohaterem? Mówisz o tym, jak gdybym właśnie na pamięć ją umiała, a ja nie wiem ani słoweczka... Z pewnością musiała ta afera zajść w czasie mej podróży do Genewy, zawiść zaś twoja nie pozwoliła ci donieść mi o niej. Napraw błąd, jak możesz najprędzej; *pamiętaj, że nic, co jego dotyczy, nie jest mi obojętne*. Zdaje mi się, że gadano jeszcze coś o tym za moim powrotem; ale byłam zajęta czym innym i w ogóle rzadko słucham takich historyjek, o ile nie miały miejsca w ciągu ostatniej doby.

Gdyby to, o co cię proszę, było ci trochę niemiłe, czyż to nie jest bardzo skromna zapłata za trudy, jakie sobie dla ciebie zadałam? Czy nie one zbliżyły cię do prezydentowej, wówczas gdy twoje dzieciństwa oddaliły cię od niej? Czy nie ja dałam ci w ręce sposobność zemsty za niewczesną gorliwość pani de Volanges? Tak często się skarżyłeś na to, ile czasu musisz tracić na szukanie przygód! Masz je teraz pod ręką. Miłość, nienawiść, tylko wybierać: wszystko pod jednym dachem; możesz, dwojąc swą egzystencję, pieścić jedną dłoń, a zadawać cios drugą.

Wszakże i przygodę z wicehrabiną również mnie zawdzięczasz. Wcale mi się podobała i jestem twojego zdania, iż trzeba to będzie rozgłosić. Rozumiem, że na razie okoliczności mogą cię skłaniać do tajemnicy; ale na ogół trzeba przyznać, że ta kobieta niewarta była tak pięknego postąpienia.

Zresztą i ja mam z nią swoje rachunki. Kawalerowi de Belleruche podoba się ona o wiele więcej, niż bym pragnęła; słowem, dla wielu przyczyn bardzo będę rada znaleźć pozór do zerwania: czyż istnieje zaś wygodniejszy niż móc powiedzieć: „to nie jest kobieta, którą by można przyjmować”.

Do widzenia, wicehrabio; pomyśl, że na twoim posterunku nie wolno ci tracić czasu; co do mnie, obróć go w zupełności na przygotowanie szczęścia uroczego Prévana.

Paryż, 15 września 17**

LIST LXXV

Cecylia Volanges do Zofii Carnay

(*Nota.* W liście tym Cecylia Volanges zdaje z największymi szczegółami sprawę ze wszystkiego, co się odnosi do wypadków znanych czytelnikowi z listu XXXIX i następnych. Uważaliśmy za stosowne pominąć to powtórzenie. Wreszcie mówi o wicehrabi de Valmont w ten sposób:)

Powiadam ci, to nadzwyczajny człowiek. Mama mówi o nim bardzo źle; ale kawaler Danceny bardzo go chwali i zdaje mi się, że słusznie. Nie miałam pojęcia, żeby kto mógł być taki zręczny. Kiedy mi oddał list Danceny'ego, całutkie towarzystwo było przy tym i nikt nic nie widział; to prawda, najadłam się porządnego strachu, bo nic się nie spodziewałam, ale teraz już będę przygotowana. Zrozumiałam doskonale, jak on chce, żeby mu oddać odpowiedź. Bardzo łatwo z nim się porozumieć, bo takie ma jakieś spojrzenie, że mówi nim wszystko, co zechce. Nie wiem, jak on to robi; pisał w bileciku, o którym ci wspomniałam, że przy mamie umyślnie nie będzie na mnie zwracał uwagi: w istocie, można by przysiąc, że ani myśli o tym, a mimo to za każdym razem, kiedy szukam jego oczu, mogę być pewna, że spotkam je natychmiast.

Jest tutaj dobra przyjaciółka mamy, której nie znałam pierwszej, a która także, jak się zdaje, musi nie lubić pana de Valmont, choć on jej bardzo nadskakuje. Boję się, żeby on się nie znudził prędko tutejszym życiem i nie wrócił do Paryża; to by była wielka szkoda. Musi mieć naprawdę bardzo dobre serce, kiedy tak umyślnie przyjechał, aby oddać przysługę swemu przyjacielowi i mnie!

Pan de Valmont przyrzekł, że jeżeli będę posłuszna, zrobi tak, żebyśmy się mogli znów widywać. Oczywiście, że uczynię, co tylko zażąda; ale nie mogę sobie wyobrazić, aby to było możliwe.

Do widzenia, jedyna, nie mam już miejsca.

Z zamku ***, 14 września 17**

LIST LXXVI

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Albo twój list, markizo, to jakieś drwiny, których nie zrozumiałem, albo też pisząc do mnie, znajdowałaś się w stanie groźnego oblędu. Gdybym mniej dobrze cię znał, piękna przyjaciółko, byłbym doprawdy w wielkiej obawie, a możesz mi wierzyć, że obawa ta nie byłaby przesadzona.

Na próżno czytam raz po raz twoje pismo, nic mnie ono nie objaśnia; niepodobiestwem bowiem jest wziąć twój list w prostym i naturalnym znaczeniu. Cóż zatem chciałś powiedzieć?

Czy jedynie to, że zbyt czynnym jest zadawać sobie tyle zachodu wobec tak mało groźnego nieprzyjaciela? Ale w tym wypadku możesz się mylić. Préván istotnie ma dużo uroku; więcej niż sama przypuszczasz; ja go znam i z tego, co wiem o nim, miałbym go prawo uważać za niebezpiecznego dla każdej kobiety: dla ciebie zaś, markizo, czyż nie byłoby dosyć, że jest *przystojny, bardzo przystojny*, jak sama powiadasz? Albo żeby się dopuścił względem ciebie jednego z tych ataków, *które lubisz niekiedy nagradzać jedynie w uznaniu dobrego wykonania?* lub też, że wydałoby ci się zabawnym ulec dla jakichkolwiek, tych czy innych względów? Albo... czy ja wiem co zresztą? Czyż mogę odgadnąć te sto tysięcy kaprysów, które rządzą głową kobiety, a przez które jedynie jeszcze ty należysz do swojej płci?

Teraz, kiedy cię uprzedziłem, nie wątpię, że z łatwością potrafisz się uchronić; ale koniec końców trzeba cię było przestrzec. Wracam więc do pytania: co chciałaś powiedzieć swoim listem?

Jeżeli to były tylko drwiny z Prévana, to pomijając, iż ciągnęły się zbyt długo, że były zaadresowane. Nie wobec mnie, ale w oczach ludzi trzeba go ośmieszyć, i ponawiam, markizo, prośbę w tym względzie.

Ach! Zdaje mi się, mam wreszcie słowo zagadki! List jest prorocstwem nie tego, co uczynisz, ale tego, czego on się będzie spodziewał w chwili, gdy będziesz pracowała nad jego klęską. Projekt niezły, wymaga jednak wielkiej ostrożności. Wiesz równie dobrze jak ja, że w oczach świata ulec jakiemuś mężczyźnie a przyjmować jego zabiegi jest najzupełniej równoznaczne, chyba że ma się do czynienia z dudkiem; a Préván nie jest dudkiem, och, całkiem przeciwnie. Jeśli zdoła zyskać bodaj pozór, pochwali się resztą i wszystko już przepadło. Głupcy uwierzą, złośliwi udadzą, że wierzą: jakże się będziesz bronić? Doprawdy, boję się o ciebie. Nie, iżbym wątpił, markizo, o twej zręczności: ale przysłowie mówi, że tylko dobrzy pływacy toną.

Nie uważam się za głupszego od innych; otóż znam sto, tysiąc sposobów zniesławienia kobiety; nie widzę natomiast ani jednego, którym by się mogła skutecznie posłużyć dla swej obrony. Co do ciebie, piękna przyjaciółko, uznaję, iż postępowanie twoje w świecie jest arcydziełem, a jednak nieraz nie mogłem oprzeć się przekonaniu, iż większą gra w tym rolę szczęście niż dobra gra.

Ale, ostatecznie, może ja się doszukuję racji tam, gdzie ich wcale nie ma. Podziwiam się, doprawdy, jak od godziny debatuję poważnie nad czymś, co jest, więcej niż pewne, prostym żartem. Dopieroż będziesz drwiła ze mnie! Dobrze więc! Niech się stanie: uśmiej się do syta i mówmy o czym innym. O czym innym! Mylę się, zawsze o tym samym; zawsze o kobietach, które ma się ochotę zdobyć albo zgubić, a często jedno i drugie naraz.

Mam tu, jak słusznie zauważyłaś, sposobność ćwiczenia się w obu rodzajach, ale nie z jednaką łatwością. Przewiduję, że zemsta pójdzie szybciej niż miłość. Mała Volanges jest *zalatwiona*, za to ręczę; chodzi tylko o sposobność, a tę podejmuję się sprowadzić. Inna rzecz z panią de Tourvel: ta kobieta może przywieść do rozpacz, nie rozumiem jej; mam sto dowodów jej miłości, ale tysiąc dowodów jej oporu, i doprawdy zaczynam się obawiać, że mi się wymknie.

Pierwsze wrażenie wywołane moim powrotem pozwoliło mi lepsze rokować nadzieje. Domyślasz się, iż pragnąłem to sprawdzić własnymi oczyma; toteż, chcąc zyskać pewność, iż będę świadkiem pierwszego odruchu, nie kazałem się oznajmić i obliczyłem drogę tak, aby zjawić się, gdy wszyscy będą przy stole. W istocie, spadłem jak z chmur, podobny bóstwu z opery, które zjawia się, aby przyspieszyć rozwiązanie.

Wszedłem dość głośno, aby ściągnąć na siebie spojrzenia; mogłem zatem ogarnąć jednym rzutem oka rozczulenie ciotki, niezadowolenie pani de Volanges i pełną wzruszenia radość jej córki. Moja pani siedziała przy stole zwrócona plecami do drzwi; nie odwróciła głowy. Przemówiłem do pani de Rosemonde: za pierwszym słowem, tkliwa skromnista poznała mój głos i wydała krzyk, w którym zdawało się przebijać więcej miłości niż zdziwienia lub przestachu. Zbliżyłem się na tyle, aby widzieć jej twarz: poruszenie duszy, walka sprzecznych myśli i uczuć malowały się z cudowną wyrazistością. Zająłem miejsce tuż przy niej; dosłownie nie wiedziała cały czas, co robi ani też, co mówi. Próbowала jeść w dalszym ciągu; nie mogła: wreszcie w niespełna kwadrans, niezdolna zapanować nad

pomieszaniem i radością, zmuszona była prosić o pozwolenie wstania od stołu i schroniła się do parku pod pozorem, że potrzebuje zaczerpnąć powietrza.

Załatwiłem się z obiadem, jak mogłem najszybciej. Ledwie podano deser, piekielna Volanges, parta z pewnością chęcią szkodenia mi, podniosła się z miejsca, aby pospieszyć za prezydentową: ale przewidziałem zamiar i skrzyżowałem go. Udałem, iż biorę jej wstanie od stołu za poruszenie ogólne; ruszyłem się z miejsca, mała Volanges i proboszcz dali się pociągnąć tym podwójnym przykładem, tak iż pani de Rosemonde znalazła się sama przy stole ze starym komandorem de T***, a w końcu i oni oboje pospieszyli za nami. Poszliśmy tedy wszyscy odszukać panią de Tourvel, którą zastaliśmy w gajku niedaleko zamku; że zaś przywiodła ją tam potrzeba samotności, a nie przechadzki, wołała raczej wrócić z nami, niż zatrzymywać nas z sobą.

Skoro tylko zyskałem pewność, że pani de Volanges nie będzie miała sposobności mówić z nią na uboczu, pomyślałem o spełnieniu twoich rozkazów i zająłem się cały sprawami naszej pupilki. Natychmiast po kawie udałem się do swego pokoju, a zajrzałem również i do cudzych, aby sobie zdać sprawę z terenu; zrobiłem, co trzeba, aby zapewnić małej możliwość pisywania i uwiadomiłem ją o tej pierwszej zdobyczy, dołączając mój biłecik do listu Danceny'ego. Wróciłem do salonu, gdzie zastałem moją panią, wyciągniętą rozkosznie na szeszlengu.

Widok ten, rozgrzewając mi nagle krew, ożywił moje spojrzenia; czułem, iż stają się tkiwe i palące, umieściłem się tedy tak, aby z nich zrobić użytek. Zrazu pod wpływem mych oczu niebiańska świętoszka spuściła swoje wielkie, skromne oczęta. Patrzyłem przez jakiś czas na tę anielską twarz, po czym ślizgając się wzrokiem po całej postaci, bawiłem się odgadywaniem kształtów i konturów poprzez fałdy lekkiego stroju. Przeszedłszy wzrokiem od głowy do stóp, powróciłem od stóp aż do głowy... Pochwyciłem słodkie spojrzenie, wlepione we mnie; natychmiast uciekło w dół: chcąc mu ułatwić powrót, sam odwróciłem oczy. Wówczas ustaliła się między nami niema umowa, pierwszy traktat nieśmiałej miłości, który aby zaspokoić wzajemną chęć patrzenia na siebie, pozwala spojrzeniom następować kolejno, zanim wreszcie zleją się z sobą.

Widząc, iż mój anioł całkowicie pochłonięty jest tą nową przyjemnością, wziąłem na siebie zadanie czuwania nad wspólnym bezpieczeństwem; ale skoro zyskałem pewność, iż powszechna rozmowa odwraca od nas uwagę towarzystwa, starałem się uzyskać od jej oczu, aby przemówiły bardziej otwartym językiem. Jakoż udało mi się pochwycić kilka spojrzeń, ale tak wstrzemięźliwych, iż skromność sama nie mogłaby ich potępić. Aby dodać swobody trwożliwej istocie, sam udałem nieśmiałość i zakłopotanie. Z wolna oczy nasze, przyzwyczajone spotykać się, spoiły się na dłużej; aż wreszcie nie miały już mocy oderwać się od siebie. Ujrzałem w jej spojrzeniu ową słodką omdlałość, czarowną zwiastunkę miłości i pragnienia; ale to była tylko chwila: wkrótce skromnisia, opamiętawszy się, zmieniła, nie bez pewnego zawstydzenia, pozycję i wyraz.

Pragnąc, aby wiedziała, iż jej kolejne stany duszy nie uszły mej uwagi, żywo podniosłem się z miejsca, pytając z wyrazem niepokoju, czy się nie czuje słaba. Natychmiast całe towarzystwo skupiło się przy niej. Przepuściłem wszystkich przed siebie i skorzystałem z tej chwili, aby oddać list Danceny'ego małej Volanges, która pracowała przy krosienkach pod oknem.

Byłem o kilka kroków; rzuciłem jej więc po prostu list na kolana. Nie wiedziała zupełnie, co począć. Uśmiełabyś się doprawdy z jej zdumionej i zakłopotanej miny; ja jednak nie miałem ochoty do śmiechu, lękałem się bowiem, by nas nie zdradziła przez swoje niezgrabstwo. Wreszcie, pod wpływem moich spojrzeń i gestów, domyśliła się, że trzeba schować do kieszeni. Zresztą aż do wieczora nie zaszło nic godnego uwagi. To, co stało się później, doprowadzi może do wypadków, z których powinnaś być zadowolona, przynajmniej o tyle, o ile to dotyczy pupilki; ale wolę obrócić czas na spełnienie zamiarów, niż go tracić na ich opowiadanie. Oto już ósma stronica: czuję się zmęczony; zatem, do widzenia.

Domyślasz się zapewne, choć ci nic nie mówiłem, że mała odpisała Danceny'emu¹¹⁰. Mam również odpowiedź od pani de Tourvel, do której napisałem nazajutrz po przybyciu.

¹¹⁰mała odpisała Danceny'emu — ten list się nie odnalazł.

Posyłam ci oba listy. Przeczytasz lub nie, jak zechcesz; pojmuję, że ta wieczna klepanina, która dla mnie już nie jest nazbyt zabawna, musi przyprowadzić o mdłości osobę trzecią.

Jeszcze raz zatem, do widzenia. Całuję ci łapki serdecznie, ale proszę cię, złota markizo, jeśli zechcesz mówić o *Prévanie*, uczyn to w sposób bardziej zrozumiały.

Z zamku ***, 17 września 17**

LIST LXXVII

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel

Skąd może pochodzić, pani, okrutna wytrwałość, z jaką unikasz mojego widoku? Czym się dzieje, że najtkliwsze me względy spotykają się z tak surowym i niechętnym obejściem?

Cóż uczyniłem, aby postradać szacowną przyjaźń, której widocznie uznałaś mnie godnym, skoro mogłaś mi ją ofiarować? Czy zaszkodziłem sobie ufnością, jaką położyłem w tobie? Czy chcesz mnie karać za mą otwartość? Czy chciałabyś może tą tak niezastudzoną surowością obudzić we mnie przekonanie, iż gdybym cię oszukiwał, uzyskałbym więcej przychyłności? Powiedz przynajmniej, jakie nowe winy mogły obudzić w tobie niechęć, i racz bodaj objawić rozkazy, którym chcesz, abym był posłuszny; skoro zobowiązuję się je wypełnić, czyż jest zbyt śmiałym żądaniem prosić, abym je mógł poznać?

15 września 17**

LIST LXXVIII

Prezydentowa de Tourvel do wicehrabiego de Valmont

Wydaje się pan zdziwiony moim postępowaniem; niewiele brakuje nawet, abyś żądał ode mnie rachunku, jak gdybyś istotnie miał prawo się skarżyć. Wyznaję, że bardziej od pana czułabym się uprawniona do zdziwienia i skargi; ale od czasu odmowy zawartej w ostatniej odpowiedzi postanowiłam zamknąć się w obojętności i nie wdawać się w uwagi ani wymówki. Jednakże ponieważ prosi pan o wyjaśnienia, ja zaś, dzięki niebu, nie mam potrzeby niczego ukrywać, godzę się przeto jeszcze udzielić ich po raz ostatni.

Jeżeli sięgniemy do dnia, w którym przybyłeś do tego zamku, sam chyba pan uzna, iż bądź co bądź reputacja pańska upoważniała mnie do pewnej ostrożności i że mogłam bez obawy okazania się przesadną skromnością ograniczyć się po prostu do najściślejszej grzeczności. Przyznaję chętnie, iż zrazu przedstawili się pan w świetle korzystniejszym niż sobie wyobrażałam; ale trwało to nader krótko; wkrótce uczuleś się znudzony przymusem, za który zbyt słabą snadź było nagrodą korzystniejsze moje o panu mniemanie.

Wówczas to, nadużywając mojej dobrej wiary, mego zaufania, ośmieliłeś się pan mówić o uczuciu, co do którego nie mogłeś mieć wątpliwości, iż będzie dla mnie jedynie obrazą. Mimo to jeszcze starałam się puścić w niepamięć pańskie winy, dając sposobność do naprawienia ich. Prośba moja była tak słuszna, iż sam uczuleś, że nie godzi ci się odmówić; ale wyzyskując mą pobłażliwość, skorzystałeś z niej, aby zażądać pozwolenia, którego, to pewna, nie powinienam była udzielić, a które mimo to pan uzyskał. Z warunków, pod jakimi go udzieliłam, nie dotrzymał pan żadnego: listy pańskie były tego rodzaju, że ani na jeden nie powinienam była odpowiedzieć. Wreszcie w tej samej chwili, w której zapamiętałość pańska każe mi cię na zawsze oddalić od siebie, znowu daję ci w ręce jedyny środek zbliżenia: ale jakąż cenę ma w twoich oczach godziwe uczucie! Gardzisz przyjaźnią: w szalonym oblędzie za nic licząc sobie nieszczęścia i hańbę, szukasz jedynie rozkoszy i ofiar.

Zarówno płochy w postępach, jak niestały w przyrzeczeniach, zapominasz o obietnicach lub raczej igraszkę sobie czynisz z tego, by je łamać. Zgodziwszy się oddalić ode mnie, niewzwany, nie bacząc na prośby, perswazje, zjawiasz się z powrotem; tyle nawet nie masz względu, aby mnie uprzedzić. Dokładasz wszelkich starań, aby wyzyskać chwilę pomieszaną, jakie udało ci się wywołać. Nie mogę uczynić kroku, aby pana nie znaleźć przy sobie: nie mogę wymówić słowa, byś nie spieszył z odpowiedzią. Najobojętniejsze zdanie służy panu za pozór do rozmowy, której nie chcę prowadzić, która mogłaby mnie nawet narazić; bo, ostatecznie, mimo całej zręczności, jaką pan rozwijasz, co ja rozumiem, to samo mogą rozumieć i inni.

Zmuszona w ten sposób przez pana do martwoty i milczenia, nie przestaję mimo to być celem prześladowań; nie mogę podnieść oczu, aby natychmiast nie spotkać się z twoimi. Jestem bez przerwy zniewolona odwracać spojrzenia; z niebaczną istotnie niezrozumiałą ściągasz pan na mnie oczy całego towarzystwa, wówczas gdy chciałabym się umknąć nawet własnym.

I pan się skarżysz na moje postępowanie! I pan się dziwisz, że pana unikam! Och, wiń mnie raczej za mą cierpliwość, dziw się, że nie wyjechałam natychmiast po pańskim przybyciu. Byłabym może powinna to uczynić i zmusisz mnie do tego kroku, jeśli nie zaprzestaniesz wreszcie obrażających prześladowań. Nie, nie zapominam, nigdy nie zapomnę o tym, com winna sama sobie, com winna więzom, które przyjęłam, które szanuję i które mi są drogie. Może pan być przekonany, gdybym kiedykolwiek znalazła się wobec tego nieszczęśliwego wyboru, iż miałabym poświęcić albo te więzy, albo samą siebie, nie wahałabym się ani chwili. Żegnam pana.

16 września 17**

LIST LXXIX

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Wybrałem się dziś rano na polowanie, ale czas jest zbyt haniebnym. Za całą lekturę mam jedynie jakiś nowy romans, który uspiłby nawet pensjonarkę. Śniadanie najwcześniej za dwie godziny: zatem, mimo długiego listu z wczoraj, jeszcze zabieram się do gawędy z tobą, markizo. Pewny jestem, że cię nie znudzę, bo będę mówił o *bardzo przystojnym Prévaniu*. Jakim cudem nie słyszałaś o jego wspaniałej przygodzie, tej która rozłączyła słynne trzy *nierozłączne*? Złożę się, że przypomnisz sobie od pierwszego słowa. Powtarzam ci ją jednak, skoro sobie życzysz.

Przypominasz sobie, jak cały Paryż się dziwił, że trzy kobiety, wszystkie trzy ładne, sprytne i obdarzone równymi warunkami powodzenia, trwają w najściślejszej zażyłości od chwili pierwszego ukazania się w świecie. Zrazu mniemano, iż przyczyną była nadmierna nieśmiałość; jednakże mimo hołdów i powodzeń, mimo liczego dworu, którego czołobitność mogła wpoić w nie poczucie własnej wartości, trzy Gracje zacieśniły tym więcej węzły przyjaźni; zdawałoby się, iż powodzenie jednej stawalo się zarazem powodzeniem dwóch innych. Spodziewano się, iż bodaj chwila miłości wywoła jakieś współzawodnictwo. Wszyscy zdobywcy serc ubiegali się o zaszczyt stania się jabłkiem niezgody: ja sam byłbym pewno znalazł się w ich szeregach, gdyby nie to, iż w tym samym czasie cieszyła się nadzwyczajnym wzięciem hrabina de*** i nie mogłem sprzeniewierzyć się jej przed uzyskaniem drobnostki, o którą się ubiegałem.

Tymczasem trzy piękności, jak gdyby się umówiły, ulokowały serduszka w ciągu jednego i tego samego karnawału, a okoliczność ta zamiast wywołać spodziewane burze, przeciwnie, dodała nowej siły ich przyjaźni, ożywionej urokiem wzajemnych zwierzeń.

Tłum zawiedzionych zalotników połączył się wówczas z tłumem zawistnych kobiet: poddano tę gorszącą stałość publicznej cenzurze. Jedni utrzymywali, że w tym towarzystwie *nierozłącznych* (tak nazywano je wówczas) fundamentalnym prawem była wspólność dóbr i miłość nawet podlegała temu prawu. Drudzy twierdzili, że trzech kochankowie, nie mając rywali, posiadali jednakże rywalki: podsuwano nawet przypuszczenie, iż przyjęto ich jedynie dla przyzwoitości i że posiadli jedynie tytuł, bez praw i obowiązków.

Te pogłoski, fałszywe czy prawdziwe, nie osiągnęły zamierzonego skutku. Przeciwnie, trzy pary uczuły, że zgubą byłoby dla nich rozłączać się w tej chwili; mężnie tedy stawili czoło burzy. Świat, który nuży się wszystkim, znużył się rychło bezowocnym szyderstwem. Z właściwą mu zmiennością zajął się innymi przedmiotami, z czasem zaś, z wrodzoną mu niekonsekwencją, powrócił do *nierozłącznych*, zmieniając krytyki w pochwały. Że tutaj wszystko opiera się na modzie, entuzjazm stał się zaraźliwym i dochodził prawdziwego obłędu, kiedy właśnie Préván przedsięwziął sprawdzić owe cuda i ustalić w tej mierze sąd ogółu i własny.

Począł tedy poszukiwać towarzystwa tych wzorów doskonałości. Dopuszczony bez trudu do małego kółka, wyciągnął z tego korzystną zapowiedź. Wiedział dobrze, że ludzie szczęśliwi nie udzielają tak łatwo przystępu. Ujrzał wkrótce istotnie, że to szczęście tak wynoszone pod niebiosy, więcej — podobnie jak los królów — budziło zazdrości, niżli

jej było godne. Zauważył, że wśród mniemanych „nierozłącznych” rodziła się tęsknota za wrażeniami z zewnątrz; że w potrzebie nie pogardzono by i rozrywką; wysnuł z tego, że pęta przyjaźni czy miłości były już nieco rozluźnione lub zerwane, a jedynie węzły miłości własnej i przyzwyczajenia działają jeszcze z niejaką siłą.

Mimo to kobiety, spojone wspólnym interesem, zachowywały między sobą pozory dawnej zażyłości: ale mężczyźni, swobodniejsi w swoich krokach, często wymawiali się ważnymi sprawami lub obowiązkami: ubolewali nad tym, ale nie uchylali się już od nich, i rzadko wieczory zbierały kółko w komplecie.

To zachowanie się mężczyzn było bardzo na rękę wytrwałemu Prévánowi. Zajmując miejsce oczywiście przy tej, która w danym dniu była opuszczoną, miał sposobność, stosownie do okoliczności, poświęcić kolejno służby wszystkim trzem przyjaciółkom. Czuł doskonale, że wybrać jedną z nich byłoby zgubą; fałszywy wstyd jednej, a zraniona próżność dwóch pozostałych połączyłyby je z pewnością przeciw śmiałemu zalotnikowi, zażdość zaś zbudziłaby na nowo czucia dawnego kochanka. Wszystko byłoby w ten sposób utrudnione, wszystko natomiast szło jak z płatka w jego potrójnej kombinacji: każda kobieta była pobłażliwą, ponieważ była w tym zainteresowaną; każdy mężczyzna, ponieważ myślał, że nie o niego chodzi.

Prévan mógł się dotychczas poszczycić zaledwie jedną kobietą, ale miał to szczęście, iż była bardzo na świeczniku. Jej cudzoziemskie pochodzenie, hołdy pewnego księcia bliskiego tronu dość zręcznie oddalone ściągnęły na nią uwagę całego towarzystwa; kochanek dzielił wraz z nią zaszczyt tej sławy i nie omieszkiał wyzyskać tego wobec swych nowych ofiar. Jedyną trudnością było prowadzić równolegle te trzy intrygi, których przebieg musiał się z konieczności stosować do kroku najopieszańskiej: istotnie, wiem od jednego z jego powierników, że największą trudnością dla Prévana było przewlec¹¹¹ tempo jednej z trzech dam, zupełnie dojrzałej blisko na dwa tygodnie przed innymi.

Wreszcie wielki dzień nadszedł. Prévan, który zdołał uzyskać trzy wyznania, stał się już panem wypadków i pokierował nimi tak, jak zaraz zobaczysz. Z trzech mężów jeden był nieobecny, drugi miał wyjechać nazajutrz o świcie, trzeci zaś bawił w mieście. Nierozdzielne przyjaciółki miały wieczerzać razem u jutrzejszej słomianej wdowy; ale nowy władca nie pozwolił, aby dawni rycerze brali udział w zabawie. Rankiem tego samego dnia porobił trzy paczki z listów swej dotychczasowej kochanki; do jednej dołączył portret, który od niej otrzymał, do drugiej cyfrę z emblematami miłości malowaną jej ręką, do trzeciej pukiel jej włosów; każda z trzech „nierozdzielnych” wzięła tę trzecią część ofiary za ofiarę zupełną, i zgodziła się w zamian przesłać dotychczasowemu kochankowi list zawierający zerwanie.

To było już dużo: ale jeszcze nie dosyć. Ta, której mąż był w mieście, nie mogła rozporządzać dniem; umówiono się zatem, iż uda, że zaniemogła, co ją zwolni od wieczrania u przyjaciółki, wieczór zaś poświęci Prévánowi; noc obiecała mu ta, której mąż był nieobecny: pierwszy zaś brząsk dnia, chwila wyjazdu trzeciego małżonka, została przeznaczona na słodką chwilę dla trzeciej z „nierozdzielnych”.

Prévan, który nie zapominał o niczym, biegnie następnie do pięknej cudzoziemki, rozmyślnie wywołuje jakieś nieporozumienie i doprowadziwszy do sprzeczki, wychodzi, zyskując w ten sposób dwadzieścia cztery godziny swobody. Załatwiwszy rzeczy w ten sposób, wraca do siebie, pragnąc zażyć nieco spoczynku: w domu zastaje jednak nową niespodziankę.

Listy zrywające stały się błyskiem światła dla odrąconych kochanków: żaden z nich nie mógł wątpić, iż poświęcono go dla Prévana. Złość, iż się dali w ten sposób wywieść w pole, upokorzenie nieodłączne od uczucia, iż się jest porzuconym, sprawiły, że wszyscy trzej, bez porozumienia, lecz jakby z namowy, postanowili upomnieć się o swoje prawa i skarcić szczęśliwego rywala.

Prévan zastał zatem w domu trzy wyzwania: przyjął je po rycersku: lecz, chcąc wycisnąć z tej sprawy możliwie i najwięcej uciechy, i rozgłosu, ułożył spotkanie na drugi dzień rano i nazначzył wszystkim przeciwnikom ten sam czas i miejsce. Miała nim być jedna z bram Bulońskiego Lasku.

¹¹¹przewlec — tu: opóźnić.

Od chwili nadejścia wieczoru Préván potykał się na potrójnym polu chwały z jednakim powodzeniem; przynajmniej chęłpił się później, że każda z nowych kochanek po trzykroć otrzymała zakład i świadectwo jego miłości. Tutaj, pojmujesz markizo, historii zbywa na dowodach; bezstronny dziejopis może jedynie zwrócić uwagę niedowierzającemu czytelnikowi, iż próżność i podniecona wyobraźnia mogą zdziałać cuda; tym bardziej, iż ranek czekający kochanka po tak świetnej nocy, zwalniał go pod tym względem od oszczędzania się na przyszłość. Jak bądź się rzeczy miały, fakty, które następują obecnie, bardziej są niezbite.

Rankiem Préván udał się punktualnie na oznaczone miejsce; zastał trzech rywali, nieco zdumionych tym spotkaniem, częściowo może nawet pocieszonych wspólnością niedoli. Podeszedł z ukłonem rycerskim i dwornym zarazem i przemówił w te słowa, które mi wiernie powtórzono:

„Panowie – rzekł – spotkawszy się na tym miejscu, odgadliście z pewnością, że wszyscy trzej macie też same przyczyny urazy. Jestem na wasze usługi. Niechaj los rozstrzygnie, który z was pierwszy pokusi się o zemstę, do której macie równe prawa. Nie przypro-wadziłem świadków ani towarzyszy. Nie miałem ich z sobą w chwili obrazy, nie żądam ich w chwili zadośćuczynienia. Wiem, że mam wszelkie widoki przegrać na tę kartę, ale jaki bądź los mnie czeka, mniemam, iż dość długo się żyło, skoro się miało czas pozyskać miłość kobiet, a szacunek mężczyzn”.

Podczas gdy przeciwnicy, zdziwieni, spoglądali w milczeniu po sobie w poczuciu, jak nierówne warunki przedstawia ta potrójna walka, Préván dodał: „Nie będę ukrywał panom, że ubiegła noc znużyła mnie śmiertelnie. Byłoby szlachetnie, gdybyście mi pozwolili skrzepić nieco siły. Kazałem przygotować śniadanie; uczynicie mi ten zaszczyt, aby je przyjąć ode mnie. Śniadajmy razem, a zwłaszcza śniadajmy wesoło. Można się bić o takie drobiazgi; ale nie powinny one, jak mniemam, zaćmiewać dobrego humoru”.

Śniadanie przyjęto. Nigdy podobno Préván nie rozwinął tyle uroku. Miał tę zręczność, iż nie upokorzył żadnego z rywali, owszem, przekonał ich, że każdy z nich osiągnąłby równie łatwo też same tryumfy; co więcej, doprowadził do wyznania, że, tak samo jak on, żaden nie byłby ominiął sposobności. Skoro raz już postawiono kwestię na tym gruncie, wszystko poszło jak po maśle. Toteż śniadanie jeszcze nie dobiegło do końca, kiedy już powtórzono sobie z dziesięć razy, że podobne kobiety nie są warte, aby dzielni ludzie bili się o nie. Biesiadników ogarnęło uczucie serdecznego braterstwa, wino je umocniło, tak iż za niedługą chwilę nie tylko nie było mowy o urazie, lecz przysięgli sobie wzajem przyjaźń bez granic.

Préván, któremu z pewnością takie rozwiązanie bardziej przypadło do smaku, nie chciał mimo to nic uronić ze swej chwały. Zatem naginając zręcznie zamysły do okoliczności, rzekł: „Nie na mnie, to pewna, ale na niewiernych kochankach winniście szukać pomsty. Podejmuję się dostarczyć sposobów po temu. Już teraz odczuwam niemniej od was tę zniewagę, która niedługo i moim stałaby się losem: jeżeli bowiem żaden z was nie zdołał zapewnić sobie wierności jednej z nich, jakże ja bym dokazał tego cudu z trzema? Wasza uraza staje się moją. Przyjmijcie dziś wieczór kolację w moim mieszkanku, a mam nadzieję, że nie będziecie musieli długo zwlekać z zemstą”. Żądali wyjaśnień, ale Préván odparł: „Panowie, dowiodłem, jak sądzę, iż nie zbywa mi na pewnym sprycie, chciejcie zatem polegać na mnie”. Zgodzili się i uściskawszy nowego przyjaciela, rozstali się, oczekując niecierpliwie wieczora.

Préván, nie tracąc czasu, wraca do Paryża i spieszy, stosownie do obyczaju, odwiedzić swe nowe zdobycze. Uzyskuje u wszystkich trzech, że przybędą tegoż dnia wieczerać sam na sam w jego mieszkanku. Damy robiły wprawdzie niejaki trudności, ale czegoż kobieta może odmówić *nazajutrz*? Naznaczył schadzki w godzinnych odstępach czasu: warunek potrzebny dla ziszczenia planu. Zapewniwszy się z tej strony, dał znać spiskowcom i wszyscy czterej pospieszyli wesoło oczekiwać na swoje ofiary.

Przybywa pierwsza. Préván zjawia się sam, przyjmuje ją z pozorami czułości, prowadzi aż do sanktuarium, którego mniemała się być bóstwem, następnie zaś, znikając pod jakimś pozorem, wpuszcza na swoje miejsce obrażonego kochanka.

Wyobrażasz sobie, że w takiej chwili kobieta nieobyta jeszcze z przygodami miesza się, traci głowę i staje się łupem niezmiernie łatwym. Uważa sobie za łaskę każdą wymów-

kę, której jej oszczędzono i jak zbiegła niewolnica wydana na nowo w ręce pana czuje się aż nadto szczęśliwa, gdy może marzyć o przebaczeniu, przyjmując na nowo dawne jarzmo. Traktat pokoju przypieczętowano w bardziej ustronnym miejscu, opróżnione zaś teatrum zajęli z kolei nowi aktorzy, wypełniając je podobną sceną, o podobnym zwłaszcza zakończeniu.

Aż dotąd każda mniemała, że ona jedna znalazła się w tej sytuacji. Zdumienie i załopotanie wzrosło, skoro w chwili wieczery pary zebrały się razem u stołu; pomieszenie zaś doszło do szczytu, gdy Préván, zjawiając się pośród zgromadzenia, z całym okrucieństwem przedłożył trzem brankom swoje przeprosiny, które odsłaniając całą tajemnicę, przekonały je w zupełności, do jakiego stopnia wyprowadzono je w pole.

Zajęto miejsca. Stopniowo zmacona ochota wróciła, mężczyźni rozchmurzyli się, kobiety pogodziły się z losem. Wszyscy dławili w sercu nienawiść; mimo to na ustach mieli wyrazy czułości: zabawa obudziła pragnienia, które nawzajem opromieniły ją nowym wdziękiem. Niezwykła ta orgia przeciągnęła się aż do rana. Skoro nadeszła chwila rozłączenia, kobiety mogły mniemać, iż wszystko odpuszczone, ale mężczyźni, pamiętni urazy, dokonali zerwania nazajutrz i to bezpowrotnie; a nie zadowolając się porzuceniem niewiernych kochanek, dopełnili czynu zemsty, rozgłaszając całą przygodę. Od tego czasu jedna z „nierozłącznych” więdnęła za kratą klasztoru, dwie pędzą życie na wygnaniu w swoich majątkach, gdzieś na zapadłej prowincji.

Oto historia Prévana; twoją rzeczą zastanowić się, czy chcesz przymnażać mu chwały i wprzęgać się w jego rydwan. List twój zaniepokoił mnie doprawdy; czekam z niecierpliwością dorzeczniejszej, a przede wszystkim jaśniejszej odpowiedzi.

Do widzenia, piękna przyjaciółko, wystrzegaj się pomysłów *zabawnych* lub *niezwykłych*, które uwodzą cię zawsze zbyt łatwo. Pomyśl, że na drodze, którą postępujesz, spryt i rozum nie wystarcza i że jedna nieostrożność staje się klęską bez ratunku. Pozwól, słowem, aby czujna i przezorna przyjaźń stała się niekiedy przewodnikiem twoich rozrywek.

Do widzenia. Mimo to zawsze za tobą przepadam, markizo, tak jak gdybyś była rozsądna.

18 września 17**

LIST LXXX

Kawaler Danceny do Cecylii Volanges

Cesiu, Cesiu moja, i kiedyż znowu losy pozwolą nam się zobaczyć? Kto mnie nauczy żyć z dala od ciebie? Kto mi da siłę i odwagę po temu? Każdy dzień mnoży mą niedolę i nie widzę zgoła kresu! Valmont, który przyrzekł mi pomoc, pociechę, Valmont zaniedbuje mnie, może o mnie zapomnia! Sam pędzi dni obok przedmiotu swego ukochania; nie chce już wiedzieć, co cierpi ten, kto jest odeń dalekim. Przesyłając ostatni twój list, nie dodał od siebie ani słowa, a przecież to on miał donieść, kiedy i jak będę cię mógł oglądać! Ty sama nie mówisz o tym, czyżbyś już nie dzieliła mojego pragnienia? Ach, Cesiu, Cesiu, jestem bardzo nieszczęśliwy. Kocham cię bardziej niż kiedykolwiek: ale ta miłość, która stanowi urok mego życia, staje się jego udręczeniem.

Nie, nie chcę już żyć w ten sposób, muszę cię wreszcie widzieć, muszę, chociażby na chwilę. Kiedy się budzę, powiadam sobie: „nie zobaczę jej”. Udamę się na spoczynek, mówiąc: „nie widziałem jej”. Dodaj do tych mąk śmiertelnych ciągły niepokój o ciebie, Cesiu moja, a będziesz miała obraz życia, jakie prowadzę.

Ach, nie tak było wówczas, kiedy byłaś blisko! Wszystko było mi rozkoszą. Pewność widzenia ciebie stroiła w powab nawet chwile rozłączenia; czas, który trzeba było spędzić z dala, upływając, zbliżał mnie znowu ku tobie. A teraz cóż pozostało? Bolesne żale, wiekuista tęsknota i cień nadziei, którą rozwiewa milczenie Valmonta, którą przemienia w niepokój twe własne milczenie. Dziesięć mil zaledwie nas dzieli i ta przestrzeń, tak łatwa do przebycia, staje się dla mnie nieprzezwyciężoną przeszkodą! Błagam o pomoc przyjaciela, ukochanej, oboje pozostają zimni i nieczuli! Nie tylko nie chcą użyzyć ratunku, ale nie odpowiadają nawet!

Cóż się więc stało z przyjaźnią Valmonta? Co zwłaszcza z twoim czuciem tak tkliwym, które czyniło cię niewyczerpaną w obmyślaniu środków? Niekiedy, przypominam sobie, nie przestając jednak pragnąć widzenia cię, zmuszony byłem poświęcić je innym

względem lub obowiązkom; czegoż nie mówiłaś wówczas? Ilomaż pozorami nie zwalczałaś moich zamiarów? I chciej o tym pamiętać, Cecyljo, zawsze wówczas ustępowałam. Nie czynię sobie z tego chluby; nie miałem nawet zasługi poświęcenia. Ale dziś wreszcie proszę ja z kolei, i o co? Aby cię widzieć przez chwilę, wymienić na nowo przysięgi niewygasłej miłości! Czyż to przestało już być zarówno twoim szczęściem, jak moim? Odpycham tę myśl rozpaczliwą, która dopełniłaby miary mej niedoli. Kochasz mnie, będziesz kochać zawsze, wierzę w to, jestem pewny, nie chcę wątpić, ale moje położenie jest straszne, nie mogę znieść go dłużej. Do widzenia, Cesium moja.

Paryż, 18 września 17**

LIST LXXXI

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Ach, jakąż litość budzą we mnie twoje obawy! Jakże mi one dowodzą wyższości mej nad tobą! I ty mnie chcesz pouczać, mną kierować! Nie, cała pycha twojej płci nie wystarczyłaby, aby zapełnić przepaść, która nas dzieli. Że ty nie umiałbyś przeprowadzić moich zamiarów, uważasz je tym samym za niemożliwe! Istoto pyszna a słaba, tobież to przystało obliczać moje zasoby i sądzić o mej sile! Doprawdy, wicehrabio, nauki twoje zirytowały mnie po prostu, nie umiem tego zataić.

Że aby zamaskować własną nieprawdopodobną niezdatność wobec prezydentowej, roztaczasz mi jako tryumf to, żeś zdołał na chwilę przyprowadzić o pomieszanie nieśmiałą i zakochaną kobietę, zgoda; że chętnie się uzyskanym spojrzeniem, wyraźnie *jednym spojrzeniem*, uśmiecham się i to ci też darowuję. Że, czując mimo woli całą swą nędzę, pragniesz odwrócić mą uwagę i puszyć się szczytnym dziełem zbliżenia dwojga dzieci, które oboje rwą się do tego, aby się zobaczyć, i które, mówiąc nawiasem, mnie właśnie zawdzięczają zapal tego pragnienia: i na to wreszcie się godzę. Że wreszcie stroisz się w te świetne czyny, aby mi powiedzieć profesorskim tonem, że *lepiej obracać czas na wykonanie zamysłów, niż na opowiadanie o nich*; ta próżnostka nic mi nie szkodzi i również ci ją przebaczam. Ale że możesz przypuszczać, iż ja potrzebuję twej opieki, że zesłałabym na manowce, nie postępując ślad w ślad za twymi przestrogami, że mam im poświęcić swoją przyjemność, kaprys: doprawdy, wicehrabio, zanadto wbiło cię w pychę zaufanie, które ci okazuję!

I cóż ty uczynił, czego bym ja nie przewyższyła tysiąc razy! Uwiodłeś, zgubiłeś wiele kobiet: ale jakież miałeś trudności? Jakie przeszkody? Gdzież w tym twoja, naprawdę twoja zasługa? Ujmująca postać, czysty dar przypadku; wdzięk, którego trudno nie nabyć, ocierając się w świecie; rzetelny dowcip, ale zamiast którego trochę wygadania wystarczyłoby w zupełności; śmiałość dość zaszczytna, ale może płynąca jedynie z łatwości pierwszych zdobyczy; oto, jeśli się nie mylę, wszystkie twe zasoby: co do sławy bowiem, jaką się opromieniasz, nie będziesz wymagał, jak sądzę, abym liczyła za wielką zasługę sztukę wywołania skandalu.

Co do przezorności, sprytu, nie mówię już o sobie: ale któraż kobieta nie ma ich więcej? Ech, prezydentowa nawet prowadzi cię jak dziecko na pasku.

Wierz mi, wicehrabio, rzadko człowiek nabywa przymiotów, bez których może się obejść. Walcząc bez niebezpieczeństwa, nie potrzebowałeś silić się na przezorność. Wszakże dla was, mężczyzn, niepowodzenie jest tylko jednym powodzeniem mniej. W tej tak nierównej partii dla nas jest szczęściem nie przegrać, dla was nieszczęściem nie wygrać. Gdybym ci nawet przyznała tyle wrodzonych zdolności, ile my ich mamy, o ileż jeszcze musiałybyśmy cię przewyższyć przez to, iż nieustannie trzeba nam z nich czynić użytek!

Przypuśćmy, godzę się, że wy rozwijacie tyleż zřeczności w tym, aby nas zwyciężyć, jak my, aby się bronić albo też ulec; przyznasz bodaj, że z chwilą dojścia do celu staje się wam ona zupełnie zbyteczna. Zajęci nowym kaprysem biegniecie za nim bez obawy, bez najmniejszych względów: nie wam zależy przecież na jego trwałości.

Tak jest; więzy łączące wzajem dwoje istot — aby mówić utartym słownikiem miłości — możecie wedle woli zacieśniać lub zrywać; my możemy się czuć szczęśliwe, jeżeli zmieniając uczucia, przełożycie tajemnicę nad rozgłos i zadowolicie się upokarzającym zerwaniem, nie czyniąc z wczorajszego bóstwa jutrzejszej ofiary!

Kobieta, Męczyzna,
Miłość, Obyczaje

Ale skoro nieszczęśliwa kobieta uczuje pierwsza ciężar swego łańcucha, na jakież naraża się niebezpieczeństwa, jeśli próbuje uwolnić się, jeśli stara się go bodaj uchylić? Drżąc cała z przestrachu, zaledwie waży się oddalić mężczyznę, którego serce jej odpycha całą siłą. Jeśli on upiera się wytrwać, to, co niegdyś poświęciła miłości, teraz jej trzeba poświęcać obawie.

Ramiona tulą jeszcze, choć serce odręca...

Z wytężeniem całej przebiegłości musi rozplątywać więzy, które wy byście zerwali po prostu. Zdana na łaskę nieprzyjaciela nie posiada żadnych środków obrony, o ile on sam nie okaże się wspaniałomyślnym: a jak spodziewać się tego po mężczyźnie, skoro o ile niekiedy świat chwali go za to, iż posiada tę cnotę, nigdy go nie potępia za to, iż mu jej zbywa?

Nie zaprzeczysz chyba prawdom, które aż pospolitymi się stały przez swą oczywistość. Jeżeli mimo to patrzyłeś, jak kieruję do woli wypadkami i opinią, jak owych mężczyzn, tak niebezpiecznych, zmieniam w zabawkę mego zachcenia lub fantazji; jak odbieram jednym chęć szkodenia mi, drugim zaś siłę po temu; jeśli umiałam na przemian, stosownie do mych zmiennych upodobań, to ściągać do swoich stóp, to odręcać daleko od siebie

Kobieta, Nauka, Obyczaje,
Obraz świata, Flirt, Sztuka,
Władza, Pozycja społeczna

tych tyranów przygiętych do jarzma niewoli...

jeżeli wśród częstych odmian mych uczuć, dobra sława moja została nietknięta — czyż nie powinienś był wywnioskować, iż przyszedłszy na świat po to, aby pomścić swoją pleć, a ujarzmić twoją, umiałam snadź¹¹² stworzyć sobie środki nieznane światu przede mną?

Och, zachowaj przestrogi i obawy dla tych szalonych kobiet, które same nazywają się *uczuciowymi*; których rozszała wyobraźnia kazałaby przypuszczać, że natura umieściła ich zmysły w głowie. W obłędzie swoim mieszają bezustannie Miłość i Kochanka; mniemają w swym złudzeniu, iż ten właśnie, z którym szukały chwilowej rozkoszy, jest jej jedynym rozdawcą; pełne zabobonu, chowają dla kapłana tę cześć i wiarę, jaką winniśmy jedynie Bóstwu.

Lękaj się również o te, w których próżność bierze górę nad rozumą i które nie umieją w potrzebie *pozwoić się porzucić*.

Drżij zwłaszcza o kobiety tzw. *sercowe*, wiecznie zajęte w swej bezczynności, które miłość zagarnia tak łatwo i z taką potęgą. Te czują potrzebę, aby zaprzętać się nią jeszcze, nawet gdy minęła już chwila użycia; oddając się bez zastrzeżeń kipieniu wyobraźni, płodzą owe listy tak słodkie, ale tak niebezpieczne; co więcej, nie lękają się powierzać dowodów swej słabości przedmiotowi, który jest ich przyczyną: nieroztropne istoty, które w dzisiejszym kochanku nie umieją widzieć jutrzejszego wroga.

Ale cóż ja mam wspólnego z tymi niepoczytalnymi istotami? Kiedyż to widziałeś, bym oddaliła się od prawideł, jakie sobie zakreśliłam, i uchybiła mym *zasadom*? Mówię *zasadom*, i mówię to z rozmysłem: nie są one bowiem, jak u innych kobiet, nabyte przypadkiem, przyjęte bez roztrząsania i przestrzegane z nałogu: nie, są owocem głębokich rozmyślań: stworzyłam je i mogę powiedzieć, że jestem swoim własnym dziełem.

Wszedłszy w świat w czasie, kiedy jako młoda dziewczyna z urzędu niejako byłam skazana na milczenie i martwość, umiałam skorzystać z tego, aby przyglądać się i zastanawiać. Podczas gdy świat uważał mnie za roztrzępaną lub tępą, ja, w istocie niewiele słuchając tego, co do mnie mówiono, tym skwapliwiej chłoniłam to, co przede mną ukrywano.

Ta zbawienna ciekawość, bogacąc doświadczenie, nauczyła mnie zarazem sztuki udawania. Zmuszona niejednokrotnie ukrywać przedmiot uwagi przed otoczeniem, starałam się władać oczami wedle mej woli; nauczyłam się przybierać, kiedy zechcę, ten wyraz roztargnienia, który tak często podnosiłeś z uznaniem. Zachęcona tą pierwszą zdobyczą starałam się opanować tak samo grę fizjonomii. Gdy doznawałam przykrości, uczyłam się przybierać wyraz słodkiej pogody, nawet uciechy; posunęłam gorliwość tak daleko, iż zadawałam sobie rozmyślnie cierpienia, siłąc się równocześnie zachować pogodne i zadowolone oblicze. Z tą samą wytrwałością i z większym jeszcze trudem pracowałam nad

¹¹²snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

tym, by tłumić w sobie objawy niespodzianej radości. W ten sposób zdobyłam nad grą mej fizjognomii władzę, którą niejednokrotnie bywałeś tak zdumiony.

Byłam wówczas bardzo młoda, jeszcze nie żyłam niemal: ale jedyną mą własnością była moja myśl i oburzało mnie, aby mi ją ktoś miał wydrzeć lub podchwycić wbrew mej woli. Uzbrojona tym pierwszym orężem spróbowałam jego użytku: nie poprzestając na tym, aby się nie dać przeniknąć, bawiłam się tym, aby się objawiać pod różnorodnymi postaciami. Pewna swoich ruchów i gry fizjognomii zwracałam uwagę na słowa; kierowałam mym wzięciem¹¹³, stosownie do okoliczności lub nawet zachcenia: od tej chwili wewnątrz moje pozostało otwarte wyłącznie dla mnie samej, pokazywałam zeń jedynie to, co chciałam.

Ta praca nad sobą skierowała mą uwagę na wyrazy twarzy i charakter fizjognomii w ogólności; zyskałam ten przenikliwy rzut oka, któremu, jak przekonałam się z doświadczenia, nie można ufać bezwzględnie, ale który na ogół nieczęsto mnie zawodził.

Nie miałam piętnastu lat, a już posiadałam owe talenty, którym większość polityków zawdzięcza reputację; a były to dopiero pierwsze podstawy umiejętności, którą pragnęłam sobie przyswoić.

Wyobrażasz sobie, że jak wszystkie dziewczęta starałam się przeniknąć tajemnice miłości i jej uciech: ale nie będąc nigdy w klasztorze, nie mając nigdy bliskiej przyjaciółki i strzeżona przez czujną matkę, miałam jedynie pojęcia mgliste i niepewne; natura nawet, na którą później, to pewna, uskarżać się nie miałam powodu, nie dawała mi żadnej w tym względzie wskazówki. Można rzec, iż pracowałam w milczeniu nad wydoskonaleniem swego dzieła. Głowa jedynie kipiała; nie pragnęłam używać, ale chciałam wiedzieć; pragnienie zdobycia świadomości podsunęło mi środki.

Czułam, że jedynym człowiekiem, z którym mogę mówić o tym przedmiocie bez narażenia się, był mój spowiednik. Natychmiast powzięłam decyzję; przezwyciężyłam odrobinę wstydu i uzurpując sobie błąd, którego nie popełniłam, obwiniłam się, że czyniłam wszystko *to, co robią kobiety*. To było wyrażenie, którego użyłam; ale mówiąc w ten sposób, nie miałam pojęcia, co ono w istocie oznacza. Nadzieja moja nie ziściła się wprawdzie w zupełności; obawa zdradzenia się stanęła na przeszkodzie; ale pocziwy ojciec przedstawił mi winę w tak surowym świetle, że wyciągnęłam stąd wniosek, iż rozkosz musi być olbrzymią; do pragnienia wiedzy dołączyła się chęć pokosztowania.

Nie wiem, dokąd ta chęć byłaby mnie zawiodła; przy zupełnym braku doświadczenia jedna sposobność wystarczałaby, aby mnie zgubić: na szczęście niedługo potem matka oznajmiła mi, iż wychodzę za mąż. Pewność poznania ugasiła natychmiast mą ciekawość: weszłam jako dziewczica do sypialni pana de Merteuil.

Oczekiwałam ze spokojem chwili, która miała mi odsłonić wielką tajemnicę; umiałam zdobyć się na ten wysiłek, aby okazać pomieszenie i obawę. Ta pierwsza noc, o której mamy zazwyczaj tak straszne lub tak słodkie pojęcia, dla mnie przedstawiła się jedynie ze strony doświadczałnej. Bacznie śledziłam zarówno ból, jak przyjemność, ze wszystkiego starałam się jednakowo zdać sobie sprawę, widząc w tych różnorodnych wrażeniach materiał dla spostrzeżeń i refleksji.

Wkrótce poczęłam znajdować w tym studium dość żywe upodobanie: ale wierna zasadom i czując, może instynktownie, że nikt nie powinien być równie dalekim od mej ufności jak mąż, postanowiłam dlatego właśnie, iż byłam wrażliwą, uchodzić za zupełnie nieczułą w jego oczach. Ten pozorny chłód stał się niewzruszoną podstawą jego ślepego zaufania. Dołączyłam do tego, również na podstawie przemyślenia, pozory roztrzępania, usprawiedliwione zresztą wiekiem. Słowem, nigdy mąż nie patrzył na mnie bardziej jak na dziecko niż wówczas, gdy najśmielej wyprowadzałam go w pole.

Zresztą, wyznając, zrazu dałam się porwać wirowi świata i oddałam się całkowicie jego błahym rozrywkom. Ale gdy po upływie kilku miesięcy pan de Merteuil wywiózł mnie gdzieś na odludzie, obawa przed nudą obudziła we mnie na nowo zamiłowanie do studiów. Znajdując dokoła jedynie ludzi, których pozycja chroniła mnie od wszelkich podejrzeń, skorzystałam z tego, aby na szerszym polu przeprowadzić doświadczenia. Tam to przede wszystkim upewniłam się, że miłość, którą apoteozują jako źródło rozkoszy, jest w rzeczywistości co najwyżej jej pretekstem.

¹¹³wzięcie (daw.) — sposób bycia, zachowanie, postępowanie.

Choroba pana de Merteuil przerwała te miłe ćwiczenia: trzeba było przenieść się do miasta, gdzie pospieszył szukać pomocy. Umarł, jak ci wiadomo, wkrótce. Jakkolwiek, razem wzięwszy, nie miałam przyczyn nań się użalać, niemniej odczułam żywo wartość swobody, jaka otwierała mi się z chwilą wdowieństwa, i postanowiłam z niej dobrze skorzystać.

Matka spodziewała się, iż osiadę w klasztorze lub też zamieszkać z nią razem. Uchyliłam się od obu projektów; dla względów przyzwoitości uczyniłam jedynie tyle, iż wróciłam na jakiś czas na wieś, gdzie mi pozostało zresztą nieco jeszcze spostrzeżeń do zebrania.

Dałam im silniejsze podstawy przy pomocy książek; ale nie sądzę, że były wszystkie tego rodzaju, jakby można przypuszczać. Zgłębiałam obyczaje w romansach, poglądy w dziełach filozofów; badałam nawet najnowszych moralistów i ich postulaty i w ten sposób zyskałam świadomość, co można czynić, co powinno się myśleć, a jak należy się ludziom *przedstawiać*. Raz wiedząc, czego się trzymać w tym potrójnym przedmiocie, co do ostatniego jedynie dostrzegałam niejaki trudności; miałam nadzieję, iż uda mi się je zwyciężyć i przemyślałam nad środkami po temu.

Niebawem zaczęły mi się przykrzyć sielskie uciechy, zbyt mało urozmaicone dla mej niespokojnej głowy: czułam potrzebę zalotności, która by mnie pogodziła z miłością; nie abym pragnęła przeżywać ją w istocie, lecz aby natchnąć się sztuką udawania jej. Na próżno mi mówiono i sama czytałam, że nie da się udać tego uczucia; wiedziałam że aby to osiągnąć, wystarczy połączyć talent aktora z pomysłowością komediopisarza. Ćwiczyłam się więc w obu tych rodzajach, może nie bez powodzenia: ale zamiast na scenie szukać czczych oklasków, postanowiłam obrócić dla własnego szczęścia to, co tylu innych poświęca próżności.

Rok cały upłynął na tych zajęciach. Koniec żaloby pozwalał zjawić się w świecie, wróciłam tedy do miasta pełna najśmielszych zamysłów. Nie spodziewałam się pierwszej przeskody, jaką napotkam.

Owa długa samotność, owo cnotliwe odcięcie od świata, to wszystko powlekło mnie jakimś pokostem surowości, który przerażał naszych *zdobywców*; trzymali się na uboczu, wydając mnie na pastwę tłumowi nudziarzy, z których każdy zabiegał się o moją rękę. Nie było mi wprawdzie trudno uwolnić się od konkurów; ale odmowy te nie podobały się nieraz mej rodzinie: traciłam na drobnych utarczkach i przykrościach czas, który obiecywałam sobie spędzić tak rozkosznie. Byłam tedy zmuszona, aby ściągnąć ku sobie jednych, a oddalić drugich, dopuścić się paru jawnych lekkomyślności i użyć na skompromitowanie swej reputacji starań, które miałam zamiar obrócić na jej pielęgnowanie. Udało mi się łatwo, jak możesz sobie wyobrazić. Ale ponieważ nie wchodziło w grę żadne uczucie, zrobiłam tylko to, co uważałam za potrzebne, i odmierzyłam z całą rozwagą dawki nierozwagi.

Skoro tylko osiągnęłam zamierzony skutek, natychmiast wykonałam odwrót i powierzyłam zaszczyt mego nawrócenia owej kliczce kobiet, które, niezdolne już szukać tryumfów w swoich powabach, nadrabiają te braki *wartością wewnętrzną* i cnotą. Sztuczka udała się lepiej, niż mogłam się spodziewać. Wdzięczne matrony stały się mymi gorliwymi obrończyniami; ślepy zapal dla tego, co nazywały *swoim dziełem*, posuwał się tak daleko, że za najmniejszym słówkiem, jakie ktoś ośmielił się wymierzyć przeciw mnie, cała partia świętoszek wyruszała do boju z niecną potwarzą. Ten sam środek zjednał mi również uznanie lwic salonowych, które przekonane, iż nie znajdą we mnie współzawodniczkę, obrały mnie za przedmiot swoich zachwytów, ilekroć chciały dowieść, że nie o wszystkich bez wyjątku kobietach mówią jak najgorzej.

Mimo to poprzedni manewr ściągnął do mego domu armię wielbicieli. Nie chcąc ich zrażać, a zarazem zmuszona oszczędzać wierne protektorki, starałam się przybrać postawę osoby skłonnej poddać się uczuciu, lecz trudnej w wyborze i opancerzonej przeciw łatwym miłostkom nadmierną delikatnością.

Wówczas zaczęłam na wielkiej scenie życia rozwijać zdobyte talenty. Pierwszym staraniem było zyskać sobie sławę niezwykłą. Aby to osiągnąć, przyjmowałam jawnie zabiegi jedynie tych mężczyzn, którzy mi się nie podobali. Używałam ich skutecznie, aby zapewnić sobie honory zaszczytnej obrony, podczas gdy równocześnie oddawałam się bez niebezpieczeństw wybranemu kochankowi. Jednakże moja udana lekliwość nigdy

nie pozwalała mu widywać się ze mną w towarzystwie: toteż oczy świata widziały zawsze jeno¹¹⁴ wdychających bez nadziei.

Wiesz, jak szybko mam zwyczaj się namyślać: a to ponieważ spostrzegłam, że niemal zawsze właśnie te przedwstępne zabiegi zdradzają światu tajemnice kobiet. Mimo wszelkich starań sposób i ton obejścia *przed* a *po* jest zawsze nieco odmienny. Różnica ta nie ujdzie uwagi bystrego spostrzegacza; doszłam tedy, iż mniej jest niebezpiecznym omylić się w wyborze, niż się z nim zdradzić. Zyskuję przez to jeszcze i tę korzyść, że usuwam *prawdopodobieństwa*, na podstawie których jedynie świat może nas sądzić.

Ostrożności te, jak również reguła, aby nigdy nie pisać, nigdy nie wydawać w ręce dowodu ustępstwa, mogłyby wydać się przesadne: dla mnie i to nie wystarczało. Zapuściwszy się w głąb własnego serca, śledziłam w nim serce drugih. Dojrzałam, iż każdy bez wyjątku człowiek kryje tam jakiś sekret, który pragnąłby na zawsze osłonić. Prawdę tę, jak się zdaje, starożytność lepiej знаła od nas, a historia Samsona jest może tylko szczęśliwym jej symbolem. Naśladując Dalilę, starałam się zawsze, jak ona, rozwinąć całą mą siłę, aby podchwycić tę doniosłą tajemnicę. Och, iluż Samsonów kędziory znalazły się pod moimi nożycami! Ci przestali być niebezpieczni: tych jednych pozwoliłam sobie upokorzyć niekiedy. Z innymi umiałam się uciekać do innych sposobów: sztuka popchnięcia ich samych do niewierności, aby nie zdradzić się z odmianą własnego serca, udana przyjaźń, pozory zaufania, tu i ówdzie oddane przysługi, podsycanie w każdym z osobna tego tak pochlebnego dla mężczyzny mniemania, iż był moim jedynym kochankiem; oto środki, które zapewniły mi dyskrecję. Wreszcie gdy te sposoby zawodziły, umiałam, w przewidywaniu zerwania z mej strony, zdusić zawczasu niebezpieczeństwo za pomocą ośmieszenia lub potwarzy.

Patrzysz na mnie; widzisz, jak niezłomnie przestrzegam tych zasad: i ty wątpisz o mej przezorności! Zechciej sobie tedy przypomnieć czas swoich o mnie zabiegów: nigdy żaden hołd nie był mi tyle pochlebny; pragnęłam cię, zanim cię jeszcze poznałam. Olsniona twym rozgłosem, miałam uczucie, że brak mi ciebie dla mej chwały; pałałam niecierpliwością zmierzenia się z tobą w pojedynczej utarczce. Mimo to gdybyś mnie chciał zgubić, jakież znalazłbyś sposoby? Gołosłowne zapewnienia bez wartości, podejrzone już przez samą twą reputację; wiązka pozbawionych wszelkiego prawdopodobieństwa faktów, których wierna opowieść zdawałaby się zaczerpnięta z lichu skleconego romansu. To prawda, później odsłoniłam ci wszystkie karty: ale wiesz, jakie interesy nas jednoczą i czy z nas dwojga mnie należałoby nazwać nieostrożną¹¹⁵. Skoro raz zadałam sobie trud wyłożenia ci wszystkiego, chcę zrobić to dokładnie. Słyszę już, jak mówisz, że jestem co najmniej na łasce pokojówki. To prawda, ta dziewczyna, nie znając tajemnicy mych uczuć i poglądów, posiada, bądź co bądź, sekret mego postępowania. Kiedy mi o tym wspominałeś niegdyś, odpowiedziałam tylko, że jestem jej pewna. Odpowiedź ta wystarczyła ci widocznie wówczas, gdyż zwierzyłeś jej później wcale niebezpieczne tajemnice, i to tycające samego ciebie. Ale teraz, kiedy nabiłeś sobie głowę Prévanem i straciłeś wszelki sąd o rzeczach, obawiam się, że już mi nie uwierzysz na słowo. Trzeba cię zatem pouczyć.

Po pierwsze, jest moją mleczną siostrą: węzeł ten nam wydaje się niczym, lecz nie jest bez znaczenia dla ludzi jej stanu. Po drugie, posiadam jej tajemnicę, i więcej niż tajemnicę. Dziewczyna ta stała się w swoim czasie ofiarą nieopatrznej miłości i byłaby zgubiona, gdybym jej nie ocaliła. Rodzice jej, nieubłagani na punkcie honoru, chcieli po prostu ją zamknąć. Zwrócili się do mnie. W mgnieniu oka oceniłam, jakie korzyści mogę wyciągnąć z ich gniewu. Pochwaliłam zamiar, poczyniłam starania o odpowiedni dekret i otrzymałam go. Wówczas przerzuciłam się na drogę łagodności. Korzystając ze względów, jakimi cieszyłam się u starego ministra, nakłoniłam, aby pozostawiono wyrok w moich rękach i dano mi swobodę zniszczenia go lub wprowadzenia w życie, zależnie od dalszego zachowania się dziewczyny. Wie zatem dobrze, że jestem bezwzględną panią jej losu; gdyby zaś, co trudno przypuścić, te potężne środki nie zdołały zapewnić wierności, pojmujesz łatwo, do jakiego stopnia odsłonięcie jej prowadzenia i oddanie w ręce sprawiedliwości osłabiłoby jej wiarygodność.

¹¹⁴jeno (daw., gw.) — tylko.

¹¹⁵wiesz, jakie interesy nas jednoczą (...) — w dalszym ciągu, w liście CLII, pokaże się, jakiego mniej więcej rodzaju mogła być tajemnica pana de Valmont i czytelnik zrozumie, iż niepodobieństwem było bliżej objaśniać go w tym przedmiocie.

Do tych ostrożności, które uważam za zasadnicze, łączy się tysiąc innych, zależnych od miejsca i okoliczności, a kierowanych głębokim namysłem, który z czasem przechodzi w przyzwyczajenie. Wyliczanie byłoby zbyt uciążliwe: są to jednak wszystko rzeczy pierwszorzędnej wagi. Jeżeli zadasz sobie nieco trudu, możesz je sam z łatwością odtworzyć, zastanowiwszy się dobrze nad całokształtem mego postępowania.

I ty przypuszczasz, że po to dołożyłam tylu starań, aby nie zbierać owoców? Że wzniósłszy się dzięki wytężonej pracy tak wysoko nad poziom innych kobiet, zgodzę się później pełzać jak one między nierozwagą a tchórzostwem; że zwłaszcza mogę obawiać się do tego stopnia jakiegoś mężczyzny, aby widzieć ratunek jedynie w ucieczce? Nie, wicehrabio, nigdy. Zwyciężyć lub zginąć. Co do Prévana, chcę go mieć i będę miała; on chce rozgłosić i nie rozgłosi: oto w dwóch słowach historia naszego romansu. Do widzenia.

20 września 17**

LIST LXXXII

Cecylia Volanges do kawalera Danceny

Mój Boże, ileż pana list sprawił mi zmartwienia! Potrzebniem też, doprawdy, oczekiwała go z taką niecierpliwością! Myślałam, że znajdę trochę pociechy, a tymczasem jeszcze więcej zgryzłam się niż wprzód. Płakałam rzewnymi łzami, kiedy czytałam: ale nie to panu wyrzucam; przecież już nieraz płakałam dawniej z powodu pana, a nie robiło mi przykrości. Ale tym razem, to całkiem nie to samo.

Co pan chce przez to powiedzieć, że miłość staje się dla pana udręczeniem, że pan nie może już żyć w ten sposób ani znieść dłużej swego położenia? Czy pan może chce przestać mnie kochać, dlatego że już nie jest tak przyjemnie jak przedtem? Zdaje mi się, że i mnie nie lepiej jest od pana; owszem, przeciwnie, a mimo to kocham pana tylko więcej. Że pan de Valmont nie napisał, to nie moja wina, nie mogłam go o to prosić, bo nie byłam z nim sama; umówiliśmy się nigdy z sobą nie mówić przy ludziach: także tylko dlatego, żeby łatwiej mógł zrobić to, czego pan pragnie. Nie mówię wcale, że i ja nie pragnę tego samego; powinien pan wiedzieć o tym, ale cóż ja poradzę? Jeżeli się panu wydaje, że to tak łatwo, niech pan znajdzie sposób, bardzo będę wdzięczna.

Już z samym odbieraniem listów to cała historia; gdyby pan de Valmont nie był taki dobry i zręczny, nie wiedziałabym po prostu, jak sobie dać radę; a z pisanem, to jeszcze większy kłopot. Przez całe rano nie miałam odwagi, bo mama jest niedaleko i czasem wchodzi niespodzianie do pokoju. Czasem uda mi się popołudniu pod pozorem śpiewu lub grania na harfie; a i wtedy muszę przerywać pisanie po każdym wierszu, żeby było słychać, że ćwiczę. Na szczęście panna służąca zasypia niekiedy wieczorem i mówię jej wówczas, że się położę sama, aby ją nakłonić, żeby odeszła i zostawiła światło. A potem dopiero muszę się chować pod firanki, żeby nie było widać światła, i nadsluchiwać najmniejszego szmeru, czy kto nie idzie. Chciałabym, żeby pan tu był i mógł to widzieć! Zobaczyłby pan, że trzeba bardzo kogoś kochać, żeby to robić. Jednym słowem, to pewna, że robię co mogę i że chciałabym móc robić jeszcze więcej.

Do widzenia, drogi panie. Kocham pana z całego serca. Będę kochać przez całe życie. Mam nadzieję, że teraz już się pan nie będzie martwił; gdybym była tego pewna, sama bym się także już nie martwiła. Niech pan napisze najprędzej, jak pan będzie mógł, bo czuję, że aż do tego czasu będę ciągle smutna.

Z zamku ***, 21 września 17**

LIST LXXXIII

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel

Błagam cię, pani, wróćmy do rozmowy tak nieszczęśliwie przerywanej! Niech mi wolno będzie jeszcze przekonać panią, jak bardzo odmienny jestem od haniebnego portretu, pod jakim mnie przedstawiono; niech mi będzie wolno zwłaszcza rozkoszować się lubą ufnością, jaką zaczęłaś mnie obdarzać! Ileż wdzięku umiesz użyczyć cnocie! Jak powabnym i upragnionym umiesz uczynić zacne i niewinne uczucie!

Ach, wystarczy ujrzeć ciebie, aby pragnąć ci być miłym; wystarczy przebywać w twoim towarzystwie, aby pragnienie to spotęgowało się jeszcze. Ale gdy kto ma szczęście

znać cię bliżej, gdy mu danym jest niekiedy czytać w twojej duszy, ogarnia go niebawem zapał szlachetniejszej natury; przepełniony po równi czcią i miłością, ubóstwa w tobie obraz doskonałości. Czy potępisz własne dzieło? Czegóż można się obawiać po uczuciu tak czystym i pełnym słodyczy?

Miłość moja przeraża cię, wydaje ci się zbyt gwałtowną, bez hamulca! Umiarkuj ją miłością łagodniejszej natury, nie odrzucaj władzy, jaką oddaję ci w ręce. Czyż byłoby dla mnie poświęcenie zbyt ciężkie, gdybym wiedział, iż w twoim sercu znajdę uznanie? Ach! czemuż twoje szczęście nie zależy ode mnie! Jakbym cię pomścił za ciebie samą, czyniąc cię szczęśliwą! Ale tej słodkiej władzy jałowa przyjaźń stworzyć nie jest w stanie: moc swoją czerpie ona jedynie w miłości.

To słowo o lęk cię przyprawia! I czemu? Najtkliwsze przywiązanie, związek serc najściślejszy, wspólna myśl, wspólne szczęście, jak i wspólne troski: i cóż w tym jest, co by było obcym twojej duszy! A to jest przecież miłość! Przynajmniej miłość taka, jaką ty budzisz i jaką ja odczuwam!

Te prawdy tak jasne i słodkie zarazem, czym mogą cię niepokoić? Jakąż obawą może cię napełniać kochający człowiek, któremu już miłość sama broni szczęścia niebędącego wraz i twoim? Oto jedyna chęć, jaką oddycham; poświęcę wszystko, aby ją spełnić; wszystko, z wyjątkiem uczucia, które ją natchnęło. Zgódź się podzielić jeno to uczucie, a będziesz nim kierować wedle woli. Ale nie cierpmy dłużej, aby ono miało nas rozdzielać, wówczas gdy powinno łączyć. Jeśli przyjaźń, którą mi ofiarowałaś, nie jest pustym słowem, jeśli, jak mówiłaś wczoraj, jest ona najsłodszy mi uczuciem, jakie zna twoja dusza, niechaj nas rozsądzi: nie uchylę się od wyroku. Ale skoro ma być sędzią miłości, niechaj zgodzi się jej wysłuchać: odmowa byłaby niesprawiedliwością; przyjaźń zaś nie może być niesprawiedliwa.

Chwila ponownej rozmowy nie przedstawia żadnej trudności: przypadek może znów dostarczyć sposobności po temu; ty sama, pani, mogłabyś oznaczyć porę. Chcę wierzyć, iż jestem w błędzie; czyż nie milej by ci było przekonać mnie niż zwalczać i czy wątpisz o mej powolności? Gdyby ktoś trzeci tak nie w porę nie przerwał rozmowy, byłbym już może całkiem przychylił się do twego zdania; któż wie, jak daleko sięga twa władza?

Mam wyznać, pani? Ta niewzyciężona potęga, której wydaję się w ręce, nie śmiejąc nawet obliczyć jej siły, ten nieprzeparty czar, który cię czyni władczynią moich myśli i uczynków, to wszystko przejmuję mnie niekiedy obawą. Kto wie, czy to nie ja powinienem drżeć przed rozmową, o którą tak proszę! Kto wie, azali po niej, spętany własną obietnicą, nie ujrzę się skazanym na to, by pałać miłością niezniszczalną i niewygasłą, nie śmiejąc nawet błagać twej pomocy! Ach, pani, przez litość, nie nadużywaj swej władzy! Ale co mówię! Jeśli ty masz być szczęśliwsza, jeśli ja mam się stać w twych oczach godniejszym ciebie, jakichż cierpień nie zdoła złagodzić myśl tak pełna pociechy! Tak, czuję, że mówić z tobą jeszcze, znaczy dać ci przeciw sobie jeszcze silniejszą broń, znaczy poddać się jeszcze zupełniej twej woli. Łatwiej bronić się przeciw twym listom: są w nich twoje słowa, ale nie ma ciebie, byś mogła użyć im całej potęgi. Mimo to chęć słyszenia cię, pani, każe mi narażać się na to niebezpieczeństwo; będę miał przynajmniej to szczęście, iż uczyniłem dla ciebie wszystko, nawet przeciw sobie samemu, a poświęcenie moje stanie się nowym świadectwem miłości. Zbyt szczęśliw będę, mogąc ci dowieść raz jeszcze, iż jesteś i będziesz zawsze przedmiotem najdroższym memu sercu, droższym nawet niż własne dobro.

Z zamku ***, 23 września 17**

LIST LXXXIV

Wicehrabia de Valmont do Cecylii Volanges

Widziała pani, jak wszystko spiknęło się przeciw nam. Przez cały dzień nie miałem sposobu oddania pani listu, który miałem dla niej; nie wiem, czy dziś powiedzie mi się lepiej. Lękam się zaszkodzić pani, rozwijając w tej mierze więcej zapału niż zręczności; nigdy bym sobie nie przebaczył nieuwagi, która stałaby się tak zgubną dla pani, a zarazem, czyniąc cię nieszczęśliwą na całe życie, wtrąciłaby w rozpacz mego najlepszego przyjaciela.

Mimo to wiem, co to niecierpliwość serca; czuję, jak musi ci być przykro znosić opóźnienie jedynej pociechy, jakiej możesz kosztować w tej chwili. Toteż łamiąc sobie

głowę nad środkami usunięcia przeszkód, znalazłem sposób, którego wykonanie, przy dobrej woli, nie przedstawiałoby trudności.

Zdaje mi się, o ile zauważyłem, że klucz od pani pokoju, wychodzącego na korytarz, spoczywa zawsze na kominku u mamy. Wszystko byłoby łatwym, pojmuje pani, gdybyśmy mieli ten klucz; otóż gotów jestem postarać się o duplikat. Aby to uzyskać, potrzebowałbym jedynie mieć tamten na jakie dwie godziny. Przypuszczam, że znajdzie pani z łatwością sposobność usunięcia go na czas tak krótki: aby zaś nie spostrzeżono braku, dołączam tutaj inny klucz. Jest dość podobny, aby zamiana nie wydała się, o ile go ktoś nie spróbuje; to zaś nikomu nie przyjdzie do głowy. Musi tylko pani przywiązać doń niebieską spłowiąłą wstążeczkę, taką, jaka jest przy kluczu od twego pokoju.

Trzeba się postarać o ten klucz na jutro lub pojutrze w porze śniadania. Wtedy najłatwiej zdołasz mi go wręczyć. W ten sposób powróci na miejsce przed wieczorem, kiedy mama pani mogłaby nań właśnie zwrócić baczniejszą uwagę. Postaram się oddać go pani w chwili obiadu, jeżeli się nam uda porozumieć.

Wie pani, że kiedy przechodzimy z salonu do jadalni, pani de Rosemonde idzie zawsze na ostatku. Podam jej rękę. Pani postara się zapóźnić przy krosienkach lub też upuści coś na ziemię, tak aby zostać w tyle; wówczas możesz z łatwością wziąć klucz; będę go trzymał za sobą.

Skoro go już będziesz miała, trzeba dla niepoznaki podejść do staruszki z jakimś zapytaniem lub pieszczotą. Gdyby przypadkiem zdarzyło się pani upuścić klucz, proszę nie tracić spokoju: udam, że to ja, odpowiadam za wszystko.

Brak zaufania, jaki pani okazuje matce, oraz postępowanie jej tak surowe usprawiedliwiają najzupełniej ten podstęp wojenny. Zresztą to jedyny sposób, aby dalej odbierać listy i pisywać do Danceny'ego. Każdy inny środek jest istotnie zbyt niebezpieczny i mógłby oboje zgubić bez ratunku, tak iż nie miałbym odwagi narażać was na to.

Skoro raz staniemy się panami klucza, trzeba będzie jeszcze zabezpieczyć się od skrzywienia drzwi i zamku, ale to już drobnostka. Pod tą samą szafą, pod którą włożyłem wówczas papier, znajdzie pani oliwę i piórko: nasmarujesz starannie zamek i zawiasy. Wystrzegać trzeba się plam, mogłyby panią zdradzić.

Skoro pani przeczyta ten list, proszę, byś chciała odczytać go jeszcze raz i dobrze przemyśleć: najpierw, ponieważ trzeba dobrze wiedzieć to, co się ma dobrze wykonać, następnie, aby się upewnić, czy niczego nie przeoczyłem. Nie mając sposobności posługiwania się takimi sztuczkami dla własnej potrzeby, nie posiadam zbyt wielkiej wprawy: trzeba było mej żywej przyjaźni dla Danceny'ego i sympatii dla pani, aby mnie nakłonić do takich środków, mimo ich całej zresztą niewinności. Nienawidzę wszystkiego, co trąci podstępem: to nie w moim charakterze. Ale nieszczęścia wasze wzruszyły mnie do tego stopnia, że wszystkiego będę próbował, aby je złagodzić.

Domyśla się pani, że skoro raz droga porozumienia będzie ustalona, o wiele łatwiej będzie mi doprowadzić panią do widzenia się z Dancenym, czego on tak pragnie. Mimo to niech mu pani nic nie donosi: powiększyłabyś jego niecierpliwość, a moment nie jest jeszcze może bliski. Raczej, sądzę, należy ci ją uśmierzać niż zaostriąć. Sądzę, iż pani to zrozumie. Do widzenia, piękna pupilko, bo jesteś wszak moją pupilką? Miej trochę sympatii dla opiekuna, a przede wszystkim, bądź mu we wszystkim posłuszną: tylko dobrze na tym wyjdiesz. Myślę o twym szczęściu i bądź pewna, że znajdę w nim własne.

24 września 17**

LIST LXXXV

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Nareszcie uspokoisz się, wicehrabio, a przede wszystkim oddasz mi sprawiedliwość. Słuchaj i nie mieszej mnie na przyszłość z innymi kobietami. Doprowadziłam do końca przygodę a Prévaniem! *Do końca!* Rozumiesz dobrze, co to znaczy? Teraz możesz osądzić, kto z nas, on czy ja, będzie miał prawo się chlępić. Opowiadanie nie będzie tak uciészne jak wykonanie, ale też nie byłoby sprawiedliwie, abyś ty, który ograniczyłeś się jedynie do mędrkowania o tej sprawie, miał wycisnąć z niej tyleż przyjemności, co ja, która nie pożałowałam dla niej i czasu, i trudów.

Mimo to, jeżeli masz jakie wielkie przedsięwzięcie na myśli, jeżeli miałeś ochotę pokusić się o coś, w czym obecność tego groźnego rywala stawiała ci w drodze, przybawaj teraz. Zostawia ci wolne pole, przynajmniej na jakiś czas; być może nawet, nie podniesie się nigdy z pod ciosu, który mu zadałam.

Jakiś ty szczęśliwy, doprawdy, że masz taką przyjaciółkę! Jestem niby dobroczynna wróżka. Więdziesz z dala od piękności, która cię przykuła: mówię słowo i oto znowu jesteś przy niej. Chcesz się zemścić na kobiecie, która ci szkodzi: czynię znak w miejscu, gdzie powinieneś ugodzić i wydaję ci ją na łaskę i niełaskę. Zwracasz się wreszcie o pomoc w uprzątnięciu z areny groźnego współzawodnika — i to zostało wysłuchane. W istocie, jeśli nie obrócisz reszty życia na hymny dziękczynne, nie wart jesteś tylu dobrodziejstw! A teraz wracam do mej przygody: zaczynam od początku.

Spotkanie naznaczone tak głośno przy wyjściu z Opery¹¹⁶ zrozumiano tak, jak się spodziewałam. Prévan zjawił się; kiedy zaś marszałkowa zauważyła uprzejmie, że dumną jest, iż widzi go dwa razy z rzędu na swym przyjęciu, pospieszył odpowiedzieć, że od wtorku pozrywał mnóstwo ułożonych projektów, aby tylko móc w ten sposób rozporządzić wieczorem. To było pod moim adresem. Ponieważ chciałam upewnić się jeszcze, czy w istocie ja byłam prawdziwym przedmiotem tej pochlebnej gorliwości, z rozmysłu postawiłam mego świeżego wielbiciela w konieczności wyboru pomiędzy mną a jego główną namietnością. Oświadczyłam, iż nie będę grała: istotnie, i on znalazł naprędce wymówkę; pierwszy tryumf odniosłam tedy nad lancknechtem¹¹⁷.

Następnie wdałam się w rozmowę z biskupem de***; wybrałam go z powodu jego zażyłości z naszym bohaterem, któremu chciałam wszelkimi sposobami ułatwić zbliżenie. Byłam zarazem bardzo rada, iż mam czcigodnego świadka, który w razie potrzeby mógłby zaświadczyć o mym zachowaniu i słowach. Wyrachowanie powiodło mi się w zupełności.

Po chwili obojętnej rozmowy Prévan, ująwszy rychło w ręce ster konwersacji, począł próbować kolejno rozmaitych tonów, aby przekonać się, który przypadnie mi do smaku. Odrzuciłam hasło uczuć, jako nie wierząca w nie z zasady; powściągnęłam poważnym zachowaniem jego żarty, które wydały mi się jak na początek zbyt lekkie: wówczas uderzył w struny powinowactwa dusz i przyjaźni i pod tym to zużytym sztandarem zaczęliśmy utarczkę.

Podano kolację: biskup nie siadał do stołu. Prévan podał mi zatem rękę. Trzeba oddać sprawiedliwość, że podtrzymywał z wielką zręcznością naszą uboczną rozmowę, mimo iż na pozór cały pochłonięty rozmową ogólną. Przy deserze mówiono o nowej sztuce zapowiedzianej na następny poniedziałek w komedii francuskiej. Wyraziłam ubolewanie, że nie mam łoży; Prévan ofiarował swoją: odmówiłam zrazu, jak wypadało. Odpowiedział dość sprytnie, że źle go zrozumiałam; z pewnością nie ośmieliłby się uczynić tej ofiary, mając zaszczyt znać mnie tak niewiele, ale zawiadamia mnie jedynie, że marszałkowa będzie rozporządzała jego łożem. Marszałkowa dała się wciągnąć w ten żart, ja zaś przyjęłam.

Gdyśmy przeszli do salonu, Prévan poprosił, jak możesz sobie wyobrażać, o miejsce w łoży. Marszałkowa, która traktuje go bardzo łaskawie, przyrzekła pod warunkiem, że *będzie grzeczny*; wówczas on, ukląkłszy jak posłuszne dziecko i niby to prosząc o wskazówki, i odwołując się do jej pobłażliwości, znalazł sposobność powiedzenia rzeczy nader pochlebnych i czułych, które z łatwością mogłam wziąć do siebie.

Wkrótce rozstaliśmy się, oboje wielce zadowoleni z wieczoru.

W poniedziałek stawiałam się w Komedii, jak to umówiono. Mimo iż znam twoje zamiłowania literackie, nie umiem ci nic powiedzieć o przedstawieniu jak tylko, że Prévan jest rozkoszny i że sztuka padła... Oto wszystko, co wiem. Żał mi było, iż wieczór dobiega końca, gdyż istotnie spłynął mi bardzo miło; aby go przedłużyć, zaprosiłam marszałkową, by zaszła do mnie na kolację: dzięki temu mogłam gościć u siebie mego miłego kawalera. Poprosił jedynie o czas przebiegnięcia do hrabiny de P***, aby się stamtąd wymówić. To nazwisko¹¹⁸ odświeżyło we mnie cały gniew. Zrozumiałam jasno, że rozpoczyna się już zwierzenia; przypomniałam sobie twoje światłe rady i postanowiłam święcie... prowadzić dalej przygodę, pewna, że uda mi się go wyleczyć z niebezpiecznego plotkarstwa.

¹¹⁶Spotkanie naznaczone (...) przy wyjściu z Opery — patrz List LXXIV.

¹¹⁷lancknecht — żołnierz piechoty w XV–XVI w.

¹¹⁸do hrabiny de P*** (...) To nazwisko odświeżyło we mnie cały gniew (...) — patrz List LXX.

Będąc pierwszy raz u mnie w domu, gdzie tego wieczora miałam osób bardzo niewiele, Préván musiał dopełnić obowiązków przepisanych zwyczajem; kiedy zatem siedliśmy do kolacji, pospieszył podać mi rękę. Dopuszczałam się tej złośliwości, iż przyjmując jego rękę, wprawiłam moje ramię w nieznaczne drżenie; również idąc do stołu, miałam oczy spuszczone i oddech wyraźnie przyspieszony. Zachowanie moje znamionowało osobę, która przeczuwa porażkę i drży przed zwycięzcą. Zauważył to doskonale, toteż zdrajca natychmiast zmienił ton i obejście. Przedtem był dworny, teraz stał się natarczywy. Nie w słowach, gdyż rozmowa obracała się z konieczności w tych samych ramach: ale spojrzenie jego stało się bardziej przyćmione i pieszczotliwe, brzmienie głosu nabrało słodyczy; uśmiech, przedtem tak sprytny, teraz wyrażał upojenie. Ilekroć zwracał się do mnie, dowcip jego, tak błyskotliwy w ogólnej rozmowie, ustępował miejsca tkliwej serdeczności. Pytam cię, wicehrabio: i cóż ty sam mógłbyś zrobić więcej?

Co do mnie, stałam się zamyślona, marząca, do tego stopnia, iż musiało to zwrócić powszechną uwagę; gdy zaś zaczęto mnie tym prześladować, z umysłu broniłam się bardzo niezręcznie, rzucając na Prévana krótkie, lecz trwożliwe i zawstydzone spojrzenia.

Po kolacji, skorzystawszy z czasu, gdy pocziwa marszałkowa opowiadała jedną ze swoich nieuniknionych anegdot, siadłam na otomanie w pozie pełnej tkliwego rozmarzenia. Pojmujesz dobrze, że moje trwożliwe spojrzenia nie śmiały szukać ócz zwycięzcy, ale parę zerknięć przekonało mnie wkrótce, że osiągnęłam zamierzone wrażenie. Trzeba było jeszcze upewnić go, że i ja je podzielam: toteż gdy marszałkowa oznajmiła, iż wraca do domu, wykrzyknęłam miękkiem i tkliwym głosem: „Ach Boże! tak mi dobrze było!”. Mimo to podniosłam się z miejsca, ale zanim rozstałam się z marszałkową, zapytałam ją o zamiary na najbliższe dni, aby pod tym pozorem oznajmić o moich i wtargnąć, iż pojutrze wieczór będę w domu. Po czym towarzystwo się rozeszło.

Zaczęłam się zastanawiać. Nie wątpiłam, że Préván zechce skorzystać ze schadzki, jaką mu niejako naznaczyłam; że przyjdzie dość wcześnie, aby mnie zastać samą i przypuści żywy atak: ale byłam również zupełnie pewna na podstawie mej reputacji, że nie będzie się odnosił do mnie zupełnie lekko, tak jak człowiek bodaj trochę wytrawny zachowuje się jedynie wobec awanturnicy lub też zupełnej gąski. Widziałam tedy przed sobą pewne zwycięstwo, jeśli padnie z jego strony słowo *miłość*, a zwłaszcza jeśli pokusi się uzyskać to słowo ode mnie.

Jak to wygodnie mieć do czynienia z wami, *ludźmi zasad*! Czasem zdarzy się, że jakiś nieobliczalny wielbiciel popłata nam szyki nieśmiałością albo też zaskoczy namiętym wybuchem; jest to rodzaj febry, która, jak każda inna, ma swoje dreszcze i gorączki i niekiedy zmienia się w objawy. Ale u was, wasza z góry uplanowana taktyka tak łatwa jest do odczytania! Na dzień naprzód wiadomo, jak wszystko się odbędzie: wejście, wygląd, głos, sposób rozmowy, wszystko przewidziałam najdokładniej. Nie będę ci zatem opisywała naszej konwersacji; odtworzysz ją sobie z łatwością. Uważ tylko, że ja, broniąc się na pozór, pomagałam mu z całej mocy. Wszystko tam było: zakłopotanie, aby mu dać czas mówić; błahe argumenty, aby mógł je zwalczać; obawa i nieufność, aby wywołać zakłęcia; i ten nieustannie wracający refren z jego strony: *pragnę od pani tylko jednego słowa*. Dodaj do tego moje milczenie, jak gdyby wytrzymujące go dłużej jedynie po to, aby spotęgować zapalę: wśród tego ręka ujmowana po sto razy, która sto razy się umyka, a nigdy się nie wzbrania. Można by w ten sposób spędzić cały dzień; my spędziliśmy całą śmiertelną godzinę: bylibyśmy jeszcze może tak trwali, gdyby nie turkot karocy wjeżdżającej na dziedziniec. Ta nieszczęśliwa przeszkoda podsycała oczywiście jeszcze jego nalegania; ja zaś widząc, że nadeszła chwila, w której jestem bezpieczna od zamachu, przygotowałam się długim westchnieniem, wyrzekłam wreszcie owo cenne słowo. Oznajmiono kogoś i wkrótce salon napełnił się gośćmi.

Préván poprosił, aby mógł przyjść nazajutrz rano. Zgodziłam się, ale chcąc zabezpieczyć sobie obronę, kazałam pokojówce zostać przez cały czas wizyty w sypialnym pokoju, skąd wiesz, że widać wszystko, co się dzieje w gotowni, gdzie go przyjmę. Mogąc rozmawiać poufnie, ożywieni oboje jednakim pragnieniem, porozumieliśmy się rychło, ale trzeba się było uwolnić od niepożądanego świadka. Tutaj właśnie czekałam mego Prévana.

Wówczas, kreśląc mu wedle własnej fantazji i potrzeby obraz mego życia domowego, wytłumaczyłam z łatwością, że niepodobieństwem nam będzie znaleźć w tych warunkach

chwilę swobody; że mamy przeciw sobie cały szereg zwyczajów przyjętych w mym domu, które się utarły, ponieważ aż do tego dnia w niczym nie czułam się nimi skrzepowana. Zarazem kładłam nacisk na niepodobieństwo zmieniania czegokolwiek w mym trybie bez obawy zdradzenia się w oczach służby. Próbował przybrać smutną minę, dąsać się, mówić, że go nie kocham; domyślasz się, jak mnie to wzruszało! Ale chcąc zadać cios ostateczny, przywołałam na pomoc łzy. Dosłownie efekt „*Zaire, ty płaczesz!*” z tragedii Woltera. Uczucie tryumfu, a co za tym idzie błysk pewności, iż będzie mnie mógł zgubić wedle ochoty, stanęły kochankowi za całą miłość Oromana¹¹⁹.

Skoro przeszło wrażenie tego efektu, zaczęliśmy się naradzać. W braku wolnej chwili w dniu, zastanawialiśmy się nad nocą: ale tutaj wysunął się mój szwajcar jako niezwykła przeszkoda; nie godziłam się zaś, aby go próbował przekupić. Préván zwrócił uwagę na drzwiczki od ogrodu: i to przewidziałam, i stworzyłam na poczekaniu psa, który, spokojny i rozkoszny w dzień, stawał się w nocy istnym demonem. Łatwość, z jaką wchodziłam w te wszystkie szczegóły, dodawała śmiałości uwodzicielowi; toteż zaproponował mi sposób ze wszystkich najbardziej śmieszny i bezczelny i na ten właśnie się zgodziłam.

Przed wszystkim oznajmił mi, iż służący jego jest równie pewny jak on sam: co do tego nie zwodził mnie, ponieważ istotnie obaj byli jednako pewni. Następnie podał plan taki. Mam wydać proszoną kolację; on będzie na niej i postara się wyjść sam. Zręczny powiernik zawoła jego powóz, otworzy drzwiczki, on zaś zamiast wsiąść do powozu, ukryje się zręcznie. Woźnica nie spostrzeże się na niczym; tak tedy Préván, wyszedłszy w oczach całego zebrania, mimo to zostanie u mnie. Chodzi tylko o to, czy będzie się mógł dostać do mych pokoi. Wyznaję, że prawdziwym kłopotem było mi znaleźć przeciw temu projektowi dosyć zarzutów tak lichych, aby Préván mógł je odeprzeć zwycięsko: odpowiedział przykładami. Wedle jego twierdzenia jest to sposób najzwyczajniejszy w świecie; on sam posługiwał się nim bardzo często; mówił nawet, że to jego ulubiona metoda, jako przedstawiająca najmniej niebezpieczeństw.

Zniewolona tymi nieodpartymi argumentami przyznałam w prostocie ducha, że istnieją w domu ukryte schodki, wychodzące opodal mego buduaru: tam mógłby się zamknąć i poczekać bez wielkich obaw, aż służba zostawi mnie samą. Aby nadać więcej prawdopodobieństwa przyzwoleniu, za chwilę znowu zaczęłam się wzdragać, to znów godziłam się pod warunkiem, iż przysięgnie zupełną uległość, przyrzeknie, że będzie rozsądny... co się zowie *rozsądny!*... słowem, godziłam się dowieść mu mojej miłości, ale nie zadowolić jego chęci.

Zapomniałam ci dodać, że odwrót mego galanta miał się odbyć przez furtkę w ogrodzie: chodziło tylko o to, aby doczekać brzasku: Cerber już ani warknie; żywa dusza nie przechodzi ulicą o tej porze, a służba tonie w najgłębszym śnie. Dziwi cię ten stek niedorzeczności? Zapominasz chyba o naszym wzajemnym położeniu. O cóż chodziło więcej? Jemu było najzupełniej na rękę, aby wszystko wyszło na jaw, ja zaś posiadałam dostateczną pewność, że nie wyjdzie. Schadzka miała się odbyć za dwa dni.

Zauważ, proszę, że sprawa już była jak ubita, a jeszcze nikt nie widział Prévana w moim towarzystwie. Spotykam go na kolacji u znajomych; ofiaruje gospodyni domu łóżę na nową sztukę, ja zaś przyjmuję miejsce w łóży. Zapraszam marszałkową na kolację, podczas przedstawienia i wobec Prévana; nie zaprosić i jego jest prawie niepodobieństwem. On przyjmuje i składa mi w dwa dni później obowiązkową wizytę. Zjawia się, to prawda, nazajutrz rano: ale pomijając to, że ranne wizyty przechodzą dość niepostrzeżenie, ode mnie jedynie zależy, aby znaleźć to postąpienie zbyt swobodnym; w istocie, daję mu uczuć, iż zaliczam go do rzędu dalszych znajomości, zapraszając go listownie na ceremonialną kolację. Mogę powiedzieć zupełnie dobrze jak molierowska Anusia: „*Ależ to wszystko!*”.

Za nadejściem nieszczęsnego dnia, dnia, który miał być grobem mojej cnoty i reputacji, wydałam rozporządzenia wiernej Wiktorii. Wykonała je tak, jak to niebawem zobaczysz.

Nadszedł wieczór. Salon był prawie pełny, kiedy oznajmiono Prévana. Przyjęłam go z wyszukaną grzecznością podkreślającą dostatecznie nasz ceremonialny stosunek i posadziłam do gry przy stole marszałkowej, jako osoby, która wprowadziła go niejako do

¹¹⁹*Zaira, Orosman* — bohaterowie tragedii *Zaire* Voltaire'a z 1732 r.

mnie. Wieczór nie przyniósł nic godnego uwagi prócz maleńkiego bileciku, który dyskretny kochanek zdołał mi wręczyć i który spaliłam wedle zwyczaju. Oznajmiał, iż mogę na niego liczyć; to zasadnicze słowo przybrane było różnymi zbytecznymi, a nieuniknionymi w podobnych okolicznościach słówkami, jak miłość, szczęście, itd.

O północy, skoro partie już się zakończyły, zaproponowałam jeszcze krótkiego *fa-raona*. Miałam podwójny cel: jeden, aby ułatwić wymknięcie się Prévana, drugi zaś, aby zwrócić na niego uwagę, co było nieuniknione, zważywszy jego opinię zapamiętałego gracza. Rada byłam również, że w potrzebie każdy będzie sobie mógł przypomnieć, że nie było mi pilno zostać samej.

Gra przeciągnęła się dłużej niż przypuszczałam. Diabeł mnie kusił: uległam chęcie, aby pójść pocieszyć niecierpliwego więźnia. Już się zbliżałam ku swej zgubie, kiedy przyszło mi na myśl, że skoro raz ulegnę w zupełności, nie będę miała już mocy utrzymać go w nieposzlakowanym stroju, niezbędnym dla ziszczenia mych zamiarów. Miałam się oprzeć się pokusie. Zawróciłam z drogi i nie bez żalu zajęłam na nowo miejsce przy grze ciągnącej się beznadziejnie długo. Skończyła się nareszcie i wszyscy się rozeszli. Zadzwoeniłam na sługi, rozebrałam się bardzo szybko i wyprawiłam je również na spoczynek.

Czy widzisz mnie, wicehrabio, jak w leciutkim stroju, ostrożnym i lęklwym krokiem idę niepewną ręką otworzyć drzwi zwycięzcy? Ujrzał mnie... błyskawica nie jest równie szybka... Cóż ci powiem? Pokonał, pokonał mnie zupełnie, zanim byłabym zdolna wymówić słowo, aby go powstrzymać lub usiłować się bronić. Po tym zwycięstwie Prévan chciał przybrać postawę bardziej dogodną i bardziej zastosowaną do okoliczności. Przeklinał swój strój, który — jak mówił — oddala go ode mnie: chciał walczyć równą bronią. Ale moja nadzwyczajna trwożliwość sprzeciwiła się temu zamiarowi, tkliwe zaś pieszczoty, jakimi go obsypałam, nie zostawiły mu czasu po temu. Niebawem Prévan zajął się innymi sprawami.

Jego prawa do mego serca zdwoiły się, pretensje zaś odżyły na nowo: ale wówczas ja ozwałam się w te słowa: „Nieprawdaż, aż dotąd, miałbyś pan wcale zabawną anegdotkę do opowiedzenia paniom de P*** i publiczności; ciekawa jestem, w jaki sposób opowiesz koniec przygody”. To mówiąc, pociągnęłam ze wszystkich sił za dzwonek. Teraz przyszła na mnie kolej działania, a czyn szybszy był od słów. Zaledwie Prévan zdołał coś wybąkać, już usłyszałam kroki Wiktorii, zwołującej równocześnie moich ludzi, których zatrzymała z mego rozkazu u siebie. Wówczas rzekłam głośno, przybierając ton obrażonej królowej; „Wyjdź pan i nie pokazuj mi się na oczy”. Równocześnie wpadła do pokoju zgraja służby.

Biedny Prévan postradał głowę. Dopatrując się zasadzki w tym, co było w gruncie jedynie żartem, porwał się do szpady. Nie wyszło mu to na dobre: pokojowy, chłopak silny i odważny, chwycił go wpół i powalił na ziemię. Wyznaję, iż miałam chwilę śmiertelnego strachu. Krzyknęłam, aby go wstrzymano, i rozkazałam zostawić śmiałkowi wolne przejście, pilnując jedynie, aby opuścił dom. Usłuchali, ale nie bez szemrania; nie posiadali się z oburzenia, że ktoś śmiał uchybić ich *świętej Pani*. Hurmem odprowadzili do bramy nieśczęsnego kawalera z krzykami i hałasem, jak to było mym życzeniem. Jedna Wiktorii została; zajęłyśmy się przez ten czas doprowadzeniem do porządku łóżka.

Moi ludzie wrócili gromadnie: ja, *cała jeszcze wzruszona*, zapytałam ich, jakim szczęśliwym przypadkiem nie spali jeszcze: Wiktorii opowiedziała, że zaprosiła na kolację dwie przyjaciółki, zabawa przeciągnęła się nieco dłużej, słowem, bajeczkę, którą ułożyłyśmy z góry. Podziękowałam wszystkim i kazałam się oddalić. Równocześnie poleciłam, aby natychmiast posłano po mego lekarza. Zdawało mi się, że byłam w prawie obawiać się następstw *mego śmiertelnego przestřachu*; zarazem był to pewny sposób dania nowinie szybkiego i szerokiego rozgłosu.

Przybiegł w istocie, ubolewał wielce nade mną i zalecił jedynie spokój. Ja, z mej strony, nakazałam jeszcze Wiktorii, aby od wczesnego ranka paplała o zajściu po całym sąsiedztwie.

Wszystko powiodło się tak dobrze, że przed południem jeszcze, zaledwie się obudziłam, nabożna sąsiadka była już u wezglowia mego łóżka, aby dowiedzieć się o całej prawdzie i szczegółach strasnej przygody. Byłam zmuszona przez dobrą godzinę współbiadać nad zepsuciem naszych czasów. W chwilę później otrzymałam od marszałkowej bilecik, który dołączam. Wreszcie przed piątą ujrzałam u siebie, ku swemu wielkiemu zdumieniu, pana de ***. Przybywał, jak oznajmił, przeprosić mnie za to, iż oficer z je-

go pułku mógł mi uchybić w tak niesłychany sposób¹²⁰. Dowiedział się o tym dopiero na obiedzie u marszałkowej i natychmiast posłał Prévanowi rozkaz udania się do więzienia. Zaniósłam moje wstawiennictwo, ale mi odmówił. Wówczas pomyślałam, że jako współwinowajczyni powinnam i ja nałożyć sobie jakąś karę, a przynajmniej zachować ścisły areszt. Nakazałam służbie nie przyjmować nikogo i oznajmiać, że jestem cierpiąca.

Temu osamotnieniu zawdzięczasz ten długi list. Równocześnie mam zamiar przesłać pani de Volanges wiadomość, której pewno nie omieszka odczytać publicznie. Poznasz zatem tę historię w świetle, w jakim należy ją rozgłaszać.

Zapomniałam ci dodać, że Bellerocche jest wściekły i chce koniecznie bić się z Prévanem. Poczciwy chłopak! Na szczęście mam pod dostatkiem czasu, aby ochłodzić mu głowę. Tymczasem spróbuję skłonić moją własną, znużoną nieładzko długim pisaniem. Do widzenia, wicehrabio.

25 września 17**

LIST LXXXVI

Marszałkowa de... do markizy de Merteuil

(Bilet dołączony do poprzedzającego listu)

Mój Boże! Czegoż ja się dowiaduję, droga pani? Czy to możliwe, aby ten chłystek dopuścił się podobnych potworności? W dodatku jeszcze wobec pani! Na co się jest narażoną doprawdy! We własnym domu nie można się czuć bezpieczną! Doprawdy, słysząc o takich rzeczach, trzeba tylko dziękować Bogu, że się jest starą babcią. Ale nie daruję sobie nigdy, że to ja poniekąd wprowadziłam do ciebie niegodziwca. Przysięgam ci, że jeżeli to, co słyszę, jest prawdą, Prévan nie przestąpi więcej mego progu; mam nadzieję, że wszyscy uczciwi ludzie tak samo się z nim obejdą.

Mówiono mi, że ten wypadek bardzo odbił się na twoim zdrowiu, niespokojna jestem. Zechciej, najdroższa, udzielić mi wiadomości; lub, jeśli nie możesz pisać, prześlij słówko. Tylko jedno słówko dla mego spokoju. Byłabym przybiegła od rana, gdyby nie kąpiele, których doktor nie pozwala mi przerywać; popołudniu zaś muszę być w Wersalu, zawsze w tej samej sprawie mego siostrzeńca. Do widzenia, drogie dziecko, bądź pewna na całe życie mojej szczerzej przyjaźni.

Paryż, 25 września 17**

LIST LXXXVII

Markiza de Merteuil do pani de Volanges

Piszę do ciebie z łóżka, dobra, droga przyjaciółko. Wypadek najprzykrzejszy w świecie, a zarazem najniepodobniejszy do przewidzenia, przyprawił mnie o chorobę z przestrachu i alteracji. Nie, abym sobie miała coś do wyrzucenia; ale zawsze przykro jest niezmieranie dla uczciwej i przestrzegającej względów płci swojej kobiety, ściągać na siebie uwagę publiczną. Nie wiem, co byłabym dała, aby uniknąć tego nieszczęsnego wydarzenia; dziś jeszcze nie wiem, czy nie namyśle się wyjechać na wieś, aby przeczekać, aż wszystko pójdzie w niepamięć. Oto co zaszło:

Spotkałam kiedyś u marszałkowej de *** niejakiego pana de Prévan, którego znasz z pewnością z nazwiska i którego ja również znałam tylko w ten sposób. Bądź co bądź, spotkawszy go w tym domu, byłam uprawniona, jak mniemam, przypuszczać, że liczy się do przyzwoitego towarzystwa. Posiada dość ujmującą powierzchowność i — o ile mogę sądzić — nie zbywa mu na sprycie. Przypadek zrządził, iż nie mając ochoty do gry, znalazłam się sama jedna w sąsiedztwie biskupa de *** i tego pana, podczas gdy towarzystwo zajęte było *lancknechtem*¹²¹. Rozmawialiśmy we troje aż do chwili, gdy nas wezwano do stołu. Przy stole rozmowa toczyła się koło nowej sztuki; Prévan skorzystał ze sposobności, aby ofiarować swą lożę marszałkowej, która przyjęła tę grzeczność; stało na tym, że i ja mam mieć miejsce w loży. Chodziło o ostatni poniedziałek, loża zaś była do Komedii. Ponieważ marszałkowa miała wieczerzać u mnie po teatrze, zaproponowałam temu panu, aby jej towarzyszył; tak się też stało. Na trzeci dzień złożył mi wizytę, która odbyła się

¹²⁰ujrzałam u siebie (...) pana de *** (...) — komendant korpusu, w którym służył Prévan.

¹²¹*lancknecht* — tu: hazardowa gra karciana.

wedle przyjętych zwyczajów i bez żadnej nadzwyczajnej oznaki. Następnego dnia znów zjawił się rano, co mi się wydało nieco za swobodne; ale sądziłam, że zamiast mu to okazać chłodnym przyjęciem lepiej mu jakąś grzecznością dać do poznania, że nie jesteś tak zażyły, jak on zdaje się rozumieć. W tym zamiarze posłałam mu tego samego dnia bardzo suche i ceremonialne zaproszenie na kolację, którą dawałam przedwczoraj. Nie odezwał się doń więcej niż cztery razy w ciągu wieczora; on, ze swej strony, zniknął, skoro tylko partia się skończyła. Przyznasz, że jak dotąd nic nie zdawało się zapowiadać romantycznej przygody. Po ukończeniu gry złożono jeszcze wspólnego *faraona*, który przeciągnął się blisko do drugiej, po czym wreszcie znalazłam się w łóżku.

Upłynęło co najmniej dobre pół godziny od czasu, jak moje dziewczęta opuściły sypialnię, kiedy nagle słyszę jakiś szelest. Odchylam firankę z niemałym przerażeniem i widzę mężczyznę, który wchodzi drzwiami prowadzącymi do buduaru. Wydaje przeraźliwy krzyk i poznaję przy świetle nocnej lampki, pana de Prévan, który z trudnym do pojęcia zuchwalstwem mówi, abym się nie lękała, że wyjaśni tajemnicę swego postąpienia i błaga, abym nie czyniła hałasu. Mówiąc to, zapala świecę; byłam tak zdrętwiała, że nie mogłam słowa z siebie wydobyć. Jego spokojne i pewne siebie zachowanie potęgowało tylko moje przerażenie. Ale nie wymówił jeszcze dwóch słów, kiedy poznałam, co to za mniemana tajemnica: jedyną odpowiedzią było, jak możesz sobie wyobrazić, zadzwonić na gwałt na ludzi.

Niesłychanie szczęśliwym wydarzeniem, cała służba była zebrana u Wiktorii i jeszcze nikt nie spał. Panna służąca, która wpadając do mnie, słyszała, że coś mówię z wielkim podnieceniem, przelekła się i zwołała wszystkich. Możesz pomyśleć sobie, co za skandal! Ludzie byli oburzeni; przez chwilę myślałam, że jeden ze służących zabije Prévana. Wyznaję, że na razie byłam zadowolona z tej silnej odsieczki; kiedy dziś się zastanawiam, wołałabym, aby się zjawiła tylko pokojowa: wystarczyłaby zupełnie, a może uniknęłoby się rozgłosu, który mnie tak martwi.

Tymczasem w ten sposób hałas rozbudził sąsiadów, służba wszystko rozgadała, tak że od wczoraj zdarzenie to jest bajką całego Paryża. Pan de Prévan jest w areszcie na rozkaz swego pułkownika, który był na tyle uprzejmy, iż zjawił się, aby, jak mówił, przedłożyć mi swoje przeprosiny. Ten areszt powiększy jeszcze rozgłos sprawy, ale za żadną cenę nie mogłam uzyskać, aby go poniechano. Kto żyw zapisuje się u mych drzwi, które zresztą są szczelnie zamknięte. Od tych kilku osób, które widziałam, wiem, że wszyscy oddają mi sprawiedliwość i że oburzenie na pana de Prévan nie ma wprost granic; zasłużył na nie z pewnością, ale to nie zmniejsza przykrości całego wydarzenia.

Co więcej, ten człowiek posiada z pewnością przyjaciół, a jego przyjaciele to muszą być źli ludzie; kto wie, kto może odgadnąć, co wymyśla, aby mi szkodzić? Mój Boże, jakże nieszczęśliwą istotą jest młoda kobieta! Mało dla niej jeszcze uchronić się od obmowy; trzeba, aby umiała nakazać milczenie nawet i potwarzy.

Donieś mi, proszę, co byłabyś uczyniła wówczas i teraz na moim miejscu; słowem wszystko, co o tym myślisz. Od ciebie zawsze spływały na mnie najmielsze słowa pociechy i najzbawienniejsze rady; od ciebie również najchętniej je przyjmuję.

Do widzenia, droga i dobra przyjaciółko; znasz uczucia, jakie wiążą mnie do ciebie na zawsze, ściskam twoją miłą dziewczynkę.

Paryż, 29 września 17**

Niebezpieczne związki, tom drugi

TOM DRUGI

CZĘŚĆ TRZECIA

LIST LXXXVIII

Cecylia Volanges do wicehrabiego de Valmont

Mimo całej radości, jaką mi sprawiają listy pana kawalera Danceny, i mimo szczerej chęci swobodnego widywania się z nim, nie odważyłam się usłuchać pańskich poleceń. Po pierwsze jest to zbyt niebezpieczne; mama uważa na wszystko, może łatwo się spostrzec, a wówczas byłabym zgubiona na zawsze. A potem, zdawało mi się, że to byłoby bardzo niedobrze; robić sobie tak podwójny klucz, to nie byle co! Prawda, że to pan byłby tak dobry się tym zająć; ale mimo to gdyby się wydało, na mnie spadłby również za to wstyd i wina, skoro pan by go kazał robić dla mnie. Słowem, już dwa razy próbowałam go wziąć i na próżno!

Z pewnością, że to byłoby bardzo łatwe, gdyby o co innego chodziło; ale nie wiem dlaczego, za każdym razem mnie jakaś taka drżączka chwyciła i nigdy nie mogłam zdobyć się na odwagę. Sądzę więc, że chyba lepiej, aby wszystko już zostało tak jak dotąd.

Jeżeli pan będzie tak łaskaw, aby nam zechcieć pomagać jak dotąd, to zawsze przecież znajdzie się jakiś sposób oddania mi listu. Nawet z tym ostatnim, gdyby nie to nieszczęście, że pan się odwrócił nagle w stanowczej chwili, byłoby wszystko poszło całkiem gładko. Ja dobrze rozumiem, że pan nie może tak jak ja myśleć jedynie o tym; ale wolę już mieć więcej cierpliwości i nie narażać się tak bardzo. Jestem pewna, że pan Danceny powiedziałby tak jak ja, bo za każdym razem, kiedy on chciał coś takiego, co mi sprawiało za wiele przykrości, zawsze się zgadzał, żeby tego nie robić.

Oddam panu równocześnie z tym listem pański list, list Danceny'ego i pana klucz. Nie mniej przeto wdzięczną panu jestem serdecznie za pańską dobroć i proszę pana o dalsze względy dla mnie. To prawda, jestem bardzo nieszczęśliwa i gdyby nie pan, byłoby jeszcze gorzej; ale, bądź co bądź, to jest zawsze moja matka; trzeba więc znosić niejedno cierpliwie. I byleby pan Danceny kochał mnie zawsze, a pan mnie nie opuścił, może nadejdzie przecież jakiś czas szczęśliwszy.

Mam zaszczyt być, z głęboką dla pana wdzięcznością, pańską uniozoną i powolną¹²² służką.

20 września 17**

LIST LXXXIX

Wicehrabia de Valmont do kawalera Danceny

Jeżeli twoje sprawy, mój drogi, nie idą zawsze tak szybko, jak byś tego pragnął, to nie do mnie powinienes mieć o to pretensję. Mam tu niejedną przeszkodę do przewalczenia. Czujność i surowość pani de Volanges, to jeszcze nie wszystko; twoja młoda przyjaciółka również nastrocza mi niemało kłopotu. Czy nie chce, czy też się boi, ale nie zawsze robi to, co jej radzę, a przecież, zdaje mi się, lepiej chyba od niej wiem, co czynić należy.

Znalazłem sposób prosty, dogodny i pewny doręczania jej twoich listów, a nawet ułatwienia w przyszłości widywać się, których tyle pragniesz; otóż nie mogłem jej nakłonić do tego sposobu. Jestem tym więcej zmartwiony, że w istocie nie widzę innego środka, aby cię zbliżyć do niej, a nawet, tak jak dziś rzeczy stoją, nieustannie lękam się, że możemy się zdradzić. Domyślasz się łatwo, że nie mam ochoty ani sam się narażać, ani też wystawiać na to was oboje.

Byłoby mi doprawdy bardzo przykro, gdyby brak ufności ze strony twej młodej przyjaciółki miał udaremnić usługi, z jakimi się ofiarowałem; może byłoby dobrze, gdybyś napisał jej coś o tym. Zastanów się, jak chcesz uczynić, do ciebie należy sądzić o tym: bowiem to nie jest jeszcze dosyć służyć swoim przyjaciołom, trzebaż jeszcze służyć im wedle ich myśli! To byłby może zarazem sposób upewnienia się o jej uczuciach dla ciebie; bowiem kobieta, która zachowuje własną wolę, nie kocha z pewnością tyle, ile o tym powiada.

To nie znaczy, abym posądzal twoją ukochaną o niestałość: ale to jeszcze bardzo młode stworzenie; boi się bardzo mamy, która, jak wiesz, czyni co może, aby ci zaszkodzić;

¹²²*powolny* (daw.) — tu: posłuszny, podporządkowany czyjejś woli.

kto wie zatem, czy byłoby bezpiecznie zostawić panienkę zbyt długo bez przypomnienia o sobie. Proszę cię jednak, abys się nie niepokoił nad miarę tym wszystkim, co ci tu mówię. W gruncie rzeczy nie mam żadnego powodu do nieufności; jest to jedynie może nadmierna troskliwość przyjaźni.

Nie rozpisuję się dłużej, bo jeszcze mam parę swoich spraw do załatwienia. Co do mnie, to jestem w mniej pomyślnym położeniu od ciebie, ale kocham pewno nie mniej, a to jest zawsze pociecha. Gdyby nawet sprawy nie poszły po mojej myśli w tym, co mnie dotyczy, powiem, iż dobrze strawiłem mój czas, jeżeli tylko potrafię stać się tobie użytecznym. Do widzenia, mój drogi.

Z zamku*** 26 września 17**

LIST XC

Prezydentowa de Tourvel do wicehrabiego de Valmont

Pragnęłabym bardzo, aby ten list nie sprawił panu przykrości lub jeżeli tego nie da się uniknąć, aby przynajmniej mogła ją złagodzić świadomość, iż szczerze ją dzielam. Powinien mnie pan teraz znać na tyle, aby być pewnym, że nie mam bynajmniej chęci dotknąć pana; ale i pan także z pewnością również nie chciałby mnie pogrążyć w wiekuistej rozpacz. Zaklinam pana zatem w imię tkliwej przyjaźni, jaką panu przyrzekłam, w imię nawet tych uczuć może żywszych, ale z pewnością nie bardziej szczerych, jakie pan masz dla mnie, nie widujemy się już więcej, niech pan odjedzie; zaś aż do tego czasu unikajmy zwłaszcza tych rozmów ustronnych i nazbyt niebezpiecznych, w których ja, mocą jakiejś niewytłumaczonej siły, nigdy nie zdołam panu powiedzieć tego, co postanowiłam, ale, przeciwnie, słucham jeno tego, czego bym słuchać nie powinna.

Wczoraj jeszcze, kiedy pan spotkał się ze mną w parku, jedynym moim zamiarem było powiedzieć panu to, co dziś piszę w tym liście; i mimo to cóż uczyniłam? Zajmowałam się jedynie pańską miłością... pańską miłością, której nigdy nie będzie wolno mi podzielić! Och, przez litość, oddał się pan ode mnie!

Niech się pan nie lęka, aby oddalenie miało kiedykolwiek zmienić moje uczucia dla pana: jakże zdołałabym je zwyciężyć, kiedy już walczyć z nimi nie mam siły? Widzi pan, mówię panu wszystko; mniej się obawiam wyznać moją słabość niż jej ulec: ale straciwszy władzę nad uczuciami, chcę przynajmniej zachować nad moim postępowaniem; tak, i zachowam ją, poprzysięgłam to sobie, chociażby za cenę życia.

Ach, jakże niedalekim jest czas, w którym czułam się tak pewną, iż nigdy nie przyjdzie mi staczać podobnych walk ze sobą? Byłam z tego szczęśliwa; może czułam się tym nazbyt dumna. Niebo ukarało, okrutnie ukarało tę pychę: ale pełne miłosierdzia nawet w chwili, w której cios zadaje, ostrzegło mnie jeszcze przed upadkiem; byłabym też podwójnie występna, gdybym dalej brnęła w nierozwagę, zyskawszy już świadomość, iż zbywa mi na sile.

Mówił mi pan po sto razy, że nie chciałbyś szczęścia okupionego moimi łzami. Ach, nie mówmy już o szczęściu, ale pozwól mi odzyskać nieco spokoju.

Przychylając się do tej prośby, jakież nowe prawa zdobędziesz sobie w moim sercu! A tych już nie będę potrzebowała zwalczać, ponieważ źródłem ich będzie cnota. Jakież lubować się będę mą wdzięcznością! Będę panu winna słodycz napawania się bez wyrzutów uczuciem pełnym rozkoszy. Teraz, przeciwnie, przerażona mymi uczuciami, moim stanem, lękam się samej myśli o panu; kiedy nie mogę jej uciec, walczę z nią; nie zdołam jej oddalić, ale ją odpycham.

Czyż nie byłoby lepiej dla nas obojga zakończyć to udręczenie? O ty, którego dusza tak wrażliwa, nawet wśród błędów zachowała szacunek dla cnoty, ty będziesz miał wzgląd na moją niedolę, ty nie odrzucisz mej prośby. Węzeł spokojniejszy może, ale nie mniej tkliwy, zajmie miejsce tych gwałtownych wzruszeń; wówczas ja, oddychając spokojniej dzięki twej dobroci, będę się cieszyła własnym istnieniem, będę sobie mówiła w radości serca: tę słodycz, jakiej doznaję, winna jestem memu przyjacielowi.

Czyniąc mi te drobne ustępstwa, których panu nie narzucam, ale o które proszę, czy sądzisz, iż oplacasz zbyt drogo koniec mych udręczeń? Ach, gdyby pańskie szczęście trzeba było okupić jeno moim nieszczęściem, może mi pan wierzyć, iż nie wahałabym się ani przez chwilę... Ale stać się występna!... ach nie, nie, raczej umrzeć tysiąc razy!

Dziś już nękana wstydem, zanim stanę się pastwą wyrzutów sumienia, lękam się i innych i lękam się samej siebie; rumienię się w towarzystwie ludzi i drzę w samotności; życie moje jest jedną męczarnią. Spokój mogę osiągnąć jedynie za twoją łaską. Oto twoja przyjaciółka, istota, którą kochasz, pokorna i zawstydzona, żebrze u ciebie spokoju i niewinności. Ach, Boże! Gdyby nie pan, czyż byłaby kiedykolwiek doprowadzona do tej poniżającej prośby? Nie robię panu żadnego wyrzutu: nazbyt czuję sama po sobie, jak trudno jest oprzeć się przemożnemu uczuciu. Skarga wszak nie jest szemraniem. Uczyni przez szlachetność to, co ja czynię z obowiązku, a do wszystkich uczuć, jakimi mnie natchnąłeś, dołączę uczucie wieczystej wdzięczności. Żegnam, żegnam pana.

27 września 17**

LIST XCI

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel

Oszolomiony twoim listem, nie wiem jeszcze, pani, jak zdołam ci odpowiedzieć. Bez wątpienia, jeżeli trzeba wybierać między twoim nieszczęściem a moim, do mnie należy poświęcić się i nie waham się w tym względzie: jednakże rzeczy tej wagi zasługują chyba, aby je rozważyć i wyjaśnić, a jakżeż to osiągnąć, jeżeli nie mamy już mówić ani widzieć się z sobą?

Jak to! Wówczas gdy uczucia najsłodsze nas łączą, błaha obawa miałaby wystarczyć, aby nas rozdzielić, być może bez powrotu? Na próżno tkliwa przyjaźń, płomienna miłość upominać się będą o swoje prawa; głos ich brzmieć będzie nadaremno; i dlaczego? Gdzież jest to gwałtowne niebezpieczeństwo, które ci zagraża?

Pozwól mi pani powiedzieć, iż poznaję tu ślad niekorzystnych dla mnie sądów i podszeptów. Nie ma się takiego lęku w pobliżu człowieka, którego się szanuje; nie oddała się tego, kogo się uznało godnym odrobiny przyjaźni; w ten sposób drzeć i uciekać można jedynie przed człowiekiem niebezpiecznym.

A przecież byłże kto kiedy bardziej pełnym szacunku i bardziej uległym ode mnie? Oto widzisz to, pani, panuję nawet nad sposobem wypowiedzenia; nie pozwalałam już sobie na te imiona tak słodkie, tak drogie memu sercu, którymi ono w skrytości nie przestaje cię obdarzać. To już nie kochanek nieszczęsny a wierny przyjmuje wskazówki i pocieszenia od przyjaciółki współczującej i tkliwej: to oskarżony przed swoim sędzią niewolnik przed swoim panem! Te nowe tytuły wkładają oczywiście nowe obowiązki; gotów jestem dopełnić wszystkich. Wysłuchaj mnie; jeżeli mnie potępisz, poddaję się wyrokowi i odjeżdżam. Przrzekam więcej; czy wolisz ten despotyzm, który sędzi bez wysłuchania? Czy czujesz w sobie odwagę takiej niesprawiedliwości? Rozkazuj: także posłucham.

Ale ten wyrok, ten rozkaz, niechaj usłyszę go z twoich ust. „Dlaczego?” — możesz mnie z kolei zapytać. Ach, jeśliś zdolna zadać to pytanie, jakże mało znasz i miłość, i moje serce! Czyż to jest niczym chcieć widzieć cię jeszcze choćby raz ostatni? Kiedy ty wyrokiem swoim pograżasz duszę moją w rozpacz, jedno litościwe spojrzenie z twojej strony wystarczy może, by nie dać mi ugiąć się pod nią. Wreszcie, jeżeli mi trzeba wyrzec się miłości, przyjaźni, dla których jedynie istnieję, chcę byś przynajmniej ujrzała swoje dzieło: zostanie mi twoja litość. Wszak ją opłacam dość drogo, aby na nią zasłużyć.

A zatem pragniesz oddalić mnie od siebie! Godzisz się, abyśmy się stali wzajem obcy sobie! Co mówię? Pragniesz tego; zapewniając, iż nieobecność moja nie osłabi twych uczuć, równocześnie nalegasz na mój odjazd, aby tym łatwiej pracować nad ich zniszczeniem.

Zapominam się: wybacz mi, pani. Przebacz ten wyraz boleści, jaką zbudziłaś w moim sercu: nie zmieni ona w niczym mojego bezwzględного poddania się twojej woli. Ale zaklinam cię ja z kolei, w imię tych uczuć tak słodkich, do których ty sama się odwołujesz, nie odmawiaj wysłuchania mnie i przez litość bodaj dla śmiertelnych mąk, jakie cierpię przez ciebie, nie odwracaj zbyt długo chwili. Żegnam cię, pani.

27 września 17** wieczorem

LIST XCII

Kawaler Danceny do wicehrabiego de Valmont

O mój przyjacielu! List twój ściał mi krew z przerażenia. Cecylia... O, Boże! Czy to jest możebne? Cecylia mnie już nie kocha! Tak, widzę tę okropną prawdę poprzez zaslonę, którą twoja przyjaźń ją okrywa. Chciałeś mnie przygotować na przyjęcie tego śmiertelnego ciosu; dziękuję ci za twoje względy; ale czyż można okłamać serce kochanka? Mów do mnie więc bez osłonek, możesz i proszę cię o to. Odsłoń mi wszystko: to, co zbudziło twoje podejrzenia i to, co je potwierdziło. Zależy mi na najdrobniejszych szczegółach. Staraj się przede wszystkim przypomnieć sobie jej słowa. Jedno słowo powtórzone niedokładnie może zmienić całe zdanie; jedno i to samo ma niekiedy dwojakie znaczenie... Mogłeś się omylić: niestety, jeszcze próbuję się łudzić! Co ci powiedziała? Czy czyniła mi jakie zarzuty? czy nie tłumaczy się bodaj ze swojej winy? Powinienem był domysleć się tej zmiany z trudności, jakich ona od pewnego czasu dopatruje się we wszystkim. Miłość nie zna tylu przeszkód.

Co ja mam teraz zrobić? Co mi radzisz? Gdybym spróbował się z nią widzieć? Czyż to jest zupełnie niemożliwe? Rozłączenie to jest rzecz tak straszna, tak okrutna... i ona odrzuciła środek zobaczenia mnie! Nie mówisz mi, co to był za środek; jeżeli był w istocie zbyt niebezpieczny, ona wie dobrze, że nie chcę, aby się zbyt narażała. Ale znam również twoją przezorność i, na moje nieszczęście, nie mogę o niej wątpić.

Co teraz zrobić? Jak pisać do niej? Jeżeli jej dam uczuć moje podejrzenia, zrobię jej może przykrość: zaś nie zniósłbym myśli, iż jestem powodem jej zmartwienia. Ukrywać je znowu przed nią, to znaczyłoby oszukiwać ją, a ja nie umiem być z nią nieszczerzy.

Och, gdyby mogła wiedzieć, co ja cierpię, wzruszyłaby się moją niedolą. Znam jej tkliwość, jej serce, mam tysiąc dowodów jej przywiązania. Może to tylko zbytek nieśmiałości, trwożliwości: jest tak młoda! matka obchodzi się z nią tak surowo! Napiszę do niej, będę panował nad sobą, poproszę ją tylko, aby się najzupełniej zdała na ciebie. Gdyby odmówiła nawet, nie będzie mogła w każdym razie pogńiewać się o moją prośbę, a może się zgodzi.

Ciebie, drogi przyjacielu, przepraszam po tysiąc razy i za nią, i za siebie. Upewniam cię, że ona czuje wartość twego poświęcenia, że ma za nią pełną wdzięczność. To nie jest nieufność, to tylko nieśmiałość. Bądź pobłażliwy: to najpiękniejsze zadanie przyjaźni. Do widzenia; napiszę do niej natychmiast.

Czuję, że wszystkie moje obawy opadają mnie na nowo; czyż mogłem kiedy przypuszczać, że tyle mnie kosztować będzie pisać do niej! Ach, wczoraj jeszcze było to moją najśłodsza rozkosz!

Do widzenia, mój przyjacielu, nie wypuszczaj mnie z twojej opieki i użal się nade mną.

Paryż, 7 września 17**

LIST XCIII

Kawaler Danceny do Cecylii Volanges
(dołączony do poprzedzającego)

Nie umiem ukryć przed tobą, do jakiego stopnia zmartwiłem się, dowiadując się od Valmonta o twoim braku zaufania do niego. Wiesz chyba, że jest moim przyjacielem, że jest jedynym człowiekiem, który może nas zbliżyć do siebie: mniemałem, że te pobudki wystarczą; widzę z przykrością, że się omyliłem. Czy mogę mieć nadzieję, abyś przynajmniej zechciała wyjaśnić mi swoje przyczyny? Czy i w tym zajądą może jakie nowe trudności? Nie zdołam odgadnąć bez twojej pomocy tajemnicy tego postępowania. Nie śmiem podejrzewać twojej miłości dla mnie... Ach! Cecylia!...

Więc to prawda, że odrzuciłaś sposób zobaczenia mnie! Sposób *prosty, łatwy i pewny*¹²³? I to się nazywa, że mnie kochasz! To krótkie rozłączenie snadź¹²⁴ bardzo zdołało wpłynąć na twoje uczucia!

Ale po cóż mnie zwodzić? Po cóż mówić, że kochasz zawsze, że kochasz więcej jeszcze? Matka, niwecząc twą miłość, czyż zniweczyła zarazem i twoją prostotę?

¹²³odrzuciłaś sposób (...) *prosty, łatwy i pewny* — Danceny nie wie, co to za sposób; powtarza jedynie wyrażenie Valmonta.

¹²⁴snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

Powiedz mi więc, czy twoje serce zamknięte już dla mnie bez powrotu? Czy zupełnie o mnie zapomniałaś? Dzięki twej odmowie, nie wiem, ani kiedy otrzymasz moje skargi, ani kiedy na nie odpowiesz. Odpowiedz mi przecież, czy to prawda, że mnie już nie kochasz? Nie, to być nie może, ty ludzisz się tylko, spotwarzasz własne serce! Przemijająca obawa, chwila zniechęcenia, którą miłość zdołała już rozproszyć, nieprawdaż, Cesium moja? Ach, tak, z pewnością, zawiniłem, iż śmiałem się oskarżać. Jakież szczęśliwy byłbym, gdybym się mylił! Jakżeżbym pragnął obsypywać cię najczulszymi przeprosinami, naprawić tę chwilę krzywdy wiekuiłą miłością! Cesium, Cesium, miej litość nade mną! Zgódź się na widzenie się nasze, zgódź się na wszystkie środki! Widzisz oto, jakie są skutki rozłączenia! Obawy, podejrzenia, może chłód! Jedno spojrzenie, jedno słowo i będziemy szczęśliwi. Ale cóż! Czyliż wolno mi jeszcze mówić o szczęściu? Kto wie, może ono już stracone dla mnie, stracone na zawsze. Dręczony obawą, boleśnie szarpiący się pomiędzy niesprawiedliwym podejrzeniem a okrutną rzeczywistością, nie mogę znaleźć oparcia w żadnej myśli; zostało mi z mego istnienia tylko tyle, abym mógł cierpieć i kochać ciebie. Ach, Cecylia, ty jedna masz władzę pogodzić mnie znów z życiem; jedno twoje słowo stanie się dla mnie hasłem szczęścia albo też wróżbą wiekuiestęj rozpacz.

Paryż, 27 września 17**

LIST XCIV

Cecylia Volanges do kawalera Danceny

Nie rozumiem nic z pana listu prócz tego, że zrobił mi wielką przykrość. Co panu takiego doniósł pan de Valmont i co mogło panu nasunąć przypuszczenie, że ja już pana nie kocham? To byłoby może bardzo szczęśliwe dla mnie, bo z pewnością mniej bym się wtedy dręczyła, i ciężko jest, doprawdy, kochając pana tak, jak ja kocham, widzieć, że pan ma tylko żal do mnie, że zamiast żeby mnie pan pocieszył, od pana właśnie spadają na mnie najcięższe przykrości! Myśli pan, że ja pana okłamuję i że panu mówię to, co nie jest! Ładne ma pan doprawdy wyobrażenie o mnie! Ale gdybym była taką kłamczynią, jak pan mi to wymawia, to i cóż bym tutaj miała za przyczyny kłamać? Z pewnością, że gdybym pana nie kochała, to potrzebowałabym tylko powiedzieć i wszyscy chwaliliby mnie jeszcze za to; ale, na nieszczęście, to jest nad moje siły: i to wszystko muszę znosić dla kogoś, kto tego zupełnie nie ocenia.

Ale cóżem ja takiego zrobiła, żeby się tak gniewać na mnie? Nie odważyłam się wziąć klucza, bo się bałam, żeby się mama nie spostrzegła i żeby z tego znowu nie miała przykrości i pan także za mnie, a potem jeszcze dlatego, bo mi się wydawało, że to nie jest dobrze. Ale to dopiero pan de Valmont mówił mi o tym; nie mogłam wiedzieć, czy pan sobie tego życzy czy nie, skoro pan przecież nic nie wiedział. Teraz, kiedy wiem, że pan tego pragnie, czyż ja się zarzekam, że nie wezmę tego klucza? Wezmę go zaraz jutro, a potem zobaczymy, o co pan jeszcze będzie mi robił wymówki.

Pan de Valmont może być sobie pana przyjacielem, ale zdaje mi się, że ja pana co najmniej tyle kocham co on, a mimo to on zawsze ma rację u pana, a ja nigdy. To, to mi jest bardzo przykro. Panu to wszystko jedno, bo pan wie, że ja się dam zaraz ułagodzić, ale teraz, kiedy będę miała klucz i będę pana mogła widywać, kiedy zechcę, zaręczam panu, że nie będę chciała, jeżeli pan będzie postępował w ten sposób. Może pan być pewny, że gdybym była swoją panią, nigdy by pan nie miał powodu uskarżać się na mnie, ale jeżeli pan mi nie będzie wierzył, będziemy zawsze bardzo nieszczęśliwi i to nie będzie moja wina.

Gdybym była mogła to przewidzieć, byłabym wzięła ten klucz od razu, ale, doprawdy, myślałam, że dobrze robię. Niechże się pan na mnie już nie gniewa, proszę pana o to. Proszę już nie być smutnym i kochać mnie tak, jak ja pana kocham, wtedy będę bardzo rada. Do widzenia, mój drogi panie.

Z zamku***, 28 września 17**

LIST XCV

Cecylia Volanges do wicehrabiego de Valmont

Proszę pana, aby pan zechciał być tak dobrym i dać mi z powrotem ten klucz, który mi pan wtedy przysłał. Skoro wszyscy sobie tego życzą, muszę się wreszcie i ja na to zgodzić.

Nie wiem, dlaczego pan doniósł panu Danceny, że ja go już nie kocham? Nie rozumiem doprawdy, z czego pan mógł to wywnioskować, a to zrobiło wielką przykrość nam obojgu. Wiem dobrze, że pan jest jego przyjacielem, ale to nie powód, żeby go martwić, i mnie także. Będę panu bardzo obowiązana, jeżeli mu pan napisze za najbliższym razem, że jest całkiem przeciwnie i że pan jest tego pewny, bo on do pana ma największe zaufanie, a ja, kiedy coś mówię, a ktoś temu nie wierzy, to już nie wiem, co mam robić.

Co się tyczy klucza, to może pan być zupełnie spokojny, zapamiętałam dobrze wszystko, co mi pan zalecił. Gdyby mi go pan mógł dać jutro, idąc do obiadu, doręczyłabym panu tamten klucz pojutrze rano przy śniadaniu, a pan by mi go oddał w ten sam sposób, co pierwszy.

Później, kiedy już pan będzie miał ten klucz, zechce pan być tak dobry posługiwać się nim także, aby odbierać moje listy: w ten sposób p. Danceny będzie mógł mieć częściej wiadomość ode mnie. To prawda, że to będzie o wiele wygodniej niż teraz, ale z początku mnie to bardzo przestraszyło: proszę pana, niech mi pan to wybaczy. Mam nadzieję, że pan nie przestanie mimo to być tak dobry i uczynny dla nas jak poprzednio. Będę również za to panu niezmiernie wdzięczna.

Mam zaszczyt pozostać pańską bardzo uniżoną i bardzo powolną¹²⁵ służą.

28 września 17**

LIST XCVI

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Założę się, markizo, że od czasu twojej przygody oczekujesz każdego dnia moich powinszowań i komplementów; nie wątpię nawet, iż musisz się nawet czuć nieco urażona moim długim milczeniem; ale cóż chcesz? Zawsze byłem zdania, że gdy kobieta zasługuje tylko na same pochwały, można się już pod tym względem spuścić na nią i zająć się czym innym. Mimo to dziękuję ci, markizo, za siebie, a winszuję za ciebie. Chętnie nawet, aby już dopełnić miary twego ukontentowania, przyznam, że tym razem przesłaś wszelkie moje oczekiwanie. A teraz, zobaczmy, czy z mej strony ja bodaj w części odpowiedziałem twojemu.

Nie o pani de Tourvel mam zamiar ci dziś mówić: nazbyt powolny bieg tej miłości drażni cię, markizo; ty lubisz tylko sprawy ubite. Te scenki nizane powoli, jedna za drugą, nudzą cię, a ja, przeciwnie, nigdy nie zaznałem tylu rozkoszy, ile ich czerpię w tej pozornej opieszałości.

Tak jest, lubię przyglądać się tej świętej kobiecie, jak się zapuszcza, sama nie wiedząc o tym, na ścieżkę, z której już nie ma powrotu; której spadek, szybki i niebezpieczny, pociągają ją mimo jej woli i każe jej podążać tam, gdzie ja zechcę. Wówczas przerażona niebezpieczeństwem, jakie nad nią wisi, chciałaby się cofnąć i nie ma siły po temu. Wszystkie jej wysiłki i starania mogą zaledwie zwolnić nieco jej kroki; zatrzymać ich nie mają mocy. Niekiedy, nie śmiejąc spojrzeć w twarz niebezpieczeństwu, zamyka oczy i, na wpół bezwładna, u mnie próbuje szukać opieki i schronienia. Częściej jeszcze nowy lęk ożywia jej wysiłki: w śmiertelnym przestrachu chciałaby jeszcze nawrócić wstecz, wyczerpuje siły, aby z największym trudem przebyć nieznaczną przestrzeń i wkrótce magiczna siła sprowadza ją bliżej jeszcze niebezpieczeństwa, przed którym chciała uciekać. Wówczas, mając przy sobie mnie za jedynego przewodnika i podporę, nie próbując mi już czynić wyrzutów za swój nieunikniony upadek, żebrze u mnie bodaj zwłoki. Żarliwe modły, prośby, nieśmiałe błagania, jakie śmiertelni w momentach trwogi ofiarują bóstwu, to wszystko ja otrzymuję od niej: i ty chcesz, abym głuchy na jej zaklęcia i niszcząc sam kult, jaki mi oddaje, użył na jej pograżenie tej potęgi, od której ona oczekuje ratunku? Och, zostaw mi przynajmniej czas, abym się napatrzył tym wspaniałym zapasom pomiędzy miłością a cnotą.

Jak to! To samo widowisko, które każe ci pędzić z całą skwapliwością do teatru, które tam okłaskujesz z takim zapałem, czyż mniemasz, że mniej przykuwa naszą uwagę w rzeczywistości? Uczucia duszy czystej i tkliwej, która lęka się tak upragnionego szczęścia i nie

¹²⁵powolny (daw.) — tu: posłuszny; podporządkowany czyjejs woli.

przestaje się bronić nawet wówczas, kiedy przestaje się opierać, te uczucia śledzisz na scenie z całym napięciem: czyżby miały nie mieć wartości tylko dla tego, z kogo wzięły swój początek? A to właśnie rozkosze, jakich ta niebiańska kobieta dostarcza mi codziennie i ty mi wyrzucasz, że ja napawam się ich słodyczą! Och, wszak nazbyt szybko nadejdzie ten czas, w którym ona, strącona ze swego piedestału, stanie się dla mnie jedynie zwyczajną kobietą.

Ale zapominam, mówiąc ci o niej, że nie chciałem ci o niej mówić. Nie wiem, co za potęgą przywiązuje mnie do myśli o niej, chociażby po to, aby uragać jej w tych myślach. Trzeba uprzątnąć ten niebezpieczny przedmiot z mej pamięci; niechaj znów stanę się samym sobą, aby pomówić o weselszym temacie. Chodzi o twoją pupilkę, która teraz stała się i moją; mam nadzieję, że tutaj poznasz moją rękę.

Od kilku dni lepiej traktowany przez moją świętoszkę i co za tym idzie, mniej nią pochłonięty, zauważyłem, że mała Volanges jest istotnie bardzo ładna i że jeżeli głupstwem jest kochać się w niej tak, jak to robi Danceny, nie mniejszym może byłoby z mej strony nie poszukać u niej rozrywki, która w moim zamknięciu tutaj była mi dość potrzebna. Ładna twarzyczka młodej osóбки, jej usteczka tak świeże, dziecinna minka, jej niezręczność nawet, wszystko to umocniło moje roztropne rozważania; postanowiłem zatem rozwinąć odpowiednie działanie po temu, a powodzenie uwieńczyło podjęte zamiary.

Już starasz się odgadnąć, jakimi środkami odsadziłem tak prędko ubóstwianego kochanka, jakie sztuczki uwodzicielskie okazały się najwłaściwsze dla jej wieku i naiwności. Oszczędź sobie trudu, markizo: nie użyłem w ogóle żadnej. Podczas gdy ty, władając tak szczęśliwie orężem twojej płci, zwyciężyłaś przebiegłością, ja, przywracając mężczyźnie jego nigdy nieprzedawnione prawa, ujarzmiłem powagą władzy. Pewny ujęcia mej ofiary, jeśli tylko zdołam ją osiągnąć, potrzebowałem podstępu jedynie po to, aby się do niej przybliżyć; a nawet ten, którego użyłem, zaledwie że zasługuje na nazwę podstępu.

Młoda istotka zamieszkuje pokój, którego drzwi wychodzą na korytarz, ale, jak możesz się domyśleć, matka zagarnęła klucz w swoje ręce. Chodziło tylko, aby nim zawładnąć. Nic łatwiejszego do wykonania: dostać ów klucz do rąk na dwie godziny, a byłem pewny, że będę mógł mieć zupełnie podobny. Wówczas korespondencja, rozmowy, schadzki nocne wszystko stawało się pewnym i dogodnym: ale czy uwierzyłabyś? Trwożliwe dzieciątko ułękło się i odmówiło. Inny na moim miejscu opuściłby ręce; ja dostrzegłem w tym tylko sposobność zaostrzenia jeszcze przyjemności. Napisałem do Danceny'ego ze skargą na tę odmowę i sprawiłem się tak dobrze, że nasz zapaleniec nie spoczął, dopóki nie uzyskał, nie wymusił nawet na swej trwożliwej kochance, aby zgodziła się na moje żądanie i wydała mi się całkowicie w ręce.

Bardzo byłem rad, wyznając, z owej zamiany ról, dzięki której ten młody człowiek uczynił dla mnie to, co spodziewał się, iż ja uczynię dla niego. Ta myśl zdwoiła w moich oczach wartość całej przygody, toteż skoro tylko stałem się posiadaczem cennego klucza, pospieszyłem bezzwłocznie zrobić z niego użytek: było to ubiegłej nocy.

Upewniwszy się, że spokój panuje w całym zamku, uzbrojony w ślepą latarkę i w stroju usprawiedliwionym spóźnioną porą, a dostosowanym do okoliczności, oddałem pierwszą wizytę twojej wychowance. Wszystko było przygotowane (i to przez nią samą), aby ułatwić mi wejście bez hałasu. Mała spoczywała pogrążona w pierwszym śnie, i to tak głębokim, iż mogłem przybliżyć się aż do samego łóżka, nie obudziwszy jej. Miałem zrazu pokusę posunąć się dalej i odegrać rolę sennego widziadła, ale obawiając się, aby przestraszona nagle nie uczyniła hałasu, wołałem ostrożnie obudzić miluchnego śpioszka.

Uśmierzyłem jej pierwsze obawy; ponieważ zaś nie przybyłem tam w celu bawienia się rozmową, przeszedłem natychmiast w pozycję z lekka zaczepną. To pewna, że nie dość dobrze wytłumaczono jej w klasztorze, na ile różnych niebezpieczeństw narażona jest trwożliwa niewinność i czego wszystkiego trzeba jej strzec, aby nie zostać schwytaną w zasadzkę; bowiem skupiając całą uwagę i wszystkie siły na obronę przed pocałunkiem, który był jeno fałszywym atakiem, całą resztę pozostawiła bez żadnej opieki: i jakżeż było z tego nie korzystać? Zmieniłem tedy marszrutę i w jednej chwili opanowałem placówkę. Przez chwilę myślałem już, że będziemy zgubieni oboje, gdyż dziewczynka, cała oburzona, chciała naprawdę krzyczeć; na szczęście, głos jej załamał się w płaczu. Rzuciła się również do taśmy od dzwonka, ale udało mi się w porę zatrzymać jej ramię.

„Co ty robisz, dziewczyno — rzekłem jej wówczas — chcesz zgubić się na zawsze? Niech przyjdą, i cóż mnie to szkodzi? Kogo zdołasz przekonać, że nie jestem tutaj za twoim przyzwoleniem? Któż inny, jak nie ty, mógł mi dostarczyć środków dostania się tutaj? A ten klucz, który mam od ciebie, który mogłem mieć od ciebie tylko? Czy podejmujesz się wytłumaczyć jego przeznaczenie?” Ta krótka przemowa nie uśmierzyła jej bólesci ani gniewu, ale sprowadziła przynajmniej uległość.

Mała, cała pogrążona w rozpacz, czuła przecież, że trzeba pogodzić się z położeniem i wdać się w układy. Ponieważ prośby nie miały na mnie żadnego wpływu, należało przejść do ofiar. Mniemasz, iż bardzo drogo sprzedałem to ważne stanowisko? Gdzież tam! Zobowiązałem się do wszystkiego za jeden pocałunek. To prawda, że uszczknąwszy ten pocałunek, nie dotrzymałem obietnicy, ale miałem powody po temu. Czyśmy się umówili, że ja ją mam pocałować, czy ona mnie? Targ w targ, zgodziliśmy się na drugi, w którym już ona była zobowiązana do współudziału. Wówczas, owinąwszy jej trwożliwe ramiona naokoło siebie i przyciskając ją moim najbardziej miłościwie, sprawilem, iż słodki pocałunek w istocie został przyjęty i to dobrze, szczerze przyjęty, tak, że Miłość sama nie umiałaby zrobić lepiej.

Tyle ufności zasługiwało na nagrodę, toteż spełniłem natychmiast żądanie. Ręka została usunięta, ale, nie wiem jakim przypadkiem, ja sam znalazłem się na jej miejscu. Wyobrażasz sobie, iż teraz rozwinąłem już cały pośpiech i energię, nieprawdaż? Wcale nie. Powtarzam ci, markizo, że nabrałem upodobania w tych powolnych etapach. Skoro raz się jest pewnym przybycia do celu, i po cóż tak naglić z podróżą?

W istocie, jakąż niezmierną potęgą jest *sposobność*! A oto mogłem ją śledzić w najczystszej postaci, wyzuta z wszelkiej obcej przymieszki. Miałem tutaj przecież do zwalczania miłość i to miłość wspomagana uczuciem obawy i wstydu, i gniewu: sposobność była sama jedna po mojej stronie, ale była tuż, ciągle gotowa, ciągle przytomna, a Miłość była daleko...

Aby wzmocnić moje spostrzeżenia, byłem na tyle złośliwy, iż prawie zupełnie nie używałem siły. Jedynie gdy uroczą nieprzyjacielką, nadużywając mojej uступliwości, już miała mi się wymknąć, wówczas powstrzymałem ją tą samą obawą, która już raz osiągnęła tak szczęśliwy skutek. Otóż bez żadnych innych starań, udało mi się doprowadzić tę tkliwą kochankę do tego, iż zapominając swoich przysiąg, zrazu ustąpiła, następnie zaś i poddała się swemu losowi. Wprawdzie po tej pierwszej chwili łzy i wyrzekania — nie wiem, czy szczere, czy udane — wróciły jak na zawołanie, ale, jak to zawsze bywa, ustąpiły rychło, skoro tylko spróbowałem dostarczyć im nowej przyczyny. Wreszcie, przeplatając chwile słabości wymówkami, a wymówki nową słabością, rozstaliśmy się zupełnie zadowoleni z siebie nawzajem, umówiwszy wprzód za wspólną zgodą nowe spotkanie na dziś wieczór.

Wróciłem do siebie dopiero o świcie, upadając ze znużenia i senności, pokonałem jednak i jedno, i drugie dla przyjemności zjawienia się dziś rano przy śniadaniu. Lubię, namiętnie lubię te minki „nazajutrz”. Nie masz pojęcia, jak ten malec wyglądał! Cóż za zakłopotanie! Co za niepewność w chodzie! Oczy spuszczone bez ustanku, a duże, a podkrążone! Ta buzia tak okrągła jakżeż się wyciągnęła! Nie wyobrażasz sobie nic zabawniejszego. Pierwszy raz matka, zaniepokojona tą nadzwyczajną zmianą, zwracała się do niej z troskliwą czułością; toż samo prezydentowa, jakżeż się koło niej krzątała! Och, co do tej, to mam nadzieję, że przyjdzie dzień, w którym i ona z kolei stanie się godną takich samych starań i opieki: i ten dzień już jest niedaleko. Do widzenia, moja piękna przyjaciółko.

Z zamku***, 1 października 17**

LIST XCVII

Cecylia Volanges do markizy de Merteuil

Och, mój Boże, pani złota, jaka ja jestem zmartwiona! Jaka ja jestem nieszczęśliwa! Kto mnie pocieszy w moim strapieniu? Kto mi poradzi w tym strasznym kłopotcie? Ten pan de Valmont... i Danceny! Nie, myśl o Dancenym doprowadza mnie do rozpacz... Jak to pani opowiedzieć? Jak pani się przyznać?... Nie wiem, jak to zrobić. Ale muszę, muszę powiedzieć to komuś, a pani jest jedyna, której mogę, której ośmielę się zwierzyć. Pani jest zawsze taka dobra dla mnie! Ale w tej chwili niech pani nie będzie dobra, nie

jestem warta tego, nie chciałabym nawet tego. Wszyscy dziś byli dla mnie tacy dobrzy, tacy troskliwi... i jeszcze ciężiej z tym mi było na sercu. Tak, czułam, że nie zasługuję na to! Owszem, niech mnie pani łaje, niech mnie pani mocno łaje, bo jestem bardzo niegodziwa, ale potem niech mnie pani ratuje; jeżeli pani nie zlituje się nade mną i nie poradzi mi co, umrę chyba ze zmartwienia.

Powiem więc pani... ręka mi drży, jak pani widzi, nie mogę prawie pisać, czuję, że twarz mam całą w ogniu... Och, to rumieniec wstydu! Dobrze więc, zniosę ten wstyd; to będzie pierwsza kara za mój występ. Tak, powiem pani wszystko.

Powiem pani zatem, że pan de Valmont, który dotąd doręczał mi wszystkie listy pana Danceny'ego, dopatrzył się w tym nagle ogromnych trudności i koniecznie chciał mieć klucz od mego pokoju. Mogę panią zapewnić, że ja nie chciałam: ale on o tym napisał do Danceny'ego i Danceny także tego żądał. Mnie tak jest ciężko, kiedy mu muszę coś odmówić, zwłaszcza od czasu naszego rozstania, przez które on jest taki nieszczęśliwy, że nareszcie musiałam się zgodzić. Nie przewidywałam, co z tego strasznego wyniknie.

Za pomocą tego klucza pan de Valmont wszedł wczoraj do mego pokoju w czasie, kiedy spałam. Nie spodziewałam się tego ani trochę i strasznie przelęknąłam się, kiedy się zbudziłam: ale ponieważ zaraz zagadał do mnie, poznałam go i nie krzyczałam; a potem przyszło mi na myśl, że on może przyszedł, aby mi oddać list od Danceny'ego. To wcale nie było po to. W chwileczkę potem chciał mnie pocałować; ja się oczywiście broniłam; wtedy on tak zrobił, że za żadne skarby świata bym nie chciała... ale on żądał, żeby go przedtem pocałować. Nie było innej rady, bo cóż miałam robić? Próbowałam wołać o pomoc: ale po pierwsze nie mogłam, a potem on mi powiedział, że gdyby ktoś przyszedł, to on potrafi zrzucić całą winę na mnie i mógłby naprawdę z powodu tego klucza. A potem on też się jeszcze nie usunął. Chciał, żeby go jeszcze pocałować: i tym razem nie wiem, co to było takiego, ale tak mi się jakoś dziwnie zrobiło; a potem to było jeszcze gorzej niż przedtem. O, to, to było bardzo niedobrze. Słowem... niech pani złota nie żąda, aby pani mówić to wszystko, jak było; ale jestem tak strasznie nieszczęśliwa, że już nie wiem, co począć.

Najwięcej sobie wyrzucam, (do tego koniecznie muszę się pani przyznać), że ja może nie broniłam się tak mocno, jak tylko miałam siły. Nie wiem, jak się to działo: to pewna, że nie kocham pana de Valmont, całkiem przeciwnie; a były chwile, w których tak mi się działo, jak gdybym go kochała. Wyobraża pani sobie, że mimo to ciągle mówiłam mu, że nie; ale sama czułam, że nie robiłam tak, jak mówiłam; to było tak, jakby mimo mojej woli; a potem znowu tak mi się dziwnie robiło! Jeżeli to zawsze jest tak trudno się bronić, to trzeba bardzo wprawioną być do tego! To prawda, że pan de Valmont ma takie sposoby mówienia, że nie wie się, jak zrobić, żeby mu odpowiedzieć; czy pani uwierzy, że kiedy już odchodził, miałam takie uczucie, jak gdybym z tego była zmartwiona, i tak jakoś nie umiałam się wymówić, że zgodziłam się, aby znów przyszedł dziś wieczór: i to mnie gryzie bardziej jeszcze niżeli wszystko inne.

Och, mimo to przyrzekam pani święcie, że nie pozwolę mu przyjść dzisiaj. Zaledwie poszedł, to ja już uczułam, że bardzo źle zrobiłam, że mu to przyrzekłam. Toteż płakałam potem całutki czas. Zwłaszcza za każdym razem, kiedy pomyślałam o Dancenym, płacz mnie chwytal na nowo, tak że dławiałam się po prostu; a ciągle o nim myślałam... I teraz jeszcze widzi pani skutki: o, papier jest całkiem mokry. Nie, nie pocieszę się nigdy, chociażby tylko przez niego... Wreszcie nie miałam już siły do płakania, a mimo to nie mogłam spać ani minuty. Dziś rano przy wstawaniu, kiedy popatrzyłam w lustro, aż się przelęknąłam, taka byłam zmieniona.

Mama zauważyła to, jak tylko mnie zobaczyła i pytała się, co mi jest. Zaczęłam znowu zaraz płakać. Myślałam, że mnie wyłaje i może by mi to zrobiło mniej przykrości: ale przeciwnie. Mówiła do mnie tak łagodnie jak nigdy. Nie warta byłam tego. Mówiła mi, żebym się nie martwiła. Bo ona nie wiedziała, dlaczego ja się martwię. Że jeszcze się doprowadzę do choroby! Są chwile, w których bym chciała, żeby już umrzeć. Nie mogłam dłużej wytrzymać. Rzuciłam się jej w ramiona, szlochając i mówiąc: „Och, mamo, twoja córka jest bardzo nieszczęśliwa!”. Mama też nie mogła się prawie powstrzymać od płaczu: a mnie coraz gorzej się od tego robiło na sercu. Na szczęście nie zapytała się mnie, z czego jestem taka nieszczęśliwa, bo nie wiedziałabym, co jej odpowiedzieć.

Błagam panią, moja złota pani, niech mi pani odpisze najprędzej, jak pani będzie mogła, i niech mi pani powie, co ja mam robić: bo nie mam odwagi myśleć o niczym

i tylko się martwię ciągle. Niech pani będzie tak dobra przesłać mi swój list za pośrednictwem pana de Valmont; ale proszę panią bardzo, jeżeli będzie pani równocześnie pisała do niego, niech mu pani nic nie zdradzi, że ja pani coś powiedziałam.

Mam zaszczyt być, wraz z całą serdeczną przyjaźnią, pani bardzo uniżoną i bardzo powolną służą.

Nie śmiem podpisać tego listu.

Z zamku ***, 1 października 17**

LIST XCVIII

Pani de Volanges do markizy de Merteuil

Niewiele dni, moja uroczą przyjaciółko, upłynęło od czasu, jak ty zwracałaś się do mnie z prośbą o słowa pociechy i rady: dzisiaj na mnie przysła kolej i dziś ja znowu udaję się do ciebie z podobną prośbą. Mam ciężką zgryzotę, a obawiam się, czy dobrą obrałam drogę dla zaradzenia złemu.

Niespokojna jestem o córkę. Od czasu naszego wyjazdu widziałam, co prawda, że jest ciągle smutna i zgnębiona, ale byłam na to przygotowana i uzbroiłam serce matki całą konieczną, wedle mnie, surowością. Miałam nadzieję, że oddalenie, rozrywki zniweczą wkrótce tę miłość, którą uważałam raczej za wybryk dzieciństwa niż za prawdziwą namiętność. Tymczasem nie tylko nasz pobyt tutaj nic nie poprawił, ale, przeciwnie, widzę, że to dziecko pograża się coraz to głębiej w nader niebezpiecznej melancholii; słowem, obawiam się na dobre, aby jej zdrowie na tym nie ucierpiało. Od kilku dni zmienia się wprost w oczach. Wczoraj zwłaszcza mnie to uderzyło i nie tylko mnie: cały dom był tym zaniepokojony.

Do jakiego stopnia smutek jej jest głęboki, widzę stąd, iż chwilami bierze górę nad trwożliwością, jaką ona zwykle okazuje ze mną. Wczoraj rano na proste zapytanie moje, czy nie jest chora, rzuciła mi się w ramiona, mówiąc, że jest bardzo nieszczęśliwa: zanosila się przy tym od płaczu. Nie umiem ci opisać, jaką mi to przykrość zrobiło; mnie samej łzy napłynęły do oczu i ledwo zdążyłam się odwrócić, aby przed nią tego nie okazać. Na szczęście miałam na tyle rozważy, iż nie zapytałam jej o nic, a ona też nie śmiała powiedzieć mi więcej: ale nie ma wątpliwości, że to ta nieszczęśliwa miłość tak ją dręczy.

Co począć tedy, jeżeli to będzie trwało? Czyż mam unieszczęśliwiać własną córkę? Czyż mam przeciw niej samej obracać te najcenniejsze przymioty duszy, jakimi są tkliwość i stałość? Czyż na to jestem jej matką? A gdybym nawet zdusiła to tak naturalne uczucie, które nam każe pragnąć szczęścia naszych dzieci; gdybym uważała za nierozumną słabość to, co mam przeciwnie za najpierwszy, najświętszy z naszych obowiązków; jeśli zniewolę jej wybór, czyż nie przyjdzie mi odpowiadać za fatalne następstwa, jakie mogą zeń wyniknąć? Godziż się używać powagi matki na to, aby stawiać swą córkę między nieszczęściem i zbrodnią?

Pojmujesz, droga przyjaciółko, że nie chciałabym popaść w to, co potępiałam tak często. Zapewne, mogłam próbować pokierować wyborem mojej córki; przychodziłam jej w tym jedynie z pomocą moim doświadczeniem; nie korzystałam z praw, ale dopełniałam obowiązku. Natomiast postąpiłabym wbrew moim obowiązkom, gdybym chciała dziś niewolić ją przemocą, depcąc skłonność, której obudzeniu się nie umiałam zapobiec, a z której głębi i trwałości ani ona, ani ja nie możemy sobie zdać sprawy dzisiaj. Nie, nie dopuszczę tego, aby moja córka miała wstąpić w dom męża, kochając innego; wolę raczej narazić na szwank moją powagę niżeli jej cnotę.

Sądzę tedy, że najrozsądniejszą rzeczą, jaką mogę uczynić, będzie po prostu cofnąć słowo dane panu de Gercourt. Odsłoniłam ci moje pobudki; wydają mi się one większej wagi niż to zobowiązanie. Powiem więcej; w obecnym stanie rzeczy dopełnić moich zobowiązań znaczyłoby w istocie je pogwałcić. Przypuściwszy bowiem, iż winna jestem mojej córce, aby nie odsłaniać jej tajemnic wobec p. de Gercourt, to winna jestem znów jemu co najmniej tyle, by nie nadużywać jego nieświadomości w tym względzie i uczynić za niego wszystko to, co mniemam, że sam by uczynił, gdyby był świadomy tych okoliczności. Czy mam, przeciwnie, zdradzić jego zaufanie wówczas, kiedy on zdaje się na moją dobrą wiarę? Te skrupuły i refleksje, którym nie mogę się opędzić, niepokoją mnie bardziej, niżbym umiała ci powiedzieć.

Z tymi nieszczęściami, których obrazu nie mogę wygnać z moich myśli, zestawiam z kolei szczęście córki przy boku małżonka, którego serce jej wybrało, w pożyciu, którego obowiązki stałyby się dla niej jedynie słodyczą; w którym każde z nich dwojga szukałoby własnego szczęścia jedynie w szczęściu drugiego, mnożąc zarazem radość ich kochającej matki! Czyż godzi się dla jakichś czczych względów poświęcać nadzieję tak jasnej przyszłości? I jakież względy mogą tutaj grać rolę? Jedynie materialne. Jakąż korzyść miałaby moja córka stąd, iż urodziła się bogatą, gdyby mimo to miała pozostać niewolnicą majątku!

Przyznaję, że pan de Gercourt jest dla mojej córki partią świetną nad wszelkie spodziewanie; przyznaję nawet, iż wybór, jakim ją zaszczycił, pochlebił mi niezmiernie. Ale wszakże Danceny pochodzi z równie dobrej rodziny, nie ustępuje mu w niczym pod względem wartości osobistej; posiada nadto nad panem de Gercourt tę przewagę, że kocha i jest kochany. Nie jest bogaty, to prawda; ale czyż moja córka nie posiada dosyć na dwoje? Ach, czemuż jej wydzierają szczęście tak słodkie, aby mogła otoczyć dostatkiem tego, którego kocha!

Te małżeństwa, które oblicza się zamiast je dobierać, te tak zwane małżeństwa z rozsądku, gdzie wszystko istotnie jest, czego rozsądek wymaga, z wyjątkiem zgodności uczuć i charakterów, czyż nie one właśnie są najobfitszym źródłem owych gorszących wydarzeń, które stają się z każdym dniem coraz częstsze? Wolę raczej rzecz odłożyć; obrócę ten czas na głębsze poznanie mojej córki, czego może dotąd nieco zaniedbałam. Czuję w sobie odwagę narażenia jej na chwilową przykrość, jeżeli w zamian ma otrzymać szczęście pewniejsze i trwalsze: ale rzucać ją na pastwę wieczystej może rozpaczy, nie, nie mam serca po temu.

Oto, droga przyjaciółko, myśli, jakie mnie dręczą i co do których proszę cię o radę. Powaga tego przedmiotu odbija bardzo od twojej milej pustoty i na pozór nie bardzo licuje z twoim wiekiem: ale twój rozum wyprzedził wszak o tyle twoje lata! Zresztą przyjaźń dla mnie przyjdzie z pomocą twojej roztropności; i wiem, że nie zechcesz odmówić pomocy strapionej matce, która się zwraca do ciebie z całym zaufaniem.

Do widzenia, uroczą przyjaciółko; nie wąpię nigdy o szczerości moich uczuć.

Z zamku ***, 2 września 17**

LIST XCIX

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Znowu same drobiazgi, moja piękna przyjaciółko; uzbrój się tedy w cierpliwość, nawet w wiele cierpliwości: bowiem podczas gdy piękna prezydentowa postępuje ledwo krok za krokiem, twoja pupilka cofa się, a to jeszcze gorzej. Z tym wszystkim bawię się doskonale tymi głupstwami; włożyłem się zupełnie do pobytu tutaj i mogę powiedzieć, że w tym smutnym zamku nieśmiertelnej ciotki nie zaznałem dotąd ani chwili nudów. W istocie, czyż nie przeżywam tu uciech, zawodów, nadziei, niepewności? Cóż więcej mieć można na wielkiej arenie? Widzów? Ech, pozwól mi tylko działać, a i tych nie zbraknie. Jeśli nie oglądają mnie przy robocie, pokażę im skończone dzieło; pozostanie im jedynie podziwiać mnie i oklaskiwać. Tak, jest: oklaskiwać; dziś bowiem jestem już mocen przepowiedzieć z całą pewnością chwilę upadku surowej świętoszki. Tego wieczora patrzyłem na agonię jej cnoty. Resztki jej ustąpią niebawem miejsca słodkiemu poddaniu. Mniemam, iż moment ów nastąpi za najbliższym naszym spotkaniem: ale stąd słyszę już, markizo, jak powstajesz na moją zarozumiałość... Zapowiadać swoje zwycięstwo, chęłpić się tak z góry! No, no, proszę, uspokój się! Aby udowodnić ci moją skromność, zacznę najpierw od skreślenia dziejów mej porażki.

Doprawdy, że twoja pupilka to strasznie pocieszna istota! To prawdziwe dziecko, z którym trzeba by postępować jak z dzieckiem, stawiając je po prostu w razie nieposłuszeństwa na pokucie! Czy uwierzyłabyś, że po tym, co zaszło przedwczoraj między nami i po rozstaniu najbardziej przyjacielskim w świecie, dziś wieczorem, kiedy chciałem znów zajrzeć do niej tak, jak to było umówione, zastałem drzwi zamknięte od wewnątrz? Cóż ty na to? Trafiają się niekiedy takie dzieciństwa w *przededniu*; ale nazajutrz! To już zbyt śmieszne!

Mimo to nie śmiałem się zrazu; nigdy nie czułem tak jak wówczas, do jakiego stopnia charakter mój nie znosi żadnej zapory. Szedłem na tę schadzkę bez wielkiej ochoty, jedynie przez uprzejmość. Własne łóżko było mi w tej chwili o wiele bardziej pożądane niż czyjekolwiek inne i oddaliłem się od niego niemal z żalem. Ale kiedy spotkałem na drodze przeszkodę, byłbym nie wiem co zrobił, aby ją pokonać; upokarzało mnie zwłaszcza, aby takie dziecko ośmieliło się igrać sobie ze mną. Wróciłem do siebie bardzo podrażniony. W postanowieniu nie zajmowania się więcej tym głupim bębniem ani jego głupimi sprawami, napisałem do niej na poczekaniu bilecik, który miałem zamiar doręczyć jej dzisiaj, a w którym obszedłem się z nią tak, jak na to zasługuje. Ale, jak to mówią, noc przynosi z sobą dobrą radę; otóż rozmyśliłem się dziś rano, doszedłszy do przekonania, iż wobec szczupłego wyboru rozrywek, jakimi tu rozporządzam, nie trzeba wyrzekać się tej, którą mam pod ręką: zniszczyłem tedy ów zbyt surowy bilecik. Zastanowiwszy się głębiej, nie mogę pojąć, jak mogłem doprawdy chcieć skończyć tę przygodę, zanim będę miał w ręku wszystko, co potrzeba, aby zgubić jej bohaterkę. Na jakie bezdroża może nas zawieść pierwsze uniesienie! Szczęśliwy, moja piękna przyjaciółko, kto jak ty nauczył się nigdy mu nie ulegać! Słowem, odwołłem mą zemstę; uczyniłem to poświęcenie ze względu na twoje zamiary odnośnie do Gercourta.

Teraz, kiedy już gniew przeminął, postępowanie małej wydaje mi się jedynie śmiesznym. Chciałbym wiedzieć doprawdy, co ona chce przez to osiągnąć! Wyznaję, iż na próżno silę się odgadnąć: jeżeli chodzi o obronę, to trzeba przyznać, że wzięła się do niej trochę późno. Któregoś dnia będzie mi musiała wyjaśnić słowo zagadki! Wielką miałbym ochotę się dowiedzieć. Czy może po prostu czuła się tylko zmęczona? To nie jest niemożliwe, bowiem nie wie z pewnością jeszcze, że groty miłości, jak lanca Achillesa, mają władzę gojenia ran, które zadają. Ale nie; sądząc z jej grymasików przez cały dzień, założyłbym się, że tu chodzi o jakieś wyrzuty... ot... coś takiego... coś jak gdyby cnota... Cnota!... i jej to przysłało się w nią stroić? Ach, niechżeż ją zostawi kobiecie naprawdę dla cnoty stworzonej, jedynej, która umie ją przystroić wdziękiem, która każe ją uwielbiać niemal!... Daruj mi, piękna przyjaciółko, ale właśnie tego wieczoru rozegrała się pomiędzy panią de Tourvel a mną scena, z której mam ci zdać sprawę i po której jeszcze dotąd jestem nieco wzruszony. Siłą muszę się niewolić do tego, aby ochłonąć z wrażenia, jakiego doznałem; dlatego nawet, aby w tym sobie dopomóc, zabrałem się do pisania do ciebie. Bądź więc wyrozumiałą, markizo.

Już od kilku dni nastąpiło zupełne porozumienie pomiędzy panią de Tourvel a mną co do jednomyślności naszych uczuć; spieramy się już tylko o słowa. Dotychczas na moją *miłość* odpowiadała ze swej strony *przyjaźnią*: ale ta konwencja czysto słowna nie zmieniła istoty samej rzeczy; i ta droga byłaby nas może mniej szybko, ale nie mniej pewnie zawiodła do celu. Już nie było mowy nawet o oddaleniu mnie, tak jak tego zrazu żądała; zaś co się tyczy rozmów sam na sam, jakie miewamy z sobą codziennie, to jeżeli ja dokładałem starań, aby dostarczyć po temu sposobności, ona ze swojej strony chwytła tę sposobność wcale skwapliwie.

Ponieważ zazwyczaj nasze niewinne spotkania odbywają się pod pozorem przechadzki, dzisiejszy szkaradny czas nie pozwalał mi się niczego spodziewać w tym względzie: byłem nawet tym mocno podrażniony, nie przewidując zgoła, ile miałem zyskać na tej mniemanej przeszkodzie.

Po obiedzie, nie mogąc udać się na przechadzkę, zabrano się do gry; że zaś ja grywam bez zapału, a obecnie nie jestem niezbędny do złożenia partii, udałem się na tę chwilę do siebie.

Właśnie wracałem, aby odszukać całe towarzystwo, kiedy spotkałem tę uroczą kobietę w chwili, gdy wchodziła do swego pokoju. Nie wiem, czy była to nierozwaga czy słabość, ale rzekła do mnie słodkim głosem: „Gdzież pan idzie? Nie ma nikogo w salonie”. Domyślasz się, markizo, iż spróbowałem dostać się do jej pokoju; napotkałem na mniej oporu, niż mogłem być przypuszczać. To prawda, że miałem tę ostrożność, aby rozpocząć przy drzwiach rozmowę i to w najniewinniejszym tonie; ale zaledwie znaleźliśmy się wewnątrz, kiedy natychmiast powróciłem do prawdziwego jej wątku i zacząłem mówić *mej przyjaciółce o mojej miłości*. Pierwsza jej odpowiedź, jakkolwiek prosta, wydała mi się dość wymowną: „Och, proszę, nie mówmy o tym tutaj” — rzekła; przy czym drżała na całym ciele. Biedna kobieta! Czuje, iż nadchodzi ostatnia jej godzina.

Mimo to obawy jej były płonne. Od niejakiego czasu, pewny zwycięstwa dziś lub jutro i widząc, ile ona zużywa sił na bezcelowe utarczki, postanowiłem oszczędzać się i czekać bez wysiłków, aż się sama podda ze znużenia. Pojmujesz, że tutaj potrzeba mi, aby tryumf był zupełny i że nie chcę nic zawdzięczać sposobności. Zgodnie z tym planem, aby utrzymać się w pozycji zaczepnej, nie posuwając się jednak zbyt daleko, wróciłem umyślnie do słowa *miłość*, odrzucanego z takim oporem: pewny zaś, iż nie wątpi o zapale moich uczuć, uderzyłem w ton bardziej tkliwy. Opór ten nie gniewał mnie już, ale mnie zasmucał; czyż moja tkliwa przyjaciółka nie była mi winna nieco pociechy?

Wśród tego dzieła pocieszania, jedna ręka zaplatała się w moich, wdzięczne ciało oparło się o moje ramię i znaleźliśmy się niezmiernie blisko siebie. Zauważyłaś z pewnością nieraz, jak w tym położeniu, w miarę jak obrona słabnie, prośby i odmowa wymieniają się bardziej z bliska; jak głowa się odwraca i spojrzenia kierują się w dół, podczas gdy słowa, szeptane zaledwie omdlewającym głosem, stają się rzadkie i przerywane. Te szacowne objawy zwiastują, w sposób bardzo niedwuznaczny, przyzwolenie duszy: to nie znaczy jednak, aby już przedostało się ono aż do zmysłów; sądzę nawet, że bardzo jest niebezpiecznie podejmować wówczas jakieś wyraźniejsze usiłowania; bowiem, ponieważ ten stan pół-oddania się połączony jest zawsze z uczuciem niezmiernej błogości, wyrывая z niego kobietę niejako przemocą, budzi się zawsze żal, który znowu dodaje siły do obrony. Dlatego też nie nacierałem, nie błagałem o nic: nie żądałem nawet, by usta jej wyrzekły tak lube wyznanie; gotów byłem zadowolić się spojrzeniem: jedno spojrzenie, a byłbym szczęśliwy.

Jakoż, moja piękna przyjaciółko, słodkie jej oczy istotnie podniosły się na mnie; niebiańskie usta wymówiły nawet: „Więc dobrze! Tak, ja...”. Ale nagle wzrok się zamglił, głos załamał się w pół słowa i anielska kobieta osunęła mi się w ramiona. Zaledwie miałem czas ją podtrzymać, kiedy wyzwalając się z moich objęć z konwulsyjną siłą, z błędnym spojrzeniem i rękami wzniesionymi ku niebu: „O Boże — wykrzyknęła — o mój Boże, ocal mnie!” i natychmiast, szybsza od błyskawicy, znalazła się na kolanach, o dziesięć kroków ode mnie. Widziałem, że bliską jest omdlenia.

Podbiegłem, aby ją ratować, ale ona, ujmując moje ręce, które oblewała łzami, chwilaami nawet obejmując moje kolana, wołała; „Tak, ty, ty sam, ty mnie ocalisz! Nie chcesz wszak mojej śmierci, zostaw mnie; ratuj mnie; zostaw mnie, na miłość boską, zostaw mnie”. Te bezdładne słowa zaledwie dobywały się jej z piersi, tłumione wzmagającym się łkaniem. Mimo to trzymała mnie z mocą, która nie pozwalała mi się ruszyć z miejsca; wówczas, zbierając siły, podniosłem ją w ramionach. W tej samej chwili płacz ustał; nie mówiła już nic, członki jej zeszytniały i gwałtowne konwulsje nastąpiły po tej burzy.

Wyznaję, iż byłem żywo wzruszony, i mniemam, że byłbym ustąpił jej prośbom, gdyby nawet okoliczności nie zmuszały mnie do tego. Ułożywszy ją spokojnie, zostawiłem ją, jak mnie o to prosiła i szczerze sobie tego winszuję. Już teraz zebrałem owoce tej wspaniałomyślności.

Przypuszczałem, iż zarówno jak w dniu pierwszego mego wyznania, moja pani nie pojawi się wcale wieczorem w salonie. Ale około ósmej godziny zeszła do nas i oznajmiła jedynie towarzystwu, że czuła się popołudniu bardzo niezdrowa. Twarz miała zmęczoną, głos słaby, a w objęściu czuć było zakłopotanie; ale spojrzenie jej było pełne słodczy i nieraz zwracało się ku mnie. Ponieważ prezydentowa nie chciała wzięć udziału w grze, ja musiałem tym samym zająć jej miejsce; ona usiadła tuż koło mnie. Podczas kolacji została w salonie sama. Za powrotem spostrzegłem, iż płakała: aby upewnić się o tym, powiedziałem jej, iż, jak się zdaje, nie przyszła jeszcze zupełnie do siebie po swojej niedyspozycji; na co odpowiedziała mi bez gniewu: „To cierpienie nie mija tak prędko, jak przychodzi”. Wreszcie kiedy wszyscy się rozchodzili, podałem jej rękę, którą, wchodząc do swego pokoju, uściśnęła z całej siły. To prawda, że było to jakby mimowiednie; ale tym lepiej; to jedna próba więcej mojej władzy nad nią.

Założyłbym się, że w tej chwili bardzo jest rada, iż dotarła już do tego punktu; wszystkie trudy już przebyte, pozostaje tylko cieszyć się ich owocem. Może podczas gdy ja ci to piszę, ona już zaprzęta się tą rozkoszną myślą; a gdyby nawet zajmowała się, przeciwnie, nowym zamiarem obrony, czyż nie wiemy dobrze, dokąd prowadzą wszystkie takie zamiary? Sama powiedz, markizo, czy przełom nie jest tu nieunikniony, i to za najbliższym naszym spotkaniem? Domyślam się, oczywiście, że ostateczne przyzwolenie nie obejdzie

się bez jakichś historii; ale, z tym wszystkim, skoro taka cnotka zdecyduje się już na pierwszy krok, nic nie jest w stanie jej zatrzymać. U nich miłość to istny wybuch prochu; opór pomnaża jedynie siłę. Moja płochliwa świętoszka popędziłaby za mną, gdybym ja przestał upędząć się za nią.

Słowem, moja piękna przyjaciółko, tuż, tuż, a zjawię się u ciebie, aby cię zmusić do dotrzymania słowa. Nie zapomniałaś jeszcze może o tym, co mi przyrzekłaś po moim tryumfie? Małą niewierność swojemu kawalerowi; czyś gotowa, markizo? Co do mnie, pragnę tego tak, jak gdybyśmy się nigdy nie byli znali. Zresztą znać ciebie, markizo, czyż to nie jest przyczyną, aby cię pragnąć tym więcej:

Nie dwornym jestem, pani, sprawiedliwym jeno¹²⁶.

Toteż będzie to pierwsza niewierność, jakiej dopuszczę się względem mojej cnotliwej zdobyczy: przyrzekam ci skorzystać z pierwszego pozoru, aby się wymknąć bodaj na dwadzieścia cztery godziny. Będzie to dla niej kara za to, iż mnie trzymała tak długo daleko od ciebie. Czy wiesz, że już przeszło dwa miesiące, jak mnie zaprzęta ta przygoda? Tak: dwa miesiące i trzy dni; to prawda, że liczę już jutrzejszy dzień, bo jutro dopiero spełni się wreszcie zupełnie ta ofiara. To mi przypomina, że panna de B*** opierała się całutkie trzy miesiące. Bardzo rad będę stwierdzić, że prosta zalotność umie się zdobyć na więcej siły w swej obronie niżeli surowa cnota.

Do widzenia, piękna przyjaciółko; trzeba się rozstać z tobą, bo już późno. Ten list wytrzymał mnie dłużej niż przypuszczałem; ale ponieważ posyłam jutro rano umyślnego do Paryża, chciałem skorzystać z tego, abyś mogła podzielić o dzień wcześniej radość twego przyjaciela.

Z zamku de ***, 2 października 17**

LIST C

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Markizo, jestem oszukany, zdradzony, zgubiony; jestem w rozpacz: pani de Tourvel wyjechała. Wyjechała i ja nic o tym nie wiedziałem! I nie było mnie, aby sprzeciwić się tej ucieczce, aby jej rzucić w oczy jej niegodną zdradę! Ach, nie sądz, że byłbym pozwolił jej wyjechać; byłaby została; tak, byłaby została, choćby mi było przyszło użyć nawet przemocy. Ale cóż! W mojej spokojnej łatwowierności spałem sobie spokojnie: ja spałem, a piorun ugodził mnie we śnie. Nie, nie rozumiem nic z tego wyjazdu; w ogóle to są daremne wysiłki chcieć coś rozumieć z kobiety!

Kiedy sobie przypominam ten wczorajszy dzień! Co mówię, wieczór nawet! To spojrzenie tak słodkie, ten głos tak tkliwy! To ściśnięcie ręki! I przez ten czas ona układała zamiar ucieczki! O kobiety! Kobiety! I wy się skarżycie, skoro się was zwodzi!

Z jakąż rozkoszą mścić się będę na niej! Bo ja ją znajduję, tę przewrotną, odzyskam władzę nad nią. Jeżeli sama miłość umiała znaleźć środki po temu, i czegoż nie dokona wspomagana zemstą? Ujrzę ją jeszcze na kolanach, drżącą i zalaną łzami, błagającą mnie o łaskę swoim kłamliwym głosem; ale ja, ja będę bez litości.

Co ona robi teraz? Co ona myśli? Może dumną się czuje, iż zdołała mnie oszukać. To, czego nie mogła zdziałać cnota tyle wysławiana, tego dokonał bez wysiłku instynkt zdrady. I być zmuszonym łykać to upokorzenie! Móc okazywać jedynie tkliwą boleść, gdy serce kipi od wściekłości! Musieć jeszcze błagać zuchwałą kobietę, która wyłamała się spod mej władzy! I ja miałbym to znieść! Nie, moja przyjaciółko, nie myślisz chyba tego, ty nie masz o mnie tak poniżającego mniemania!

Ale jakaż fatalność przywiązuje mnie do tej kobiety? Czyliż sto innych nie czeka z upragnieniem moich względów? Po cóż gonić za tym, co ucieka przed nami, a gardzić tym, co wchodzi nam w ręce? Tak, po cóż?... Nie wiem po co, lecz czuję to tym mocniej.

Nie ma już dla mnie szczęścia, nie ma spokoju, jak tylko w posiadaniu tej kobiety, której nienawidzę i którą kocham z jednaką zaciekłością. Życie stanie mi się znośnym dopiero z tą chwilą, kiedy jej losy będę dzierżył w moim ręku. Wówczas, spokojny i zadowolony, ja będę patrzył z kolei, jak nią miotają burze, których ja doznaję w tej chwili;

¹²⁶Nie dwornym (...) jeno — Voltaire, *Comédie de Nanine*.

tysiąc innych jeszcze w niej roznieć. Nadzieja i obawa, zaufanie i niepokój, wszystkie cierpienia wymyślone przez nienawiść, wszystkie rozkosze zesłane przez miłość chcę, aby napępniały jej serce, aby gościły w nim kolejno wedle mojej woli. Ten czas przyjdzie... Ale ileż trudów jeszcze! Jakżeż blisko byłem wczoraj! A dzisiaj jakżeż znów jestem daleko! Jak przebyć tę drogę? Nie śmiem próbować żadnego kroku; czuję, że aby powziąć jakieś postanowienie, trzeba by być spokojniejszym, a tymczasem krew gotuje mi się w żyłach.

Udręczenia moje podwaja jeszcze ta obojętność, z jaką każdy odpowiada na moje pytania. Nikt nic nie wie, nikt nie chce nic wiedzieć: zaledwie mówiono by o tym, gdybym dopuścił, aby mówiono o czym innym. Pani de Rosemonde, do której pobiegłem zaraz rano, odpowiedziała mi ze spokojem godnym swojego wieku, że wyjazd ten jest naturalnym następstwem niedomagania, którego pani de Tourvel doświadczyła wczoraj: obawiała się choroby i wołała znaleźć się u siebie. Pani de Volanges, którą zrazu podejrzewałem o współnictwo, zdaje się dotknięta jedynie tym, iż nie zasięgnięto jej zdania co do tego kroku. To mi dowodzi, że ona nie posiada w tym stopniu, jak się obawiałem, zaufania tej kobiety. Jak ona by tryumfowała, gdyby wiedziała, że to mnie miała osiągnąć ta ucieczka! Jak by się nadymała pychą, gdyby się to stało z jej dorady! Mój Boże! Jak ja jej nienawidzę! Och, zajmę się, zajmę na nowo jej córeczką; chcę ją urobić wedle mojej woli; toteż zdaje mi się, że zabawię tu jeszcze czas jakiś, o ile w ogóle teraz jestem zdolny cośkolwiek postanawiać.

Czy nie przypuszczasz, w istocie, że po tym kroku tak zuchwałym tamta niewdzięczna musi się lękać mojej obecności? Gdyby więc spodziewała się, iż ja mógłbym podążyć za nią, nie omieszkałaby mi zamknąć drzwi swego domu; ja zaś nie mam ochoty ani przyzwyczajać ją do tego sposobu, ani też znosić podobne upokorzenie. Wolę jej oznajmić, przeciwnie, że pozostaję tutaj: będę ją nawet błagał, aby powróciła, i dopiero kiedy będzie zupełnie uspokojona w tym względzie, zjawię się nagle u niej: zobaczymy, jak zniesie to spotkanie! Ale trzeba je odwlec, aby spotęgować wrażenie, i nie wiem jeszcze, czy zdobędę się na cierpliwość: dwadzieścia razy w ciągu dnia otwierałem już usta, aby wołać o konie. Mimo to zapanuję nad sobą; zobowiązuję się odebrać tu jeszcze twoją odpowiedź; proszę cię jedynie, piękna przyjaciółko, nie każ mi zbyt długo na nią czekać.

Co by mnie najbardziej drażniło, to gdybym miał nie wiedzieć, co się dzieje; ale mój strzelec jest w Paryżu i posiada pewne prawa wstępu u panny służącej; będzie tedy mógł mi w tym usłużyć. Pośylam mu odpowiednie zlecenia i pieniądze. Proszę cię, markizo, nie bierz mi za złe, że jedne i drugie dołączę do tego listu i bądź tak dobra, każ mu je doręczyć przez kogoś z twoich ludzi. Zachowuję tę ostrożność, ponieważ hultaj ma zwyczaj nigdy nie otrzymywać listów, które do niego piszę, o ile mu się nie chce wykonać zawartych w nim poleceń.

Do widzenia, droga przyjaciółko; jeżeli ci przyjdzie jaka szczęśliwa myśl, jaka zbawienna rada, donieś mi o tym. Przekonałem się o tym nie jeden raz, jak cenną może być twoja przyjaźń; doświadczam tego jeszcze i w tej chwili, bo czuję się spokojniejszym, odkąd piszę do ciebie. Przynajmniej mówię do kogoś, kto mnie rozumie, a nie do automatów, jakie koło mnie snują się od rana. Doprawdy, im dłużej żyję, tym więcej skłonny jestem do mniemania, że tylko my dwoje, ty i ja, warci coś jesteśmy na świecie.

Z zamku ***, 3 września 17**

LIST CI

Wicehrabia de Valmont do swego strzelca Azolana

(dołączony do poprzedzającego)

Jesteś koronnym cymbałem, skoro mogłeś odjechać stąd dzisiaj rano i nic o tym nie wiedzieć, że pani de Tourvel wyjeżdża także, lub też, jeżeliś wiedział, nie przyjąć uwiadomić mnie o tym. Cóż mi więc z tego, że wydajesz moje pieniądze na upijanie się ze służbą; że czas, przez który powinienś mnie obsługiwać, trawisz na gruchaniu z pokojówką, jeżeli za to wszystko w ten sposób jestem powiadomiony o tym, co się dzieje? Oto są skutki twojego niedbalstwa! Ale uprzedzam cię, że jeżeli ci się przytrafi jeszcze choć jedno w ciągu tej sprawy, będzie to ostatnie, na jakie sobie pozwolisz w mojej służbie.

Masz mi najrychlej dostarczyć wiadomości o wszystkim, co się dzieje u pani de Tourvel; o jej zdrowiu; czy sypia, czy jest smutna czy wesoła; czy często wychodzi i u kogo bywa; czy przyjmuje u siebie i kto ją odwiedza; jak spędza czas; co robi, kiedy jest sama; czy kiedy czyta, czyta bez przerwy, czy też odkłada książkę, ażeby pograć się w marzeniu; tak samo gdy pisze. Postaraj się również zaprzyjaźnić ze służącym, który nosi listy na pocztę. Ofiaruj mu się kiedy z gotowością wypełnienia tego obowiązku za niego; a jeśli się zgodzi, wypraw tylko te listy, które ci się będą wydawały obojętne, zaś mnie odeślij inne, zwłaszcza listy do pani de Volanges, jeśli będą.

Postaraj się jeszcze przez jakiś czas zostać szczęśliwym kochankiem swojej Julii. Jeśli ma kogo innego, tak jak to przypuszczałeś, staraj się ją nakłonić do podziału i nie unoś się żadnymi śmiesznymi skrupułami: znajdziesz się w położeniu wielu osób, które więcej są warte od ciebie. Jeśli mimo to twój partner byłby zbyt niewygodny lub gdybyś spostrzegł na przykład, że zanadto zajmuje Julię w ciągu dnia i że przez to ona mniej często jest przy swojej pani, usuń go jakim sposobem albo poszukaj z nim zwady; nie lękaj się o następstwa, ja cię obronię. Przede wszystkim nie opuszczaj tego domu. Jedynie przy wytrwałości można widzieć wszystko i dobrze. Gdyby szczęśliwym przypadkiem który z jej ludzi porzucił tę służbę, zgłoś się na jego miejsce, mówiąc, że nie jesteś już u mnie w obowiązku. Powiedz, że opuściłeś mnie, aby poszukać domu o bardziej spokojnym i regularnym trybie. Słowem, staraj się, abyś został przyjęty. Mimo to zachowam cię przez cały czas w mojej służbie; to będzie tak jak u księżnej de ***; a w następstwie pani de Tourvel również cię wynagrodzi tak samo.

Dla podtrzymania twojej gorliwości i zręczności, których ci czasem nie staję, posyłam ci pieniądze. Bilet tu dołączony upoważnia cię do podjęcia dwudziestu pięciu ludwików u mojego bankiera, bowiem nie wątpię, że jesteś bez grosza. Użyjesz z tej sumy tyle, ile będzie potrzeba, aby skłonić Julię do stałego porozumiewania się ze mną. Reszta posłuży na napitki z ludźmi. Staraj się, o ile to będzie możliwe, aby się to odbywało u szwajcara tego domu: w ten sposób będzie miłym okiem patrzył na twoje odwiedziny. Ale nie zapominaj, że ja nie mam zamiaru opłacać twoich przyjemności, ale twoje usługi.

Przyzwyczaj Julię do obserwowania i notowania wszystkiego: nawet tego, co by się jej wydało drobiazgiem. Lepiej, by napisała dziesięć zdań niepotrzebnych, niż gdyby opuściła jedno ważne; często zaś najważniejsze bywa to, co się wydaje obojętnym.

Nie waż się zgubić tego listu. Odczytuj go codziennie, aby się przekonać, żeś nic nie zapomniał, jak również dla upewnienia się, że go masz jeszcze. Wreszcie rób wszystko, co należy robić, skoro się jest zaszczyconym moim zaufaniem. Wiesz, że jeżeli ja będę zadowolony z ciebie i ty na mnie nie będziesz miał powodu się uskarżać.

Z zamku ***, 3 października 17**

LIST CII

Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde

Będzie pani bardzo zdziwiona, dowiadując się, że opuszczam twój dom tak pośpiesznie. Ten krok wyda się pani bardzo niezwykłym: ale jakżeż spotęguje się jeszcze twoje zdziwienie, skoro dowiesz się o przyczynach! Być może, pomyślisz, pani, iż powierzając je tobie, nie dość szanuję spokój potrzebny twojemu wiekowi, że uchybiam nawet względom szacunku, które ci się należą z tak wielu tytułów? Ach, pani, daruj mi: zbyt wiele cierpię; serce moje potrzebuje wylać swą boleść na łono przyjaciółki równie mądrej jak wyrozumiałej: kogóż zatem mogło wybrać, jeśli nie ciebie? Uważaj mnie za swoje dziecko. Okaż mi tkliwość matki; błagam cię o to. Mam do niej może pewne prawa przez moje uczucia dla ciebie.

I cóż ci powiem, pani? Kocham; tak, kocham bez pamięci. Niestety! Jakże często on błagał mnie o to słowo, nie mogąc go uzyskać! Zapłacałabym chętnie życiem moim tę słodycz, by raz tylko móc je dać usłyszeć temu, który tchnął je we mnie; a mimo to trzeba mu go odmawiać bez przerwy! Znowu będzie wątpił o moich uczuciach: ach, czemuż nie przychodzi mu tak łatwo czytać w moim sercu, jak w nim władać! Tak, mniejszym cierpiał, gdyby on wiedział wszystko, co ja cierpię: ale ty sama, której to mówię, ty będziesz mieć o tym zaledwie słabe wyobrażenie.

Za kilka chwil ucieknę od niego i zasmucę go. Podczas gdy on będzie mniemał, iż jest jeszcze blisko mnie, ja będę już od niego daleko; o godzinie, w której przyzwyczajona byłam widywać go codziennie, będę już tam, gdzie on nigdy nie był, gdzie nie mogę pozwolić, aby był kiedykolwiek... Wszystko już przygotowane; patrzę na wszystko; nie mogę wzroku oprzeć na niczym, co by mi nie zwiastowało tego okrutnego wyjazdu. Wszystko gotowe, wyjąwszy mnie! A im bardziej serce się wzdraga przed tym krokiem, tym więcej czuję, jak on jest konieczny.

Spełnię go, to pewna; lepiej jest umrzeć, niżeli żyć występą. Już dzisiaj, czuję to sama, jestem nią aż nadto! Mamże ci wyznać? To, co mi pozostało jeszcze, to zawdzięczam jego szlachetności. Upojona rozkoszą widzenia go, słyszenia, słodyczą odczuwania go w pobliżu siebie, szczęściem najwyższym w świecie, iż jemu mogę dać szczęście, byłam bez władzy i bez siły; zaledwie potrafiłam walczyć, ale nie opierać się; drżałam przed niebezpieczeństwem, nie mając siły uciec przed nim. On widział moje cierpienia, ulitował się nade mną. Jakżeżbym go miała nie kochać? Winna mu jestem więcej niż życie.

Och! Gdyby zostając przy nim, o życie jedynie drżeć mi było trzeba, nie sądził, iż kiedykolwiek zgodziłabym się na to rozłączenie! Czymże mi życie bez niego! Postradać je, czyliż nie byłoby szczęściem dla mnie? Czyż nie jestem skazana, by nieustannie dręczyć jego i siebie; nie śmieć ani się uskarżać, ani jego pocieszać; bronić się każdego dnia przeciw niemu, przeciw sobie samej; dobywać całej mocy, aby mu czynić przykrość, kiedy pragnęłabym wszystkie siły poświęcić dla jego szczęścia: żyć tak, czyż to nie znaczy umierać tysiąc razy? A oto, jaki los mnie czeka! Zniosę go jednakże, będę miała tę odwagę. O ty, którą biorę sobie za matkę, odbierz moją przysięgę.

Przyjmij również ślub, jaki ci czynię, iż nie ukryję przed tobą żadnego postępu; przyjmij go, zaklinam cię; błagam cię o to, jako o pomoc, której mi tak potrzeba: w ten sposób, zobowiązana wyznać Tobie wszystko, przyzwyczaję się do uczucia, iż zawsze jestem w twojej obecności. Twoja cnota zastąpi mi moją własną. Nigdy, to pewna, nie zgodziłabym się rumienić przed twoim wzrokiem; powściągnięta tym potężnym hamulcem, kochając w tobie najpobłażliwszą przyjaciółkę, powiernicę mojej słabości, będę czciła zarazem opiekuńczego Anioła, który mnie ocali od sromu¹²⁷.

Dosyć go już odczuwam, zanosząc do ciebie tę prośbę. Jakież nieszczęśliwe następstwa zbytniego zaufania w siebie! Czemuż nie wcześniej ulekkam się tej skłonności, gdy czułam w sobie budzące się jej złowrogie oznaki? Czemuż łudziłam się, iż potrafię wedle mej woli opanować ją lub zwyciężyć? Szalona! Jakże mało znałam wówczas miłość! I dziś wszystko tracić naraz! I na zawsze! O, moja przyjaciółko!... Lecz co czynię? Nawet pisząc do ciebie, jeszcze daję folgę występnyim pragnieniom! Och, trzeba jechać, trzeba jechać.

Żegnam Cię, czcigodna przyjaciółko; kochaj mnie jak córkę, przyjmij mnie za swoje dziecko i bądź pewna, że mimo mej słabości wołałabym raczej umrzeć niż stać się niegodną twojego wyboru.

3 października 17** o godzinie 1 w nocy.

LIST CIII

Pani de Rosemonde do prezydentowej de Tourvel

Moje drogie dziecko, bardziej zmartwiłam się twoim wyjazdem, niż zdziwiłam jego przyczyną; doświadczenie wielu lat i sympatia, jaką budziś we mnie, wystarczyły, aby mnie objaśnić o stanie twego serca; i jeżeli mam być zupełnie szczerą, list twój nie powiedział mi nic albo też prawie nic nowego. Gdybym jedynie z niego miała czerpać moje wiadomości, nie wiedziałabym jeszcze, kto jest tym, którego kochasz; bowiem mówiąc mi o nim cały czas, nie wymieniłaś ani razu jego imienia. Nie potrzebowałam tego; wiem dobrze, kto to taki. Ale podnoszę to, ponieważ przypomniałam sobie, że to jest odwieczny styl miłości. Widzę, że wszystko pozostało tak samo jak za dawnych czasów.

Nie sądziłam zgoła, iż znajduję się kiedy w konieczności wskrzeszania wspomnień tak odległych ode mnie i tak obcych mojemu wiekowi. Mimo to od wczoraj wiele nad tym rozmyślałam w chęci znalezienia czegoś, co by mogło ci być użyteczne. Ale cóż poradzę? Mogę tylko podziwiać ciebie i litować się nad tobą. Pochwalam zacne postanowienie,

¹²⁷ srom (daw.) — wstyd, hańba.

jakie powzięłaś: ale przeraża mnie ono, ponieważ wnoszę z tego, że musiałaś je uznać za konieczne, a kiedy się już zajdzie tak daleko, bardzo jest trudno nakazać sobie wieczną rozłąkę z tym, do którego serce zbliża nas bez ustanku.

Mimo to nie trać odwagi. Nic nie jest niepodobnym dla twojej pięknej duszy; i gdybyś kiedy miała to nieszczęście ulec (od czego niech Bóg ustrzeże!) wierząc mi, moje drogie dziecko, zachowaj sobie przynajmniej tę pociechę, iż walczyłaś z całej twej mocy. A wreszcie, czego nie zdoła ludzka roztropność, to sprawia łaska niebios, jeżeli taka jest jej wola. Ufaj, iż ona pospieszy ci z pomocą; i że cnota twoja, wypróbowana w tych ciężkich zapasach, wyjdzie z nich czystsza jeszcze i świetniejsza.

Zostawiając Opatrzności troskę wspomnienia cię w niebezpieczeństwie, przeciw któremu nic nie mogę zaradzić, gotowa jestem podtrzymywać cię i pocieszać tyle, ile tylko będę zdolna. Nie uśmierzę twoich cierpień, ale podzielę je z tobą. Z chęcią gotowa jestem być ci powiernicą. Czuję, że twoje serce musi tego łaknąć. Otwieram ci moje własne; wiek nie oziębził go do tego stopnia, iżby miało być obce uczuciom przyjaźni. Znajdziesz je zawsze gotowe, ażeby cię wysłuchać. Słabą to będzie ulgą dla twojej boleści, ale przynajmniej nie będziesz płakała sama; i skoro ta nieszczęśliwa miłość, wezbrana zbyt silnie w twym sercu, zmusi cię, byś mówiła o niej, lepiej, aby to stało się ze mną, niżeli z *nim*. Oto i ja zaczynam używać twojego języka: zdaje mi się, że obie razem nie zdobędziemy się, aby *go* nazwać: zresztą rozumiemy się.

Nie wiem, czy dobrze robię, mówiąc ci, iż on zdawał się żywo dotknięty twoim wyjazdem: byłoby może roztropiej nie mówić ci o tym: ale ja nie lubię tej roztropności, która sprawia przykrość tym, których kocham. Jednakże nie będę mogła dziś mówić o tym dłużej. Słaby wzrok i drżąca ręka nie pozwalają mi na długie listy, kiedy je muszę pisać sama.

Do widzenia zatem, moja śliczna, do widzenia, moje drogie dziecko: tak, przyjmuję cię chętnie za córkę, posiadasz wszak wszystko, czego trzeba, aby być dumą i rozkoszą swej przybranej matki.

Z zamku ***, 3 października 17**

LIST CIV

Markiza de Merteuil do pani de Volanges

W istocie, moja droga i dobra przyjaciółko, z trudnością przychodzi mi się bronić od uczucia dumy, kiedy czytam twój list. Jak to! Ty zaszczycasz mnie swoim całkowitym zaufaniem! Posuwasz się nawet aż do szukania u mnie dobrej rady! Ach, jakże szczęśliwa jestem, jeżeli zasługuję na mniemanie tak pochlebne z twej strony: jeżeli nie zawdzięczam go jedynie zaślepieniu przyjaźni. Zresztą jakikolwiek jest jej powód, ufność ta nie mniej cenną jest mojemu sercu; a to, iż umiałam ją pozyskać, jest w mych oczach tylko jedną przyczyną więcej, aby się starać istotnie na nią zasłużyć. Powiem ci zatem (nie ośmielając się wszelako udzielać ci wskazówek), powiem ci otwarcie, jaki jest mój sposób myślenia w tym względzie. Nie polegam zbyttnio na nim, ponieważ różni się od twego: ale gdy ci przedstawię moje przyczyny, będziesz mogła je osądzić; a jeśli je potępisz, przychyłam się już z góry do twego wyroku. Zachowam przynajmniej tę roztropność, iż nie będę się uważała za roztropiejszą od ciebie.

Jeżeli jednak moje mniemanie wyjątkowo okazałoby się trafniejsze, przyczyn tego należałoby szukać w złudzeniach miłości macierzyńskiej. Ponieważ jest to uczucie ze wszech miar chwalebne, nie mogło tedy na ciebie nie oddziaływać. Jakżeż znać jego wpływy w zamiarze, o którym mi wspominasz! Tak więc jeżeli ci się zdarza kiedykolwiek błądzić, to jedynie w wyborze cnót.

Ze wszystkich cnót wydaje mi się najważniejszą przezorność, wówczas gdy ma się rozrządzać losem drugich osób; a zwłaszcza gdy chodzi o ustalenie tego losu przez węzeł nierozzerwalny i święty, jak węzeł małżeństwa. Wówczas matka, zarówno roztropna jak czuła, ma obowiązek, jak słusznie to powiedziałaś, *wesprzeć córkę swoim doświadczeniem*. Otóż zapytuję ciebie, co mieści się w tym pojęciu? Zdaje mi się, że przede wszystkim obowiązek ścisłego rozróżnienia między tym, na co się ma ochotę, a tym, co się powinno.

Czyż to nie byłoby poniżeniem powagi macierzyńskiej, nie byłoby unicestwieniem jej zupełnym, gdyby się miało podporządkowywać ją pod złudną potęgę przelotnego upodo-

bania? Co do mnie, wyznaję, nie wierzyłam nigdy w owe namiętności porywające i nieodparte, których ludzie tak chętnie używają za płaszczyk dla wszelkich swoich kaprysów. Nie pojmuję zgola, w jaki sposób skłonność, która się w jednej chwili rodzi, a w następnej zamiera, miałyby posiadać więcej siły od niewzruszonych zasad skromności, uczciwości i wstydu: również nie pojmuję, aby kobieta, która się sprzeniewierza tym cnotom, mogła znaleźć usprawiedliwienie w swojej namiętności, podobnie jak złodziej nie może się uniewinnić pożądaniem pieniędzy, ani też morderca pragnieniem zemsty.

Ach, któż może powiedzieć, że nie musiał nigdy walczyć z sobą? Jednak, co do mnie, zawsze starałam się przekonać siebie, że aby oprzeć się, wystarczy chcieć; i aż do tej chwili przynajmniej doświadczenie potwierdziło to moje przekonanie. Czymże byłaby cnota bez obowiązków, jakie nam nakłada? Świadcstwo jej mieści się w poświęceniach, jej nagroda w naszym sercu. Zaprzeczyć takim prawdom zdolni są tylko ci, którzy mają swój interes w tym, aby je zapoznawać, i którzy, już skażeni jadem zepsucia, próbują usprawiedliwić swoje błędne postęпки za pomocą błędnych rozumowań.

Ale czy można się obawiać tego ze strony dziecka prostodusznego i nieśmiałego; ze strony dziecka urodzonego z ciebie i w którym wychowanie skromne i czyste mogło jedynie wzmocnić szczęśliwe dary przyrody? A dla takich to właśnie obaw, które ośmielię się nazwać poniżającymi dla twojej córki, pragniesz poświęcić zaszczytne małżeństwo, z całą roztropnością przez ciebie obmyślane! Lubię bardzo Danceny'ego; od dawna zaś, jak wiesz, mało utrzymuję stosunków z panem de Gercourt: ale mimo iż dla jednego mam przyjaźń, drugi zaś jest mi obojętny, nie mogę nie zdawać sobie sprawy z ogromnej różnicy, jaka dzieli te dwie partie.

Urodzenie ich jest równe, przyznaję; ale jeden jest bez majątku, drugiego zaś majątek jest taki, że nawet bez urodzenia byłby już poważnym atutem życiowym. Przyznaję chętnie, że pieniądź nie daje szczęścia; ale trzeba przyznać także, że bardzo je ułatwia. Panna de Volanges jest, jak powiadasz, dość bogata za dwoje: mimo to sześćdziesiąt tysięcy funtów renty, jakie jej przypadną, to nie jest tak wiele, skoro ma się nosić nazwisko Danceny'ego, skoro ma się postawić i utrzymać dom na wysokości związanych z tym wymagań. Nie żyjemy już w czasach pani de Sévigné. Zbytek życia pochłania dziś wszystko: gani się go, ale trzeba go naśladować, nieraz choćby kosztem najcięższych ofiar.

Co do przymiotów osobistych, którym przypisujesz taką wagę i to z całą słuszością, to pewna, że pod tym względem pan de Gercourt jest bez zarzutu i miał sposobność złożyć już tego dowody. Chętnie gotowa jestem wierzyć i wierzę w istocie, że Danceny nie ustępuje mu w niczym; ale czy możemy być tego równie pewne? To prawda, że wydawał się dotąd wolny od przywar swojego wieku i że wbrew panującym dzisiaj obyczajom okazuje skłonność do towarzystwa ludzi szanownych i zacnych: skłonność, która każe pomyślnie rokować o jego przyszłości: ale kto wie, czy ta pozorna roztropność nie jest właśnie wynikiem jego skromnej sytuacji materialnej. O ile ktoś nie chce zostać wątpliwą i podejrzaną figurą, musi mieć pieniądze, aby grać lub oddawać się zbyt wesołym zabawom, co nie przeszkadza, że ktoś może mimo to mieć pociąg do tych błędów. Słowem, nie on byłby pierwszym spośród tych, którzy ciągną do uczciwego towarzystwa jedynie z braku możliwości miłszego spędzenia czasu.

Nie mówię wcale (niechże mnie Bóg broni!), że ja mam o nim to przekonanie: ale w każdym razie jest w tym pewne ryzyko; na jakież zaś wymówki mogłabyś się narażić, gdyby rezultat nie wypadł szczęśliwie! Cóż odpowiedziałabyś córce, gdyby ci kiedyś rzekła: „Byłam, matko, młoda i niedoświadczona; byłam nawet pod wpływem omamienia zrozumiąłem w moim wieku: ale niebo, które przewidywało moją słabość, obdarzyło mnie rozumną matką, aby zaradzić złemu i uchronić mnie od niebezpieczeństwa. Czemuż więc, zbaczając z drogi roztropności, zezwoliłaś na moje nieszczęście? Czy do mnie należało wybierać sobie małżonka, skoro sama istota małżeństwa była dla mnie tajemnicą? Gdybym nawet objawiła to zachcenie, czyliż nie twoją rzeczą było sprzeciwić się temu? Ale w mej głowie nigdy nie powstała ochota tak szalona. Gotowa być ci we wszystkim posłuszną, oczekiwałam twego wyboru z pełnym szacunku poddaniem; nigdy nie wykroczyłam przeciw uległości, jaką ci byłam winna, a mimo to dźwigam dzisiaj karę, na którą zasłużyły jedynie dzieci nieposłuszne. Och, matko, słabość twoja zgubiła mnie”... Może szacunek jej przytłumiłby te skargi; ale miłość macierzyńska odgadłaby je: i lży

córki, mimo że tajone przed tobą, nie mniej przeto spadałyby na twoje serce. Gdzie szukałabyś wówczas pociechy? Czy w tej szalonej miłości, przeciw której powinnaś była ją uzbroić, a której, przeciwnie, sama się dałaś pociągnąć?

Nie wiem, droga przyjaciółko, czy uprzedzenie moje przeciwko tej namiętności nie idzie zbyt daleko; ale wydaje mi się ona zbyt niebezpieczną nawet w małżeństwie. Nie, iżbym była przeciwną temu, by uczucie zacne i tkliwe miało przystroić węzeł małżeński i złagodzić do pewnego stopnia obowiązki, jakie on nakłada; ale nie takiemu uczuciu przystało tworzyć te węzły i nie może być rzeczą złudzeń jednej chwili, by miały kierować wyborem naszego życia. Aby *wybrać*, trzeba *porównywać*; a jakżeż to uczynić, skoro jeden przedmiot nas pochłania: kiedy jego samego nawet nie możemy poznać, zanurzeni w szale i zaślepieniu?

Spotkałam w życiu, jak możesz przypuszczać, wiele kobiet dotkniętych tą niebezpieczną chorobą: słuchałam nawet zwierzeń niejednej z nich. Gdyby im wierzyć, nie ma ani jednej, której przedmiot miłości nie byłby istotą na wskroś doskonałą; ale te urojone doskonałości istnieją jedynie w wyobraźni. W ich rozpalonych głowach roją się same rozkosze i powaby; stroją w nie do syta tego, który im jest miły; to szaty niemal boskie wkładane nieraz na przedmiot pełen ohydy: ale bez względu na to, jakim przedmiot ów jest w istocie, zaledwie go tak przystroją, już omamione swoim własnym dziełem upadają przed nim na twarz w uwielbieniu.

Albo twoja córka nie kocha Danceney'ego, albo też ulega temu samemu złudzeniu: jest ono wspólne im obojgu, jeżeli miłość jest wzajemna. Tak więc wszystko, co można by powiedzieć w tej mierze, sprowadza się do pewności, że oni się nie znają, że wprost nie mogą się znać. „Ale — powiesz mi — czyż pan de Gercourt i moja córka znają się lepiej?”. Nie, z pewnością; ale przynajmniej nie łudzą się co do siebie, po prostu nic o sobie nie wiedzą. Cóż dzieje się w takim wypadku pomiędzy dwojgiem małżonków, o których przypuszczam, że są zacni oboje? To, iż każdy z nich przygląda się drugiemu, śledzi samego siebie w stosunku do drugiej strony, szuka i odkrywa wkrótce, ile należy mu ustąpić ze swej woli na rzecz wspólnego spokoju. Te lekkie poświęcenia przychodzą bez trudu, ponieważ są obustronne i ponieważ są przewidziane: wkrótce stają się one źródłem wzajemnej życzliwości; za nią w ślad idzie owa słodka przyjaźń, to tkliwe zaufanie, które połączone z szacunkiem tworzy, o ile mi się zdaje, prawdziwe szczęście w małżeństwie.

Złudzenia miłości mogą być ponętniejsze; ale dla kogóż jest tajemnicą, że są zarazem mniej trwale? I jakież niebezpieczeństwa sprowadza chwila, która je niweczy! Wówczas to najmniejsze wady wydają się rażące i nie do zniesienia przez sprzeczność, jaką tworzą z pojęciem doskonałości, które nas uwiodło. Każde z dwojga małżonków mniema jednakże, że tylko drugie się zmieniło i że ono samo jest warte zawsze tyle, ile mu ceny nadała krótka chwila złudzenia. Mimo iż samo nie doświadcza już dawnego czaru, dziwi się, iż nie umie go wzbudzić; czuje się tym upokorzone; zraniona próżność rozdrażnia umysł, powiększa błędy, wywołuje niezadowolenie, hodzi nienawiść: i przelotne uciechy przychodzi opłacić w następstwie przez długą niedolę.

Oto, droga przyjaciółko, mój sposób myślenia w przedmiocie, który nas zajmuje; nie upieram się przy nim, przedstawiam go jedynie; twoją rzeczą będzie postanowić. Ale jeżeli trwasz w swoim zamiarze, proszę cię, byś zechciała objawić mi pobudki, które przewalczą moje; bardzo będę rada oświecić się twoim zdaniem, a zwłaszcza upewnić się o losie tego uroczego dziecka, którego szczęścia pragnę nader gorąco, tak przez przyjaźń dla niej, jak i przez tę, która wiąże mnie do ciebie na całe życie.

Paryż, 4 października 17**

LIST CV

Markiza de Merteuil do Cecylii Volanges

I cóż, mała, widzę, bardzo zagniewana, bardzo zawstydzona! Ten pan de Valmont to strasznie zły człowiek, nieprawdaż? Jak to, ośmiela się postępować z tobą jak z kobietą, którą by kochał! Uczy cię tego, czego tak chciałaś się dowiedzieć, że aż umierałaś z ochoty! Doprawdy, to nie do darowania! A ty, ze swojej strony, pragniesz zachować swą cnotę dla kochanka (który jej nie wodzi na pokuszenie, to prawda); pociągają cię w miłości tylko umartwienia, a nie rozkosze! To ślicznie; doskonale wyglądałabyś doprawdy w jakimś ro-

mansie. Namiętność, nieszczęście, cnota ponad wszystko, ileż tu pięknych rzeczy! W tym wspaniałym orszaku można się czasem znudzić, co prawda, ale za to innym oddaje się tę nudę z nawiązką.

Widzicie to biedne dziecko, jaka ona nieszczęśliwa! Miała oczy podkrążone naziutrz! I coś dopiero powiesz, jak to nieszczęście przyjdzie na twego kochanka! Nie bój się, aniołku, nie zawsze ci się to zdarzy; nie każdy mężczyzna jest Valmontem. A do tego nie śmiało biedactwo podnieść tych oczków! Och, co do tego, to może miałaś słuszość; każdy wyczytałby w nich twoją przygodę. Wierz mi jednakże, że gdyby tak było, nasze panie, a nawet nasze panny chodziłyby stale ze skromnie spuszczonej oczyma.

Mimo tych pochwał, których ci nie szczędzę, jak widzisz, trzeba przyznać jednak, że nie dopełniłaś swego arcydzieła: trzeba było wszystko opowiedzieć mamie! Tak dobrze już zaczęłaś! Już rzuciłaś się w jej ramiona, szlochałaś, ona popłakiwała także: coś za wzruszająca scena! Jaka szkoda, że jej nie doprowadziłaś do końca! Twoja czuła matka, uszczęśliwiona tą skrucą, pragnąc dopomóc twej cnocie, zapakowałaby cię do klasztoru na całe życie; tam mogłabyś kochać Danceny'ego, ile byś sama chciała, bez rywali i bez grzechu: mogłabyś sobie rozpaczać do syta; i Valmont, to pewna, nie zjawiłby się, aby zamacać twoją boleść tak niepożądaną pociechą.

Poważnie mówiąc, czy można, mając skończonych piętnaście lat, być takim dzieckiem jak ty? Masz zupełną słuszość, gdy mówisz, że niewarta jesteś mojej dobroci. Chciałam mimo to być twoją przyjaciółką: przydałoby ci się to może przy takiej matce i przy mężu, jakiego ci przeznacza! Ale jeżeli ty choć trochę nie dorośniesz i coś chcesz, abym mogła zrobić z ciebie? Czego można się spodziewać, jeżeli to, co zwykle dodaje rozumu dziewczętom, tobie zdaje się, przeciwnie, go odbierać?

Gdybyś była zdolna zastanowić się choć chwilę, doszłabyś wkrótce do przekonania, że powinnaś winszować sobie tylko, zamiast się uskarżać. Ale ty się wstydzisz i to cię kłopot! Ech, uspokój się; z wstydem, o jaki przyprawia miłość, to jest tak samo jak z bólem: to tylko pierwszy raz. Można go potem jeszcze udawać, ale już się go nie czuje. Natomiast przyjemność zostaje, a to też jest coś warte. Zdaje mi się nawet, iż mogłam rozeznąć, poprzez twoją paplaninę, że ona w twojej przygodzie wcale nie małą odegrała rolę. No, mała, bądź ze mną troszkę szczerą! Ejże! To pomieszenie, które nie pozwalało ci *robić tak, jak mówiłaś*, które sprawiło, iż tak *trudno było ci się bronić, że byłaś jak gdyby zmartwioną*, kiedy Valmont już odszedł — czy to wstyd je powodował czy też przyjemność? I *jego sposób mówienia, na który nie wie się, co odpowiedzieć*, czy to nie pochodziło przypadkiem z *jego sposobu działania*? Ejże, dziewczusko mała, kłamiesz i to kłamiesz swojej przyjaciółce! To niedobrze, bardzo niedobrze. Ale dość żartów.

To, co dla każdej innej byłoby przyjemnością i niczym więcej, to w twoim położeniu staje się prawdziwym szczęściem. Zaiste, postawiona pomiędzy matką, której miłość pragnęłabyś zachować, i kochankiem, do którego pragniesz należeć na zawsze, jakżeż możesz nie widzieć tego, że jedynym sposobem połączenia tych dwóch sprzecznych sobie celów jest zająć się kimś trzecim? Zaprzątnięta tą nową przygodą, zyskasz w oczach mamy zaślugę, iż wyrzekasz się przez posłuszeństwo skłonności, której ona jest przeciwną, zaś w oczach kochanka przystroisz się w powaby niezłomnej cnoty. Zapewniając go bezustannie o swojej miłości, będziesz się bronić przed udzieleniem ostatnich jej dowodów. Tę odmowę, tak mało uciążliwą w twoim obecnym położeniu, on położy niewątpliwie na karb twojej świętości: będzie się może na nią użalał, ale kochać będzie cię za to tym więcej. I ty, aby zdobyć tę podwójną zaślugę, potrzebujesz się jedynie oddać tym uciechom, których w oczach obojga wyrzekasz się na pozór! Och, ileż kobiet pielęgnowałoby z całą gorliwością swoją dobrą sławę, gdyby mogły jej bronić za pomocą tak miłych środków!

Czy ten sposób, jaki ci podsuwam, nie wydaje ci się najrozsądniejszym i najslodszy zarazem? A czy wiesz, co zyskałaś na tym, do którego ty się chciałaś uciec? To, że mama wnosi z twego rosnącego smutku, iż miłość twoja potęguje się, nie słabnie, że jest tym oburzona i że czeka tylko, aż się o tym upewni, aby cię za to ukarać. Właśnie pisała mi o tym: będzie robiła wszystko, aby wydobyć od ciebie samej to wyznanie. Posunie się może, zwierzyła mi się z tym, aż do tego, aby ci ofiarować Danceny'ego za męża; a to by cię tym łatwiej nakłonić do zwierzeń. I jeżeli dając się uwieść tej podstępnej czułości, odpowiesz wedle swego serca, wkrótce, zamknięta w klasztorze na czas bardzo długi, może na zawsze, będziesz mogła do woli oplakiwać skutki ślepej łatwowierności.

Ten podstęp, którego ona chce użyć względem ciebie, ty powinnaś starać się zwalczyć innym znowu podstępem. Zaczynj tedy, okazując mniej przygnębienia, umacniać ją w przypuszczeniu, że mniej już myślisz o Dancenym. Matka da się przekonać o tym bardzo łatwo, ile że to jest zwykły skutek oddalenia, i tym więcej, iż będzie w tym widziała tryumf swej przezorności. Ale gdyby mając jakieś podejrzenia, mimo to wystawiała cię na próbę i zaczęła z tobą mówić o małżeństwie, ty zamknij się, jak panienka dobrze wychowana, w najdoskonalszym posłuszeństwie. Ostatecznie, cóż na tym tracisz? Na to, do czego potrzebny jest mąż, tyle wart jest jeden co i drugi, a najbardziej przykry jest jeszcze mniej nieznośny jak matka.

Skoro raz matka uspokoi się co do ciebie, wyda cię wreszcie za mąż. Wówczas, swobodniejsza w swoich postanowieniach, możesz wedle upodobania rzucić Valmonta, aby wziąć Dancenego, albo też, gdy zechcesz, zachować ich obu. Bowiem nie ma co ukrywać przed tobą, twój Danceney jest bardzo miły chłopiec: ale to jeden z tych mężczyzn, których ma się, kiedy się chce i póki się chce: można więc sobie nie robić z nim wielkich zachodów. Inaczej zupełnie z Valmontem: zachować go jest trudno, rzucić niebezpiecznie. Z nim trzeba wiele sprytu, a jeżeli się go nie ma, wiele uległości. Ale też, gdyby ci się udało przywiązać go do siebie jako przyjaciela, to byłoby dla ciebie prawdziwe szczęście: postawiłby cię od razu w pierwszym rzędzie naszych modnych piękności. W ten sposób się zdobywa zachowanie¹²⁸ w świecie, a nie czerwienieniem się i płakaniem, tak jak wówczas, kiedy zakonniczki kazały wam jeść obiad na kłęczkach.

Postarasz się przeto, jeżeli jesteś rozsądna, pogodzić się z Valmontem, który musi być bardzo na ciebie rozgniewany. Masz oto po temu dobry pozór, ponieważ nie byłoby ci bezpiecznie zatrzymywać ten list przy sobie, oddaj go Valmontowi natychmiast po przeczytaniu. Nie zapomnij jednak przedtem zapieczętować go z powrotem. Po pierwsze trzeba, abyś zachowała w jego oczach zasługę kroku, jaki ku niemu uczynisz, a nie żeby to wyglądało na coś, co ci ktoś doradził; po wtóre, że ty jesteś jedyna na świecie, dla której mam tyle przyjaźni, aby mówić tak otwarcie, jak to czynię w tym liście.

Do widzenia, mój aniołku; idź za moimi radami i doniesiesz mi, czy czujesz się z tym dobrze.

PS Poczekaj jeszcze, zapomniałam... jedno słówko. Staraj się popracować nieco nad stylem. Pisziesz ciągle jeszcze zupełnie jak dziecko. Wiem, skąd to pochodzi: stąd, że mówisz wszystko, co myślisz, a nic z tego, czego nie myślisz. To może tak ująć między nami dwiema, ponieważ nie mamy nic ukrytego dla siebie; ale z innymi! Zwłaszcza w oczach twego kochanka uchodziłabyś za głupią gąskę. Rozumiesz przecie, że kiedy piszesz do kogoś, to dla niego, a nie dla siebie: powinnaś zatem starać się mówić nie tyle to, co myślisz, ale to, co mu sprawi większą przyjemność.

Do widzenia, moje serduszko: ściskam cię zamiast cię łajać, w nadziei, że na przyszłość będziesz rozsądniejsza.

Paryż, 4 października 17**

LIST CVI

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Brawo, wicehrabio, za to coś zdziałał, wart jesteś doprawdy, aby cię pokochać! Zresztą po pierwszym z twoich dwóch listów można się było spodziewać drugiego: toteż nie zdziwił mnie ani trochę; podczas gdy ty, dumny z przyszłych zwycięstw, domagałeś się już za nie nagrody i pytałeś się mnie, czy jestem gotowa, ja wiedziałam dobrze, że nie ma powodu tak bardzo znów się spieszyć. Daję ci słowo: czytając piękny opis tej tkliwej sceny, którą uczuleś się tak *żywo wzruszony*, widząc twoją wstrzemięźliwość, godną pięknych czasów naszego rycerstwa, powiedziałam sobie po dwadzieścia razy: „Oto sprawa chybiona!”.

Ale bo też czy mogło być inaczej! Cóż chcesz, aby zrobiła biedna kobieta, która się poddaje, a której się nie bierze? Nie pozostaje jej nic innego, jak tylko ratować honor; i to właśnie zrobiła twoja prezydentowa. Co do mnie, umiałam ocenić drogę, jaką ona obrała, i obiecuję sobie zrobić z niej użytek na swój rachunek przy pierwszej poważniejszej

¹²⁸ zachowanie (daw.) — szacunek, poważanie, pozycja.

sposobności, jaka się nastroczy: ale to sobie przyrzekam, że jeżeli ten, dla kogo zadam sobie tyle trudów, nie skorzysta z nich lepiej od ciebie, może z pewnością wyrzec się mnie na zawsze.

Otóż więc i zostałeś zupełnie na lodzie! I to pośród dwóch kobiet, z których jedna już doszła, jak mówisz, do *nazajutrz*, a druga niczego tak nie pragnęła, jak właśnie tam dopłynąć. Możesz sobie myśleć, że się chwałę i że łatwo jest bawić się w proroctwa po fakcie; ale przysięgam ci, że spodziewałam się tego. Bo też w istocie ty nie posiadasz ducha swojego zawodu; wiesz tylko to, czegoś się nauczył, ale pomysłowości nie masz żadnej. Toteż skoro tylko okoliczności nie pokrywają się z twymi zwyczajnymi formułkami i kiedy trzeba ci wyjść z ubitej kolei, nie umiesz sobie rady dać jak student. Ot, zwykle dzieciństwo z jednej strony, powrotny napad skrupułów z drugiej, ponieważ nie zdarza się z nimi spotykać codziennie, wystarczają, aby cię zbić z tropu; nie umiesz ani ich uprzedzić, ani im zaradzić. A kiedy spiętrzyłeś doprawdy głupstwo na głupstwo, wtedy uciekasz się do mnie, tak jakbym ja nie miała nic innego do roboty, jak tylko je naprawiać. To prawda, że to już dawałoby dosyć do czynienia.

Ostatecznie rzeczy stoją tak: z tych dwóch przygód jedną podjąłeś bez mego udziału i wbrew mojej chęci i do tej się nie mieszam; co do drugiej, ponieważ okazałeś w niej nieco względów dla mnie, podejmuję się tym zająć. Mam nadzieję, iż załączony list, który przeczytasz najpierw, a następnie oddasz małej Volanges, jest bardziej niż wystarczający, aby ją do ciebie nawrócić: ale, proszę cię o to, zadaj sobie nieco pracy nad tym dzieckiem tak, abyśmy z niej we dwoje razem zrobili przedmiot rozpaczy matki i Gercourta. Nie ma obawy o przesadzenie dawek. Widzę jasno, że młoda osóbką wcale się tym nie wystraszy! A skoro nasze widoki na nią zostaną już zniszczone, niech się inni troszczą o dalsze jej losy.

Co do mnie, to zraziłam się do niej zupełnie. Miałam zrazu nieco ochoty coś z niej zrobić i użyć bodaj do grywania komparsów pod moim kierunkiem; ale widzę, że nie ma tu materiału; jest w niej jakaś głupia naiwność, która nie ustąpiła nawet pod działaniem użytego przez ciebie, a zazwyczaj niezawodnego specyfiku: a to jest, moim zdaniem, najniebezpieczniejsza choroba, jaką kobieta może być obciążona. Przede wszystkim wada taka jest oznaką słabości charakteru prawie zawsze nieuleczalną i udaremniającą wszystko tak, że podczas gdy my byśmy się wysilali, aby ułożyć tę dziewczynę do przygód w większym stylu, zrobilibyśmy z niej tylko kobietę łatwą. Otóż nie znam nic bardziej płaskiego nad tę łatwość płynącą z głupoty, która się poddaje, nie wiedząc ani jak, ani dlaczego, jedynie ponieważ ją ktoś atakuje i ponieważ nie umie się opierać. Ten rodzaj kobiet to bezwarunkowo tylko przyrządy dla męskich przyjemności.

Powiesz mi, że wystarczy z niej zrobić tylko to właśnie i że to dosyć dla naszych zamiarów. Wybornie! Ale nie zapominajmy, że w takich przyrządach sprężyny i motory stają się rychło widoczne dla całego świata: toteż jeżeli się chce nimi posłużyć bez niebezpieczeństwa, trzeba się spieszyć, zatrzymać się w porę i zniszczyć następnie. Co prawda, to na środkach pozbycia się jej nam nie braknie i Gercourt zawsze w porę ją zamknie, kiedy nam się spodoba. Bo też skoro już nie będzie mógł wątpić o swojej katastrofie, skoro już rzecz stanie się publiczna i należycie rozgłosna, cóż nam to szkodzi, że on się zemści, byleby sam wyszedł z tego z niezatartą plamą? To, co ja mówię o mężu, ty myślisz z pewnością o matce; schodzimy się więc najzupełniej w tym punkcie.

W tej myśli, którą uważam za najlepszą i przy której ostatecznie stanęłam, zdecydowałam się poprowadzić młodą osóbkę w nieco szybkim tempie, jak to zobaczysz z mego listu; dlatego też bardzo ważne jest, aby nic nie pozostało w jej rękach, co by nas mogło skompromitować i proszę cię, zechciej o tym pamiętać. Skoro będziemy zabezpieczeni z tej strony, podejmuję się zająć stroną moralną panienki, do ciebie zaś należy reszta.

Czy ty wiesz, że mało brakowało, a starania moje byłyby stracone i że szczęśliwa gwiazda Gercourta o włos nie udaremniła wszystkich kombinacji? Pani de Volanges, wystaw sobie, dostała napadu słabości macierzyńskiej! Była już niemal gotowa oddać córkę Danceny'emu! To to właśnie przebijало się w owym czulem zainteresowaniu, które zauważyłeś *nazajutrz*. Jeszcze ty byłbyś twórcą tego pięknego arcydzieła! Na szczęście, czuła matka rozpisła się do mnie o tym i mam nadzieję, że moja odpowiedź zbrzydzi jej te plany. Tak dużo mówię o cnocie, a przede wszystkim tak obficie przeplatam list pochlebstwami, że z pewnością uzna, iż słuszność jest po mojej stronie.

Żałuję szczerze, że nie mam czasu sporządzić odpisu z tego listu, aby cię zbudować surowością moich zasad moralnych. Zobaczyłbyś, z jaką pogardą odnoszę się do kobiet, które „zapomniały o swoich obowiązkach”. Ta niezłomna surowość w słowach, to jest rzecz tak wygodna!... Szkodzi jedynie drugim, a nas nie krępuje w niczym... A potem, nie jest dla mnie tajemnicą, że zacna damulka, jak każda inna, miała swoje słabości w czasie pięknej młodości i miło mi było upokorzyć ją nieco przynajmniej w jej sumieniu; to mi zacierza nieco trochę tych pochwał, jakimi muszę ją raczyć wbrew własnemu mniemaniu.

Do widzenia, wicehrabio; pochwałam bardzo zamiar pozostania w zamku jeszcze przez czas jakiś. Nie mam środków po temu, aby przyspieszyć twoje postępy: ale radzę ci, byś urozmaicił nieco czas pokuty zabawą z naszą wspólną pupilką. Co zaś do mojej osoby, to mimo uprzejmego wezwania, widzisz dobrze, że jeszcze trzeba zaczekać; a przyznasz chyba, że nie z mojej winy.

Paryż, 4 października 17**

LIST CVII

Azolan do wicehrabiego de Valmont

Jaśnie Panie!

Stosownie do pańskich rozkazów pospieszyłem bezzwłocznie po odebraniu listu do pana Bertrand, który mi wypłacił dwadzieścia pięć ludwików, tak jak mu to polecono.

Natychmiast potem udałem się do pani prezydentowej, aby zobaczyć się z Julią, ale wyszła, i widziałem się jedynie ze służącym La Fleur, od którego nic się nie mogłem dowiedzieć, ponieważ od czasu przybycia tutaj był w domu jedynie w godzinach posiłku. Młodszy pomocnik pełnił przez cały ten czas służbę, a jaśnie pan wie dobrze, że jego nie znam. Ale zacząłem już dzisiaj wstępne kroki.

Powróciłem rano do panny Julii, która wydała się bardzo rada z tego spotkania. Chciałem ją wy badać co do przyczyny wyjazdu jej pani; ale powiedziała mi, że nic o tym nie wie, i zdaje się, że mówi prawdę. Wyrzucałem jej, że nie uprzedziła mnie o wyjeździe: zaręczała, że otrzymała rozkazy dopiero ostatniego wieczoru, układając panią na spoczynek; tak iż cała noc zeszła jej na pakowaniu rzeczy; biedna dziewczyna spała zaledwie dwie godziny. Opuściła pokój swojej pani dopiero o pierwszej, zaś kiedy odchodziła, pani de Tourvel zasiadała dopiero do pisania.

Rano, wyjeżdżając, pani prezydentowa oddała list odźwiernemu zamku. Panna Julia nie wie, do kogo było to pisanie: mówi, że może do jaśnie pana; ale jaśnie pan nic mi o tym nie wspomina.

W ciągu podróży pani miała twarz osłoniętą dużym kapturem, wskutek tego nie można było jej widzieć: ale zdaje się, że płakała prawie przez całą drogę. Znalazłszy się w domu, pani położyła się do łóżka, ale tylko na dwie godziny. Skoro wstała, kazała przywołać szwajcara i wydała rozkaz, aby nikogo nie wpuszczał do domu. Wcale nie robiła toalety. Zeszła do obiadu; ale zjadła jedynie trochę rosółu i zaraz opuściła jadalnię. Kawę podano do pokoju pani. Panna Julia zastała wówczas panią prezydentową porządkującą papiery w sekretarzyku; o ile mogła spostrzec, były to listy. Założyłbym się, że to listy jaśnie pana. Z trzech listów, które przysły do niej popołudniu, jeden miała przed sobą jeszcze nad samym wieczorem! Jestem pewny, że to też był list od pana. Ale czemuż właściwie ona wyjechała tak nagle? Nie rozumiem tego, doprawdy! Zresztą jaśnie pan może to najlepiej wiedzieć i to nie moja sprawa.

Pani prezydentowa udała się popołudniu do biblioteki i wzięła stamtąd dwie książki, które zabrała z sobą do buduaru; ale panna Julia zapewnia, że w ciągu całego dnia, czytała je zaledwie kwadrans, a tylko cały czas odczytywała ten list i dumiała wsparta na rękę. Ponieważ pomyślałem sobie, że jaśnie pan będzie pewno rad wiedzieć, co to były za książki, a panna Julia nie wiedziała, kazałem się zaprowadzić sam dzisiaj do biblioteki pod pozorem, że chcę ją obejrzeć. Jest puste miejsce tylko po dwóch książkach: jedna to drugi tom *Myśli chrześcijańskich*; a druga pierwszy tom książki, która ma za tytuł *Klarysa*. Piszę tak, jak jest; jaśnie panu będzie zapewne wiadomo, co to takiego.

Wczoraj wieczorem pani nie wieczerzała wcale: piła tylko herbatę.

Dziś rano zadzwoniła bardzo wcześnie; kazała zaraz zaprzęgać i przed dziewiątą była już w kościele, gdzie wysłuchiwała mszy świętej. Chciała się spowiadać; ale jej spowiednik

wyjechał i nie wróci aż za jaki tydzień. Sądziłem, że dobrze będzie powiadomić o tym jaśnie pana.

Następnie pani wróciła, spożyła śniadanie i zasiadła do pisania, które trwało blisko godzinę. Miałem sposobność zrobić to, czego jaśnie pan życzył sobie najwięcej: postarałem się o to, aby odnieść listy na pocztę. Listu do pani de Volanges nie było: ale posyłam jaśnie panu inny, do pana prezydenta: wydało mi się, że to musi być najciekawszy. Był także jeden dla pani de Rosemonde; pomyślałem sobie, że ten jaśnie pan i tak przeczyta, jeśli będzie miał ochotę i oddałem go na pocztę. Zresztą jaśnie pan dowie się sam o wszystkim, skoro pani prezydentowa i do niego pisała. Będę mógł mieć i nadal wszystkie listy, jakich pan zapragnie, bowiem prawie zawsze panna Julia odbiera je od pani. Upewniła mnie, że przez przyjaźń dla mnie, a także dla pana, zrobi chętnie wszystko, czego zażadam.

Nie chciała nawet przyjąć pieniędzy, które jej ofiarowałem; ale myślę, że jaśnie pan zechce jej zrobić jaki mały prezencik; i gdyby taka była jego wola, może bym ja się tym zajął: wiedziałbym dobrze, co jej zrobi największą przyjemność.

Mam nadzieję, że jaśnie pan nie będzie uważał, że pełnię służbę zbyt opieszale: bardzo leży mi na sercu, aby się usprawiedliwić z wymówek, jakie mnie spotkały. Co do tego, co jaśnie pan mi wyrzuca, że zwykle jestem bez pieniędzy, to najpierw dlatego, że lubię być czysto i przyzwoicie ubrany, jak jaśnie pan sam to widzi; a po wtóre trzeba podtrzymywać honor barwy, którą się nosi. Wiem dobrze, że powinien bym nieco zaoszczędzić na starość; ale polegam w zupełności na szlachetności jaśnie pana, który jest taki dobry dla swoich ludzi.

Co się tyczy wstąpienia w służbę pani de Tourvel, pozostając równocześnie w służbie jaśnie pana, mam nadzieję, że jaśnie pan nie będzie tego wymagał ode mnie. To było zupełnie co innego u księżnej; ale to pewna, że nie włożę na siebie liberii, i to jeszcze liberii domu urzędniczego, kiedy miałem zaszczyt być strzelcem u jaśnie pana. Co się tyczy reszty, jaśnie pan może rozporządzać tym, który ma zaszczyt być równie powolnym jak przywiązany, najniższym jego sługą.

Roux Azolan, strzelec.

Paryż, dnia 5. października 17**, o godz. 11 wieczorem

LIST CVIII

Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde

O moja najpobłażliwsza matko! Jakież ci mam składać dzięki! Jakże bardzo potrzebowałam twojego listu! Czytałam go i odczytywałam bez przerwy; nie mogłam się od niego oderwać.

Jaka Ty jesteś dobra! Zatem cały twój rozum, cnota, nie przeszkadzają ci współczuć ze słabością! Litujesz się moich udręczeń! Ach, gdybyś je znała!... Są straszne. Mniemałam, iż przeżyłam wszystkie cierpienia miłości; ale męczarnia niewypowiedziana, ta, którą trzeba przejść samemu, aby mieć o niej pojęcie, to rozłączać się z tym, kogo się kocha, i to rozłączać się na zawsze!... Tak, cierpienie, które mnie gnębi dzisiaj, powróci jutro, pojutrze, i tak całe życie! Mój Boże! Jakaż ja młoda jestem i ileż czasu pozostaje mi na tę mękę!

Być samej sprawczynią swego nieszczęścia; rozdzierać sobie serce własnymi rękami: i podczas gdy się cierpi te nieopisane męczarnie, czuć w każdej chwili, że można by im koniec położyć jednym słowem i że to słowo jest zbrodnią!

Kiedy powzięłam to tak ciężkie postanowienie, by uciec od niego, spodziewałam się, że nieobecność wzmocni moją odwagę i siły. Jakżeż się omyliłam! Wprzód miałam więcej do walczenia, to prawda; ale nawet wówczas, gdy się opierała, nie wszystkiego musiałam się wyrzekać; przynajmniej widywałam go od czasu do czasu; często nawet nie śmiejąc podnieść na niego oczu, czułam, że jego spojrzenia spoczywały na mnie: tak, czułam je, zdawało mi się, że rozgrzewają mi duszę; mimo iż nie przechodziły przez moje oczy, wnikały wprost do serca. Teraz, w okropnej samotności, oderwana od wszystkiego, co mi jest drogim, sam na sam z moim nieszczęściem, każdą chwilę istnienia znaczę łzami i nic nie łagodzi ich goryczy!

Nie dalej jak wczoraj uczułam to aż nazbyt żywo. Wśród listów, które mi oddano, był również list jego: jeszcze nie miałam go w rękach, a już z daleka poznałam wśród

innych. Podniosłam się mimo woli: drżałam, trudno mi było ukryć moje wzruszenie; czułam jakby jakąś błogość. Skoro w chwilę później pozostałam sama, rozwiała się ta zwodnicza słodycz, zostawiając mi tylko jedno więcej poświęcenie do spełnienia. Zaiste, czyliż wolno mi było otworzyć ten list tak upragniony? Tak, więc, przez tę fatalność, jaka mnie prześladowe, w tym nawet, w czym mogłabym znaleźć jakiś cień pociechy, spotykać muszę jeno niedole nowych wyrzeczeń; a ranią mnie one tym boleśniej, że i pan de Valmont przypłaca je cierpieniem.

Oto wreszcie padło imię, które zajmuje mnie bez przerwy, a które z takim trudem przyszło mi napisać; cień wymówki, jaki z tego powodu przebija się w pani liście, poruszył mnie prawdziwie do głębi. Błagam panią, byś zechciała wierzyć, że uczucie fałszywego wstydu nie zaćmiło bynajmniej mego zaufania do ciebie; i czemuż miałabym wstydzić się go nazwać? Ach, ja rumienię się za moje uczucia, a nie za przedmiot, który jest ich powodem. Któż w świecie godniejszy byłby je obudzić! Mimo to nie wiem, dlaczego to imię nie nasuwa mi się w naturalny sposób pod pióro; i teraz nawet potrzebowałam pewnego wysiłku, aby je wymienić. Wracam do *niego*.

Donosisz mi, pani, że zdawał się *żywo poruszony moim wyjazdem*. Jak się zachował? Co powiedział? Czy mówił co o powrocie do Paryża? Proszę panią, byś zechciała odwozдить go od tego, o ile tylko to będzie w twojej mocy. Jeżeli mnie dobrze poznał, nie powinien mieć do mnie żalu za ten postępek: ale powinien czuć, że postanowienie moje jest niecodwołalne. Największym udręczeniem dla mnie jest nie wiedzieć, co on myśli. Mam wprawdzie jeszcze przed sobą jego list... ale ty sama, pani, jesteś z pewnością mego zdania, że nie powinnam go otworzyć.

Przez ciebie jedynie, droga i dobra przyjaciółko, mogę nie być zupełnie odcięta od niego. Nie chcę nadużywać twojej dobroci; czuję to doskonale, że listy twoje nie mogą być długie, ale nie odmówisz wszak dwóch słów swojemu dziecku: jedno, aby podtrzymać jego odwagę, a drugie, żeby je pocieszyć.

Do widzenia, czcigodna przyjaciółko.

Paryż, 5 października 17**

LIST CIX

Cecylia Volanges do markizy de Merteuil

Dzisiaj dopiero oddałam panu de Valmont list, którym mnie pani zaszczyliła. Przetrzymałam go przez cztery dni mimo całej obawy, aby go u mnie nie odkryto, ale chowałam bardzo troskliwie to pismo i kiedy strapienie chwyciło mnie na nowo, zamykałam się, aby je odczytać.

Widzę dobrze, że to, co uważałam za okropne nieszczęście, to znów nic tak strasznego, i trzeba przyznać, że ma się przy tym dużo przyjemności: tak że już się nie martwię prawie wcale. Jedynie myśl o Dancenym dręczy mnie od czasu do czasu. Ale coraz częściej już się zdarza, że nie myślę o nim ani troszkę, bo też pan de Valmont strasznie umie być miły!

Pogodziłam się z nim od dwóch dni i bardzo mi to łatwo przyszło; jeszcze nie wyrzekałam dwóch słów, kiedy on mi powiedział, że jeżeli mam mu co do powiedzenia, to przyjdzie wieczór do mojego pokoju: więc rzekłam tylko, że bardzo chętnie. A potem, kiedy już był u mnie, ani trochę nie wydawał się rozgniewany, tak jak gdybym mu nigdy nic nie była zrobiła. Połajał mię dopiero potem i to jeszcze bardzo łagodnie; i to w taki sposób... tak samo jak pani; co mnie upewniło, że ma wiele przyjaźni dla mnie.

Nie umiałabym pani powtórzyć, ile on mi opowiedział zabawnych rzeczy, takich, że bym nigdy nie była myślała; szczególnie o mamie. Bardzo byłabym pani wdzięczna, żeby mi pani doniosła, czy to prawda? Nie mogłam po prostu wstrzymać się od śmiechu, słuchając tego wszystkiego; raz nawet pękałam tak, żeśmy się aż przestraszyli, żeby mama nie usłyszała; no, gdyby jej przyszła ochota zajrzeć do mnie, ojoj, co by to było! Więcej niż pewne, że byłaby mnie oddała do klasztoru!

Dla większej ostrożności i ponieważ pan de Valmont powiedział mi sam, że za nic w świecie nie chciałby narażać mnie na niebezpieczeństwo, umówiliśmy się, że odtąd on będzie przychodził jedynie otworzyć drzwi, a potem pójdziemy do jego pokoju. W ten sposób już nie ma najmniejszej obawy; byłam tam już wczoraj i teraz nawet, pisząc do

pani, czekam właśnie, aż on przyjdzie. Mam nadzieję, że mnie już pani chyba nie będzie lajała.

Jedna tylko rzecz bardzo mnie zdziwiła w pani liście; to co pani mi pisze, niby o wtedy, jak już wyjdę za mąż, co do p. Danceny'ego i pana de Valmont. Zdawało mi się, że kiedyś w operze pani mi mówiła przeciwnie, że gdy już raz wyjdę za mąż, będę mogła kochać tylko męża i że trzeba mi będzie zapomnieć nawet o Dancenym; zresztą być może, że ja źle zrozumiałam i nawet wolę to, bo teraz nie będę miała takiego strachu przed małżeństwem. Owszem, cieszę się na nie, bo będę miała więcej swobody; mam nadzieję, że wówczas będę się mogła urządzać w taki sposób, aby myśleć tylko o Dancenym. Zdaje mi się, że naprawdę to mogłabym być szczęśliwa tylko z nim: teraz myśl o nim nęka mnie ciągle, i mogę się czuć dobrze jedynie wtedy, kiedy potrafię nie myśleć o nim całkiem, a to jest bardzo trudno; a jak tylko zacznę, zaraz się martwię na nowo.

Pociesza mnie trochę to, co pani mówi, że Danceny będzie mnie tym więcej kochał za to; ale czy pani pewna jest tego?... Och, tak! Pani nie chciałaby mnie zwodzić! Z tym wszystkim, to jest zabawne, że ja kocham Danceny'ego, a że pan de Valmont... Ale, jak pani mówi, może to właśnie bardzo szczęśliwie! Zresztą, zobaczymy.

Nie bardzo zrozumiałam to, co mi pani mówi o moim sposobie pisania. Zdaje mi się, że Danceny'emu podobają się moje listy tak, jak są. Czuję jednak dobrze, że nie powinnam mu nic mówić o tym, co się dzieje między mną a panem de Valmont; co do tego zatem może pani być bez obawy.

Mama mi jeszcze nic nie mówiła o moim małżeństwie, ale niech pani będzie spokojna; teraz, kiedy wiem, że to tylko po to, aby mnie złapać, przyrzekam pani, że będę umiała kłamać.

Do widzenia, moja dobra przyjaciółko; dziękuję pani bardzo i obiecuję, że nie zapomnę nigdy jej całej dobroci dla mnie. Muszę kończyć, bo już blisko pierwsza i pan de Valmont powinien lada chwila nadejść.

Z zamku***, 10 października 17**

LIST CX

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

*Potęgi niebios, dajcie mi duszę dla cierpienia, dajciez mi ją również dla szczęśliwości!*¹²⁹ Zdaje mi się, iż to czuły Saint-Preux wyraża się w ten sposób. Ja, lepiej od niego wyposażony przez losy, przeżywam równocześnie obydwa te istnienia. Tak, droga przyjaciółko, jestem równocześnie bardzo szczęśliwy i bardzo nieszczęśliwy; i skoro posiadasz moje zupełne zaufanie, winien ci jestem podwójne zdanie sprawy z mych smutków i rozkoszy.

Wiedz więc, że moja niewdzięczna świętoszka ciągle jest nieubłagana. Już czwarty z kolei list otrzymałem z powrotem. Może niesłusznie wyrażam się *czwarty*; bowiem domyśliwszy się z łatwością po pierwszym zwrocie, że po nim nastąpi wiele innych, i nie chcąc w ten sposób tracić czasu nadaremnie, wpadłem na pomysł skreślenia moich lamentacji w samych ogólnikach i bez daty: tak że od drugiej poczty już ciągle ten sam list wędruje i wraca; zmieniam jedynie kopertę. Jeżeli moja piękność skończy tak, jak kończą zazwyczaj wszystkie, i zmiękczy się któregoś dnia, bodaj ze znużenia, wówczas przyjmie nareszcie mój list i wtedy będzie czas nadrobienia drogi. Pojmujesz, że przy tym nowym sposobie korespondowania nie mogę mieć bardzo dokładnych informacji.

Odkryłem mimo to, że płocha osóbką zmieniła powiernicę: przynajmniej przekonałem się, że od czasu jej wyjazdu z zamku pani de Volanges nie odebrała ani jednego listu, natomiast przyszły aż dwa do starej Rosemonde; że zaś ta nie powiedziała nam ani słowa i w ogóle nie wspomina o *swojej pieszczotce*, o której przedtem mówiła bez przerwy, wywnioskowałem stąd, że to ona stała się obecnie powiernicą. Przypuszczam, że z jednej strony potrzeba mówienia o mnie, z drugiej zaś nieco wstydu przyznania się wobec pani de Volanges do uczucia, którego się tak długo wypierała, sprowadziły tę zmianę gabinetu. Obawiam się, iż jeszcze straciłem na tej zamianie: bowiem im bardziej kobiety się starzeją, tym bardziej stają się surowe i nieprzejednane. Tamta by jej powiedziała więcej złego o mnie: ale ta jej powie więcej złego o miłości; zaś tkliwa skromnisza o wiele więcej drży przed uczuciem niżeli przed osobą.

¹²⁹ *Potęgi niebios (...) dla szczęśliwości* — [J.J. Rousseau], *Nowa Heloiza*.

Jedynym sposobem przekonania się o tym jest, jak sama widzisz, przejąć te tajemne konszachty: wysłałem już odpowiednie rozkazy do mojego strzelca. Zanim będę cośkolwiek wiedział, mógłbym działać jedynie na los szczęścia; toteż od tygodnia przechodzę w myśli bezużytecznie wszystkie znane środki opisane bądź w romansach, bądź w moich sekretnych pamiętnikach; ale nie znajduję wśród nich ani jednego, który by się nadawał do warunków obecnej przygody lub też do charakteru jej bohaterki. Ostatecznie mógłbym zakraść się do niej, bodaj w nocy, a nawet uśpić ją wreszcie i zrobić z niej nową Klarysę: ale po przeszło dwóch miesiącach starań i trudów uciekać się do środków nie mojej inwencji! Wlec się niewolniczo śladami innych i odnieść zwycięstwo bez chwały!... Nie, nie będzie miała *upojeń występku, a zaszczytów cnoty*¹³⁰. To nie dosyć dla mnie posiąść ją, musi się sama oddać. Tak; na to trzeba nie tylko dotrzeć do niej, ale trzeba znaleźć się tam za jej zezwoleniem; zastać ją samą i skłonną do wysłuchania mnie: przede wszystkim zamknąć jej oczy na niebezpieczeństwo, bo jeżeli je spostrzeże, będzie umiała zwyciężyć je lub umrzeć. Ale im bardziej wiem, co trzeba robić, tym trudniejszym mi się zdaje wykonanie i choćbyś miała znowu wyśmiewać się ze mnie, wyznam ci, iż im więcej o tym myślę, tym bardziej wzrasta moja niepewność i wahanie.

W głowie by mi się pomieszało od tego, jak sędzę, gdyby nie błogie chwile wytchnienia, jakich mi dostarcza nasza wspólna pupilka; jej doprawdy zawdzięczam, że życie moje nie płynie na samych elegiach.

Czy uwierzyłabyś, że dziewczynka była tak spłoszona, iż upłynęły aż całe trzy dni, zanim twój list zrobił swoje? Oto jak jeden niedorzeczny przesąd może spacyć najlepsze naturalne skłonności!

Słowem, dopiero w sobotę zaczęła panienka krążyć koło mnie i bąkać mi coś niecoś; i to jeszcze tak cichutko i wstydliwie, że niepodobieństwem było ją zrozumieć. Ale rumieniec towarzyszący tym nieśmiałym słówkom pozwolił mi się domyśleć ich znaczenia. Aż dotąd trzymałam się w wyniosłej dumie: ale zmiękczonej tak zabawną skruchą chętnie przyrzekłam pięknej pokutnicy odwiedziny jeszcze tego samego wieczora; łaskawość ta została przyjęta z całą wdzięcznością, na jaką zasługiwała.

Ponieważ nie tracę nigdy z oczu twoich ani moich zamiarów, postanowiłem skorzystać z tej sposobności, aby ściślej zdać sobie sprawę, co można sobie obiecywać po tej małej, a zarazem zużyć ten czas dla jej edukacji. Aby móc oddać się tej pracy z nieco większą swobodą, musiałem zmienić miejsce schadzek: tu bowiem, w sąsiedztwie pokojów matki, nie mogła się czuć dość bezpiecznie i swobodnie rozwinąć skrzydełek. Postanowiłem zatem wywołać jakiś nieszkodliwy hałas i przestraszyć ją na tyle, aby wykazać niezbicie konieczność bezpieczniejszego schronienia na przyszłość; ona sama oszczędziła mi tego trudu.

Młoda osóbką jest wielka śmieszka; aby pobudzić jej wesołość, zrobiłem sobie uciechę i w antraktach zacząłem jej opowiadać wszystkie pieprzne historyjki, jakie tylko przeszły mi przez głowę; chcąc im zaś dodać jeszcze więcej smaku i lepiej utrwalić je w pamięci małej, kładłem wszystko na rachunek mamy, ze szczerą przyjemnością strojąc ją we wszystkie śmieszności i bezeceństwa.

Nie bez przyczyny zresztą uczyniłem ten wybór: okazało się, że środek ten nieporównany jest dla ośmielenia trwożliwej uczennicy; zarazem zaś zaszczepiałem jej w ten sposób głęboką wzdargę dla matki. Zauważyłem to już od dawna, że jeżeli sposób ten nie zawsze jest potrzebny po to, aby uwieść młodą dziewczynę, jest on niezbędny, a często nawet najskuteczniejszy, kiedy się chce ją zdeprawować; bowiem ta, która nie szanuje matki, nie będzie szanowała sama siebie. Ten pewnik moralny uważam za tak ważny i użyteczny, że bardzo byłem rad, iż udało mi się znaleźć nowy przykład na poparcie tej zasady.

Podczas tego pupilka twoja, która niewiele troszczyła się w tej chwili o moralność, dławiała się raz po raz od śmiechu, a wreszcie nawet o mało nie wybuchła. Bez trudności zdołałem jej wytłumaczyć, że narobiła *straszego hałasu*. Udałem wielkie przerażenie i jej również napędziłem potężnego strachu. Aby lekcja była tym skuteczniejsza, położyłem koniec wspólnym uciechom i opuściłem ją o trzy godziny wcześniej niż zazwyczaj; toteż przy rozstaniu zgodziła się bez trudności, że od jutra zebrania odbywać się będą w moim pokoju.

¹³⁰*upojeń (...) cnoty* — [J.J. Rousseau], *Nowa Heloiza*.

Dwa razy miałem już jej odwiedziny i w ciągu tego krótkiego czasu uczennica posiadła niemal całą mądrość mistrza. Tak, doprawdy, nauczyłem ją wszystkiego, nawet... uprzejmości; pominąłem jedynie paragraf *ostrożności*.

Tak zatrudniony przez całą noc, zyskuję na tym to, iż przesypiam większą część dnia, że zaś obecnie towarzystwo zamku nie ma dla mnie żadnej ponęty, zaledwie pokazuję się w salonie na jaką godzinę. Od dzisiaj powziąłem nawet postanowienie jadać w moim pokoju, który mam zamiar opuszczać jedynie na czas krótkiej przechadzki. Ten osobliwy tryb życia idzie na karb mego zdrowia. Oświadczyłem już, że cierpię na dolegliwe wapory, a również i nieco gorączki. Wystarcza mi tylko mówić głosem powolnym i omdlewającym. Co do błądności i zmizernienia na twarzy, możesz pod tym względem spuścić się na twoją pupilkę!

Pozostały czas trawię na rojeniu o sposobach odzyskania straconych przewag nad moją niewdzięczną, jak również na układaniu rodzaju katechizmu rozpusty dla użytku mojej uczennicy. Bawię się tym, aby w nim nic nie nazywać inaczej, jak tylko nazwą techniczną; i śmieję się zawczasu z zajmującej rozmowy, jaką to sprowadzi pomiędzy nią a Gercourtem w pierwszą noc po ślubie. Przeparadna jest naiwność, z jaką ona się posługuje już tym, co dotychczas posiadała z owej gwary! Nie wyobraża sobie, aby można było mówić inaczej. Uroczy jest ten dzieciak po prostu! Ten kontrast naiwnej prostoty z językiem wyuzdania ma coś nieopisanie podniecającego, a nie wiem czemu, ale już tylko same osobliwości są w stanie mnie podniecić.

Może zanadto oddaję się tej całej zabawie, która pochłania mi sporo i czasu, i zdrowia: ale mam nadzieję, że moja udana słabość, prócz tego że mnie ocala od nudów salonu, może mi jeszcze posłużyć na coś wobec mojej surowej świętoszki, której tygrysia cnota łączy się jednak z jagnięcą tkliwością! Pewien jestem, że musi być już powiadomiona o moim niedomaganiu. Bardzo bym rad wiedzieć, co ona o tym myśli; założyłbym się, że nie omieszkła sobie przypisać zaszczytu mej choroby. Pokieruję stanem mego zdrowia wedle wrażenia, jakie to na niej uczyni.

Otóż i jesteś, piękna przyjaciółko, w toku wszystkich moich zatrudnień. Pragnąłbym mieć niebawem coś bardziej zajmującego do doniesienia; proszę cię, byś zechciała wierzyć, że w rozkoszach, jakie sobie obiecuję, niemałe zajmuje miejsce nagroda spodziewana od ciebie.

Z zamku ***, 11 października 17**

LIST CXI

Hrabia de Gercourt do Pani de Volanges

Wszystko zdaje się, pani, zapowiadać rychły spokój w tym kraju: spodziewamy się tedy każdego dnia pozwolenia powrotu do Francji. Mam nadzieję, iż pani nie wątpi, że zawsze z równym upragnieniem oczekuję tej chwili, która pozwoli mi wreszcie połączyć się ściślejszymi węzłami z tobą, pani, i z panną de Volanges. Jednakże książę de *** mój krewny, względem którego, jak wiesz pani, tyle mam zobowiązań, przesłał mi wiadomość o swoim odwołaniu z Neapolu: donosi mi, iż ma zamiar udać się przez Rzym i zwiedzić w ciągu drogi tę część Włoch, której jeszcze nie zna. Zaprasza mnie, abym mu towarzyszył w podróży, mającej potrwać od sześciu do ośmiu tygodni. Nie taję pani, iż miło by mi było skorzystać z tej sposobności, gdyż wiem, że skoro będę żonaty, trudno mi będzie wyjechać z domu poza wymagania obowiązków służbowych. Przy tym kto wie, czy nie byłoby właściwszym odłożyć ceremonię małżeństwa do zimy: wówczas bowiem dopiero wszyscy moi krewni będą zgromadzeni w Paryżu, a w szczególności markiz de ***, któremu zawdzięczam nadzieję połączenia się z domem pani. Mimo tych pobudek zamysły moje pod tym względem będą zupełnie podporządkowane twoim i jeżeli choć trochę obstajesz pani przy naszych poprzednich zamiarach, gotów jestem zaniechać tych projektów. Proszę panią jedynie, byś zechciała uwiadomić mnie jak najszybciej o swoich postanowieniach. Będę tutaj oczekiwał odpowiedzi i ona będzie wskazówką mojej decyzji.

Pozostaję z szacunkiem i z wszelkimi synowskimi uczuciami pani najuniżeńszym etc.

Hrabia de Gercourt

Bastia, 10 października 17**

LIST CXII

Pani de Rosemonde do prezydentowej de Tourvel

(dyktowany pannie służącej)

W tej chwili dopiero otrzymałam, moja droga ślicznotko, twój list z 11-ego¹³¹ i nieśmiałą wymówkę, jaka w nim się mieści. Przyznaj się, że miałabyś ochotę uczynić mi więcej wyrzutów i że gdybyś nie była sobie przypomniawsza w porę, że jesteś moją *córka*, byłabyś mnie naprawdę połażała. W dodatku bardzo niesprawiedliwie! Właśnie chęć i nadzieja, iż będę mogła odpisać ci własnoręcznie, kazały mi zwlekać z dnia na dzień z odpowiedzią i widzisz, że jeszcze dzisiaj zmuszona jestem zastępować się ręką panny służącej. Mój nieszczęśliwy reumatyzm znowu mnie prześladowa; tym razem umieścił się w prawej ręce i jestem zupełna kaleka. Widzisz, co to znaczy, gdy istotka młoda i hoża jak ty znajdzie sobie taką starą przyjaciółkę! Musi pokutować za jej dolegliwości.

Natychmiast skoro tylko cierpienia pofolgują mi trochę, obiecuję sobie porozmawiać z tobą bardzo długo! Nim to nastąpi, wiedz tymczasem, że otrzymałam oba twoje listy; że gdyby to było możliwe, byłyby zwiększyły jeszcze moją przyjaźń dla ciebie; i że nigdy nie przestanę brać najżywszego udziału we wszystkim, co ciebie dotyczy.

Mój siostrzeniec jest również nieco cierpiący, ale nic mu nie zagraża, tak iż o stan jego nie ma powodu się niepokoić: jest to lekkie niedomaganie, na którym, o ile mi się zdaje, więcej cierpi jego humor niż zdrowie. Nie widzimy go prawie wcale.

Jego zamknięcie się i twój wyjazd nie przydają wesołości naszemu szczupłemu kółku. Małej Volanges szczególnie musi się to dawać we znaki, gdyż ziewa jak dzień długi, tak, że o mało nie połknie własnych piąstek. Zwłaszcza od kilku dni czyni nam ten zaszczyt, iż zasypia głębokim snem każdego popołudnia.

Do widzenia, droga ślicznotko; jestem zawsze twoją serdeczną przyjaciółką, matką, siostrą nawet, gdyby mój podeszły wiek pozwalał na ten tytuł. Słowem, mam dla ciebie wszystkie najtkliwsze uczucia.

Podpisano: Adelajda, za panią de Rosemonde.

Z zamku ***, 14 października 17**

LIST CXIII

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Poczuwam się do obowiązku uprzedzenia cię, wicehrabio, iż w Paryżu poczynają się tobą zajmować, że świat zauważył twą nieobecność, a nawet już odgaduje jej przyczynę. Byłam wczoraj na nader liczny zebrań; twierdzono tam z zupełną pewnością, że zagrzebany jesteś na wsi z powodu jakiejś miłości romantycznej a nieszczęśliwej: trzeba było widzieć radość, jaka odmalowała się na twarzy mężczyzn zazdrosnych o twoje powodzenie, jak również i wszystkich kobiet, którymi nie raczyłeś się zajmować. Jeżeli zechcesz mnie posłuchać, to nie pozwolisz utrwalić się tym niebezpiecznym pogłoskom i przybędziesz natychmiast zaprzeczyć im swą obecnością.

Pomyśl, że jeżeli raz dasz wygasnąć przekonaniu, że tobie nie można się oprzeć, doświadczysz wkrótce, iż w istocie będą ci się opierać z większą łatwością; że twoi rywale również stracą szacunek dla ciebie i ośmielą się z tobą mierzyć: któryż z nich bowiem nie uważa się za silniejszego od cnoty kobiecej? Słowem, grozi ci to, iż spadniesz w oczach świata o tyle poniżej swej wartości, o ile byłeś dotychczas przezeń wynoszony ponad zasługi.

Wracaj więc, wicehrabio, i nie poświęcaj reputacji dla dziecinnego kaprysu. Zrobiłeś z małą Volanges wszystko, co było do zrobienia; zaś co do twojej prezydentowej, to istotnie nie sądzę, abyś mógł dojść do jakichś rezultatów, przebywając w odległości dziesięciu mil od niej. Czy myślisz, że ona pójdzie cię szukać? Może już wcale nie myśli o tobie albo też w myślach tryumfuje, iż zdołała cię upokorzyć! Tutaj przynajmniej możesz znaleźć sposobność wypłynięcia na nowo w jakiś efektowny sposób, a bardzo by ci się to zdało; podczas gdy, o ile będziesz się upierał przy twojej śmiesznej przygodzie, nie sądzę, aby twój powrót coś pomógł... raczej przeciwnie.

¹³¹list z 11-ego — ten list się nie odnalazł.

W istocie, jeżeli twoja prezydentowa cię *ubóstwia*, jak mnie o tym tak bardzo zapewniałeś, a tak mało to udowodniłeś, jej jedyną pociechą, jedyną przyjemnością musi być w tej chwili mówić o tobie, wiedzieć, co robisz, co mówisz, co myślisz, aż do najdrobniejszych rzeczy, które cię dotyczą. To są owe okruchy chleba spadające ze stołu bogacza: on sam nimi gardzi, ale nędzarz zbiera je chciwie i żywi się nimi. Otóż biedna prezydentowa otrzymuje obecnie te wszystkie okruchy; im więcej będzie ich miała, tym mniej będzie jej pilno wyciągnąć dłonie po resztę.

Również, mimo zachwyty, jaki zdaje się w tobie budzić twoja mała uczennica, nie przypuszczam, aby ona miała odgrywać jakąkolwiek rolę w twoich zamiarach. Znalazłeś ją pod ręką, wziąłeś ją: doskonale! Ale w tym nie ma materiału nawet na przelotny kaprys. To nie jest nawet, prawdę mówiąc, zupełne posiadanie: władasz jedynie i wyłącznie tylko jej osobą! Nie mówię o sercu, o które, nie wątpię, troszczysz się zbyt mało: ale ty nie zajmujesz nawet jej główki. Nie wiem, czy to zauważyłeś, ale ja mam dowód w ostatnim jej liście do mnie: posyłam ci go, abyś mógł sam osądzić. Widzisz tedy, że kiedy mówi o tobie, to zawsze przez *pan de Valmont*; wszystkie jej myśli, nawet te, które ty w niej budzisz, odnoszą się jedynie do Dancenego: jego nie nazywa panem, lecz zawsze po prostu *Dancenym*. Przez to odróżnia go od wszystkich innych; i nawet oddając się tobie, czuje się blisko wyłącznie z nim jednym. Jeżeli taka zdobycz wydaje ci się *zachwycającą*, jeżeli przyjemności, jakie ci daje, *pochłaniają cię*, trzeba przyznać, że jesteś skromny i mało wymagający! Zresztą, chcesz dłużej bawić się tą małą? owszem; to godzi się nawet z moimi zamiarami. Ale zdaje mi się, że to nie jest warte, aby sobie robić kłopot bodaj na kwadrans; a również, że trzeba by mieć na nią jakiś wpływ i nie pozwolić, na przykład, aby się zbliżyła do Dancenego wprzód, nim się go trochę zatrze w jej pamięci.

Zanim przestanę zajmować się tobą, aby przejść do siebie, chcę ci jeszcze powiedzieć, że sztuczka z chorobą, do której się uciekłeś, jest dobrze znana i bardzo zużyta. W istocie, wicehrabio, nie masz daru wynalazków! Ja, ja się również powtarzam niekiedy, jak to zaraz zobaczysz, ale staram się ratować urozmaicheniem szczegółów, a przede wszystkim usprawiedliwia mnie powodzenie. Jeszcze o jedną zdobycz pragnę się pokusić i puszczam się na nową przygodę. Przyznaję, iż nie pozostawia ona pola do zwalczania zbyt wielkich trudności: ale przynajmniej będzie jakaś rozrywka, a nudzę się wprost śmiertelnie.

Nie wiem dlaczego, ale od czasu przygody z Prévanem Bellerocche obrzydł mi zupełnie. Do tego stopnia podwoił swoje względy, czułość, *szacunek*, że znieść tego już doprawdy nie mogę. Jego gniew w pierwszej chwili ubawił mnie istotnie; należało jednak uspokoić go za wszelką cenę, bo to byłoby dla mnie kompromitujące, gdyby mój kawaler miał się wdać w tę sprawę: a nie było sposobu doprowadzenia go do rozsądku. Uciekłam się zatem do tego, iż zdwoiłam moją czułość w nadziei, że na tej drodze łatwiej sobie z nim dam rady; ale on wziął to dosłownie i od tego czasu zamęcza mnie nieustającym rozanieleniem. Drażni mnie zwłaszcza bezgraniczne zaufanie, spokojna pewność, z jaką patrzy na mnie, jako na przynależną do niego na zawsze. Doprawdy, to mnie upokarza! Bardzo mało mnie ceni chyba, jeżeli przypisuje sobie dość wartości na to, aby mnie zagarnąć. Wyobraź sobie, kiedyś, ni mniej ni więcej, powiedział mi, że nie mogłabym pokochać innego jak jego! Och, w tej chwili trzeba mi było całego panowania nad sobą, aby go nie wyprowadzić natychmiast z błędu, mówiąc po prostu, jak się rzeczy mają. Śmieszna doprawdy jest taka figura, ze swymi pretensjami do wyłącznych praw! Przyznaję, że jest dobrze zbudowany i niebrzydki: ale, wszystko razem wzięwszy, to jest ostatecznie tylko rzemieślnik w miłości. Słowem, nadeszła chwila; trzeba się go będzie pozbyć.

Czynię już w tym kierunku próby od dwóch tygodni: używam kolejno chłodu, kaprysów, złego humoru, sprzeczki; ale ta uparta kreatura nie daje tak łatwo za wygraną; trzeba więc zdobyć się na energiczniejsze środki: zabieram go tedy na wieś. Wyjeżdżamy pojutrze. Będzie z nami zaledwie kilka osób bez znaczenia i niezbyt przenikliwych: toteż będziemy mieli niemal tyle swobody, jak gdybyśmy byli sami. Tam przekarmię go do tego stopnia miłością i pieszczotami, będziemy żyli tak jedynie i wyłącznie jedno dla drugiego, że ręczę, iż z większym utęsknieniem ode mnie będzie wzdychał do końca tej podróży, po której sobie obiecuje tyle rozkoszy: i jeżeli nie wróci z niej bardziej znudzony mną, niż ja nim jestem w tej chwili, pozwalam ci wówczas powiedzieć, że rozumiem się na tych sprawach tyle co i ty, to znaczy bardzo niewiele.

Pozorem do tej sielanki jest konieczność poważnego zajęcia się moim procesem, co do którego wyrok ma zapasć wreszcie z początkiem zimy. Bardzo się z tego cieszę, bo to nie jest zbyt przyjemnie, gdy cały majątek wisi niejako na włosku. Nie obawiam się wprowadzić zbyttnio o wynik; po pierwsze mam słusność, wszyscy adwokaci upewniają mnie o tym: a zresztą, choćbym jej nawet nie miała, musiałabym być bardzo niezręczna, gdybym nie zdołała wygrać procesu, w którym mam za przeciwników jedynie małoletnich, niemal dzieci jeszcze, i starego ich opiekuna! Ponieważ nie należy nic zaniedbywać w sprawie tak wielkiej wagi, biorę ze sobą dwóch adwokatów. Ta podróż nie wydaje ci się zbyt wesoła? Z tym wszystkim, jeśli przysporzy mi wygraną procesu, a uwolni od Belleroche'a, nie będę żałowała straconego czasu.

A teraz zgadnij, wicehrabio, kto będzie następcą, trzymam z tobą jeden przeciw stu. Ale prawda! Przecież ty dotąd nigdy jeszcze nic nie zgadłeś! Więc dobrze, słuchaj: Danceny. Zdziwiony jesteś, nieprawdaż? Bo ostatecznie nie jestem jeszcze w tym położeniu, abym była skazana na wychowywanie dzieci! Ale on zasługuje na wyjątek; posiada jedynie powaby młodości, a nic z jej niebezpieczeństw. Jego powaga i powściągliwość w towarzystwie dają zupełne gwarancje dla oczu świata, a za to tym miłszy wydaje się wówczas, gdy się ośmieli nieco pod wpływem swobodniejszego sam na sam. To nie znaczy, abym już z nim kosztowała tych słodczy na własny rachunek: jestem dopiero jego powiernicą; ale pod tą zasłoną przyjaźni zdaje mi się, iż spostrzegam bardzo żywą skłonność dla mnie, czuję zaś, że i ja nabieram jej coraz więcej dla niego. To byłaby naprawdę szkoda, gdyby tyle talentu i subtelności miało się zmarnować i stępić przy takiej gęsi, jak ta Volanges! Mam nadzieję, iż on się ludzi, myśląc, że ją kocha: ona o tyle niżej stoi od niego! Nie jestem zazdrosna o nią, ale to byłoby dla niego proste samobójstwo: chcę go ocalić. Proszę cię więc, wicehrabio, dołóż starań, aby on nie mógł się zbliżyć do *swojej Cecylii* (jak przez niemądre przyzwyczajenie jeszcze ją nazywa). Pierwsze uczucie zawsze ma więcej siły, niżby się mogło wydawać: toteż nie byłabym niczego pewna, gdyby ją znowu miał ujrzeć, zwłaszcza w czasie mej nieobecności. Skoro wrócę, podejmuję się wszystkiego i rękę za skutek.

Myślałam o tym, i bardzo, aby wziąć młodego człowieka ze sobą: ale wyperswadowałam to sobie z prostej ostrożności; a przy tym obawiałam się, aby nie spostrzegł czego między Bellerocchem a mną. Byłabym w rozpacz, gdyby się miał czegokolwiek domysleć. Pragnę bodaj w wyobraźni jego oddać mu się czystą i bez zmazy; słowem, taką, jaką trzeba by być, aby być jego godną.

Paryż, 15 października 17**

LIST CXIV

Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde

Droga przyjaciółko, idę za potrzebą mego żywego niepokoju i mimo iż nie wiem, czy będziesz mi w stanie odpowiedzieć, nie mogę się powstrzymać od przesłania ci tego zapytania. Stan pana de Valmont, o którym mówisz, że jest *bez niebezpieczeństwa*, budzi we mnie więcej obaw, niżli ty, pani, zdajesz się je odczuwać. Często się zdarza, że melancholia i niechęć do świata są początkowym objawem jakiejś poważnej choroby: dolegliwości ciała zarówno jak umysłu budzą pragnienie samotności i nieraz wini się o dziwactwo tego, z kim należałoby jedynie współczuć za jego cierpienia.

Zdaje mi się, że powinien by przynajmniej poradzić się kogoś. W jaki sposób, sama będąc niezdrową, nie posiadasz pani przy sobie doktora? Mój lekarz, którego widziałam dziś rano i którego, nie taję tego pani, starałam się wybadać ogólnie, jest zdania, że u osób z natury żywego usposobienia tego rodzaju nagła apatia zawsze jest poważnym objawem; powiedział również, że leczenie może okazać się bezsilne, o ile nie zastosuje się go dość wcześnie. Po cóż narażać na to niebezpieczeństwo kogoś, kto pani jest drogi?

Niepokój mój podwaja jeszcze to, iż od czterech dni nie mam od niego żadnych wiadomości. Mój Boże! Czy pani mnie nie zwodzi co do jego stanu? Czemuż by przestał do mnie pisać tak nagle? Gdyby to był jedynie skutek wytrwałości, z jaką zwracam mu jego listy, byłby się zdecydował może na to już wcześniej. Wreszcie, jakkolwiek nie wierzę w przeczucia, ale od kilku dni gnębi mnie jakiś smutek, który przeraża mnie po prostu. Och! Może jesteśmy w przededniu najstraszliwszego nieszczęścia!

Nie zdołałabyś pani uwierzyć i ja wstydzę się do tego przyznać, jak mi boleśnie jest nie odbierać już tych listów, których czytania odmawiałam tak uporczywie! Czułam przynajmniej, że on myśli o mnie! Widziałam coś, co pochodzi od niego. Nie otwierałam tych listów, ale płakałam, patrząc na nie i łzy płynęły mi z oczu słodziej i łatwiej. Te jedne łzy uśmierzały nieco nieustanne przygnębienie, jakiego doświadczam od czasu mego powrotu. Zaklinam cię, moja najlepsza przyjaciółko, napisz do mnie ty sama natychmiast, skoro tylko będziesz mogła; a zanim to nastąpi, prześlij mi codziennie bodaj jakąś wiadomość o sobie i o nim.

Widzę, że zaledwie znalazłam w tym liście jakieś słowo dla ciebie, pani; ale znasz wszakże moje uczucia, przywiązanie bez granic, serdeczną wdzięczność za twą tkliwą przyjaźń: wybaczysz to przez wzgląd na ten straszny ucisk, w jakim żyję, na tę okropną męczarnię, w jakiej ciągle drzęć muszę przed nieszczęściem, którego może jestem przyczyną.

Do widzenia, najdroższa przyjaciółko; kochaj mnie, lituj się nade mną. Czy będę miała list od ciebie dzisiaj?

Paryż, 16 października 17**

LIST CXV

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

To jest rzecz w istocie niepojęta, moja piękna przyjaciółko, jak łatwo ludzie przestają się rozumieć wzajemnie, skoro tylko oddalą się od siebie. Jak długo byliśmy razem, mieliśmy zawsze o wszystkim jedno mniemanie, jeden sposób widzenia; dlatego, że blisko od trzech miesięcy nie widzimy się z sobą, nie możemy zgodzić się w zdaniu nawet co do najmniejszego drobiazgu. Kto z nas dwojga jest w błędzie? Ty zapewne nie wahałabyś się w odpowiedzi; ale ja, rozsądniejszy, czy też tylko bardziej uprzejmy, nie chcę rozstrzygać. Odpowiadam jedynie na list i w dalszym ciągu zdaję ci sprawę z mego postępowania.

Przed wszystkim dziękuję ci, markizo, za ostrzeżenie co do pogłosek krążących na mój rachunek; ale nie trapię się nimi jeszcze: mam pewność, iż niebawem znajdę środki, aby im koniec położyć. Bądź spokojna; pojawię się z powrotem w świecie głośniejszy jeszcze niż przedtem i coraz godniejszy ciebie.

Mam nadzieję, że mi będzie nawet policzona za coś przygoda z małą de Volanges, o której ty zdajesz się mniemać tak niewiele: tak jak gdyby to było niczym zdmuchnąć w ciągu jednego wieczora młodą panienkę ukochanemu przez nią wielbicielowi; rozporządzać nią następnie wedle własnej ochoty, absolutnie jak swoją własnością i to nie zadając sobie najmniejszego trudu; uzyskać od niej to, czego się nie śmie nawet wymagać od dziewczyn, których to jest zawodem; i to, nie mącąc w niczym jej tkliwej miłości, nie przyprowadzając ją o niestałość, nawet o niewierność: bowiem, istotnie, jej nie zaprzętałam nawet jej główki! Tak, że skoro mój kaprys przemienie, oddam ją z powrotem w ramiona czulemu kochankowi, zaledwie świadomą niejako wszystkiego, co zaszło. Czyż to jest sztuczka tak pospolita? A potem, wierząc mi, skoro raz wyjdzie z moich rąk, zasady, jakie w nią wszczepię, rozwiną się w niej z czasem; i przepowiadam, że nieśmiała uczennica wkrótce zabyłśnie w sposób przynoszący zaszczyt mistrzowi.

Jeżeli jednak ktoś bardziej smakuje w rodzaju heroicznym, ukazać mu prezydentową, ten słynny zbiornik wszelakiej cnoty, szanowaną nawet przez naszych najzuchwalszych, taką, słowem, że nikomu nawet na myśl nie przyszło przypuszczać do niej szturmu! Pokażę ją, powiadam, jak zapomina o obowiązkach i cnotach, jak poświęca swoją dobrą sławę i dwa lata przykładowego życia, aby uganiać się za szczęściem pozyskania moich względów, aby upijać się rozkoszą kochania mnie; jak za tyle ofiar jako jedynej nagrody zebrze jednego słowa, jednego spojrzenia, które nie zawsze uda się jej uzyskać. Zrobię więcej: porzucę ją; i albo wcale nie znam tej kobiety, albo nie będę miał następcy w jej sercu. Oprze się potrzebie szukania pociechy, przyzwyczajeniu do upoień miłosnych, pragnieniu nawet zemsty. Słowem, będzie istniała jedynie przeze mnie; ja jeden będę tym, który rozpoczął i który zamknie jej istnienie. Raz osiągnąwszy ten tryumf, powiem moim współzawodnikom: „Patrzcie na me dzieło i szukajcie w całym stuleciu drugiego takiego przykładu!”.

Zapytasz mnie, skąd mi się bierze dzisiaj taki nadmiar zaufania w siebie? To dlatego, że od tygodnia jestem powiernikiem mojej uroczej pani: nie mówi mi swoich tajemnic, ale je podchwytuję. Dwa listy od niej do pani de Rosemonde pouczyły mnie dokładnie

w tej mierze, tak że jeżeli będę czytał dalsze, to jedynie przez prostą ciekawość. Aby zwyciężyć, potrzeba mi jedynie zbliżyć się do niej. Środki mam już obmyślane i niezwłocznie wprowadzę je w życie.

Jesteś ciekawa, jak sądzę, markizo...? Ale nie, aby cię ukarać, że nie wierzysz w mój zmysł wynalazczy, nie powiem ci o niczym. Całkiem szczerze, zasługiwałabyś, markizo, abym ci odebrał moje zaufanie, przynajmniej na czas tej przygody; w istocie, gdyby nie słodka nagroda, jaką związałaś z tym tryumfem, nie mówiłbym ci o tym więcej. Widzisz, że jestem zagniewany. Jednakże w nadziei, że się poprawisz, gotów jestem poprzestać na tej lekkiej karze; ulegając tedy pobłażliwszym uczuciom, zapominam na chwilę o moich wielkich zamiarach, aby pomówić z tobą nieco o twoich własnych.

Jesteś tedy, markizo, zakopana na wsi, nudna jak uczucie i smutna jak wierność! I ten biedny Belleruche! Nie zadowalaś się tym, aby mu dać pić wodę zapomnienia, ale pompujesz ją w niego, jak przy wodnej torturze! Jakże on się tam miewa? Czy znosi dobrze nudności miłosne? Wiele dałbym za to, aby on się jeszcze tym więcej przywiązał do ciebie; ciekawy byłbym widzieć, jakie nowe, skuteczniejsze lekarstwo zdołałabyś mu obmyślić. Żał mi cię, istotnie, że byłaś zmuszona aż do tego się uciekać. Jeden raz tylko w moim życiu uprawiałem miłość z obowiązku. Miałem z pewnością ważne powody po temu, gdyż było to z hrabiną de***; ale po dwadzieścia razy w jej ramionach miałem pokusę wykrzyknąć: „Pani, rzekam się miejsca, o które się ubiegam, ale pozwól mi opuścić to, które zajmuję”. Toteż ze wszystkich kobiet, które miałem, to jedyna, o której mówić źle sprawia mi prawdziwą przyjemność.

Co do twoich pobudek, to wydają mi się one, szczerze mówiąc, niewypowiedzianie pocieszne; słusnie przypuszczałaś, iż nie domyślę się następcy. Jak to! To dla Danceny'ego zadajesz sobie całą fatygę! Ech, droga przyjaciółko, pozwólże mu ubóstwiać *swoją cnotliwą Cecylię* i nie narażaj twej reputacji dla takich zabawek dziecinnych. Pozwól studencikom zdobywać pierwsze wykształcenie przy pokojówkach albo też bawić się z pensjonarkami w niewinne gry towarzyskie. Po cóż ci się ubierać w smarkacza, który nie będzie umiał ani cię wziąć, ani cię opuścić i z którym trzeba ci będzie wszystko robić samej? Mówię poważnie, nie pochwalam tego wyboru i choćby udało się go nie wiem jak utaić przed światem, poniżyłby cię przynajmniej w moich i twoich własnych oczach.

Czujesz, jak powiadasz, markizo, coraz więcej skłonności dla niego; cóż znowu! Łudzisz się z pewnością i zdaje mi się nawet, iż doszedłem przyczyn twej omyłki. To zdrowe obrzydzenie do Belleruche'a przyszło na ciebie w porze przednówku; a wobec tego, iż Paryż nie nastreczył ci innego wyboru, myśli twoje, zawsze zbyt płache, zwróciły się na pierwszy przedmiot, który znalazłaś pod ręką. Ale pomyśl, że za twoim powrotem będziesz mogła wybierać wśród tysięcy; jeżeli zaś tak bardzo obawiasz się bezczynności, która grozi utratą wprawy, ofiaruję ci moją skromną osobę, aby zapełnić twoje wywczasy.

Od dzisiaj aż do czasu twego powrotu moje perypetie będą ukończone w taki czy inny sposób; a z pewnością ani mała Volanges, ani sama prezydentowa nawet, nie będą mnie zajmowały wówczas w tym stopniu, abym nie był zawsze gotów do twoich usług, ile tylko tego zapragniesz. Może nawet do tej pory oddam już moją małą w ręce tak szanującego ją kochanka.

Pragnąc, aby zachowała o mnie przez całe życie mniemanie stawiające mnie w jej wspomnieniu ponad innych mężczyzn, wziąłem z nią rzecz z tonu, którego nie mógłbym podtrzymywać długo, nie nadwężając mego zdrowia; toteż wycofałbym się z tej zabawy, gdyby nie troskliwość należąca „sprawom rodzinnym”...

Czy mnie nie rozumiesz? Oto oczekuję właśnie drugiej epoki, aby potwierdzić me nadzieje i upewnić się, że zamiary powiodły mi się w całej pełni. Tak, piękna przyjaciółko, mam już pierwszą oznakę, że małżonek mej uczennicy nie będzie narażony na obawę bezpotomnego zejścia ze świata i że głowa rodziny Gercourtów będzie zarazem jedynie młodszą linią rodziny Valmontów. Ale pozwól mi skończyć wedle mojej myśli tę sprawę, którą podjąłem jedynie na twoje prośby. Pomyśl, że jeżeli przyprowadzisz Danceny'ego o niewierność, odejmiesz cały pieprzyk temu wydarzeniu. Zważ wreszcie, że ofiarowując się zastąpić go przy tobie, mam, o ile mi się zdaje, niejakię prawa pierwszeństwa.

Liczę na to tak bardzo, że nie lękałem się skrzyżować twoich planów, przyczyniając się sam do odświeżenia tkliwych uczuć nieśmiałego kochanka dla pierwszego i godnego

przedmiotu swojego wyboru. Zastawszy wczoraj naszą pupilkę zajętą pisaniem do niego i przerwawszy jej zrazu to słodkie zatrudnienie dla innego, jeszcze słodsze, kazałem jej następnie pokazać sobie list; że zaś wydał mi się zimny i wymuszony, wytłumaczyłem jej, że nie w ten sposób zdoła pocieszyć swego wielbiciela. Nakłoniłem ją, aby napisała inny, pod moim dyktandem, gdzie, naśladowując najlepiej jak umiałem jej szczebiotanie, starałem się podsycić miłość młodego człowieka bardziej realnymi nadziejami. Młoda osóbka była zachwycona, jak mi mówiła, iż przyszła bez trudu do tak pięknego stylu: na przyszłość ja mam się zajmować jej korespondencją. I czegoż ja nie robię dla tego Dancenego? Będę naraz jego przyjacielem, powiernikiem, rywalem i kochanką! Jeszcze w tej chwili oddaję mu przysługę, ocalając go z twoich niebezpiecznych więzów. Tak, niebezpiecznych; gdyż posiadać ciebie, a potem utracić, to znaczy kupić chwilę szczęścia za całą wieczność niedoli.

Do widzenia, piękna przyjaciółko, postaraj się załatwić z Bellerchem najrychlej, jak potrafisz. Daj pokój Dancenemu i zgódź się sama odnaleźć i mnie dać podzielić z tobą niezapomniane słodczy naszemu pierwszemu związkowi.

PS Winszuję ci, markizo, bliskiego osądzenia twojego procesu. Bardzo będę rad, iż ten szczęśliwy wypadek wypadnie za mego panowania.

Z zamku de ***, 17 października 17**

LIST CXVI

Kawaler Dancenego do Cecylii Volanges

Pani de Merteuil wyjechała dziś rano na wieś; i oto, urocza Cecylia, pozbawiony jestem jedynej pociechy, jaka mi pozostawała w czasie twojej nieobecności, to jest, by mówić o tobie ze wspólną naszą przyjaciółką. Od pewnego czasu pozwoliła mi darzyć się tym tytułem; skorzystałem z tego skwapliwie, odnosząc wrażenie, że przez to tym więcej zbliżam się do ciebie. Mój Boże! Jaka ta kobieta jest miła! Ileż pociągającego uroku umie tchnąć w swoją przyjaźń! Zdawałoby się, że w to słodkie uczucie wkłada wszystko to, czego tak stale odmawia miłości. Gdybyś wiedziała, jak ona cię kocha, jak lubi przysłuchiwać się, gdy mówię jej o tobie!... Z pewnością to przywiązuje mnie tak bardzo do niej. Jakież to szczęście móc żyć wyłącznie dla was obu, przechodzić nieustannie od rozkoszy miłości do słodczy przyjaźni, poświęcać im całe istnienie, być do pewnego stopnia punktem styczności waszego wzajemnego przywiązania; czuć nieustannie, że starając się o szczęście jednej, pracuję równocześnie i dla szczęścia drugiej! Kochaj, kochaj bardzo, moja Cesi słodka, tę czarującą kobietę. Dodaj jeszcze ceny temu przywiązaniu, jakie mam dla niej, dzieląc je w całość pełni. Od czasu jak zakosztowałem uroków przyjaźni, pragnąłbym, abyś i ty doświadczyła ich z kolei. Przyjemność, której nie dzielę z tobą, jest dla mnie jedynie połowiczną przyjemnością. Tak, Cecylia, pragnąłbym otoczyć twoje serce samymi najslodszyimi uczuciami, tak aby każde z jego uderzeń budziło w tobie wzruszenie szczęścia, i jeszcze wówczas bym mniemał, iż zdołam jedynie oddać ci część tej błogości, jaką otrzymałbym od ciebie.

I czemuż trzeba, aby te czarowne marzenia były jedynie chimerą wyobraźni! Widzę dobrze, że nadzieja, jaką mi uczyniłaś, iż będę mógł widywać cię na wsi, nie spełni się nigdy. Jedyne pociechę, jaka mi pozostała, to jest wytłumaczyć sobie, że w istocie nie było to dla ciebie możebne. I ty nie spieszysz mi tego powiedzieć, uznać się nad tym wraz ze mną! Dwa razy już moje skargi w tym przedmiocie pozostały bez odpowiedzi. Och, Cecylia, Cecylia! Ja wierzę silnie, iż ty mnie kochasz wszystkimi zdolnościami twej duszy, ale twoja dusza nie jest tak płomienna jak moja! Czemuż nie mnie przypadło zwalczać te przeszkody? Umiałbym cię rychło przekonać, że nic nie jest niepodobnym¹³² dla miłości.

Nie donosisz mi również wcale, kiedy ma się skończyć to okrutne rozłączenie; tutaj przynajmniej może będę cię mógł widywać. Twoje urocze spojrzenia pokrzepią mą zgębną duszę; ich słodka wymowa doda otuchy memu sercu, które niekiedy, zaprawdę, potrzebowałoby tego. Daruj, Cecylia moja; ta obawa nie jest posądzeniem. Ja wierzę w twoją miłość, w twą stałość. Och! Nazbyt nieszczęśliwy byłbym, gdybym wątpił o tym. Ale tyle przeszkód! I ciągle nowych! Smutny jestem, moja ukochana, bardzo smutny. Zdaje się, że ten wyjazd pani de Merteuil odnowił we mnie poczucie całej mej niedoli.

¹³²być niepodobnym do czego (daw.) — być niemożliwym.

Do widzenia, Cecylia moja, do widzenia, ukochana. Pamiętaj, że twój miły cierpi i że ty jedna możesz mu wrócić szczęście.

Paryż, 19 października 17**

LIST CXVII

Cecylia Volanges do kawalera Danceny

(list dyktowany przez Valmonta)

Czy myślisz, ukochany, że trzeba aż twoich wymówek, abym się czuła smutną, kiedy wiem, że ty się trapisz? Czy wątpisz, że przechodzę zarówno z tobą wszystkie twoje cierpienia? Wiem dobrze, co ciebie martwi; to, że ostatnie dwa razy, kiedy prosiłeś mnie, abym ci przybyła tutaj, nie odpowiedziałam ci na to: ale czy to tak łatwo dać taką odpowiedź? Czy ty myślisz, że ja nie wiem, że to bardzo niedobrze zrobić to, czego ty chciałeś? Pomyśl tylko, jeżeli tak mi jest już trudno odmówić ci z daleka, cóż by dopiero było, gdybyś był tutaj! I potem za to, że cię chciałam pocieszyć na chwilę, musiałabym być nieszczęśliwą przez całe życie!

Posłuchaj, ja nie mam tajemnic dla ciebie; oto moje pobudki, sam je osądz. Byłabym może uczyniła to, czego pragniesz, ale wszakże ci pisałam, co zaszło. Otóż ten pan de Gercourt, który jest przyczyną całego naszego strapienia, nie przybędzie jeszcze tak prędko; że zaś od niejakiego czasu mama mi okazuje bardzo wiele dobroci, a i ja także staram się być z nią jak najczulej, kto wie, czego nie uda się od niej uzyskać? A gdybyśmy mogli być szczęśliwi tak, żebym nie musiała sobie nic wyrzucać, czy by to nie było o wiele lepiej? Jeżeli mam wierzyć temu, co mi często mówiono, to nawet sami mężczyźni nie kochają potem tak bardzo swoich żon, skoro one zanadto ich kochały, zanim jeszcze były ich żonami. Ta obawa powstrzymuje mnie bardziej jeszcze niż wszystkie inne względy. Mój najdroższy, czy ty nie jesteś pewny mego serca i czy nie będzie zawsze na to dosyć czasu?

Posłuchaj, przyrzekam ci, że jeżeli nie zdołam uniknąć tego nieszczęsnego małżeństwa z panem de Gercourt, którego tak już nienawidzę, zanim go na oczy widziałam, nic mnie nie powstrzyma od tego, żebym była twoją natychmiast, jak tylko będę mogła, a nawet wcześniej jeszcze. Ponieważ dbam o to tylko, abyś ty mnie kochał, a ty będziesz widział, że jeśli robię źle, to nie z mojej winy, poza tym mnie nic nie będzie obchodziło; bylebyś mi przyrzekł, że zawsze mnie będziesz kochał tak jak teraz. Ale, mój najdroższy, aż do tego czasu pozwól mi robić tak, jak robię; i nie żądaj ode mnie rzeczy, których dla ważnych powodów nie mogę uczynić, a których mimo to tak przykro mi odmawiać.

Chciałabym także bardzo, aby pan de Valmont nie był taki natarczywy za ciebie; to mnie tylko tym więcej czyni nieszczęśliwą. Och, masz w nim dobrego przyjaciela, wierz mi! Troszczy się o wszystko za ciebie tak, że ty sam nie mógłbyś lepiej. Ale do widzenia, drogi mój; bardzo późno zaczęłam pisać do ciebie i zużyłam na to większą część nocy. Idę się położyć i odzyskać czas stracony. Ściskam cię, ale już nie łaj mnie więcej.

Z zamku ***, 18 października 17**

LIST XCVIII

Kawaler Danceny do markizy de Merteuil

Jeżeli mam wierzyć kalendarzowi, dopiero dwa dni upłynęły, uroczą przyjaciółko, od czasu twego wyjazdu; ale jeżeli mam wierzyć memu sercu, to dwa wieki. Otóż słyszałam to z własnych ust twoich, że jedynie sercu zawsze wierzyć należy: zatem już wielki czas, abyś wracała i wszystkie twoje sprawy muszą być od dawna ukończone. I jakże chcesz pani, abym interesował się twoim procesem, skoro, czy w razie wygranej czy przegranej, ja muszę zawsze jednako ponosić jego koszt, dręcząc się twoją nieobecnością? Och, jakże miałbym ochotę robić ci wymówki! Jak ciężko jest, mając tak piękny przedmiot do żalu i niezadowolenia, nie mieć prawa ich okazywać!

Czyż to nie jest jednak prawdziwa niewierność, czarna zdrada, zostawiać tak swego przyjaciela z dala od siebie, przyzwyczajwszy go wprzód, aby się nie mógł obchodzić bez twojej obecności? Na próżno byś się radziła, pani, swoich adwokatów: nie znajdą uspra-

wiedliwienia dla tak niegodziwego postępku; zresztą ci ludzie umieją tylko rozumować, a uczucie nie da się zaspokoić rozumowaniem.

Co do mnie, tyle razy mówiłaś mi, markizo, iż rozsądek każe ci podjąć tę podróż, że doprowadziłaś mnie do zupełnego poróżnienia z tym panem. Nie chcę go już w niczym słuchać; nawet wówczas gdy mi mówi, aby zapomnieć o tobie. Mimo to ten rozsądek radzi bardzo rozsądnie; i doprawdy, to nie byłoby tak trudne do wykonania, jak pani przypuszcza. Wystarczyłoby tylko pozbyć się przyzwyczajenia myślenia ustawicznie o pani; nie spotykam zaś nic, upewniam panią, co by zdołało mi ją przypomnieć.

Nasze najpiękniejsze kobiety, te, które cieszą się rozgłosem największego powabu, są jeszcze tak dalekie od pani, że mogłyby mi dać o niej jedynie bardzo słabe wyobrażenie. Daremnie się siłą, daremnie dokładają wszelkich możliwych starań: brakuje im zawsze tego, że nie są tobą, a w tym właśnie leży cała siła twego uroku. Na nieszczęście, gdy dni się tak wloką i gdy się jest beczynnym, zaczyna się marzyć, buduje zamki na wodzie, tworzy sobie chimery; stopniowo wyobraźnia się rozpala; pragnie upiększyć swoje dzieło, gromadzi wszystko miłe, wszystko ładne, wszystko pojętne, dochodzi wreszcie do doskonałości; i gdy się posunęło tak daleko, portret sprowadza myśl do modelu i jest się nagle zdziwionym, widząc, iż myślało się cały czas jedynie o pani!

W tej chwili nawet znowu padłem ofiarą prawie że takiej omyłki. Pani myśli może, że ja usiadłem do pisania po to, aby się panią zajmować? Otóż wcale nie: jedynie, aby się rozerwać. Miałem tyle rzeczy do powiedzenia pani, których ty wcale nie byłaś przedmiotem, a które, jak pani wie dobrze, obchodzą mnie nader żywo; i oto myśl moja tak zesłała na bezdroża. Od kiedyż to powab przyjaźni ma prawo nas odrywać od uroku miłości? Ach, gdybym się nad tym dobrze zastanowił, kto wie, czy bym nie doświadczył niejakiego wyrzutu! Ale szta! Zapomnijmy o tym lekkim błędzie, z obawy, aby w niego nie popaść znowu; niechaj nawet moja przyjaciółka o nim się nie dowie.

Bo też czemu pani nie ma tutaj, aby rozmawiać ze mną, aby mnie naprowadzić na właściwą drogę, gdybym się zabłąkał, aby mi mówić o mojej Cecylii i zwiększyć, jeżeli to możliwe, szczęście, jakim jest dla mnie kochać ją, przez tę myśl tak słodką, że ta, którą kocham, jest twoją przyjaciółką? Tak, wyznaję, miłość, jaką budzi we mnie stała mi się tym cenniejszą jeszcze od czasu, gdy ty, pani, zgodziłaś się przyjmować me zwierzenia. Tak lubię otwierać przed panią serce, zajmować cię mymi uczuciami, odsłaniać ci je bez obawy! Zdaje mi się, że są mi one droższe, odkąd pani raczysz je przyjmować! Patrzę na ciebie potem i mówię sobie: w niej zamknięte jest całe moje szczęście!

Nie mam nic nowego do doniesienia pani o swoich sprawach. List, który dostałem *od niej* zwiększa i umacnia moją nadzieję, ale opóźnia ją jeszcze. Jednakże pobudki Cesi są tak serdeczne i tak zacne, że nie mogę ani ganić jej za nie, ani się uskarżać. Może nie rozumiesz pani zbyt dobrze tego, co ci mówię; ale bo czemuż cię tu nie ma? Chociaż się wszystko mówi swojej przyjaciółce, nie wszystko ośmiela się pisać. Tajemnice miłości zwłaszcza są tak drażliwe, że nie można im pozwolić wędrować na los szczęścia. Jeśli już kiedy pozwala im się wymknąć, trzeba przynajmniej nie dać im się zgubić z oczu: trzeba niejako patrzeć, jak się dostają do nowego schronienia. Ach, wracaj więc, czarująca przyjaciółko; widzisz sama, jak powrót twój jest potrzebny. Zapomnij wreszcie o *tysiącu przyczyn*, które cię zatrzymują, lub naucz mnie, jak żyć tam, gdzie ciebie nie ma.

Paryż, 19 października 17**

LIST CXIX

Pani de Rosemonde do prezydentowej de Tourvel

Mimo że cierpię jeszcze bardzo, droga ślicznotko, próbuję pisać do ciebie sama, aby móc ci mówić o tym, co ciebie zajmuje. Mój siostrzeniec trwa ciągle w mizantropii. Dowiaduje się codziennie bardzo regularnie o moje zdrowie, ale nie zjawił się osobiście, jakkolwiek go o to prosiłam. Mimo to spotkałam go dziś rano i to tam, gdzie się go nie spodziewałam wcale: mianowicie w kaplicy, dokąd udałam się po raz pierwszy od czasu mej przykrej dolegliwości. Dowiedziałam się dziś, że od czterech dni chodzi regularnie wysłuchać mszy św. Dałby Bóg, aby to trwało!

Skoro weszłam, zbliżył się do mnie i powinszował mi bardzo serdecznie polepszenia, jakie zaszło w moim zdrowiu. Ponieważ msza już miała się zacząć, przerwałam rozmowę,

której spodziewałam się dokończyć później; ale znikł, zanim mogłam do niego podejść. Nie będę ci ukrywać, że wydał mi się nieco zmienionym. Ale, droga ślicznotko, nie każ mi żałować, że zaufała w twój rozsądek, i nie przejmuj się zbyt żywo; a zwłaszcza bądź pewna, że wolałabym nawet cię zmartwić niż okłamać.

Jeżeli mój siostrzeniec będzie upierał się w swoim zamknięciu, mam zamiar, skoro tylko polepszy mi się nieco, odwiedzić go w jego pokoju; będę się starała przeniknąć przyczynę tej szczególnej manii, która, przypuszczam, nie jest bez związku z twoją osobą. Doniosę ci wszystko, czego się dowiem. Żegnam cię, ponieważ nie mogę już ruszać palcami: a przy tym gdyby Adelajda wiedziała, że pisałam, lajałaby mnie cały wieczór. Do widzenia, droga ślicznotko.

Z zamku ***, 20 października 17**

LIST CXX

Wicehrabia de Valmont do ojca Anzelma, zakonnika reguły Św. Bernarda, w klasztorze przy ulicy Św. Honoriusza

Nie mam wprawdzie zaszczytu być znanym wielbnemu ojcu, jednakże wiem, jak zupełnie zaufanie pokłada w nim pani prezydentowa de Tourvel, i wiem zwłaszcza, jak bardzo to zaufanie godnie jest umieszczone. Sądzę więc, iż mogę bez niedyskrecji zwrócić się do pana, aby uzyskać od niego przysługę nader ważną, naprawdę godną jego świętego urzędu, w sprawie, w której pani de Tourvel zainteresowana jest nie mniej ode mnie.

Posiadam w rękach ważne papiery, które jej dotyczą. Papiery te nie mogą być powierzone nikomu i nie powinienem, ani też nie chcę złożyć ich w inne ręce jak tylko jej własne. Nie mam innego sposobu uwiadomienia o tym pani de Tourvel: przyczyny, może wiadome ojcu od niej samej, ale których nie sądzą, iżbym miał prawo mu wyjawiać, skłoniły ją do uchylenia się od wszelkiej ze mną korespondencji. Dzisiaj, wyznając, nie potrafiłbym zganić tego jej postanowienia, zważywszy, iż pani de Tourvel nie mogła przewidzieć wypadków, których i ja sam nie przewidywałem: możebne były bowiem jedynie dla siły więcej niż ludzkiej.

Proszę zatem wielbnego ojca, aby zechciał powiadomić panią de Tourvel o moich nowych postanowieniach i prosić ją w moim imieniu o widzenie się poufne. Pragnę przynajmniej w części naprawić winy moje szczerą skruchą; zarazem zaś w jej oczach zniszczyć jedyne istniejące ślady błędów, jakich się dopuściłem względem jej osoby.

Dopiero po dopełnieniu tej wstępnej ekspiacji ośmielę się złożyć u twoich stóp, ojczu, korne wyznanie mych licznych nieprawości i błagać cię o pośrednictwo w pojednaniu o wiele ważniejszym i, na nieszczęście, trudniejszym jeszcze. Czy mogę spodziewać się, wielbny ojczu, iż nie odmówisz pomocy, tak potrzebnej mi i cennej? Że raczysz wzmocnić mą słabość i poprowadzić kroki na nowej ścieżce, którą bardzo gorąco pragnę postępować, ale której — wyznając to, rumieniąc się — nie znam jeszcze? Oczekuję twej odpowiedzi z niecierpliwością człowieka, który żałuje i pragnąłby złe naprawić; tymczasem pozostaję z całym poważaniem i wdzięcznością twoim najuniżeńszym etc.

PS Upoważniam wielbnego ojca, w razie gdyby uznał to za właściwe, do okazania tego listu w całości pani de Tourvel. Osobę tę szanować będę przez całe życie i nigdy w niej nie przestanę czcić istoty, którą niebo raczyło obrać sobie za narzędzie, aby przez budujący przykład jej cnót zawieść duszę moją ku drodze zbawienia.

Z zamku ***, 22 października 17**

LIST CXXI

Markiza de Merteuil do kawalera Danceny

Odebrałam twój list, mój nazbyt młody przyjacielu; ale zanim podziękuję, muszę cię za niego połączyć: uprzedzam cię, że jeżeli się nie poprawisz, nie spodziewaj się już ode mnie odpowiedzi. Porzuć zatem, jeżeli chcesz mnie posłuchać, ten ton pochlebno-pieszczotliwy, który staje się pustą igraszką słów z chwilą, gdy nie jest wyrazem miłości. Czy to jest styl przyjaźni? Nie, mój przyjacielu: każde uczucie ma swój język, który mu odpowiada; posługiwać się innym, to znaczy fałszować myśli, jakie się wyraża. Wiem dobrze, że nasze światowe kobiety niezdolne są nic w ogóle zrozumieć, o ile im się czego

nie przełoży na tę gwarę naszych salonów; ale sądziłam, wyznając to, iż warta jestem, abys mnie pan od nich odróżnił. Bardzo mnie to obeszło, może bardziej nawet, niż by powinno, że tak źle mnie ocenileś.

Znajdzie pan więc w moim liście jedynie to, czego brakuje twojemu, to jest szczerość i prostotę. Powiem na przykład, że bardzo byłabym rada pana tu oglądać i że bardzo mi przykro mieć koło siebie jedynie osoby, które mnie nudzą, zamiast tych, które mi są miłe. To samo zdanie pan przetłumaczyłby z pewnością w ten sposób: *Naucz mnie żyć tam, gdzie ciebie nie ma*, tak iż należałoby mi mniemać, że kiedy znajdziesz się przy boku ukochanej, nie będziesz umiał żyć, o ile mnie tam nie będzie jako trzeciej. Cóż za dzieciństwa! A te kobiety, którym *brak jest zawsze tego, iż nie są mną!* Czy znajdziesz może także, iż tego brak jest twojej Cecylii? Oto masz, dokąd prowadzi ów sposób wyrażania się, który, nadużywany dziś do znudzenia, stał się jeszcze czymś gorszym niż żargon komplementów i jest niejako rodzajem formułki, do której się nie przywiązuje więcej wagi niżeli do „bardzo uniżonego i powolnego sługi”.

Mój przyjacielu, skoro piszesz do mnie, to pisz po to, aby mi powiedzieć, co czujesz i myślisz, a nie, aby mi przesyłać zdania, które i bez ciebie znajdę, mniej lub więcej dobrze powiedziane, w pierwszym lepszym modnym romansie. Mam nadzieję, że nie pogniewasz się o to, co ci mówię, chociażbyś się nawet dopatrzył w tym nieco podrażnienia, bo nie zaprzeczam ci, że jestem trochę podrażniona: ale aby uniknąć nawet cienia tej wady, jaką tobie wyrzucam, nie powiem panu, że podrażnienie to spotęgowane jest może odległością, jaka dzieli mnie od pana. Zdaje mi się, że, wszystko razem wzięwszy, więcej pan jest wart, niżeli proces i dwóch adwokatów, więcej może nawet niż nadskakujący Bellerocche.

Widzi pan zatem, że zamiast zamartwiać się moją nieobecnością, powinien by się pan z niej cieszyć, bo nigdy jeszcze nie powiedziałam panu tak pięknego komplementu. Zdaje się, że przykład się udziela i że ja również zaczynam karmić pana pochlebnymi słówkami: ale nie, wolę pozostać przy mojej szczerości: ona tedy jedynie upewnia pana o serdecznej przyjaźni i życzliwości, jaką mam dla niego. Bardzo jest miło mieć młodego przyjaciela, którego serce zajęte jest gdzie indziej: takie jest moje zdanie, mimo iż większość kobiet inaczej się na to patrzy. Zdaje mi się, że z większą przyjemnością kosztuje się uczucia, które nie grozi żadnym niebezpieczeństwem; toteż chętnie przesłałam wobec pana, dość wcześnie może, do roli powiernicy. Ale bo też wybrałeś pan sobie przedmiot miłości tak młody, iż dałeś mi sposobność spostrzec się po raz pierwszy, że zaczynam robić się stara! To dobrze dla pana: zapewniasz sobie w ten sposób długie lata wierności, a życzę z całego serca, aby ona była wzajemną.

Ma pan słuszność, ulegając *pobudkom tkliwym i zacnym*, które, wedle tego co mi piszesz, *opóźniają twoje szczęście*. Wy mężczyźni, wy nie macie pojęcia, co to jest cnota i ile kosztuje ją poświęcić! Ale skoro tylko kobieta choć trochę zdolną jest myśleć, musi zdawać sobie sprawę, że niezależnie już od winy upadek jest zarazem dla niej największym nieszczęściem; nie rozumiem też, jak która może się poddać, jeżeli ma bodaj chwilę czasu do zastanowienia.

Niech pan nie próbuje zwalczać tego mniemania, bo ono to właśnie przywiązuje mnie głównie do pana. Pan mnie ocali od niebezpieczeństw miłości; a jakkolwiek umiałam i sama obronić się jej dotąd, gotowa jestem na pana przenieść mą wdzięczność i będę go lubiła za to lepiej i więcej. Kończąc na tym, mój drogi kawalerze, proszę Boga, aby cię miał w swojej świętej i wszechmocnej opiece.

Z zamku ***, 22 października 17**

LIST CXXII

Pani de Rosemonde do prezydentowej de Tourvel

Miałam nadzieję, miła córeczko, że będę mogła nareszcie uśmierzyć twe obawy: tymczasem przeciwnie, widzę ze smutkiem, że trzeba mi jeszcze je pomnożyć. Uspokój się jednak; mój siostrzeniec nie znajduje się w niebezpieczeństwie; nie można nawet powiedzieć, aby był istotnie chory. To pewna, że dzieje się w nim coś niezwyklego. Nic z tego nie rozumiem: ale opuściłam jego pokój z uczuciem smutku, może nawet przerażenia. Wyrzucam sobie, że i ciebie może zaniepokoję, ale nie mogę się powstrzymać, aby o tym nie pomówić. Oto opis tego, co zaszło: możesz być pewna, że jest wierny; mogłabym bo-

wiem żyć drugie osiemdziesiąt lat, a nie zapomniałabym wrażenia, jakie na mnie zrobiła ta smutna scena.

Udałam się tedy rano do mego siostrzeńca; zastałam go przy pisaniu, otoczonego stosami papierów. Pogrążony był w swoim zajęciu do tego stopnia, że byłam już na środku pokoju, a on jeszcze nie odwrócił głowy. Skoro mnie wreszcie spostrzegł, zauważyłam bardzo dobrze, iż wstając z krzesła, wysilał się, aby ukryć bolesny wyraz fizjonomii; może dlatego właśnie wpadło mi to w oczy. Prawda, że był nieuczesany i bez pudru: ale wydał mi się bladej i mizerny, a zwłaszcza bardzo zmieniony na twarzy. Spojrzenie, które znałyśmy tak żywym i wesołym, było smutne i przybite; słowem, mówiąc między nami, lepiej żęś go nie widział w tym stanie: bowiem miał wygląd bardzo wzruszający i łatwo byłby mógł w tobie zbudzić owo tkliwe współczucie, które jest jedną z niebezpiecznych zasadzek miłości.

Jakkolwiek mocno zmieszana tym wszystkim, zawiązałam mimo to rozmowę tak, jak gdybym nic nie zauważyła. Zaczęłam mówić zrazu o jego zdrowiu, próbowałam użalać się na jego zamknięcie trące mocno dziwactwem i starałam się zaprawić wesołością moją małą połajankę: ale on odpowiedział jedynie skupionym tonem: „To jeden błąd więcej, przyznaję; ale będzie naprawiony wraz z innymi”. Jego wyraz więcej jeszcze niż słowa zmąciły nieco mój żartobliwy ton: rzekłam tylko co prędzej, iż nazbyt wiele wagi przywiązuje do zwykłej przyjacielskiej wymówki.

Zaczęliśmy zatem znowu rozmawiać spokojnie. Powiedział mi w parę chwil potem, iż pewna sprawa, *najważniejsza w jego życiu*, powoła go może niebawem do Paryża: obawiając się jakichś zwierzeń, których nie chciałam, powiedziałam jedynie, że więcej rozrywki byłoby wskazanym dla jego zdrowia. Dodałam, że tym razem nie będę w niczym na niego nalegać, gdyż kocham moich przyjaciół dla nich, a nie dla siebie; wówczas, na to zdanie tak proste, on ścisnął mnie za ręce i rzekł z przejęciem, którego nie umiem ci opisać: „Tak, cioteczko, kochaj, kochaj bardzo siostrzeńca, który cię czci i miłuje; i, jak powiadasz, kochaj go dla niego samego. Nie trap się o jego los i nie mąć próżnym żalem wiecznej szczęśliwości, jakiej on ma nadzieję dostąpić niebawem. Powtórz mi, że mnie kochasz, że mi przebaczasz; tak, ty mi przebaczasz, znam twoją dobroć: ale czy mogę spodziewać się tej samej pobłażliwości od tych, których tyle obraziłem?”. Przy tych słowach pochylił się do moich rąk, jak sądzę, aby ukryć oznaki bólesci, którą dźwięk głosu zdradził mi pomimo woli.

Wzruszona bardziej, niżbym umiała powiedzieć, podniosłam się pospiesznie; z pewnością musiał zauważyć moje przerażenie, gdyż natychmiast, opamiętując się, dodał: „Wybacz, wybacz mi, pani; czuję, że sam nie wiem, co mówię. Proszę, racz zapomnieć o moich słowach i pamiętaj jedynie o mej głębokiej czci. Nie omieszkam — dodał — złożyć ci jeszcze raz jej wyrazów przed wyjazdem”. Zdawało mi się, że to ostatnie zdanie miało na celu położyć kres moim odwiedzinom; zaczęłam niebawem opuścić pokój.

Z tym wszystkim, im dłużej się zastanawiam, tym mniej domyślam się, co on mi chciał powiedzieć. Co to jest za sprawa *najważniejsza w jego życiu*? Za co prosi mnie o przebaczenie? Skąd mu się wzięła ta nagła czułość? Zadawałam sobie te pytania z tysiąc razy, nie znajdując odpowiedzi. Nie widzę w tym nawet nic, co by odnosiło się do ciebie: mimo to, jako że oczy miłości są bardziej jasnowidzące od oczu przyjaźni, nie chciałam nic zataić przed tobą z tego zdarzenia.

Cztery razy musiałam zasiadać na nowo, aby napisać ten długi list, który byłby jeszcze dłuższy, gdyby nie to, iż czuję się nazbyt zmęczona. Do widzenia, droga ślicznotko!

Z zamku *** 25 października 17**

LIST CXXIII

Ojciec Anzelm do wicehrabiego de Valmont

Otrzymałam, panie wicehrabio, list, którym mnie pan zaszczycił i zaraz wczorajszego dnia udałam się, idąc za pańskim życzeniem, do wymienionej osoby. Wyłożyłam jej przedmiot i pobudki pańskiego żądania. Mimo iż zrazu obstawała przy roztroprym postanowieniu, jakie powzięła poprzednio, skoro jej przedstawiłam, iż odmową swoją stawia może przeszkodę twemu szczęśliwemu nawróceniu i sprzeciwia się niejako w ten sposób miłosierdzia pełnym widokom Opatrzności, zgodziła się przyjąć twe odwiedziny, pod

warunkiem wszelako, że będą to ostatnie i poleciła mi oznajmić ci, panie wicehrabio, iż oczekuje cię w najbliższy czwartek, 28. Gdyby ten dzień był ci niedogodny, zechcesz uwiadomić ją o tym i naznaczyć inny. List twój będzie przyjęty.

Mimo to, panie wicehrabio, przyjm moją radę i nie zwłócz z tym bez ważnej przyczyny, aby się móc tym rychlej i już wyłącznie poświęcić chwalebnym postanowieniom, jakie mi objawiłeś. Pomyśl, że kto ociąga się z korzystaniem z momentu łaski, naraża się na to, iż może mu być ona odjęta; że jeżeli dobroć boska jest nieskończona, działanie jej jest jednak ograniczone sprawiedliwością; i że może przyjść chwila, w której Bóg miłosierdzia zmienia się w Boga pomsty.

Jeżeli zechcesz nadal zaszczycać mnie swą ufnością, bądź pewien, iż poświęcę ci najchętniej wszystkie me starania, skoro tylko tego zapragniesz. Jakkolwiek liczne są moje zatrudnienia, najważniejszą sprawą będzie zawsze dla mnie wypełniać obowiązki świętego urzędu, któremu jestem całą duszą oddany, zaś najpiękniejszą chwilą mojego życia ta, w której ujrzę moje wysiłki uwieńczone błogosławieństwem Wszechmogącego. My, słabi grzesznicy, cóż my możemy zdziałać sami przez się! Ale Bóg, który cię powołuje, może wszystko; jego to dobroci będziemy winili¹³³ zarówno ty stałe pragnienie połączenia się z nim, ja zaś środki, aby cię doń doprowadzić. Przy Jego to pomocy mam nadzieję przekonać cię niebawem, że jedynie święta wiara nasza zdolna jest dać, nawet w tym życiu, szczęście trwałe i mocne, którego na próżno się szuka w zaślepieniach ludzkich namiętności.

Paryż, 25 października 17**

LIST CXXIV

Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde

Wśród zdumienia, w jakim mnie pogrążyła nowina, o której dowiedziałam się wczoraj, nie zapominam o radości, jaką ona tobie, pani, musi sprawić: spieszę przeto, aby ci jej udzielić. Pan de Valmont nie myśli już ani o mnie, ani o swej miłości; pragnie jedynie naprawić skrucą i budującym życiem błędy, a raczej zbłąkania młodości. Zostałam powiadomiona o tym wielkim wydarzeniu, przez ojca Anzelma, do którego się zwrócił z prośbą o duchową opiekę na przyszłość, jak również o wyjednanie mu rozmowy ze mną. Głównym jej przedmiotem będzie, jak sądzę, zwrócenie mi listów, które zachował dotąd, wbrew memu ponawianemu w swoim czasie żądaniu.

Wolno mi jedynie przyklasnąć tej szczęśliwej odmianie i czuć się szczęśliwą, jeżeli, jak on twierdzi, danym mi było w czymkolwiek przyczynić się do niej. Ale czemuż trzeba było, abym ja stała się jej narzędziem i abym musiała ją przypłacić spokojem mego życia? Czyż szczęście pana de Valmont mogło się w każdym wypadku ziścić jedynie kosztem mej niedoli? Och, daruj mi tę skargę, ukochana przyjaciółko! Wiem, że nie do mnie należy zgłębiać wyroki Wszechmocnego: ale gdy ja Go błagam bez przerwy i ciągle na próżno o siłę zwalzenia mej nieszczęśliwej miłości, On użycza tej siły jemu, który tego wcale nie żądał, a mnie zostawia bez ratunku, zdaną wyłącznie na pastwę własnej niemocy!

Ale ucziszmy to występne szemranie. Czyliż nie wiem, iż dziecię marnotrawne uzyskało za swoim powrotem więcej łask od ojca niż syn, który nigdy domu nie opuścił? Jakiegoż rachunku możemy żądać od tego, który nam nic nie jest winien? A gdyby nawet było możebne, abyśmy mieli jakieś prawa u Niego, jakież ja bym mogła sobie rościć? Czyż mogę szczyścić się zwycięstwem, które winna jestem jedynie Valmontowi? On mnie ocalił: i ja śmiałabym się uskarżać, cierpiąc dla niego? Nie: cierpienia moje będą mi drogie, jeżeli zdołają okupić jego szczęście. Potrzeba widocznie było, aby on powrócił kiedyś do wspólnego Ojca. Bóg, który go ukształtował, musiał miłować swoje dzieło. Nie stworzył snadź¹³⁴ tej istoty tak pełnej uroku po to, aby ją skazać na wieczne potępienie. To mnie przysłało ponosić karę za mą zuchwałą nierozwagę. Skoro mi było wzbronionym kochać Valmonta, czyliż nie powinnam była czuć, iż nie wolno mi jest przebywać w jego pobliżu?

Błędem moim lub też nieszczęściem jest to, iż zbyt długo zamykałam oczy na tę prawdę. Ty jesteś mi świadkiem, droga i godna przyjaciółko, że zdobyłam się na poświęcenie,

¹³³winić — tu raczej: zawdzięczać.

¹³⁴snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

skoro tylko uznałam jego konieczność. Ale tym straszliwszym stało mi się ono teraz, odkąd wiem, że pan de Valmont przestał je podzielać. Czy mam ci wyznać, że ta myśl jest obecnie moją najdroższą męczarnią! Ach, ta niegodziwa дума, która sprawia, iż wśród własnych nieszczęść szukamy pociechy w niedolach, które drudzy przez nas cierpią! Och, ja zwyciężę to oporne serce, przyzwyczaję je do upokorzeń!

W tym celu głównie zgodziłam się wreszcie przyjąć w przyszły czwartek bolesne odwiedziny pana de Valmont. W tym dniu usłyszę z własnych jego ust, że nie jestem mu już niczym, że wrażenie słabe i przelotne, jakie uczyniłam na nim, zupełnie się już zatarło! Wzrok jego spoczywać będzie na mnie bez wzruszenia, podczas gdy ja, z obawy zdradzenia się, będę musiała oczy kierować ku ziemi. Te listy, których odmawiał tak długo moim tylokrotnym prośbom, otrzymam z powrotem dzięki jego zobojętnieniu; zwróci mi je jak przedmioty zbyteczne i bez wartości; i moje drżące ręce, przyjmując ten upokarzający depozyt, będą czuły, że zwraca go im ręka spokojna i pewna! Wreszcie ujrzę, jak się oddala... na zawsze! I moje spojrzenia, które pobiegną za nim, nie spotkają jego spojrzeń, odwracających się ku mnie!

I mnie było przeznaczone tyle upokorzenia! Och, niechaj ono przynajmniej obróci się na pożytek, przenikając mnie do głębi pocuciem mej słabości... Tak, te listy, o które on nie dba już więcej, ja je przechowam z całą pieczołowitością. Nałożę sobie wstyd odczytywania ich co dzień, dopóki lzy nie wytrą z nich ostatniego śladu; jego zaś listy spalę jako truciznę niebezpieczną, która skaziła moją duszę. Och, i czymże jest miłość, jeżeli każe nam żałować nawet niebezpieczeństw, jakimi nam zagraża; jeżeli trzeba się jej obawiać dla siebie wówczas jeszcze, kiedy się jej już nie budzi! Uchodźmy przed tą złowrogą namiętnością, która zostawia jedynie wybór pomiędzy hańbą a nieszczęściem, a często nawet jednocy je oboje; niech mi bodaj opamiętanie zastąpi miejsce cnoty.

Jakże ten czwartek jest jeszcze daleko! Czemuż nie mogę spełnić natychmiast tego bolesnego poświęcenia i pogrzebać w niepamięci jego przyczynę i przedmiot zarazem! Drażnią mnie te odwiedziny; żałuję, iż na nie zezwoliłam. I po cóż jemu widzieć mnie jeszcze? Czymże jesteśmy teraz jedno dla drugiego? Jeżeli mnie obraził, przebaczam mu. Winszuję nawet, iż pragnie naprawić swoje błędy; pochwalam mu to. Uczynię więcej, będę go naśladować; i ja popadłam w te same zbłąkania: przykład jego mnie nawróci. Ale skoro jego zamiarem jest uciec przede mną, i po cóż szuka mnie jeszcze? Czyż nie powinniśmy dążyć, aby jak najrychlej zapomnieć jedno o drugim? Och, tak! To będzie teraz moim jedynym staraniem.

Jeżeli pozwolisz, droga przyjaciółko, to do ciebie pośpieszę, aby się oddać temu trudnemu zadaniu. Jeżeli będę potrzebowała pomocy, może nawet pociechy, pragnę otrzymać je tylko od ciebie. Ty jedna umiesz zrozumieć mnie i przemawiać do mego serca. Twoja droga przyjaźń wypełni całe me istnienie. Będę ci winna mój spokój, szczęście, cnotę; a owocem twej dobroci dla mnie będzie to, iż uczynisz mnie jej godną.

Zdaje mi się, że w czasie pisania tego listu serce moje niejednokrotnie poniosło mnie na bezdroża; przypuszczam to przynajmniej po wzruszeniu, jakie towarzyszyło mi w czasie pisania. Jeżeli znajdziesz w moim liście jakie uczucia, za które bym się powinna rumienić, osłoń je twoją pobłażliwą przyjaźnią; odwołuję się do niej w zupełności. Nie tobie, pani, pragnę ukrywać by najmniej¹³⁵ drgnięcia mego serca.

Bądź zdrowa, czcigodna przyjaciółko. Mam nadzieję, że za niewiele dni oznajmię ci dzień mego przybycia.

Paryż, 25 października 17**

¹³⁵by najmniej — tu: choćby najmniej.

CZĘŚĆ CZWARTA

LIST CXXV

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

A więc nareszcie zwyciężyłem tę dumną kobietę, która śmiała mnie mać, iż mnie zdoła się opierać! Tak, droga przyjaciółko, jest moja, zupełnie moja; od wczoraj nie ma już prawa niczego mi odmówić.

Pozostaję jeszcze nazbyt pod wrażeniem mego szczęścia, aby móc je ocenić: ale sam zdumiony jestem nieznanym czarem, jakiego doznałem. Czyżby to więc było prawdą, że cnota podnosi wartość kobiety nawet w chwili jej upadku? Nie; zostawmy starym piastunkom te niedorzeczne baśnie. Czyż nie spotyka się prawie wszędzie mniej lub więcej dobrze udanego oporu przy pierwszym tryumfie? A czyż znalazłem gdziekolwiek ten urok, o którym mówię? Nie jest to jednak mimo wszystko urok miłości; bowiem jakkolwiek miewałem niekiedy przy tej dziwnej kobiecie chwile roztkliwienia dość podobne do tego upokarzającego uczucia, zawsze umiałem je zwyciężyć i wrócić do moich zasad. Jeżeli nawet wczorajsza scena poniosła mnie, jak mi się zdaje, nieco dalej, niż się spodziewałem; jeżeli przez chwilę podzielał zamęt i upojenie, jakie obudziłem, to owo przemijające złudzenie byłoby się już obecnie rozwiało; a tymczasem urok trwa ciągle. Wyznaję, iż poddałbym się nawet z rozkoszą jego działaniu, gdyby mnie nie przejmował zarazem pewnym niepokojem. Czyżbym, w moim wieku, jak student jaki pozwolił powodować sobą jakiemuś uczuciu niezależnemu ode mnie i nieznanemu? Nie, trzeba przede wszystkim zwalczyć je i zbadać.

Może zresztą już odgadłem przyczynę. Podobam sobie przynajmniej w tej myśli i chciałbym, aby była prawdziwa.

Z tłumu kobiet, przy których spełniałem aż do tego dnia rolę i obowiązki kochanka, każda zdradzała co najmniej tyle ochoty oddania się, ile ja miałem chęci nakłonienia jej do tego: utarło się niemal nazywać świętoszkami te, które wychodziły jedynie do połowy drogi, w przeciwstawieniu do tylu innych, których wyzywająca obrona bardzo niedostatecznie osłaniała pierwsze kroki zachęty z ich strony.

Tutaj, przeciwnie, znalazłem pierwotne usposobienie dla mnie niekorzystne, umocnione jeszcze potem radami i oskarżeniami kobiety kierowanej nienawiścią, ale widzącej jasno; znalazłem wrodzoną trwożliwość i pełne delikatności uczucia wstydu; przywiązanie do cnoty płynące z zasad religijnych i mające za sobą dwa lata tryumfu; patrzyłem wreszcie na zadziwiające postęпки, natchnione tymi rozmaitymi pobudkami: postęпки, których jedynym celem było umknąć się moim zabiegom.

Nie jest to zatem, jak w moich innych przygodach, zwykła kapitulacja mniej albo więcej zaszczytna i z której łatwiej jest korzystać niż wbijać się w pychę; to zwycięstwo zupełne, kupione uciążliwą walką i odniesione dzięki umiejętnym obrotom wojennym. Nic zatem dziwnego, że ten tryumf, który zawdzięczam tylko sobie, staje mi się tym cenniejszym; i nadmiar rozkoszy, jaką odczułem w chwili zwycięstwa i pod której czarem jeszcze pozostaję, jest jedynie słodkim wrażeniem pocucia swojej chwały. Trafia mi do przekonania ten sposób patrzenia na rzeczy: ratuje mnie od upokarzającej myśli, że mógłbym w jakimkolwiek względzie zawisnąć być od niewolnicy, którą poddałem memu jarzmu; że nie posiadam w sobie samym pełni mego szczęścia i że władza sycenia mnie całą jego potęgą miałyby być dana tej a tej kobiecie, za wyłączeniem wszystkich innych.

Te budujące rozmyślania będą miarodajne dla mego zachowania się w tej osobliwej przygodzie: możesz być pewna, że nie pozwolę się spętać w ten sposób, abym nie mógł w każdej chwili skruszyć tych nowych kajdanów¹³⁶, wedle mojej dobrej woli i ochoty. Ale oto już mówię ci o zerwaniu, a ty nie wiesz jeszcze, w jaki sposób nabyłem praw do niego; słuchaj zatem: zwracałem tak baczną uwagę i na własne słowa, i na odpowiedzi, z jakimi się spotykały, że mam nadzieję odmalować ci całą scenkę z należytą dokładnością.

Zobaczysz z dwóch kopii listów, które dołączam, jakiego pośrednika obrałem sobie, aby się zbliżyć do mojej piękności, i jak gorliwie świątobliwa osobistość zabrała się do tego, ażeby nas połączyć. Trzeba ci jeszcze wiedzieć — o czym ja dowiedziałem się z listu przejętego wedle zwyczaju — że obawa połączona z upokorzeniem, iż mogłaby być

¹³⁶kajdanów — dziś popr. D.lm: kajdan.

opuszczoną, zaburzyła nieco roztropność surowej nabożnisi; zarazem włożyła w jej serce i główkę uczucia i myśli, które, mimo iż pozbawione wszelkiego zdrowego sensu, niemniej były wcale interesujące. Po tych to wstępnych czynnościach, o których musiałem cię powiadomić, wczoraj, we czwartek dnia 28, w dniu obranym i naznaczonym przez moją niewdzięczną, zjawiłem się u niej jako niewolnik nieśmiały i pełen skruchy, aby opuścić dom jako uwieńczony zwycięzca.

Była godzina szósta wieczór, kiedy przybyłem do pięknej samotnicy, albowiem od czasu powrotu drzwi jej zamknięte były dla całego świata. Próbowala powstać, kiedy mnie oznajmiono; ale drżenie kolan nie pozwoliło jej utrzymać się w tej pozycji: musiała usiąść z powrotem. Służący krzątał się jeszcze chwilę po pokoju, czym pani de Tourvel zdawała się zniecierpliwiona. Zapelniliśmy tę chwilę wymianą zwykłych ceremonialnych grzeczności. Równocześnie, aby nic nie tracić z czasu, którego wszystkie momenty były cenne, rozejrzałem się dokładnie po całym pokoju; i już wówczas od razu naznaczyłem sobie okiem teren zwycięstwa. Nie byłbym mógł wymarzyć dogodniejszych okoliczności, w tym samym bowiem pokoju znajdowała się otomana. Ale zauważyłem również, że naprzeciw niej wisiał portret męża i obawiałem się, wyznając, aby z kobietą tak osobliwego kroju jedno spojrzenie skierowane przypadkowo w tę stronę nie zniszczyło doraźnie owocu tylu starań. Wreszcie zostaliśmy sami i przystąpiłem do rzeczy.

Zaznaczywszy w krótkich słowach, iż ojciec Anzelm musiał ją powiadomić o pobudkach mych odwiedzin, począłem się użalać na surowe postępowanie, którego byłem przedmiotem, przy czym położyłem szczególny nacisk na *wzgardę*, jaką mi okazano. Broniła się od tego, jak było do przewidzenia; przeprowadziłem tedy dowód, powołując się na jej początkową nieufność i obawę, na skandaliczną ucieczkę, na odmowę odpowiadania na moje listy, przyjmowania ich nawet etc. etc. Chciała mi na to odpowiedzieć; przerwałem jej; aby zaś złagodzić brutalność tego szorstkiego sposobu, osłoniłem go natychmiast za pomocą pochlebstwa. „Jeżeli tyle wdzięków — ciągnąłem — zrobiło na moim sercu wrażenie tak głębokie, tyle cnót wyrzyło się nie mniej głęboko w mej duszy. Wiedziony nieodpartym pragnieniem zbliżenia się do nich, odważyłem się mniemać, iż stałem się ich godnym. Nie wyrzucam ci pani, iż osądziłaś inaczej, ale nakładam sobie karę za moją omyłkę”. Ponieważ spotkałem się z pełnym zakłopotania milczeniem, ciągnąłem dalej: „Pragnąłem, pani, albo usprawiedliwić się w twoich oczach, albo uzyskać przebaczenie błędów, o jakie mnie pomawiasz; potrzebuję tego, aby bodaj dokończyć w spokoju dni, do których nie przywiązuję żadnej ceny, odkąd ty, pani, wzdragasz się być jedyną ich słodyczą”.

Tutaj próbowała odpowiedzieć. „Obowiązki moje nie pozwalały mi...”. Kłamstwo nie mogło jej przejść przez gardło; urwała. Zacząłem tedy tonem najgłębszej tkliwości. „Więc to prawda, że pani uciekła przede mną?” — „Ten wyjazd był konieczny”. — „I że oddalasz mnie od siebie?” — „Tak trzeba”. — „I na zawsze?” — „Tak powinienam”. Nie potrzebuję ci dodawać, że w czasie tej krótkiej rozmowy głos czulej świętoszki był zdławiony, zaś oczy nie śmiały podnieść się na mnie.

Uznałem, iż trzeba ożywić nieco tę przewlekającą się scenę: toteż podnosząc się z wyrazem żalu: „Stałość pani — rzekłem — przywraca mi siłę moich postanowień. Dobrze zatem, rozstaniemy się; rozstaniemy się nawet bardziej niż myślisz: będziesz mogła sobie do woli winszować twego dzieła”. Nieco zdziwiona tym tonem wymówki, chciała odpowiedzieć: „Postanowienie, jakie pan powziął” — rzekła... — „Jest jedynie wynikiem rozpaczy — odparłem z uniesieniem. — Chciałaś, ażebym był nieszczęśliwym; dowiodę, że ci się to powiodło, nawet ponad twoje własne życzenia”. — „Pragnę pańskiego szczęścia” — odparła. Tu ton jej głosu zwiastował już bardzo silne poruszenie; toteż rzucając się do jej kolan i tym moim tonem dramatycznym, który znasz, markizo, wykrzyknąłem: „Ach, okrutna, czy może istnieć dla mnie szczęście, gdy ty go nie chcesz podzielać? Gdzież je znaleźć z dala od ciebie? Och, nigdy! Nigdy!”.

Wyznając, że zapędzając się w ten sposób, wiele liczyłem na pomoc łez: ale czy to z nieusposobienia, czy też z przyczyny nieustannego napięcia uwagi, niepodobieństwem mi było rozplakać się.

Na szczęście przypomniałem sobie, że aby zdobyć kobietę, każdy sposób jest równie dobry, i że pierwszy lepszy wielki gest wystarczy, aby wyrzucić na niej wrażenie głębokie i korzystne. Nadrobiłem tedy grozą to, w czym uczuciowość nie dopisała. W tym celu,

zmieniając jedynie ton i siłę głosu, a zostając w tej samej pozycji, wykrzyknąłem: „Tak jest, przysięgam oto u stóp twoich, iż albo cię posiadę albo też zginę”. Gdy wymawiał te ostatnie słowa, spojrzenia nasze spotkały się. Nie wiem, czego trwożliwa istotka dopatrzyła się w moim wzroku, ale podniosła się z twarzą przerażoną i wymknęła się z ramion, którymi ją obejmowałem. Nie przytrzymałem jej, gdyż zauważyłem nierzadko, że sceny rozpacz, wzięte ze zbyt górnego tonu, z chwilą gdy się nadto przewlekają, przechodzą w śmieszność lub też pozostawiają jedynie drogę do środków prawdziwie tragicznych, na którą nie miałem najmniejszego zamiaru wkroczyć. Zatem podczas gdy ona wymykała mi się z ramion, dodałem jedynie tonem niskim i posępnym, ale w ten sposób, aby mnie mogła usłyszeć: „A więc śmierć!”.

Podniosłem się wówczas i zachowując przez chwilę milczenie, rzuciłem na nią, jak gdyby przypadkiem, parę złowrogich spojrzeń, które mimo swego obłądnego pozoru były na wskroś przenikliwe i jasnowidzące. Jej postawa na wpół omdlała, przyspieszony oddech, skurcz wszystkich mięśni, ramiona drżące i na wpół wzniesione, wszystko to było dla mnie dostateczną oznaką, iż osiągnąłem pożądane wrażenie: ale ponieważ w miłości pierwszym warunkiem dojścia do celu jest, aby dwoje osób znalazło się blisko siebie, a zaś my znajdowaliśmy się wówczas dosyć daleko jedno od drugiego, trzeba było przede wszystkim się przybliżyć. Aby do tego doprowadzić, przeszedłem co rychlej do pozornego spokoju, aby złagodzić skutki mego gwałtownego wybuchu, nie osłabiając jego wrażenia.

Przejście moje było mniej więcej takie: „Jestem bardzo nieszczęśliwy. Chciałem żyć dla twego szczęścia i zakłóciłem je. Poświęcam się dla twego spokoju i również go zamącam”. Potem, siłąc się niby na spokój, ale z widocznym wysiłkiem: „Wybacz, pani, nie nawykłem do burz namiętności, nie umiem przeto panować nad ich wybuchem. Uniosłem się; źle uczyniłem: ale pomyśl, że to ostatni raz. Och, uspokój się, pani, uspokój się, błagam”. Zarazem podczas tego długiego przemówienia zbliżałem się nieznacznie. „Jeżeli pan chce, abym się uspokoiła — odparła spłoszona piękność — niech się pan sam stara być spokojniejszy”. — „Dobrze więc, przyrzekam to pani” — rzekłem. Po czym dodałem słabszym głosem: „Wysiłek ciężki, ale przynajmniej nie będzie zbyt długi. Ale — podjąłem natychmiast jakby na wpół przytomnie — przyszedłem tutaj, wszak prawda, aby pani zwrócić jej listy. Racz je odebrać, proszę. Niech się spełni i to bolesne poświęcenie: nie zostawiaj mi nic, co mogłoby osłabić mą odwagę”. Następnie dodałem, wyciągając z kieszeni cenny zbiorzek: „Oto zakład zwodniczy zapewnien twojej przyjaźni! Przywiązywał mnie do życia, odbierz go tedy. Sama zechciej dać znak, który ma mnie od ciebie oddalić na zawsze”.

Tutaj czuła kochanka poddała się najzupełniej poruszeniom tkliwego niepokoju. „Ależ, panie de Valmont, co panu jest? Co pan chce powiedzieć? Czyż krok, który czynisz dzisiaj, nie jest dobrowolny? Czy to nie jest owoc własnego pańskiego namysłu? Czyż nie pan sam zgodził się z koniecznym postanowieniem, które ja obrałam z poczucia obowiązku?” — „A zatem — odparłem — to postanowienie rozstrzygnęło o moim”. — „I jakież ono?” — „Jedyne, które może, rozdzielając mnie z tobą, położyć koniec moim cierpieniom”. — „Ale niech mi pan powie: co pan zamierza?”. Na to objąłem ją w ramiona, bez żadnego oporu z jej strony. Z tego zapomnienia o względach przyzwoitości mogłem wnioskować, jak bardzo musi być wzruszona: wykrzyknąłem tedy, ryzykując ten nowy wybuch uniesienia: „Kobieto anielska, ty nie masz żadnego pojęcia o miłości, jaką mam dla ciebie; nie dowiesz się nigdy, do jakiego stopnia byłaś ubóstwiana i o ile to uczucie było mi droższym niż własne me istnienie! Oby dni twoje mogły ci spłynąć szczęśliwie i spokojnie; oby mogło je ozłocić całe szczęście, z którego mnie odarłaś! Odpląć przynajmniej to szczere życzenie jednym westchnieniem, jedną łzą i wierz mi, że to ostatnie z poświęceń nie będzie najcięższe dla mego serca. Żegnaj cię”.

Podczas gdy tak mówiłem, czułem, że serce jej bije coraz gwałtowniej, śledziłem, jak się twarz mieni, widziałem zwłaszcza łzy, które ją dławiły, dobywając się z oczu jedynie skąpo i z trudnością. Wówczas dopiero spróbowałem udać, że się chcę oddalić; na co ona wstrzymując mnie z siłą, wykrzyknęła żywo „Nie, wysłuchaj mnie wprzód”. — „Puść mnie pani” — odparłem. — „Wysłuchaj mnie, ja żądam”. — „Trzeba uciekać od ciebie, trzeba!” — „Nie!” — wykrzyknęła. Przy tym ostatnim słowie rzuciła się lub raczej padła zemdlna w moje ramiona. Ponieważ wątpiłem jeszcze o tak szczęśliwym wyniku, udałem wielkie przerażenie, ale zarazem, ciągle zdradzając oznaki przerażenia, zaprowa-

dziłem ją lub raczej zaniósłem na pole mej chwały. Jakoż w istocie przyszła do siebie dopiero zupełnie ujarzmiona i już stawszy się łupem szczęśliwego zwycięzcy.

Aż dotąd, piękna przyjaciółko, mogłaś, jak sądzę, stwierdzić z uznaniem i przyjemnością wzorową czystość metody w moim postępowaniu. Przyznasz, że w niczym nie oddaliłem się od klasycznych zasad tej wojny, w której nieraz, rozmawiając o tym, zauważyliśmy tyle podobieństwa do prawdziwej. Sądź mnie przeto tak, jakby to czynił Tureniusz lub Fryderyk. Zmusiłem do bitwy przeciwnika, który chciał jedynie zwlekać, unikając stanowczej rozprawy; zapewniłem sobie przez umiejętne obroty wybór terenu i warunków walki; zdołałem uspić czujność nieprzyjaciela, aby go dosięgnąć łatwiej w jego szanicach; następnie umiałem przejąć go postrachem, zanim przyszło do spotkania. Jeżeli zdałem się w czym na los przypadku, to jedynie wówczas, gdy miałem widoki wielkich korzyści w razie powodzenia, a pewność dalszych posiłków w razie porażki; wreszcie wydałem bitwę jedynie po zapewnieniu sobie odwrotu dającego możność zabezpieczenia i zachowania wszystkiego, co zdobyłem poprzednio. To, zdaje mi się, wszystko, co można uczynić; ale lękam się obecnie, iż rozmiękleń jak Hannibal w rozkoszach Kapui. Oto co zaszło od tej chwili.

Byłem przygotowany na to, że tak doniosły wypadek nie obędzie się bez łez i bez przyjętej w takich wypadkach rozpacz: tutaj natomiast zauważyłem raczej przewagę pewnego zawstydzenia i jakby skupionej powagi. Jedno i drugie tłumaczyłem sobie stanem, w jakim się znajdowała moja bogobojna pani; toteż nie zaprzatając się tymi drobnymi różnicami, które uważałem za czysto okolicznościowe, chciałem po prostu kroczyć wielkim gościńcem pocieszeń, przekonany, że, jak się to dzieje zazwyczaj, jeden czyn zdziała więcej niż wszystkie perswazje, których jednak również nie zaniedbywałem. Ale napotkałem na opór istotnie przerażający, nie tyle jeszcze przez swoją gwałtowność, co przez formę, w jakiej się objawił.

Wyobraź sobie kobietę siedzącą całą zeszytniałą, o twarzy zupełnie nieruchomej; robiącą wrażenie, iż nie myśli, nie słyszy, nie rozumie: jedynie z oczu utkwionych w jeden punkt wypływają łzy dość obfite i ciekące jakby bezwiednie. Taką była pani de Tourvel podczas moich przemówień; zaś gdy próbowałem ściągnąć na siebie jej uwagę jakąś pieszczotą, gestem nawet najniewinniejszym, miejsce pierwotnej martwoty zajęły natychmiast objawy przerażenia, spazmy, konwulsje, szlochy i od czasu do czasu bezładne okrzyki.

Te napady powtórzyły się kilka razy i coraz to silniejsze; ostatni był nawet tak gwałtowny, że byłem już bliski zupełnego zniechęcenia i zaczynałem przez chwilę myśleć, iż odniosłem najzupełniej jałowe i bezpożyteczne zwycięstwo. Próbowałem się chwycić wszelkich przyjętych w tych wypadkach ogólników, w których liczbie znalazł się i ten frazes: „Więc to cię przyprawia o taką rozpacz, iż dałaś mi szczęście?”. Na to słowo, czarująca kobieta obróciła się ku mnie i twarz jej, jakkolwiek jeszcze nieco błędna, przybrała znowu swój niebiański wyraz. „Pańskie szczęście!” — rzekła. Domyślasz się mej odpowiedzi. „Więc jesteś szczęśliwy?”. Podwoiłem moje zapewnienia. „I szczęśliwy przeze mnie!”. Dorzuciłem jeszcze słów zachwyty i tkliwego gruchania. Podczas gdy mówiłem do niej, członki jej straciły dotychczasową sztywność, osunęła się miękko w głąb fotelu i nie broniąc mi ręki, którą ośmieliłem się ująć, rzekła: „Czuję, że ta myśl pociesza mnie i przynosi ulgę”.

Pojmujesz, że w ten sposób odnalazłszy wreszcie drogę, nie opuściłem jej już więcej; była to w istocie droga dobra i może jedyna. I tak, kiedy chciałem pokusić się o drugie zwycięstwo, spotkałem się zrazu z pewnym oporem (zaś to, na co patrzyłem przed chwilą, uczyniło mnie oględnym): ale, przywoławszy na pomoc tę samą myśl o *moim szczęściu*, odczułem wkrótce jej zbawienne skutki: „Masz słuszność — rzekła mi tkliwa istota — odtąd mogę znosić istnienie moje jedynie o tyle, o ile może ono się zdać dla twojego szczęścia. Poświęcam się jemu w zupełności: od tej chwili oddaję ci się i nie doświadczysz z mej strony ani odmowy, ani żalu”. Z tą prostotą, naiwną czy też wzniosłą, wydała mi swą osobę i wdzięki i zdwoiła wartość mego szczęścia, dzielając je wraz ze mną. Upojenie było zupełne i obustronne; po raz pierwszy w życiu przetrwało ono u mnie dłużej niż chwila rozkoszy. Wysunąłem się z jej ramion jedynie po to, aby upaść do kolan, aby przysiąc wieczystą miłość, i muszę wyznać, w tej chwili wierzyłem w to, co mówiłem. Słowem, nawet kiedyśmy się rozstali, myśl o niej nie opuszczała mnie i trzeba mi było bardzo pracować nad sobą, aby się z niej oswobodzić.

Ach, czemuż nie ma cię tutaj, aby zrównoważyć urok mego zwycięstwa urokiem nagrody? Ale nie stracę nic na oczekiwaniu, nieprawdaż? Mam nadzieję, iż mogę uważać jako przyjęty ten piękny układ, jaki proponowałem ci w ostatnim liście? Widzisz, że dotrzymuję słowa i że, jak ci przyrzekłem, uporałem się z moimi sprawami na tyle, abym ci mógł poświęcić nieco czasu. Spiesz się tedy co rychlej odprawić twego nudnego Belle-roche'a i daj pokój słodkawemu Danceny'emu, aby się zająć jedynie mną. Ale co ty tam robisz na tej wsi, że nie odpowiadasz mi nawet? Czy wiesz, że miałbym ochotę wyklócić się z tobą? Ale szczęście czyni wyrozumiałym. A przy tym nie zapominam, że stając na nowo w rzędzie twoich kornych wielbicieli, winien jestem poddać się z konieczności, markizo, twoim kaprysom i kaprysykom. Pamiętaj jednak, iż nowy kochanek nie chce nic stracić z dawnego przyjaciela. Do widzenia, jak niegdyś... *Tak, do widzenia, aniele mój: ślę ci najtkliwsze, najgorętsze pocałunki miłości.*

PS Czy wiesz, że Prévau, odsiedziawszy miesiąc więzienia, zmuszony był wystąpić z pulku? Cały Paryż powtarza sobie tę nowinę. Trzeba przyznać, że srogo został ukarany za winę, której nie popełnił, i że tryumf twój jest zupełny!

Paryż, 29 października 17**

LIST CXXVI

Pani de Rosemonde do prezydentowej de Tourvel

Byłabym ci odpowiedziała wcześniej, moje miłe dziecko, gdyby utrudzenie ostatnim listem nie wróciło mi moich dolegliwości, co znowu pozbawiło mnie na cały szereg dni używania ramienia. Spieszno mi było podziękować ci za dobre wiadomości, jakich udzieliłaś mi o moim siostrzeńcu, i nie mniej spieszenie pragnęłam ci złożyć, co się ciebie tyczy, serdeczne powinszowania. Trzeba w istocie uznać tutaj działanie Opatrzności, która poruszając serce jego, ocaliła zarazem ciebie. Tak, droga ślicznotko, Bóg, który pragnął cię tylko doświadczyć, przyszedł ci z pomocą w chwili, gdy siły twoje były już wyczerpane; i mimo twego nieśmiałego szemrania, winna Mu jesteś za to niemalą podziękę. Czuję to bardzo dobrze, iż milej by ci było, gdyby postanowienie to przyszło tobie pierwszej, zaś aby krok Valmonta był jedynie jego następstwem; zdaje mi się nawet, mówiąc po ludzku, że prawa naszej płci byłyby w ten sposób lepiej zachowane, a my tych praw, broń Boże, nie lubimy się wyrzekać! Ale czymże są te drobne względy wobec ważnego celu, który został osiągnięty? Czyż zdarza się, aby tonący, który ocalił się z rozbicia, uskarżał się na to, iż nie zostawiono mu wyboru środków ratunku?

Przekonasz się wkrótce, droga moja córko, iż cierpienia, których się obawiasz, pofolgują same przez się; a gdyby nawet miały trwać wiecznie i w całej sile, nie mniej będziesz czuła, że jeszcze łżejsze są one do zniesienia niż wyrzuty za zbrodnię i wzgarda dla samej siebie. Na próżno byłabym mówiła do ciebie wcześniej z tak otwartą surowością; miłość to jest uczucie niezależne od nas, od którego roztropność może uchronić, ale którego nie zdołalaby zwalczyć i które, skoro raz się urodzi, umiera jedynie naturalną śmiercią albo też zdławione absolutnym brakiem nadziei. To właśnie, iż obecnie znajdujesz się w tym położeniu, daje mi odwagę i prawo powiedzenia ci otwarcie mego zdania. Okrucieństwem jest przerażać beznadziejnie chorego, któremu przydać się mogą jedynie słowa pociechy i środki uśmierzające: ale obowiązkiem roztropności jest oświecać kogoś, kto wraca do zdrowia, co do niebezpieczeństw, na jakie był narażony, aby go natchnąć potrzebną rozważą i posłuszeństwem dla wskazówek, jakie mogą mu być jeszcze pożyteczne.

Skoro mnie obrałaś za swego lekarza, jako taki zatem do ciebie przemawiam i mówię ci, że drobne dolegliwości, jakich doświadczasz teraz, niczym są w porównaniu do straszliwej choroby, z której masz oto pewność być uleczoną. Wreszcie, jako twoja przyjaciółka, jako przyjaciółka kobiety rozumnej i cnotliwej, pozwolę sobie dodać, że ta namiętność, która cię ujarzmiła, już tak nieszczęśliwa sama przez się, jeszcze groźniejszą była dla ciebie z przyczyny jej przedmiotu. Jeżeli mam wierzyć temu, co mi powiadają, mój siostrzeniec, którego, wyznaję, iż kocham może aż do słabości i który jednoczy w istocie wiele wartościowych przymiotów i powabów, nie jest ani zbyt bezpieczny dla kobiet, ani też bez winy względem nich i niemal tyleż rozkoszy sprawia mu uwodzić je, co gubić. Wierzę chętnie, iż zdołałabyś go odmienić: z pewnością nikt nie był tego godniejszy od ciebie; ale tyle innych ludziło się tym przekonaniem i wiara ich została zawiedziona, że wolę

dla ciebie, iż nie jesteś zdana na taką pociechę. Zważ teraz, moje drogie dziecko, iż zamiast tylu niebezpieczeństw, na które byłabyś narażona, będziesz miała poza spokojem sumienia i własną spokojnością, zadowolenie, iż stałaś się główną przyczyną szczęśliwego nawrócenia Valmonta. Co do mnie, nie wątpię, iż to było w znacznej części dzieło twojego wytrwałego oporu i że chwila słabości z twojej strony byłaby utrwaliła mego siostrzeńca na zawsze na drodze złego. Miło mi jest w to uwierzyć i pragnę, abyś ty myślała tak samo; znajdziesz w tym pewną pociechę, ja zaś nową przyczynę, aby cię kochać tym więcej.

Oczekuję cię tutaj niebawem, moja miła córeczko, tak jak mi to oznajmiasz w twym liście. Przybądź, aby odnaleźć spokój i szczęście w tych samych miejscach, w których go utraciłaś: przybądź zwłaszcza cieszyć się wraz z twą tkliwą matką, iż tak szczęśliwie dotrzymałaś danego jej słowa, iż nie uczynisz nic, co by nie było godne jej i ciebie!

Z zamku ***, 30 października 17**

LIST CXXVII

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Jeżeli nie odpowiedziałam, wicehrabio, na twój list z 19-ego, to bynajmniej nie dla braku czasu, ale po prostu dlatego, że mnie zirytował i że wydał mi się pozbawiony zdrowego sensu. Sądziłam tedy, iż najlepiej uczynię, zostawiając ów list w zapomnieniu: ale skoro ty powracasz do niego, skoro zdajesz się obstawać przy pomysłach, jakie zawiera, a moje milczenie bierzesz za znak zgody, muszę ci powiedzieć jasno, co o tym mniemam.

Mogłam niekiedy mieć pretensję zastąpienia sama jedna całego seraju; ale nigdy mi nie przypadało do smaku stanowić jego część. Myślałam, że wiesz o tym. Przynajmniej teraz, kiedy już jesteś oświecony w tym względzie, będziesz mógł łatwo ocenić, jak bardzo twoja propozycja musiała mi się wydać śmieszną. Kto, ja? Ja miałabym poświęcić mój kaprys, i to w dodatku kaprys świeży jeszcze, aby zajmować się tobą? I to aby zajmować się jak? Czekając z kolei, i jako uległa niewolnica wspaniałej łaski waszej *wysokości*? Skoro, na przykład, zapragniesz się rozerwać na chwilę po tym *nieznanym uroku*, który *ubóstwiana, niebiańska* pani de Tourvel, jedyna spomiędzy wszystkich, dała ci poznać, lub kiedy będziesz się lękał skompromitować w oczach *pociągającej Cecylii* owo chlubne mniemanie, które tak rad byłbyś, aby zachowała o tobie: wówczas, zstępując do mnie, przyjdiesz tam szukać przyjemności mniej żywych, to prawda, ale za to nieobowiązujących; a twoje cenne chwile dobroci, jakkolwiek niezbyt obfite, wystarczą odtąd dla mojego szczęścia!

W istocie, bogaty jesteś w dobrą opinię o sobie samym: ale zdaje się, ja nie jestem dość uposażoną w skromność; gdyż na próżno się sobie przyglądam, nie mogę uznać, abym tak nisko już spadła. Może to jest wada u mnie; ale uprzedzam cię, że ja mam jeszcze i różne inne wady.

Mam zwłaszcza tę wadę, iż mniemam, że ów *uczniać*, ów *słodkawy Danceny*, jedynie mną zajęty, poświęcający mi, bez szukania w tym chluby, pierwszą swą namiętność, zanim jeszcze została uwieńczona, i kochający mnie wiernie tak jak się kocha w jego wieku, mógłby, mimo swoich dwudziestu lat, pracować bardziej skutecznie od ciebie dla mego szczęścia i przyjemności. Pozwolę sobie nawet dodać, że gdyby mi przyszedł kaprys dodania mu pomocnika, to i tak nie byłbyś nim ty, przynajmniej na tę chwilę.

I dla jakiej przyczyny, gotówes mnie zapytać? Ależ przede wszystkim mogłoby nie być w ogóle żadnej: ten sam kaprys, który stałby się w danym razie przyczyną twego wyróżnienia, mógłby tak samo spowodować twą niełaskę. Pragnę jednakże z prostej grzeczności wytłumaczyć ci moje pobudki. Zdaje mi się, że musiałbyś uczynić dla mnie zbyt wiele poświęceń; a ja, zamiast mieć dla ciebie wdzięczność, której niechybnie byś po mnie oczekiwał, byłabym zdolna mniemać, iż jeszcze mi się więcej od ciebie należy! Widzisz dobrze, że wobec takich różnic w sposobie myślenia nie możemy zbliżyć się do siebie również w innym sposobie; zarazem lękam się, że potrzebowałabym dużo czasu, ale to bardzo dużo, zanim bym odmieniła moje zapatrywania. Skoro się już poprawię, przyrzekam uwiadomić cię o tym. Aż do tej pory, wierzaj mi, znajdź sobie inne kombinacje i zachowaj swoje pocałunki; wszak tyle masz dla nich lepszych miejsc do ulokowania!

„Do widzenia, jak dawniej”, powiadasz? Ale dawniej, o ile mi się zdaje, nieco więcej przywiązywałeś do mnie wagi; nie przeznaczałeś mnie wyłącznie do grywania ról kompar-sów, a przede wszystkim raczyłeś czekać, aż ja powiem *tak*, nim byłeś pewny mej zgody.

Pozwól zatem, że ja, zamiast powiedzieć również: „*do widzenia, jak dawniej*”, powiem ci: *do widzenia, jak teraz*.

Uniżona sługa twoja, panie wicehrabio.

Z zamku***, 31 października 17**

LIST CXXVIII

Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde

Wczoraj dopiero otrzymałam, pani, twą spóźnioną odpowiedź. Byłaby mnie zabiła na miejscu, gdyby moje istnienie znajdowało się jeszcze we mnie: ale kto inny jest jego właścicielem; a tym innym jest pan de Valmont. Widzisz pani, że nic nie ukrywam przed tobą. Jeżeli masz mnie uznać za niegodną nadal twojej przyjaźni, to i tak mniej dla mnie straszne byłoby utracić ją niż podejść. Wszystko, co mogę ci powiedzieć, to to, że zmuszona przez pana de Valmont do wyboru pomiędzy jego śmiercią albo jego szczęściem, przechyliłam się ku temu ostatniemu. Nie chępię się tym, ani się nie oskarżam: mówię po prostu, jak jest.

Odczujesz pani tedy z łatwością, jakie wrażenie musiał na mnie uczynić twój list i surowe prawdy, jakie zawiera. Nie sądz mimo to, że zdołał obudzić we mnie jakiś żal lub też aby mógł kiedykolwiek mnie skłonić do zmiany moich uczuć i postępowania. Prawda, przechodzę chwile wprost straszne: ale kiedy serce najbardziej się rozdziera, kiedy obawiam się, iż nie zdołam już znieść mych udręczeń, powiadam sobie: „Valmont jest szczęśliwy”; i wszystko znika wobec tej myśli lub raczej ona wszystko zmienia w rozkosz samą.

Twojemu siostrzeńcowi zatem poświęciłam istnienie; dla niego się zgubiłam. Stał się jedynym celem moich myśli, uczuć, postępów. Jak długo moje życie będzie potrzebne dla jego szczęścia, będzie ono dla mnie miało wartość i nie pozwolę sobie uskarżać się na nie. Skoro któregoś dnia on zmieni się w tym względzie... nie usłyszysz z mej strony ani skargi, ani wyrzutu. Odważyłam się już ogarnąć wzrokiem tę nieszczęsną chwilę i wiem, co wówczas należy mi uczynić.

Widzisz pani zatem, jak próżną jest twoja obawa, iż kiedyś panu de Valmont spodoba się może mnie zgubić: nim przyjdzie mu ta ochota, wprzód musi przestać mnie kochać, a wówczas czymże będą dla mnie czcze potępienia świata, których nie będę słyszała?

Oto, pani, otworzyłam ci na wskroś moje serce. Wolę utracić twój szacunek przez szczerość niż stać się go niegodną przez zohydzenie się kłamstwem. Sądziłam, iż winna ci jestem to zwierzenie za twą dawną dobroć dla mnie. Nie dodaję ani słowa więcej, aby nie zbudzić w tobie, pani, podejrzeń, iż odważam się liczyć jeszcze na twą przyjaźń, podczas gdy ja, przeciwnie, wymierzam sobie sprawiedliwość, przestając rościć sobie do niej prawa.

Pozostaję z całym szacunkiem, pani, twą bardzo powolną i uniżoną sługą.

Paryż, 1 listopada 17**

LIST CXXIX

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Powiedz mi, proszę, piękna przyjaciółko, skąd może pochodzi ów ton cierpki i szyderczy, jaki panuje w twym ostatnim liście? Gdzież jest ta zbrodnia, której snadź dopuściłem się bezwiednie i która wprawia cię w takie rozdrażnienie? Wyrzucasz mi, iż popełniłem to zuchwalstwo, aby liczyć na twoją zgodę, zanim ją od ciebie uzyskałem: ale zdawało mi się, iż to, co mogłoby uchodzić za zarozumiałość u każdego innego, między nami dwójgiem oznacza tylko zaufanie: a od kiedyż to uczucie nie godzi się z przyjaźnią lub miłością? Wiem doskonale, iż obyczaj nałożył w takich razach obowiązek pełnego czci powątpiewania: ale ty w zamian wiesz dobrze, że to jedynie czcza formalność, zaś, o ile mi się zdaje, miałem prawo przypuszczać, że w naszym wypadku, te drobiazgowo ostrożności są już zbędne. Zdaje mi się nawet, że takie postępowanie szczere i proste, kiedy się opiera na dawnych węzłach, o wiele więcej jest warte od mdłej czułości, która tak często odejmuje wszelki smak miłości.

Oto jedyna wina, do której się poczuwam, bo nie wyobrażam sobie, abyś mogła myśleć poważnie, by istniała jakaś kobieta na świecie, którą bym mógł przełożyć nad ciebie; a jeszcze mniej, abym mógł cię ocenić tak lekceważąco, jak ty to niby przypuszczasz, markizo. Powiadasz, iż przyjrzałaś się sobie i nie znalazłaś, abyś miała już upaść tak nisko. Bardzo wierzę; to dowodzi tylko, że twoje zwierciadło jest wierne. Ale czy nie mogłabyś stąd wyciągnąć wniosku o wiele prostszego i prawdziwszego, to jest, że z pewnością i ja tak nie myślałem o tobie?

Szukam na próżno, czym dałem powód do tej dzikiej myśli. Zdaje mi się jednakże, że ona wiąże się mniej lub więcej blisko z pochwałami, jakie pozwoliłem sobie oddawać innym kobietom. Wnoszę to przynajmniej z tego nacisku, z jakim podkreślasz przydomki *czarująca, niebiańska, pociągająca*, którymi posłużyłem się, mówiąc do ciebie bądź to o pani de Tourvel, bądź o małej Volanges. Ale czy nie wiesz, że takie słowa, raczej na los szczęścia nasuwające się pod pióro aniżeli wybierane z rozmysłu, nie tyle wyrażają cenę, jaką się przywiązuje do osoby, ile stan, w jakim się znajduje, kiedy się mówi o niej? A jeżeli w tej samej chwili, w której byłem tak żywo podniecony myślą o jednej lub drugiej, mimo to pragnienia moje, zwrócone do ciebie, wcale nie ponosiły uszczerbku, jeżeli dawałem ci wyraźne pierwszeństwo nad obydwoma, nie zdaje mi się, ażeby w tym był tak wielki powód do obrazy.

Nie trudniej mi się będzie usprawiedliwić z *nieznanego czaru*, którym również wydasz mi się nieco podrażniona: gdyż przede wszystkim z tego, że jest nieznaną, nie wynika wcale, aby miał być najsilniejszy. Ach, i któż by zdołał zatrzeć w mej pamięci te rozkoszne upojenia, które ty jedna umiesz nasycać ciągle nowym i coraz to żywszym powabem! Chciałem więc powiedzieć tylko, że urok, jakiego doznałem w tym wypadku, był z rodzaju, którego dotychczas nie doświadczałem; nie miałem jednak przez to zamiaru oznaczać jego stopnia; zarazem dodałem, co powtarzam i dzisiaj, że mimo wszystko potrafię ten urok przemóc i zwyciężyć. Przyłożę się do tego z tym większą gorliwością, skoro w tym nieznacznym wysiłku będę widział sposobność oddania tobie nowego hołdu.

Co do małej Cesi, zdaje mi się zbyt cennym mówić o niej. Pamiętasz chyba, że to na twoją prośbę zająłem się tym dzieckiem i że czekam jedynie twojego pozwolenia, aby się jej pozbyć z głowy. Mogłem zwrócić przelotną uwagę na jej naiwność i świeżość; mogła mi się nawet wydać przez chwilę *pociągającą*, ponieważ mniej albo więcej człowiek podoba sobie zawsze w swym dziele: ale z tym wszystkim nie jest ona dość wyraźnie zarysowana w żadnym kierunku, aby mogła w jakikolwiek sposób przywiązać do siebie.

A teraz, piękna przyjaciółko, odwołuję się do twej sprawiedliwości, do twoich dawnych względów dla mnie; do długiej i wypróbowanej przyjaźni, do zupełnej ufności, które z biegiem czasu zacieśniły nasze więzy: czy zasłużyłem na ten przykry ton z twej strony? Ale jakże ci łatwo będzie wynagrodzić mnie zań, skoro tylko zechcesz! Powiedz jedno słowo, a zobaczysz, czy wszystkie czary, uroki, przywiązania zatrzymają mnie tutaj nie jeden dzień, ale jedną minutę. Polecę do twoich stóp i w twoje ramiona i dowiodę ci tysiąc razy i na tysiąc sposobów, że jesteś, że będziesz zawsze prawdziwą panią mego serca.

Do widzenia, piękna przyjaciółko; oczekuję z niecierpliwością twej odpowiedzi.

Paryż, 3 listopada 17**

LIST CXXX

Pani de Rosemonde do prezydentowej de Tourvel

I czemuż to, drogie moje dziecko, nie chcesz już być moją córką? Czemu dajesz mi do zrozumienia, iż masz zamiar poniechać wszelkiej między nami styczności? Czy aby mnie ukarać, iż nie odgadłam tego, co było przeciwne wszelkiemu prawdopodobieństwu? Czy podejrzewasz mnie, że ci zrobiłam przykrość umyślnie? Nie, znam zbyt dobrze twe serce, aby przypuszczać, iż ono tak myśli o moim.

O moja młoda przyjaciółko! Z boleścią mówię ci te słowa; ale o wiele za bardzo godna jesteś kochania, aby kiedykolwiek miłość mogła cię uczynić szczęśliwą. Ach, któraż kobieta naprawdę szlachetna i tkliwa znalazła co innego prócz samej niedoli w tym właśnie uczuciu, tak bogatym w obietnice szczęścia! Czyż mężczyźni umieją ocenić kobietę, którą posiadają?

Prawda, zdarzają się między nimi ludzie uczciwi w postępach i stali w uczuciu: ale pomiędzy tymi nawet jakże niewielu umie się dostosować zgodnie do naszego serca! Nie sądzę, moje drogie dziecko, iżby ich miłość podobna była do naszej. Prawda, doświadczają tych samych upojen; nieraz nawet wkładają w nie więcej porywu: ale nie znają tej czujnej tkliwości, tej delikatnej troski, które są w nas pobudką owych starań czułych i nieustannych, a których jedynym celem jest zawsze kochana istota. Mężczyzna poi się szczęściem, które odczuwa, zaś kobieta szczęściem, które daje. Ta różnica, tak zasadnicza, a tak mało brana w rachubę, wpływa jednak w bardzo wyraźny sposób na całość wzajemnego stosunku. Szczęściem jednej strony jest zaspakajać swoje pragnienia, drugiej przede wszystkim budzić je. Podobać się jest dla mężczyzny jedynie środkiem tryumfu, podczas gdy dla kobiety to jest tryumfem samo przez się. Zalotność sama, z której tak często robi się zarzut kobietom, nie jest niczym innym, jak tylko nadużyciem tego sposobu odczuwania i tym samym dowodzi jego rzeczywistości. Wreszcie ta wyłączność w pociągu zmysłów, która jest tak znamioną dla miłości, u mężczyzny rozstrzyga jedynie o *stopniu* przyjemności, którą inny przedmiot uczyniłby może słabszą, ale by jej nie zniweczył; podczas gdy u kobiet jest to uczucie głębokie, które nie tylko unicestwia każde inne pragnienie, ale które, silniejsze od natury samej i wyzwolone spod jej władzy, każe im doświadczać jedynie odrazy i wstrętu tam nawet, gdzie — zdawałoby się — powinna by się rodzić rozkosz.

Mniemałam, drogie dziecko, że może z pożytkiem dla ciebie będzie przeciwstawić te rozważania owym złudnym wyobrażeniom o doskonałym szczęściu, którym miłość nigdy nie omieszcza mamić naszej wyobraźni. Łagodzić twoje zgryzoty lub zmniejszyć ich liczbę — oto jedyne zadanie, jakie chcę, jakie mogę wypełnić w tej chwili. W cierpieniach bez lekarstwa rady mogą odnosić się jedynie co do sposobu zachowania się. O to cię proszę jedynie, abyś pamiętała, iż ubolewać nad chorym, to nie znaczy potępiać go. I kimże my jesteśmy, abyśmy mieli potępiać jedni drugich? Zostawmy prawo sądzenia Temu jedynie, który czyta w naszych sercach; śmiem nawet wierzyć, że w jego ojcowskich oczach mnogość cnót może okupić jedną chwilę zbłąkania.

Ale zaklinam cię, droga przyjaciółko, strzeż się przede wszystkim tych gwałtownych postanowień, które nie tyle są oznakami siły, jak raczej zupełnego ich upadku: nie zapominaj, że czyniąc kogo innego właścicielem twego istnienia — aby się posłużyć twoim wyrażeniem — nie mogłaś mimo to wyzuć twoich przyjaciół z części, którą posiadali przedtem i o którą nie przestaną się upominać.

Do widzenia, droga córko, pomyśl niekiedy o twej tklivej matce i bądź pewna, że będziesz zawsze i ponad wszystko przedmiotem jej najtkliwszych myśli.

Z zamku ***, 4 listopada 17**

LIST CXXXI

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Odebrałam twój list, wicehrabio, i tym razem bardziej jestem zadowolona z ciebie niż poprzednio. Ale teraz pomówmy po przyjacielsku, a mam nadzieję przekonać cię, że zarówno dla ciebie jak i dla mnie ten obrót rzeczy, którego zdajesz się pragnąć byłby prawdziwym szaleństwem.

Czy nie zauważyłeś jeszcze, że przyjemność, która w istocie jest jedyną pobudką zbliżenia się dwóch płci, nie wystarcza jednak, aby zadzierzgnąć węzeł między nimi i że po chwili rozkoszy wywołuje niechybny przesyt połączony z niesmakiem? To jest prawo natury, które jedynie miłość może zmienić; a czyliż można wzbudzić w sobie miłość na zawołanie? Potrzebę jej czuje się mimo to ciągle: i byłby to w istocie bardzo ciężki stan rzeczy, gdyby się nie spostrzeżono na szczęście, że wystarcza, jeżeli ona istnieje z jednej strony. Trudność zmniejszyła się przez to do połowy; i nawet bez wielkiej dla kogokolwiek szkody zazwyczaj dzieje się tak, iż jedna strona syci się szczęściem kochania, druga przyjemnością budzenia miłości. Ta druga rozkosz jest nieco mniej żywa, to prawda, ale przylączy się do niej przyjemność oszukiwania, co równoważy obie szale i wszystko jakoś się układa.

Ale powiedz mi, wicehrabio, kto z nas dwojga podejmie się okłamywać drugą stronę? Znasz historię o tych dwóch hultajach, którzy poznali się na sobie przy grze w karty:

Miłość, Rozkosz, Kobieta,
Mężczyzna

„Nie zrobimy tu nic — powiedzieli — zapłaćmy karty po połowie”. I wstali od partii. Idźmy, wierź mi, za tym samym przykładem i nie traćmy ze sobą czasu, który możemy tak dobrze spożytkować gdzie indziej.

Aby ci udowodnić, że chodzi mi tutaj zarówno o twoje dobro, jak o moje własne, że nie działam pod wpływem urazy ani kaprysu, nie odmawiam ci wręcz umówionej między nami ceny: czuję doskonale, że na jeden wieczór wystarczemy sobie jeszcze; nie wątpię nawet, że potrafimy wypełnić go dość mile, aby patrzeć z żalem na to, iż ma on swój koniec. Ale nie zapominajmy, że ten żal właśnie niezbędny jest dla szczęścia i choćby najbardziej słodkim miało być nasze złudzenie, nie próbujmy wierzyć, że mogłoby ono być trwałe.

Widzisz więc, że i ja także dotrzymuję słowa, i to nawet nie formalizując się zgola: bo pamiętasz wszakże, że powinnam była dostać jako dowód pierwszy list twojej skromności.

A teraz, wicehrabio, jedna prośba i to zarówno w twoim, jak w moim własnym interesie; a mianowicie abys zechciał odłożyć chwilę, której pragnę nie mniej może od ciebie, aż do mego powrotu do miasta. Z jednej strony, nie mielibyśmy tutaj potrzebnej swobody; z drugiej, narażałoby mnie to na pewne niebezpieczeństwo; bowiem trzeba by jeno odrobiny zazdrości, aby przywiązać do mnie na nowo tego oplakanego Bellerocha'a, który, jak teraz, trzyma się już tylko na włosku. Dobywa już ostatniego tchu, aby mnie kochać; tak iż obecnie w pieszczoty, którymi go przekarmiam, wkładam tyleż złośliwości co wyrachowania. Widzisz tedy, że nie miałabym sposobności uczynić dla ciebie żadnego poświęcenia! Obustronna niewierność doda naszemu kaprysowi o wiele więcej uroku.

Czy ty wiesz, że niekiedy żałuję z tym wszystkim, iż jesteśmy skazani na szukanie takich środków! W czasie, kiedyśmy się kochali, bo zdaje mi się, że to była miłość, byłam szczęśliwa; a ty, wicehrabio!... Ale po cóż zaprzętać myśl szczęściem, które nie może powrócić? Nie, mów co chcesz, mój drogi, taki powrót jest niemożliwy. Przede wszystkim, wymagałabym ofiar, których z pewnością nie mógłbyś albo nie chciałbyś dla mnie uczynić, i których może nie jestem zresztą warta; a potem czyż ciebie zdoła kto trwale przywiązać do siebie?... Och, nie, nie, nie chcę nawet dopuszczać tej myśli; mimo przyjemności, jaką znajduję w tej chwili w pisaniu do ciebie, wolę raczej pożegnać się z tobą od razu.

Do widzenia, wicehrabio.

Z zamku ***, 6 listopada 17**

LIST CXXXII

Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde

Wzruszona do głębi, pani, dobrocią twoją dla mnie, napawałabym się nią z całym oddaniem, gdyby nie powstrzymywała mnie poniekąd obawa sprofanowania tym samym twej łaski. W chwili gdy przyjaźń twoja jest mi tak cenną, czemuż muszę czuć równocześnie, że już przestałam jej być godną?

Toż samo mogę powiedzieć o twoich radach, pani: czuję ich całą wartość i nie jestem zdolna ich posłuchać. I jakżeżbym miała nie wierzyć w istnienie doskonałego szczęścia, skoro doznaję go w tej chwili? Tak, jeżeli mężczyźni są tacy, jak mi powiadasz, trzeba uciekać przed nimi, godni są jedynie wstrętu; ale jakże daleko wówczas Valmont stoi ponad nimi! Ileż on w swym uczuciu ma delikatności! O, moja przyjaciółko! Mówisz o podzieleniu moich zgryzot, ciesz się więc razem ze mną moim szczęściem. Kochasz swego siostrzeńca, mówisz, może z nadmierną słabością? Ach, gdybyś go znała jak ja! Ja kocham go bałwochwalczo: a i to jest o wiele mniej jeszcze, niż na to zasługuje. Zapewne, mógł dać się pociągnąć błędom świata, on sam to przyznaje; ale któż kiedy tak jak on znał wartość prawdziwej miłości? Cóż mogę ci powiedzieć więcej? Odczuwa ją tak, jak ją wzbudza.

Gotowa jesteś mniemać, że to jest jedna z owych zwodniczych chimer, *którymi miłość nie omieszkła mieć naszej wyobraźni*: ale w takim razie czemuż miałby się on stać bardziej tkliwym, bardziej uważającym od chwili, gdy wszystko już uzyskał? Wyznaję, że przedtem budził we mnie wrażenie jakiegoś chłodu, jakiejś rozważi, tak iż często mimo woli nasuwały mi się na myśl owe fałszywe i okrutne pojęcia, jakie mi o nim wpojono. Ale od czasu, jak może się oddać bez hamulca porywom serca, zdaje się odgadywać wszystkie

najskrytsze pragnienia mej duszy. Kto wie, czy nie byliśmy zrodzeni jedno dla drugiego! Ach, jeśli to złudzenie, niechajże umrę, zanim ono przeminie.

Ale nie; chcę żyć, aby go kochać, aby go ubóstwiać. I czemuż miałby przestać mnie kochać? Jakaż inna kobieta mogłaby stać się przezeń szczęśliwszą ode mnie? Wszak czuję to sama po sobie, że szczęście, które się daje komuś drugiemu, jest najmocniejszym węzłem, jedynym, który wiąże prawdziwie. Tak, to rozkoszne uczucie uszlachetnia miłość, oczyszcza ją niejako i czyni ją naprawdę godną duszy tkliwej i szlachetnej jak dusza Valmonta.

Żegnam cię, droga, czcigodna, pobłażliwa przyjaciółko. Na próżno bym chciała pisać do ciebie dłużej: nadchodzi godzina, w której oczekuję jego i wszystka inna myśl znika mi z oczu. Daruj! Ale wszak ty chcesz mego szczęścia, a jest ono tak wielkie w tej chwili, że ledwie mnie całej starczy, by je odczuć.

Paryż, 7 listopada 17**

LIST CXXXIII

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Jakież są, moja piękna przyjaciółko, te ofiary, których bym wedle ciebie nie uczynił, mimo iż nagrodą ich byłoby przypodobanie się tobie? I jakże ty mnie sądzisz od jakiegoś czasu, skoro nawet w chwili łaskawego dla mnie usposobienia powątpiewasz o moich uczuciach albo o mojej energii? Ofiary, których nie chciałbym albo nie mógłbym uczynić! Zatem uważasz może, iż jestem zakochany, ujarzmiony? Posądzasz mnie, iż wartość w moich oczach posiada nie samo zwycięstwo lecz osoba zwyciężonej? Nie! Dzięki niebu, nie upadłem jeszcze tak nisko i gotów jestem ci tego dowieść. Tak jest, dowiodę ci, choćby nawet pani de Tourvel miała paść ofiarą: wobec tego nie powinnaś chyba mieć wątpliwości.

Mogłem, jak sądzę, bez zhańbienia się poświęcić jakiś czas kobiecie, która w każdym razie posiada bodaj tę wartość, iż nie należy do przeciętnie spotykanego rodzaju. Kto wie, czy fakt, iż przygoda ta wypadła na czas martwego sezonu, nie był przyczyną, iż poświęciłem się jej nieco więcej; i teraz jeszcze, kiedy życie w Paryżu na dobre jeszcze się nie zaczęło, nic dziwnego, że miłośćka ta zajmuje mnie niemal w zupełności. Ale też pomyśl, że to zaledwie tydzień upływa, odkąd cieszę się owocem trzymiesięcznych zabiegów. Ileż razy dłużej trwałem w czymś, co było o wiele mniej warte i nie kosztowało mnie tyle!... a nigdy dlatego nie sądziłaś tak źle o mnie, markizo.

A przy tym, czy chcesz wiedzieć prawdziwą przyczynę mej wytrwałości? Więc ci powiem. Ta kobieta jest z natury nieśmiała, w pierwszych chwilach wątpiła nieustannie o swoim szczęściu i to wystarczało, aby utrzymywać ją w ciągłym niepokoju: tak iż obecnie dopiero zaczynam przekonywać się, dokąd idzie moja potęga w tym kierunku. Było dla mnie nader ciekawe zdać sobie sprawę z tego; zaś sposobność nie znachodzi się tak łatwo, jakby można mniemać.

Najpierw, dla wielu kobiet przyjemność to jest po prostu przyjemność i nic poza tym. Przy tych kobietach, mimo wszelkich pochlebnych tytułów, jakimi się nas zaszczycą, jesteśmy zawsze tylko wyrobnikami, prostymi wyrobnikami, których sprawność decyduje o całej ich wartości.

W drugiej klasie, być może najliczniejszej dzisiaj, rozgłos kochanka, zadowolenie, iż się go odebrało jakiejś rywalce, obawa postradania go z kolei na rzecz innej pochłaniają kobietę prawie w zupełności. W szczęściu, jakie jest jej udziałem, liczymy się za coś zapewne; ale na ogół zależy ono więcej od okoliczności niżeli od osoby. Czerpią je one przez nas, ale nie z nas.

Trzeba więc było znaleźć dla moich spostrzeżeń kobietę delikatną i czułą, która by mieściła całe życie swoje w miłości, zaś w miłości samej widziała jedynie swego kochanka; której wzruszenie miast kroczyć pospolitą drogą, jedynie z serca dostawałoby się do zmysłów. I tak widziałem ją na przykład (a nie mówię tu o pierwszym dniu), jak opuszczała objęcia rozkoszy cała we łzach, aby znów w chwilę później odnaleźć upojenie w jednym słowie, które odpowiadało drgnieniu jej duszy. Wreszcie trzeba było, aby posiadała zarazem ową wrodzoną prostotę i szczerość, która jest u niej najzupełniej nieprzewyciężonym nałogiem, tak nawykła się jej poddawać, i która najmniejszego przejawu serca

ukryć jej nie pozwala. Otóż zgodzisz się na to, markizo, takie kobiety są rzadkie; gdyby nie ta, sądzę, iż nigdy bym może nie spotkał tego typu.

Nie byłoby zatem nic dziwnego, gdyby mnie zatrzymała dłużej niżeli inna; zaś jeżeli studia, jakich chcę na niej dokonać, wymagają, abym uczynił ją szczęśliwą, zupełnie szczęśliwą, czemuż bym się od tego wzbraniał, zwłaszcza kiedy mi to nic nie szkodzi, przeciwnie! Ale z tego, że umysł jest czymś zajęty, czyż wynika, że serce jest w niewoli? Nie, z pewnością. Toteż mimo iż mam pełne prawo przywiązywać niejaka wartość do tej przygody, nie przeszkodzi mi to wcale gonić za innymi, lub nawet poświęcić ją dla jakiego przyjemniejszego spędzenia czasu.

Czuję się tak wolnym, że nie zaniedbałem nawet małej Volanges, na której przecież zależy mi dość mało. Matka powraca z nią do miasta za trzy dni; otóż już wczoraj zdołałem sobie zapewnić środki komunikacji: nieco pieniędzy wręczonych odźwiernemu, parę uprzejmości dla jego żony ubiły całą sprawę. Czy możesz pojąć, że Danceny nie umiał wpaść na ten sposób tak prosty? I mówią, że miłość czyni przemyślnym! Przeciwnie, oglupia tych, którymi owładnie. I ja nie miałbym się jej obronić! Ach, bądź spokojna! Już teraz, za niewiele dni zacznę osłabiać za pomocą takiego podziału wrażenie, może zbyt silne, jakiemu uległem; a jeżeli prosty podział nie wystarczy, postaram się jeszcze więcej się rozdrobnić.

Z tym wszystkim będę gotów zwrócić młodą pensjonarkę jej nieśmialemu kochankowi z chwilą, gdy ty uznasz to za stosowne. Zdaje mi się, że nie masz już przyczyn wstrzymywać go od tego; ja zaś godzę się oddać tę znamienitą usługę pocziwemu Danceny'emu. Bodaj tyle należy mu się ode mnie za wszystko, co mu zawdzięczam. Obecnie przechodzi śmiertelne niepokoje, czy będzie przyjęty u pani de Volanges; uspakajam go jak mogę, zapewniając, że tym czy innym sposobem doprowadzę go do wrót rajów od pierwszego dnia: tymczasem zaś ofiaruję się pośredniczyć w korespondencji, którą pragnę na nowo podjąć za przybyciem *swojej Cecylii*. Mam już sześć listów od niego i będę miał z pewnością jeszcze jeden lub dwa do tej nieszczęśliwej doby. Musi chłopak strasznie nic nie mieć do roboty!

Ale zostawmy tę parę dzieciaków i wróćmy do nas: niech mi będzie wolno zająć się wyłącznie nadzieją zawartą w twym ostatnim liście. Tak, z pewnością, ty potrafisz zmienić mnie we wzór stałości; nie przebaczyłbym ci, gdybyś miała o tym wątpić. Czyż ja zresztą kiedykolwiek okazałem się wobec ciebie niestałym? Nasze więzy zostały rozwiązane, ale nie zerwane, rzekome zerwanie było tylko omyłką wyobraźni: nasze uczucia, nasze istoty pozostały mimo wszystko złęczone. Podobny podróżnikowi, który wraca pełen rozczarowań, uznaję jak on, że zostawiłem szczęście, aby biec za nadzieją, i powiem jak d'Harcourt:

Im więcej ziem zwiedziłem, tym droższą mi własna¹³⁷.

Nie zwalczaj tedy już myśli, a raczej uczucia, które sprowadza cię do mnie; spróbowaś w naszym pościgu, każde na własną rękę, wszystkich rodzajów rozkoszy, cieszymy się szczęśliwą świadomością, że żadna z nich nie da się przyrównać do tej, którą odnajdziemy znowu, stokroć słodsza jeszcze niż dawniej!

Do widzenia, uroczą przyjaciółko. Zgadza się czekać twojego powrotu: ale przyspiesz go, ile możesz i nie zapominaj, jak bardzo go pragnę.

Paryż, 8 listopada 17**

LIST CXXXIV

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Doprawdy, wicehrabio, że jesteś jak dzieci, którym nie można nic powiedzieć i nic pokazać, żeby nie chciały zaraz za to chwytać! Ależ to była, ot, taka sobie myśl, która mi przeszła przez głowę! Zatrzymywać się nawet przy niej nie chcę, bo skoro ci tylko wspomnę o niej, ty zaraz tego nadużywasz, aby prowadzić mnie w tym kierunku, aby utrwać mnie w tej myśli, podczas gdy ja chciałabym się raczej z niej wyzwolić. Czy

¹³⁷Im więcej (...) własna — Du Belloi, *Tragédie du Siège de Calais*.

to szlachetnie z twojej strony kazać mi dźwigać samej całej ciężar rozsądku? Powtarzam ci znowu i sobie powtarzam jeszcze częściej, że układ, jaki mi proponujesz jest istotnie niemożliwy. Gdybyś ty nawet włożył weń całą dobrą wolę, jaką okazujesz w tej chwili, czy myślisz, że i ja nie mam także mojej dumy i że chciałabym przyjąć poświęcenia, które byś zrobił dla mnie kosztem własnego szczęścia?

Czyżbyś ty, wicehrabio, w istocie miał jakieś złudzenia co do uczuć, jakie cię wiążą do pani de Tourvel? Ależ to miłość albo też miłość w ogóle nie istniała nigdy: zaprzeczasz temu na sto sposobów, ale udowadniasz to na tysiąc. Cóż to znaczy, na przykład, to obieście, do jakiego uciekasz się względem samego siebie (ponieważ wobec mnie, przypuszczam, że jesteś szczery), a które każe ci rzekomą chęcią czynienia obserwacji tłumaczyć niepowściągniętą ochotę zatrzymania tej kobiety? Powiedziałby kto, że jeszcze nigdy nie uczyniłeś żadnej „szczęśliwą, zupełnie szczęśliwą”? Ach, jeżeli wątpisz o tym, bardzo masz słabą pamięć! Ale nie, to nie to. Po prostu serce twoje sprowadza na manowce twój umysł i każe mu się zadowalać byle jakimi racjami: ale ja, która mam tak wielki interes w tym, aby nie paść ofiarą omyłki, nie jestem tak łatwa do zaspokojenia.

Tak więc stwierdzając twą uprzejmość objawiającą się starannym usunięciem wszystkich słów, o których wyobrażałeś sobie, iż mi się nie podobały, spostrzegam jednak, że, może bezwiednie, nie mniej jednak zachowałeś te same pojęcia. Istotnie, nie ma już mowy o czarującej, niebiańskiej pani de Tourvel; ale jest *kobieta zdumiewająca, kobieta delikatna i czuła*, i to z odsądzeniem od tego wszystkich innych; *kobieta rzadka* wreszcie i taka, że nie można by spotkać takiej drugiej. Tak samo jest z tym czarem „nieznanym”, który nie jest *najbardziej silnym*. Niech i tak będzie: ale skoro nie znalazłeś go nigdzie aż dotąd, trzeba mocno wierzyć, iż nie znajdziesz go również w przyszłości: strata, którą byś poniósł, byłaby tedy nie do nagrodzenia. Albo to są, wicehrabio, oczywiste oznaki miłości, albo się trzeba wyrzec nadziei spotkania ich w ogóle na świecie.

Bądź pewien, że tym razem mówię bez żadnego podrażnienia. Przyrzekłam sobie, że już mu się nie dam unieść; zbyt dobrze poznałam, że mogłoby się stać dla mnie niebezpieczną zasadzką. Wierzaj mi, bądźmy tylko przyjaciółmi i poprzestańmy na tym. Oceń moją siłę woli, wicehrabio; niekiedy trzeba jej nawet do tego, aby nie powziąć postanowienia, które uważa się za zgubne.

Zatem już tylko po to, aby cię drogą przekonywania doprowadzić do zgody na moje poglądy, odpowiem na pytanie, jakie mi stawiasz odnośnie do ofiar, których bym wymagała, a których byś ty nie mógł uczynić. Posługuję się z rozmysłem tym słowem *wymagała*, ponieważ jestem aż nadto pewna, że za chwilę znajdziesz mnie w istocie zbyt wymagającą: ale tym lepiej! Nie tylko nie pogniewam się za odmowę, ale podziękuję ci za nią. Ot, powiem ci wprost (z tobą nie będę przecież grała w ślepą babkę), że potrzebowałabym tego.

Wymagałabym tedy — patrz, co za okrucieństwo! — aby ta *rzadka*, ta *zdumiewająca* pani de Tourvel stała się jedynie kobietą zwyczajną, kobietą taką, jaką jest po prostu: bowiem nie trzeba się łudzić: ten czar, jakiemu ulega się niekiedy, istnieje tylko w nas samych: miłość to jedynie upiększa tyle przedmiot ukochania. Mimo całej niemożliwości mego żądania, uczyniłbyś może ten wysiłek nad sobą, aby mi to przyrzec, przysiąc nawet, ale, wyznaję, nie umiałabym wierzyć pustym słowom. Mogłabym być przekonaną jedynie całokształtem twojego postępowania.

To nie wszystko jeszcze: ja mam i swoje kaprysy. To wyrzeczenie się dla mnie mój Cesi, którą ofiarujesz mi z taką gotowością, wcale mi nie dogadza. Prosiłabym cię, przeciwnie, abys ciągnął dalej tę uciążliwą służbę, aż do nowych rozkazów z mej strony. Tłumacz to sobie jak chcesz: czy to że lubię w ten sposób nadużywać mej władzy, czy też że w mojej wspaniałomyślności zadowalam się poświęceniem mi twoich uczuć, nie pragnąc odzierać cię z twoich przyjemności. Tak czy tak, żądałabym z twojej strony absolutnego posłuszeństwa.

W zamian za to poczułabym się może wówczas do obowiązku podziękowania ci; kto wie? Może nawet pomyślałabym o nagrodzie. To pewna, na przykład, że skróciłabym czas mej nieobecności, która stałaby mi się nie do zniesienia. Ujrzałabym cię nareszcie, wicehrabio, i ujrzałabym... jak?... Ale ty może pamiętasz, że to już jedynie prosta gawędka, fantazjowanie na temat niemożliwego projektu; a nie lubiłabym zapominać o tym sama jedna...

Miłość

Czy wiesz, że mój proces niepokoi mnie trochę? Chciałam nareszcie poznać do gruntu, jakie są moje szanse: panowie adwokaci cytują mi wprawdzie rozmaite prawa, a zwłaszcza rozmaite *autorytety*, jak oni to nazywają: ale nie mogę się dopatrzeć, aby tak bardzo słuszność była po mojej stronie. Zaczynam niemal żałować, iż odrzuciłam polubowne załatwienie sprawy. Nabieram otuchy, przypominając sobie, że pełnomocnik mój jest zręczny, adwokat wymowny, a klientka ładna. Jeżeli te trzy środki miałyby już nic nie znaczyć, trzeba by zmienić cały tok załatwiania spraw, a cóż by się stało wówczas z poważaniem dla tradycji!

Ten proces jest obecnie jedyną przeszkodą, która mnie tu zatrzymuje. Co do procesu Belleruche'a, ten już ukończony: sprawa przegrana z zasądzeniem na zwrot kosztów. Oddam mu całkowitą wolność za powrotem do miasta. Czynię to bolesne poświęcenie i pocieszam się nadzieją jego wdzięczności za ten szlachetny uczynek.

Do widzenia, wicehrabio, pisuj do mnie często: szczegóły twoich uciech wynagrodzą mi przynajmniej w części nudę, jakiej tu jestem pastwą.

Z zamku ***, 11 listopada 17**

LIST CXXXV

Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde

Próbuję pisać do pani, choć nie wiem jeszcze, czy będę mogła. Och, Boże, kiedy pomyślę, że ostatniego listu z nadmiaru szczęścia niepodobna mi było dokończyć! Dziś przygniała mnie beznamiętna rozpacz: zostawia mi sił tylko na tyle, aby czuć swoją niedolę; na wyrażenie jej mi ich już nie staje.

Valmont, Valmont mnie nie kocha, nigdy mnie nie kochał. Miłość tak nie umiera. Oszukuje mnie, zdradza mnie, znieważa. Wszystko, co może istnieć nieszczęście, upokorzeń, wszystkiego doznałam, i to z jego, jego ręki!

I nie sądz, pani, aby to było proste podejrzenie! Ach, jakże daleka byłam od takich podejrzeń! Nie jestem tak szczęśliwa, aby móc wątpić. Widziałam go: cóż mógłby mi powiedzieć na swoje usprawiedliwienie? Ale co jemu na tym zależy! Nawet nie będzie próbował... Nieszczęśliwa! I cóż mu będą twoje łzy i wyrzuty? Czyż on tobą zajmuje się w tej chwili!

Prawdą jest zatem, że mnie poświęcił, wydał na pastwę nawet: i komu?... nędznej kreaturze... Ale co ja mówię? Ach, nie ja wszakże mam prawo nią pogardzić!

Ona zdradziła mnie obowiązków, ona mniej jest winną niż ja. Och, i jakże bolesną jest kara, skoro płynie z wyrzutów sumienia! Och, jak ja cierpię!

Odczytuję mój list i spostrzegam, że nie dowiesz się z niego o niczym; spróbuję zatem zdobyć się na zdanie ci sprawy z tego okrutnego wydarzenia. Było to wczoraj; pierwszy raz od czasu mego powrotu wybierałam się gdzieś na wieczór w towarzystwo. Valmont odwiedził mnie o piątej; był czuły i serdeczny jak nigdy. Dał mi poznać, że zamiar mój wyjścia wieczorem sprawia mu przykrość: domyślasz się, że natychmiast zmieniłam projekt i ofiarowałam się pozostać w domu. Jednakże w dwie godziny potem, zupełnie nagle, ton mowy i wyraz twarzy Valmonta zmieniły się dotkliwie. Nie wiem, czy mi się wymknęło coś takiego, co mu się mogło nie podobać; bądź co bądź, w chwilę potem oznajmił, iż przypomniał sobie jakąś sprawę, która mu każe mnie opuścić, i odszedł. Odchodząc, wyrzucił mi parę słów gorącego żalu, słów, które wydały mi się płynąć z serca i które wówczas uważałam za szczere.

Zostawszy sama, uznałam wobec tego za właściwe nie uchylać się od moich zobowiązań. Ukończyłam tedy toaletę i wsiałam do powozu. Na nieszczęście, woźnica powoził mnie koło Opery, gdzie znalazłam się niebawem wciśnięta w tłok przy wyjściu; wtem o cztery kroki przed sobą, w sznurze pojazdów ciągnącym się równolegle z naszym spostrzegłam powóz Valmonta. Serce zaczęło mi bić jak szalone, ale nie biło z obawy: jedyną myślą, jaka mnie zajmowała, było pragnienie, aby mój powóz zdołał się z nim zrównać. Zamiast tego, jego pojazd zmuszony był się cofnąć i znalazł się w równym rzędzie z moim. Wychyliłam się ku Valmontowi, ale jakież było moje zdumienie, gdy ujrzałam przy jego boku dziewczynę głośną ze swych licznych przygód! Cofnęłam się, jak możesz pani sobie wyobrazić, i to już było aż nadto, aby pogrążyć moje serce; ale czy zdoła pani uwierzyć, iż ta dziewczyna, widocznie poinformowana w tej chwili przez Valmonta, nie opuściła

ani na chwilę okna powozu, ani nie przestała mi się przyglądać i to wśród wybuchów śmiechu zwracających powszechną uwagę!

Odrętwiała i nieprzytomna niemal, kazałam się mimo to zawieść w gościnę, w której czekano mnie na wieczerzę; ale niepodobna mi było tam pozostać; czułam się bliska omdlenia i nie umiałam powstrzymać łez cisnących mi się do oczu.

Znalazłszy się u siebie, napisałam do pana de Valmont i posłałam list natychmiast; nie było go w domu. Pragnąc za jaką bądź cenę wyjść z tego stanu równającego się śmierci, wysłałam na nowo służącego z rozkazem czekania. Przed północą zjawił się, oznajmiając, iż woźnica, który wreszcie powrócił, powiedział mu, że jego pan nie będzie nocował w domu. Sądziłam, iż nie pozostaje mi nic do zrobienia, jak tylko zażądać dziś rano zwrotu moich listów i prosić p. de Valmont, aby więcej nie pojawiał się u mnie. Jakoż wydałam istotnie rozkazy w tej mierze; jestem pewna zresztą, iż były one zbyteczne. Jest już blisko południa; jeszcze się nie pokazał i nie otrzymałam ani słowa wiadomości.

A teraz, droga przyjaciółko, nie dodaję już ani słowa: oto wiesz o wszystkim i znasz moje serce. Moją jedyną nadzieją jest, iż niedługo już będę nadużywać twej łaskawej przyjaźni.

Paryż, 15 listopada 17**

LIST CXXXVI

Prezydentowa de Tourvel do wicehrabiego de Valmont

Po tym, co zaszło wczoraj, zapewne nie spodziewa się pan, bym go przyjmowała u siebie, a zresztą zapewne i niewiele panu na tym zależy! Bilet ten ma zatem na celu już nie tyle prosić pana, abys się więcej nie pojawiał, co żądać od niego zwrotu listów, które nigdy nie powinny były istnieć. Jeżeli mogły one pana zajmować przez chwilę jako dowody zaślepienia, które było twoim dziełem, muszą być panu obojętne teraz, kiedy to zaślepienie się rozwiał i kiedy wyrażają jedynie uczucie, które pan zniszczyłeś.

Rozumiem i przyznaję, że błędem z mej strony było pokładać w panu zaufanie, którego tyle innych przede mną już padło ofiarą; co do tego obwiniam jedynie siebie samą: ale sądziłam przynajmniej, iż nie zasłużyłam na to, aby być wydaną przez pana na wzgardę i pośmiewisko. Mniemałam, iż poświęcając panu wszystko i rzekając się dla niego praw do szacunku innych i mego własnego, mogłam się mimo to spodziewać, iż nie będę sądzona przez pana surowiej niż przez głos publiczny, który czyni jeszcze zawsze ogromną różnicę między kobietą słabą a kobietą rozwiązłą. Nie mówię już panu o zbrodni, jakiej dopuściłeś się względem mojej miłości: pańskie serce nie zrozumiałoby mego. Żegnam pana.

Paryż, 15 listopada 17**

LIST CXXXVII

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel

W tej chwili dopiero, pani, oddano mi twój list; zadrzałem, czytając go, i zaledwie pozostaje mi dość siły, aby nań odpowiedzieć. Jakżeż straszne mniemanie posiadasz pani o mnie! Och, z pewnością zawiniłem, i to tak, że nie przebaczę tego sobie w życiu, chociażbyś ty nawet okazała mi całą pobłażliwość. Ale te winy, które ty mi wyrzucasz, jakże daleko były od mojej duszy! Kto, ja? Ciebie upokarzać! Ciebie poniżyć! Ja, który cię poważam tyle, ile cię kocham; który poznałem, co to duma, dopiero od chwili, w której mnie ty uznałaś godnym siebie! Pozory cię uwiodły; wyznaję, iż mogły świadczyć na mą niekorzyść: ale czyż serce twoje nie stanęło przeciw nim w mej obronie? Czyż nie zbuntowało się na samą myśl, że mógłbym się go stać niegodnym? I ty mimo wszystko uwierzyłaś w to? Nie tylko przypuszczałaś, iż jestem zdolny dopuścić się takiego ohydnego szaleństwa, ale nie wahałaś się nawet szukać jego przyczyn w dobroci twojej dla mnie! Ach, jeżeli miłość twoja tak cię poniża we własnych oczach, i ja chyba muszę być w twym mniemaniu czymś bardzo nikczemnym?

Dławiony tą bolesną myślą, tracę czas na daremne żale, zamiast usprawiedliwić się co prędzej. Ach, inny względ wstrzymuje mnie jeszcze! Trzebaż mi zatem będzie przypominać sobie uczynki, które pragnąłbym unicestwić; ściągać twą uwagę i moją własną na chwilę

zapomnienia, którą chciałbym okupić resztą mojego życia i której pamięć zostanie na zawsze przedmiotem mego upokorzenia i rozpacz? Ach, jeżeli oskarżając się przed tobą, muszę obudzić gniew twój, pani, nie będzie ci trzeba przynajmniej daleko szukać pomsty; wystarczy ci wydać mnie na łup mej zgryzoty.

Z tym wszystkim, któż by uwierzył? Pierwszą przyczyną tego wypadku stał się ów wszechpotężny czar, jakiego doznaję w twoim pobliżu. On to kazał mi zapomnieć zbyt długo o pewnej sprawie ważnej i niecierpiącej zwłoki. Rozstałem się z tobą za późno i nie zastałem już osoby, której szukałem. Spodziewałem się złapać ją jeszcze w Operze, ale i to na próżno. Otóż spotkałem tam Emilię, którą znałem niegdyś, w czasie, w którym nie znałem jeszcze, pani, ani ciebie, ani miłości. Nie miała powozu i prosiła mnie, abym ją odwiózł do domu, ot, parę minut drogi. Nie przywiązując do tego żadnej wagi, przystałem. Wówczas właśnie spostrzegłem ciebie; i uczulem natychmiast, że pozór ten uczyni mnie winnym w twych oczach.

Obawa dotknięcia cię czymkolwiek lub sprawienia ci przykrości jest we mnie tak potężna, iż nie mogła nie odbić się na mojej twarzy, co wkrótce Emilia spostrzegła. Prosiłem tę dziewczynę, aby przynajmniej nie pokazywała się w oknie; ten wzgląd delikatności obrócił się przeciwko mnie. Przyzwyczajona, jak wszystkie podobne kreatury, ufać swojej władzy, opierającej się zawsze na nadużywaniu, Emilia ani myślała się wyrzec tak wspólniejszej sposobności. Im bardziej rosło w jej oczach moje zakłopotanie, tym więcej ona wystawiała się na pokaz; jej wybuchy wesołości, które ty, pani, ku mojej rozpacz, mogłaś choć chwilę odnosić do siebie, miały na celu jedynie pomnożenie mojej przykrości, przykrości, płynącej właśnie z mego szacunku i przywiązania do ciebie.

Aż dotąd, bez wątpienia, byłem bardziej nieszczęśliwym niż winnym; zbrodnia, o której piszesz, nie może obciążać mego sumienia po prostu dlatego, że nie istniała. Ale na próżno chcesz pani przemilczeć *przewiny miłości*; ja nie zachowam o nich tegoż samego milczenia; zbyt ważne pobudki każą mi wyznać wszystko. Tak, muszę ci wyznać, mimo całego wstydu, w jakim trwam od czasu tego chwilowego a niepojętego szaleństwa; mimo najgłębszej boleści, o jaką mnie przyprawia to wspomnienie.

Przejęty poczuciem mych błędów, zgodziłbym się ponieść karę za nią lub też oczekiwać, aż kiedyś moja wierna tkliwość i mój żal wyjedna mi przebaczenie. Ale jak zamilczeć, skoro sumienie moje względem ciebie każe mi odsłonić całą prawdę?

Nie sądz, iż chcę szukać wykrętu, aby usprawiedliwić lub złagodzić mą winę; przyznaję, iż byłem występny. Ale nie uznaję wcale, nie uznaję nigdy, aby ten haniebnym upadek mógł w oczach twoich, pani, stanowić zbrodnię przeciw miłości. Ach, i cóż może być wspólnego pomiędzy odruchem zmysłów, pomiędzy chwilą zapomnienia, po której następuje rychło żal i zawstydzenie, a tym uczuciem czystym, które może zrodzić się jedynie w duszy szlachetnej, wspierać się jedynie na czci i szacunku, a którego owocem jest prawdziwe szczęście! Och, nie poniżaj w ten sposób miłości! Nie chciej przede wszystkim poniżyć samej siebie, oceniając z tego samego punktu widzenia dwie rzeczy, które nie mają, nie mogą mieć z sobą nic wspólnego! Zostaw kobietom upadłym i znikczemniałym obawę współzawodnictwa, w którym mimo woli dopatrują się zawsze niebezpieczeństwa dla swej władzy; zostaw im męczarnie zazdrości równie dotkliwej jak upokarzającej. Ale ty! Odwróć oczy od tych przedmiotów, które splamiłyby twoje spojrzenia; sama czysta jak bóstwo, ukarż jak ono obrazę, nie chowając jej wszakże w sercu.

Ale na jakież cierpienie mogłabyś mnie skazać, które by było dla mnie dotkliwsze od tego, co odczuwam? Które by mogło iść w porównaniu z żalem, iż obraziłem ciebie, z rozpaczą, iż widzę cię zmartwioną, z myślą przygnębiającą, iż stałem się mniej godnym ciebie? Ty miałabyś obmyślać karę dla mnie! A ja, ja u ciebie szukam pocieszenia, nie, iżbym zasłużył na nie; ale dlatego, że go potrzebuję i że mogę je znaleźć jedynie u ciebie.

Jeżeli zapominając naraz o mojej i twojej miłości i nie przywiązując już wagi do mego szczęścia, pragniesz, przeciwnie, wydać mnie na pastwę wieczystej boleści, masz prawo po temu, uderzaj; ale jeżeli wiedzona pobłażliwością lub głosem serca wspominasz jeszcze uczucia tak tkliwe, które jednoczyły nasze istoty, upojenia duszy ciągle tak nowe i coraz to żywsze, owe dni tak słodkie, tak szczęśliwe, któreśmy sobie dali nawzajem, wszystkie te skarby miłości, które ona tylko stworzyć jest zdolna: ach, jeżeli sobie przypominasz, wówczas może zapragniesz raczej wskrzesić je na nowo niż zniweczyć na zawsze. Cóż powiem ci wreszcie? Straciłem wszystko i straciłem z własnej winy; ale mogę wszystko

odzyskać z łaski twojej wspaniałomyślności. Twoją jest rzeczą rozstrzygać obecnie. Dodam jeszcze jedno słowo. Wczoraj jeszcze przysięgałaś mi, że mogę być pewnym mego szczęścia póty, póki będzie ono zależało od ciebie! Och, pani, czyli zechcesz mnie wydać dzisiaj na pastwę wieczystej rozpacz?

Paryż, 15 listopada 17**

LIST CXXXVIII

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Obstaję przy swoim, piękna przyjaciółko: nie, ja nie jestem zakochany; to zaś nie moja wina, jeżeli okoliczności zmuszają mnie do odgrywania tej roli. Zgódź się jedynie i powracaj; przekonasz się wkrótce własnymi oczami, jak bardzo mówię prawdę. Złożyłem dowody tego wczoraj, a wypadki dnia dzisiejszego nie mogą ich unicestwić.

Byłem tedy wczoraj u mojej świętoszki; nie miałem zresztą na ten dzień żadnych innych widoków, ponieważ mała Volanges mimo swojego stanu miała spędzić całą noc na baliku młodzieży u pani de V***. W braku innego zatrudnienia zbudziła się zrazu we mnie ochota przeciągnięcia tego wieczoru; ale zaledwie mi to przyrzeczono, nawet kosztem małego poświęcenia, kiedy nagle zaczęła mnie prześladować myśl o tej rzekomej miłości, której ty tak uparcie chcesz się dopatrywać w moim postępowaniu. Otóż ośwładnęło mną jedno tylko pragnienie: to jest, aby za jednym zamachem upewnić siebie samego, a przekonać ciebie, że jest to z twojej strony, markizo, najczystsza w świecie potwarz.

Chwyciłem się tedy gwałtownego środka: pod dość blahym pozorem opuściłem nagle moją piękność mocno zdziwioną, a z pewnością jeszcze więcej zmartwioną tym obrotem. Ja natomiast poszedłem spokojnie odszukać Emilię w Operze; ta dziewczyna może ci zaświadczyć, że aż do poranka, to jest do chwili, w której nastąpiło rozstanie, żaden najmniejszy wyrzut nie zamącił naszych przyjemności.

A jednak miałbym wcale ładny powód do niepokoju, gdyby moja zupełna obojętność nie chroniła mnie od podobnej troski: bowiem trzeba ci wiedzieć, znajdowałem się zaledwie o cztery kroki od Opery, usadowiony wygodnie z Emilią w powozie, kiedy pojazd pani de Tourvel zjechał się tuż z moim, zaś natłok powozów przy wyjściu przetrzymał nas blisko przez kwadrans obok siebie. Spotkaliśmy się po prostu nos w nos i nie było sposobu się nie widzieć.

Posłuchaj dalej, markizo: otóż przyszło mi na myśl opowiedzieć Emilii, że ma przed sobą ową bohaterkę mego listu. (Przypominasz sobie może jeszcze to szaleństwo, w którym też sama Emilia służyła mi za pulpit¹³⁸). Nie zapomniała tego: że zaś jest wielka śmieszka, nie miała spokoju, dopóki nie napatrzyła się do syta *tej cnotce*, jak mówiła, i to wśród wybuchów śmiechu nieprzyzwoitych w najwyższym stopniu i zwracających powszechną uwagę.

To jeszcze nie wszystko. Zazdrosna osóbką posłała do mnie tego samego wieczora. Nie było mnie w domu; posłała jeszcze raz z rozkazem czekania na mnie. Co do mnie, z chwilą kiedy namyśliłem się zostać u Emilii, odesłałem powóz, dając woźnicy jedynie zlecenie, aby po mnie zjechał nazajutrz rano; że zaś ten, wróciwszy do domu, zastał tam owego posłańca miłości, uważał za najprostsze powiedzieć mu, że nie powrócę na noc. Zgadujesz wrażenie tej nowiny i domyślasz się, że za powrotem zastałem formalną dymisję wystylizowaną z całą godnością wymaganą przez okoliczności!

A zatem cała przygoda, wbrew twojej o mnie opinii, mogła być, jak widzisz, skończona od dziś rana: a jeżeli nie jest, to nie dlatego, abym ja, jak gotowa jesteś przypuszczać, przywiązywał jakąś wagę do prowadzenia jej dalej: po prostu, z jednej strony nie uważałem za właściwe pozwolić się porzucać, z drugiej zaś chciałem zachować jako hołd dla ciebie sposobność tego poświęcenia z mej strony.

Na surowy bilecik odpowiedziałem zatem wielkim listem z tonu uczuciowego; rozgadałem się w obszernych usprawiedliwieniach, zaś miłości zostawiłem troskę o to, aby zostały wzięte za dobrą monetę. Już mi się to powiodło. Otrzymałem w tej chwili drugi list, zawsze jeszcze bardzo surowy i obstający przy owym wiekuistym zerwaniu, które mi

¹³⁸ Emilia służyła mi za pulpit — List XLII i XLVIII.

zostało oznajmione, ale ton jest już zupełnie inny. Przede wszystkim nie chce mnie widzieć: to postanowienie powtórzone jest cztery razy w sposób najbardziej nieodwołalny. Wynioskowałem z tego, że powinienem stawić się u niej i to jak najrychlej. Posłałem już mego strzelca, aby się zajął szwajcarem, a za parę chwil pospieszę sam uzyskać podpis mojego ulaskawienia: bowiem w przewinach tego rodzaju istnieje tylko jedna formułka, która zawiera w sobie generalne przebaczenie, a tę da się zastosować jedynie w obecności oskarżonego.

Do widzenia, uroczą przyjaciółko, biegnę zdobywać ten wielki akt odpustu.

Paryż, 15 listopada 17**

LIST CXXXIX

Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde

Jakżeż wyrzucam sobie, droga, dobra przyjaciółko, iż zbyt wcześnie pozwoliłam sobie mówić ci o moich przelotnych zgryzotach! Jestem przyczyną, że obecnie martwisz się z pewnością; strapienia twoje spowodowane przeze mnie trwają jeszcze, a ja, ja jestem szczęśliwa! Tak, wszystko zapomniane, wybaczone; powiedzmy lepiej, wszystko jest naprawione. Po bezmiarze bóleści i rozpacz, nastąpił spokój i upojenie. O, radości mego serca, jakżeż cię zdołam wyrazić! Valmont jest niewinny; nie można być występny, mając w sercu tyle miłości. Nie, on nie popełnił owych win ciężkich, obrażających, które wyrzucałam mu z taką goryczą; a jeżeli na jednym punkcie muszę zdobyć się na pobłażliwość, czyż ja z mej strony również nie miałam do naprawienia choćby mojej niesprawiedliwości?

Nie będę ci szczegółowo przytaczała faktów i pobudek, które go uniewinniają; być może nawet rozum nie oceniłby ich z właściwej strony: serce tylko jedno zdolne jest je odczuć. Gdybyś mimo to miała mnie obwiniać o słabość, mogę się powołać na własny twój sąd, pani. Dla mężczyzn, powiadasz sama, niewierność nie zawsze jest jeszcze zdradą.

Czuję, czuję wprawdzie, że to rozróżnienie, mimo iż w istocie uświęcone mniemaniem ogółu, niewątpliwie boleśnie uraża naszą delikatność; ale czyż mnie godzi się skarżyć, skoro on sam, Valmont tyle cierpi nad tym? Ach, gdybyś wiedziała, ile razy wyrzucał sobie przewinę, którą ja puściłam w niepamięć: a wszakże jak bardzo okupił ten drobny błąd nadmiarem swej miłości i mojego szczęścia!

Albo szczęście moje jest większe, albo też lepiej czuję jego cenę od chwili, gdy zdawało mi się, że straciłam je na zawsze: ale to mogę ci powiedzieć, że gdybym czuła w sobie siły zniesienia jeszcze zgryzot równie okrutnych jak te, których doznałam, nie uważałabym, iż zbyt drogo okupuję nimi nadmiar szczęścia, jakiego zakosztowałam później. Och, moja tkliwa matko, wyłaj twą niebaczną córkę, iż cię przypawiła o zmartwienie zbyt nim pośpiechem; wyłaj ją, iż lekkomyślnie osądziła i spotwarzyła tego, który nie przestał ani na chwilę jej ubóstwiać: ale ganiąc jej nierozwagę, patrz na jej szczęście i pomnóż jej radość, dzieląc ją z nią razem.

Paryż, 16 listopada 17**

LIST CXL

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Czym się to dzieje, śliczna przyjaciółko, że nie mam dotąd odpowiedzi od ciebie? Mój ostatni list przecież zdawał mi się zasługiwać na jakieś słówko; i oto już trzeci dzień czekam go na próżno. Gniewam się doprawdy; toteż aby cię ukarać, markizo, nie powiem ci już nic o moich wielkich sprawach.

Że pojednanie odbyło się w najwspanialszym sposobie; że w miejsce wymówek i niewiary pociągnęło za sobą jedynie nowy wylew czułości; że to obecnie ja przyjmuję laskawie przeprosiny i skrucę, należne mej podejrzewanej niewinności: o tym wszystkim nie powiem ci ani trochę. W ogóle gdyby nie nieprzewidziany wypadek, jaki zaszedł ubiegłej nocy, wcale bym się do ciebie nie odezwał. Ale ponieważ to dotyczy twojej pupilki, ona zaś sama prawdopodobnie nie będzie w możności powiadomienia cię o tym, przynajmniej na razie, przeto ja podejmuję się tego zadania.

Okoliczności, których się domyślisz lub nie domyślisz, zmusiły mnie do przerwania na kilka dni bliższej styczności z panią de Tourvel; że zaś te okoliczności nie mogły mieć miejsca u małej Volanges, tym gorliwiej zwróciłem się w tamtą stronę. Dzięki uprzejmości odzwierne go nie miałem żadnych przeszkód w tym względzie: toteż prowadziliśmy, twoja pupilka i ja, życie wygodne i uregulowane. Ale przyzwyczajenie jest matką nieopatrzności: jakoż wczoraj niepojęte roztargnienie stało się powodem przykrego wypadku.

Spoczywaliśmy oboje, nie śpiący, ale pogrążeni w owej bezwładności, która następuje po chwilach rozkoszy, gdy naraz usłyszeliśmy, jak drzwi do pokoju otwierają się nagle. Chwytam za szpadę i postępuję w tym kierunku, ale nie widzę nikogo: mimo to drzwi były w istocie otwarte. Wziąwszy światło, wysunąłem się na zwiady i nie znalazłem żywej duszy. Wówczas przypomniałem sobie, że zaniedbaliśmy tego dnia zwykłych ostrożności: niewątpliwie drzwi, przywarte tylko lub źle zamknięte, otwały się same z siebie.

Spieszę z powrotem, aby uspokoić moją trwożliwą towarzyszkę, ale nie znajduję jej już w łóżku; upadła albo też schroniła się pomiędzy łóżko a ścianę: dość, że leżała tam bez zmysłów i wstrząsana napadami dość gwałtownych konwulsji. Możesz sobie wyobrazić moje położenie! Udało mi się przenieść ją z powrotem do łóżka, a nawet przyprowadzić do przytomności; ale okazało się, iż uderzyła się upadając i niebawem zaczęła odczuwać tego skutki.

Boleści w krzyżach, gwałtowne kurcze, inne objawy jeszcze mniej dwuznaczne, wkrótce oświeciły mnie co do jej stanu: ale aby o nim pouczyć młodą pacjentkę, trzeba było wytłumaczyć jej wprzód stan, w jakim znajdowała się poprzednio, bo nie miała o tym żadnego pojęcia. Jeszcze chyba nigdy nie zachował nikt tyle niewinności, czyniąc z takim zapalem wszystko, co trzeba, aby się jej pozbawić! Och, co ta, to nie traci czasu na zastanawianie się nad czymkolwiek!

Podczas gdy mała rozwodziła się w daremnych rozpaczach, ja czułem, że trzeba powziąć jakieś postanowienie. Umówiłem się z nią tedy, że udam się natychmiast do lekarza i chirurga domowego i że uprzedzając ich, iż będą wezwani za chwilę, wyznam wszystko, zapewniwszy sobie tajemnicę; ona ze swej strony zadzwoni na pannę służącą: przyzna się lub nie przyzna do wszystkiego, jak sama zechce; ale pośle ją, aby szukała pomocy, przede wszystkim zaś zabroni bezwarunkowo budzić panią de Volanges: względ pełen delikatności i naturalny u córki, która lęka się zaniepokoić swą matkę.

Załatwiłem moje dwie wizyty i dwie spowiedzi najspieszniej jak mogłem, stamtąd zaś udałem się do domu, gdzie siedzę zamknięty dotychczas. Chirurg, którego znałem skądinąd, przyszedł w południe zdać mi sprawę ze stanu chorej. Nie omyliłem się w mojej diagnozie; ale on ma nadzieję, że jeżeli nie zajdzie jaki wypadek, nikt w domu się nie spostrzeże. Panna służąca jest w tajemnicy; lekarz zmyślił naprędce jakąś chorobę i cała sprawa ułożyła się jak tysiąc podobnych, chyba żeby w przyszłości było dla nas użytecznym, aby o tym mówiono.

Ale czy istnieje jeszcze jaki wspólny interes między mną a tobą? Twoje milczenie każe mi wątpić o tym; nie wierzyłbym w to nawet wcale, gdybym tak bardzo nie pragnął zachować jakiegś pod tym względem nadziei.

Do widzenia, piękna przyjaciółko; ściskam cię mimo całej urazy.

Paryż, 21 listopada 17**

LIST CXLI

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Mój Boże, wicehrabio, jak ty mnie męczysz swoim uporem! Czemu wymawiasz mi moje milczenie? Czy sądzisz, że jeżeli milczę, to z braku argumentów dla mojej obrony? Ach, dałby Bóg, aby tak było! Ale nie, to tylko dlatego, że ciężko mi jest wytaczać je przeciw tobie.

Mów ze mną otwarcie; czy ty łudzisz sam siebie, czy też pragniesz mnie oszukać? Sprzeczność pomiędzy twymi słowami a uczynkami pozwala mi jedynie przypuszczać albo jedno, albo drugie: cóż tedy jest prawdą? Cóż ty chcesz, abym ja ci powiedziała, skoro sama nie wiem, co mam myśleć?

Widzę, że poczytujesz sobie za wielką zasługę twoją ostatnią scenę z prezydentową; ale w czymżeż ma ona przemawiać na korzyść twoich perswazji, a zbijać moje zarzuty?

Toż ja ci nie mówiłam nigdy, że ty kochasz tę kobietę na tyle, aby jej nie oszukiwać, aby nie chwytać po temu każdej sposobności, która ci się wyda łatwą lub przyjemną: nic mnie też nie dziwi, że przez rozpustę umysłową, której na próżno by ci ktoś odmawiał, zrobiłeś jeden raz z rozmysłu to, co zrobiłbyś tysiąc razy ot, tak, ze sposobności. Wszak to jest u was najpospolitszy bieg rzeczy.

Natomiast mówiłam, myślałam, myślę jeszcze obecnie, że ty mimo to kochasz swoją prezydentową; nie żadną miłością zbyt czystą, ani też zbyt tkliwą, ale, z tym wszystkim, miłością wystarczającą na to, aby w danej kobiecie znajdować powaby i przymioty, których ona nie posiada; miłością, która daje jej odrębne miejsce w świecie, wszystkie inne zaś stawia w drugim rzędzie.

Jeszcze i w twoim ostatnim liście, jeżeli mi nie mówisz wyłącznie o tej kobiecie, to dla tego, że nie chcesz mi nic mówić o *swoich wielkich sprawach*; wydają ci się one tak ważne, że milczenie, jakie zachowujesz w tym przedmiocie, zdaje ci się karą dla mnie. I oto po tych tysiącnych dowodach wybitnej przewagi, jaką posiada nad tobą inna kobieta, zapytujesz mnie spokojnie, czy jest jeszcze *jakiś wspólny interes pomiędzy mną a tobą*! Strzeż się, wicehrabio! Skoro raz ci odpowiem, moja odpowiedź będzie nieodwołalna; tym, iż nie chcę dać ci jej w tej chwili, tym samym może już mówię zbyt wiele. Toteż nie chcę bezwarunkowo dłużej zatrzymywać się przy tym.

Co najwyżej mogłabym ci opowiedzieć jedną powiastkę. Może nie będziesz miał czasu jej przeczytać lub też zastanowić się nad nią tak, aby ją dobrze zrozumieć? Twoja wola. W najgorszym razie powiastka pójdzie na marne i na tym koniec.

Jednemu z moich znajomych zdarzyło się, podobnie jak i tobie, zaciętrzewić w kobiecie, która przynosiła mu niewiele zaszczytu. Miał on w chwilach jasnowidzenia tyle rozsądku, iż czuł, że prędzej czy później związek ten wyjdzie mu na szkodę; ale mimo iż wstydził się własnej słabości, nie miał odwagi zerwać. Położenie jego było tym kłopotliwsze, ile że chęcił się przed przyjaciółmi, że jest najzupełniej wolny; wiedział zaś, iż w podobnych wypadkach tym większą śmiesznością okrywa się mężczyzna, im bardziej się od niej broni. W ten sposób trawił on życie, wpadając z jednej niedorzeczności w drugą i mówiąc sobie jako jedyną pociechę: „*To nie moja wina*”. Ten człowiek posiadał przyjaciółkę, która przez chwilę miała pokusę wydać go oczom świata w tym stanie oglupienia i okryć w ten sposób śmiesznością bez ratunku: ale, czy to że wspaniałomyślność wzięła w niej górę nad złośliwością czy może wreszcie dla innego powodu, postanowiła jeszcze spróbować ostatniego środka, aby jak jej przyjaciel mieć prawo sobie powiedzieć: „*To nie moja wina*”. Przesłała mu zatem bez żadnych innych wskazówek taki oto list w mniemaniu, iż może się okazać skutecznym lekarstwem w chorobie.

*

„Wszystko się przykrzy, mój aniele, takie jest prawo natury: to nie moja wina.

Jeżeli więc sprzykrzyła mi się dzisiaj miłośćka, która zaprzętała mnie niemal wyłącznie od czterech śmiertelnych miesięcy, to nie moja wina.

Jeżeli miłość moja była równie wytrwała jak twoja cnota, a to jest z pewnością wiele powiedziane, nie ma w tym nic dziwnego, że jedna wyzionęła ducha w tym samym czasie co druga. To nie moja wina.

Wynika z tego, że od niejakiego czasu oszukiwałem cię: ale też, przyznaj, iż twoja nielitościwa czułość zmuszała mnie do tego! To nie moja wina.

Dzisiaj, kobieta, którą kocham do szaleństwa, wymaga, abym ciebie jej poświęcił. To nie moja wina.

Czuję dobrze, że daję ci oto piękną sposobność wykrzykiwania o zdradzie itd.; ale jeżeli natura obdarzyła mężczyzn jedynie stałością, podczas gdy kobietom użyczyła przymiotu naprzykrzania się, to nie moja wina.

Posłuchaj mnie, znajdź sobie innego miłego, tak jak ja biorę inną kochankę. Wierz mi, to dobra, bardzo dobra rada, a jeżeli ci się nie podoba, to nie moja wina.

Zegnaj cię, mój aniele, wziąłem cię z przyjemnością, opuszczam cię bez żalu: może jeszcze do ciebie wrócę. Tak toczy się świat. To nie moja wina”.

Nie pora teraz opowiadać ci, wicehrabio, jaki skutek osiągnęła ta ostatnia próba rantunku i co z tego wynikło, ale przyrzekam powiadomić cię o tym w najbliższym liście. Znajdziesz tam również moje *ultimatum* co do odnowienia traktatu, które mi proponujesz. Aż dotąd, do widzenia po prostu...

Ale, ale: dziękuję ci za szczegóły co do małej Volanges; zachowamy sobie ten artykuł do „Gazety Obmowy” aż do nazajutrz po jej ślubie. Tymczasem przesyłam ci wyrazy ubolewania z powodu utraty potomstwa. Dobranoc, wicehrabio.

Z zamku ***, 24 listopada 17**

LIST CXLII

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Na honor, piękna przyjaciółko, nie wiem, czy dobrze przeczytałem, czy dobrze zrozumiałem i twój list, i historyjkę, jaką mi opowiadasz, i mały wzorek sztuki pisania listów do niej dołączony. Tyle mogę ci powiedzieć, że ten ostatni wydał mi się oryginalny i efektowny: toteż przepisałem go po prostu i przesłałem niebiańskiej prezydentowej. Spodziewałem się, że będę mógł odesłać ci dziś rano odpowiedź ukochanej; ale już jest blisko południe, a jeszcze nic nie mam. Doczekam do piątej godziny; a jeśli nie otrzymam wiadomości, pójdę sam ich zasięgnąć; bowiem w takich rzeczach jedynie pierwszy krok jest trudny.

A teraz, jak możesz się domyślać, bardzo mi pilno dowiedzieć się końca historii owego znajomego, tak gwałtownie podejrzanego o to, iż nie jest zdolny w potrzebie poświęcić kobietę. Czy się nie poprawił? I czy wspaniałomyślna przyjaciółka nie przywróciła go do swej łaski?

Nie mniej pragnę otrzymać twoje *ultimatum*, jak się wyrażasz o nim tak politycznie! Jestem ciekawy zwłaszcza wiedzieć, czy i w tym ostatnim postąpieniu dopatrzysz się jeszcze miłości. Och, z pewnością, że jest, i to dużo! Ale dla kogo? Mimo to, nie chcę się zbliżyć do żadnej sprawy i wszystko chcę zawdzięczać jedynie twojej dobroci.

Do widzenia, uroczą przyjaciółko; nie zamknę tego listu przed drugą godziną w nadziei, że będę mógł dołączyć doń upragnioną odpowiedź.

O godzinie drugiej po południu

Ciągle nic, spieszo mi bardzo, nie mam czasu dodać ani słowa: ale tym razem, czy jeszcze odrzucisz najtkliwsze uściski miłości?

Paryż, 27 listopada 17**

LIST CXLIII

Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde

Rozdarła się zasłona, pani, na której namalowane były złudzenia mego serca. Złowroga prawda przyświeca mi i ukazuje jako nadzieję jedynie śmierć pewną i bliską: śmierć, której droga znaczy się pomiędzy hańbą a zgryzotą. Pójdę nią... ukocham moje męczarnie, jeżeli zdolają skrócić me istnienie. Przesyłam ci list, który otrzymałam wczoraj; nie dodaję doń żadnej uwagi, wszystko się w nim mieści. Nie czas już na skargi, zostało tylko cierpienie. Nie współczucia mi teraz trzeba, ale siły.

Przyjmij, pani, jedyne pożegnanie, jakie uczynię, i wysłuchaj mej ostatniej prośby: to jest, abyś mnie zostawiła memu losowi, zapomniała mnie zupełnie i przestała liczyć do żyjących na ziemi. Jest granica w nieszczęściu, poza którą przyjaźń nawet pomnaża mękę, nie mogąc jej uleczyć. Skoro rana jest śmiertelna, każda pomoc staje się okrucieństwem. Wszelkie inne uczucie jest mi obcym poza uczuciem rozpacz. Pociąga mnie jedynie owa głęboka noc, w której pragnę zagrzebać mą hańbę. Będę płakała w niej za moje winy, jeżeli potrafię jeszcze płakać! Bo od wczoraj nie wylałam ani jednej łzy. Moje zdeptane serce już do nich nie jest zdolne.

Zegnaj cię, pani. Nie odpowiadaj mi. Składałam przysięgę na tym liście okrutnym, iż jest to ostatni, jaki w życiu odebrałam.

Paryż, 27 listopada 17**

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Wczoraj, uroczą przyjaciółko, o godzinie trzeciej popołudniu, zniecierpliwiony brakiem wszelkiej wiadomości, udałem się do opuszczonej bogdanki; powiedziano mi, że wyszła. Myślałem po prostu, że mnie nie chce przyjąć, co mnie ani zmartwiło, ani zdziwiło; oddaliłem się w nadziei, że mój krok zachęci kobietę tak grzeczną do zaszczycenia mnie przynajmniej słowem odpowiedzi. Zajrzałem do domu około dziewiątej wieczór: jeszcze nic nie było. Zdziwiony milczeniem, którego się nie spodziewałem, poleciłem memu strzelcowi, aby poszedł zasięgnąć języka i dowiedział się, czy uparta osoba umarła czy jest umierająca. Otóż za powrotem obwieścił mi, że pani de Tourvel w istocie wyszła o jedenastej rano w towarzystwie panny służącej; kazała się zawieźć do klasztoru ***, zaś o siódmej wieczór odesłała powóz i ludzi, polecając, aby na nią nie czekano w domu. W istocie, to się nazywa załatwić rzecz po formie. Klasztor jest naturalnym schronieniem wdowy; jeśli tedy wytrwa w tak chwalebnym postanowieniu, dołączę do wszystkich zobowiązań, jakie mam już dla niej, i wdzięczność za rozgłos, jakiego nabędzie cała przygoda. Wszak przepowiadałem ci niedawno, że mimo twych niepokojów zjawie się znów na scenie świata strojny w blaski nowych tryumfów!

To jej postanowienie pochlebia mojej miłości własnej, przyznaję: ale drażni mnie to, iż znalazła w sobie dość siły, aby się oderwać ode mnie tak stanowczo. Zatem będą pomiędzy nami inne przeszkody prócz tych, jakich ja sam jestem twórcą! Jak to! Gdybym chciał się zbliżyć do niej, mogłaby nie chcieć tego; co mówię? Nie pragnąć tego jako najwyższego szczęścia! Toż więc była jej miłość? Jak myślisz, moja piękna przyjaciółko, czy godzi mi się to ścierpieć? Czy nie lepiej byłoby ukazać tej kobiecie możliwość pojednania, którego pragnie się zawsze, dopóki się widzi bodaj ślad nadziei? Mógłbym spróbować tego kroku, ot tak, od niechcenia: tym byś się przecież w niczym nie mogła czuć obrażona. Przeciwnie, to byłoby tylko proste doświadczenie, które przeprowadzilibyśmy z wspólnego namysłu; a gdyby nawet się powiodło, byłby to tylko jeden środek więcej do ponowienia, gdybyś sobie tego życzyła, ofiary, która zdawała się znajdować łaskę w twych oczach. A teraz, piękna przyjaciółko, oczekuję przyrzeczonej nagrody i wszystkie moje chęci wiążą się do twego powrotu. Wracaj zatem prędko odnaleźć swego kochanka, swoje uciechy, swoje przyjaciółki i zwykły bieg naszego świata.

Sprawa małej Volanges, o której ci pisałem, poszła bardzo gładko. Wczoraj, nie mogąc w mym niepokoju wysiedzieć na miejscu, pośród rozlicznych wizyt znalazłem się i u pani de Volanges. Zastałem pupilkę już w salonie, jeszcze w stroiku chorej, ale już w pełnej rekonwalescencji, świeższą jeszcze i powabniejszą niż dawniej. Wy, kobiety, w podobnym wypadku przez miesiąc nie ruszałybyście się z szeszlonga: na honor, niech żyją panny! Doprawdy, zbudziła we mnie ochotę sprawdzenia, czy w istocie jej stan zdrowia jest pod każdym względem zadowalający.

Muszę ci jeszcze powiedzieć, że ten wypadek dziewczęcia przyprawił niemal o szaleństwo czulego Danceny'ego. Z początku ze zmartwienia, dzisiaj znowu z radości. *Jego Cecylia* była chora! Pojmujesz, że można głowę stracić w takim nieszczęściu. Trzy razy na dobę przysyłał po wiadomości, a nie przeszedł ani jeden dzień, aby sam ich nie zasięgał; wreszcie piękną epistołą wystosowaną do mamy poprosił o pozwolenie złożenia jej powinszowań z powodu przyścia do zdrowia drogiego przedmiotu. Pani de Volanges przyzwoliła; tak iż zastałem młodego człowieka zasiedziało tam jak dawniej, jedynie troszkę bardziej ceremonialnego.

Od niego mam te szczegóły, ponieważ wyszliśmy razem i pociągnąłem go za język. Nie masz pojęcia o wrażeniu, jakie sprawiły na nim te odwiedziny. Radość, pragnienia, uniesienie, niepodobne wprost do oddania. Lubię wielkie efekty; toteż do reszty przypawiłem go o utratę głowy, upewniając, że w bardzo niedługim czasie dostarczę mu sposobności oglądania swego bóstwa jeszcze bardziej z bliska.

W istocie jestem zdecydowany mu ją oddać, skoro tylko się uporam z moim doświadczeniem. Pragnę poświęcić się tobie w zupełności; a przy tym czyżby było warto, aby twoja pupilka była i moją wychowanicą, gdyby miała oszukiwać jedynie męża? Arcydzieło to jest oszukiwać kochanka! A zwłaszcza pierwszego kochanka! Bo co do mnie, to nie może się pochlubić, bym kiedykolwiek do niej wymówił słowo *miłość*.

Do widzenia, piękna przyjaciółko; wracaj więc co rychlej objąć swą władzę nade mną, przyjąć mój hold i uszczęśliwić mnie zapłatą.

Paryż, 28 listopada 17**

LIST CXLV

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Na serio, wicehrabio, porzuciłeś swoją prezydentową? Posłałeś jej list, który ułożyłam dla niej? Doprawdy, jesteś czarujący! Przeszedłeś moje oczekiwania. Wyznaję otwarcie, że ten tryumf pochlebia mi więcej niż wszystkie, jakich zaznałam dotychczas. Wyda ci się może, że ja stawiam bardzo wysoko tę kobietę, którą niegdyś ceniłam tak nisko; wcale nie: ależ bo ja nie nad nią odniosłam zwycięstwo; nad tobą, wicehrabio: to jest najzabawniejsze i to jest naprawdę rozkoszne.

Tak, ty kochałeś bardzo panią de Tourvel, a nawet kochasz ją jeszcze; kochasz ją jak szalencie: ale dlatego, że ja zrobiłam sobie zabawkę, aby cię tym zawstydzić, poświęciłeś ją tak rycersko. Byłbyś ją raczej poświęcił tysiąc razy, niż byś miał ścierpieć jakiś żarcik z siebie! Co robi z człowiekiem próżność! Mędrzec ma słuszość, kiedy mówi, że to jest prawdziwa nieprzyjaciółka szczęścia.

Jakżebyś teraz wyglądał, gdybym ci była chciała wypłacać tylko figła? Ale ja nie umiem zwodzić, wiesz o tym dobrze; i gdybyś nawet miał z kolei doprowadzić mnie do rozpacz i do klasztoru, podejmuję to ryzyko i poddaję się memu zwycięzcy.

Mimo to, jeżeli kapituluję, to w istocie z czystej słabości: bowiem gdybym chciała, ileż jeszcze miałabym sposobności, aby się podrożyć! A może zasługiwałbyś na to? Podziwiam na przykład, jak chytrze albo jak naiwnie podsuwasz mi, abym ci pozwoliła pojednać się z prezydentową. Bardzo by ci dogadzało, nieprawdaż, zyskać sobie całą zasługę zerwania, nie tracąc równocześnie rozkoszy dalszego stosunku? W ten sposób niebiańska świętoszka mniemałaby, iż zawsze jest jedyną panią twego serca, podczas gdy ja napawałabym się dumą, że jestem zwycięską rywalką; byłybyśmy oszukane obydwie, ale ty byłbyś zadowolony, a o cóż chodzi więcej?

Szkoda, że przy takim talencie do projektów masz go tak mało do wykonywania; i że przez jeden nierozważny krok oddzieliłeś się sam nieprzewidywaną przeszkodą od tego, czego tyle pragniesz.

Jak to! Ty pieściłeś myśl nawiązania w przyszłości na nowo tego stosunku i mogłeś posłać mój list! Uważałeś mnie zatem chyba za bardzo niezręczną! Och, wierzaj mi, wicehrabio, kiedy kobieta wymierza cios w serce drugiej, zawsze umie trafić w najczulsze miejsce i rana, jaką zadaje, jest nie do zgojenia. Wówczas gdy ja godziłam w nią lub raczej kierowałam twą ręką, nie zapomniałam, że ta kobieta była moją rywalką, że bodaj przez chwilę mogłeś być ją znajdować pożądaną ode mnie i że mnie mogłeś jej podporządkować. Jeżeli chybiłam w mej zemście, zgadzam się ponieść następstwa omyłki. Toteż pozwalam ci próbować wszystkich środków: zachęcam cię do tego nawet; przyrzekam ci, iż się nie pogniewam, jeżeli ci się powiedzie. Jestem tak spokojna, że nie chcę się tym nawet zajmować. Mówmy o czym innym.

Na przykład o zdrowiu małej Volanges. Udzielisz mi o nim stanowczych wiadomości za moim powrotem, nieprawdaż? Bardzo mnie to zajmuje. Później twoją rzeczą będzie osądzić, czy będziesz wolał oddać dziewczkę miłemu, czy kusić się po raz drugi o stworzenie nowej gałęzi Valmontów pod nazwiskiem Gercourtów. Myśl ta wydała mi się dość zabawna i zostawiając ci wybór, proszę cię jednak, abyś nie podejmował stanowczego postanowienia, dopóki o tym nie pomówimy ze sobą. Nie znaczy to, bym cię chciała skazywać na zbyt długie oczekiwanie, albowiem będę w Paryżu lada moment. Nie mogę ci stanowczo oznaczyć dnia; ale bądź pewien, że skoro tylko przybędę, pierwszy otrzymasz o tym wiadomość.

Z zamku, *** 29 listopada 17**

LIST CXLVI

Markiza de Merteuil do kawalera Danceny

Nareszcie wyruszam stąd, mój młody przyjacielu, i jutro wieczorem będę z powrotem w Paryżu. Przez parę pierwszych dni nie mam zamiaru przyjmować nikogo. Mimo to jeśli miałbyś jakieś pilne zwierzenie, godzę się wyłączyć pana z ogólnej reguły; ale jedynie pana: toteż proszę o zachowanie w tajemnicy mego przyjazdu. Nawet Valmonta o nim nie uwiadamiam.

Gdyby mi ktoś był powiedział niedawno, że wkrótce staniesz się posiadaczem mego wyłącznego zaufania, nie byłabym uwierzyła. Widać, twoja ufność pociągnęła moją. Gotowa jestem przypuszczać, że włożyłeś w to nieco przebiegłości, może nawet kokieterii. To by nie było dobrze z twojej strony! Ale dziś to nie jest niebezpieczne: wszakże masz teraz co innego do roboty. Skoro Heroína jest na scenie, komuż by przyszło do głowy zajmować się Powiernicą...

Nic dziwnego też, iż nie znalazłeś nawet czasu, aby mnie powiadomić o swoich nowych postępach. Gdy twoja Cesia była nieobecna, dnia nie starczyło, aby wysłuchać twych czułych lamentów. Byłbyś je posyłał echom, gdyby nie było mnie pod ręką. Kiedy potem była cierpiąca, i wówczas jeszcze nawet zaszczyciłeś mnie zdaniem sprawy ze swych niepokojów: potrzebowaleś zwierzyć się komuś; ale teraz, kiedy przedmiot twych uczuć jest w Paryżu, kiedy się ma dobrze, a zwłaszcza kiedy go widzisz od czasu do czasu, starczy ci już za wszystko, a przyjaciele stali się niczym.

Nie potępiam cię za to, to wina twoich dwudziestu lat. Od Alcybiadesa aż do ciebie wiadomą jest rzeczą, że wszyscy młodzi ludzie znali przyjaźń jedynie w strapieniach! Szczęście rodzi w nich czasem potrzebę niedyskrecji, ale nigdy zaufania. Powiem tedy razem z Sokratesem: „*Lubię, aby moi przyjaciele przychodzili do mnie wówczas, gdy są nieszczęśliwi*”¹³⁹: ale on, w swoim charakterze filozofa, obchodził się wybornie bez nich, gdy nie przychodzili. Pod tym względem nie jestem jeszcze tak roztropna jak on i odczuwam twoje milczenie całą słabością kobiety.

Do widzenia, kawalerze; serdecznie się cieszę na to, iż cię zobaczę: czy przyjdiesz?

Z zamku ***, 29 listopada 17**

LIST CXLVII

Pani de Volanges do pani de Rosemonde

Martwisz się zapewne nie mniej ode mnie, czcigodna przyjaciółko, dowiadując się o stanie pani de Tourvel; jest chora od wczoraj: choroba jej wystąpiła tak nagle i groźnie, że jestem istotnie zaniepokojona.

Gwałtowna gorączka, prawie ciągła nieprzytomność, nieugaszone pragnienie, oto wszystko, co można stwierdzić. Pielęgnowanie jej będzie o tyle trudniejsze, że z uporem wzbrania się przyjąć jakiegokolwiek lekarstwo: do tego stopnia, że trzeba było ją trzymać przemocą, aby jej krew puścić. Ty, która, jak ja, znałaś ją tak włą, nieśmiałą i łagodną, czy wyobrażasz sobie, że cztery osoby zaledwie mogą ją utrzymać i że, o ile tylko próbuje się ją nakłonić do czego, wpada w niepojęte objawy szału? Co do mnie, lękam się, że to jest coś więcej niż same następstwo gorączki: obawiam się wprost choroby umysłowej.

Obawy moje w tym kierunku pomnaża jeszcze wszystko to, co zaszło przedwczoraj. Około jedenastej rano przybyła w towarzystwie panny służącej do klasztoru ***. Ponieważ była wychowana w tym domu i miała zwyczaj odwiedzać go niekiedy, przyjęto ją jak zwykle; wydała się wszystkim spokojna i zdrowa. W dwie godziny potem zapytała, czy pokój, który zajmowała będąc pensjonarką, jest wolny; gdy zaś odpowiedziano twierdząco, prosiła, iż chce go zobaczyć. Następnie oznajmiła, że pragnie zamieszkać w tym pokoju, i dodała, iż opuści go dopiero umarłą: to było jej wyrażenie.

Zrazu nie wiedziano, co powiedzieć: ale gdy ustąpiła chwila pierwszego zdumienia, przedstawiono jej, iż jako osoba zamężna nie może zostać przyjęta bez szczególnego upoważnienia. Ten argument ani tysiąc innych nie miały żadnego wpływu; uparła się nie tylko nie opuścić klasztoru, ale nawet swojej izdebki. Wreszcie, po długiej walce, o siódmej godzinie wieczór zgodzono się, aby tam spędziła noc. Odesłano powóz i ludzi i odłożono do następnego dnia dalsze postanowienia.

Wszyscy się oddalili z wyjątkiem panny służącej, która, szczęściem, dla braku innego miejsca musiała spędzić noc w tym samym pokoju.

¹³⁹ Powiem tedy razem z Sokratesem (...) — Marmontel, *Opowiadka moralna o Alcybiadesie*.

Wedle opowiadań tej dziewczyny, pani jej miała być dość spokojna aż do godziny jedenastej wieczór. Wówczas oznajmiła, iż chce się położyć: ale zanim ją rozebrano, zaczęła przechadzać się po pokoju, zdradzając wielkie podniecenie. Julia, która była świadkiem tego, co się działo w ciągu dnia, nie śmiała jej nic powiedzieć i czekała w milczeniu blisko przez godzinę. Wreszcie pani de Tourvel zawołała na nią dwukrotnie, raz po raz: zaledwie miała czas nadbiegnąć, pani upadła w jej ramiona, mówiąc: „Już nie mogę”. Pozwoliła się zaprowadzić do łóżka, ale nie chciała nic przyjąć ani też nie pozwoliła wzywać jakiej bądź pomocy.

Nazajutrz zaniepokojona przeorysza kazała posłać po mnie o godzinie siódmej rano... Jeszcze było ciemno. Przybiegłam bezzwłocznie. Kiedy mnie oznajmiono, pani de Tourvel na chwilę jak gdyby odzyskała przytomność i rzekła: „Ach, dobrze, niech wejdzie”. Kiedy się zbliżyłam, uściśnęła mnie żywo za rękę i rzekła: „Umieram, iżem ci nie uwierzyła”. Wkrótce później straciła na nowo przytomność.

Te słowa zwrócone do mnie i parę wyrazów, jakie wymknęły się w jej majaczeniach, budzą we mnie obawę, że ta straszna choroba ma może za źródło przyczyny jeszcze straszliwsze. Ale uszanujmy tajemnicę naszej przyjaciółki i poprzestańmy na ubolewaniu nad jej nieszczęściem.

Cały wczorajszy dzień był również niespokojny: po napadach następowały chwile letargicznej obojętności, jedyne, w których ona sama i jej otoczenie zażywa nieco spoczynku.

Żegnam cię, czcigodna przyjaciółko, spieszę do chorej. Córką moją, która na szczęście ma się już prawie dobrze, załącza dla pani wyrazy uszanowania.

Paryż, 29 listopada 17**

LIST CXLVIII

Kawaler Danceny do markizy de Merteuil

O ty jedyna! Ty ubóstwiana! Ty, która pierwsza dałaś mi poznać szczęście! Która upoiłaś mnie nim do niepamięci! Czuła przyjaciółko, kochanko tkliwa, czemuż wspomnienie twej boleści musi zamącać ten czar, jakiego doznaję? Ach, pani, uspokój się, przyjaźń błaga cię o to. O moja przyjaciółko! Bądź szczęśliwa, oto prośba miłości.

I cóż ty możesz sobie wyrzucać? Wierzaj mi, skrupuły prowadzą cię zbyt daleko. Twoja zgryzota, twoje żale do mnie, zarówno są bezpodstawne; czuję w sercu, że jedynym naszym uwodzicielem była miłość. Nie lękaj się więc dłużej oddać się uczuciu, jakie budzisz, pozwól się ogarnąć ogniom zrodzonym przez ciebie! Jak to, czyż dlatego, iż poznały całą prawdę zbyt późno, nasze serca miałyby przez to być mniej czyste? Przecież! Przeciwnie, jedynie sztuka uwodzenia, działając zawsze z rozmysłem, zdolna jest opanować swoje postępy i środki i przewidywać z góry bieg wydarzeń. Ale miłość prawdziwa nie pozwala namyślać się i obliczać: najsilniej działa wówczas, kiedy zjawia się bez naszej świadomości: w cieniu milczenia oplata nas więzami, których zarówno jest nam niepodobna się ustrzec, jak je zerwać.

Tak i wczoraj jeszcze, mimo żywego wzruszenia, jakie sprawiała mi myśl o twoim powrocie, mimo radości, jakiej doznałem widząc ciebie, mniemałem mimo to, iż woła mnie i prowadzi jedynie spokojna przyjaźń: lub raczej, całkowicie oddany słodkim drganiom serca, zbyt mało zastanawiałam się nad ich źródłem. Tak samo jak ja, i ty, droga przyjaciółko, nieświadomie jeno odczuwałaś ten czar nieprzeparty; oboje poznaliśmy miłość, dopiero budząc się z upojenia, w jakim nas pogrążyła.

Ale to właśnie nas usprawiedliwia, a nie potępia. Nie, ty nie zdradziłaś przyjaźni, ani ja również nie nadużyłem twego zaufania. Nie znaliśmy naszych uczuć; bez woli i bez winy padliśmy ofiarą naszego złudzenia. Ach, nie skarżmy się na nie, myślimy jedynie o szczęściu, jakie nam ono zesłało. O ty, ukochana moja! Jakże nadzieja ta drogą jest memu sercu! Tak, odtąd, wolna od wszelkiej obawy, cała oddana miłości, będziesz podzielać moje pragnienia, moje zapęły, szaleństwa moich zmysłów, upojenia mej duszy; i każda chwila naszych szczęśnych dni będzie się znaczyła nową rozkoszą.

Do widzenia, ty ubóstwiana. Zobaczę cię dziś wieczór, ale czy zastanę cię samą? Nie śmiem marzyć o tym. Och, ty pewno nie pragniesz tego tak bardzo jak ja.

Paryż, 1 grudnia 17**

LIST CXLIX

Pani de Volanges do pani de Rosemonde

Spodziewałam się wczoraj przez cały dzień, czcigodna przyjaciółko, iż będę mogła udzielić ci dziś rano pomyślniejszych nowin: ale od wieczora nadzieja ta prysła. Wypadek, obojętny na pozór, lecz bardzo smutny w następstwach, uczynił stan chorej co najmniej równie rozpaczliwym jak poprzednio, jeżeli go nawet nie pogorszył.

Nie byłabym nic zrozumiała z tego nagłego przewrotu, gdybym nie była wysłuchiwała wczoraj zwierzeń naszej nieszczęśliwej przyjaciółki. Ponieważ nie ukrywała przede mną, że ty, pani, również jesteś powiadomiona o wszystkich jej niedolach, mogę przeto mówić bez zastrzeżeń.

Wczoraj rano, kiedy przybyłam do klasztoru, powiedziano mi, że chora śpi przeszło od trzech godzin; sen jej był tak spokojny i głęboki, że obawiałam się przez chwilę, czy to nie jest rodzaj letargu. W jakiś czas później obudziła się i sama rozsunęła zasłony łóżka. Spojrzała po nas wszystkich z wyrazem zdumienia, że zaś ja podniosłam się, aby podejść ku niej, poznała mnie, nazwała po imieniu i prosiła, abym się zbliżyła. Nie zostawiła mi czasu na żadne pytania i zapytała sama, gdzie jest, co my tu robimy, czy była chora i czemu nie jest u siebie.

Pozostała w ten sposób około pół godziny, w czasie której przemówiła tylko, aby mi podziękować. Następnie zachowała dość długo zupełne milczenie, które przerwała jedynie, aby powiedzieć: „Ach, tak, przypominam sobie, że przybyłam tutaj”. I w chwilę potem wykrzyknęła boleśnie: „Ach, moja przyjaciółko, znowu wracają moje cierpienia”. Ponieważ właśnie zbliżyłam się ku niej, pochwyciła mnie za rękę i przyciskając do niej czoło, mówiła dalej: „Wielki Boże, czyliż nie pozwolisz mi umrzeć”. Jej wyraz bardziej jeszcze niż słowa poruszyły mnie do łez; spostrzegła to po moim głosie i rzekła: „Żałuj mnie! Ach, gdybyś znała...”. A potem, przerywając sobie: „Każ, niech nas zostawią same, powiem ci wszystko”.

Po owej bolesnej rozmowie nastąpił stan znacznego wyczerpania, jednakże aż do godziny piątej nasza przyjaciółka była dosyć spokojna: do tego stopnia, iż wszyscy odzyskałiśmy trochę nadziei. Na nieszczęście przyniesiono list do niej. Skoro go jej doręczono, odpowiedziała zrazu, iż nie życzy sobie przyjąć żadnego listu; na co nikt nie nalegał. Ale od tej chwili zdawała się bardzo niespokojna. Wkrótce potem zapytała, skąd pochodził ten list? Z czyjego zlecenia był posłany? Nikt na to wszystko nie umiał dać odpowiedzi. Potem trwała jakiś czas w milczeniu; następnie zaczęła mówić: ale jej słowa bez związku przekonały nas wkrótce, że stan nieprzytomności znowu powraca.

Skoro uspokoiła się wreszcie, zażądała, aby jej oddano ów list. Zaledwie rzuciła nań oczami, wykrzyknęła: „Od niego! wielki Boże!”, a potem głosem silnym, choć zdławionym: „Zabierzcie go, zabierzcie go”. Kazała natychmiast zasunąć firanki łóżka i zabroniła komukolwiek się przybliżać; ale zmuszone byłyśmy to uczynić, gdyż napady szału pojawiły się znowu silniejsze niż kiedykolwiek, a dołączyły się do nich konwulsje istotnie przerażające. Te objawy nie ustały już cały wieczór, a ranny biuletyn powiadamia mnie, że noc była nie mniej burzliwa. Słowem stan jej, jak obecnie, pozostawia bardzo niewiele nadziei.

Przypuszczam, że ten nieszczęśliwy list jest od pana de Valmont; co ten człowiek może jeszcze śmieć pisać do niej? Wybacz, droga przyjaciółko, powstrzymuję się od wszystkich sądów; ale zbyt boleśnie jest patrzeć, jak nędznie ginie kobieta aż dotąd tak szczęśliwa i tak godna tego szczęścia.

Paryż, 2 grudnia 17**

LIST CL¹⁴⁰

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

¹⁴⁰List CL — w przekładzie Tadeusza „Boy'a” Żeleńskiego, którego wkład, jako tłumacza i popularyzatora w upowszechnienie najcenniejszych dzieł literatury francuskiej w Polsce pozostaje niezwykle cenny, zabrakło listów numerowanych w oryginale CL, CLX i CLXI oraz fragmentów innych listów, a także *Przedmowy redaktora* i *Przypisu nakładcy* kończącego utwór; z tego powodu numeracja różni się od pierwotnej.

Zapewne, markizo, nie uważasz mnie za takiego dudka, aby przypuszczać, że dałem zamydlić sobie oczy co do tego sam na sam, na jakim zastałem cię dziś wieczór i co do *zadziwiającego przypadku*, który sprowadził Danceny'ego do ciebie!

Na nic się nie zdały twoje znamienite talenta w sztuce udawania: jeżeli chciałaś nimi osiągnąć cel, jaki sobie zamierzyłaś, trzeba było przedtem staranniej wyszkolić twego niedoświadczonego kochanka.

Skoro zaczynasz się zajmować wychowaniem, przyzwyczajaj swoich uczniów, aby nie czerwienili się i nie mieszały przy najłżejszym żarcie; aby się nie wypierali tak gwałtownie, potwierdzając tym najdotkliwiej wszelkie podejrzenia. Naucz ich dalej, aby umieli słuchać pochwał oddawanych kochance i nie czuli się obowiązani przyjmować tę grzeczność w swoim imieniu; a jeżeli im pozwolisz patrzeć na siebie w towarzystwie, niechaj umieją przynajmniej wprzód osłaniać to spojrzenie *posiadania*, tak łatwe do odgadnięcia, które miesza się tak niezręcznie ze spojrzeniem miłości. Wówczas będziesz mogła ich przedstawiać na swoich popisach publicznych bez obawy, aby ich zachowanie przyniosło ujmę doświadczonej nauczycielce; a ja sam, szczęśliwy, iż mogę przyczynić się do twego rozgłosu, przyrzekam ci sporządzić i ogłosić prospekt tej nowej uczelni.

Na razie jednak muszę ci wyrazić moje zdziwienie, iż to mnie właśnie umyśliłaś sobie traktować jako uczniaka.

Och, z jaką przyjemnością zemściłbym się za to na każdej innej kobiecie! Tak, dla ciebie tylko jednej godzę się przełożyć pojednanie nad odwet; a nie sądzę, że powstrzymuje mnie w tym najmniejsza wątpliwość, najmniejsza niepewność: wiem wszystko.

Jesteś w Paryżu od czterech dni; codziennie widywałaś się z Dancenym i tylko z nim jednym. Dzisiaj nawet drzwi twoje były jeszcze zamknięte; i jeżeli mimo to wszedłem, to jedynie dlatego, iż twojemu szwajcarowi nie stało tej pewności siebie, jaką ty posiadasz. Z tym wszystkim zapewniłaś mnie, iż pierwszy będę powiadomiony o twoim przybyciu: przybyciu, którego dnia nie mogłaś mi jeszcze oznaczyć, podczas gdy pisałaś do mnie w wilię wyjazdu. Czy zaprzeczysz tym faktom, czy spróbujesz się z nich wytłumaczyć? Jedno i drugie jest zarówno niemożliwe; i ja mimo to paktuję z tobą jeszcze? Poznaj w tym swoją władzę: ale wierz mi, poprzestań na tej próbie i nie przeciągaj dłużej struny. Znamy się z sobą markizo, niech ci to słowo wystarczy.

Powiedziałaś mi, że wychodzisz jutro na cały dzień? Doskonale, jeżeli wychodzisz w istocie; domyślasz się, że dowiem się o tym. Ale mam nadzieję, iż wrócisz wieczorem; że zaś pojednanie nasze dość jest trudne, nie będziemy mieli wcale zbyt wiele czasu na nie aż do poranka. Proszę więc o wiadomość i oznaczenie miejsca, gdzie się mogą odbyć nasze liczne i obustronne ekspiacje: u ciebie czy tam, u *nas*? A przede wszystkim koniec z Dancenym. Pomyśl, że od tej chwili to, co było jedynie kaprysem, stałoby się wyraźnym wyróżnieniem go moim kosztem i na moją niekorzyść. Nie czuję najmniejszej chęci znosić to upokorzenie i nie spodziewam się doznać go od ciebie.

Mam nadzieję, iż ofiara nie będzie dla ciebie zbyt ciężką. Ale gdyby cię to nawet miało coś kosztować, zdaje mi się, że ja dałem dosyć piękny przykład? Że uroczą i kochającą kobietą, która istniała jedynie dla mnie, co w tej chwili umiera może z miłości i żalu, warta jest młodego uczniaka, któremu, mogę ci to przyznać, nie zbywa urody i wdzięku, ale który ostatecznie jest jeszcze smarkaczem.

Do widzenia, markizo; nie mówię ci nic o moich uczuciach dla ciebie. Wolę w tej chwili nie zastanawiać się zbyt nad nimi. Czekam twojej odpowiedzi. Pomnij, że im łatwiej ci jest zatrzeć w mej pamięci zniewagę, jaką mi wyrządziłaś, tym bardziej odmowa z twojej strony, prosta odwłoka nawet, wyrwałyby ją w mym sercu niezatartymi głoskami.

Paryż, 3 grudnia 17**

LIST CLI

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Miejże choć trochę względów, wicehrabio, i oszczędzaj nieco więcej lęklivą kobiecie! Zmiażdżyłeś mnie wprost groźbą, iż mogę ściągnąć na siebie twoje oburzenie, a cóż dopiero twoją zemstę! Tym bardziej że, jak wiesz, gdybyś ty dopuścił się względem mnie jakiejś niegodziwości, niepodobieństwem byłoby mi ją odpłacić. Mogłabym co najwyżej rozgłosić to i owo: ale i cóż stąd? Nie naruszyłoby to przecie w niczym ani świetności, ani

bezpieczeństwa twojej egzystencji. W istocie, i czegoż miałbyś się obawiać? Że będziesz zmuszony wyjechać, o ile zostawią ci czas na to? Ale czyż nie można żyć za granicą tak samo jak tutaj? Wszystko razem wzięwszy, byleby dwór francuski pozostawił cię w spokoju na tym dworze, przy którym byś się umieścił, byłoby to jedynie dla ciebie zmianą pola twoich tryumfów. Po tej próbie przywrócenia ci zimnej krwi niniejszymi paroma uwagami, powracam do naszej sprawy.

Czy wiesz, wicehrabio, dlaczego ja nigdy nie chciałam wyjść powtórnie za męża? Z pewnością nie dla braku korzystnych partii; jedynie aby nikt nie miał prawa wtrącać się do moich czynności. Nawet nie z obawy o moją swobodę, bo tę zawsze umiałabym sobie wywalczyć: ot, po prostu, chciałam oszukiwać jedynie dla przyjemności, a nie z musu. I oto ty mi piszesz list najbardziej *mężowski*, jaki można sobie wyobrazić. Prawisz mi o moich winach i twoim przebaczeniu! W jakiż sposób można uchybić temu, komu się nie jest nic winnym? Tego doprawdy nie umiem pojąć!

I o cóż idzie wreszcie? Zastałeś u mnie Danceny'ego i to ci się nie podobało? Doskonale! Ale cóż z tego za wnioski mogłeś wyciągnąć? Albo że to jest wynik przypadku, jak ci to mówiłam, albo też mojej woli, jak ci tego nie mówiłam. W razie pierwszej ewentualności list twój jest niesprawiedliwy; w razie drugiej śmieszny; warto było pisać doprawdy! Ale ty jesteś zazdrosny, a zazdrość nie rozumuje. Dobrze więc! Spróbuję rozumować za ciebie.

Albo tedy masz rywala, albo nie. Jeżeli go masz, trzeba zyskać moje względy, aby go zwyciężyć, jeżeli nie masz, trzeba również zyskać moje względy, aby się go ustrzec na przyszłość. Tak czy tak, droga zawsze jedna: zatem po cóż się dręczyć: i po cóż zwłaszcza mnie dręczyć! Czy już nie umiesz być miłszym? Czy nie jesteś już pewnym swej siły? Ależ, wicehrabio, niesprawiedliwy jesteś względem samego siebie. Ale nie, to nie to: rzecz cała w tym, że ja w twoich oczach nie jestem warta, abyś zadawał sobie tyle trudu. Nie tyle pragniesz moich uczuć, ile chciałbyś nadużywać swej władzy nade mną. Niewdzięcznik z ciebie, doprawdy. Otóż i wpadłam w ton sentymentalny! Gdybym poszła jeszcze trochę dalej, skończyłoby się na czułości: ale nie, nie zasługujesz na to.

Nie zasługujesz również, abym się miała usprawiedliwiać. Aby cię ukarać za twoje posądzenia, zostawię cię przy nich: ani o tym, kiedy wróciłam, ani o motywie odwiedzin Danceny'ego nie powiem ani słowa. Zadałeś sobie niemało trudu, aby się wywieść o wszystkim, nieprawdaż? No i cóż, dużoś na tym zyskał? Cieszę się, jeżeli znalazłeś w tym wiele przyjemności; moich nie zamąciłeś w niczym, to pewna.

Na twój list z pogroźkami mogę zatem odpowiedzieć tyle, że ani mnie nie ujął dla ciebie, ani nie przeraził, i że na razie czuję się niezmiernie odległą od tego, aby zaspokoić twoje pretensje.

Istotnie, przyjąć cię takim, jakim okazujesz się dzisiaj, to znaczyłoby dopuścić się względem ciebie prawdziwej niewierności. To by nie znaczyło powrócić do dawnego kochanka: to byłoby wziąć nowego, który ani w przybliżeniu nie może iść w porównanie z tamtym. Nie zapomniałam jeszcze na tyle o dawnym Valmoncie, aby móc go zdradzić w ten sposób. Valmont, którego kochałam, był pełen uroku; chętnie przyznaję nawet, iż w ogóle nie spotkałam miłszego odeń człowieka. Ach, proszę cię, wicehrabio, jeżeli go odnajdziesz, przyprowadź go do mnie; ten zawsze się spotka z najlepszym przyjęciem.

Upprzedź go jednak, że w żadnym wypadku nie mogłoby to być ani dziś, ani jutro. Jego sobowtór zaskodził mu nieco w moich oczach: potrzeba mi czasu, aby ochłonąć z przykrego wrażenia; albo też może przyrzekłam Danceny'emu oba te dni? A twój list nauczył mnie, że ty nie żartujesz, skoro się uchybi słowu. Widzisz zatem, że trzeba czekać.

Ależ cóż ci to szkodzi? Wszakże tak łatwo możesz się zemścić nad rywalem. Nie uczyni twojej kochance nic gorszego niż ty jego własnej: a wreszcie, czyż jedna kobieta nie warta jest drugiej? To są twoje zasady. Tę nawet, która byłaby *kochająca i tkliwa*, która by *istniała jedynie dla ciebie, umierała z miłości i żalu*, i tę byś poświęcił dla kaprysu, dla obawy prostego żarciku; i ty chcesz, aby sobie robić z tobą ceremonie? Och, to by było niesprawiedliwie.

Do widzenia, wicehrabio; wracaj zatem i wracaj miły, jak dawniej. Wierz mi, ja niczego nie pragnę więcej, jak dopatrzyć się w tobie wszelkich uroków: z chwilą gdy to nastąpi, zobowiązuję się donieść ci o tym. Doprawdy, jestem za dobra.

Paryż, 4 grudnia 17**

LIST CLII

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Odpowiadam natychmiast na list i postaram się być jasnym, co nie jest łatwym z panią, z chwilą gdy raz postanowiłaś sobie czegoś nie rozumieć.

Nie potrzeba długich rozpraw na to, aby stwierdzić, że wobec tego, iż każde z nas posiada w ręku wszelkie środki zgubienia drugiego, mamy w tym równy interes, aby się oszczędzać nawzajem. Toteż nie o to chodzi. Ale pomiędzy dwiema ostatecznościami jest jeszcze tysiąc innych: nie widzę zatem nic śmiesznego w tym, co ci powiedziałem i co ci jeszcze powtórzę, że jeszcze dzisiejszego dnia albo zostanę twoim kochankiem, albo twoim wrogiem.

Czuję doskonale, że taki wybór jest ci nie na rękę; że o wiele wolałabyś kręcić; wiem, że nigdy nie lubiłaś być postawiona w ten sposób pomiędzy *tak* a *nie*: ale ty musisz czuć nawzajem, że ja z mojej strony nie łatwo się godzę być wystrychniętym na dudka. Chętnie gotów jestem dać dobry przykład i oświadczam z przyjemnością, że wolę zgodę i pokój: ale jeżeli trzeba będzie je naruszyć, sądzę, że mam po temu prawo i środki.

Dodam więc, że najmniejszą trudność, z jaką spotkam się z twojej strony, wezmę wprost za wypowiedzenie wojny: wszystkie piękne frazesy są zbyt ciche; dwa słowa wystarczą.

Paryż, 4 grudnia 17**

(odpowiedź markizy de Merteuil skreślona u dołu tegoż listu)

A zatem, wojna!

LIST CLIII

Pani de Volanges do pani de Rosemonde

Biuletyny powiadają cię lepiej, niż ja bym to mogła uczynić, droga przyjaciółko, o smutnym stanie chorej. Pochłonięta całą pielęgnacją jej, nie odrywałam się od tego obowiązku nawet dla pisania do ciebie, gdyby nie wydarzenie zaiste najmniej spodziewane. Oto dostałam list od pana de Valmont; podobало mu się obrać mnie za swoją powiernicę, a nawet pośredniczkę u pani de Tourvel, dla której dołączył również list przesłany mi razem z moim. Odesłałam mu go z powrotem, wraz z moją odpowiedzią. Posyłam pani list pisany do mnie; mniemam, iż osądzisz tak jak ja, że nie mogłam ani też nie powinna byłam uczynić tego, o co mnie prosi. Gdybym zresztą nawet chciała, nasza nieszczęśliwa przyjaciółka nie byłaby zdolna mnie zrozumieć. Bezprzytomność, majaczenie trwają ciągle. Ale co pani powie o tej rozpacz pan de Valmont? Czy tym razem jest szczerzy, czy też pragnie oszukać świat aż do końca¹⁴¹? Jeżeli rozpacz jego nie jest udana, może sobie powiedzieć, iż sam jest sprawcą swego nieszczęścia. Nie sądzę, aby był zbyt zadowolony z mojej odpowiedzi: ale wyznaję, iż wszystko, co mi jest wiadome o tej nieszczęsnej przygodzie, oburza mię coraz więcej przeciwko jej sprawie.

Zegnam cię, droga przyjaciółko: wracam do moich smutnych zadań, tym smutniejszych, iż pozbawionych jakiegokolwiek nadziei. Znasz pani uczucia, z jakimi pozostaję dla ciebie.

Paryż, 5 grudnia 17**

LIST CLIV

Wicehrabia de Valmont do kawalera Danceny

Zachodziłem dwa razy do ciebie, drogi kawalerze: ale odkąd porzuciłeś rolę kochanka dla roli zdobywcy serc, rozumie się samo przez się, iż stałeś się niewidzialnym. Twój sługa zapewniał mnie, że wrócisz do domu przed wieczorem: ale ja, który powiadomiony jestem o twoich zamiarach, odgadłem łatwo, iż wpadniesz jedynie na chwilę, aby przywdziać strój odpowiedni do sytuacji i natychmiast pogonisz na pole chwały i zwycięstw. Ślicznie to z twojej strony; mogę ci tylko przyklasnąć; ale może na dzisiaj wieczór zmienisz kierunek twojej tryumfalnej pogoni. Znasz jedynie bardzo połowicznie swoje własne sprawy; trzeba cię obznajmić z nimi nieco wszechstronnie, a potem sam rozstrzygniesz.

¹⁴¹jest szczerzy, czy też pragnie oszukać świat aż do końca — ponieważ dalszy ciąg niniejszej korespondencji nie rozwiązuje tej wątpliwości, uważano za stosowne pominąć list p. de Valmont. [przypis autorski]

Masz schadzkę na dzisiejszą noc, nieprawdaż? Z kobietą uroczą, którą ubóstwiasz? Ach, bo którejż kobiety nie ubóstwia się w twoim wieku, przynajmniej przez pierwszy tydzień! Wszystko ułożone; jesteś oczekiwany w małym domku *urządzonym wyłącznie dla ciebie* i liczysz minuty dzielące cię od chwili, w której tam pospieszysz. To wiemy obaj, jakkolwiek nie powiedziałeś mi ani słowa. A teraz oto czego nie wiesz i co trzeba, abym ci powiedział.

Od czasu powrotu do Paryża pracowałem nad sposobami zbliżenia cię do panny de Volanges: przyrzekłem ci to wszakże. Jeszcze ostatni raz, kiedy o tym z tobą mówiłem, mogłem sądzić z twoich uniesień, że czyniąc to, pracuję dla twego szczęścia. Nie mogłem sam doprowadzić do skutku tego trudnego przedsięwzięcia, ale przygotowałem teren, resztę powierzyłem gorliwości twojej ukochanej. Miłość natchnęła ją pomysłowością, której nie stało memu doświadczeniu; jakoż powiedziała mi dziś wieczorem, iż od dwóch dni wszystkie przeszkody znikły i szczęście twoje zależy jedynie od ciebie.

Od dwóch dni pieściła się myślą, iż sama będzie ci mogła oznajmić tę nowinę; byłaby cię przyjęła w nieobecności mamy: ale ty się nie pokazałeś! Nie taję ci, iż młoda osóbką wydała mi się nieco dotknięta tym brakiem zapалу z twojej strony. Wreszcie znalazła sposób porozumienia się ze mną i kazała mi przyrzec, iż oddam ci jak najspieszniej list, który oto dołączam. Założyłbym się, że chodzi tu o schadzkę na dzisiejszy wieczór: w każdym razie przyrzekłem na honor i przyjaźń, że otrzymasz czułą przesyłkę w ciągu dzisiejszego dnia, i nie mogę ani nie chcę uchybić memu słowu.

A teraz, młody człowieku, jakąż część wybierzesz? Stojąc na rozdrożu pomiędzy miłością a miłością, pomiędzy przyjemnością a szczęściem, jakiż uczynisz wybór? Gdybym mówił do Danceney'ego sprzed trzech miesięcy, a nawet sprzed tygodnia, byłbym zarówno pewny jego serca jak postępów, ale Danceney dzisiejszy, rozrywany przez kobiety, goniący za przygodami i który się stał, jak zwyczajnie się dzieje, po trosze łotrzykiem, czy będzie umiał przełożyć młodą dziewczynę bardzo nieśmiałą, której wdzięk stanowi jedynie jej piękność, niewinność i miłość, nad powaby dojrzałej i wytrawnej kobiety? Co do mnie, drogi przyjacielu, zdaje mi się, że nawet wedle twoich nowych zasad, które, wyznaję, i ja po trosze podzielam, w tych okolicznościach skłoniłbym się jednak ku młodej kochance. Przede wszystkim będzie to jedna więcej; przy tym, gdy chodzi o pierwszy krok, niełatwo jest odzyskać sposobność, gdy ją się raz utraci. Tonąca cnota czepia się niekiedy gałęzi, a skoro raz się ocali, ma się już na baczności i nierychło daje się podejść.

Przeciwnie, z drugiej strony na cóż się narażasz? Nawet nie na zerwanie; co najwyżej na poróżnienie, któremu będziesz zawdzięczał nowe rozkosze pojednania. Jakaż inna droga pozostaje kobiecie, która się już oddała, jak droga pobażania? Cóż zyskałaby na uporze? Utratę przyjemności bez zysku dla dobrej sławy.

Jeżeli, jak to przypuszczam, pospieszysz drogą miłości, która wydaje mi się zarazem drogą rozsądku, sądzę, że przezorniej będzie nie odwoływać dzisiejszej schadzki; pozwól po prostu czekać na siebie: gdybyś spróbował podać jakąś przyczynę, bardzo możliwe, iż starano by się ją sprawdzić. Jutro możesz obmyślić jakąś niezwalczoną przeszkodę, która cię rzekomo zatrzymała; mogłeś na przykład zaśląbnąć albo coś innego w tym rodzaju; wyrazisz ubolewanie i wszystko się naprawi.

Jakkolwiek zresztą wypadnie twoje postanowienie, proszę cię jedynie, abyś mnie uwiadomił o nim; że zaś mnie to nie dotyczy, tak czy tak będę uważał, iż dobrze uczyniłeś. Do widzenia, drogi przyjacielu.

Powiem ci jeszcze tylko, iż żaluję pani de Tourvel, rozłączenie z nią doprowadza mnie do rozpacz i połowę życia opłaciłbym szczęście poświęcenia jej drugiej połowy. Ach, wierzaj mi, nie masz na świecie nic nad miłość!

Paryż, 5 grudnia 17**

LIST CLV

Cecylia Volanges do kawalera Danceney
(dołączony do poprzedzającego)

Czym się to dzieje, drogi przyjacielu, że tak rzadko cię widuję, mimo iż pragnę tego zawsze? Czyżbyś ty nie miał już na to takiej ochoty jak ja? Ach, teraz dopiero naprawdę

czuję się smutna!... Bardziej smutna niż wtedy, kiedy byliśmy całkiem rozłączeni. Przedtem zgryzoty moje pochodziły od innych; teraz od ciebie: a to o wiele bardziej boli.

Od kilku dni mamy prawie zupełnie nie ma w domu, wszak wiesz o tym; miałam nadzieję, że spróbujesz skorzystać z tych chwil większej swobody: ale ty ani się zatroszczysz o mnie: bardzo jestem nieszczęśliwa! Tyle razy mi mówiłeś, że to ja z nas dwojga mniej kocham! Ja wiedziałam, że jest przeciwnie, i oto mamy dowody. Wart byś był, abym ci nic nie powiedziała, com zrobiła dla ułatwienia widywania się, a z czym ogromnie dużo miałam kłopotu; ale zanadto pana kocham i zanadto mam ochotę go widzieć, abym mogła to zataić; a przy tym chcę się przekonać, czy pan mnie kocha naprawdę!

Zatem dokazałam tego, że odźwierny trzyma z nami: przyrzekł mi, że ile razy pan przyjdzie, pozwoli panu wejść, udając, że pana nie widzi. Możemy zupełnie mu zaufać; to bardzo pocziwy człowiek. Chodzi więc tylko o to, aby pana nikt nie spostrzegł w domu; a to bardzo łatwo, jeżeli pan przyjdzie dopiero późno wieczór. Panna służąca przyrzekła mi, że się nie obudzi; to także bardzo pocziwa dziewczyna! A teraz zobaczmy, czy pan przyjdzie.

Mój Boże, czemu mi serce bije tak mocno, gdy piszę do pana? Czy to znaczy jakie nieszczęście, czy też tak z nadziei zobaczenia ciebie? Wiem tylko, że jeszcze nigdy pana tak nie kochałam ani nie miałam takiej ochoty, żeby to panu powiedzieć. Niech pan przyjdzie, mój złoty, mój najdroższy panie: niech mogę ci powtórzyć sto razy, że cię kocham, że cię ubóstwiam, że nie będę nigdy kochała nikogo prócz ciebie.

Przyjdź, jeżeli nie chcesz, aby *twoja Cesia* była bardzo nieszczęśliwa.

Do widzenia, najdroższy, ściskam cię z całego serca.

Paryż, 4 grudnia 17**

LIST CLVI

Kawaler Danceny do wicehrabiego de Valmont

Nie wątp, drogi wicehrabio, ani o moim sercu, ani o moich postanowieniach: jakżeżbym się zdołał oprzeć życzeniom Cecylii? Ach tak, czuję, że ją jedną kocham, ją jedną kochać będę zawsze! Jej prostota, jej tkliwość, mają dla mnie urok, któremu mogłem sprzeniewierzyć się na chwilę, lecz którego nic nie zatrze w mej pamięci. Zapłątany, mogę powiedzieć, niemal bezwiednie w inną przygodę, nieraz nawet wśród najsłodszych uciech dręczyłem się wspomnieniem Cecylii; może nigdy serce moje nie wspominało jej tak tklivé i szczerze, jak właśnie w chwili, gdy byłem jej niewiernym. Mimo to, drogi przyjacielu, oszczędzajmy jej wrażliwość, niech nie wie nic o moich winach: nie, aby ją oszukiwać, ale aby jej nie martwić. Szczęście Cecylii jest najgorętszym pragnieniem mej duszy: nigdy nie przebaczyłbym sobie błędu, który by ją kosztował bodaj jedną łzę.

Zasłużyłem, czuję to, na przycinki, jakimi mnie smagasz, mówiąc o moich *nowych zasadach*: ale możesz mi wierzyć, że nie one w tej chwili kierują moim postąpieniem i że nie dalej jak jutro gotów jestem to udowodnić. Pójdę oskarżyć się przed istotą, która stała się przyczyną mego zbłąkania i sama je podzieliła; powiem jej: „Czytaj w mym sercu: od-dycha dla ciebie najtkliwszą przyjaźnią; przyjaźń złączona z pożądaniem tak podobna jest do miłości!... Obojeśmy ulegli pomyłce; ale jeżeli byłem zdolny do popełnienia błędu, nie jestem zdolny do złej wiary”. Znam moją przyjaciółkę: jest zarówno zacna, jak rozumna; nie tylko mi przebaczy, ale uczyni więcej: pochwali moje postąpienie. Ona sama czyniła sobie nieraz wyrzuty, iż zdradziła przyjaźń; często skrupuły jej brały niemal górę nad miłością, ona wzmocni w mej duszy ten zbawienny głos sumienia, który ja starałem się lekko myślą przygłuszyć w jej sercu. Jej będę zawdzięczał, iż stanę się lepszym, tak jak tobie, iż będę szczęśliwym. O, przyjaciele moi, przyjmijcie moją wdzięczność! Myśl, iż wam zawdzięczać będę moje szczęście, powiększa jego cenę.

Do widzenia, wicehrabio. Mimo wybuchu mej radości myślę o twoich zgryzotach i biorę w nich najżywszy udział. Czemuż nie mogę ci być użytecznym! Pani de Tourvel pozostaje zatem nieubłagana? Mówiono mi również, że jest bardzo chora. Mój Boże, jakże mi ciebie żal!

Chciałbym móc dłużej rozmawiać z tobą; ale czas nagli: może Cecylia mnie już oczekuje.

Paryż, 5 grudnia 17**

LIST CLVII

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

(rano, po przebudzeniu się)

I cóż, markizo, jakże się czujesz po rozkoszach ubiegłej nocy? Czy nie jesteś nieco zmęczona? Przyznaj, że Danceney jest zachwycający! Cudów, doprawdy, dokazuje ten chłopak! Nie spodziewałaś się tego po nim, nieprawdaż? Szczerze uderzam się w pierś; taki rywal zasługiwał, aby mnie dla niego poświęcić. W istocie, pełen jest cennych przymiotów! Ale zwłaszcza co za miłość, co za stałość, jaka delikatność! Ach, jeżeli kiedykolwiek zdoła pokochać cię tak jak swoją Cecylię, nie będziesz miała przyczyny obawiać się rywalek. Dowiódł ci tego ubiegłej nocy. Może przy pomocy wyrafinowanej zalotności inna kobieta potrafi ci go odebrać na chwilę; młodemu chłopcu trudno jest zostać nieczułym na zbyt czynne dowody sympatii; ale jedno słowo ukochanej istoty wystarczy, jak widzisz, aby rozproszyć złudzenie; toteż trzeba ci się jedynie postarać, aby zostać tą ukochaną istotą, a będziesz zupełnie szczęśliwą.

Z pewnością ty, markizo, nie omylisz się co do tego; zanadto wiele masz znajomości przedmiotu, aby się można było o to obawiać. Mimo to przyjaźń, jaka nas łączy, równie szczerą z mojej strony, jak dobrze odwzajemniana z twojej, obudziła we mnie chęć uczynienia w twoim interesie dzisiejszej nocy tej małej próby. Tak; jest to dzieło mojej gorliwości; powiodło się najzupełniej; ale, proszę, żadnych podziękowań; nie warto mówić o tym; nie było nic łatwiejszego pod słońcem. Ot, po prostu, zgodziłem się podzielić z młodym człowiekiem względy jego kochanki: ostatecznie, on miał do nich tyleż praw co ja; a mnie zależało na tym tak niewiele! Sam dyktowałem list, który młoda osoba napisała; ale to jedynie, aby zyskać nieco czasu: mieliśmy nań o tyle lepszy użytek! Dołączyłem do tego listu kilka słów od siebie; och, prawie bez znaczenia; parę przyjacielskich uwag, aby pokierować decyzją nowego kochanka; ale, doprawdy, były zupełnie zbyteczne: trzeba mu przyznać, iż nie wahał się ani przez chwilę.

Zresztą on sam, w całej niewinności, wybiera się dziś do ciebie, aby wyznać wszystko; z pewnością ta opowieść sprawi ci wielką przyjemność: powie ci: *czytaj w moim sercu*; czyż to nie oplaca wszystkiego? Mam nadzieję, że czytając w nim to, czego on pragnie, wyczytasz tam również, że kochankowie tak młodzi mają swoje niebezpieczeństwa; i jeszcze to, że lepiej jest mnie mieć za przyjaciela niż za wroga.

Do widzenia, markizo, aż do najbliższej sposobności.

Paryż, 6 grudnia 17**

LIST CLVIII

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

(bilecik)

Nie lubię, gdy ktoś dołącza liche żarty do szpetnych postępów: nie leży to ani w moim zwyczaju, ani w moim smaku. Kiedy mam do kogoś urazę, nie szydę zęń; robię lepiej: mszczę się. Mimo całego zadowolenia, w jakim się zdajesz tonąć w tej chwili, nie zapominać, że nie pierwszy raz oklaskujesz się zawczasu, i to sam jeden, w nadziei tryumfu, który wymyka ci się z rąk w chwili, gdy się nim już szczycisz. Do widzenia.

Paryż, 6 grudnia 17**

LIST CLIX

Kawaler Danceney do wicehrabiego de Valmont

Jestem powiadomiony, wicehrabio, o pańskim postępowaniu względem mnie. Nie poprzestając na tym, iż oszukałeś i zdrwiłeś ze mnie niegodnie, chelpisz się jeszcze i czujesz się z tego dumnym. Widziałem dowód twojej zdrady, kreślony własną ręką. Wyznaję, iż serce moje zakrwawiło się i że doznałem niejakiego wstydu, iż tak bardzo przyczyniłem się sam do wstrętnego nadużycia, jakiego dopuściłeś się na mojej ufności. Mimo to nie zazdroszczę ci tej haniebnej przewagi: jestem jedynie ciekawy, czy we wszystkim potrafisz ją uzyskać nade mną. Przekonam się o tym, jeżeli, jak mam nadzieję, zechcesz się znaleźć

jutro pomiędzy ósmą a dziewiątą rano przy bramie lasku Vincennes, we wsi Saint-Mandé. Będę się starał dostarczyć tam wszystkiego, co będzie potrzebne dla wyjaśnień, jakich pozostaje mi od pana zażądać.

Kawaler Danceny

Paryż, 6 grudnia 17**, wieczorem.

LIST CLX

Pan Bertrand do pani de Rosemonde

Z niezmiernym żalem przychodzi mi dopełnić smutnego obowiązku zwiastowania pani nowiny, która cię przyprawi o tak okrutną boleść.

Szanowny siostrzeniec pani... Mój Boże! trzebaż, abym musiał martwić tak czcigodną jak ty, pani, istotę! Szanowny siostrzeniec pani miał nieszczęście polec w pojedynku, jaki stoczył dziś rano z panem kawalerem Danceny. Nie znam zupełnie przyczyny zwady: ale sądząc z biletu, który znalazłem jeszcze w kieszeni pana wicehrabiego i który mam zaszczyt dołączyć, zdaje się, iż nie on był stroną wyzywającą. I trzebaż, aby to jemu właśnie niebo pozwoliło zginąć!

Byłem w mieszkaniu pana wicehrabiego w chwili samej, kiedy go przyniesiono. Niech pani sobie wyobrazi moje przerażenie, gdy ujrzałem siostrzeńca jej dźwiganego przez dwóch ludzi, całego zalanego krwią. Miał dwie rany od pchnięcia szpadą i już był bardzo osłabiony. Pan Danceny był także obecny i nawet płakał. Ach, to pewna, że godzi mu się płakać: ale to nieco za późno wylewać łzy, kiedy się sprawiło nieszczęście bez ratunku!

Co do mnie, nie mogłem zapanować nad moim wzburzeniem: i mimo że jestem tak skromną osobą, wyraziłem, co o tym mniemam. Ale tutaj pan wicehrabia okazał się istotnie wielkim. Kazał mi umilknąć; ujął za rękę człowieka, który był jego mordercą, nazwał go swoim przyjacielem, uściśkał wobec nas wszystkich i rzekł: „Nakazuję wam, abyście mieli dla pana wszystkie względy, jakie należą dzielnemu i szlachetnemu człowiekowi”. Kazał mu jeszcze oddać przy mnie dużą pakę papierów, których zawartości nie znam, ale wiem, iż pan wicehrabia przywiązywał do nich dużą wagę. Następnie zażądał, aby ich zostawiono samych. Wśród tego kazałem natychmiast posłać po wszelką pomoc, tak doczesną jak duchowną; ale niestety zło było już bez ratunku. W niespełną pół godziny potem pan wicehrabia był bez przytomności. Zaledwie udzielono mu ostatniego namaszczenia, wyzionął ducha.

Mój Boże! Kiedy przy urodzeniu obejmowałem w ramiona tę szacowną nadzieję tak znamienitego domu, czyż mogłem być przewidywać, że w moich ramionach wyzionie ducha i że mnie przyjdzie ten zgon opłakiwać? Śmierć tak przedwczesna i tak nieszczęśliwa! Łzy płyną mi z oczu mimo mej woli. Racz mi wybaczyć pani, iż śmiem tak mieszać moją boleść z twoją własną: ale, w jakim bądź stanie, człowiek ma serce i tkliwość; toż byłbym bardzo niewdzięczny, gdybym nie opłakiwał całe życie pana, który okazywał mi tyle dobroci i zaszczycał mnie takim zaufaniem.

Jutro, po wyniesieniu ciała, każę położyć pieczęcie na wszystkim i może pani najzupełniej polegać na mojej wierności. Nie jest pani tajnym, że ten nieszczęśliwy wypadek kładzie koniec pełnomocnictwu i daje zupełną swobodę twoim, pani, rozporządzeniom. Jeżeli mogę być w czymś użytecznym, proszę o łaskawe przesłanie mi rozkazów: dołożę całej gorliwości, aby zostały ściśle wykonane.

Pozostaję z najgłębszym uszanowaniem pani bardzo pokornym etc.

Paryż, 7 grudnia 17**

LIST CLXI

Pani de Rosemonde do pana Bertrand

Otrzymuję twój list w tej chwili, mój drogi Bertrandzie, i dowiaduję się z niego o okropnym wypadku, którego mój siostrzeniec stał się nieszczęśliwą ofiarą. Tak, oczywiście, mam dla ciebie zlecenia i jedynie dla nich mogę się zająć w tej chwili czym innym niż moją śmiertelną boleścią.

Bilet pana Danceny, przysłany mi przez ciebie, jest dowodem bardzo przekonującym, że to on wywołał pojedynek: toteż żądam, abys natychmiast wniósł w tej sprawie

skargę w mym imieniu. Przebacząc nieprzyjacielowi, siostrzeniec mój szedł za popędem wrodzonej szlachetności; ale ja, ja powinnam pomścić jednocześnie jego śmierć, ludzkość i religię. Mamy wszelkie prawo i obowiązek odwołać się do surowości praw przeciwko temu zabytkowi barbarzyństwa, który plugawi jeszcze nasze obyczaje; nie sądzę też, aby przykazanie, które nam zaleca wybaczenie krzywd, mogło się odnosić do tego zdarzenia. Oczekuję tedy, że wdrożysz postępowanie w tej sprawie z całym oddaniem i energią, do jakich wiem, że jesteś zdolny i które winien jesteś pamięci mego siostrzeńca.

Postarasz się przede wszystkim udać się do prezydenta de *** w moim imieniu i naradzisz się z nim w tym przedmiocie. Nie piszę do niego, gdyż pragnę co najspieszej oddać się całej mej boleści. Przeprasz go za to i zaznajomisz z treścią tego listu.

Bywaj zdrow, drogi Bertrandzie; chwałę ci twoje dobre uczucia, dziękuję za nie i jestem oddana ci na całe życie.

Z zamku ***, 8 grudnia 17**

LIST CLXII

Pani de Volanges do pani de Rosemonde

Wiem, że już powiadomiona jesteś, droga i godna przyjaciółko, o stracie, jaką poniosłaś; znałam twoje przywiązanie do pana de Valmont i dzielam bardzo szczerze zgryzotę, jakiej musisz doznawać. Ciężko mi, doprawdy, bardzo, iż muszę przyczyniać nowych żalów do tych, których doświadczasz w tej chwili: ale — niestety — już jedynie lży możesz ofiarować naszej nieszczęśliwej przyjaciółce.

Wiesz, że przeszło od dwóch dni była w stanie zupełnie bezprzytomnym; jeszcze wczoraj rano, kiedy przybył lekarz i kiedy zbliżyliśmy się do jej łóżka, nie poznała jego ani mnie i nie mogliśmy uzyskać od niej ani jednego słowa, ani najlżejszego znaku. I oto zaledwie powróciliśmy ku kominkowi, podczas kiedy lekarz zawiadamiał mnie o smutnym wypadku śmierci pana de Valmont, ta nieszczęsna kobieta odzyskała całą przytomność.

Powtarzające się kilkakrotnie słowo „Valmont” i „śmierć” obudziły jej czujność: odsunęła zasłony łóżka, wołając: „Jak to! co mówicie? Pan de Valmont nie żyje!”. Miałam nadzieję, iż uda mi się wmówić, iż się omyliła i zapewniałam ją zrazu, że źle nas zrozumiała; na próżno. Wymogła na lekarzu, aby powtórzył owo okrutne opowiadanie; a gdy jeszcze próbowałam ją odwieść od tej myśli, przywołała mnie i rzekła po cichu: „Po co mnie oszukiwać? Czyż on nie był już umarły dla mnie?”. Trzeba było zatem ustąpić.

Nasza nieszczęśliwa przyjaciółka słuchała zrazu z twarzą dość spokojną; ale wkrótce przerwała opowiadanie, mówiąc: „Dosyć, mam już dosyć”. Zażądała natychmiast, aby zasunąć firanki, a gdy lekarz chciał następnie zająć się staraniami swojego zawodu, nie pozwoliła bezwarunkowo, aby się do niej przybliżył.

Okolo czwartej przybył ojciec Anzelm i pozostał całą godzinę zamknięty sam z chorą. Skoro wróciliśmy, twarz jej była pełna spokoju i pogody. Reszta dnia spłynęła na wskazanych zwyczajem modłach, przerywanych jedynie częstymi omdleniami chorej. Wreszcie okolo godziny jedenastej wieczór wydało mi się, iż oddycha trudniej i więcej cierpi. Wsunęłam rękę, aby ująć ją za ramię; miała jeszcze na tyle siły, aby wziąć moją rękę i położyć ją na swoim sercu. Nie uczułam już jego uderzeń i w istocie, nieszczęśliwa wyzionęła ducha w tejsze chwili.

Przypominam sobie, droga przyjaciółko, jak w czasie twej ostatniej podróży tutaj niespełna przed rokiem rozmawialiśmy wspólnie o kilku osobach, których szczęście wydawało się nam mniej lub więcej utrwalone. Wspomnialiśmy wówczas z upodobaniem los tej właśnie kobiety, której oplakujemy dziś równocześnie i zgon, i nieszczęścia! Tyle cnót, tyle chwalebnych przymiotów i powabów; usposobienie tak miłe i łatwe; mąż, którego kochała i który ją ubóstwiał; towarzystwo, w którym sobie podobiała, a była jego rozkoszą; uroda, młodość, majątek; tyle najcenniejszych darów zniszczonych oto przez jedną nierozwagę! O Opatrzności! To pewna, iż trzeba uwielbiać twoje wyroki; ale jakżeż one są niezrozumiałe!

Opuszczam cię i spieszę do córki, która jest nieco cierpiąca. Dowiedziawszy się ode mnie dziś rano o śmierci tak niespodzianej dwojga znajomych osób, zasłabła nagle, tak iż kazałam ją położyć do łóżka. Mam nadzieję, że to lekkie niedomaganie nie będzie miało następstw.

Do widzenia, droga i godna przyjaciółko.
Paryż, 9 grudnia 17**

LIST CLXIII

Pan Bertrand do pani Rosemonde

Pani, w następstwie rozkazów, jakie raczyłaś mi wydać, miałem zaszczyt udać się do pana prezydenta de *** i zapoznałem go z treścią pani listu. Zarazem oznajmiłem mu, że stosując się do twoich życzeń, nie uczynię nic bez jego wskazówki. Ten czcigodny dostojnik polecił mi zwrócić pani uwagę, że skarga, jaką masz zamiar wnieść przeciwko kawalerowi Danceny, naraziłaby zarówno pamięć jej szanownego siostrzeńca: dobra sława jego musiałaby być z konieczności dotknięta wyrokiem sądu, co byłoby z pewnością wielkim nieszczęściem. Jego zdanie jest, iż trzeba się wstrzymać od jakichkolwiek kroków; raczej, przeciwnie, dołożyć starań, aby ministerstwo publiczne nie powzięło wiadomości o tej nieszczęśliwej przygodzie, niestety aż nazbyt już głośnej.

Uwagi te wydały mi się pełne roztropności, toteż uznałem za właściwe oczekiwać nowych rozkazów z twojej strony.

Pozostaję z szacunkiem pani najniższym etc.

Paryż, 10 grudnia 17**

LIST CLXIV

Anonim do kawalera Danceny

Panie, mam zaszczyt uprzedzić pana, że w wysokich kołach sądowych dziś rano była mowa o sprawie, jaka zaszła w ostatnich dniach pomiędzy panem a panem wicehrabią de Valmont i należy się obawiać, aby ministerstwo publiczne nie wniosło skargi w tej mierze. Mniemałem, iż to ostrzeżenie może być panu użyteczne, bądź to abyś za pomocą wpływów, jakimi możesz rozporządzać, postarał się uprzedzić te przykre następstwa, bądź też, w razie gdyby się to nie powiodło, abyś mógł pomyśleć zawczasu o swoim bezpieczeństwie osobistym.

Jeżeliby pan pozwolił udzielić sobie rady, sądzę, iż dobrze uczyniłby pan, nie pokazując się przez jakiś czas publicznie. Jakkolwiek zwykle tego rodzaju sprawy spotykają się z pobłażaniem, należy się jednak prawom bodaj ta zewnętrzna oznaka szacunku.

Radzę to tym usilniej, ile że doszło do mojej wiadomości, iż niejaka pani de Rosemonde, krewna pana de Valmont, nosi się z zamiarem wniesienia skargi przeciw panu; wówczas zaś władze publiczne nie mogłyby się uchylić od dochodzeń. Byłoby może wskazanym, aby pan mógł trafić przez kogoś do tej osoby.

Szczególne przyczyny nie pozwalają mi podpisać tego listu. Ale mam nadzieję, że nie wiedząc nawet od kogo pochodzi, potrafisz sprawiedliwie ocenić uczucia, jakie go dyktowały.

Mam zaszczyt etc.

LIST CLXV

Pani de Volanges do pani de Rosemonde

Rozchodzą się tutaj, droga i godna przyjaciółko, nader zadziwiające i bardzo przykre wieści co do osoby pani de Merteuil. Oczywiście, daleka jestem od dawania im wiary i trzymałabym zakład, że są to tylko nikczemne potwarze: ale niestety, dobrze wiem, jak łatwo niegodziwości, nawet najmniej prawdopodobne, znajdują grunt dla siebie i jak trudno przychodzi zatrzeć wrażenie, jakie pozostawiają po sobie. Z tej przyczyny zaniepokojona jestem nieco tymi pogłoskami, mimo iż mniemam, że aż nadto łatwo będzie obrócić je w niwecz. Co do mnie, zaledwie wczoraj, i to bardzo późno, dowiedziałam się o tych okropnościach. Posłałam dziś do pani de Merteuil; oznajmiono mi, iż wyjechała na wieś, gdzie ma przepędzić dwa dni. Nie umiano mi objaśnić, do kogo się udała.

Otóż mam nadzieję, iż pani będzie mogła jeszcze przed jej powrotem udzielić mi wyjaśnień, które mogą być dla pani de Merteuil użyteczne: bowiem te wstrętne historie opierają się na okolicznościach towarzyszących śmierci pana de Valmont. Oto co głoszą, a raczej, ściślej mówiąc, co szepcą dopiero, ale co laza dzień niechybnie wybuchnie.

Mówią tedy, że sprzeczka, jaka zaszła między panem de Valmont a kawalerem Danceny jest dziełem pani de Merteuil, która oszukiwała na równi ich obu; że, jak zdarza się niemal zawsze, dwaj rywale zaczęli od zbrojnego spotkania, a dopiero potem przystąpili do wyjaśnień. Następstwem tych wyjaśnień miało być zupełne i szczere pojednanie; zaś aby kawalerowi Danceny dać poznać w pełnym świetle panią de Merteuil, jak również aby się całkowicie uniewinnić, pan de Valmont dołączył na poparcie swoich słów mnóstwo listów pochodzących z jego stałej z nią korespondencji, a w których to listach markiza opowiada o sobie samej, i to w stylu jak najbardziej swobodnym, skandaliczne wprost anegdoty.

Dodają, że Danceny w pierwszym oburzeniu pokazywał te listy każdemu, kto chciał je oglądać i że obecnie obiegują one cały Paryż. Wymieniają zwłaszcza dwa: jeden, w którym markiza rozwija całkowite dzieje swego życia i zasad, i który ma być szczytem ohydy; drugi, który oczyszcza zupełnie pana de Prévan¹⁴², stanowiąc jawny dowód, iż Prévan uległ jedynie wyraźnym zachętom pani de Merteuil i że bytność jego u niej była umówiona.

Na szczęście posiadam bardzo silne dowody na to, że te pogłoski są jedynie nikczemnym oszczerstwem. Przede wszystkim wiemy dobrze obie, że pan de Valmont z pewnością nie zajmował się panią de Merteuil, a mam wszelki powód mniemać, iż Danceny nie zajmował się nią również, toteż wydaje mi się rzeczą pewną, że nie mogła być ani przedmiotem, ani sprawczynią ich zwady. Tym bardziej nie rozumiem, jaki interes miałyby pani de Merteuil, którą pomawiają o porozumienie z panem de Prévan, w wywoływaniu sceny, która mogła być w każdym razie jedynie niemłą przez swój rozgłos, a mogła stać się bardzo niebezpieczną dla niej, czyniąc nieprzejednanego wroga z człowieka będącego panem jej tajemnicy i liczącego wielu stronników. Zaznaczyć trzeba, że od czasu tej przygody nie podniósł się ani jeden głos na korzyść Prévana i nawet z jego strony nie było żadnego protestu.

Te sposprzeżenia kazałyby mi podejrzewać, iż to on mógłby być twórcą pogłosek, jakie krążą dzisiaj. Byłyby one dziełem nienawiści i zemsty człowieka, który widząc się zgubionym, pragnie może w ten sposób sprowadzić korzystne dla siebie zamieszanie opinii. Ale z jakiegokolwiek strony pochodzą te ohydy, najpilniejszą rzeczą jest je unicestwić. Upadłyby same przez się, gdyby się okazało, jak to jest prawdopodobne, iż panowie de Valmont i Danceny nie mówili z sobą po owym nieszczęśliwym spotkaniu i że wieść o oddaniu jakichś papierów również jest zmyślona.

Wiedzioną chęcią co rychlejszego sprawdzenia tych faktów, posłałam dziś rano do pana Danceny; nie ma go również w Paryżu. Służącemu memu oznajmiono, że wyjechał tej nocy na skutek ostrzeżenia, jakie otrzymał wczoraj. Miejsce jego pobytu jest tajemnicą. Widocznie obawia się następstw zajścia. Jedynie zatem przez ciebie, droga i godna przyjaciółko, spodziewam się uzyskać szczegóły, które mnie obchodzą i które mogą stać się tak potrzebne dla dobra pani de Merteuil. Ponawiam przeto prośbę, abyś mi pani zechciała możliwie najprędzej przesłać dotyczące wiadomości.

PS Zasląbnienie mojej córki nie miało żadnych następstw: załącza dla pani wyrazy poważania.

Paryż, 11 grudnia 17**

LIST CLXVI

Kawaler Danceny do pani de Rosemonde

Pani, może krok, na jaki odważam się dzisiaj, wyda ci się dziwny, ale błagam panią, wysłuchaj mnie, zanim osądzisz i nie dopatruj się zuchwalstwa ani nierozwagi w tym, co wypływa z czci i zaufania. Nie taję przed sobą win, jakie na mnie ciążyą względem pani, i nie przebaczyłbym ich sobie w życiu, gdybym mógł myśleć przez chwilę, iż możebnym mi było ich uniknąć.

Obecnie, kiedy ja oplakuję fatalność, która stała się razem przyczyną twojej boleści i mego nieszczęścia, ludzie usiłują mnie zastraszyć, iż pani, cała oddana uczuciom zemsty, chcesz szukać sposobów zaspokojenia jej nawet w surowości prawa.

¹⁴²zwłaszcza dwa: jeden, w którym markiza rozwija całkowite dzieje swego życia i zasad (...) drugi, który oczyszcza zupełnie pana de Prévan — List LXXXI i LXXXV.

Pozwól mi pani przede wszystkim zauważyć, iż tutaj boleść sprowadza cię na manowce. Dobro moje pod tym względem ściśle jest związane z dobrem pamięci pana de Valmont, który musiałby być nieodzownie objęty wyrokiem uzyskanym przeciwko mnie przez panią. Sądziłbym zatem, pani, iż w staraniach, aby ten nieszczęśliwy wypadek został zagrzebany w niepamięci, powinien bym raczej liczyć z twojej strony na pomoc niż na przeszkodę.

Ale to odwołanie się do współnictwa, dostępne zarówno dla niewinnego, jak i dla zbrodniarza, nie może wystarczyć mojemu sumieniu. Starając się panią oddalić jako stronę, wzywam cię, abyś raczyła być moim sędzią. Zbyt cenną jest rzeczą szacunek osób, które się samemu poważa, abym sobie pozwolił wydrzeć twój, pani, nie usiłując go bronić; a zdaje mi się, że mam środki po temu.

W istocie, jeżeli pani uznaje, że zemsta jest dozwolona, powiedzmy lepiej, że się ją sobie winno, jeżeli się doznało zdrady w miłości, w przyjaźni, a przede wszystkim w zaufaniu; jeżeli pani godzi się na to, wina moja zniknie w twoich oczach. Nie polegaj na moich słowach; czytaj, jeżeli masz odwagę, korespondencję, jaką składam w twoje ręce. Otrzymałem te papiery, tak jak mam zaszczyt je pani przesłać, od samego pana de Valmont. Nic do nich nie dodałem, wyjąłem z nich jedynie dwa listy, które pozwoliłem sobie podać do publicznej wiadomości.

Jeden był potrzebny dla wspólnej zemsty pana de Valmont i mojej: obaj mieliśmy do niej zupełne prawo, a spełnienie jej wyraźnie mi nałożył jako obowiązek przyjaźni. Mniemałem prócz tego, że usługą dla społeczeństwa będzie zdebrać maskę z kobiety tak bardzo niebezpiecznej, jaką jest pani de Merteuil, która, jak pani może się przekonać, jest jedyną prawdziwą przyczyną wszystkiego, co zaszło.

Uczucie sprawiedliwości skłoniło mnie również do ogłoszenia drugiego listu, a to dla oczyszczenia pana de Prévan, którego nie znam prawie, ale który niczym nie zasłużył na dotkliwą karę, jakiej padł ofiarą, ani na strasliwszą jeszcze surowość ludzkiego sądu, pod którym jęczy od tego czasu, nie mogąc nic uczynić dla swego uniewinnienia.

Znajdziesz pani przeto jedynie kopie tych dwu listów, których oryginały uznałem za potrzebne zachować. Co się tyczy reszty, sądzę, iż nie mogę złożyć w pewniejsze ręce tego depozytu.

Pozostaję z najgłębszym szacunkiem i czcią etc.

Paryż, 12 grudnia 17**

LIST CLXVII

Pani de Volanges do pani de Rosemonde

Stąpam, moja droga przyjaciółko, z niespodzianki w niespodziankę i ze zmartwienia w zmartwienie. Trzeba być matką, aby mieć pojęcie, co wycierpiałam wczoraj przez całe rano: a jeżeli moje najokrutniejsze niepokoje uśmierzyły się później, pozostaje mi zawsze jeszcze dość przyczyn do zgryzoty.

Wczoraj, około dziesiątej rano, zdziwiona, iż córka nie zjawia się u mnie, posłałam garderobianą, aby się dowiedziała, co może być przyczyną tego opóźnienia. Wróciła w chwilę potem bardzo przerażona i przerażała mnie jeszcze więcej, oznajmiając, iż córki nie ma w pomieszkaniu; i że już rano panna służąca zauważyła jej nieobecność. Wyobraź sobie, co się ze mną działo! Zwołuję wszystkich ludzi, a zwłaszcza odźwiernego; przysięgają, że nie wiedzą o niczym i że nie mogą mi udzielić żadnych objaśnień w tym przedmiocie. Pospieszyłam natychmiast do pokoju córki. Nieład, jaki tam panował, przekonał mnie, iż widocznie opuściła go dopiero rano: ale zresztą nie znalazłam nic, co by mnie mogło oświecić.

Córka moja dowiedziała się dopiero wczoraj wszystkiego, co mówią o pani de Merteuil, a że bardzo jest do niej przywiązana, płakała bez przerwy przez cały wieczór. Ponieważ przypomniałam sobie, że nic nie wiedziała o jej wyjeździe, pierwszą moją myślą było, że może chciała odwiedzić swą przyjaciółkę i popełniła tę nierozwagę, iż udała się tam sama. Ale czas upływał, a jej nie było z powrotem i wszystkie moje obawy zbudziły się na nowo. W życiu moim tyle nie wycierpiałam.

Wreszcie, i to dopiero po godzinie drugiej, otrzymałam równocześnie list od córki i drugi od przełożonej klasztoru ***. List córki donosił tylko, iż obawiała się, abym się nie

sprzeciwiła jej powołaniu do życia zakonnego i nie śmiała mi o tym mówić: przeprasza mnie, iż powzięła bez mojej wiedzy postanowienie, którego — dodaje — nie potępiłabym z pewnością, gdybym знаła jej pobudki; prosi wszelako, abym o nic nie pytała.

Udałam się natychmiast do klasztoru; i pospieszywszy do przełożonej, zażądałam widzenia się z córką; przybyła dopiero po długich wzdarganiach, cała drżąca. Mówiłam z nią wobec zakonnic i mówiłam z nią samą; jedynym wyznaniem, jakie wśród mnóstwa łez mogłam z niej wydobyć, było to, iż szczęśliwą może być tylko w klasztorze. Po namyśle, pozwoliłam jej, aby pozostała, ale nie wchodząc jeszcze w grupę postulantek, jak to było jej życzeniem. Obawiam się, że może śmierć pani de Tourvel i pana de Valmont poruszyły zbyt mocno tę młodą główkę.

Kłopoty moje zdawają jeszcze powrót, bardzo już bliski, pana de Gercourt; czy trzeba zerwać to tak upragnione małżeństwo? Bardzo mnie pani zobowiąże, donosząc mi, co uczyniłabyś na moim miejscu; nie umiem zdobyć się na żadne postanowienie.

Wyrzucam sobie nieustannie, iż pomnażam twe zgryzoty, mówiąc ci o własnych strapieniach; ale znam twoje serce, wiem, że pociecha udzielona innym jest dla ciebie największą osłodą.

Zegnam cię, droga i godna przyjaciółko; oczekuję odpowiedzi z całą niecierpliwością.
Paryż, 14 grudnia 17**

LIST CLXVIII

Pani de Rosemonde do kawalera Dancenya

Po tym, co mi pan dał poznać, pozostaje mi jedynie płakać i milczeć. Trzeba żałować, że się żyje jeszcze, kiedy się dowiaduje o podobnych potwornościach; trzeba rumienić się, że się jest kobietą, kiedy się widzi, iż jedna z nich była zdolną do podobnej ohydy.

Godzę się chętnie, o ile to mnie dotyczy, pogrzebać w milczeniu i niepamięci te smutne wypadki. Pragnę gorąco, aby nie sprowadziły na nas żadnych innych zgryzot oprócz tych nieodłącznych od nieszczęsnej przewagi, jaką odniosłeś nad moim siostrzeńcem. Mimo jego win, które zmuszona jestem uznać, czuję, że nie pocieszę się nigdy po jego stracie.

Może pan być pewny, iż wiernie i chętnie przechowam depozyt, jaki zechciałeś mi powierzyć; ale proszę pana o upoważnienie nieoddania go nikomu, nawet panu samemu, chyba że stałby się niezbędnym dla twego usprawiedliwienia.

Nie poprzestaję na tej prośbie, tak przekonana jestem o pańskiej delikatności i szlachetności: byłoby może właściwym, aby pan oddał również w moje ręce listy panny de Volanges, które prawdopodobnie pan zachował, a które z pewnością nie mają już dla niego wartości. Wiem, że ta młoda osoba zawiniła ciężko wobec pana; ale nie sądzę, abyś pan myślał karać ją za to: chociażby przez szacunek dla samego siebie, nie będziesz chciał okrywać hańbą istoty, którą tak kochałeś.

Nabędziesz pan nowych praw do mego szacunku, skłaniając się do zachowania tajemnicy, której rozgłoszenie tobie samemu przyniosłoby ujmę, a byłoby śmiertelnym ciosem dla serca matki, i tak skrzywdzonego przez ciebie. Wyznaję, iż pragnę oddać jej tę usługę; gdybym mogła się obawiać, że pan mi odmówi tej pociechy, prosiłabym, byś pomyślał wprzód, iż to jest jedyna, jaką mi pan pozostawił.

Mam zaszczyt być etc.

Z zamku ***, 15 grudnia 17**

LIST CLXIX

Pani de Rosemonde do pani de Volanges

Gdybym była zmuszona, droga przyjaciółko, wzywać i oczekiwać z Paryża objaśnień, których ode mnie żadasz co do osoby pani de Merteuil, niepodobieństwem byłoby mi udzielić ci ich jeszcze; otrzymałam inne, zgola nieoczekiwane wieści; a w nich mieści się już aż nazbyt wiele pewności, jak bardzo, o moja przyjaciółko, ta kobieta nadużyła twojej wiary.

Nazbyt wielkim wstrętem mnie przejmuje wchodzić w jakiegokolwiek szczegóły tego steku potworności; ale co bądź ludzie o tym mówią, bądź pewna, że to wszystko jest

jeszcze błąd cię istotnej prawdy. Spodziewam się, droga przyjaciółko, iż znasz mnie na tyle, aby mi wierzyć na słowo i nie wymagać żadnego dowodu. Niech ci wystarczy że te dowody istnieją i to liczne, i że posiadam je w rękach.

Wierząc, iż nie bez największej przykrości proszę cię również, abyś nie zmuszała mnie do wyjaśniania pobudek rady, jakiej żądasz ode mnie odnośnie do losu panny de Volanges. Otóż radzę ci, nie sprzeciwiaj się jej pragnieniom. Z pewnością żadna przyczyna nie może uprawniać, aby zmuszać kogoś do obrania stanu zakonnego, jeśli dana osoba nie jest doń powołana; ale niekiedy jest to wielkim szczęściem, jeżeli powołanie takie się objawi. Wszak sama twoja córka upewnia, iż nie sprzeciwiłabyś się, gdybyś знаła jej pobudki. Ten, kto tchnie w nas nasze uczucia, lepiej niż nasz znikomy rozum wie, co każdemu jest potrzebne, a nieraz to, co wydaje się dziełem surowości, jest, przeciwnie, dziełem łaski.

Wiem dobrze, iż rada moja cię zmartwi; możesz być pewna tym samym, że nie udzielam ci jej bez głębokiego zastanowienia. Brzmi ona, abyś zostawiła pannę de Volanges w klasztorze, skoro taki powzięła wybór; abyś zachęcała raczej niż osłabiała zamiar, jaki sama powzięła i abyś, oczekując jego ziszczenia, nie wahała się zerwać ułożonego małżeństwa.

Po spełnieniu tych ciężkich obowiązków przyjaźni i w niemożności dołączenia do nich żadnego słowa pocieszenia, pozostaje mi prosić cię, droga przyjaciółko, o jedną łaskę: to jest, abyś mnie już nie zapytywała o nic, co miałoby związek z tymi smutnymi wypadkami: zostawmy je w niepamięci, jaka im przystała, i nie szukając zbytecznych i bolesnych wyjaśnień, poddajmy się wyrokowi Opatrzności. Żegnam cię, droga przyjaciółko.

Z zamku ***, 15 grudnia 17**

LIST CLXX

Pani de Volanges do pani de Rosemonde

Och, moja przyjaciółko, jakąż przerażającą zasłoną okrywasz los mojej córki! I zdajesz się obawiać, abym nie próbowała jej uchylać! Cóż pod nią skrywa się jeszcze, co mogłoby okrutniej zgnębić serce matki, niż straszliwe podejrzenia, na których łup mnie wydajesz? Im więcej znam twą przyjaźń, twą pobłażliwość, tym bardziej staję się pastwą udręczeń: dwadzieścia razy od wczoraj chciałam wyjść z tej okrutnej niepewności i prosić cię o podzielenie się ze mną wszystkim, bez oszczędzań i bez niedomówień; i za każdym razem zadrżałam z obawy, wspominając o prośbie, jaką czynisz, aby cię o nic nie pytać. Wreszcie zdobyłam się na postanowienie, które zostawia mi jeszcze jakąś nadzieję. Spodziewam się po twojej przyjaźni, iż nie uchyliš się od tego, czego pragnę. Odpowiedz mi tylko, czy w przybliżeniu rozumiałam to, co się ukrywa pod twoim milczeniem; nie lękaj się zaznajomić mię ze wszystkim, co pobłażliwość macierzyńska może pokryć i co nie jest niemożliwe do naprawienia. Jeżeli moje nieszczęścia przekraczają tę miarę, wówczas zgadzam się, byś mnie powiadomiła o tym jedynie twoim milczeniem. Oto więc, co już wiedziałam i dokąd me obawy mogą się rozciągać:

Córka moja objawiała niejaką skłonność do kawalera Danceny; odkryłam nawet, iż rzeczy doszły aż do wzajemnej wymiany listów. Mniemałam, iż udało mi się zapobiec niebezpiecznym następstwom tego dzieciństwa: dziś, kiedy lękam się wszystkiego, zaczynam uważać za możliwe, iż moja czujność została oszukana i obawiam się, czy ta nieszczęśliwa, idąc za namową uwodziciela, nie przekroczyła ostatnich granic zapomnienia.

Przypominam sobie jeszcze kilka okoliczności, które mogą utwierdzić tę obawę. Doniosłam ci, że moja córka zaniemogła na wiadomość o nieszczęściu, jakie spotkało pana de Valmont; może przyczyną tej wrażliwości była jedynie myśl o niebezpieczeństwie, na jakie pan Danceny narażony był w tej walce. Kiedy później płakała tyle, dowiadując się wszystkiego, co mówią o pani de Merteuil, to, co uważałam za cierpienie przyjaźni, było może jedynie następstwem zazdrości lub żalu, iż kochanek jej okazał się niewiernym. Jej ostatni krok można by również, o ile mi się zdaje, wytłumaczyć tą samą pobudką. Nieraz mniema się, iż jest się powołanym ku Bogu, przez to jedynie, iż się czuje zagrożonym do ludzi.

Gdyby tak było w istocie, mniemałabym, mimo wszystko, iż obowiązkiem moim jest próbować wszystkich środków, by jej oszczędzić męczarni i niebezpieczeństw złudnego i przemijającego powołania. Jeżeli pan Danceny nie jest pozbawiony wszelkiego pocucia

uczciwości, nie uchyli się od naprawienia winy, której jest jedynym sprawcą; mogę zresztą przypuszczać, że małżeństwo z moją córką przedstawia dlań dosyć korzyści, aby mógł się nim czuć zaszczycony, on i jego rodzina.

Oto, droga i godna przyjaciółko, jedyna nadzieja, jaka mi pozostaje; pośpiesz mnie w niej utwierdzić, jeżeli to możliwe. Pojmujesz, jak bardzo pragnę twojej odpowiedzi i jakim strasliwym ciosem będzie dla mnie twoje milczenie¹⁴³.

Miałam już zapieczętować list, kiedy przyszedł do mnie w odwiedzinach jeden ze znajomych i opowiedział strasliwe zajście, jakiego przedmiotem stała się przedwczoraj pani de Merteuil. Ponieważ nie widziałam nikogo w ciągu tych ostatnich dni, nic nie wiedziałam o tym zdarzeniu; oto jego przebieg, podany przez naocznego świadka.

Wracając ze wsi przedwczoraj, pani de Merteuil kazała się zawieźć do Włoskiej Komedii, gdzie ma łożę; była sama i musiało się jej wydać niezwykłym, iż nikt z mężczyzn nie zjawił się u niej w czasie przedstawienia. Przy wyjściu wstąpiła wedle zwyczaju do małego saloniku, który był już pełny ludzi; natychmiast wszczął się szmer, ale widocznie nie odnosiła go do siebie. Spostrzegła puste miejsce na jednej z ławeczek i podeszła, aby je zająć, ale równocześnie wszystkie kobiety, które tam poprzednio siedziały, podniosły się jak umówione i zostawiły ją zupełnie samą. Ten jaskrawy objaw powszechnego oburzenia spotkał się z poklaskiem mężczyzn i wzbudził szemranie, które, jak mówią, doszło aż do okrzyków.

Aby nic nie zabrakło do jej upokorzenia, nieszczęście chciało, że pan de Prévan, który nigdzie nie pojawiał się od czasu swej przygody, wszedł w tej samej chwili do saloniku. Skoro tylko go spostrzeżono, wszyscy zebrani, mężczyźni i kobiety, otoczyli go wśród oklasków i znalazł się niejako zaniesiony przed panią de Merteuil przez publiczność, która otoczyła zwartym kołem ich oboje. Twierdzą, iż ta kobieta zachowała wejrzenie osoby, która nic nie widzi i nic nie słyszy i że nie zmieniła wyrazu twarzy! Ale sądzę, że to jest przesadzone. Ta upokarzająca scena trwała aż do chwili, w której oznajmiono powóz markizy; przy jej odjeździe skandaliczne okrzyki jeszcze się podwoiły. Pan de Prévan spotkał się tego samego wieczora z najserdeczniejszym przyjęciem wszystkich oficerów swego pułku i nie ma wątplenia, że niebawem zostaną mu przywrócone jego ranga i stanowisko.

Ta sama osoba, która udzieliła mi tych szczegółów, mówiła mi, że pani de Merteuil dostała następnej nocy bardzo silnej gorączki. Przypisywano to zrazu ciężkiemu wstrząśnieniu, jakie przeżyła, lecz od wczoraj wieczór wiadomo jest, że pojawiła się u niej ospa i to o bardzo złośliwym charakterze. W istocie, sądzę, że gdyby umarła, byłoby to dla niej prawdziwym szczęściem. Mówią jeszcze, że cała ta przygoda bardzo jej może zaszkodzić w procesie, który ma być w najbliższym czasie osądzony, a którego wynik podobno wiele zależał od przychylnego nastrojenia sędziów.

Do widzenia, droga i godna przyjaciółko. Widzę w tym wszystkim, iż winni ponieśli zasłużoną karę, ale nie widzę żadnego pocieszenia dla ich nieszczęśliwych ofiar.

Paryż, 18 grudnia 17**

LIST CLXXI

Kawaler Danceney do pani Rosemonde

Ma pani słuszość i z pewnością nie odmówię pani nic z tego, co będzie zależeć ode mnie i do czego raczysz przywiązywać jakąkolwiek wagę. Paczka, którą mam zaszczyt przesłać, zawiera wszystkie listy panny de Volanges. Jeżeli je przeczytasz, zadziwisz się pani zapewne, iż można połączyć tyle naiwności i tyle przewrotności razem. To przynajmniej najbardziej mnie uderzyło, gdym po raz ostatni odczytywał te listy.

Ale nade wszystko, czyż można się obronić uczuciu najwyższego oburzenia przeciw pani de Merteuil, skoro się przypomni, z jaką ona potworną rozkoszą dołożyła wszelkich starań, aby sprowadzić na złą drogę samą niewinność i prostotę?

Nie, nie ma już we mnie miłości. Nie pozostało nic z uczucia zdradzonego tak niegodnie; i nie ono to każe mi się kusić o usprawiedliwienie panny de Volanges. Jednakże to serce tak proste, to usposobienie tak łatwe i miłe, czyż nie było zdolne zwrócić się ku dobremu, łatwiej jeszcze aniżeli się dało pociągnąć do złego? Któż młoda osoba, wychodząc prosto z klasztoru, bez doświadczenia i niemal bez pojęć, wnosząc w świat, jak zawsze

¹⁴³strasliwym ciosem będzie dla mnie twoje milczenie — ten list został bez odpowiedzi.

bywa, jedynie zupełną nieświadomość złego i dobrego, któraż młoda osoba, powiadam, byłaby się oparła tak zbrodniczym sztukom? Ach, aby być pobłażliwym, wystarczy za-
stanowić się, od ilu okoliczności niezależnych od nas zawisła przerażająca alternatywa
uczciwości lub zepsucia! Słusznie mnie pani zatem osądziła, mniemając, iż winy panny
de Volanges, które odczułem bardzo żywo, nie budzą we mnie jednak żadnego pragnienia
zemsty. Dość już musieć przestać kochać! Zbyt wiele by mnie kosztowało nienawidzić.

Uczucie czci, jakim jestem przepełniony, każe mi prosić panią, jak o ostatnią łaskę,
o powiadomienie mnie, czy uważasz, iż wypełniłem wszystkie obowiązki. Skoro zostanę
raz uspokojony pod tym względem, powziąłem już postanowienie: udam się na Maltę;
pojadę złożyć tam z rozkoszą ślubny oddzielający mnie od świata, od którego, tak młody
jeszcze, tak wiele już złego doznałem. Spróbuję również, pod obcym niebem, zgubić
pamięć o tylu spiętrzonych ohydach, których wspomnienie mogłoby jedynie zasmucać
i kazić moją duszę.

Pozostaję z całym szacunkiem pani najpowolniejszym etc.

Paryż, 26 grudnia 17**

LIST CLXXIV

Pani de Volanges do pani de Rosemonde

Los pani de Merteuil zdaje się wreszcie dokonany, moja droga i godna przyjaciółko;
a jest on taki, że jej najwięksi nieprzyjaciele wąż się pomiędzy oburzeniem, na jakie
zasługuje, a litością, jaką wzbudza. Miałam słuszość, mówiąc, że szczęściem byłoby dla
niej może umrzeć od owej ospy. Wyszła z niej, to prawda, ale straszliwie zniekształcona;
przede wszystkim straciła jedno oko. Możesz się pani domyślać, iż jej nie widziałam: ale
mówiono mi, że jest po prostu odrażająca.

Markiz de ***, który nie omija nigdy sposobności powiedzenia czegoś złośliwego,
zauważył wczoraj, mówiąc o niej, że choroba ją przenicowała i że obecnie dusza jej mieści
się na twarzy. Niestety, wszyscy uznali, że określenie to jest sprawiedliwe.

Inny wypadek dołączył się jeszcze do jej nieszczęść i błędów. Proces rozstrzygnięto
przedwczoraj: przegrała go jednogłośnie. Koszta, straty i procenta, odszkodowanie uży-
walności, wszystko przysądzone małoletnim: tak, iż niewielką część jej majątku, która
nie była objęta procesem, pochłonęły, i to z górą, koszta.

Natychmiast, skoro tylko dowiedziała się o tej nowinie, mimo iż jeszcze chora, po-
czyniła przygotowania i wyjechała sama w nocy pocztą. Podobno nikt ze służby nie chciał
jej towarzyszyć. Zdaje się, iż udała się w kierunku Holandii.

Ten wyjazd narobił więcej hałasu niż wszystko inne, a to dlatego, iż zabrała z sobą
swoje diamenty, wartości bardzo znacznej, a które miały wejść w masę spadkową po jej
mężu; również uwiozła srebra i klejnoty, słowem, wszystko, co mogła; tak iż zostawia
blisko 50 000 funtów długów. Formalne bankructwo.

Rodzina ma się zebrać jutro, aby wejść w układy z wierzycielami. Mimo iż jestem
jedynie jej bardzo daleką krewną, ofiarowałam się do współudziału; ale nie będę na tym
zebraniu, ile że muszę być obecną przy obrzędzie jeszcze smutniejszym. Moja córka przy-
wdziewa jutro habit postulantki. Mam nadzieję, iż nie zapominasz, moja droga przyja-
ciółko, iż jedyną pobudką zniewalającą mnie do tego poświęcenia, jest milczenie, jakie
zachowywałaś po moim ostatnim liście.

Pan Danceny opuścił Paryż blisko przed dwoma tygodniami. Mówią, że udał się na
Maltę i że ma zamiar tam pozostać. Byłby może jeszcze czas go powstrzymać?... Moja
zacna przyjaciółko!... Zatem córka moja jest tak bardzo winna?... Wybaczysz z pewnością
matce, iż z trudnością jedynie godzi się poddać tej straszliwej pewności.

Jakaż fatalność gromadzi się naokoło mnie od jakiegoś czasu i trafia mnie w najbardziej
drogich mi przedmiotach! Moja córka, moja przyjaciółko!...

Któż mógłby nie zadrzeć, rozpamiętując nieszczęścia, jakie może spowodować jeden
nieopatrzny związek! Iluż niedoli uniknęłoby się, rozmyślając o tym więcej! Któraż kobieta
nie ratowałaby się ucieczką przed pierwszym zakusem uwodziciela? Któraż matka mogłaby
bez drżenia patrzeć, jak obca osoba rozmawia z jej córką?

Żegnaj, droga i godna przyjaciółko; czuję w tej chwili, iż rozum nasz, tak wąty już, gdy chodzi o to, aby uprzedzić nasze nieszczęścia, tym bardziej jest niewystarczający, aby nas po nich pocieszyć.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/laclos-niebezpieczne-zwiazki>

Tekst opracowany na podstawie: Choderlos de Laclos, *Niebezpieczne związki*, tom I-II, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, wydanie drugie, przejrane przez tłumacza, Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”, Warszawa 1922.

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Paulina Oltusek, Wojciech Szczęśny.

Okładka na podstawie: [twicepix@Flickr](#), CC BY-SA 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.